



SEAWOLF
PATRICK
ROBINSON

A MAN ON THE EDGE. THE WORLD ON THE BRINK ...

ROBINSON PATRICK

Arnold Morgan #4 USS Seawolf

PATRICK ROBINSON

Dom Wydawniczy REBIS poleca m.in.

technothrillery:

Patrick Robinson HMS UNSEEN

Tom Clancy, Martin Greenberg POLITYKA RUTHLESS.COM SPRAWA ORIONA thrillery:

Richard North Patterson WYROK OSTATECZNY MILCZĄCY ŚWIADEK OCZY DZIECKA

Graham Masterton KRZYWA SWEETMANA GŁÓD OFIARA GENIUSZ KONDOR IKON

Nelson DeMille, Thomas Block MAYDAY Vince Flynn PRZERWANE KADENCJE Paul

Lindsay PRAWO DO ZABIJANIA

Patrick Robinson USS SEAWOLF

Przełożył Janusz Szczepański

Dom Wydawniczy REBIS Poznań 2002 Tytuł oryginału U.S.S. Seawolf

Copyright © Patrick Robinson 2000 All rights reserved

Patrick Robinson has asserted his right under the Copyright, Designs and Patents Act, 1988 to be identified as the author of this work

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd., ' Poznań 2002 Redaktor Małgorzata Chwałek

Opracowanie graficzne okładki Jacek Pietrzyński Fotografia na okładce Agencja fotograficzna East News Wydanie I

ISBN 83-7301-157-9

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o. ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań tel. 867-47-08, 867-81-40; fax 867-37-74 e-mail: rebis@pol.pl www.rebis.com.pl Druk i oprawa: ABEDIK Poznań

Powieść tę – jako wyraz wielkiego szacunku – dedykują ludziom z SEALs, elitarnej jednostki specjalnej US Navy, którzy zawsze działają w warunkach zagrożenia i wśród których męstwo jest cechą powszechną.

PODZIĘKOWANIA

Moim głównym doradcą przy pisaniu czwartej powieści militarnej był po raz kolejny admirał Sir John „Sandy” Woodward, który pilotował mnie przez niebezpieczne wody mórz chińskich „na pokładzie” dużego atomowego okrętu podwodnego.

Dotarcie do miejsc, do których chciałem dotrzeć, często okazywało się niemożliwe. „Głębokość, człowieku, głębokość! Pilnuj głębokości, na miłość boską!” Na zawsze zapamiętam jego napomnienia, wygłaszane podczas niespokojnego marszu po gabinecie z wzrokiem utkwionym w mapy. Kiedy przedzierałem się przez niuanse angielskiej prozy, przemawiał do mnie jak do nieudolnie sterującego bosmanmata.

Ale na szczęście już wcześniej zeglowaliśmy razem wśród literackich raf i jakoś daliśmy sobie radę także z tym rejssem. Mam wobec niego wielki dług za fachowe porady, niezrównaną wiedzę o operacjach okrętów podwodnych i znajomość fizyki jądrowej, z czego czerpałem pełnymi garściami. Admirał okazał się też całkiem niezły w kwestii konstruowania fabuły, wyczulony jak radar na tekstowe słabości, nieprawdopodobieństwa i, jak mawiał, „groteskowe niemożliwości”. Najważniejsza dla mnie w tworzeniu każdej z tych powieści była chwila, kiedy admirał podsumowywał długie miesiące pracy, krytyki i sprawdzania krótkim kiwnięciem głową i słowami: „Może być”. Jestem pewien, że podczas kampanii falklandzkiej w 1982 r. podlegli mu dowódcy

nieraz doświadczali tego samego. Autor powieści marynistycznych wygrał los na loterii, jeśli ma pod ręką byłego dowódcę zespołu okrętów i byłego dowódcę Floty Podwodnej Royal Navy; nigdzie jednak nie jest powiedziane, że współpraca z nim ma być łatwa. Przy pisaniu tej książki potrzebna mi też była fachowa

7
pomoc oficerów sił specjalnych. Z oczywistych przyczyn nie mogę wymienić nazwiska żadnego z

nich, pragnę jedynie wyrazić wdzięczność za ich rady i wyjaśnienia na temat działań zaczepnych na

dużą skalę.

Dziękuję też pani Anne Reiley za wnikliwe opisy pewnych charakterystycznych elementów

Waszyngtonu, a także mojemu przyjacielowi Rayowi McDwyerowi z Cavan w Irlandii za

udostępnienie mi zacisznej „przystani” w południowej części Dublina, gdzie rokrocznie w

samotności zasiadam do tworzenia czterystustronicowej powieści.

WAINAN

CHINY

I* Chongqing

PROWINCJA I GUANGDONG

_, Xiamen Guangzhou

(Kanton) shajj3

Makau

Hongkong

hanjmg

'TAJWAN

LUZON STRAIT

MORZE POŁUDNIOWOCHIŃSKJE 120

E

m

FILIPINY

130 E

Rejon działania Seawolfa

ściana północna wieża

cele pojedyncze

cele przesłuchań

centrala łączności i kwatera komendanta

wartownia

ściana wschodnia

brama główna

administracja, 4 magazyn i koszary straży

paliwo

Więzienie na Xiachuan Dao

OSOBY

Naczelne dowództwo

prezydent Stanów Zjednoczonych (naczelnny dowódca Sił Zbrojnych USA)

wiceadmirał Arnold Morgan (doradca ds. bezpieczeństwa narodowego)

gen. Tim Scannell (przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów)

gen. Cale Carter (dowódca Sił Powietrznych USA) Harcourt Travis (sekretarz stanu)

kontradm. George R. Morris (dyrektor Agencji Bezpieczeństwa Narodowego – NSA)

Naczelne dowództwo US Navy

adm. Joseph Mulligan (szef operacji morskich*) kontradm. John Bergstrom (dowódca Sił Specjalnych, SPECWARCOM)

adm. Archie Cameron (dowódca Floty Pacyfiku) kontradm. Freddie Curran (dowódca Floty Podwodnej Pacyfiku, COMSUBPAC)

USS Seawolf

kapitan Judd Crocker (dowódca okrętu)

kmdr ppor. Linus Clarke (zastępca dowódcy okrętu, ZDO)

kmdr ppor. Cy Rothstein (oficer uzbrojenia)

kmdr ppor. Mike Schultz (starszy mechanik)

kmdr ppor. Rich Thomson (oficer mechanik)

por. Kyle Frank (oficer sonarowy)

*** Oficjalny tytuł dowódcy marynarki wojennej (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).**

por. Shawn Pearson (oficer nawigacyjny)

por. Andy Warren (oficer pokładowy)

st. bosm. sztab. Brad Stockton (szef okrętu)

bosm. Chase Utley (elektronik)

bosmanmat Jason Colson (pisarz kapitański)

bosmanmat Andy Cannizaro

st. mar. Tony Fontana (motorzysta)

mar. Kirk Sarloos (torpedysta)

Personel US Navy

kmdr Tom Wheaton (dowódca USS Greenville) kpt. Chuck Freeburg (dowódca USS Vella Gulf)

kmdr por. Joe Farrell (pilot bombowca typu Hornet)

US Navy SEALs*

plk Frank Hart (starszy oficer sztabowy formacji SEALs, koordynator akcji na pokładzie USS Ronald Reagan)

kmdr por. Rick Hunter (dowódca oddziału szturmowego) kmdr por. Russell „Rusty” Bennett (dowódca pododdziału zwiadu, osłony ewakuacji i pododdziału szturmowego „A”)

st. bosm. John McCarthy (zastępca dowódcy pododdziału szturmowego „A”)

por. Dan Conway (dowódca pododdziału szturmowego „B”) por. Paul Merloni (zastępca dowódcy

pododdziału szturmowego „B”)

kmdr por. Olaf Davidson (dowódca przedniej grupy desantowej i pododdziału szturmowego „C”)

por. Ray Schaeffer (zastępca dowódcy pododdziału szturmowego „C”)

por. Bobby Aliensworth (strażnik przyboczny kmdra por. Huntera)

bosm. Catfish Jones

bosm. Rocky Lamb

Mar. Riff „Grzechotnik” Davies

Mar. Buster Townsend (radiooperator)

St. bosm. Steve Whipple (saper i obsługa ckm)

*** Kryptonim oddziałów specjalnych w marynarce USA.**

Personel brytyjskich sił specjalnych SAS

płk Mike Andrews (dowódca pułku SAS w Bradbury Lines)

sierż. Fred Jones (asysta pododdziału szturmowego „B” SEAL)

kpr. Syd Thomas (asysta pododdziału szturmowego „B” SEAL)

sierż. Charlie Murphy (asysta pododdziału szturmowego „B” SEAL)

Kierownictwo i agenci terenowi CIA

Jake Raeburn (kierownik wydziału Dalekiego Wschodu) Rick White (California Bank w

Hongkongu) Honghai Shan (Chińskie Międzynarodowe Biuro Turystyczne)

Quinlei Dong (baza marynarki wojennej w Guangzhou) Quinlei Zhao (kupiec znad Rzeki Perłowej)

Kexiong Gao (kupiec znad Rzeki Perłowej)

Marynarka Ludowo-Wyzwoleńcza

adm. Zhang Yushu (naczelný dowódca) wiceadm. Sang Ye (szef sztabu marynarki) adm. Zu Jicai

(dowódca Floty Południowej) adm. Yibo Yunsheng (dowódca Floty Wschodniej) płk Lee Peng

(dowódca niszczyciela Xiangtan) kmdr Li Zemin (szef bezpieczeństwa bazy marynarki wojennej w

Guangzhou) Personel Białego Domu

Kathy O'Brien (osobista sekretarka adm. Morgana) Adwokaci sądu wojskowego kmdr por. Edward Kirk (Pentagon)

mec. Philip Myerscough (obrońca kmdra por. Clarke'a) mec. Art Mangone (obrońca kpt. Crockera) PROLOG

27 kwietnia 2006 r., godz. 13.30. Stacja radarowa obrony przeciwlotniczej marynarki wojennej, na zachód od Hsinchu (Tajwan)

Od samego brzasku radarzyści obserwowali jednostki oceanicznej floty Marynarki Ludowo-Wyzwoleńczej, pięćdziesiąt mil od brzegu przepływające tam i z powrotem klasycznym kursem

nawrotnym. Dwadzieścia dwa okręty, włącznie ze zbudowanym w Rosji nowym lotniskowcem o wyporności 80 000 ton, który jeszcze nawet nie miał nazwy Tajwańczycy nerwowo śledzili chińskie niszczyciele: jednostki klasy Luhu, stare klasy Luda i najnowsze Luhai. Po raz czwarty w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy zanotowali salwy rakiet wo-da-woda, wystrzeliwane z fregat klasy Jiangwei. Patrzyli, jak flotylla stopniowo się zbliża, a potem przekracza niewidzialną linię rozgraniczającą cieśninę i wpływa na wody terytorialne Tajwanu. Szef zmiany natychmiast powiadomił o tym główną bazę marynarki w Tsoying. Ku satelicie łączności automatycznie pomknął sygnał alarmowy dla dowództwa Floty Pacyfiku US Navy w Pearl Harbor. Na pokładzie znajdującego się o dwieście mil morskich na wschód, od Tajwanu olbrzymiego lotniskowca klasy Nimitz amerykański admirał położył okręty zespołu na kurs zachodni. Dwanaście potężnie uzbrojonych okrętów rakietowych skierowało się ostentacyjnie ku swym przyjaciółom na niepodległej wyspie, którzy czuli teraz na twarzach gorący oddech chińskiego smoka. Lecz o trzynastej pięćdziesiąt siedem tego pięknego, chłodnego kwietniowego dnia wszelkie dotychczasowe alerty w stacjach radarowych straciły ważność.

Chiny niespodzie-19

wanie wystrzeliły dużą rakietę krótkiego zasięgu typu cruise wprost na stolicę, Tajpej. Radary stacji brzegowej pod Hsinchu wykryły ją w odległości czterdziestu pięciu mil. Mknęła ku nim nad wodami Cieśniny Tajwańskiej z prędkością dziewięciuset sześćdziesięciu kilometrów na godzinę na pułapie nie wyższym niż sześćdziesiąt metrów, zmiennymi kursami oscylującymi wokół osiemdziesięciu stopni, prosto z chińskiej prowincji Fujian. Operatorzy z początku pomyśleli, że to samolot osłaniający chińską flotyllę, ale echo przesunęło się zbyt nisko i zbyt szybko, pokonując w każdej minucie szesnaście kilometrów.

Nie było czasu na próbę zestrzelenia pocisku, a systemy zakłócające były bezradne wobec wstępnie zaprogramowanego układu nawigacji inercyjnej kierującego rakieta M-II rosyjskiej konstrukcji. Obrona przeciwlotnicza zaledwie zdążyła ocenić zagrożenie, zanim pocisk z rykiem silnika przeleciał nad linią brzegu, wyraźnie widoczny dla każdego mieszkańca w okolicy, który akurat spojrzał w niebo.

O tej porze na całej nadbrzeżnej autostradzie do Tajpej panował duży ruch. Kierowca wojskowej ciężarówki patrzył na raketę, nie wierząc własnym oczom; zagapiony, najechał na autokar turystyczny, który przeleciał przez pas rozgraniczający jezdnie wprost pod nadjeżdżające z przeciwka pojazdy. W karambolu zniszczone zostało pięćdziesiąt dziewięć samochodów i zginęło czternaścioro ludzi.

W tym samym czasie uruchomiono procedury alarmowe; radiowe i telewizyjne obwieszczenia nakazywały obywatelom pozostać w domach, w miarę możliwości pod ziemią, w obliczu mającego nastąpić lada chwila ataku rakietowego. Nikt nie wiedział, czy pocisk ma głowicę jądrową, ale niebezpieczeństwo promieniowania radioaktywnego zaprzętało myśli przedstawicieli organów administracji.

W pomieszczeniu kontroli lotów międzynarodowego lotniska CKS wszyscy obecni w napięciu śledzili lot rakiety przez tajwańską przestrzeń powietrzną i na ekranach radarów, i

bezpośrednio przez wielkie okna. Pocisk lekko skorygował kurs i pomknął nad miasto Taoyuan. Mijając dworzec

**kolejowy, wciąż leciał z tą samą prędkością na nie zmienionym pułapie. Kiedy przelatywał tuż
ponad nowym**

McDonaldem przy Fuhsing Road, znajdował się o sto dwadzieścia sekund od stolicy Tajwanu. Wojsko mogło jedynie ogłosić alarm dla ludności. Poinformowano rząd Stanów Zjednoczonych oraz Organizację Narodów Zjednoczonych

o ataku raketowym ze strony Chin – i o czternastej sześć rakiet znalazła się nad Tajpej. Jednak ku zaskoczeniu dowództwa armii poleciała dalej, wprost nad centrum miasta, minęła rzekę Tan i skierowała się na północno-wschodnie wybrzeże, ku drugiemu co do wielkości terminalowi kontenerowemu wyspy, Chilung. Lecz

1 ten port nie był jej celem. Rakietę przeleciała nad linią brzegu i pomknęła nad otwarty ocean, po czym trzydzieści mil morskich dalej spadła do wody i eksplodowała.

Sztab armii tajwańskiej wystosował ostry protest do Pekinu, żądając zapewnienia, że nie wystrzelono żadnych innych rakiet. Premier skontaktował się bezpośrednio z Najwyższym Sternikiem ChRL, by przestrzec go, że siły zbrojne Tajwanu będą walczyć w obronie niepodległości do ostatniego skrawka swej ziemi, a jeśli zajdzie potrzeba, odpowiedzą uderzeniem amerykańskich rakiet kierowanych, które dalece przewyższają każdą broń, jaką Chińczycy mogą mieć w swym arsenale.

–Być może przegramy – zakończył swą wypowiedź premier Tajwanu – ale mogę przysiąc, że pociągniemy za sobą na dno także Pekin.

Chińczycy ani nie przeprosili za incydent, ani nie udzielili żadnych gwarancji, że podobne wypadki

nie zdarzą się w przyszłości.

27 kwietnia, godz. 9.00 czasu lokalnego. Biuro doradcy prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego, Biały Dom, Waszyngton

Admirał Arnold Morgan z rosnącą furią słuchał wyjaśnień, dlaczego ambasador Chińskiej Republiki Ludowej nie będzie mógł się stawić w Białym Domu w ciągu dwudziestu minut.

–On jest na konferencji, Arnoldzie – powtórzyła jego sekretarka. – Nie chcą mnie nawet połączyć z jego asystentem.

Mówią, że przekażą mi wiadomość i oddzwoni do ciebie za jakieś pół godziny. Ambasador rozmawia teraz z sekretarzem generalnym Komunistycznej Partii Chin, który, jak ci wiadomo, jest w Waszyngtonie i dziś wieczorem je kolację z prezydentem.

–Kathy O'Brien, nad której śladami stóp wielbię powietrze! – warknął doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. – Wysłuchaj mnie uważnie. Nie obchodzi mnie, czy towarzysz Ling Pieprzony Guofeng, czcigodny ambasador w naszym kraju, jest właśnie w trakcie spirytualistycznego kontaktu z Czang Kaj-szekiem albo z pomyłonym duchem Mao Zedonga czy któregośkolwiek z tych pieprzonych kulisów, którzy dorwali się do władzy. Ma tu być za dwadzieścia minut, bo inaczej stanie się byłym ambasadorem w naszym kraju. Każę go deportować dziś o siedemnastej.

–Dobrze, Arnoldzie, przekażę twoje życzenie na najwyższy możliwy szczebel. W siedemnaście minut później zaanonsowano przybycie ambasadora Linga.

–Siadaj. Sprawa jest poważna. I słuchaj. – Admirał nie był w przyjaznym nastroju. Ambasador usiadł i rzekł z najwyższą kurtuazją:

–Czy popełniłbym faux pas, admirale, gdybym życzył panu dobrego popołudnia?

–Owszem, skoro już o tym mowa. Bardziej jestem poruszony tym, że parę godzin temu wasz cholerny kraj o mało nie wywołał pieprzonej wojny!

–Admirale, z pewnością nie ma pan na myśli tego mało znaczącego incydentu w naszej Cieśninie Tajwańskiej?

–Mało znaczącego? Wy szalone skurczybyki, posłaliście raketę M-II prosto nad Tajpej! To ma być mało znaczący incydent?

–Panie admirale, otrzymałem jak najpewniejszy komunikat, że to był najzwyczajniejszy wypadek. W jakiś sposób straciliśmy kontrolę nad raketą. W każdym razie nic się nie stało,

przeleciała po prostu nad wyspą i zatonała w Pacyfiku. Najzupełniej nieszkodliwie.

–Nie wierzę ci, Ling. Myślę, że właśnie wymyśliliście sobie nowy sport na wiek dwudziesty pierwszy, pod nazwą

„straszenie Tajwańczyków na śmierć”. Kiedy nadleciała rakietą, wasza flotylla znajdowała się na ich wodach terytorialnych. Co, u diabła, mieli sobie pomyśleć?

–No cóż, zdaję sobie sprawę, jak musiało ich to zaniepokoić.

–Ling, co byście zrobili, gdyby Tajwańczycy mieli ciut więcej czasu na reakcję, a nasz lotniskowiec z zespołem znajdowałby się o wiele bliżej? A gdyby Tajwańczycy zaczęli odpowiadać raketami? A gdybyśmy zdecydowali się rozwalić parę waszych portów wojennych albo kilka wyrzutni rakiet balistycznych? Co wtedy?

–Admirale, nie sądzę, by to był rozsądny krok czy z waszej, czy z tajwańskiej strony. Już nie jesteśmy zacofanym militarnie krajem, za jaki nas zawsze uważaliście. Dzisiaj mamy rakiety dorównujące waszym pod względem siły rażenia i zasięgu. Poważne międzykontynentalne rakiety balistyczne, panie admirale. Wyprodukowane w Chinach. Dobrze byłoby, aby pan o tym pamiętał.

–Ling, jeżeli cokolwiek wam się udało, to zebrać grupkę chytrych szpiegów i złodziei, by kraść nasze pomysły. Ale nawet jeśli je zdobywacie, to są one zbyt zaawansowane technicznie, byście mogli je adaptować do własnych potrzeb. Przydarzyło się wam więcej porażek w próbach rakiet, niż nawet ja potrafię zliczyć. Zawsze tylko myśleliście, że potracie nam dorównać w technologii i produkcji sprzętu wojskowego. Ale to nieprawda i nigdy wam się to nie uda. Tak samo jak nam dorównać w przyrządzaniu kaczkę po pekińsku.

Ambasador Ling nie zareagował na tę zniewagę.

–Panie admirale, pańska ocena naszych umiejętności była być może trafna przez wiele lat. Ale już nie jest – oświadczył. – Teraz mamy sprawne rakiety dalekiego zasięgu. Stanowimy dla was równie wielkie zagrożenie, jak wy zawsze stanowiliście dla nas.

–Być może. Ale nam nie przychodzi do głowy pomysły wystrzeliwania cruise'ów ponad obcymi stolicami, przerażania ich ludności i popychania świata ku wojnie. Dlatego tu i teraz ostrzegam was i wasz rząd... jeśli chcecie grać na ostro o Tajwan ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki, to lepiej do-23

rze się przypatrzcie zasadom gry. Bo kiedy my zdecydujemy się wejść do gry, będziemy grali do

końca.

Ambasador Ling nie odpowiedział od razu. Zamyślony, wyglądał na naukowca, którym zresztą nigdy nie był. Kiedy przemówił, jego odpowiedź była cicha i starannie przemyślana.

–A jednak, panie admirale, gdyby między nami miało dojść do pojedynku na rakiety

międzykontynentalne, nie jestem pewien, czy naprawdę chcielibyście poświęcić Los Angeles dla

Tajwanu...

ROZDZIAŁ 1

Piątek, 7 października 2005. Pacyfik, 120 mil na zachód od San Diego (Kalifornia)

Mrok z wolna pełzł na zachód po niebie wypełnionym nisko wiszącymi chmurami. Porywisty

południowo-zachodni wiatr ozdabiał grzbiety fal białymi grzywami piany. O tej porze, w ciągu

dwudziestu minut między zachodem słońca a zapadnięciem zmroku, Pacyfik przybiera złowrogi

wygląd. Jego budzące respekt fale ciemno połyskują w resztkach dziennego światła. Nie ma na tych

bezdennych wodach jasnej, przyjemnej dla oka fosforescencji. Patrząc na te czarne głębie, to jakby

spojrzeć w otchłań, nawet gdy się bezpiecznie stoi na pokładzie okrętu wojennego. „O Panie, Twój

ocean jest tak wielki, a moja łódź tak mała”, brzmią słowa marynarskiego psalmu.

Dwieście czterdzieści metrów pod powierzchnią, daleko od melancholii oceanicznego zmierzchu,

USS Seawolf gnał z prędkością czterdziestu węzłów; znajdował się na południe od krawędzi

Murraya, około ośmiuset mil morskich na zachód od Los Angeles. Ten amerykański okręt

podwodny o wyporności dziewięciu tysięcy ton miał już za sobą lwią część trwających całe miesiące prób morskich, koniecznych po szeroko zakrojonym, trzyletnim remoncie. Seawolf nie był na wojennej ścieżce, ale gdyby jakiś przygodny wieloryb tak

o nim pomyślał, byłby usprawiedliwiony. Czterdzieści węzłów to dla stumetrowego podwodniaka niesamowita prędkość, ale ten kadłub zaprojektowano specjalnie do szybkiego pływania

1 atakowania w dowolnym akwenie i o jakiegokolwiek porze. Trwały właśnie próby głębokiego zanurzenia; sprawdzano działanie wszystkich systemów – zdawać się mogło, że okręt

pręży stalowe mięśnie w mrocznych, pustych głębinach Pacyfiku. Napędzany dwiema turbinami o łącznej mocy dziewięćdziesięciu tysięcy koni mechanicznych, zasilanymi przez nowoczesny reaktor jądrowy Westinghouse, Seawolf był najdroższym okrętem podwodnym,

jaki kiedykolwiek zaprojektowano. Zbyt drogi: marynarce wojennej pozwolono zbudować jedynie trzy jednostki tej klasy (pozostałe to USS Connecticut i USS Jimmy Carter), zanim cięcia budżetowe spowodowały anulowanie programu budowy tych czarnych cesarzy głębin. Na prace projektowe, budowę i związane z nimi badania wydano ponad miliard dolarów, zanim Seawolf podjął czynną służbę. Obecnie, po kosztującym wiele milionów remoncie, stał się bez wątpienia najdoskonalszym okrętem podwodnym świata, najszybszym i najcichszym. Przy prędkości dwudziestu węzłów nie wydawał żadnych odgłosów poza szumem rozcinanej przez masywny kadłub wody. Mógł też zadawać potężne ciosy. Uzbrojony był w rakiety woda-ziemia typu Tomahawk, zdolne dotrzeć do celu odległego o ponad dwa tysiące kilometrów z prędkością tysiąca sześciuset kilometrów na godzinę. Mógł z odległości dwustu pięćdziesięciu mil morskich zniszczyć wrogi okręt rakieta woda-woda z półtonową głowicą bojową. Arsenał dopełniało osiem wyrzutni torpedowych kalibru 560 mm i torpedy typu Gould Mark 48, kierowane przewodowo, o zasięgu do dwudziestu siedmiu mil morskich. Ta nadzwyczaj skuteczna broń zapewniała pięć-dziesięcioprocentowe

prawdopodobieństwo zniszczenia celu, ustępując pod tym względem jedynie brytyjskim torpedom typu Spearfish. Seawolf wyposażony był w sonary o skuteczności trzykrotnie większej niż podobne urządzenia nawet na najnowocześniejszych jednostkach klasy Los Angeles. Zastosowano tu zarówno systemy nasłuchowe TB 16 i TB 29, jak i sonary holowane. Do aktywnego wykrywania bliskich celów zamontowano system BQS 24. Pokładowe urządzenia rozpoznania elektronicznego były rewelacyjne; żaden okręt w promieniu pięćdziesięciu mil morskich nie mógł się poruszać, prowadzić łączności czy choć uruchomić swych sonarów i radarów bez wiedzy załogi Seawolfa. Tu już nie wystarczyło mówić o rozpoznaniu i zbieraniu tajnych informacji... to był 26 – m –

elektroniczny odkurzacz, najnowsze osiągnięcie najtajniejszych, zaawansowanych technologii US Navy

Kapitan* Judd Crocker nie bez powodu był cholernie dumny ze swojej jednostki. „Nigdy jeszcze nie zbudowano okrętu, który mógłby dorównać Seawolfowi”, mawiał, dodając nieodmiennie, że jest mało prawdopodobne, by kiedykolwiek miało to nastąpić. „Nie za mojego życia”, upierał się. W jego ustach nie była to czcza przechwałka. Judd znał się na okrętach tak, jak górale z Gór Skalistych znają się na narciarstwie. Syn i wnuk admirała z floty nawodnej, przyszedł na świat w rodzinie regatowców z Cape Cod i kręcił się przy jachtach wszelkiej wielkości i rodzaju, odkąd nauczył się chodzić. Nie odziedziczył po ojcu jego wyjątkowego talentu sternika i choć był bardzo dobrym żeglarzem, nie dane mu było dorównać na tym polu bystrookiemu admirałowi Nathanielowi Crockerowi. Kapitan Crocker miał teraz czterdzieści lat, z których większość spędził na okrętach podwodnych. Służył już na Seawolfie w roku 1997 jako ZDO (zastępca dowódcy okrętu), a po pięciu latach objął jego dowództwo. Awans na kapitana otrzymał tuż przed zakończeniem remontu, w środku lata 2005 roku. Było to urzeczywistnieniem jego chłopięcych marzeń i zrealizowaniem planu, jaki powziął w wieku piętnastu lat, kiedy ojciec zabrał go na doroczne regaty z Newport dookoła wyspy Block i z powrotem. Admirał sam nie brał udziału w wyścigu, ale wraz z

synem gościł na pokładzie jednej z łodzi komisji regatowej Jachtklubu Nowojorskiego. Tego dnia

na zatoce co rusz podnosiły się pasma mgły i niektórzy z zawodników mieli kłopoty z nawigacją.

Nawet łódź komisji regatowej zdryfowała nieco z wyznaczonej pozycji: znalazła się za daleko na

południowy zachód od wyspy i, traf chciał, o pół mili od kursu okrętu podwodnego klasy Los Angeles, siedmiotysięcznika sunącego w wynurzeniu do bazy marynarki w New London. Słońce

już weszło i Judd mógł obserwować przez lornetkę czarną sylwetkę wielkiego „wojenniaka”.

Widok wprowadził go niemal

*** Stopień odpowiadający polskiemu „pełnemu” komandorowi; także określenie dowódcy okrętu.**

f

w trans; zapamiętał numer taktyczny 690 wymalowany na kiosku. O mało nie umarł z podniecenia,

kiedy dwóch oficerów pomachało do żeglarzy z pomostu. Gapił się na powracający do domu USS

Philadelphia jeszcze długo potem, gdy okręt stał się tylko małą kropką na horyzoncie i wreszcie

zniknął mu z oczu.

Okręty podwodne często wywierają na cywilach podobne wrażenie. Jest w nich coś niesamowicie

złowrogiego, mrożącego krew w żyłach. Judd wpatrywał się w tę kwintesencję morskiej potęgi

Stanów Zjednoczonych z ledwie skrywanym podziwem i szacunkiem. Żołądek ścisnęła mu obawa,

a właściwie strach; taki sam, jaki każdy widz odczuwa, kiedy pędzący z prędkością stu

kilkudziesięciu kilometrów na godzinę ekspres mija małą podmiejską stację: ogłuszający wizzg

powietrza i wycie silnika, drżenie ziemi, powiew o sile wichury składają się na przerażający pokaz

monstrualnej siły, zdolnej zmieść całą stację i pół miasteczka, gdyby kiedykolwiek uwolniła się

spod kontroli. Różnica polegała na tym, że okręt podwodny osiągał taki sam efekt w pełnej grozy

ciszy.

Judd Crocker nie bał się okrętu. Uległ fascynacji maszyną, która była zdolna zniszczyć cały Boston,

gdyby miała na to ochotę. Kiedy w końcu oderwał wzrok od horyzontu i próbował się skupić na

regatach – o ileż mniej zajmujące mu się teraz wydawały! – w głowie pozostała mu jedna

myśl.

Tym, co naprawdę chciał w życiu robić, było dowodzenie Philadelphia, oznaczało to podjęcie studiów w Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis – za trzy lata od owej chwili. Judd już nigdy nie stracił z oczu tego wcześniej wytyczonego celu i dlatego w ćwierć wieku później był dowódcą najgroźniejszego okrętu podwodnego, jaki kiedykolwiek zwodowano.

–Oficer wachtowy, tu kapitan. Zmniejszyć prędkość do dwudziestu węzłów. Pięć stopni w górę do głębokości sto pięćdziesiąt metrów. Ster w prawo, na kurs dwieście dwadzieścia.

Judd zawsze wydawał komendy spokojnym tonem, ale z naciskiem, zdradzającym niepokój, lecz to, że dobrze przemyślał problem, zanim przemówił.

–Tak jest, sir.

Judd zwrócił się do swego zastępcy, komandora podpo-

rucznika Linusa Clarke'a, który właśnie nadszedł po krótkiej konferencji z mechanikami.

–Wszystko tam w porządku, ZDO?

–Drobny problem z zawieszonym zaworem, sir. Bosman Barrett go naprawił i twierdzi, że to się nie może powtórzyć. Idziemy głębiej?

–Na razie nie, ale za parę godzin chcę zejść na trzysta metrów.

Trudno o mniej dobraną parę oficerów na szczeblu dowódczym. Kapitan był potężnie zbudowanym mężczyzną o wzroście ponad sto osiemdziesiąt centymetrów, z gęstymi, kruczoczarnymi włosami odziedziczonymi po irlandzkich antenatach po kądzieli. Jane Kiernan obdarzyła go też

ciemnobrązowymi oczami i końską siłą męskiej połowy swego rodu: rolników i rybaków z dzikich, chłostanych wichrami ostępów hrabstwa Connaught na zachodnich brzegach Irlandii. Judd był dowódcą o kamiennym spokoju, wynikającym z doświadczenia, zdolności zachowywania chłodnego umysłu w sytuacjach kryzysowych i autotreningu w sztuce opanowywania paniki. Cieszył się uznaniem i sympatią ponadstuosobowej załogi, ponieważ jego reputacja i przebieg służby wymuszały szacunek, a jego postawa – mieszanka niewzruszonej pewności siebie, profesjonalizmu i dużego doświadczenia, przyprawiona poczuciem humoru – wzbudzała pełne

zaufanie. Dowódca wiedział tyle samo – czasami więcej – co każdy spośród jego wysoko

wykwalifikowanych podwładnych. Mimo to zawsze starał się im okazać, że ceni ich pracę i opinie.

Poprawiał ich delikatnie tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne; najczęściej zadając proste i

niewinnie brzmiące pytanie, które kazało delikwentowi pomyśleć jeszcze raz i samemu dojść własnego błędu. Był ideałem dowódcy.

Judd był specjalistą w zakresie hydrodynamiki, elektroniki, układów napędowych i fizyki jądrowej.

Nominacja na dowódcę Seawolfa nadeszła z samego szczytu: od admirała Joe Mulligana, szefa operacji morskich, który sam kiedyś dowodził atomowym okrętem podwodnym.

Powody, dla których Linus Ciarke otrzymał swój przydział służbowy jako zastępca kapitana

Crockera, nie były równie jasne. Miał tylko trzydzieści cztery lata i wiadomo

było, że przez kilka miesięcy służył w kwaterze głównej CIA w Langley. Nikt nikogo nie spytał, co

właściwie komandor podporucznik Clarke tam porabiał; w każdym razie czynni oficerowie marynarki ze stażem wywiadowczym rzadko zostawali drugimi po Bogu na atomowych okrętach podwodnych.

Po Linusie Clarke'u widać było, że jest z siebie dumny. Rodem z Oklahomy, był wysoki, szczupły i

miał proste rudawe włosy, które nosił odrobinę dłuższe, niż to było w zwyczaju wśród zdyscyplinowanych oficerów US Navy. Wspinał się po szczeblach kariery wytrwale; ukończył

Annapolis z bardzo dobrą lokatą, choć wtedy nikt się nim nie zainteresował. Udało mu się zniknąć

na parę lat, aż w końcu wynurzył się z bram CIA jako postać dość tajemnicza.

W mesie Seawolfa było czternastu oficerów; każdy z nich wiedział coś o komandorze podporuczniku Clarke'u, ale nikt nie wiedział wszystkiego – z wyjątkiem kapitana Crockera, ale ten

unikał tego tematu, podobnie zresztą jak pozostali. Wśród szeregowej załogi krążyły jakieś plotki,

których źródłem był głównie marynarz z okrętowej pralni: zarzekał się, że nazwisko na „obrożę”*

zastępcy dowódcy okrętu nie brzmiało „Linus Clarke”. Nie mógł sobie tylko przypomnieć, jak w

takim razie brzmiało, więc nie bardzo mu wierzono. Ale plotki krążyły.

Sam Linus był naturalnie raczej skryty, a uzupełniał to domieszką ironii w rozmowach i bladym

uśmieszkiem wszystkowiedzącego nie schodzącym z jego okrągłej piegowatej twarzy. Przybierał

pozę kogoś odrobinę zbyt śmiałego i żądnego przygód, by przebywać długo w towarzystwie twardych realistów, którzy stanowią frontową linię marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych.

Bez wątpienia miał się za Hornblo-wera, a nie Rickovera. Jego typowym „otwarciem” po wejś-**

*** Ang. dog-tags, w armii i marynarce USA noszone na szyi podwójne blaszki rozpoznawcze z nazwiskiem stopniem i numerem służbowym.**

**** Hornblower – bohater cyklu powieści C. S. Forestera, oficer Royal Navy z czasów napoleońskich; Rickover – admirał amerykański, twórca atomowej floty podwodnej.**

ciu do mesy było: „No i co tam, panowie? Spieprzono coś naprawdę poważnie i potrzebujecie mojej

pomocy?" Uśmiechał się przy tym zawsze, ale większość ludzi sądziła, że nie żartuje.

W tydzień po jego przybyciu na okręt, kiedy Seawolf jeszcze cumował w San Diego, na lądzie odbyło się małe przyjęcie. Po trzech solidnych burbonach z lodem komandor podporucznik Ciarke

przysunął się do swego nowego dowódcy i rzekł:

–Sir, czy wie pan właściwie, dlaczego przydzielono mnie na pański okręt?

–Nie mam pojęcia – odparł Judd.

–A więc, sir, udajemy się na ściśle tajne zadanie, a jak panu wiadomo, brałem już w podobnych misjach udział. W zasadzie mam dopilnować, by pan go nie spieprzył. Wie pan... z braku doświadczenia...

Kapitan Crocker zmierzył go beznamiętnym spojrzeniem, skrywając kompletne zaskoczenie tym, że jakiś nakręcony „Dwa i pół"* mógł się ośmielić przemówić doń w ten sposób. Nie dał się jednak sprowokować, uśmiechnął się ironicznie i zamiast powiedzieć, co naprawdę myśli, wycedził:

–Doprawdy? No cóż, mogę tylko odczuwać głęboką ulgę, mając tak wyjątkową osobistość na pokładzie.

W tej chwili Linus Ciarke zakonotował sobie, by na przyszłość postępować ekstraostrożnie wobec

swego dowódcy. Ale z niego twardziel, pomyślał, moje przemówionko miało go wyprowadzić z równowagi, a ten ani mrugnął.

Linus nie wziął pod uwagę, że Judd Crocker od kołyski obracał się wśród admirałów, ludzi o wybitnej inteligencji. Żeglował wzdłuż Wschodniego Wybrzeża z poważnymi finansistami z

Jachtklubu Nowojorskiego, bywał załogantem w dorocznym rejsie do Nowej Anglii i trafiała mu się

funkcja nawigatora w wyprawach do archipelagu Maine. Od chłopięcych lat aż po podchorążackie

przesiadywał w najekskluzywniej-szych kabinach największych oceanicznych jachtów Ameryki,

przysłuchując się konwersacjom wielkiej wagi. Trzeba by cze-

* Od „dwóch i pół” paska (dwóch szerokich i cienkiego) -dystynkcji komandora podporucznika w

marynarce wojennej USA.

31

gość znacznie więcej niż impertynencka uwaga podchmielonego komandora, aby go wyprowadzić z

równowagi.

Judd Crocker za to domyślił się, że i młody Clarke obracał się wśród wielkich i możnych. Jasne

jednak było, że nie będą stanowić – czego marynarka zawsze oczekuje – zgranego, partnerskiego

zespołu dowodzącego okrętem, który kosztował mniej więcej tyle, ile wynosi dług państwowy.

W życiu prywatnym Judd Crocker był żonaty z Nicole, z domu Vanderwolck, młodszą odeń o dziesięć lat córką szacownego Harrisona Vanderwolka, pierwszolicowego finansisty z Florydy mającego poważne udziały w kompaniach trzech stanów. Tak jak Crockerowie, Vanderwolkowie

mieli letni dom na modnej Sea View Avenue w Osterville, o kilka posesji od dawnej rezydencji

najmłodszego generała w historii amerykańskiej armii, Jima „Skoczka” Gavina z 82. Dywizji

Powietrzno-Desantowej, żywej legendy lądowania w Normandii.

Obie rodziny oraz Gavinowie byli odwiecznymi przyjaciółmi; kiedy Judd ożenił się z Nicole, było

to świętem masowo celebrowanym w biało-żółtym namiocie wielkości Pentagonu, ustawionym na

słonecznym brzegu cieśniny Nantucket. Niestety, nie mogli mieć dzieci; dlatego też w 1997 roku,

wkrótce potem, jak Judd otrzymał przydział na Seawolfa, adoptowali dwie małe wietnamskie dziewczynki w wieku trzech i czterech lat. Nadali im imiona Jane i Kate. Na przełomie wieków cała

czwórka osiadła w nowym domu nad morzem, na cyplu Point Loma pod San Diego. Rodzice obojga połączyli swe zasoby, by kupić tę posiadłość za dwa miliony dolarów jako lokatę kapitału,

kiedy Judd został przeniesiony na Zachodnie Wybrzeże, do SUBPAC (Floty Podwodnej Pacyfiku).

Umowa była prosta: kiedy nadejdzie czas, by dom sprzedać, admirał Crocker i Harrison Vanderwoik otrzymają po milion sto tysięcy, a Judd z Nicole zatrzymają resztę. Przy obecnej sytuacji na kalifornijskim rynku nieruchomości był to dla nich czysty zysk.

Życie osobiste Linusa Clarke'a było mniej znane. Był kawalerem, ale mówiono, że ma dziewczynę

„na poważnie” w rodzinnej Oklahomie, dokąd Linus wyjeżdżał przy każdej sposobności.

Wylatywał liniowym samolotem do Amarillo w Tek-

sasie, a tam przesiadał się do małego jednosilnikowego beechcrafta swego ojca i leciał na północ do

celu. Znalazłszy się na ranczu, zaszytym na głębokiej prowincji Oklahomy, gdzie jego ojciec hodował bydło, Linus z reguły zniknął. Przy jego koneksjach rodzinnych graniczyło z cudem, że ani

słowo na jego temat nigdy nie ukazało się nawet w lokalnej prasie. Jeszcze dziwniejsze było, że

udawało mu się unikać dziennikarzy także podczas służby w Waszyngtonie i w bazie Norfolk w

Wirginii. Judd Crocker uważał to za poważne osiągnięcie młodego komandora. Ale z drugiej strony

brytyjska rodzina królewska praktykowała to od dziesięcioleci, skutecznie „ukrywając” księcia

Karola i Andrzeja podczas ich służby w Royal Navy, tak jak przedtem króla Jerzego V i księcia

Filipa. Książę Andrzej, kiedy był pilotem helikoptera na HMS Invincible podczas wojny falklandzkiej, nawet nie został sfotografowany. Tak samo było z Linusem Clarkiem, który zdecydowanie pragnął utrzymać ten stan. Otaczała go aura tajemniczości. Na niższych pokładach

ludzie z załogi wiedzieli, kim jest i że ma powiązania z CIA; tematu jednak nie poruszano publicznie. Oficerowie obserwowali go uważnie go uważnie. Choć nikt o tym nie mówił, nie chciano, by popełnił jakiś błąd.

–Musimy chyba zawsze pamiętać, kim on jest – rzucił oficer uzbrojenia komandor podporucznik Cy Rothstein.

–Przeciwnie – odrzekł kapitan. – O tym akurat powinniśmy zapomnieć. I oby on także zapomniał. Clarke pełni tu poważną funkcję, kimkolwiek, u diabła, jest.

Teraz, na Pacyfiku, wszystkie czynności wykonywano jeszcze raz tak samo jak podczas próby na uwięzi. Tym razem jednak znajdowali się na oceanie, co wprowadza do równania całkiem nowy i ważki parametr. Co więcej, wszystkie testy miały być wykonane zarówno na powierzchni, jak i w zanurzeniu.

–Oficer wachtowy, tu kapitan. Dziób w dół dziesięć stopni. Prędkość piętnaście węzłów. Ster w prawo, kurs trzysta sześćdziesiąt.

Komendy Judda Crockera jak zwykle były jasne i zwięzłe. Wszyscy na okręcie poczuli lekką zmianę rytmu turbin, kiedy Seawolf zwolnił biegu i z wolna wykonał zwrot na północ,

kierując się głębiej w lodowate wody. Kapitan zwrócił się do ZDO:

–Zamierzam wykonać znów te testy wyrzutni. Może pójdzie pan na dziób i przyjrzy się im.

Dalej uważam, że te wyłączniki są strasznie blisko siebie.

Kwadrans później Linus Ciarke dotarł do przedziału dziobowego, gdzie mieści się główna broń Seawolfa – wyrzutnie torped. Przez ten czas pod nadzorem starszego bosmana Jeffa Cardoza już je załadowano, wsuwając torpedy przez okrągłe drzwiczki. Po zewnętrznej stronie znajdowały się takie same drzwiczki, teraz oczywiście szczelnie zamknięte nie tylko przez hydrauliczne siłowniki, ale i przez olbrzymie na tej głębokości ciśnienie wody.

Teraz miała nastąpić prawdziwie trudna część zadania: powietrze zostanie usunięte z wyrzutni, zawór zalewowy otworzony, woda morska wpłynie do wnętrza i ciśnienie w nim wyrówna się z panującym na zewnątrz. Starszy bosman Cardozo nie spuszczał oka z podległych mu torpedystów. Dziewiętnastoletni marynarz Kirk Sarloos z Long Beach był na swym posterunku przed panelem wyłączników sterujących systemem torpedowym. Po zalaniu wyrzutni, wyrównaniu ciśnień i otwarciu drzwi zewnętrznych brutalna siła sprężonego powietrza wypchnie torpedę do celu, a na powierzchni morza nie pojawi się nawet zdradzająca ten fakt strużka bąbelków. Gdy torpedy są wyposażone w głowice bojowe, taka procedura oznacza czyjąś śmierć; ale tego dnia tak nie było.

–Wyrzutnie numer jeden i dwa gotowe do zalania.

–Zalać numer jeden!

Kirk wcisnął dwa przełączniki pod jedyneką, słuchając, jak syczy powietrze wypychane przez wdzierającą się zaworem zalewowym wodę. Usłyszawszy, że syk przechodzi w bulgot, kiedy woda wypełniła całą przestrzeń rury wyrzutni, zamknął oba zawory. Wcisnął przełącznik wyrównujący ciśnienia na wypadek, gdyby okręt zmienił zanurzenie.

–Numer jeden wyrównany! – krzyknął. – Zawór zalewowy i odpowietrzający zamknięty!

–Otworzyć drzwi dziobowe numer jeden! Kirk wcisnął kolejny przełącznik.

–Drzwi dziobowe numer jeden otwarte! Pierwsza wyrzutnia była teraz gotowa do strzału.

–Zalać numer dwa!

Kirk przebiegł wzrokiem po panelu i odszukał dwa odpowiednie przełączniki. Przez pomyłkę jednak wcisnął te pod numerem jeden. Do środka przez otwarty zawór odpowietrzający

zalanej już pierwszej wyrzutni runął strumień wody twardy jak stalowy oskard, trafiając go w pierś. Kolosalna siła odrzuciła go o trzy metry i cisnęła o znajdujące się z tyłu urządzenia. Na tej głębokości ciśnienie hydrostatyczne wynosi około trzydziestu atmosfer. Śmiertelnie groźny słup wody o średnicy cala padał wprost na obudowę podajnika torped, rozpryskując się w gęstą mgłę oślepiających, drobniutkich kropelek z ogłuszającym rykiem, całkowicie wypełniając pomieszczenie i przesłaniając wszystko. Kirk leżał bez ruchu twarzą w dół; trzech pozostali mężczyźni nie mogli nic dojrzeć, nic usłyszeć ani być słyszani.

Starszy bosman Cardozo wiedział, gdzie leży Kirk. Przesłaniając oczy przed kłującymi kroplami i kuląc się, przedzierał się przez wodę. Miał do przebycia pięć metrów, ale wydawało się, że to pięć

kilometrów, kiedy tak parł naprzód w oszukującej – zmysły mgłę i huk. Schwycił młodego marynarza i jakoś udało mu się go odciągnąć poza zasięg bezpośredniego uderzenia strumienia. Kirk był zamroczony, ale nie utonął.

Komandor podporucznik Ciarke, któremu obca była siła oceanu na tej głębokości, złapał słuchawkę najbliższego telefonu i wrzasnął:

–Mamy tu na dziobie wielki przeciek! Przedmuchać wszystkie główne balasty!... Wynurzymy się, kapitanie, na rany boskie!... Kapitanie!

Opuścił przedział torpedowy i pognął do centrali manewrowej.

Kapitan Crocker, zaskoczony nietypową postawą swego zastępcy, ale świadom problemu, odwołał

polecenia Clarke'a.

–Przejmuję dowodzenie! Sternik głębokości, nie wykonywać tego rozkazu. Dziesięć stopni w górę. Głębokość sześćdziesiąt metrów.

Ciarke, który akurat dotarł do centrali, nie wierzył włas-

nym uszom. Podniecony, z hukiem wody wciąż rozbrzmiewającym mu w głowie, zwrócił się do

szefa okrętu – najstarszego rangą podoficera – starszego bosmana sztabowego Brada Stocktona z

Georgii:

–Czy on oszalał? Ten okręt tonie! Mamy niesamowity przeciek w przedziale torpedowym! Jezu Chryste! Musimy się wydostać na powierzchnię!

–Spokojnie, sir – odparł podoficer weteran. – Stary wie, co robi. Linus Ciarke popatrzył nań z niedowierzaniem.

–Ta woda nas zatopi. On jej nie widział, a ja tak. Odwrócił się, jakby chcąc dalej spierać się z dowódcą, ale Stockton złapał go za ramię stalowym chwyteip. i syknął:

–Spokój, sir!

Judd Crocker odwrócił się do ZDO i cicho spytał:

–Czy zamknął pan za sobą drzwi w grodzi? Ciarke zawahał się, po czym przyznał:

–Ehm... nie, sir.

–To dobrze – zaskoczył go dowódca. – Proszę iść sprawdzić, czy nadal są otwarte. Linus zaczął się zastanawiać, czy dziś cokolwiek uda mu się zrobić prawidłowo, i ruszył z powrotem ku dziobowi. Judd Crocker zwrócił się teraz do stojącego za nim oficera uzbrojenia Cy Rothsteina, okrętowej opoki intelektu i ogłady, znanego pod przydomkiem „Einstein”.

–To może być nieznaczna awaria, Cy – powiedział. – Chcę trochę ochłodzić atmosferę. Wiem, że przeciek w głębokim zanurzeniu jest niepokojący, ale nie czuję w uszach wzrostu ciśnienia. Popatrz na barometr, bez zmian. Trym* nie zmienia się znacząco. Nawet jeśli bierzemy wodę, tempo przyboru jest niewielkie, a przeciek zapewne drobny. W tej chwili muszę uznać, że nie grozi nam zatopienie i z pewnością nie zatopi nas w ciągu najbliższych dwudziestu minut. Idź i uporaj się z problemem, Cy. Poza kupą hałasu i zalaniem, z którym chyba sobie radzimy, nie dzieje się nic tra-

* Inaczej przegłębienie, różnica zanurzeń dziobu i rufy świadcząca o przechyle wzdłużnym okrętu.

gicznego... na razie. Nie postępujemy zatem tak, jakby się działo, bo tylko pogorszymy sprawę.

–Tak jest, sir.

Obaj wiedzieli, że tylko jak najdokładniejsze przemyślenie problemu przez kapitana i rozpatrzenie

wszelkich ewentualności może zapewnić ocalenie okrętu i załogi. Strach jest wrogiem, kiedy dzieje

się coś złego. Po nim przychodzi panika, a ta powoduje niewłaściwe reakcje i działanie. Z tego wynika zamieszanie, a tragedia czai się tuż za nim. Judd Crocker znał zasady, a zwłaszcza te niepisane.

W tej chwili do centrali manewrowej weszli starszy bosman Stockton i komandor Clarke.

–Cześć, Brad. Jak wyglądamy?

–To tylko zawór odpowietrzający, sir. Nie mamy dziury w kadłubie ani nic takiego. To tylko kwestia zamknięcia tego cholernego wihajstra i wypompowania wody.

–Ktoś wcisnął niewłaściwy przełącznik?

–Pewnie tak.

–Schultz ma sytuację pod kontrolą?

–Nie powiedziałbym, sir. Ale pracuje nad tym.

Woda wciąż wdzierała się do wnętrza okrętu przez otwarty zawór i zbierała się w zęzach. Mechanicy pracowali, by zamknąć zawór, ale cały system elektryczny w przedziale torpedowym diabli wzięli, musieli więc robić to ręcznie. Było to cholernie trudne, jako że tuż obok walił do środka potężny strumień wody, zdolny rzucić człowiekiem przez całe pomieszczenie. Obojętnie, czy mały, czy duży, przeciek na zanurzonej okręcie podwodnym budzi grozę w obsługujących go ludziach. Przynajmniej niektórzy z pewnością pomyśleli o Thresher ze, numer taktyczny SSN 593, najnowocześniejszym podówcza okręcie podwodnym US Navy, który dziesiątego kwietnia 1963 roku zatonął z całą załogą dwieście mil od Cape Cod. Tę historię zna każdy podwodniak, a teraz w kilku umysłach pojawiła się świadomość niepokojących podobieństw. Thresher poszedł na dno w dziesięć minut (!) po pojawieniu się poważnego, nie do zatrzymania przecieku w przedziale maszynowym. Ludzie z Seawolfa pracowali już siedem minut... Dawało im to do myślenia – o jednej z największych katas-37

trof w całej historii marynarki wojennej USA, o utracie przed czterdziestoma pięcioma laty najlepszego amerykańskiego okrętu podwodnego na skutek przecieku podczas prób morskich w fazie głębokiego zanurzenia. „Jezu, czy to nie upiorny zbieg okoliczności?” – taka refleksja

przebiegła przez niejedną głowę.

Końcowy raport marynarki USA na temat utraty Thres-hera był obowiązkową lekturą oficerów, marynarze zaś czytywali go równie chętnie. Według niego głównym powodem był

najprawdopodobniej wadliwie odlany wielki zawór kadłubowy, przez co tony wody wdzierały się z każdą sekundą przez otwór o średnicy trzydziestu centymetrów do wnętrza okrętu. Nie było sposobu, by ten zawór zamknąć, praktycznie bowiem już nie istniał. Tamtego feralnego poranka w 1963 roku ten ostatni krzyk techniki uderzył o dno i przełamał się w kilka minut po pierwszym meldunku o kłopotach, który wysłał do towarzyszącego mu na powierzchni USS Skylark. Na pokładzie zginęło wtedy szesnastu oficerów, dziewięćdziesięciu sześciu marynarzy i siedemnastu cywilnych inżynierów.

Kapitanowi również nasunął się obraz tonącego Threshe-ra, ale prawie natychmiast wyrzucił go z myśli. Nie udało się to natomiast komandorowi Clarke'owi.

–Na Boga, sir! – wybuchnął. – Błagam pana, niech pan wynurzy okręt! Dowódca odpowiedział mu zimnym spojrzeniem.

–ZDO, proszę przejąć wachtę – wycedził. – Zwolnić do dziesięciu węzłów. Wyczyścić ekrany akustyczne i podejść na peryskopową. Idę na dziób na inspekcję uszkodzeń. Pan dowodzi.

–Tak jest, sir. Przejmuję wachtę. – Usta zastępcy dowódcy były wyschnięte, a w jego głosie brzmiała dziwna nuta, kiedy wydawał polecenia załozie. – Sternik, tu ZDO. Prędkość dziesięć węzłów. Ster w prawo, położyć się na kurs sto dwadzieścia. Sonar, tu ZDO. Wyczyścić ekrany przed wynurzeniem na peryskopową.

Judd nawet nie włożył butów gumowych. Ruszył ku dziobowi, zastanawiając się, jak każdy dowódca w podobnej sytuacji, dlaczego Thresher uległ implozji i zatonął tak szybko:

pierwsze znamiona problemu o dziewiątej osiemnaście, uderzenie o dno dwa i pół tysiąca metrów

poniżej o dziewiątej dwadzieścia trzy

Dowódca Seawolfa miał na ten temat własną teorię. Po pierwsze, uważał starą metodę łączenia

systemów alarmowych za idiotyzm, ponieważ jeden alarm pociągał za sobą następny, aż do

awaryjnego zatrzymania reaktora, co oczywiście powodowało ustanie zasilania energią. Przede

wszystkim jednak sądził, że kluczem do zagadki Threshera był jego powolny ruch – okręt poruszał

się wtedy z prędkością zaledwie czterech węzłów. Kiedy pękł korpus zaworu i reaktor przestał

działać, energii starczyło tylko na parę minut, a przy tak niskiej prędkości została zużyta na próbę

zwiększenia obrotów turbin i nabrania rozpędu w górę. Awaria zasilania nastąpiła, według Judda, na głębokości zaledwie pięćdziesięciu metrów. Thresher nie miał odpowiedniej bezwładności, która wyniosłaby go na powierzchnię, więc zaczął się zsuwać głębiej, coraz szybciej i szybciej, by w końcu grzmotnąć w dno przy jakichś osiemdziesięciu węzłach.

Kiedy kapitan dotarł na miejsce awarii, zaskoczył go ogłuszający ryk wpadającej do wnętrza wody i jej ilość. Komandor podporucznik Schultz zdawał się panować nad sytuacją; dwóch silnych mechaników zmagало się z wielkim kluczem, usiłując zamknąć zawór. Przemoczeni do suchej nitki, pracowali w' mrocznej mgłę spowijającej labirynt utrudniającej dostęp do rur i pokręteł. Judd Crocker jeszcze nie zdążył się dobrze przyjrzeć scenie (choć zdążył przemoknąć) i nie mógł mówić z powodu hałasu, ale poczuł na ramieniu klepnięcie Mike'a Schultza i ujrzał jego podniesiony kciuk. Kiedy zawór w końcu zamknięto i ucichło wycie wody, Judd począł z powrotem do centrali manewrowej i ogłosił, że testy wyrzutni torped opóźnią się o tyle tylko, ile będzie trzeba na wypompowanie wody, naprawę urządzeń elektronicznych i posprzątanie całego bałaganu. Nie chciał żadnych zaległości; ta część prób morskich powinna się zakończyć nazajutrz w południe. Raz jeszcze nakazał zmianę prędkości na dwadzieścia węzłów; bezszelestnie, statecznie i bez dalszych przejawów hysterii. Tak, jak dowódca lubił. 39

–Proszę kontynuować, ZDO – polecił. – Zejdzie pan na dwieście czterdzieści metrów przy

dwudziestu węzłach. Idę tylko zmienić buty, wracam za moment. Niech ktoś przyniesie mi kawę,

dobra? Wypiję ją, kiedy pan pójdzie zmienić majtki.

Linus Ciarkę był na tyle rozsądny, by się roześmiać.

Czwartek, 15 czerwca 2006 r., wieczór. Bar „Ananas”, Pearl City, Hawaje

–No i co, chłopaki, mamy z powrotem naszego gwiazdora ZDO?

Starszy bosman Stockton miał na myśli to jedno wydarzenie z minionego dnia, o którym wiedzieli dosłownie wszyscy. Komandor podporucznik Linus Ciarkę, świeżo po kolejnej sześciomiesięcznej turze w siedzibie CIA, przyleciał z San Diego, by podjąć służbę na Seawolfie. Dowódca nie wygłosił publicznie żadnego komentarza na temat zalet tego przydziału. W opinii starszego bosmana Stocktona Judd Crocker od dawna wiedział, że Linus będzie jego numerem dwa podczas tego właśnie zadania bojowego.

Próby morskie Seawolfa zostały ostatecznie zakończone; mieli wyjść w morze za parę dni, ale ich cel pozostawał tajemnicą. Brad twierdził, że udadzą się daleko na południowy zachód, na Ocean Indyjski i Morze Arabskie, gdzie panowało zwykle zamieszanie wzdłuż tras zbiornikowców; Iran wciąż rzucał zawołowane groźby dotyczące swych historycznych praw do Zatoki Perskiej. Zdania pozostałych uczestników tego wesołego zgromadzenia w ciepły, tropikalny wieczór nad Pearl Harbor były podzielone. Radiooperator bosman Chase Utley uważał, że mogą skierować się na północny zachód, ku Kamczatce, gdzie podobno Ruscy planują próby rakiet pod bazą w Pietropa-włowsku.

–Jezu, mam nadzieję, że nie, do diabła! – skomentował motorzysta Tony Fontana. – To pieprzony koniec świata, brzegi Syberii, do cholery. Bylibyśmy o dziesięć tysięcy mil od najbliższego baru!

40 * m

–A jaki w tym problem? – spytał Chase. – I tak nigdy nie schodzimy na ląd podczas takich patrolów.

–Nie w tym rzecz – odparł Fontana. – Chodzi o to, by przynajmniej mieć to poczucie, że się jest niedaleko cywilizacji.

–Czytaj: budweisera. – Stockton uśmiechnął się. Fontana potrząsnął głową.

–Mówię poważnie. Wy tego nie rozumiecie. Kiedy działasz na tym ostatnim zadupiu przy Syberii, masz straszne poczucie osamotnienia. Wiesz, że nie ma tam nic ani na morzu, ani na

łądźcie poza skałami, drzewami i ptasim gównem. Jak coś się stanie, jesteś martwym skurczybykiem,

tysiące mil od czegokolwiek.

–Byłeś kiedyś przy Kamczatce?

–No, nie. Ale znałem jednego gościa, którego kuzyn tam był.

O mało nie pospadali ze stołków ze śmiechu. Fontana był wesołkiem, który powinien robić karierę na estradzie, a nawet w telewizji. W marwoju nigdy nie awansował tak, jak powinien, a to z tego powodu, że ze szczególną determinacją, zawsze ostatni opuszczał wszelkie przyjęcia. Dwa razy „ucieł” mu okręt, co szarżę uznają za bardzo poważne przewinienie. Jednak ten wysoki, twardy mechanik z Oklahomy był świetny w swoim fachu i rozmaici dowódcy znajdowali sposób, by uzyskać dlań rozgrzeszenie. I bardzo dobrze, jak sądził Brad Stockton. Wtedy, w październiku, właśnie Tony Fontana zamknął tamten zawór w przedziale torpedowym.

W tej chwili nadszedł świeżo awansowany bosmanmat Andy Cannizaro z Mandeville w Luizjanie, z kilkoma butelkami piwa, które ustawił na stoliku, i niezwłocznie dorzucił własną teorię na temat kursu, na jaki położą się za dwa dni.

–Kurde, przecież to jasne dla każdego poza bandą tumanów! – zakrzyknął. – Seawolf idzie do Chin.

–Do Chin? Niech to cholera! – rzucił Tony – Te szalone sukinsyny pewnie będą próbowały nas zatopić. Niech to cholera!

–Byłeś tam kiedyś? – spytał Cannizaro. 41

–Jasne. Mój wujek miał pralnię w Szanghaju, ale zbankrutował. Nazywał się Kasz Maj Czek*.

Zasób okropnych dowcipów marynarza Fontany był tak wielki, że nikt na dobrą sprawę nie pamiętał, czy już to słyszał, czy nie. Wszystkie jednak zawsze wywoływały salwę śmiechu, głównie dlatego, że były śmieszne, ale i dlatego, że każdy Tony'ego lubił.

–Chryste, to nie do wiary. Zupełnie, jakby próbować konwersacji w domu wariatów – zachnął się Andy. – W każdym razie przypadkiem się dowiedziałem, że kiedy opuścimy port, nasz kurs będzie dwieście siedemdziesiąt, prosto na zachód, a gdyby któryś z was miał z tym problem, to dodam, że to bezpośrednia droga na Tajwan. A chyba wszyscy wiemy, co to oznacza.

–Nie jestem pewien, Andy, czy się nie mylisz – wtrącił inny bosmanmat z grupy, Jason Colson. – Nie odkrywam tu żadnych sekretów, ale mogę powiedzieć, że ostatnio ani razu nie słyszałem, by ktokolwiek wymieniał słowo „Tajwan”.

Jason, tak jak i Andy, miał dwadzieścia cztery lata. Jednakże podczas gdy ten ostatni zaangażowany był aktywnie w sprawy samego ruchu okrętu, obserwując stery i pracę układów hydraulicznych, Jason piastował stanowisko kapitańskiego pisarza, co czyniło go właściwie urzędnikiem. Miał dostęp do wielu informacji i podlegał surowym przepisom o tajemnicy służbowej, jako że do jego obowiązków należało sporządzanie oficjalnych zapisów planów i działań dowódcy Seawolfa. Jeżeli ktokolwiek przy owym stoliku w „Ananasie” miał choćby mgliste pojęcie o celu ich następnego patrolu, to z całą pewnością był to bosmanmat Jason Colson.

–No, słyszałem, że mamy iść na zachód – rzekł Andy. – A jeśli utrzymamy ten kurs do końca, to wylądujemy na plaży po wschodniej stronie Tajwanu.

–Kurczę, to prawie cztery tysiące mil stąd!

–Pewnie, ale możemy spokojnie robić po siedemset mil dziennie przy dwóch trzecich obciążenia turbiny – zauważył

*** Od cash my check: „zrealizuj mój czek”, żartobliwa przeróbka nazwiska Czang Kaj-szeka, przeciwnika Mao w wojnie domowej i twórcy Republiki Chińskiej (Tajwanu).**

–m«,

Fontana. – W razie czego, da się zrobić i tysiąc... Jezu, możemy być na tej plaży za tydzień od dzisiaj, otoczeni przez tajwańskie cipki, skośnookie pięknotki bijące się o mnie... Dawaj to piwo, Andy. Próbuję się powstrzymać... Wszyscy znów się roześmieli, ale potem Chase Utley odezwał się poważnym tonem:

–Czy naprawdę uważacie, że możemy iść do Chin? Bo jeśli tak, to na myśl o tym ciarki mnie przechodzą. Tamte rejonny mnie przerażają. To znaczy, o czym to ostatnio pieprzyli w gazetach? Brad Stockton, szef okrętu, absolutny autorytet we wszelkich kwestiach ogólnej dyscypliny, wkroczył do rozmowy, gdy tylko zeszła na poważniejsze tematy.

–Chodziło tylko o to, że chińska flota podeszła za blisko brzegów Tajwanu i strzelała rakietami akurat ponad wyspą. Za blisko.

–Tak, ale przecież nadpłynął Ronald Reagan i ich przegonił.

–Owszem, nadpłynął, ale bynajmniej ich nie przegonił. Odpłynęli z własnej woli. Zazwyczaj tak robią, kładą się na północny zachód i wracają przez cieśninę pod swoje brzegi.

–To nie lotniskowiec ich odstraszył?

–Nie, niezupełnie. Ale widok tego okrętu każdemu dałby do myślenia. Zdaje się, że Chińczycy się wycofali, zanim doszliśmy do nich na dwie mile.

–Myślałem, że od lat dziewięćdziesiątych jesteśmy z Chinami dobrymi kumplami?

–Pewnie byliśmy. Z nimi jednak trudno się kolegować. Mają po prostu zupełnie odmienny sposób myślenia. Tak jak Japończycy, tylko by brali, brali, brali... dopóki się ich nie zatrzyma.

–Myślisz, że kiedykolwiek moglibyśmy mieć z nimi wojnę? Prawdziwą wojnę ze strzelaniem?

–Wątpię. Są na to zbyt zajęci sobą i od wojny wolą szmal. Zawsze się cofają, gdy tylko zaczynamy nabierać tchu, by na nich warknąć. Ale w dzisiejszych czasach? Kto wie? Już od wielu lat rozbudowują swoją marynarkę... trzysta tysięcy ludzi, nowe okręty, rosyjskie podwodniaki, nowy lotniskowiec i Bóg wie co jeszcze. 43

–Powie ci coś – rzucił Jason. – Któregoś dnia przeglądałem „Wall Street Journal” i na pierwszej stronie był artykuł o Chinach. Ten czy inny minister powiedział coś, co mnie przyprawiło o cholernego stracha. Mowa była o pojawieniu się dużego amerykańskiego lotniskowca i on powiedział: „Czy naprawdę myśli pan, że Stany poświęcą Los Angeles za Tajwan?” No, dla mnie to naprawdę zła wiadomość.

–Byłaby na pewno, gdyby rzeczywiście potrafili miotnąć rakieta balistyczną przez cały Pacyfik.

–A potrafią?

–Kto wie? – zastanowił się Brad Stockton. – Kto, u diabła, to wie?

–Założę się, że nasz ZDO wie – wtrącił Andy. – To bardzo tajemniczy gość. Spędza pół życia w CIA, a mówiono mi, że jest oficjalnie powiązany z wywiadem marynarki.

–I powinien tam zostać, jeśli chcecie znać moje zdanie -dorzucił Jason. – Pamiętajcie ten syf z października?

–Kiedy mieliśmy ten przeciek w torpedowym?

–No. Nieźle się wtedy spietrał.

–Tak, spietrał się – powtórzył Brad Stockton. – Ale wtedy to i ja miałem pietra.

–Każdy miał.

–Ale nie dowódca.

–Założę się, że też miał. Tylko nie dawał po sobie poznać.

–No dobra, skoro wszyscy tak równo trzęśli portkami, to jak to się stało, że dowódca wziął wszystkich w garść, przejął komendę i nie spanikował?

–Bo od tego jest dowódcą, do cholery – wyjaśnił krótko Brad. – Jeśli dotąd sam nie zauważyłeś, to ci powiem, że spośród tych tysięcy facetów, którzy zaciągają się do marynarki, bardzo niewielu zostaje dowódcami atomowych okrętów podwodnych.

–Bardzo niewielu zostaje też zastępcami dowódców. A nasz się porządnie spietrał.

–Zgadza się. Tylko że to był jego pierwszy poważny wypadek w głębokim zanurzeniu. Widzisz, facet nie miał pojęcia, czego się spodziewać. Myślał, że za pięć minut zginie. Wtedy trudno myśleć o czymś innym i różnie się reaguje. Sądzę, że ZDO się tego nauczy 44

–Jasne, może się nauczy. A ja wiem na pewno, pod czyją wolę być komendą...

Piątek, 16 czerwca, godzina 16.25. Biuro doradcy prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego,

Biały Dom

Wiceadmirał Arnold Morgan siedział za swym wielkim biurkiem poirytowany – co nie było niczym

niezwykłym. Naprzeciwko na ścianie wisiały trzy pięknie oprawione olejne portrety: generałów

George'a Pattona, Douglasa MacArt-hura i admirała Chestera Nimitza – „facetów, którzy mieli cień

pojęcia, co jest do diabła grane", jak mawiał. Mimo że trzech dwudziestowieczni tytani

amerykańskich sił zbrojnych spoglądali nań chyba bez dezaprobaty (pomyślał), admirał nie mógł

się wyzbyć złego humoru.

–Kathy!!! – wrzasnął, ignorując doskonały system łączności wewnętrznej Białego Domu. – Kawa

raz! Dla tego spóźnialskiego sukinsyna z Pentagonu nie przynoś! Gdzie on, u diabła, jest?

Nowoczesny, pastelowozielony telefon na biurku zadzwieczał dyskretnie niczym mały srebrny dzwoneczek, co jeszcze bardziej go zirytowało – „pieprzony pedalski telefon!" -i schwycił słuchawkę niczym dzik trufkę.

–Morgan! i- warknął. – Mów.

–Och, z prawdziwą ulgą znajduję pana w tak dobrym humorze, admirale – odezwał się głos jego bardzo osobistej sekretarki, Kathy O'Brien, najładniejszej dziewczyny w Białym Domu, a możliwe że w całym Waszyngtonie. – Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu, że posługuję się telefonem, zamiast stanąć w holu i drzeć się przez grube na dwanaście centymetrów dębowe drzwi jak łos na rykowisku... jak pan.

Admirał parsknął śmiechem, rozbrojony jak zwykle ciętym językiem ukochanej kobiety. Odzyskując kontenans, zapytał:

–No więc gdzie on, u diabła, jest?

–Czy chodzi o admirała Mulligana, sir?

–A o kogo niby miałyby chodzić? Jana Chrzciciela?

–Nawet nie wiedziałam, że Jan Chrzciciel pracuje w Pentagonie... 45

–Chryste, Kathy! Gdzie on jest, do cholery? Ton dziewczyny zmienił się.

–Arnoldzie Morganie – wycedziła. – Powiedziałam ci pięć razy, że dzwoniłam do biura szefa

operacji morskich i za każdym razem informowano mnie, że admirał Joseph Mulligan opuścił swą siedzibę i jest w drodze tutaj. Mówiłam ci to samo, słowo w słowo, pięciokrotnie. Nie jestem policjantem z drogówki, nie jestem kierowcą ani kochanką admirała Mulligana. Nie mam pojęcia, gdzie jest. Kiedy przybędzie, nie omieszkam cię o tym powiadomić. – Zanim cisnęła słuchawkę na widelki, dodała jeszcze: – Do Widzenia, mój kochany, nieokrzesany świniaku.

–Kathy!!! Dzwonek telefonu.

–Słucham.

–No więc, gdzie on, u diabła jest?

–Właśnie przekroczył mój próg. Czy mam go wpuścić?

–Chryste...

Admirał Joseph Mulligan, blisko dwumetrowy były dowódca okrętu podwodnego klasy Trident, były dowódca SUB-LANT*, były obrońca w reprezentacji futbolowej marynarki w rozgrywkach armijnych w 1966 roku wmaszerował do gabinetu.

–Cześć, Arnie, przepraszam za spóźnienie. Po drodze gadałem z Norfolk przez dwadzieścia minut. Ten cholerny nowy krążownik! Jezu, jest z nim więcej kłopotów, niż kiedykolwiek będzie wart! Masz kawę?

–Mam, ale nie wiem, czy ci dać. Nie jestem dobry w siedzeniu i czekaniu na nieorganizowanych marynarzy.

–Ha, ha, ha.

Wielki Irlandczyk z Bostonu, zajmujący najwyższe stanowisko w marynarce wojennej Stanów Zjednoczonych, znał się z Morganem od lat. Obaj dowodzili okrętami klasy Polaris i niejedno razem przeżyli. Dopóki admirał Morgan jest prawą ręką prezydenta w sprawach wojskowych i bezpieczeństwa kraju, dopóty marynarka nie musi rozglądać się za nowym dowódcą.

*** Kryptonim Floty Podwodnej Atlantyku w marynarce USA.**

Weszła Kathy O'Brien z kawą. Admirał Mulligan podziękował jej uprzejmie, podczas gdy jej szef mruczał pod nosem:

–Najwyższy czas. Lepiej się o mnie troszczono, gdy byłem podporucznikiem...

–Nic się nie poprawia, co? – skomentował Mulligan. – Nic dziwnego, że wszystkie żony go rzucały.

–Nic dziwnego – potwierdziła Kathy z uśmiechem, wychodząc z gabinetu.

–Jezu, ależ ona jest piękna, Arnie! Lepiej się z nią ożeń, dopóki masz szansę.

–Nie da rady. Odmawia, dopóki nie zostanę emerytem.

–No, to obojgu wam przyjdzie długo poczekać.

–Chyba tak. Ale nie daję za wygraną.

–Dobra, stary. Co ci leży na sercu?

–Chiny. A co na twoim?

–Herbatniki. Masz jakieś?

–Jezu, czy oni nie dają ci jeść w tej norze, gdzie pracujesz?

–Tylko z rzadka.

–Kathy!!! Herbatniki dla gościa!

–Gadaj, Arnie, o co chodzi. Tak, jakbym nie wiedział... To ta chińska rakietka, co?

–Tak, Joe. I czy się to komuś podoba, czy nie, będziemy musieli w końcu coś z tym fantem zrobić. Nie możemy pozwolić, żeby zgraja pieprzonych kulisów wymachiwała rakieta balistyczną, która może zmieść z powierzchni ziemi Los Angeles.

–Zgadzam się. Nie możemy. Wiesz jednak, że nie ma właściwie powodu, aby uważać, że Chinole mogą zbudować odpowiednio dużą raketę, wycelować ją prosto i zapewnić, by trafiła w Beverly Hills.

–Joe, tyle to ja wiem. Ale ty też wiesz, że budują raketowy okręt podwodny całkiem nowej klasy Xia. Dopiero co zobaczyliśmy go z satelity. Robią już próby morskie na powierzchni w północnej części Morza Żółtego. W Fort Meade* mają zdjęcia. Mogę się założyć, że nie budują

go bez celu.

*** Siedziba NSA, amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, instytucji**

kontrwywiadowczej zajmującej się m. in. elektronicznym nasłuchem na skalę światową. 47

Budują go, by przerosł rakiety, które mogą w razie potrzeby zagrozić USA.

–Nie ma co do tego dwóch zdań, Arnie. Ale wciąż im daleko do możliwości posłania rakiety przez cały Pacyfik.

–Daleko? A mogę spytać, skąd, u diabła, możesz to wiedzieć?

–Głównie stąd, że oni jeszcze nigdy nie prowadzili żadnych podobnych prób, i stąd, że każdy docierający do nas strzępek informacji wywiadowczych potwierdza to, że po prostu nie mają tak zaawansowanej technologii.

–Jeżeli ten pieprzony okręt jest choć trochę dobry, nie będą musieli jej mieć. Mogą podpłynąć blisko i wystrzelić raketę o tysiąc mil od naszego wybrzeża.

–Taak... pewnie by mogli. Gdyby mieli taką raketę. Arnold Morgan wstał i wyjął z polerowanego drewnianego

pudełka cygaro. Obszedł powoli pokój, lekko skłaniając głowę przed portretem Nimitza, obciął koniuszek cygara i zapalił złotą zapalniczką Dunhill, otrzymaną niegdyś od saudyjskiego księcia, który myślał (błędnie), że będzie mógł studiować w USA, by zostać podwodniakiem.

–Pozwól, Joe, że rzucę ci kilka faktów. Weź sobie cygaro, jeśli chcesz, ale słuchaj. Już w roku dwutysięcznym wiedzieliśmy na pewno, że Chińczycy wykradali nam ściśle tajne informacje na

temat najnowocześniejszej broni termojądrowej i przekazywali naszą technologię raket

balistycznych między innymi Iranowi i Libii. Pięknie, prawda?

–Pięknie.

–Ukradli nam też dokumentację najbardziej zaawansowanych systemów naprowadzania. Mają w Stanach trzy tysiące korporacji, połowa z nich musi być powiązana z chińskim wywiadem, a do naszych polityków nie można mieć krztyny zaufania, że postąpią właściwie. Jezu, Joe, prokurator generalny Clintona odmówił FBI pozwolenia na założenie podsłuchu w telefonie pieprzonego chińskiego szpiega, a potem sam prezydent pokazał się w telewizji, kłamiąc w żywe oczy, że w ogóle nie wiedział o żadnych przeciekach. Żeby mu ratować tyłek, musieli potem zatuszować pół raportu Coxa. Clinton umożliwił cholernym Chinolom położenie łapy na amerykańskiej technologii, której nikt nie powinien nawet

widzieć, a co gorsza, oni nadal są tutaj, kradnąc i łżąc. Joe, za pięć lat Armia i Marynarka Ludowo-Wyzwoleńcza będzie liczyła trzy i pół miliona ludzi. Już ich specjalnie nie obchodzi doktryna wielkiej wojny lądowej. Po raz pierwszy od pięciuset lat zaczynają uprawiać politykę ekspansjonistyczną i oficjalnie uznali marynarkę wojenną za najważniejszy rodzaj wojsk. Obecnie ponad jedna trzecia chińskiego budżetu wojskowego idzie na rzecz marynarki: na badania, rozwój i produkcję. Udało im się w końcu dostać cztery rosyjskiej budowy okręty podwodne klasy Kilo, mimo moich największych starań. Mają ten najnowszy okręt raketowy klasy Xia, otworzyli linię produkcyjną dla klasy Song, dostali dwa nowe niszczyciele Luhai, rozwijają program budowy rakiet woda-ziemia typu cruise, a w ciągu ośmiu lat zmierzają utworzyć dwa duże zespoły lotniskowców, jeden na Pacyfik, drugi na Indyjski. A to całe gówno z Birma? Chińczycy wpakowali do tego kraju sprzęt wojskowy za prawie dwa miliardy dolarów, uowocześnili ich bazy morskie, z których naturalnie będą korzystać. Wszystko to się sumuje w permanentną chińską obecność na Oceanie Indyjskim. Jezu, Joe, ci faceci prą do przodu, mówię ci. Ale ja nie sugeruję, byśmy próbowali ich powstrzymać. Jeszcze nie. Bardzo jednak chciałbym się dowiedzieć, czy te gnojki potrafią przygrzać w Los Angeles rakieta wystrzeloną gdzieś z Morza Południowochińskiego. Czy żądam za dużo, co?

Doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego stanął naprzeciw dowódcy marynarki wojennej i po raz pierwszy zapadła między nimi cisza. Admirał Mulligan wypił spory łyk kawy, Morgan zaciągnął się cygarem, zanim znów przemówił:

–Joe, Chiny muszą utrzymać dwadzieścia dwa procent populacji świata, mając do dyspozycji tylko siedem procent ziemi uprawnej. Przez groteskowe błędy w zarządzaniu rolnictwem tracą rocznie miliony akrów. Za piętnaście lat będzie ich półtora miliarda, a gdzieś za pięć staną przed faktem rocznego deficytu zboża w wysokości dwustu osiemdziesięciu pięciu milionów ton, a to bardzo dużo herbatników.

–Tak, rozumiem ich. Tu też mamy pewne braki w tym zakresie... 49

Morgan uśmiechnął się, ale zignorował aluzję.

–Joe, mamy do czynienia z krajem, który prędzej czy później musi znaleźć ogromne fundusze na zakup ryżu i zboża, by nakarmić swój naród. Albo je ukraść. A co najmniej zastraszyć kogoś, by im sprzedał żywność tanio. Nie zapominaj też, że zużywają prawie sześć milionów baryłek ropy rocznie... to więcej niż my, do cholery! Według mnie stanowią bardzo poważne zagrożenie i musimy kontrolować sytuację.

–Zgadza się z tobą, Arnie. Ale czy w związku z tym proponujesz jakieś nowe działania zaczepne?

–Nie. Tylko ostre przyspieszenie starych. Każdego dnia dostaję meldunki, że Chińczycy wyposażyli swoją rakieta Dong Feng-31 w głowicę jądrową skonstruowaną na podstawie

planów skradzionych z laboratoriów w Los Alamos. Każdy raport potwierdza, że chodzi o kopię naszej ultrakompaktowej głowicy W-88, która może przywalić dziesięć razy silniej niż ta z Hiroszimy, choć mierzy mniej niż metr. Jeśli Chinole naprawdę ukradli technologię jej budowy, mogą ją założyć na raketę w dziesięć minut. A obaj wiemy, że da się ją zastosować na okręcie podwodnym,

zwłaszcza na nowo zbudowanym specjalnie do tego celu. Moi ludzie sądzą, że DF-31 może mieć zasięg ośmiu tysięcy kilometrów... za mało, by przelecieć przez cały Pacyfik, ale wystrzelona z podwodniaka może dotrzeć praktycznie wszędzie.

–Cóż, pewne jak w banku, że nie możemy tego zmierzyć, bo nie mamy pojęcia, gdzie ją trzymają, i nieprędko się dowiemy, ile może mieć paliwa.

–Nie, Joe. Ale możemy zmierzyć okręt podwodny. Tym razem Mulligan wstał. Podeszedł do okna i rzekł powoli:

–Arnie, rozmawialiśmy już o tym pod koniec ubiegłego roku. Powiedziałem wtedy, że jest we flocie tylko jeden okręt, który mógłby zaryzykować wejście na chińskie wody z takim zadaniem. Seawolf. Jest szybki, cichy i po wykryciu może uciec, pod warunkiem że akwen nie będzie zbyt płytki. Może też unicestwić każdą wrogą jednostkę, ale tego raczej nie chcemy. Obiecałem ci jeszcze przed Bożym Narodzeniem, że puścimy to w ruch, kiedy tylko Seawolf zakończy remont i przejdzie próby morskie. Od tamtej pory przybył nam jednak kolejny problem. Jak wiesz, okazało się, że Chińczycy

dostali w łapy nową technologię wykrywania okrętów podwodnych z laboratorium Lawrence Livermore. Ukradł ją ten gnojek Yung Li czy jak mu tam. Ludzie z Livermore twierdzą, że to był ostatni krzyk techniki: niskokątowe satelitarne radary polarymetryczne i interferometryczne, zdolne wykryć nawet najdrobniejsze zmiany na powierzchni oceanu. Działają nawet poprzez chmury i wychwycają najslabsze fale od śruby okrętu. Spece mówią, że ten system może zidentyfikować nawet typ śruby.

–Cholera! Ten Hung Ling siedzi?

–Chyba tak... ale naprawdę mam wielkie opory przed wysłaniem najlepszego okrętu podwodnego US Navy daleko na chińskie wody terytorialne. Wiem, że mogą go wykryć i zatopić z całą załogą. Każdy podwodniak staje się prawie bezsilny, znalazłszy się na płytkich wodach, gdzie kręci się pełno wrażliwych okrętów nawodnych. Możesz mi wierzyć, że kiedy te cholerne Chinole przyłapią naszą najlepszą jednostkę na myszkowaniu w rejonie ich tajnych prób na Morzu Żółtym, z miejsca staną się naszymi wrogami.

–Wiem, jakie to ryzyko, Joe. Gdzie jest teraz Seawolf?

–W Pearl. W czterdziestoósmiogodzinnym pogotowiu do wyjścia na zachód, ku Morzu Żółtemu... I cholernie się wzbraniam przed wysłaniem ich tam.

–Ja też, Joe. Ale muszą tam popłynąć.

Sobota, 1 i czerwca, godzina 12.00. Biuro szefa operacji morskich, Pentagon

Admirał Mulligan rozmawiał przez telefon ze starym przyjacielem Samem Langerem, niedawno emerytowanym głównym inżynierem systemów nuklearnych w General Dynamics, korporacji, która zbudowała Seawolfa i teraz prowadziła jego remont w stoczni Electric Boat Yards w Groton.

–Sam, mam drobną sprawę. Pamiętasz, jak mówiliśmy o małym urządzeniu, które można by zamontować w awaryjnym układzie chłodzenia Seawolfa? Chyba z rok temu?

–Jasne, Joe. Mała modyfikacja zaworu odcinającego na „zimnym odcinku”? 51

–Ano właśnie. Pamiętam, że na ten temat rozmawialiśmy, ale nie wiem, czy to zrobiliście.

–No, to miało być, jak by to ująć... nie do publicznej wiadomości.

–Owszem. Dlatego nie ma o tym mowy w planach i rozliczeniach. Ale czy to zrobiliście?

–Zrobiliśmy.

–Odśwież moją pamięć.

–To nic takiego. W razie awarii zasilania albo nagłego zatrzymania reaktora ten zawór po prostu z wolna się otworzy, co, jak sądzę, unieruchomi awaryjny układ chłodzenia. Ale nie da tego po sobie poznać.

–Czy to się włączy automatycznie? Na przykład właśnie przy gwałtownym zatrzymaniu reaktora?

–Broń Boże! Kapitan i jego inżynier nukleonik muszą to odpowiednio ustawić. Zdaje się, że cały ten pomysł ma być wykorzystany na wypadek dostania się okrętu w ręce nieprzyjaciela?

–Zgadza się, Sam. O to chodziło. Czy powiedziałeś o tym komukolwiek?

–No cóż, chłopcy, którzy to montowali, wiedzą o zmianie, choć nie wiedzą, do czego to ma służyć. Zapoznałem też z tym dokładnie kapitana, parę miesięcy temu, kiedy przyjechał zobaczyć okręt. Judd Crocker, tak? Był u nas ze swym nukleonikiem, wysokim blondynem nazwiskiem chyba Schultz.

–A więc kapitan Crocker jest w pełni świadom charakteru tego urządzenia?

–Bardziej niż świadom, sir. Spędził nad nim ponad godzinę i na odchodnym wiedział o nim więcej niż ja.

–Dobra, Sam. Wielkie dzięki. Wpadnij do mnie na drinka, kiedy następnym razem zawadzę o Nowy Londyn.

Admirał Mulligan połączył się bezpieczną linią z domem Kathy O'Brien w Marylandzie. Odebrał sam Morgan, tak jak to miał w zwyczaju.

–Morgan. Mów.

–Chryste, Arnie! Byłoby świetnie, gdyby to dzwoniła matka Kathy albo ktoś taki. Dzwonisz do swej córki, a tu jakiś goryl powiada: „Morgan. Mów”.

–Ha, ha, ha. Cześć, Joe. Z przyjemnością cię informuję, że matka Kathy, podobnie jak prezydent, pogodzili się z większością moich nawyczków. Co się pali?

–Reaktor Seawolfa, skoro już zacząłeś w ten sposób.

–Co masz na myśli?

–Chcę tylko, żebyś wiedział. Pamiętasz naszą rozmowę sprzed mniej więcej roku, o instalowaniu na dużych okrętach atomowych jakiegoś urządzenia umożliwiającego ich samozniszczenie? Musisz wiedzieć, że na Seawolfie jest coś podobnego.

–Chodzi o rodzaj przerywacza na awaryjnym układzie chłodzenia?

–Właśnie. Kapitan Crocker dobrze się na tym zna. Jak pamiętasz, w razie wpadnięcia w ręce wroga to samo z siebie okrętu nie zabije. Ale pozwoli nam na jego zniszczenie, skoro wiemy, że wystarczy nagle zatrzymanie reaktora.

–Temat nieco ponury, Joe. Ale to ważne i dzięki, żeś mi powiedział. Mam tylko nadzieję, że nie okaże się to konieczne. A propos, przed iloma cholernymi komisjami musiałeś stawać, zanim przeforsowałeś ten pomysł?

–Przed żadną.

–Jak tego dokonałeś?

–W prosty sposób. Nikomu o tym nie powiedziałem.

–Ha, ha, ha. Josephie Mulligan, jesteście wielkim człowiekiem. *

Niedziela, 18 czerwca, godzina 01.00. Pirs okrętów podwodnych, baza US Navy, Pearl Harbor. Noc była obezwładniająco upalna, bezwietrzna, a morze spokojne. Seawolf stał w pełnej gotowości, przycumowany burtą niczym wielki, czarny, uwiązany podmorski potwór, którym przecież był, tylko większym, szybszym, cichszym, bystrzejszym i o wiele groźniejszym od jakiegokolwiek stworzenia wszechoceanu. Od późnego popołudnia mechanik komandor podporucznik Rich Thompson ze swym zespołem zajęci byli wyciąganiem prętów spowalniających – długotrwałym przestawianiem reaktora na odpowiednią tempera-

–53 ture i ciśnienie, niezbędne dla dostarczenia energii, potrzebnej Seawolfowi w planowanej długiej

podróży. Reaktor Richa Thompsona wystarczyłby do zaopatrzenia całego Honolulu.

Rozkaz wyjścia w morze nadszedł z SUBPAC tuż przed obiadem:

**DO D-CY USS SEAWOLF. UDAĆ SIĘ NIEZWŁOCZNIE NA MORZE ŻÓLTE ZGODNIE Z
AUTORYZACJĄ Z 170900CZE06*. WYŁĄCZNIE OBSERWOWAĆ. NIE POZWOLIĆ
POWTARZAM NIE POZWOLIĆ NA WYKRYCIE PRZEZ PRZECIWNIKA.**

**Bosmanmat Jason Colson, pisarz Judda Crockera, przepisał już rozkazy w pełnym brzmieniu
do**

**osobistego dziennika dowódcy i teraz wraz z nim samym, ZDO, oficerem nawigacyjnym
Shawnem**

**Pearsonem, Cy Rothsteinem i Richem Thompsonem byli jedynymi na pokładzie, którzy znali
cel**

**rejsu i jeżący włosy na głowie jego charakter. Zadanie nie zostało zakodowane jako „czarne”,
to**

bowiem oznaczało atak i możliwą bitwę. Było jednak równie tajne i równie niebezpieczne.

**Na dole w pomieszczeniach siłowni, przed przedziałem reaktora komandor porucznik Schultz
z**

**Tonym Fontaną byli zajęci, ale wciąż nie wiedzieli nic o celu. Porucznik Kyle Frank, młody
oficer**

sonarowy z New Hampshire, również nie został o nim poinformowany. Bosmanmat Andy

**Cannizaro dalej był przekonany, że płyną na Tajwan, ale szef okrętu Brad Stockton zbyt
długo**

**służył na podwodniakach, by snuć przypuszczenia. Miał się później widzieć z dowódcą i
wiedział,**

że wtedy się wszystkiego dowie.

**Jak na późną porę (dochodziła pierwsza), pirs był dość zatłoczony. Wyjście atomowego okrętu
podwodnego w morze w każdej większej bazie jest wydarzeniem. Pearl Harbor nie był
wyjątkiem.**

**Wielu inżynierów, niektórzy nawet z żonami, przybyło popatrzeć na manewry. Był tam
dowódca**

eskadry, oficer dyżurny i cumownicy. Nie było powodu do nadmiernych obaw, ale zawsze w

powietrzu wisiało napięcie, kiedy tam, pod pokładem, załoga kończyła wpisy na listę najbliż-

*** Sposób zapisu daty i czasu w dziennikach okrętowych; czytaj: 17 czerwca 2006, godz. 9.00.**

szych rodzin, na której każdy marynarz i oficer podawał, kogo marynarka powinna zawiadomić na

wypadek, gdyby okręt nie powrócił. Na samej górze figurowało nazwisko Nicole Crocker i adres na

Point Loma. Nie było wiele danych o komandorze Clarke'u, a na pewno nic na temat jego krewnych.

O pierwszej piętnaście kapitan Crocker wszedł na mostek, wysoko nad nabrzeżem. Towarzyszyli

mu oficer pokładowy, porucznik Andy Warren, i nawigator, porucznik Pearson. W taki upał wszyscy trzej mieli na sobie letnie koszule mundurowe. W dziesięć minut później padła komenda

„Na manewry” i przez okręt przebiegł dreszcz emocji. Po długich miesiącach przygotowań te dwa

słowa znaczyły jedno: zaraz idziemy w morze.

Linus Ciarękę polecił rzucić cumy, a Andy Warren przekazał do centrali:

–Wolno wstecz!

Głęboko pod pokładem zaczęły się obracać wielkie turbiny. Olbrzymia śruba, pracująca na wstecznym biegu, wywołała niewielką falę, która wtargnęła na rufę, kiedy Seawolf odsunął się od pirsu, cicho cofając się ku szerokiemu kanałowi portowemu. Piętnaście sekund później zatrzymał się i zabrzmiała komenda Judda Crockera: „Wolno naprzód!” Wypierający dziewięć tysięcy ton wody atomowy okręt podwodny ruszył przed siebie na pierwsze metry swego dalekiego rejsu na odległe o cztery tysiące sześćset mil zakazane wody Morza Żółtego.

Widzowie stojący w blasku portowych świateł machali na pożegnanie rękami, a Seawolf, odcinający się czarną sylwetką na tle rozjaśnionego księżycem morza, sunął głównym kanałem do południowego wyjścia z portu.

–Cała naprzód! – zawołał porucznik Warren. Wszyscy na okręcie poczuli wyraźny przyrost prędkości. Za rufą zaczął się pienić biały kilwater.

–Kurs sto siedemdziesiąt pięć – polecił Shawn Pearson. Seawolf nabrał zwyczajnego rytmu „powierzchniowego”:

woda płasko wbiegała na obły dziób, rozdzielając się u podnóża masywnego kiosku na dwa strumienie, tworzące dziwne zawirowania po obu burtach za mostkiem, jak na każdym dużym atomowym podwodniaku. 55

–Powinniśmy trzymać ten południowy kurs jeszcze przez trzy mile po trawersie latarni portowej, sir – powiedział nawigator. – Potem zwrot na zachód i kurs dwieście siedemdziesiąt przez kilka tysięcy mil.

Judd Crocker uśmiechnął się w ciemności i odrzekł cicho:

–Dziękuję, Shawn. Ze dwadzieścia pięć mil na powierzchni?

–Tak, sir. Za trawersem latarni na Barber's Point będziemy już mieli pięćdziesiąt metrów, ale po dalszych dwudziestu milach zaczyna się robić naprawdę głęboko. Przy takiej flau-cie moglibyśmy zresztą równie dobrze zostać na górze.

–Przekona się pan, że za Barber's Point nie będzie tak gładko.

–Pewnie tak, sir. Ale ja nie próbuję się wtrącać. Jestem tu zasadniczo po to, by chronić niewiniątka.

Crocker się zaśmiał. Lubił swego młodego nawigatora, ale pomyślał, że na tym okręcie trudno mu będzie o klientów do ochrony.

Seawolf zanurzył się w końcu w miejscu proponowanym przez Pearsona i po przebyciu dalszych piętnastu mil miał już pod stępką ponad trzy i pół tysiąca metrów wody. Dowódca zwiększył prędkość do trzydziestu węzłów i okręt sunął teraz gładko na głębokości dwustu czterdziestu metrów, kierując się wprost na strome podmorskie góry Marcu-sa-Neckera i dalej, ku wznoszącemu się w stronę zwrotnika Raka Grzbietowi Środkowopacyficznemu. Przy tej prędkości Seawolf pokonuje dziennie siedemset dwadzieścia mil morskich, dzięki czemu może dotrzeć na skraj Morza Żółtego przed upływem tygodnia. Jeden Bóg wiedział, jak długo przyjdzie mu szukać swej ofiary. Załoga, poza kilkoma osobami, nie znała celu ich rejsu. Podczas takich zadań bojowych obowiązywała zasada, by każdy wiedział tylko tyle, ile musi, by dobrze pełnić swe obowiązki. Tony Fontana przekonał się do teorii Brada Stocktona, że okręt wkrótce położy się na kurs południowo-zachodni, by popłynąć na południe od Indii, omijając płytką i ruchliwą cieśninę Malakka, i skieruje się ku Zatoce Perskiej. Ogólnie jednak panowała opinia, że podążają gdzieś na dalekowschodnie wybrzeże Azji, do Chin albo Rosji. Zdecydowanym 56 m faworytem był Tajwan, jako że większość ludzi wiedziała

o stale pojawiających się tam problemach. Nikt przy tym nie skreślał ciągnącego się przez

półtora tysiąca kilometrów brzegu Kamczatki – tam bowiem, na skraju tych zimnych pustkowi

była

wielka baza rosyjskiej marynarki. Na razie wiedzieli jedno: Seawolf płynie na zachód i co do tego

nie było wątpliwości.

Sobota, 17 czerwca, godzina 7.30. Dom Kathy O'Brien w Chevy Chase w stanie Maryland. Admirał Arnold Morgan był w trakcie rozpalania grilla. Używał typu z kominkiem, w którym potrzeba papierowej podpałki, by zapalić węgiel drzewny. Admirał podłożył jednak czterokrotnie więcej papieru, niż było trzeba, stosując przy tym specjalny łatwopalny węgiel, który podpałki właściwie nie wymagał. W efekcie uzyskał coś w rodzaju kontrolowanej pożogi, na której sam Dante mógłby usmażyć parę kiełbasek. Właściwym słowem było „inferno” i admirał patrzył na buchający płomień z pewną satysfakcją.

–Mamy tu trochę cholerne energii, co? – przemówił do labradora Kathy. – Mamy tu trochę prawdziwego ciepła, co? Jak chcesz upiec jagnię, musisz dać trochę czadu.

Sama Kathy, przyzwyczajona już do tej oryginalnej metody rozpalania grilla, wychynęła z domu, niosąc dużą tacę z solidnym kawałem marynowanej jagnięciny, odciętym od kości z całego udźca. Rzuciła jedno spojrzenie na ogień

1 wzniosła oczy ku niebu.

–Jeżeli dotąd nie zauważyłeś – rzekła – to ci powiem, że to nie jest udziec brontozaura. To tylko normalny kawałek jagnięcia, któremu potrzeba miłych, gorących szarych węgli i pieczenia pod przykryciem przez godzinę. Nie potrzeba do tego metrowego płomienia. Nie będzie też smakowało lepiej, upieczone na twojej własnej wersji Wezuwiusza.

–Cierpliwości – odmruknął. – Jeszcze trochę. Poczekamy, aż trochę przygaśnie.

–Och, gdzieś we wtorek wieczorem powinno być już idealnie. Co powiesz na lampkę wina, by skrócić oczekiwanie?

m

Morgan wziął od niej tacę i położył na małym stoliku przy piekielnym grillu, po czym objął ją ramieniem i powiedział, że ją kocha; jak co wieczór przed kolacją. Poprosił, by za niego wyszła,

ona odmówiła, a on udał się do lodówki po jej ulubione meursault rocznik 1997 i wrócił z dwoma

kieliskami. Ten rytuał bawił ich oboje – potwierdzenie, że Kathy nie zostanie trzecią panią Arnoldową Morgan, dopóki on nie odejdzie z Białego Domu na emeryturę, jako że nie miała zamiaru przesiadywać samotnie w domu w Chewy Chase, podczas gdy on rządzi połową świata. Słońce właśnie zachodziło, chowając się za wirginijskie Pasma Błękitne. Siedzieli na dworze, obserwując gasnący blask – słońca, nie grilla – na czystym niebieskim wieczornym niebie. Smak złocistego wytrawnego burgunda przyniósł obojgu odprężenie; zaczęli się zastanawiać nad możliwością wspólnego urlopu, może podróży do Europy i wizyty u starego przyjaciela, admirała sir Iaina MacLeana w Szkocji. Kathy nie robiła sobie wielkich nadziei.

–Jesteś przez ostatnie parę tygodni bardzo zamyślony – powiedziała. – Czy chodzi o Chiny?

–Aha. Są jak cholerny WNT.

–Co takiego? – WNT.

–Co to jest? Zawsze używasz tych skrótów. SUBLANT, SUBPAC, SPECWARCOM. Co to jest WNT?

–Wrzód na tyłku, głuptasie.

Roześmiała się tak raptownie, że niemal zakrztusiła się ostatnim łykiem meursaulta. Kiedy odzyskała równowagę, ofuknęła go:

–Jesteś nie tylko nieokrzesany aż do granic absurdu, ale na dodatek zaczynam się czuć jak zakochana w Mao. Chiny to, Chiny tamto. One są o milion kilometrów stąd. Kogo one obchodzą?

–A choćby mojego wydawcę. Właśnie zabiera się do przygotowania Myśli przewodniczącego Arnolda.

Kathy pokręciła głową, uśmiechając się do byłego dowódcy okrętu podwodnego, który skradł jej

serce. Pokochała go od pierwszego wejrzenia, trzy lata temu; od chwili, kiedy objął stanowisko

doradcy prezydenta do spraw bezpieczeńst-

58

wa narodowego i wpadł, burcząc, do biura, każąc jej „połączyć się z Rankowem i powiedzieć mu,

że był, jest i pozostanie sukinsynem i to w dodatku kłamliwym sukinsynem". Oszołomiona takim

poleceniem, spytała potulnie, kim jest Ranków.

–Dowódcą rosyjskiej marynarki wojennej. Siedzi na Kremlu. Powinien siedzieć w kopalni soli.

Zdumiona, że admirał nawet nie podniósł głowy znad papierów, zaprotestowała:

–Ale, sir, nie mogę tak po prostu zadzwonić do jego biura i nazwać go sukinsynem.

–Kłamliwym sukinsynem.

–Przepraszam, sir. Chciałam powiedzieć: kłamliwym sukinsynem. Dopiero wtedy Morgan spojrział na nią, uśmiechając się blado.

–No dobra, skoro tracisz kontenans, zanim jeszcze minęło dziesięć minut od mojego przybycia, będę cię musiał ostro przetrenować. Może podasz mi filiżankę kawy, ale najpierw połącz się z Kremlm. Poproś admirała Witalija Rankowa... sam z nim porozmawiam.

Kathy wycofała się, by zamówić kawę. Gdy wróciła, usłyszała, jak wrzeszczy:

–Ranków, ty łajdaku! Jesteś kłamliwym sukinsynem!

Nie mogła oczywiście usłyszeć gromkiego śmiechu starego

kumpla i sparring-partnera Arnolda z rosyjskiej marynarki wojennej, więc tylko stanęła zdziwiona. Kathy O'Brien pracowała w Białym Domu już kilka lat, ale dotąd nie spotkała jeszcze takiego mężczyzny. Służyła już pewnym siebie facetom, ale nie do tego stopnia. Upłynęły długie miesiące, zanim między dwukrotnie rozwiedzionym admirałem i jego zjawiskowo piękną osobistą sekretarką zakwitło uczucie; głównie dlatego, że w wyobraźni Arnolda Morgana nie mieściło się, aby którakolwiek kobieta tak ładna, tak inteligentna i z własnymi pieniędzmi mogła przejawiać choćby najmniejsze zainteresowanie kimś takim jak on.

W końcu to Kathy przejęła inicjatywę i zaprosiła go na kolację. Od tamtego wieczoru byli nierozłączni, a choć wszyscy w Białym Domu o nich wiedzieli, nikt nawet o tym nie wspominał, przede wszystkim ze strachu przed admirałem. Sam

prezydent dobrze wiedział o ich romansie, jak też i o tym, że przyszła pani Morgan nie wyjdzie za

mąż – na razie. Zapytał ją o to wprost i usłyszał:

–Jego dwa poprzednie małżeństwa się nie udały, bo był zaślubiony Stanom Zjednoczonym.

Jego dwie żony chyba nie rozumiały, jaką on jest ważną osobą. Wiedziały tylko, że zamiast być w

domu, siedzi w pracy. Ja wiem, czemu on siedzi w pracy. Ale też nie chcę na niego czekać w domu.

Wyjdę za niego, kiedy przejdzie na emeryturę.

I z tej właśnie przyczyny prawie cały czas mieszkali w domu Kathy w Chevy Chase i co wieczór znajdowali sposób, by wspólnie zjeść kolację. Z każdym mijającym tygodniem Kathy O'Brien kochała go coraz bardziej, nie tyle za jego zdolność terroryzowania światowych przywódców wojskowych, ile za intelekt, wiedzę i zawsze kryjący się tuż pod powierzchnią humor. Rozumiała, że nawet pod postacią warczącego, sarkastycznego lwa z Białego Domu Arnold Morgan bawi się przepysznie, igrając z przeciwnikami i samego siebie oczarowując swą wspaniałą, wylewną niegrzecznością. Zadzwoił telefon. Kathy, nie ruszając się z miejsca, powiedziała:

–Lepiej odbierz, kochanie. To twoja bezpieczna linia. Admirał powędrował do domu, by podnieść słuchawkę. Płynący z niej głos był głęboki i ostry.

–Cześć, Arnie. Będę się streszczał. Są w drodze, wyszli z Pearl wcześniej rano w niedzielę, czasu hawajskiego.

–Dzięki, Joe. Jestem ci wdzięczny. Życz im ode mnie wszystkiego najlepszego, jak będziesz miał okazję.

–Obawiam się, że będą potrzebowali wszystkich dobrych życzeń, jakie zdołamy im przesłać. Idą w niebezpieczne miejsce.

–Wiem. Ale też mają cholernie dobry okręt. Oby tylko nie dali się złapać na płytkich wodach. Kutasy z tych Chińczyków.

ROZDZIAŁ 2

Poniedziałek, 19 czerwca. USS Seawolf

Judd Crocker siedział ze zmarszczonym czołem. Przypominał teraz herszta piratów. Miał klasyczny

wygląd „czarnego Irlandczyka”, o ciemnej, śródziemnomorskiej karnacji odziedziczonej po hiszpańskim przodku, jednym z setek marynarzy wyrzuconych w 1588 roku na irlandzki brzeg,

kiedy pokonana Niezwyciężona Armada trafiła w sztorm. Nie dałoby się go jednak pomylić z matadorem – już prędzej z bykiem. Był potężnie zbudowanym mężczyzną. W Newport można

by go wziąć za regatowego żeglarza od wind szotowych na dużym jachcie, w Kanadzie zastanawiano

by się, dlaczego nie ma na sobie kraciastej koszuli i nie wymachuje siekierą drwala, a pod Madison

Square Garden albo stadionem Shea ktoś mógłby mu zaoferować kontrakt w drużynie futbolowej.

Na okręcie podwodnym Judd rzucał się w oczy. Wydawało się, że obchodzi go tylko służba, ale też

nie trzeba było długo czekać na jego lekko skrzywiony uśmiech, a jeszcze krócej na dowcipną, często uszczypliwą uwagę. Na niektórych mógł sprawiać wrażenie człowieka sarkastycznego; w

rzeczywistości Judd Crocker był niezwykle przenikliwy i zawsze wyprzedzał przeciwnika o kilka

ruchów.

W tej chwili, nachylony nad kolorową mapą północnej części Morza Żółtego, starał się znaleźć o

kilka ruchów przed Chińczykami. Nie było to łatwe. Siedząc samotnie w swej kabinie, wpatrując

się w białe, żółte i niebieskie plamy składające się na obraz brzegów i głębin dalekiego morza, po

którym nigdy wcześniej nie pływał, musiał dobrze wytężyć umysł. W małym pomieszczeniu

rozbrzmiewały urywane, mrużane pod nosem zdania:

–Cholera, tam się nie da... za płytko... to nie jest morze, to jakieś cholerne bagno!... Nie mam zielonego pojęcia, po co im w ogóle bazy podwodniaków. Chryste, nie ma ani jednego miejsca w

promieniu pięciuset mil od stoczni, gdzie można by się zanurzyć, nie uderzając o dno!... Nikt nie

wie, czy on pójdzie wzdłuż wschodniego, czy zachodniego brzegu... a już najmniej ja.

Tematem tych rozważań był nowy chiński okręt klasy Xia, typ 094, o wyporności sześciu i pół

tysiąca ton, bardzo ulepszona wersja starego typu 406 zwanego „wielkim białym słoniem chińskiej floty”, ponieważ był z natury powolny i zmęczony (dwadzieścia węzłów przy całej naprzód z %górki), uzbrojony w mało przydatne rakiety, które najczęściej nie działały, hałaśliwy niczym pociąg towarowy i spędzał większość życia w suchym doku. Amerykanie i Brytyjczycy śmiali się, że robił taki hałas, iż właściwie nie warto mu było się w ogóle zanurzać.

To jednak działo się, zanim pan Li ze swymi kompanami ukradł nowe technologie z Kalifornii i Nowego Meksyku i zanim prezydent Clinton rozłożył dla Chin piękny czerwony dywan na drodze do wyszperania wszelkich informacji, jakie im się zamarzyły, ku oczywistej wściekłości Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, nie mówiąc już o całym pokoleniu admirałów z US Navy. Teraz, jak twierdzili Chińczycy, nowy Xia będzie szybki i cichy, a jego rakiety balistyczne, o znacznie większym zasięgu od swych poprzedniczek, będą działać prawidłowo. Okręt miał też być wyposażony w najnowszy typ sonaru. „Czy Stany Zjednoczone naprawdę zechcą poświęcić Los Angeles za Tajwan?”

Dla Judda najważniejsze było, że chiński okręt jest już gotowy do prób morskich. Amerykańskie satelity od wielu miesięcy śledziły postęp prac przy jego budowie w położonej na odludziu stoczni Huludao, daleko w głąb Morza Żółtego, na pustym brzegu Zatoki Liaotuińskiej. Z powodu tego właśnie okrętu Seawolf został przerzucony do Pearl Harbor. A ostatniej soboty satelita wykrył wyraźną zmianę w podczerwieni – oznakę wzrastającego ciepła wewnątrz kadłuba. Chińczycy zaczęli wzbudzać reaktor do stanu krytycznego, co wyjaśniało pośpiech Amerykanów i nocne wyjście w morze.

Jak dotąd, tylko kapitan Crocker miał wszystkie informacje. Co dwanaście godzin nakazywał wynurzenie do głębokości peryskopowej, aby odebrać z satelity szybką wiadomość i dowiedzieć się, czy Xia jeszcze tkwi na cumach w Huludao, czy też w końcu wyruszył na południe, ku głębokim wodom. Teraz, kiedy Seawolf znajdował się o tysiąc trzysta mil morskich od Pearl Harbor, Xia wciąż stał w porcie i Judd miał gorącą nadzieję, że pozostanie tam aż do czasu, kiedy dotrą przynajmniej do wschodniego krańca Morza Żółtego, od którego dzieliło ich jeszcze trzy tysiące mil. Spodziewał się wykryć go tam w drodze na południe, prawdopodobnie

w wynurzeniu. Reszta będzie naprawdę ryzykowna.

Dowódca zamierzał zapoznać oficerów z prawdziwym charakterem ich zadania. Najpierw jednak chciał się sam zapoznać z rozległym, choć dość płytkim akwenem, gdzie Chińczycy budują okręty podwodne. Jedyne dostępne mapy tego rejonu były wydane w Japonii, a japońskie pomiary batyme-tryczne, był pewien, raczej nie są godne zaufania. Przez stulecia północna część Morza Żółtego była prawie zamknięta dla obcej żeglugi, sporadyczne wizyty zagranicznych statków trafiały się wyłącznie na chińskie zaproszenie. Nie było też na dobrą sprawę powodu, by wpływać w ten morski zaułek. Na północ od Szanghaju Morze Żółte ma szerokość trzystu mil morskich, ale o dwieście mil dalej ogranicza je od wschodu Półwysep Koreański. Jeszcze trzysta mil i zaczyna się wąskie gardło, cieśnina o szerokości zaledwie sześćdziesięciu mil prowadząca do ciągnącej się prawie trzysta mil na północny zachód zatoki. Nie ma z niej innej drogi ucieczki, jak tylko przez owo wąskie gardło.

Daleko w głąb zatoki, na granicy dawnej prowincji mandżurskiej, znajduje się wielka stocznia w Huludao. Leży po wschodniej stronie wysuniętego w morze półwyspu, ogrodzona potężnym falochronem. Tam właśnie powstają chińskie „myśliwskie” okręty podwodne. Tam zbudowano wszystkie pięć jednostek klasy Han, wypierające po cztery i pół tysiąca ton okręty typu 091 uzbrojone w kierowane rakiety. Tam też powstał Xia.

Niestety, okolona wielkimi słonymi bagnami Zatoka Liao-tuńska nigdzie nie przekracza głębokości trzydziestu kilku 63

Jak dotąd, tylko kapitan Crocker miał wszystkie informacje. Co dwanaście godzin nakazywał wynurzenie do głębokości peryskopowej, aby odebrać z satelity szybką wiadomość i dowiedzieć się, czy Xia jeszcze tkwi na cumach w Huludao, czy też w końcu wyruszył na południe, ku

głębokim wodom. Teraz, kiedy Seawolf znajdował się o tysiąc trzysta mil morskich od Pearl Harbor, Xia wciąż stał w porcie i Judd miał gorącą nadzieję, że pozostanie tam aż do czasu, kiedy dotrą przynajmniej do wschodniego krańca Morza Żółtego, od którego dzieliło ich jeszcze trzy tysiące mil. Spodziewał się wykryć go tam w drodze na południe, prawdopodobnie w wynurzeniu. Reszta będzie naprawdę ryzykowna.

Dowódca zamierzał zapoznać oficerów z prawdziwym charakterem ich zadania. Najpierw jednak chciał się sam zapoznać z rozległym, choć dość płytkim akwenem, gdzie Chińczycy budują okręty podwodne. Jedyne dostępne mapy tego rejonu były wydane w Japonii, a japońskie pomiary batyme-tryczne, był pewien, raczej nie są godne zaufania. Przez stulecia północna część Morza Żółtego była prawie zamknięta dla obcej żeglugi, sporadyczne wizyty zagranicznych statków trafiały się wyłącznie na chińskie zaproszenie. Nie było też na dobrą sprawę powodu, by wpływać w ten morski zaułek. Na północ od Szanghaju Morze Żółte ma szerokość trzystu mil morskich, ale o dwieście mil dalej ogranicza je od wschodu Półwysep Koreański. Jeszcze trzysta mil i zaczyna się wąskie gardło, cieśnina o szerokości zaledwie sześćdziesięciu mil prowadząca do ciągnącej się prawie trzysta mil na północny zachód zatoki. Nie ma z niej innej drogi ucieczki, jak tylko przez owo wąskie gardło.

Daleko w głąb zatoki, na granicy dawnej prowincji mandżurskiej, znajduje się wielka stocznia w Huludao. Leży po wschodniej stronie wysuniętego w morze półwyspu, ogrodzona potężnym falochronem. Tam właśnie powstają chińskie „myśliwskie” okręty podwodne. Tam zbudowano wszystkie pięć jednostek klasy Han, wypierające po cztery i pół tysiąca ton okręty typu 091 uzbrojone w kierowane rakiety. Tam też powstał Xia.

Niestety, okolona wielkimi słonymi bagnami Zatoka Liao-tuńska nigdzie nie przekracza głębokości trzydziestu kilku 63

metrów. Kiedy strategiczny okręt atomowy wypływa z niej w morze, musi płynąć na powierzchni nie tylko do wspomnianego wąskiego gardła, ale jeszcze przez co najmniej czterysta mil, zanim dotrze do głębszego akwenu. Północna część Morza Żółtego to dziwne miejsce na budowę okrętów podwodnych. Pogoda zimą jest szokująca: smagane śnieżnymi zamieciami równiny Mongolii Wewnętrznej oddalone są zaledwie o sto kilkadziesiąt kilometrów. Huludao ma właściwie tylko jedną zaletę – odosobnienie sprzyjające utrzymaniu tajemnicy. Na tych północnych wodach znajduje się jeszcze jedna wielka chińska stocznia, w Dalian, mieście na półwyspie wycelowanym niczym palec w sam środek cieśniny wiodącej w głąb Zatoki Liaotuińskiej. Tam z kolei buduje się owe wielkie konie robocze chińskiej marynarki wojennej: niszczyciele klasy Luda.

Judd wpatrywał się w mapę, usiłując wczuć się w sposób myślenia chińskiego dowódcy. „Jak bym postąpił, gdybym był na mostku nowiutkiego raketowego podwodniaka, prawie na pewno obserwowanego przez okręt amerykański? No cóż, Morze Żółte jest głębsze na wschodzie, wzdłuż brzegów Korei, więc poszedłbym do cieśniny i ciągnął dalej na południowy wschód przez jakieś czterysta mil. Pozostałbym na powierzchni, dopóki nie dotarłbym do... Gdzie jestem?... Trzydzieści cztery stopnie północnej... potem na północ od wyspy Cheju-Do... Potem poszedłbym prosto na głębię przy tych wyspach na zachód od Nagasaki. Tam bym zanurkował, i to szybko. Tak bym zrobił. Chyba. No więc tam na niego zaczekam”.

Zwołał w centrali odprawę najważniejszych oficerów: Clarke'a, Cy Rothsteina, Shawna Pearsona, Kyle'a Franka, mechanika Richa Thompsona, szefa okrętu Brada Stocktona i oficera pokładowego Andy'ego Warrena.

–Panowie – zagaił dowódca – poprosiłem was tu, by przedstawić wam założenia naszego zadania. Krótko mówiąc, idziemy do Chin, na wschodnie wody Morza Żółtego, gdzie spróbujemy

wykryć ich najnowszy atomowy raketowy okręt podwodny Xia, następnie śledzić go w drodze na

południe i określić jego dokładne wymiary od stępki po kiosk.

–A mówiąc szczegółowo, jak się do tego zabierzemy, sir? –

–

spytał komandor podporucznik Rothstein. – Przypuszczam, że nie zaproszą nas do siebie z taśmą mierniczą.

–Cy, musimy dostać się pod ich stępkę, bezpośrednio pod nią, i używając górnego sonaru, uzyskać pełny obraz kształtu kadłuba i jego zanurzenie od powierzchni do stępki. Potem zmierzmy zanurzenie od powierzchni do kiosku i w ten sposób dokładnie poznamy jego wysokość.

–Rozumiem. Ale co ma pan na myśli, mówiąc „bezpośrednio pod jego stępką”? Czy chodzi o kilkadziesiąt metrów?

–Chodzi o znacznie mniej.

–Czy może nam pan powiedzieć, sir, dlaczego to robimy?

–Tak, Brad. Chyba mogę. We wnętrzu tego okrętu znajdą się najnowocześniejsze międzykontynentalne rakiety balistyczne, które jeśli uznają za stosowne, wystrzelą kiedyś na Los Angeles. Z oczywistych powodów musimy poznać dokładnie zasięg tych rakiet, ocenić, czy naprawdę mogą uderzyć w nasze Zachodnie Wybrzeże z drugiej strony Pacyfiku. Ot, zwykłe działanie wywiadowcze. Mamy ściśle tajne zadanie szpiegowskie i nie wolno nam dać się złapać.

–Sądzę, sir, że mówimy tu o technologii, którą ukradli nam w ostatnich latach dwudziestego wieku?

–I jeszcze wcześniej, Cy. Teorię znacie wszyscy: nie możemy zmierzyć samej rakiety, ale jeśli uda się nam zmierzyć przenoszący ją okręt, poznamy jej wysokość. Zgaduję, że wyniesie ona od czternastu do piętnastu metrów. Z tego ze trzy metry zajmuje silnik, z metr głowica, a reszta to paliwo. Nasi spece będą wtedy mogli ocenić z dokładnością do stu metrów, jak daleko ten ptaszek pofrunie.

–A co ze średnicą, sir?

–Już ją mają. Pomierzyli luki rakietowe ze zdjęć satelitarnych.

–Sir, znam pana już długi czas – odezwał się Brad Stockton. – I wiem, że ukrywa pan przed nami złe wieści...

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a dowódca rzekł:

–Jest ich tyle, że nie wiem, od której zacząć. Po pierwsze, musimy najpierw ten okręt znaleźć, ale w tym pomogą nam satelity, przynajmniej dopóki będzie szedł w wynurzeniu. Po drugie, wiadomo, że oni spodziewają się, że są przez Amerykanów obserwowani, więc będą nas wypatrywać z równą

czujnością. Po trzecie, Fort Meade obawia się, że Chińczycy ukradli nam najbardziej zaawansowany system wykrywania okrętów podwodnych, pozwalający im dostrzec nas w zanurzeniu z kosmosu, z własnego satelity. To uczyni z nas łatwy łup, jeśli morze będzie płytkie, a oni poślą za nami kupę okrętów.

–Jezu Chryste. Czy wiadomo, że już uruchomili ten system?

–Nie. Wiemy tylko, że go mają. W każdym razie, jeśli pozostaniemy na głębokich akwenach, będziemy właściwie bezpieczni. Nie ma w ich flocie żadnej jednostki choć w przybliżeniu dość szybkiej, by nas złapać. '

–Sir, czy w razie konieczności możemy ich rozwalić?

–Andy, za to by nas nie pogłaskano. Jak oni nas trafią, najpewniej ujdzie im to na sucho. Amerykański atomowy okręt podwodny zakradający się na chińskie wody terytorialne i tak dalej... Ale gdybyśmy my zatopili ich, to obawiam się, że zostałoby to uznane za akt wojny, ponieważ w istocie naprawdę nie mamy powodu, by się tam znaleźć, cztery tysiące mil od własnej bazy.

–Chce pan przez to powiedzieć, że po prostu pozwoliłby pan im nas zniszczyć?

–Nie, Andy. Jeśli rzecz sprowadzi się do prostego „my albo oni”, odpowiedź może być tylko jedna.

–Nie my. Prawda, sir?

–Nie my. Masz rację, Andy. Ale oficjalnie nie mamy na to pozwolenia. Nasz rozkaz brzmi: nie dać się wykryć.

–To, jak wszyscy wiemy, łatwiej powiedzieć, niż wykonać – zauważył cicho Cy Rothstein.

–Zgadza się. Ale musimy próbować. Musimy też sobie jasno powiedzieć, o co chodzi. Mamy

okręt o potężnej sile rażenia. Prawdopodobnie moglibyśmy posłać na dno pół chińskiej floty, gdyby przyszło do walki. Ale nie to jest naszym zadaniem. W domu podziękują nam wylewnie tylko wtedy, gdy dyskretnie powrócimy z informacjami. Gdy dostarczymy fotograficzne dowody na to, co u diabła knują ci cholerni Chinole. I ile rzeczy nam ukradli i zastosowali u siebie.

–Czy to nasze jedyne zadanie, sir?

–Niezupełnie. Chińczycy ostatnio wprowadzili do służby 66

trzeci, najnowszy niszczyciel klasy Luhai. Wielki, napędzany turbiną gazową okręt o wyporności sześciu tysięcy ton o zasięgu pływania czternaście tysięcy mil i uzbrojony w rakiety kierowane, które może wystrzelić na odległość siedemdziesięciu mil. Pentagon jest zdania, że to wredne pudło może też mieć broń ZOP* o trajektorii balistycznej. Ma ona kryptonim CY-1. Chcą, byśmy zlokalizowali ten niszczyciel i dokładnie go obejrzeni. Ale będziemy musieli uważać. Szef operacji morskich sądzi, że może on mieć na wyposażeniu pierwszy porządny chiński sonar holowany, opracowany na podstawie skradzionych nam planów.

–No, to lepiej uważajmy – skonkludował porucznik Pear-

son. – Jeśli pocziwy CY-1 działa...

230700CZE06. Na północ od wysp Riukiu, 2910N/12930E**. Prędkość 30 w., głębokość 90 m, kurs 305°

Seawolf wpłynął na skraj Morza Wschodniochińskiego w piątek rano, poruszając się z dużą prędkością w zanurzeniu, pięć dni po opuszczeniu Pearl Harbor. Rejs przez wielkie pustkowia

Pacyfiku przebiegł bez wrażeń; nawet nie słyszeli żadnego okrętu. Peryskop dziewięciokrotnie

wysuwał się nad wodę, ale odbierany wówczas jednosekundowy sygnał z satelity brzmiał zawsze

tak samo: Xia wciąż stoi przy kei w Huludao, jego reaktor wciąż pracuje.

Judd Crocker zwolnił do dwudziestu węzłów, kiedy zygzakowali pomiędzy małymi japońskimi wysepkami, mając pod stępką czterysta pięćdziesiąt metrów wody. Przed nimi rozciągała się niewidzialna linia płynącego na północ ciepłego prądu Kuro Siwo, który odgranicza Morze Wschodnio-chińskie od Pacyfiku. Seawolf jednak nie zamierzał się na nie

* Skrót od „zwalczanie okrętów podwodnych”.

** Morski zapis współrzędnych geograficznych, ostatnie dwie cyfry oznaczają minuty kątowe, pozostałe stopnie. Liczba cyfr jest stała, w przypadku np. gdy długość geogr. wynosi mniej niż dziesięć stopni, zapis wygląda: 00xxxE/W.

zapuszczać i kiedy porucznik Pearson oznajmił przekroczenie południka 129°E, dowódca rozkazał:

–Ster w prawo, kurs trzysta sześćdziesiąt. Prędkość dwadzieścia węzłów, głębokość sześćdziesiąt metrów. – Zwracając się do komandora Clarke'a, dodał: – Ustalimy akwen patrolowania tuż na południe od wejścia w Cieśninę Koreańską. Wody tam głębokie i pod japońską

jurysdykcją. Możemy tam czekać, dopóki coś się nie urodzi, a potem popęznąć wzdłuż izobaty

stumetrowej i zacząć się na Chińczyka... to jest, jeżeli miałem rację co do kursu, jaki tamten musi

przyjąć w drodze tu, na wschód. Gdyby poszedł drugą stroną, będziemy w kłopotcie, bo pod wodą

trudno będzie go wysledzić. W każdym razie będzie jednak długo na powierzchni, więc satelita go

namierzy, a my dogonimy go później.

Popłynęli więc wzdłuż zewnętrznej krawędzi Morza Wschodniochińskiego, ku wybrzeżom Kiusiu, ostatniej wielkiej wyspy japońskiej, poza którą przez pięćset czterdzieści mil morskich na południowy zachód rozciąga się już tylko archipelag drobnych wysepek sięgający aż pod Tajwan. Wokół nich znajduje się jedyna głębina w całym akwencie, za którą wznosi się raptownie ku powierzchni morza wielki szelf kontynentalny Chińskiej Republiki Ludowej, stając na drodze nadpływających okrętów podwodnych i nieuchronnie zmuszając je do wynurzenia, a przynajmniej do pozostawiania za rufą zdradliwego śladu skotłowanej przez śrubę wody.

Dowódca Seawolfa nie zamierzał czynić żadnej z tych rzeczy. Patrolowali bezszelestnie na głębokości stu metrów, płynąc teraz z prędkością tylko dziesięciu węzłów, a oficerowie modlili się, by Chińczycy nie zdołali jeszcze opanować satelitarnej techniki wykrywania okrętów podwodnych, którą zwędzili z kalifornijskiego laboratorium.

Weekend minął bez żadnych zmian. Cztery razy łączyli się z amerykańskim satelitą

telekomunikacyjnym i za każdym razem dowiadywali się, że Xia jeszcze się nie ruszył od nabrzeża. Jednak o dziewiątej rano w poniedziałek dwudziestego szóstego czerwca jednemu z sonarzystów Kyle'a Franka wydało się, że odbiera jakieś echo z zachodu.

-Trudno wyjaśnić... to tylko lekki przyrost w tle... nie wygląda mi to na odgłos fal...

Dowódca dołączył do stojącego za fotelem sonarzysty porucznika Franka. Uplęło kilka minut,

zanim znów odebrali ów sygnał.

–Jest znowu, sir. O, tutaj. Mamy słabe linie od silnika. Kąt kursowy sto dwadzieścia pięć...

–Zwrot na sto trzydzieści pięć. Usuniemy w ten sposób dwuznaczność sygnału. Seawolf położył się w ciasny skręt, a sonarzyści próbowali określić prawidłowy namiar. Zajęło to ponad dziesięć minut, ponieważ odbierany sygnał był bardzo słaby. O dziewiętej dwadzieścia dwie Kyle Frank oznajmił w końcu:

–Namiar dwieście osiemdziesiąt!

Teraz oscyloskopowy ekran sonaru pokazywał znacznie wyraźniejsze linie dźwięku silnika, a szybki komputer porównywał je z bazą danych, próbując zidentyfikować namierzany okręt.

–To podwodniak, sir, co do tego nie ma wątpliwości -zapewnił Frank, przeskakując wzrokiem z ekranu na ekran. Przez kilka chwil milczał, po czym wyrzucił z siebie podniecony: – Jezu, sir, to Rusek! Mamy tu prawdziwego, żywego Ruska. Proszę spojrzeć! To klasa Kilo, gdzieś z dziesięć tysięcy metrów za rufą z prawej. Co on tu robi, do diabła?

–Może to samo co my? – zasugerował komandor Roth-stein. – Czeka na Xia?

–Wątpię – odparł Judd. – To pudło jest przecież nadziane rosyjską technologią. Zdziwiłbym się, gdyby było na nim coś, o czym Ruscy nie wiedzą. Ostatnio znowu są najlepszymi kumplami, nie muszą szpiegować. Ja bym powiedział, że ten Kilo jest chiński. Mają ich chyba pięć, a jeden z nich jest tu na jakichś ćwiczeniach.

–Podejdziemy nieco bliżej, sir? Zobaczymy, czy nie da się czegoś wyniuchać?

–Możemy, Linus. Ale nie za blisko, może na PNZ* około pięciu tysięcy metrów... Kurs dwieście pięćdziesiąt, prędkość sześć węzłów.

* Punkt największego zbliżenia, najmniejsza odległość od linii kursu obcego okrętu. 69

Seawolf zaczął się z wolna zbliżać do nieznannej jednostki. Po chwili sonarzysta odebrał nowy sygnał:

–Szum mechanizmów pokładowych, namiar sto czterdzieści.

–To może być okręt nawodny, sir, poruszający się wolno w lewo albo stojący w dryfie, z pracującym silnikiem. Znajdziemy się dokładnie między Kilo a nim.

–Popatrzę sobie wzdłuż namiaru, sonar.

Dowódca wysunął peryskop na ledwie siedem sekund. Od razu zidentyfikował echo jako okręt pomocniczy klasy Dazhi, o wyporności pięciu tysięcy ton. Komputer wyszukał jego dane: wiek czterdzieści lat, cztery elektrohydrauliczne dźwigi i spory zapas torped.

–Wiecie, co myślę? – spytał Crocker.

Ale zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, sonarzysta odebrał kolejny pasywny sygnał bardzo blisko Kilo.

–Jezu Chryste – szepnął. – Skurwysyny do nas strzelają. – Złożony przezeń meldunek był jednak profesjonalnie beznamiętny: – Torpedy... nadbiegające... prawdopodobnie dwie... namiar dwieście osiemdziesiąt trzy... namiar nie zmienia się...

–Mój Boże, sir! – Był to głos komandora podporucznika Clarke'a. – A jeśli one mają główce bojowe? Uwaga na stanowisku zakłócania! Pełna sekwencja! Powinniśmy odpowiedzieć ogniem... te sukinsyny do nas strzelają, chcą nas zatopić, sir!

–Nie, ZDO – odpowiedział kapitan.

–Jak to nie? – Ciarękę prawie nie panował nad sobą. – Widzę dwie torpedy nadbiegające od strony chińskiego okrętu!

–Jasne, Linus. Zamknij się na chwilę, co? Zamierzam pozwolić im przejść obok. Ster w prawo, kurs dwieście osiemdziesiąt trzy.

–Ale, sir, skąd pan może wiedzie, że przejdą obok?

–Po pierwsze, nie uaktywniły się. Po drugie, szansa, że są akurat na tej samej głębokości co my, jest jedna na sto. A jedna na pięćset, że idą akurat idealnym kursem na zderzenie. To ryzyko do przyjęcia.

–Potwierdzam dwie torpedy, namiar dwieście osiemdzie-

siąt trzy... namiar nadal bez zmian, sir – zameldował sona-rzysta.

–Oczywiście – powiedział Crocker. – Trafiliśmy na ćwiczebne strzelanie torpedowe. Ten stary

Dazhi ma wyławiać torpedy, a żaden z nich nie ma pojęcia, że tu jesteśmy. Gdyby mieli, już byśmy

o tym wiedzieli.

Nie po raz pierwszy dowódca i jego zastępca mieli krańcowo różne poglądy. Kiedy znękanę myśli ZDO przelatowały z hukiem przez mózg, dwa podmorskie pociski typu Test 96 mknęły

przez wodę, nie zwiększając prędkości ze swych trzydziestu węzłów, nie uaktywniając systemów samonaprowadzenia, celowały jednak niepokojąco blisko pozycji Seawolfa.

–Namiar wciąż stały, sir... Mam teraz dwa oddzielne sygnały torped, ale przejdą po obu burtach... pierwsza po prawej, następna nieco dalej po lewej. Nie ma niebezpieczeństwa, sir, chyba

że włączą samonaprowadzanie...

Każda ze znajdujących się w centrali osób słyszała wyraźnie meldunki z pomieszczenia sonarów.

–Torpeda jeden przesuwa się w prawo na dwieście dziewięćdziesiąt pięć... głośniej... zbliża się... brak nadawania w namiarze... Torpeda dwa przesuwa się w lewo na dwieście sześćdziesiąt... głośniej... brak nadawania w namiarze... -W minutę później: -Torpeda jeden szybko przesuwa się w prawo, zero pięćnaście... – Napięcie w głosie sonarzysty z wolna ustępowało. Powracał spokój. – Torpeda dwa przesuwa się szybko w lewo na dwieście pięć... – I po chwili: -Torpeda jeden namiar zero sześćdziesiąt pięć, sygnał słabnie, otwarcie dopplerowskie*... torpeda dwa namiar sto sześćdziesiąt trzy, słabnie, otwarcie dopplerowskie.

–Chyba udało się panu sprawdzić ich blef, sir – odezwał się komador Rothstein z uśmiechem, zastanawiając się przy tym, jak to miał w zwyczaju, nad zawilóściami ludzkiego umysłu. Wszystko to zdarzyło się nawet nie minutę temu i nie trwało dłużej niż cztery; a oto dwaj wykształceni ludzie jednocześnie ujrzeli je z zupełnie przeciwnych perspektyw. Gdyby byli na sali sądowej i składali zeznania, ława przysię-

*** Efekt Dopplera polegający na zmianie częstotliwości (wysokości) dźwięku w miarę zbliżania się**

lub oddalania jego źródła.

głych znalazłaby się w nie lada kłopotcie, i nie dziwota. – Prawie każde zeznanie jest zabarwione

przez opinię – powiedział nie wiadomo do kogo. – Dlatego należy je w dużej mierze ignorować,

ponieważ jest w najwyższym stopniu niepewne.

–No, moje rozumowanie było proste – podjął dowódca. – Chińczycy najwyraźniej nie

używali głowic bojowych, bo inaczej Dazhi nie tkwiłby torpedom na drodze. Musieli po prostu

testować wyrzutnie, a może chodziło o coś bardziej skomplikowanego, nawet o jakieś ćwiczenia

taktyczne. Nie sądzę, by ktokolwiek widział w życiu ostre strzelanie, kiedy w rejonie celu pływa

spokojnie poławiacz torped. Nie było też ani śladu celu. A gdyby był, to dookoła roiłoby się od

okrętów obserwujących całą akcję. Wniosek: torpedy nie miały głowic bojowych. Tymczasem

jednak odsuniemy się nieco dalej. Chcę podkraść się do tego Kilo od rufy i posiedzieć mu na ogonie

na wypadek, gdyby strzelał jeszcze raz. Chciałbym mieć pełny zapis dźwięku otwierania wyrzutni i

sekwencji strzału. I... Linus, stary, miej że wiarę, dobra?

270100CZE06. 3210N/12800E. Prędkość 9 w. Głębokość 45 m. Kurs 360°

Judd Crocker próbował złapać kilka godzin snu w swej ciasnej, ale własnej kabinie, kiedy ktoś

głośno zapukał trzy razy w drzwi, po czym wszedł, wpuszczając snop światła z korytarza.

–Proszę się obudzić, sir! – zawołał Kyle Frank. – Myślę, że powinien pan to zobaczyć. Xia

jest w drodze, wyszedł z Huludao wczoraj o dziewiętnastej trzydzieści. Robi dwadzieścia pięć

węzłów w wynurzeniu, idąc ku cieśninie.

–Która godzina, Kyle? – Mózg kapitana wskoczył na wysokie obroty.

–Okolo pierwszej dwadzieścia, sir.

–Czyli jest w morzu od... sześciu godzin. To znaczy sto pięćdziesiąt mil. Powinien w tej chwili mijać Dalian. To jest... czterysta pięćdziesiąt mil na północ od nas. Będziemy go wypatrywać za jakieś osiemnaście godzin, co? Powiedzmy, około dziewiętnastej trzydzieści. 72

–Tak jest, sir. To samo mam wypisane na tej kartce, tylko że obliczenie zajęło mi dziesięć minut.

–W porządku. Połączcie się z satelitą o szóstej, sprawdźcie jego kurs i prędkość. Obudźcie mnie za pięć szósta.

–Tak jest, sir.

W południe było już jasne, że Xia płynie ku wschodnim krańcom Morza Żółtego, potem wz dłużej brzegów Korei i dalej, na swe pierwsze w miarę głębokie wody. Tam, gdzie czekał na niego Judd Crocker ze swą załogą.

Wtorek, 27 czerwca, godzina 14.00. Chińska baza morska Floty Wschodniej, Szanghaj Urzędujący o pięćset mil morskich na zachód od czającego się w głębinach Seawolfa admirał Zhang Yushu, naczelny dowódca Marynarki Ludowo-Wyzwoleńczej, postawił całą Flotę Wschodnią w stan gotowości bojowej przeciwko amerykańskiemu okrętowi. Jego własne satelity dostrzegły wyjście Seawolfa z Pearl, ale od tamtej pory straciły go z oczu, co nieszczególnie świadczyło o umiejętnościach posługiwania się przez chińskich operatorów skradzionym systemem wykrywania okrętów podwodnych. Admirał siedział teraz w biurze dowódcy Floty Wschodniej, admirała Yibo Yunshenga, byłego dowódcy poprzedniego fatalnego okrętu Xia. Nad kolejnymi filiżankami aromatycznej chińskiej herbaty rozważali, jak bezpiecznie przerzucić Xia III, nowiutkie cacko o wyporności trzynastu tysięcy ton, na głębsze wody – z dala od wścibskich oczu, a być może i sonarów US Navy.

–Wiemy, że oni muszą tam gdzieś być – powtórzył Zhang, marszcząc czoło i gniewnie spoglądając zza ciężkich okularów w rogowej oprawie.

Był bezspornie najbardziej przewidującym naczelnym dowódcą, jakiego kiedykolwiek miała Marynarka Ludowo- Wyzwoleńcza. Był porywczym pięćdziesięciodziewięcioletnim mężczyzną o wroście metr osiemdziesiąt i gęstych czarnych włosach, dłuższych, niż było przyjęte w chińskim wojsku. Cieszył się zaufaniem Najwyższego Sternika Chin. Zhang był niezmiernie potężną osobą; jeżeli przyszyłoby mu do głowy 73 I

zmobilizować całą flotę do odnalezienia i zatopienia jakiegokolwiek amerykańskiego intruza, jego rozkaz zostałby wypełniony co do joty Jako dawny dowódca niszczyciela rakietowego klasy Luda, admirał Zhang był godnym przeciwnikiem dla kapitana Judda Crockera, a także dla amerykańskich admirałów Morgana i Mulligana. Choć dzieliło ich pół świata i byli przeciwnikami, umysły wszystkich czterech skupione były teraz na jednym: na nowym chińskim

okręcie podwodnym i jego złowrogim ładunku międzykonty-nentalnych rakiet balistycznych.

–Jak sądzicie, gdzie oni będą czekać? – spytał admirał Yibo.

–Musimy przyjąć, że gdzieś na pierwszych dostępnych głębokich wodach, pod brzegami Japonii. To jednak olbrzymi akwen, a jeśli wysłali tu Seawolfa, będzie go niezwykle trudno zlokalizować. To bardzo cichy okręt. Mówią, że poniżej dwudziestu węzłów porusza się praktycznie bezdźwięcznie.

–Taak... niedobrze – zasepił się Yibo.

Sekretarka w mundurze weszła z pojedynczym arkuszem papieru, który podała dowódcy floty.

–To dla was, towarzyszu admirale. Chyba coś ważnego, od wywiadu marynarki z Ningbo.

Podpisał kapitan Zhao.

Notatka była lakoniczna:

ODEBRANO MELDUNEK OD KILO 336, 1700 WCZORAJ, 20 CZERWCA

**„PRZYPUSZCZALNY PRZELOTNY KONTAKT Z ATOMOWYM O.P ŚLEDZĄCYM
ĆWICZEBNE STRZELANIE". NIE MAMY DANYCH O CHIŃSKICH O.P W TYM
AKWENIE.**

**BRAK DALSZYCH KONTAKTÓW. ZAALARMOWANO WSZYSTKIE OKRĘTY
NAWODNE**

Admirał odczytał ją głośno Zhangowi, który zachmurzył się jeszcze bardziej.

–To jest to – powiedział przez zęby. – To Seawolf. Pytanie tylko gdzie?

–Dlaczego jesteście tak pewni, że to ten okręt?

–Och, nie mam co do tego pewności. Ale to istotny zbieg okoliczności: ledwo zaczęliśmy wzbudzać reaktor Xia do stanu krytycznego, a nie minęła doba i oto najlepszy okręt amerykański w środku nocy opuszcza Pearl Harbor. Według

74

naszych źródeł na Hawajach, jego cel pozostał nieznany. On tu jest, Yibo. Wierz mi. On tu jest.

–Ale jak może nam zaszkodzić?

–Oprócz rozpoznania wszystkich naszych systemów i danych taktycznych nowego okrętu, pomiaru mocy i efektywności jego rakiet, nie jest wcale wykluczone, że Xia może po prostu... zaginąć w głębinach. Ty nie znasz tych diabłów z Pentagonu tak jak ja. Oni już to nam zrobili i teraz też nie cofną się przed niczym, by utrzymać swą pozycję dominującego mocarstwa. Zhang, człowiek znany w najwyższych kołach wojskowych Chin jako największy pragmatyk, na samą myśl o konflikcie z Pentagonem aż się zmienił na twarzy. Jego surowa, ale bierna mina nagle nabrała ponurego wyrazu, a w oczach zabłysła mściwość, jak gdyby ktoś zagrażał jego najbliższej rodzinie.

Nie chodziło tu o pojawienie się oczywistego nieprzyjaciela, ale o to, że był to szczególnie nieprzyjaciel, wszechmocne Stany Zjednoczone Ameryki. Kiedykolwiek dochodziło do konfrontacji, Chiny wychodziły z niej na drugim miejscu, zwłaszcza jeśli dotyczyła ona marynarki. Wielkie amerykańskie zespoły lotniskowców, wiecznie grasujące u brzegów Japonii, Tajwaryi i Filipin, były dosłownie zmorą jego życia. Zawsze za silne, za szybkie i zbyt groźne. Jak mógłby kiedykolwiek zapomnieć te straszne tygodnie sprzed dwóch lat, kiedy Amerykanie zdecydowali się wyeliminować siedem – siedem! – jego nowo zbudowanych w Rosji okrętów podwodnych nieuchwytniej klasy Kilo? Olbrzymie koszty związane z ich ochroną, czysta bezsilność, jaką odczuwał wobec bezlitosnych podwodnych piratów z Pentagonu... nie, Zhang nigdy nie zapomni tamtych dni. Nie zapomni największego upokorzenia ani zła doznanego z ręki US Navy. Nigdy też im nie wybaczy gigantycznych strat materialnych chińskiej armii i śmierci tak wielu świetnych podwodniaków. A przede wszystkim nie może im wybaczyć utraty twarzy -wobec kolegów, jak i wobec własnej duszy wojownika.

–Czy zatopicie Seawolfa, jeśli to będzie możliwe? – Głos admirała Yibo wyrwał Zhanga z zadumy.

–Niewykluczone. Całkiem niewykluczone.

–Ale jak? 75

–Sądzę, że dwa Kilo mogą wykonać takie zadanie. Pod warunkiem że go jeszcze odnajdziemy.

271801CZE06, 3300N/12810E. Głębokość 45 m. Prędkość 5 w. Kurs 315°

–Satelity go mają, sir. Chińczyk steruje zero dziewięćdziesiąt, idzie na północ od wyspy

Cheju-Do. To około siedemdziesięciu mil od nas na zachodni północo-zachód. Wciąż płynie prosto

na nas. Wystarczy, że poczekamy tutaj, a on sam się pojawi.

Porucznik Pearson wygłosił ten meldunek, jakby dzierzył w ręku przeznaczenie Xia III. Judd Crocker jednak go rozumiał. Przebyli daleką drogę, a teraz ich ofiara miała się ukazać zza horyzontu. Sam zresztą był trochę pod wrażeniem własnego sukcesu w określeniu kursu przeciwnika, i to na własną rękę, wyłącznie na podstawie mapy. Tłumił jednak dumę, zdając sobie

sprawę, że każdy podwodniak na świecie wie, że trzeba się kierować ku najgłębszym wodom, czy się pochodzi z Massachusetts, czy z Mandżurii.

Teraz mogli jedynie cierpliwie czekać, pozostając w zanurzeniu, utrzymując ciszę i czujnie rozglądając się za okrętami nawodnymi. Jego rozkazy były wyraźne: nie dać się wykryć. Musiał zapewnić wysoki stan gotowości sonarów, nasłuchiwać wszelkich zmian poziomu szumów, pulsowania śruby Xia, wypatrywać na ekranach linii od jego silnika, trzymać się z dala od przewidywanego kursu, a potem cichutko zająć pozycję za jego rufą, śledzić, póki nie pójdzie w zanurzenie, i wtedy ucześcić się go jak pijawka.

Kiedy Xia się zanurzy, skończy się pomoc satelitów. Następny przelot miał nastąpić dopiero za parę godzin; wówczas Xia dawno już ich minie, a w każdym razie powinien minąć. Judd spojrział na zegarek – była dziewiętnasta – i nieświadomie naśladowując pełen pretensji do losu okrzyk swego najwyższego szefa, mruknął pod nosem:

–No i gdzie on, u diabła, jest?

Był blisko. O dziewiętnastej Xia płynął wciąż w wynurzeniu, mijając północno-wschodni cypel

Cheju-Do i wykonując

zwrot na kurs południowo-zachodni, który poprowadzi go o mniej więcej pięć mil morskich od czekającego w ukryciu Seawolfa; przy prędkości dwudziestu pięciu węzłów miało to nastąpić około

dwudziestej dziesiątej. Okazało się, że Chińczyk obrał jeszcze bardziej bezpośrednią drogę na głębiny, niż Judd się spodziewał. Kapitan uśmiechnął się, słysząc meldunek z pomieszczenia sonaru:

–Centrala, tu sonar. Coś odbieram, sir. Słabiutki ślad.

–Lewo na burcie! Pozbędziemy się dwuznaczności sygnału.

Seawolf obrócił się w lewo, pozwalając holowanemu sonarowi określić, czy podejrzany sygnał nadchodzi z lewej, czy z prawej burty.

–Obiekt tuż na lewo od dziobu, sir. Namiar trzysta czterdzieści pięć. Wyznaczam kryptonim obiektu dwa-zero. Sprawdzam profil szumów maszynowych.

W centrali manewrowej zapanowała cisza; wszyscy czekali na werdykt oficera sonarowego. Wydawało się, że jedynym odgłosem w pomieszczeniu jest stukot klawiszy komputera, przy którym pracował Kyle Frank. W końcu oznajmił:

–Centrala, tu sonar. Mamy tu dwuśrubowy okręt atomowy z osłoniętymi śrubami. Silnik jest rosyjski, to wielkie turbiny GT3A... profil odpowiada liniom silnikowym rosyjskich okrętów raketowych klasy Tajfun.

–A więc to tak sobie poradzili... – mruknął Judd Crocker. – Podwoili rozmiary starego okrętu tej klasy, by zmieścić nowe, kradzione rakiety, ale zastosowali rosyjski silnik. Nie ma wątpliwości, że są teraz kolesiami. Znam pewnego admirała Morgana, któremu się to nie spodoba.

Xia nadpłynął, mijając ich w odległości siedmiu tysięcy metrów; wciąż pozostawał na powierzchni. Seawolf gładko ustawił się za jego rufą, trzymając się dwie mile z tyłu, i podążyli razem poprzez głęboki rów morski ciągnący się wzdłuż zachodnich brzegów japońskiego archipelagu. Kapitan dwukrotnie podchodził na kwadrans na peryskopową, by naocznie sprawdzić pozycję przeciwnika, ale nie dane mu były dalsze szanse. Dokładnie na trzydziestym drugim równoleżniku, sześćdziesiąt dwie mile od wybrzeża Kiusiu, Xia III zanurzył 77

się po raz pierwszy w swej historii, schodząc stopniowo na sześćdziesiąt metrów i zwalniając do dwunastu węzłów. Seawolf śledził go, dostosowując własne zanurzenie i prędkość, i od czasu do czasu namierzając Chińczyka za pomocą najnowszego kamuflowanego sonaru aktywnego*, niemal niemożliwego do wykrycia, nawet przez Amerykanów i Brytyjczyków. Szkopuł tkwił w tym, że nikt nie mógł powiedzieć, czy Chińczycy używają takiego samego systemu, mimo iż wiadomo było, że udało się im go zdobyć w nader podejrzanych okolicznościach. Niepewność co do tego, czy przeciwnik faktycznie potrafi korzystać ze skradzionych technologii, wielce niepokoiła oficerów Seawolfa. Czy byli śledzeni przez satelitarne czujniki? Czy Xia też ich namierzał aktywnym sonarem, jak oni jego?

–Mówiąc ogólnie, Linus, wyznaję zasadę, że brak wiadomości to dobra wiadomość. Uważam, że gdyby Chińczycy potrafili nas zlokalizować, zrobiliby to od razu, a potem wszczęliby działania zmierzające do szybkiego usunięcia nas z tego rejonu. Przynajmniej by próbowali. Jak dotąd, nikt nic nie robi. A to oznacza, że prawie na pewno nas nie wykryto.

–Nie mogę się z panem nie zgodzić – potwierdził Linus Ciarkę. W tej jednak chwili spokój w centrali został zakłócony.

–Centrala, tu sonar. Xia robi zwrot.

Porucznik Frank obserwował turboalternator, który właśnie zmienił wskazania z sześćdziesięciu na sześćdziesiąt trzy herce. W tłumaczeniu na ludzki język oznaczało to, że względna prędkość obu jednostek wzrosła od zera do około osiemnastu węzłów... na zbliżenie.

–Jezu, on idzie wprost na nas! Sześć węzłów...

–Lewo na burtę! – warknął Crocker. – Kurs dziewięćdziesiąt. Przejdę na wschód od niego. Zwolnić do sześciu węzłów.

* Sonary pasywne odbierają tylko dźwięki z namierzanego obiektu; aktywny wysyła impuls akustyczny i namierza obiekt na podstawie oceny powracającego odbicia, zdradzając jednak swoją obecność.

Okręt zawrócił ku brzegom Japonii.

–Sir, czy zostaliśmy wykryci?

–Czy on wie, że tu jesteśmy, czy co?

–Chryste, załóżę się, że to ten system satelitarny, który nam buchnęli.

–Spokojnie, panowie – przerwał Judd. – On pewnie po prostu czyści ekrany akustyczne i sprawdza namiary rufowe, upewniając się, czy nikt ich nie śledzi. Postawcie się na ich miejscu. Jesteście w dziewiczym rejsie na ostatnim krzyku chińskiej techniki podwodniackiej. Płyniecie na południe tymi pustymi wodami, by znaleźć akwen odpowiednio głęboki, by przeprowadzić próby morskie. Macie na pokładzie, a w każdym razie będziecie mieli w przyszłości rakiety balistyczne zdolne zniszczyć jedno z wielkich miast amerykańskich. Wiecie więc, że Amerykanie są bardziej niż zainteresowani i na pewno będą próbowali chociaż się wam przyjrzeć. Wiecie też, że oni wyprzedzają Chiny o lata świetlne w każdej dziedzinie technologii dotyczącej broni podwodnej. Czy od czasu do czasu nie oglądalibyście się przez ramię? Jasne, że tak, po prostu dla pewności.

–Centrala, tu sonar. Odległość się zwiększa. Namiar sto osiemdziesiąt, prędkość znowu dwanaście węzłów.

–Świetnie – skwitował dowódca. – On tylko sprawdzał i spodziewam się, że zrobi to jeszcze nieraz, zanim się zestarzejemy. Kyle, uważaj na niego, bo to się może stać w każdej chwili. Pokonali tak jeszcze sto mil na południe, nim Xia znów zawrócił i kapitan Crocker wykonał kolejny unik, usuwając się na wschód i czekając, aż chiński dowódca wróci na stary kurs. Sytuacja jednak się zmieniła, kiedy przekroczyli dwudziesty szósty równoleżnik. Xia, który teraz szedł na południowy południo-zachód, wzdłuż archipelagu Riukiu, zaczął robić zwrot, ale zamiast zawrócić jak uprzednio, skręcił ku zachodowi, kierując się zniecka do północnego wejścia w Cieśninę Tajwańską. Judd próbował iść za nim, przynajmniej do linii prądu Kuro Siwo, gdzie głębokość sięgała jeszcze miejscami trzech tysięcy metrów. Dalej jednak dno zaczynało się szybko wznosić do poziomemu szelfu, czyli około czterdziestu kilku metrów. Seawolf nie mógł zapuścić się

w cieśninę bez natychmiastowego wykrycia na skutek turbulencji powierzchniowej, jaką spowodowałyby jego śruba.

Nikt się nie zdziwił, kiedy o trzydzieści mil od wybrzeża Tajwanu Xia nagle się wynurzył, by poeglować wzdłuż pasa wody oddzielającego kontynentalne Chiny od ich zamożnego i niepodległego sąsiada. Seawolf nie mógł płynąć dalej i kapitan Crocker z mieszanymi uczuciami

zawrócił i odplłynął na ocean po wschodniej stronie wyspy.

–Panowie, przechodzimy do planu B – oznajmił. – Przypuszczam, że Xia kieruje się do jednej z ich baz, być może z jakimś problemem albo dwoma, albo dziesięcioma. Spodziewam się, że chodzi o Xiamen. Stamtąd, jeśli wróci na morze, zapewne ruszy dalej na południe i opuści cieśninę

z drugiej strony. My tymczasem popędzimy wzdłuż wschodniego wybrzeża i podkradniemy się pod

południowe wyjście, by na niego zaczekać.

Środa wieczorem, 28 czerwca. Wyspa Gulangyu, Xiamen

i

Letni dom admirała Zhanga, z czerwonym dachem o zawiniętych ku górze brzegach i otoczony bujną zielenią drzew i krzewów, znajdował się nad kanałem Lujiang na Wyspie Grzmiących Fal.

Tego wieczoru gospodarz wraz z żoną Lan i gościem, serdecznym przyjacielem i dowódcą Floty

Południowej admirałem Zu Jicai, siedzieli na tarasie, sącząc białe wino i rozkoszując się łagodną

bryzą.

Obaj mężczyźni przylecieli do Xiamen samolotami marynarki tego samego dnia rano, Zhang z

Szanghaju, Zu ze swej kwatery głównej w Zhanjiang daleko na południu.

–A więc, mój drogi Yushu, naprawdę sądzisz, że gdzieś tam czai się amerykański okręt podwodny, śledząc nowego Xia?

–Owszem, i gorąco pragnę coś z tym zrobić. Nie wiem tylko co. Oni tam są, ale niebiosa wiedzą gdzie.

–Ocean jest wielki, a my nawet nie wiemy, gdzie zacząć, co?

–Nie. Nie wiemy. Ale zastanawiam się, czy ten drobny 80

problem z zaworem, który zmusił Xia do zawinięcia do Xiamen, nie okaże się ostatecznie dobrodziejstwem.

–Co masz na myśli?

–No cóż. Gdybyś był amerykańskim dowódcą i potajemnie śledziłbyś Xia na Morzu Wschodniochińskim, a on nagle wynurzyłby się i odskoczył na zachód, ku płytkiej Cieśninie Tajwańskiej, to co byś zrobił?

–Nie wiem, ale tak dużym okrętem jak Seawolf nie mógłbym dalej go śledzić.

–Zgadza się. Więc co byś uczynił? Poczekaj, sam ci powiem. Po pierwsze, odgadłbyś, że Xia ma problem i zdąża do jednej z naszych baz, prawda? A ty, mój drogi Jicai, dowodząc tym bardzo szybkim amerykańskim okrętem, pospieszyłbyś wokół Tajwanu, by spróbować odnaleźć Xia ponownie, kiedy będzie opuszczać cieśninę południowym wyjściem.

–Hmm... – mruknął dowódca Floty Południowej w zamyśleniu. – Mógłbyś odesłać Xia z powrotem na północ, zostawiając Amerykanina z pustymi rękoma o trzysta mil z tyłu.

–Nie miałyby to sensu. Amerykańskie satelity od razu wykryłyby nasz okręt i po prostu powiedziały Seawolfowi, gdzie ma go szukać.

–Nie sądzisz chyba, że Amerykanie posunęliby się do zaatakowania Xia?

–Jicai, ja tego nie wiem. Problem z okrętami podwodnymi i polega na tym, że one nie zostają trafione, a w każdym razie nie publicznie. One po prostu znikają, najczęściej tam, gdzie do dna są tysiące metrów. Gdyby Seawolf zniszczył nasz okręt, nie mielibyśmy pojęcia, gdzie on jest. Lata by nam zeszły na poszukiwaniach. Nie mamy odpowiedniej technologii, a zresztą nawet gdybyśmy go znaleźli, z pewnością nie potrafilibyśmy go wydobyć na powierzchnię. Pozostałoby to kolejną podmorską zagadką. Nawet nie warto by pytać Pentagonu, odpowiedzieliby, że nie wiedzą, o czym mówimy.

–I dlatego tak usilnie chcesz ich przepędzić z tych wód?

–Oczywiście. Wiem jedno: oni tam są. Tego jestem pewien. Znam ich dobrze.

Następnego ranka, zanim rozpanoszył się przedpołudniowy upał, admirał Zhang wyszedł samotnie na długi, wczesny spacer. Potem wraz z admirałem Zu zjedli lekkie śniadanie

i poszli na brzeg, skąd motorówka marynarki zabrała ich do bazy

Chociaż formalnie Zhang był przełożonym całej chińskiej floty, to admirał Zu – jako gospodarz –

zwołał naradę sztabową z udziałem sześciu dowódców okrętów akurat znajdujących się w bazie, w

tym niszczyciela i fregaty. Zapoznał ich z podejrzeniami naczelnego dowódcy, który siedział biernie

obok niego. Wspomnił o prawdopodobnym wykryciu przez Kilo, trzy dni wcześniej,

amerykańskiego okrętu atomowego. Wskazał obszar morski wokół południowo-zachodniego wybrzeża Tajwanu, gdzie, jak się spodziewano, Amerykanin będzie czekał w zasadzce od następnego dnia w południe. Stuknął palcem w mapę na współrzędnych 22°45'N i 119°50'E, u wejścia w Cieśninę Tajwańską, gdzie dno oceanu obniża się od stu do trzystu metrów.

–To, jak sami dobrze wiecie, jest królestwo podwodnia-ków, towarzysze – powiedział. – Jutro rano Xia opuści bazę w Xiamen i uda się z powrotem na głębokie wody, by kontynuować próby

morskie. Amerykańskie satelity niewątpliwie to zauważą. Dlatego spodziewamy się, że Seawolf

będzie patrolował ten akwen, a naczelnny dowódca życzy sobie, abyście urządzili mu całą kanonadę

z bomb głębinowych i moździerzy, i narobili dość hałasu, by wyglądało to na wybuch wojny. W

zasadzie chcemy ich tylko odstraszyć i wysłać z powrotem do Pearl Harbor. Ale jeżeli któremuś z

was przydarzy się rozwalić Amerykaninowi kadłub i wysłać go na dno, wiedzcie, że otrzymacie nie

wypowiedziane, ale serdeczne podziękowania od naszej ojczyzny.

Cała szóstka oficerów się uśmiechnęła. Po raz pierwszy zabrał głos admirał Zhang.

–Towarzysze, jestem pewien, że się rozumiemy. Wielka szkoda, że Amerykanie wprowadzili

swój najlepszy okręt na nasze wody bez powiadomienia nas o tym, akurat w trakcie jednego z

naszych częstych ćwiczeń w zwalczaniu OP. To straszne, utracić taki wspaniały okręt... ale cóż

możemy powiedzieć? Nie mieliśmy pojęcia, że on tam jest. Wielki pech, doprawdy, wielki pech...

Ta przemowa wywołała gromki śmiech i zgodne kiwanie głowami, po czym kapitanowie rozeszli

się na swoje okręty.

Ruszająca w morze flotylla miała się składać z dwóch silnie uzbrojonych niszczycieli rakietowych klasy Luda o nazwach Zhanjiang i Nancang, wyposażonych w dwa moździerze przeciwpodwodne FQF o zasięgu tysiąca dwustu metrów i cztery wyrzutnie bomb głębinowych BMB. Nowy niszczyciel zmodernizowanej klasy Luda III, Zuliai, najszybszy z tej trójki, jako jedyny posiadał broń balistyczną CY-1. Pozostałe trzy okręty były lekkimi fregatami klasy Jianghu, typ 053: Shantou, Kangding i Jishou, o wyporności tysiąca pięciuset ton, uzbrojonymi w moździerze ZOP i montowany na kadłubie system sonarowy średniej częstotliwości Echo-5 do aktywnego poszukiwania i ataku.

–Dziękuję, towarzysze – pożegnał ich admirał Zhang. – Wiem, że mnie nie zawiedziecie.

300700CZE06. 2200N/12010E. Głębokość 90 m. Prędkość 12 w. Kurs 020°

USS Seawolf bezszelestnie sunął wzdłuż południowo-za-chodniego krańca Tajwanu, trzymając się głębokiej wody

0 osiemnaście mil od brzegu. Porucznik Pearson pochylał się nad mapą, nanosząc nowy kurs.

–Możemy tak iść jeszcze całkiem długo, sir – powiedział. – Po siedemdziesięciu milach będziemy wciąż mieli sto pięćdziesiąt metrów wody. Dwadzieścia pięć mil stąd musimy zostawić po lewej burcie dwie piaszczyste łachy, ale poza tym mamy spokój.

–Największym problemem jest odszukanie Xia – odparł dowódca. – Z bazy w Xiamen do wyjścia z cieśniny jest tylko siedemdziesiąt mil. On musi się tu pojawić, płynąc w wynurzeniu i - oby – tuż obok nas, za około trzy godziny. Jeśli przeloty satelitów nie będą zgrane z naszym programem, nie pozostanie nam nic innego, jak tylko podejść bliżej brzegu

1 wypatrywać.

–On jest wystarczająco duży, sir – zauważył porucznik Kyle Frank. – O połowę większy od nas i robi hałas. Jeśli tu nadpłynie, wykryjemy go.

I tak się też stało. Seawolf namierzył Xia o jedenastej 83

trzydzieści z odległości osiemnastu mil. Technikom sonaro-wyra należało się za to uznanie, przez poprzednią godzinę bowiem byli bardzo zajęci dużą liczbą jednostek nawodnych, wszystkich chińskich, wszystkich wojennych, wychodzących z Xiamenu w morze zapewne na jakieś ćwiczenia. Teraz Judd Crocker ustawił swój okręt na pozycji 23°25'N, 119°55'E, zwrócony ku otwartemu oceanowi, mając Tajwan dwadzieścia mil za rufą. Krążyli tam powoli, tuż na południe od samotnych wysp Penghu o przepięknych, białych plażach. Sonary wskazywały na spory ruch o trzydzieści mil na południowy zachód, ale nie te sygnały miały

priorytet. Najważniejszy sygnał

pochodził od trzynastu tysięcy ton stali i elektroniki składających się na najgroźniejszy chiński okręt, sunący z prędkością dwudziestu pięciu węzłów kursem, który przeprowadzić go miał o dwadzieścia mil od Seawolfa. Judd Crocker rzucił zwykłą serię poleceń:

–Ster w lewo, kurs dwieście dziesięć. Prędkość piętnaście węzłów.

Liczył na to, że znów podejdzie do Chińczyka od rufy i zacznie go śledzić w drodze na tak pożądaną głębie oceanu. Jednak w godzinę później sytuacja się raptownie zmieniła. Sonar odebrał

serię odgłosów głośnych podwodnych eksplozji, których nie dało się pomylić z niczym innym.

Bomby głębinowe.

Co się, u diabła, dzieje?

Takie nie wypowiedziane pytanie cisnęło się na usta wszystkich. Tuż za nim jednak pchało się następne: czy nas wykryli?

Jeśli tak, to niezbyt są celni, pomyślał dowódca. Posuwają się ku nam, ale wybuchy słyhać o dziesięć mil stąd. Skoro bomba głębinowa musi wybuchnąć w promieniu trzech metrów od celu, aby spowodować jakieś uszkodzenia kadłuba... no, na razie nie ma zagrożenia.

Było typowe dla Judda, że zapytał:

–No i co, ZDO, co pan o tym wszystkim myśli?

–Nie ma jeszcze problemu, sir – odrzekł Linus Ciarke. – Ale jeśli oni płyną szykiem czołowym*, wrzucając całe to żelastwo do wody, to mogą nas złapać w pułapkę, prawda? * Równolegle do siebie w jednej linii.

Nie możemy odsunąć się na północ na płytsze wody, a oni są na południe od nas. Musimy przejść

między nimi, sir. Sir, mają nas w saku...

–Niezupełnie, Linus – sprostował dowódca, nie nakazując żadnej zmiany kursu ani prędkości.

Eksplozje przybierały na sile i Judd wiedział, że za chwilę będzie to wyglądało jeszcze groźniej. Z

odległości trzech kilometrów wybuch bomby głębinowej sprawia wrażenie wybuchu jądrowego,

jeśli człowiek jest przerażony.

–Centrala, tu sonar... Ciężki ostrzał, sir. Wciąż bomby i coś słabszego.

–Straszą nas tylko, może nawet granatami ręcznymi – mruknął dowódca. – Nie mają zielonego pojęcia, czy tu w ogóle jesteście. Podajcie namiar na Xia.

–Nadal robi dwadzieścia pięć węzłów na powierzchni, sir. Kurs wciąż sto trzydzieści pięć. Przejdzie o jakieś cztery tysiące metrów na południowy zachód od nas. Przy takim kursie tej flotylli nawodnej Xia będzie około trzech mil na północ od nich, kiedy go przechwycimy.

–Dzięki, Kyle.

Seawolf płynął bezszelestnie naprzód, zwalniając stopniowo, by w odpowiednim momencie zapewnić sobie właściwą pozycję za rufą Xia. Przypominało to manewry tuż przed rozpoczęciem regat, kiedy jachty halsują w pobliżu linii startowej, oczekując sygnału i starając się zająć najlepszą pozycję wyjściową właśnie na tę chwilę. Judd Crocker, osobiście prowadzący okręt, był w tym dobry; może nie tak jak jego ojciec, ale z pewnością za dobry dla Chińczyków.

–Podchodzę bliżej – oznajmił wśród huku eksplozji. – Tuż za rufę Xia. Chyba poniżej

mili... Pilnujcie za mnie odległości... Linus, sprawdzaj ją z Kyle'em i Shawnem. To będzie cholernie

trudne... Pamiętajcie, że nie da się pójść w głębokie zanurzenie, gdyby nas wykryli. Musimy

utrzymać jak najmniejszą prędkość, ale podejść tuż za rufę tego chińskiego wielkoluda. Te fregaty bez wątpienia przestaną rzucać bomby i strzelać z moździerzy, kiedy Xia się do nich zbliży. Nie wiem, jak dobrym strzelcem jest ich oficer ZOP, ale nie będzie chciał przypadkowo

wstrzyma się na czas przejścia Xia. Potem chyba zaczną znowu, ale wtedy my też przejdziemy przez ich linię, jeśli będziemy się trzymać blisko za nim. Podchodzę na peryskopową na szybki rekonesans. Andy, jak tam twój trym?

Seawolf wzniosł dziób i ruszył w górę; po chwili wyrównał tuż pod powierzchnią. Z kiosku wysunął się peryskop, rozcinając błękitną powierzchnię spokojnego oceanu.

–Jest akurat tam, gdzie powinien być... Myślę, że przejdzie nam przed dziobem za jakieś pięć minut... trzyma wciąż kurs południowo-zachodni. Opuścić peryskop, stery głębokości pięć stopni w dół. Zejść na dziewięćdziesiąt metrów. Niezdrowo przebywać za blisko powierzchni – mruknął Crocker. – Mimo że jesteśmy daleko od wszelkich brzegowych radarów, a te okręty nawodne robią tyle hałasuj że pewnie by nas nie zauważyli nawet z podniesioną wysoko banderą. Ale w tej grze nie będziemy ryzykowali, nie teraz. Musimy przyjąć, że wszyscy chcą nas zabić.

Seawolf posuwał się ostrożnie naprzód z prędkością dziesięciu węzłów. Sonarzyści uważnie śledzili przejście okrętu przeciwnika sonarem pasywnym.

–Okay, sir, powinniśmy zrobić zwrot za nim w tej chwili.

–Ster w lewo, kurs sto trzydzieści pięć. Zwiększyć prędkość do dwudziestu pięciu węzłów. Panowie, wchodzimy!

Prowadzenie okrętu przejął teraz komandor Ciarke, ustawiając go prawie dokładnie w kilwaterze

Xia. Oba okręty dzieliło zaledwie tysiąc metrów, ale na tej głębokości Seawolf nie pozostawiał na

powierzchni zdradliwego śladu, a przy doskonałej izolacji akustycznej był praktycznie nie do wykrycia.

Grzmot wybuchów bomb głębinowych narastał; byli teraz o dwie mile od linii fregat. Od kilku minut zdawać się mogło, że trafili w strefę wojenną.

–Umarłego by obudzili – zauważył Brad Stockton.

–Gorzej – dodał dowódca. – To wystarczy, by obudzić marynarke tajwańską. Zastanawiają się, co się tu dzieje. Założę się, że już dzwonią do Pentagonu z meldunkiem, że kontynentalne Chiny rozpoczęły wojnę.

Przy prędkości dwudziestu pięciu węzłów Xia i jego „cień” przebywały jedną milę morską w dwie i pół minuty. Odgłosy 86

bombardowania nagle się urwały, kiedy chiński okręt wszedł w jego rejon. Na powierzchni trzy niszczyciele Luda ustawiły się w szyku torowym, by obserwować przejście tego wielkiego symbolu chińskiej potęgi morskiej. Ich dowódcy noszą w Marynarce Ludowo-Wyzwoleńczej stopień pułkownika; teraz wszyscy trzej stali na pokładach wraz ze swymi załogami, pod wielkimi szkarłatnymi proporcami AMLW z pojedynczą złotą gwiazdą nad czarnym i białym pasem. Trzy fregaty Jianghu ustawiły się w podobny sposób po wschodniej stronie Xia, i cała flotylla oddała honory banderami, a oficerowie i marynarze klaskali i pozdrawiali go okrzykami.

Oklaski i wiwaty brzmiały jeszcze, kiedy płynący o niecałą milę z tyłu Seawolf przemykał się w zanurzeniu dosłownie pod nosami Chińczyków, by bezpiecznie ruszyć w dalszą drogę na południe już poza zasięgiem bomb i moździerzy ZOP. Kiedy bombardowanie zaczęło się ponownie, nękając puste wody na północy, już nie mogło zaszkodzić amerykańskiemu intruzowi. Wkrótce odgłosy eksplozji zaczęły cichnąć, aż wreszcie zupełnie zamilkły. W głębi oceanu zapanował idealny spokój. Okręty sunęły wzdłuż pięknego południowego wybrzeża Tajwanu, gdzie żyzna nadbrzeżna równina wznosi się na spotkanie zbiegającym ku morzu zboczom wysokich gór Chung-yang.

–Zanurza się, sir! Xia schodzi w głębię. Namiar i prędkość bez zmian. Odległość: jedna mila.

–Zostańmy trochę z tyłu. Z łatwością możemy go śledzić z dwóch mil – polecił kapitan. – Lepiej mieć trochę zapasu i nie musimy deptać im po piętach. Zwolnić do piętnastu węzłów na sześć minut, potem wrócić na dwadzieścia pięć... dopóki Chińczyk utrzyma swą prędkość. Pilnuj go, Kyle.

Dwa okręty płynęły dalej w podwodnym tandemie. Na dwudziestym drugim równoleżniku Xia zmienił kurs na południowo-zachodni, mknąc o sześćdziesiąt pięć mil od brzegów prowincji

Guangdong, gdzie głębokość morza sięga trzech tysięcy metrów. Według Judda Crockera zdązał on

na nieznaną obszar operacyjny, by tam przeprowadzić próby morskie. O osiemnastej trzydzieści

brakowało im trzystu mil do redy Kantonu, którego wody od wieków są niedostępne dla innych niż

chińskie statków. Ten zakaz bywał, oczywiście,

f

beztrosko łamany przez Brytyjczyków*, którzy zawijali tam regularnie, jak zwykle uznając się za

właścicieli całego świata i w najmniejszym stopniu nie obchodziło ich, czy są mile widziani, czy nie. Porucznik Pearson obliczył, że będą mijać Guangzhou, czyli Kanton, jak wciąż go nazywał, o

brzasku pierwszego lipca. Tymczasem płynęli nieprzerwanie dalej, popychani parą pod ciśnieniem

wytwarzaną przez gładko pracujący reaktor komandora Richa Thompsona.

Innym przypadkiem podwyższonego ciśnienia w okolicy był admirał Zhang, w tej chwili piorunujący wzrokiem leniwe dżonki, pomiędzy którymi płynął motorówką do domu na wyspie Gulangyu. Nie znaleziono żadnych oznak mogących świadczyć o trafieniu: szczątków kadłuba lub

plam oleju. Dowódcy wywnioskowali, że żaden atomowy okręt amerykański nie śledził w tym czasie Xia. Każdy z okrętów nawodnych obrzucał głębiną wokół trasy chińskiego podwodniaka trocylem przez dwie godziny, zużywając w sumie dwieście bomb głębinowych i tyleż pocisków móżdziejowych. Efekt? Wielkie, tłuste nic.

Zhang im nie wierzył. To znaczy, nie wierzył w słuszność ich wniosku. Uważał za to, że mimo usilnych prób po prostu go nie trafili, a to stanowiło dlań osobistą porażkę, w głębi ducha bowiem

liczył na to, iż jedna z tych bomb wyrwie wielką dziurę w kadłubie USS Seawolf. Że tak się nie stało, wcale nie świadczyło o nieobecności Amerykanina; znaczyło jedynie, że żadna nie upadła

wystarczająco blisko. I że Sea-wolfa diabelnie trudno znaleźć oraz że prowadzi go dobry dowódca z

świetnie wyszkoloną załogą.

Piątek, 30 czerwca, godzina 9.00. Biuro doradcy prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego

W minutę po pełnej godzinie admirał Morgan wrzasnął, ignorując telefon wewnętrzny:

–Kawy!

*** Chodzi o wiek XIX i początek wieku XX do lat międzywojennych. 88**

Osiem sekund później drzwi otwały się raptownie i weszła Kathy O'Brien.

–Dobrze. Szybko i ładnie. Tak jak lubię. Jeszcze trochę ćwiczeń i będziesz zupełnie w porządku. – Mówiąc to, admirał nawet nie podniósł głowy znad biurka.

–Obawiam się, że nawet ja, przy największym oddaniu, nie potrafię zaparzyć kawy na twój sposób w mniej niż dziesięć sekund.

–Dobra – rzucił Morgan, wciąż nie patrząc na Kathy. – Trzy śruty i zamieszaj, s'il vous plaît.

Admirał nabrał zwyczaju posługiwania się francuskimi zwrotami od czasu ich fantastycznego paryskiego weekendu w kwietniu. Kathy miała nadzieję, że kolejna wizyta przekona go, że „t” w „plait” się nie wymawia.

–O, Wielki, którego umysł zajmuje się wyłącznie sprawami tak poważnymi, że reszta nas, śmiertelników, nie całkiem może je pojąć! Przynoszę wieści od wojska.

–Gdzie moja kawa? – zastanawiał się Morgan z uśmiechem, udając roztargnienie.

–Bożeż ty mój. On jest niemożliwy – westchnęła zrezygnowana. – Słuchaj, chcesz, żebym cię połączyła z admirałem Mulliganem czy nie? Jego adiutant zadzwonił przed dwiema minutami i prosił, żebyś połączył się z nim na bezpiecznej.

–Oczywiście i pospiesz się, dobrze? Te cholerne kobiety myślą tylko o kawie, kiedy tam może cała nasza flota dalekowschodnia jest o włos od unicestwienia.

–To ty jesteś o włos od unicestwienia – zakończyła tę wymianę Kathy, wychodząc z gabinetu.

– Bo, oczywiście, któregoś dnia mogę cię zabić.

–I co ja takiego, u diabła, zrobiłem? – zapytał admirał patrzącego nań z portretu George'a Pattona. – I gdzie jest ten cholerny Mulligan, skoro to takie pilne?

Pastelowozielony telefon zadzwieczał delikatnie, absolutnie nie harmonizując z charakterem swego właściciela. Morgan popatrzył na niego z niesmakiem i podniósł słuchawkę.

–Cześć, Joe. Co się pali?

Zamilkł natychmiast, kiedy szef operacji morskich opisał mu ostatnie zamieszanie w Cieśninie Tajwańskiej.

–Tajpej zameldowało o tym od razu na początku, krótko

przed lunchem. Mała chińska flotylla manewrowała o dwadzieścia mil od ich bazy w Kaohsiungu, miotając czym się dało na wszystkie strony. Tajwańczycy mają tam dość duże lotnisko wojskowe w Pingtung i wysłali na miejsce dwa zwiadowcze grummany S2E, które obleciały akwen na połapie siedmiu i pół tysiąca metrów, zameldowały o dużej akcji z użyciem bomb głębinowych i moździerzy. Nie było rakiet lecących w stronę wyspy ani też nie otworzono do nich ognia. Jedyną niespodzianką był widok wielkiego strategicznego okrętu podwodnego pod banderą Marynarki Ludowo-Wyzwoleńczej, płynącego w wynurzeniu na południowy wschód, prawdopodobnie z Xiamenu. Nie wykryli innego podwodniaka w tym rejonie ani na, ani pod wodą. Trochę mnie to zdziwiło, bo Tajwańczycy przekształcili te grummany w naprawdę wyspecjalizowane maszyny ZOP. Nowe czujniki, nowy radar APS 504, sonoplawy*, torpedy Mark 24, bomby głębinowe, po prostu wszystko. Gdyby w rejonie chińskiej akcji był jeszcze jeden duży okręt, musieliby go dostrzec. Do diabła, sprzedaliśmy im nasz najlepszy sprzęt. Mają legalnie prawie wszystko to samo, co Chinole nam ukradli...

–A twój wniosek, szefie?

–Nie wiem, gdzie jest nasz człowiek.

–No, najwyraźniej go nie ustrzelili, bo inaczej już wiedziałoby o tym pół świata.

–Zgadza się. Według Tajpej ostrzał zakończył się o czternastej trzydzieści.

–A zatem on tam się nadal czai.

–No, nie mógł przecież iść za nimi w Cieśninę Tajwańską. Za wielkie ryzyko, jest tam za płytko. Może czekał na południu i podjął śledzenie Xia w drodze na akwen ćwiczebny... Gdzieś muszą zrobić próby morskie...

–Nasi ludzie uważają, że Xia będzie stacjonować w głównej bazie Floty Południowej w Zhanjiang, więc może właśnie tam się udaje, Joe?

–Chyba powinniśmy być wdzięczni losowi, że dotąd nie

* Przenośne czujniki akustyczne zamontowane na pływakach; zrzucone z samolotu w rejon przypuszczalnego pobytu okrętu podwodnego pomagają w określeniu jego pozycji.

odkryto obecności Seawolfa. A ja po prostu przekazuję ci informacje, bo pomyślałem sobie, że zechcesz być na bieżąco.

–Dzięki, Joe. Chcesz poznać mój wniosek? Chińczycy są przekonani, że ich obserwujemy. I jak trafi się im pół łutu szczęścia, mogą naprawdę zatopić nasz okręt. Potem powiedzą, że im cholernie przykro, ale trzeba było im powiedzieć, że chcemy sobie pomyszkować wokół ich wybrzeży.

–To byłoby do nich podobne. Ta wschodnia przebiegłość...

–Te chińskie kutasy. Cześć, Joe.

Admirał Mulligan nie zdawał sobie sprawy z wyróżnienia. Doradca prezydenta nie żegnał się nigdy z nikim poza szefem operacji morskich. Był na to zbyt zajęty i zamyślony. Sam prezydent czasem zostawał z głuchą słuchawką przy uchu, podczas gdy jego współpracownik parł już naprzód, nie poświęcając choćby najkrótszej myśli takim niuansom bon tonu.

–On po prostu nie zwraca na nikogo uwagi – brzmiał werdykt permanentnie zastraszonego

kierowcy Arnolda. – Nie ma na to czasu, człowieku. Nie ma czasu!

020130CZE06. 2050N/11640E, Morze Południowo-chińskie. Prędkość 25 w. Głębokość 60 m. Kurs 250°

Komandor podporucznik Ciarke prowadził okręt przez głębokie wody ponad sto mil morskich na południe od chińskiej bazy wojennej w Shantou. Xia ani myślał zwolnić, zatrzymać się ani zmienić kurs, prac cały czas przed siebie. Zespół Judda Crockera doszedł do wniosku, że jego obszar operacyjny znajduje się wokół pozycji 20°25'N, 11°46'E, na wschodni południo-wschód od Zhanjiang, kwatery głównej Floty Południowej. Tam bez wątpienia zejdzie niżej, by rozpocząć próby w głębokim zanurzeniu. Będzie jednak musiał od czasu do czasu podejść pod powierzchnię,

by połączyć się z satelitą, zameldować o ewentualnych problemach, a może spotkać się z eskortą nawodną. Kiedy zrobi to pierwszy raz, Judd Crocker osobiście poprowadzi Seawolfa głębiej i maksymalnie bezszelestnie podpełźnie pod jego stępkę. Tuż pod nią. Z dokładnością do kilku centymetrów, nie widziany, nie wy-91 f

kryty, omiecie cały kadłub Chińczyka sonarem i narysuje automatycznie jego kształt na ekranie echosondy, który dla naukowców z marynarki USA w Waszyngtonie będzie wskazówką, czy Chińska Republika Ludowa jest w mocy wystrzelić wielką rakietę na Los Angeles i trafić w cel. Trzeba powiedzieć, że według wszelkich kryteriów kapitan Crocker został obarczony niezwykle trudnym zadaniem. Szpiegowanie obcej łodzi podwodnej,

podsluchiwanie i obserwacja, nagrywanie i śledzenie to jedno; próba tak bliskiego zajrzenia jej, można by rzec, pod spódnicę to coś zupełnie innego, w dodatku nie zdradzając własnej obecności. A jednak takiego wyczynu dokonali już wcześniej Brytyjczycy, na Morzu Barentsa w szczytowym okresie zimnej wojny, na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Cały incydent był trzymany w tajemnicy, ale Judd słyszał, że brytyjskiemu dowódcy udało się podejść naprawdę blisko sowieckiego okrętu strategicznego klasy Delta,

o wyporności dziesięciu tysięcy ton, przeznaczonego do wystrzeliwania spod wody rakiet balistycznych, i dokonać pomiaru sonarowego całej zanurzonej części kadłuba. Udało mu się przy tym uniknąć wykrycia, ale dla skompletowania informacji musiał jeszcze wysunąć peryskop o sto metrów od Rosjanina i sfotografować go w celu zmierzenia wysokości górnej części wyrzutni. Peryskop wyszedł ledwie pół metra nad gładką powierzchnię wody. Brytyjczyk zamierzał utrzymać go w górze przez siedem sekund, robiąc trzy zdjęcia. Ku swej zgrozie stwierdził, że olejowy zaciek na szkle zbytnio zniekształca obraz, by zdjęcia dobrze wyszły. A to oznaczało przynajmniej trzydzieści sekund opóźnienia, by osuszyć obiektyw na nieprzyjaznym powietrzu. Jeszcze bardziej się przeraził, kiedy obraz poprawił się tak, że mógł dostrzec gromadzący się na mostku Delty tłumek wskazujący wprost na jego peryskop i czającą się za nim kamerę, oko Zachodu, największego intruza. Rozpoczęło to potężną trzydniową akcję poszukiwawczą w wykonaniu prawie całej sowieckiej Floty Północnej, ale brytyjski dowódca dosłownie wodził ich za nos

1 uciekł z dokonanymi pomiarami.

Niewielu amerykańskich oficerów znało tę historię, a żaden z nich nie znał człowieka, który tego

dokonał. Naprawdę

niewielu dowódców zaś otrzymało kiedykolwiek zadanie powtórzenia tego manewru, tak jak teraz

Judd Crocker, który na razie smacznie spał w swej kabinie, pozwalając swemu zastępcy ciągnąć za

Xia, z prędkością dwudziestu pięciu węzłów.

Zmiana wachty nastąpiła o czwartej nad ranem. Kapitan Crocker wrócił do centrali, a komandor

Ciarękę formalnie zdał mu dowodzenie:

–Pan przejmuje, sir.

–Przejmuję prowadzenie – potwierdził Judd.

Obaj byli zdziwieni hałasem, jaki robił chiński okręt. Przy tej prędkości można go było usłyszeć z

daleka, ale to dlatego, że płynął bardzo szybko jak na swoje możliwości, podczas gdy Seawolf posuwał się naprzód zaledwie połową mocy, pozostając za rufą Xia, w martwym sektorze jego sonarów.

Jak zauważył tego ranka admirał Zhang: „Gdybyśmy tylko potrafili znaleźć sposób na adaptację

systemu satelitarnego, który zdobyliśmy od Amerykanów! Chyba jednak skazani jesteśmy w tym na

klęskę, podobnie jak ja w swych próbach odnalezienia i «przypadkowego» zatopienia amerykańskiego szpiega. Ale oni mnie nie zwiodą. Wiem, że tam są, wciąż śledząc mój nowy, piękny okręt”.

Była teraz czwarta rano i naczelnny dowódca nie mógł spać. Siedział samotnie w swym gabinecie z

widokiem na morze. Miał na sobie mundur, ale zdjął buty. Na zewnątrz padał gęsty deszcz; rozpoczynała się pora monsunowa. Nazajutrz nad wodą stanie mgła. Tymczasem admirał

rozmyślał nad rozpostartą mapą z zaznaczonymi głębokościami morza poza izobatą stu metrów, gdzie naniesiono obszar operacyjny Xia. O czwartej trzydzieści wystukał na klawiaturze wiadomość dla admirała Zu Jicai, dowódcy Floty Południowej, polecając mu postawić wszystkie swoje czternaście niszczycieli i fregat w jednogodzinnym pogotowiu do wyjścia w morze. Każdy okręt miał być w pełnym alercie przeciwpodwodnym i załadowany po nadburcia bombami głębinowymi, pociskami i torpedami. Nakazał wysłanie wiadomości przez satelitę do dowódcy Xia, by ten się wynurzył natychmiast po wykryciu choćby najslabszego śladu obecności amerykańskiego atomowego okrętu podwodnego i natychmiast o tym meldował

93

do sztabu. W ten sposób będzie można szybko posłać tam flotyllę ZOP, a Xia będzie bezpieczny.

Nawet ci amerykańscy gangsterzy nie ośmielą się go zaatakować, gdy będzie na powierzchni,

w pełni widoczny dla satelitów.

Zhang chodził po gabinecie tam i z powrotem, uderzając linijką o dłoń i przeczesując włosy palcami. Problem w tym, myślał, że muszę liczyć na błąd amerykańskiego dowódcy. A skoro powierzono mu najlepszy okręt US Navy, zapewne robi ich bardzo niewiele. Jeśli jednak zrobi,

dopadnę go. Cóż to będzie za chwila! W myśli ujrzał siebie, przemawiającego do naczelnego dowódcy sił zbrojnych USA... Ależ panie prezydencie, tak nam z tego powodu przykro. Jednakże,

jeśli posyłacie duży okręt atomowy na jakąkolwiek część Morza Południowochińskiego, zwłaszcza

tak blisko naszego wybrzeża, by szpiegował nasze najzupełniej legalne operacje morskie, musicie

się liczyć z tym, że wypadki mogą się zdarzyć. Cóż więcej mogę powiedzieć? Gdybyście tylko nas

uprzedzili, że przybywacie, bylibyśmy znacznie ostrożniejsi. Może w przyszłości tak postąpicie.

Jeszcze raz chciałbym bardzo przeprosić i wyrazić najgłębsze współczucie dla rodzin tych dzielnych marynarzy, którzy oddali życie...

Po raz pierwszy w tę najdłuższą z nocy na szerokiej twarzy naczelnego dowódcy Marynarki

Ludowo-Wyzwoleńczej pojawił się słaby uśmiech.

\

ROZDZIAŁ 3

030800LIP06. 2000N/11246E. Morze Południowo-chińskie, na zachód od wyspy Hainan.

Prędkość

6 w. Głębokość 90 m. Kurs zmienny

Śledzony okręt znacznie zmniejszył prędkość i zanurzył się głębiej. Linus Clarke wykorzystał szansę, by szybko rozejrzeć się po powierzchni. Poleciał podejść na peryskopową, ale niewiele udało

mu się zobaczyć. Nad Morzem Południowochińskim wisiała mgła barwy łoju, a widzialność spadła

do kilkudziesięciu metrów. Przełączył peryskop na tryb nocny, umożliwiając widzenie w każdych

warunkach, ale wyglądało na to, że morze jest puste. Nie było tu żadnej jednostki poza Seawolfem i

Xia, który znajdował się o dwie mile dalej na głębokości stu pięćdziesięciu metrów.

Takie gęste mgły w lipcu często występują wokół trzys-tukilometrowej wyspy Hainan, na której

północnym wybrzeżu, w porcie Haikou, znajduje się kolejna wielka baza chińskiej marynarki wojennej. Wraz z nadejściem południowo-za-chodniego monsunu rozpoczynał się okres ulewnych

deszczów czów, a upał na wspaniałych plażach Hainan bywał upiorny, z względną wilgotnością powietrza sięgającą dziewięćdziesięciu procent.

Obszar operacyjny Xia znajdował się mniej więcej tam, gdzie wydedukowały to tęgie głowy z Seawolfa, o sześćdziesiąt mil na wschód od bazy w Haikou i sto siedemdziesiąt mil od kwatery głównej Floty Południowej. Mówiąc inaczej, w dogodnym zasięgu dla ewentualnej pomocy lub ratunku, procedura bynajmniej nie nowa dla chińskiej marynarki, zważywszy na ich niezbyt imponującą historię operacji atomowych okrętów podwodnych.

Linus Ciarkę wydał odpowiednie rozkazy i Seawolf zszedł z powrotem w głębinę. Sonar milczał, a

na niższych pokładach załoga grała w pokera między wachtami; na obiad podawano befsztyki, zgodnie z uświęconą przez czas tradycją, że najlepsze jedzenie w amerykańskim wojsku należy się

ludziom służącym pod wodą w ciasnych kadłubach pozbawionych okien i bezustannie narażonym na niebezpieczeństwo. Dziś był poniedziałek i w telewizji leciała powtórka starego meczu między Giants i Redskins, wybrana z wielkiej okrętowej wideoteki. Urządzono totalizator, po pięć dolarów za najbliższe prawdy odgadnięcie daty meczu, z całą pulą dla zwycięzcy. Natura sportowego współzawodnictwa nie ginie nawet sto metrów pod powierzchnią egzotycznego morza. Wieczór zapowiadał się pomyślnie, poza jedną potencjalnie złą wieścią: „Einstein” był zdania, że ma wygraną w kieszfeni. Rozpoznał na okładce kasety zdjęcie obrońcy z Waszyngtonu i przypomniał sobie, że w swoje urodziny zwykł chadzać z ojcem na mecz Giants. Jeśli tylko utrafi rok, będzie w domu. Tego się można było po „Einsteinie” spodziewać; szczęściarz sukinsyn.

Ale gdyby przyszło do walki, komandor podporucznik Cy Rothstein, oficer uzbrojenia, będzie najważniejszą osobą na okręcie i w pewnym sensie los wszystkich spocznie w jego ręku. W najlepszym ręku, jak wszyscy wiedzieli. Nikt nie mógł iść o lepsze w intelektualnym pojedynku z tym wysokim, chłodnym oficerem. Przypuszczalnie dlatego kapitan Crocker specjalnie prosił o przydzielenie go na jego okręt. Niemniej to cholerny pech, że najpewniej już wygrał stawkę, zanim jeszcze gra się rozpoczęła.

Judd Crocker, który sam był zbudowany jak obrońca, nie oglądał meczu, chciał się trochę przespać. Linus Ciarkę, aby posiedzieć przed telewizorem, wziął na ochotnika wachtę od północy. Razem z nim mieli być na służbie szef Stockton i porucznik Frank.

Noc minęła bez niespodzianek. Utrzymali kontakt z Xia, pozostając o trzy mile z tyłu; drużyna Redskins rozgromiła Giants; „Einstein” wygrał totalizator, prawidłowo odgadując rok, w którym toczył się mecz. Motorzysta Tony Fontana, który zajął drugie miejsce, typując o trzy tygodnie w bok od celu, wrócił na swój pokład, mrużąc pod nosem: 96

–Skurczybyk... pamiętał nawet, że to był popołudniowy mecz przy jaskrawym słońcu. Gdybyśmy nawet razem trafili datę, wyprzedziłby mnie i tak porą dnia... Kurczę, jak mogliśmy wybrać mecz rozegrany w pieprzone szesnaste urodziny „Einsteina”?

Każdy, kto znalazł się w pobliżu, uśmiechał się, słysząc narzekanie Tony'ego, a komandor Rothstein łaskawie zaoferował mu zwrot jego pięciu dolarów, przyznając, że od początku był na punktowanej pozycji. Fontana nie wahał się wcale i pieniądze wziął.

Tymczasem Xia III wciąż posuwał się kursem południowo-zachodnim wzdłuż chińskiego

wybrzeża, na dużej głębokości i względnie cicho. Wydawało się, że się nie spieszy: płynął z prędkością zaledwie siedmiu węzłów. Kapitan Crocker odszedł od jego toru na siedem tysięcy metrów, po czym wykonał zwrot na dwieście siedemdziesiąt stopni, by wrócić znów na „ogon” Chińczyka. Kiedy Linus Ciarke przyszedł do centrali objąć wachtę, Seawolf był już ponownie na pozycji, bezszelestnie sunąc przez ciepłe, spokojne wody. Na powierzchni padał jednostajnie deszcz, a w gorącym powietrzu tuż nad wodą unosiła się blado połyskująca w księżycowej poświacie mgła. Widok byłby upiorny, gdyby ktokolwiek był tam i patrzył; jednak poza dwoma stalowymi drapieżnikami głębin wokoło nie było żywej duszy.

ZDO miał spokojną wachtę, ale o czwartej nad ranem, po dwunastu godzinach na nogach, czuł się zmęczony. Był czwarty lipca, ale oczywiście ani jemu, ani nikomu z załogi nie przysługiwało prawo do świętowania. Judd wrócił do centrali na zmianę wachty, życzył Linusowi „szczęśliwego czwartego” i odesłał spać. Nowa zmiana objęła wachtę na dwie godziny przed świtem. Porucznik Frank nie wykrył obecności żadnych innych jednostek w okolicy. Xia III niezmiennie włókł się na południowy zachód; nawigator wyliczył, że przez całą noc przebył zaledwie dwadzieścia osiem mil. W taką beczynną noc trudno utrzymać stan podwyższonej gotowości umysłu, ale Judd Crocker próbował wziąć się w garść. Jego zadanie, a w każdym razie zasadnicza jego część, było jasno określone: ustalić wysokość wyrzutni rakiet na chińskim okręcie. Sposobność mogła się nadarzyć w każ-97

dej chwili, może o świcie, gdyby Xia się wynurzył. Wówczas nadejdzie czas na wykonanie najniebezpieczniejszego planu,

o jakim kiedykolwiek słyszał. Jeśli to spieprzy i chiński okręt go usłyszy, natychmiast zacznie mu deptać po piętach, posyłając jednocześnie po orientálną „kawalerię”: samoloty, szybkie kutry,

niszczyciele, fregaty, śmigłowce i Bóg wie co jeszcze. A znajdowali się o dwieście mil od dwóch

poważnych chińskich baz: mniej niż godzina lotu dla dobrego samolotu patrolowego czy śmigłowca

OOP wylądowanego rosyjskimi sonoplawami. Judd Crocker grał o wyższą stawkę niż „Einstein” i

Fontana. Nic dziwnego, że nie umiał wykrzesać z siebie entuzjazmu dla poniedziałkowego meczu

futbolowego.

Świt wtoczył się nad zamglone wody znad Pacyfiku tuż po piątej czterdzieści. Deszcz ustał zupełnie. Sonarzyści wciąż odbierali silny sygnał z Xia III, a Seawolf posuwał się za nim na głębokości peryskopowej, z wolna, ukradkiem się doń zbliżając, czujny na wypadek, gdyby

chiński okręt zaczął się wynurzać. Judd uważał, że może się to zdarzyć lada chwila,

1 był gotów do natychmiastowego działania. W końcu przeciwnik był tylko na wstępnych ćwiczeniach i nie musiał długo pozostawać pod wodą.

Dowódca wykorzystywał wszystkie okrętowe środki zwiadowcze; zarządził alert dla personelu nasłuchu elektronicznego (ELINT) i radiowego (COMINT), których maszty antenowy sterczały z wody tuż za peryskopem. Judd patrzył na spokojne morze dookoła, ale widzialność na rozpoznanym obszarze operacyjnym Xia była silnie ograniczona.

Sonarzysta zameldował, że Xia wydaje nienormalne odgłosy i być może przygotowuje się do wynurzenia. Na powierzchni ciągle nic nie było widać. Wkrótce potem oficer sonarowy Kyle Frank wyraził opinię, że Chińczyk zarządził ciszę, czekając na któryś kolejny etap prób morskich. Po chwili łącznościowcy wychwycili transmisję radarową.

–Nasłuch do dowódcy. Sygnał w namiarze dwieście siedemdziesiąt, poziom czterdzieści dwa... pasmo X... podchodzi do poziomu niebezpiecznego.

–Rozumiem. Opuścić maszty i peryskop!

Nie zmieniając głębokości, Amerykanie podpłynęli jeszcze o cztery tysiące metrów bliżej.

Dowódca od czasu do

czasu unosił peryskop dla krótkiego zerknięcia, usiłując wypatrzeć śledzony okręt. Wtem, całkiem

niespodziewanie, wprost przed dziobem z mgły wynurzył się niewyraźny, szary kształt.

–Mój Boże! – szepnął Judd Crocker. – Otóż i on, nasz priorytetowy cel. Czyżby nadeszła nasza chwila?

–Nasłuch do kapitana! Mamy bardzo silny sygnał na czujniku ostrzegawczym peryskopu.

–Rozumiem.

Chiński radar mógł wykryć ich peryskop, ale Seawolf miał już przeciwnika na celowniku. Do centrali przyszedł Linus Ciarke, do którego okrętowym „głuchym telefonem” doszło, że dzieje się coś istotnego.

–Mamy go, sir?

–Mamy go, Linus. Jest tam, na powierzchni, i obija się. Robi pięć węzłów kursem zachodnim. Myślę, że nie mają zielonego pojęcia o naszej obecności. Musieli uznać, że skoro ta kanonada pod Tajwanem nie dała rezultatu, to znaczy, iż nikogo tam nie było...

–No, jest szósta rano, sir. Myślą pewnie, że całe Stany Zjednoczone czwartego lipca mają wolne, więc mogą sobie bezpiecznie zasiąść do smacznego śniadanka. Słodko-kwaś-ne płatki kukurydziane, pałeczki w ruch!

Dowódca roześmiał się. Pomimo oczywistych różnic między nimi lubił towarzystwo swego zastępcy. Po chwili powiedział cicho: '

–Wejdę pod niego od rufy na pomiar echosondą pod kadłubem.

–Tak jest, sir.

Seawolf płynął dalej, na wody już coraz płytsze, ponieważ w tym miejscu dno wznosiło się do szelfu kontynentalnego. To był ich pierwszy dzień w tym obszarze i nie wiedzieli, czy ktoś może węszyć w okolicy, ani też, gdzie się chować w razie wykrycia. Nawet w najlepszych okolicznościach ten patrol byłby trudny. Ale komandor Ciarke był wyraźnie podekscytowany perspektywą najbliższej godziny i przez głowę przelatywały mu różne warianty.

–Czy powinniśmy pójść dołem szybko i raz dwa załatwić sprawę? A może z wolna i ostrożnie? Osobiście jestem za

szybkością... Chcę przez to powiedzieć, że chyba nie chcemy dać się przyłapać tuż przy jego rufie z

gaciami na dole.

Tym razem miał sporo racji. Kapitan odrzekł:

–Wolałbym mieć więcej czasu na pełne rozpoznanie akwenu, ale go nie mamy... Linus, idę prosto pod niego.

Posuwając się z prędkością sześciu węzłów, Seawolf nie pozostawiał śladu na powierzchni. O trzysta pięćdziesiąt metrów od okrętu dowódca po raz ostatni wyjrzał przez peryskop, aby się upewnić co do dokładnego namiaru i odległości.

–Ster głębokości pięć stopni w dół... Zanurzenie trzydzieści trzy metry. Prędkość osiem węzłów. ZDO, prowadź mnie sonarem.

–Głębokość dwadzieścia cztery, sir.

–Peryskop w górę.

Przy tak małej odległości od Xia liczył się każdy metr. Po raz pierwszy Seawolf zdawał się poruszać niezgrabnie, za wolno się zanurzał, jakby zawisł w wodzie, wciąż płynąc naprzód prawie nie malejącym rozpędem.

–Chryste... Sir, on jest całkiem blisko! – zachłysnął się Ciarke.

–Tak, tak... słyszę cię. Nie przerywaj, podawaj mi dane. No, Seawolf, dawaj, na Boga, szybko w dół i prostuj się!... Słyszę jego śruby. Namiar!

–Namiar prosto przed dziobem. Rzeczywisty dwieście siedemdziesiąt.

–Niech ktoś odczytuje namiar pionowy.

–Trzy stopnie poniżej poziomu, sir! – Linus Ciarke podniósł głos.

–Dobra...

–Klinometr* wzdłużny zero, sir. Głębokość trzydzieści trzy metry, kurs dwieście siedemdziesiąt – zameldował Andy Cannizaro napiętym, ale czystym i stanowczym tonem.

–Zrozumiałem. Z tym kątem nie jest tak źle, jak myślisz, Linus. To refrakcja. Peryskop przejdzie pod nim, możesz mi wierzyć. Włączyć echosondy!

*** Inaczej przechyłomierz, wskaźnik przechyłu wzdłużnego (kąta trymu, przegłębienia) bądź poprzecznego statku.**

W

–Echosonda górna pracuje, sir. Mam prostą linię od powierzchni, siedemnaście metrów od wierzchołka kiosku.

–Pięknie – skwitował kapitan.

Judd Crocker wykonywał teraz najbardziej precyzyjny manewr swego życia. Dopasował prędkość Seawolfa do ruchu większego chińskiego okrętu, który sunął w wynurzeniu dokładnie ponad nimi, rzucając na nich gigantyczny cień, bijąc wodę wielkimi śrubami i grożąc natychmiastowym ścięciem kiosku, gdyby unieśli się o więcej niż pięć metrów. Masywny żeglarz z Cape Cod dobrze jednak wiedział, co się dzieje, kiedy śruba dużego atomowego okrętu uderzy w kadłub innego: dużo stali, a czasem i dużo ludzi trafia na morskie dno.

Judd utrzymywał stałą prędkość sześć węzłów, sterując dokładnie wzdłuż osi symetrii Chińczyka. Nie miał czasu nawet pomyśleć o chińskich sonarach.

–Xia utrzymuje kurs i prędkość, sir. I nagle operator echosondy zawołał:

–Znacznik*! Górna echosonda wskazuje obiekt sześć metrów nad kioskiem, sir. Kieruję wiązkę pionowo w górę, idealnie na jego stępkę.

–Cudownie – szepnął Judd, starając się zachować jak największą ciszę, podobnie jak reszta załogi irracjonalnie obawiając się, że zdradzić ich może nawet bicie własnych serc. Z oczyma wciąż przy okularze peryskopu nieprzerwanie obserwował wzajemne położenie obu okrętów. –

Znacznik! Duża krata zaworu dennego na stępce... leciutko z prawej. Sternik, jeden w prawo.

Powtarzam, stopień w prawo. – Dowódca polecił nieznacznie zwiększyć prędkość, by szybciej

zakończyć powolne przejście pod brzuchem chińskiego okrętu. – Znacznik! Wloty wody po prawej i lewej burcie... Znacznik! Znów krata zaworu...

Przez cały czas przebiegające w poprzek przesuwającej się papierowej taśmy echosondy pisaki

rysowały dokładny zarys stępki Xia III i odległość każdego jej punktu od lustra wody.

* Chodzi o dodatkowy, wprowadzany przez operatora znak na wykresie rysowanym przez

echosondę w celu późniejszego obliczenia czasu i przebytej drogi między dwoma tak zaznaczonymi

Metr po metrze, boleśnie wolno, Seawolf pełzył naprzód przy zupełnej ciszy na pokładzie. Nikt nic nie mówił; jedynym odgłosem był słaby trzask elektrycznego pisaka przesuwającego się po papierze w rytm wysyłanych przez echosondę ultradźwiękowych impulsów. W końcu ciszę przerwał operator:

–Znacznik! Zgubiliśmy ślad kadłuba, panie kapitanie. Przeszliśmy pod nim! Znow widzę powierzchnię!

Załoga Seawolfa dokonała niemałego wyczynu. Pierwsza część istotnego obrazu Xia została zarejestrowana, ale teraz dowódca musiał spróbować kolejnego desperackiego i niebezpiecznego manewru. Ryzykując wszystko, należało raz jeszcze przepłynąć wzdłuż Chińczyka dla drugiej części rozpoznania: fotografii jego wynurzonej części przez peryskop. Wówczas uzyskaliby pełny obraz kadłuba i wyrzutni rakiet.

–Ster prawo na burtę... Głębokość dziewiętnaście metrów, trzy stopnie w górę. Kurs sto osiemdziesiąt.

Okręt położył się w ciasny zwrot, odchylając się od dziobu Xia i wychodząc spod niego, by przejść łukiem za jego rufę.

–Prędkość pięć węzłów... Peryskop w górę!

Z odległości nie większej niż sto metrów zaczęli zdjęcia. Judd wpatrywał się w chiński okręt, podczas gdy automatyczny system fotograficzny naświetlał jedną klatkę za drugą. Zdawało się, że

trwa to wieczność. Nagle Crocker dostrzegł pojawiające się na kiosku Xia sylwetki; nie był pewien,

czy dopiero teraz wychynęły na górę, ale wiedział, że jeszcze przed chwilą ich tam nie było.

Jego obawy potwierdziły się szybko. Jeden z Chińczyków wskazał palcem prosto, jak się kapitanowi zdawało, między jego oczy. Judd nie stracił jednak zimnej krwi, czekając na raport

obsługi kamery o zakończeniu zdjęć. Kiedy wreszcie -w osiem sekund później – nadszedł, na kiosku

Xia było już trzech ludzi i wszyscy wskazywali na peryskop Seawolfa. Dowódca jednak, o dziwo,

nie odezwał się nawet, ale utrzymał peryskop w górze jeszcze przez całą minutę, pozwalając

Chińczykom napawać oczy osobliwym widokiem amerykańskiego peryskopu, sunącego przez fale

na południe.

Linus Ciarke pomyślał, że według wszelkich kryteriów ich akcja fotograficzna wyszła tragicznie.

Peryskop sterczał z wody przez półtorej minuty, Bóg wie jak długo po zakończe-

niu zdjęć. Uznał, nie po raz pierwszy, że kapitan Crocker kompletnie stracił kontrolę nad sytuacją.

–Sir, miał pan peryskop w górze przez dziewięćdziesiąt sekund... – zauważył. – Przecież oni musieli nas zauważyć – dodał ze spóźnionym niepokojem.

–Masz oczywiście rację, Linus. Jak sądzisz, dlaczego guzik mnie to obchodzi?

–Jezu, sir, nie mam zielonego pojęcia!

–Peryskop w dół! – Judd wydał rozkaz, pozwolewszy chińskim obserwatorom jeszcze przez dodatkowe sekundy wpatrywać się w oddalający się na południe amerykański okręt.

Nie było jednak wielu wariantów ucieczki. Niewątpliwie zostali spostrzeżeni – trzeba by cudu, żeby tak się nie stało -a więc Seawolf musi opuścić ten rejon. Udanie się na zachód nie miałyby sensu, bo tam czekały płytkie wody wokół wyspy Hainan. Na północy rozpościerały się ruchliwe akweny operacyjne Floty Południowej admirała Zu Jicai, a w dodatku wydawało się pewne, że i Xia

odpłynie w tamtą stronę, skoro w jego rejonie znajduje się wykryty intruz.

Póki co, Judd musiał się oddalić od chińskiego okrętu. Jeżeli Xia zamierza ściągnąć tu pół marynarki wojennej ChRL, by zlokalizowała i dopadła Seawolfa, to on chciał o tym wiedzieć. To oznaczało konieczność podsłuchania meldunku radiowego do bazy. Kapitan nie spodziewał się, by transmisja nastąpiła przed upływem dwudziestu minut: przygotowanie, sformatowanie, zatwierdzenie przez dowódcę, szyfrowanie i strojenie nadajnika, cała procedura poprzedzająca nadanie ściśle tajnego sygnału musi zająć trochę czasu. Podziękował w myśli Bogu za będących na pokładzie dwóch znających chiński „szpionów" z wywiadu marynarki, którzy odczytają ten sygnał szybciej, niż go napisano. Zdecydował się na zwrot na północ.

–Ster w prawo, kurs trzysta sześćdziesiąt. Prędkość dziesięć węzłów.

Płynęli tak przez kwadrans, przechodząc o dwie mile za rufą Xia, który, jak wskazywały nakresy,

dalej podążał na zachód.

Dla Linusa sytuacja była już wystarczająco dramatyczna

bez pakowania się prosto pod główną bazę chińskiej Floty Południowej. Szukał teraz u kapitana

pochrzepienia; oczywiście nie bezpośrednio, ale w jego głosie słyhać było niepokój, kiedy zagadnął:

–Chyba ich zgubiliśmy, sir? Udało się nam? Czas ruszać na głębokie wody?

Judd Crocker nie odpowiedział zamyślony. Wiedział, że bez wątpienia ich zlokalizowano.

–Zwolnić do ośmiu węzłów. Peryskop w górę. Nasłuch, tu kapitan. Uwaga na sygnał radiowy z Xia, powinien zostać nadany lada moment. Powiadomcie mnie, gdy odbierzecie.

–Tak jest.

Minęło kolejne pięć minut. Seawolf wciąż podążał na północ.

–Nasłuch do kapitana... nadają sygnał... tłumaczymy.

–Dobra.

–Nasłuch do kapitana... Odbiór zakończony.

–Zrozumiałem. Peryskop w dół. Przyślijcie go natychmiast do centrali.

Bosman Chase Utley sam przyniósł rozszyfrowany i przetłumaczony sygnał z chińskiego okrętu kapitanowi, który szybko ogarnął wzrokiem jego treść.

–W porządku. Podają, że idziemy na południe z prędkością dwunastu węzłów od pozycji zerowej dwadzieścia północnej i sto jedenaście trzydzieści wschodniej. Przygotować okręt do cichego biegu. Prędkość siedem węzłów.

–Ależ, panie kapitanie! – zaprotestował Linus Ciarkę. – Czyżby pan się poddawał? Toż to kurs na chińskie gniazdo os! Prosto na ich największą bazę. To szaleństwo!

–Bynajmniej, Linus. To strategia. Przecież ostatnim miejscem, gdzie w ogóle przemknęłoby im przez głowę nas szukać, jest ich własny tyłek...

Wtorek, 4 lipca. Zhanjiang, biuro dowódcy Floty Południowej

Admirał Zu Jicai wpatrywał się w jaśniejący na ekranie meldunek z Xia III.

**0655 LIPIEC 4. 20N/112.46E. DOSTRZEŻONO PERYSKOP, KONTAKT
POTWIERDZONY, W**

MAŁEJ ODLEGŁOŚCI. ZIDENTYFIKOWANY JAKO AMERYKAŃSKI ATOMOWY O.P

**OSTATNI ZNANY KURS: 180. PRĘDKOŚĆ: 12 W. ODCHODZIMY Z REJONU
KONTAKTU**

NA ZACHÓD.

Admirał wcisnął przyciski alarmowe, stawiając swą flotyllę operacyjną w stan gotowości bojowej.

–Wykonać plan ZOP wariant siedem. Pozycja zerowa dwadzieścia stopni północnej, sto trzynaście

stopni czterdzieści sześć minut wschodniej. Kierunek poszukiwań sto osiemdziesiąt stopni.

Prędkość dwanaście węzłów.

Flota Południowa była w pogotowiu przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny; teraz okręty wyznaczone do zadania zaczęły szykować się do wyjścia w morze, by odszukać i – jeśli to będzie możliwe – zniszczyć amerykańskiego intruza.

Cztery niszczyciele rzuciły cumy o siódmej czterdzieści dwie – trzy z nich, Changsha, Nanning i Guilin, niemal się nie różniły od Nanchanga, który brał udział w akcji bombardowania pod

Tajwanem. Były to jednostki nieco powolne, ale groźne, o wyporności trzech i pół tysiąca ton i silnym uzbrojeniu artyleryjskim i raketowym, wyposażone w moździerz ZOP i bomby głębinowe. Najszybszy z czwórki był niszczyciel unowocześnionej klasy Luda III, Zuhai, posiadający bardzo zaawansowane technicznie sonary i nowoczesną broń przeciw okrętom podwodnym o kryptonimie CY-11. Admirał Zhang osobiście wydał jego dowódcy rozkaz przeniesienia się z miejsca niefortunnej pułapki tajwańskiej do Zhanjiang, do dyspozycji Zu Jicai w tym konkretnym zadaniu. Z bazy wyruszyło też pięć fregat klasy Jangjui: Zigong, Dongguan, Anshun, Yibin i Maoming. Były to wyspecjalizowane okręty ZOP, podobne do innego okrętu spod Tajwanu, Shantou. Jeszcze zanim minęły portowy falochron, włączyły nowoczesne sonary Echo-5 i ładowały bomby głębinowe na wyrzutnie. Do akcji skierowano też dwa szybkie kutry ZOP, pięćsettonowe Haiqing 037, uzbrojone w największe chińskie moździerz; spośród wszystkich typów kutrów patrolowych AMLW jednostek tych produkowano ostatnio najwięcej. Mia-105

ły bardzo dobre sonary aktywne montowane na kadłubie; przystosowane były do ataku przy

niewielkich prędkościach.

Na lotnisku marynarki, z lukami wypełnionymi bombami głębinowymi i najnowszymi rosyjskimi sonopławami, z pracującymi na pełnych obrotach silnikami czekały na pozwolenie na start dwa samoloty typu Harbin SH-5. W powietrzu znajdowały się już dwa francuskiej budowy śmigłowce

Aerospatiale Super Frelon. Te maszyny były rzeczywiście groźnym narzędziem walki; osiągały

szybkość dwustu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, wyposażone były w opuszczany do wody

(tzw. zanurzany) sonar HS-12 i doskonały francuski radar. Jeśli chodzi o uzbrojenie, ich

specjalnością były samo-naprowadzające torpedy ZOP. Przed upływem godziny miały się znaleźć w

rejonie poszukiwań. W ślad za nimi podążały tam jeszcze dwa inne śmigłowce, ulepszone

dauphiny-2 zbudowane w Chinach. Równie szybkie jak frelony, miały zasięg pięciuset mil

morskich, czyli ponad dziewięciuset kilometrów. Dotarwszy na miejsce, mogą prowadzić

poszukiwanie przez długi czas bez uzupełniania paliwa. Uzbrojone były w kierowane radarem

rakiety średniego zasięgu powietrze-woda; mogły się okazać przydatne w wypadku wynurzenia się

Seawolfa.

Admirał Zu podniósł słuchawkę i zameldował naczelnemu dowódcy o swych działaniach. Ten wysłuchał meldunku uważnie i rzekł:

–Mówiłem ci, Jicai. Oni tam są. Śledzili Xia III od początku.

–Ale jak się im udało uniknąć wczorajszego bombardowania?

–Udało się, bo ich dowódca dobrze wie, co robi. Pamiętaj, że ma wiele doświadczenia w prowadzeniu najlepszych okrętów podwodnych, a Seawolf jest od naszych szybszy i cichszy. Nie zapominaj też, że jest śmiertelnie niebezpieczny. Jego oficer uzbrojenia musi być

najinteligentniejszym obok dowódcy człowiekiem w US Navy. Nie wiem, jakie mają

uzbrojenie, ale gdyby uznali za konieczne zatopienie jednego lub wszystkich naszych okrętów, najprawdopodobniej mogliby to zrobić. Oczywiście wątpię, by tak się stało. Amerykanie w istocie nie chcą „gorącej” wojny ani trochę bardziej niż my. Nie wolno

nam ich jednak sprowokować. Chcemy po prostu wybić w jego kadłubie sporą dziurę i pozwolić

mu z wdziękiem opaść na dno.

040845LIP06. 2020N/11130E. Prędkość 6 w. Głębokość peryskopowa. Kurs 360°

Seawolf sunął na północ w stronę Zhanjiang. Nie wydawał żadnych odgłosów, nie pozostawiał za

sobą kilwateru. Za dziesięć dziesiątą Judd Crocker polecił wysunąć peryskop na zaledwie kilka

sekund; operator nasłuchu elektronicznego natychmiast zameldował:

–Liczne sygnały w paśmie X, poziom niebezpieczny. Chaos... innego słowa na to nie ma.

Choć Judd nie mógł tego wiedzieć, o kilka mil na południe już się uwijały śmigłowce chińskiej marynarki, a dwa samoloty patrolowe zataczały szerokie kręgi wokół centrum rejonu poszukiwań.

Zaryzykował szybkie omiecenie horyzontu wzrokiem i o cztery mile na zachód dostrzegł idącą teraz na północ Xia. Widzialność się wyraźnie poprawiała. Po opuszczeniu peryskopu wysunął na

czterdzieści pięć sekund maszt nasłuchu radiowego; krzyżujących się w eterze sygnałów było mnóstwo. W pomieszczeniu łączności „szpiony” tłumaczyli je najszybciej, jak się dało. Nie było już

wątpliwości, że Flota Południowa prowadzi wielką akcję poszukiwawczą niezidentyfikowanego

okrętu podwodnego, widzianego po raz ostatni przed trzema godzinami.

Co ważniejsze, w odległości poniżej ośmiu mil morskich przed dziobem Seawolfa płynęła szybko

na południe flotylla co najmniej sześciu chińskich okrętów. Kyle Frank rozpoznał jeden niszczyciel,

pięć fregat i prawdopodobnie kuter torpedowy. Operatorzy nasłuchu pracowali ze zdwojonym

wysiłkiem, podobnie jak sonarzyści. Szlaki wyjściowe z bazy rozbrzmiewały kakofonią odgłosów

okrętów niczym poruszone gniazdo szerszeni. W miarę upływu minut na nakresie pojawiły się echa

jedenastu różnych jednostek posuwających się na południe... na spotkanie Seawolfa. W kwadrans

później przemknęły z szumem nad amerykańskim okrętem, co

107

sił podążając ku wyznaczonemu rejonowi poszukiwań. Przed nimi w wodzie tkwiły już sprawne

rosyjskie sonopławy, tworząc milczącą akustyczną zaporę dla każdego, kto próbowałby uniknąć

wykrycia i uciekać na południe.

–Cieszę się, że nie siedzimy tam wśród tego całego szajsu – mruknął Judd Crocker. – Mogłoby się okazać, że bardzo trudno się stamtąd wymknąć.

Dowódca był teraz górą. Gdy tylko zostali zauważeni, położył okręt na kurs północny, po czym udał się do mesy na śniadanie. Siedząc nad solidnym talerzem jajek na boczku, kielbasek i grzanek, przeglądał zrobione fotografie i starał się zapamiętać każdy szczegół. Poznał wszystkie wymiary Xia i przenoszonych przez niego rakiet, każdą linię jego kadłuba na wypadek, gdyby mieli utracić okręt i zdobyte zdjęcia. I gdyby znalazł się wśród ocalałych. Postanowił, że później poleci wszystkim zapamiętać także „Einsteinowi” i, być może, Linusowi Clarke'owi. W ten sposób zapewnił sobie szansę na dostarczenie do kraju chociaż trofeów ich rejsu, jeśli stanie się coś złego. Zdawał sobie sprawę, że niewola oznaczać będzie wielce nieprzyjemne przesłuchania przez ludzi admirała Zhanga, ale wątpił, by Chińczykom zależało na ich egzekucji. Chiński rząd mógł być gotów na „przypadkowe” zatopienie amerykańskiego okrętu, ale chyba nie zamierza przywozić szefów sztabów USA do ostateczności przez zgładzenie stu ludzi w okolicznościach, które opinia światowa mogłaby uznać za morderstwo z zimną krwią. W każdym razie jeśli on, Judd Crocker, przeżyje, Pentagon otrzyma szczegółowy opis Xia III i jego rakiet, a to było najważniejsze.

–Tymczasem Chinole szukają nas dziarsko w niewłaściwym kierunku – zachichotał. –

Pieprzyć ich.

Jeśli o niego chodziło, fotograficzna misja Seawolfa była dobrze przeprowadzona i zakończona. Zamierzał teraz ostrożnie odsunąć się od „rozróby” na południu i połączyć się z satelitą, by odebrać wiadomości. Skierował się znów ku Tajwanowi, wybierając na mapie kurs na akwen o głębokości stu kilku metrów. Będzie wtedy mógł się zanurzyć na sześćdziesiąt metrów i oddalić z prędkością piętnastu węzłów od poszukującego go zespołu admirała Zu Jicai. Po południu znajdą się o sześćdziesiąt mil od Chińczyków, na nie 108

uczęszczanych i głębokich wodach. Wówczas pozostanie im tylko czujnie czekać w zanurzeniu z nadzieją, że sokole oczy satelitów wypatrzą duży nowy niszczyciel klasy Luhai i pokierują ich na drugą część misji. Do tego czasu będą spokojnie patrolować wybrany akwen.

Jak się okazało, nowo odebrany sygnał z satelity był bardziej szczegółowy, niż Judd się spodziewał. Luhai, okręt o wyporności sześciu tysięcy ton napędzany turbiną gazową, został dostrzeżony w bazie Guangzhou, południowym chińskim porcie zwanym dawniej Kantonem. Oznaczało to, że nowy niszczyciel jest praktycznie nieosiągalny: Guangzhou leży sto trzydzieści kilometrów w górę szerokiej i nadzwyczaj ruchliwej delty Rzeki Perłowej, do której dostępu broni od strony morza łańcuch niezliczonych wysp między Hongkongiem i Makau.

Nie było możliwości, by tam wpłynąć i szpiegować silnie strzeżoną jednostkę, więc kapitan Crocker zdecydował się pójść spać na parę godzin, powierzając Linusowi Clarke'owi wyprowadzenie okrętu z rejonu chińskich poszukiwań, których fiasko przyprawiało w tej chwili admirała Zhanga Yushu niemal o utratę zmysłów. Raz za razem telefonował do sztabu Floty

Południowej i powtarzał to samo:

–Ten podwodniak musi tam być... Tylko szaleniec mógłby pójść ku brzegom. On tam musi być, a

wy musicie go znaleźć!

W miarę, jak dzień chylił się ku wieczorowi, a wysiłki zespołu ZOP nie dawały rezultatu, nawet i Zhang zaczął się skłaniać ku odmiennej wersji wydarzeń. „Szaleniec... albo podwodniacki geniusz”

–uznał.

Kurs Seawolfa zmienił się na bardziej wschodni, w stronę reddy Guangzhou, gdzie daleko w głębi delty, na lewym brzegu rzeki stał na cumach Luhai, który kiedyś w końcu też będzie musiał wyjść w morze. Komandor Ciarke przejął wachtę krótko po dwunastej, po czterech godzinach położył się spać, by o dwudziestej znów zjawić się w centrali, konkludując w myślach, że mało kto tak spędza Dzień Niepodległości.

Tfego wieczoru Judd Crocker jadł kolację z Cy Rothsteinem, ale zanim zdążyli zaatakować solidne porcje szarlotki z lodami, wachtowy wezwał kapitana do centrali. Kiedy Judd tam

–Przez ostatnie półtorej godziny mieliśmy całkiem niezłą zasłonę. Tuż po prawej za rufą łowiło ryby osiem miejscowych dżonek. Niedawno odpłynęły i zapanował spokój. I nagle dostrzegłem to światło. Obserwuję je od dwudziestu minut, sir. Wygląda na to, że może iść z Guangzhou. To pojedyncze czerwone światło i namiar się nie zmieniają. Sonary go śledzą i sklasyfikowany został jako niszczyciel klasy Luda DDG. Mamy jego „podpis”, a teraz robi dwadzieścia pięć węzłów. Powinien przejść blisko na zachód od nas. Być może po prostu idzie na patrol wzdłuż wybrzeża, ale nie mamy żadnego innego kontaktu. Widać tylko to jego lewe światło burtowe. Pomyślałem, że może będzie pan chciał na niego zerknąć.

–Jasne. Dzięki, Linus. – Przez dłuższą chwilę kapitan patrzył przez peryskop i głośno myślał:

–Hipm... trochę to dziwaczne... Wiadomo, że to wojenniak, idzie z dużą prędkością w środku nocy, a nie ma włączonego radaru? Trzeba mieć na niego oko. – Jego głos przybrał na sile. –
Oficer

wachtowy! Musimy się trochę odsunąć. Jeśli nie używa radaru, to jakby był ślepy. – Przerwał na

chwilę, by się zastanowić. – ELINT, tu kapitan. Czy odbieracie jakieś impulsy radarowe?

–Nie, sir. Nic nie ma. A już na pewno nie pracuje żaden system naprowadzający. Odbieramy tylko impulsy z tego starego ruskiego radaru brzegowego, który przy spokojnym morzu mógłby wykryć nasze maszty z dwudziestu mil. Zresztą nawet przy idealnie gładkiej wodzie nie stanowi dla nas zagrożenia, bo jesteśmy o trzydzieści mil od najbliższej wyspy.

–Jesteście pewni, że charakterystyka tego niszczyciela zgadza się co do joty z naszym książkowym opisem?

–Tak jest, sir. Ale sprawdzę raz jeszcze. Za chwilę, sir. Czerwone światło zbliżało się coraz bardziej. Judd nie

spuszczał z niego oka, dopóki operator ELINT nie odezwał się znowu.

–Sir, kiedy przyjrzałem mu się bliżej, ten sygnał radarowy trochę inaczej wygląda.

Częstotliwość jest lekko rozmyta; albo mają defekt, albo zmodyfikowali nadajnik. Ale jestem pewien, że to ten model lądowy, który znamy.

Kapitan wciąż obserwował sytuację przez peryskop. Nagle, ku jego zgrozie, do czerwonego światła

dołączyło zielone.

Widział teraz oba światła burtowe. Chiński okręt, odległy teraz raptem o tysiąc metrów, płynął po

gładkim morzu wprost na nich.

–Kapitanie, tu sonar. Kontakt zmniejszył prędkość do dwunastu węzłów. Aktywne impulsy sonarowe krótkiego zasięgu w namiarze. Interwał transmisji półtora tysiąca metrów.

Judd Crocker wiedział, jak to wygląda. Wiedział też, że ten wypierający trzy i pół tysiąca ton okręt o ostrym, nachylonym dziobie może posłać Seawolfa na dno, jeśli będzie zdecydowany taranować. Nie miał pojęcia, skąd niszczyciel wie o ich obecności, ale rozumiał, że musi szybko manewrować. Do kolizji pozostało, z grubsza licząc, sześćdziesiąt sekund.

–On jest tuż-tuż – rzucił do Clarke'a. – Idzie wprost na nas. Zanurzamy się. Ster głębokości dziesięć stopni w dół! Pół naprzód! Głębokość sześćdziesiąt metrów. Schować wszystkie maszty. Przygotować się do kontrataku.

Amerykański okręt szybko zsuwał się głębiej. Jego wielkie turbiny zwiększyły obroty; po pół minuty był już na trzydziestu metrach, po dalszych piętnastu sekundach na czterdziestu pięciu.

–Sześćdziesiąt metrów, sir.

–Sonar do kapitana. Na dwudziestu siedmiu metrach przeszliśmy przez warstwę*, sir. Jego stary sonar będzie praktycznie bezużyteczny powyżej tysiąca metrów...

Odpowiedź Judda prawie zagłuszył gwałtowny ryk dwóch śrub niszczyciela przepływającego tuż nad Seawol-fem. W chwilę potem zaczął słabnąć i oddalać się za rufę. Dały się słyszeć głośne wydechy, dotąd wstrzymane w napięciu. Kapitan obawiał się przede wszystkim, czy nie usłyszy charakterystycznego kliknięcia i łoskotu wybuchającej bomby głębinowej. Naturalnie zachował to dla siebie. Po chwili sonar wykrył zmianę. Porucznik Frank zawołał:

–Robi zwrot, sir! Luda chyba zawraca. Interwał trans-

* Graniczna warstwa wody między dwiema masami o różnej temperaturze i gęstości, stanowiąca

przeszkodę dla fal akustycznych i w znacznym stopniu utrudniająca pracę sonarów.

misji wciąż tysiąc pięćset metrów, maca sonarem dookoła. Nie ma kontaktu.

–Mam nadzieję, że się nie mylisz, Kyle. Zostaniemy głęboko i cicho. Na ile oceniasz zasięg jego sonaru w tych warunkach?

–Przypuszczalny zasięg nad warstwą: tysiąc siedemset metrów i więcej, sir. Pod warstwą tysiąc dwieście na optymalnej głębokości uniku... czyli czterdzieści trzy metry, sir.

–Zrozumiałem. Podejść na czterdzieści trzy metry. Seawolf bezszelestnie ruszył w górę i w bok. Mechanicy

śledzili ekrany swych komputerów, sternicy utrzymywali okręt poziomo na podanej przez dowódcę głębokości. Wysokie tony impulsów przestarzałego sonaru niszczyciela z wolna cichły, kiedy obie jednostki oddalały się od siebie. Seawolf mógł osiągnąć dwukrotnie większą prędkość, w zanurzeniu niż tamten na powierzchni, ale nie na tych płytkich wodach.

W dwadzieścia minut później dźwięki sonaru zamilkły na dobre. Po następnych dwudziestu Crocker ośmielił się przejść powyżej warstwy, by móc lepiej słyszeć. Nie było jednak niczego słychać. Seawolf znów był sam. Po raz pierwszy wreszcie dowódca miał czas na zebranie myśli i poprosił do centrali Kyle'a Franka, Linusa Clarke'a, Cy Rothsteina i poruczników Warrena i Pearsona do centrali.

–Panowie – zagaił – właśnie wydarzyło się coś naprawdę dziwnego. Mam nieodparte wrażenie, że ktoś tu nas nie lubi.

–Zabawne, że pan też to zauważył...

–Tak, i mnie się tak wydaje.

Ton był żartobliwy, ale temat śmiertelnie poważny: jak ten cholerny Chińczyk ich znalazł w zanurzeniu peryskopowym, dziesiątki mil od czegokolwiek i w środku nocy? Nie używając przy tym żadnych własnych detektorów! Dlaczego tak raptownie zmienił kurs, kiedy kapitan Crocker go obserwował i widział nagłą zmianę w ustawieniu świateł burtowych? Kto, u diabła, naprowadził ich tak precyzyjnie na kurs do staranowania Seawolfa? Wszyscy dobrze wiedzieli, że sonar Ludy przy dwudziestu pięciu węzłach jest do niczego, nawet przy spokojnym morzu i ponad warstwą. Nie było sposobu, by mógł samodzielnie ich zlokalizować.

–Nie, sir. On musiał dostawać wektor od kogoś z ze-

wnątrz. Na pewno z brzegu. – Cy Rothstein wyglądał na zaniepokojonego.

–A krzywizna Ziemi? – zaprotestował porucznik Frank. – Nikt nie może stosować radaru powierzchniowego na odległość powyżej czterdziestu kilometrów.

–My możemy.

–Tak, ale nikt inny nie ma technologii choć w przybliżeniu tak dobrej.

–Nie miał. Ale Chińczycy najwyraźniej już ją mają – stwierdził dowódca.

–Z jak daleka?

–Nie wiem dokładnie – odpowiedział nawigator Shawn Pearson. – Najbliższa z wysp za Zhujiang Kou leży gdzieś o czterdzieści mil na północ i stamtąd muszą prowadzić obserwację.

–A zatem wniosek jest jeden: że Chińczycy ukradli tajemnicę naszego najnowocześniejszego radaru, tak jak całą resztę.

–Chryste Panie. Takie już nasze szczęście, że użyli go akurat przeciw nam.

–Hej, czterdzieści mil to cholernie dużo jak na radar brzegowy. Mają jakieś łącze satelitarne czy co?

–Kto wie? Ale musimy być diabelnie ostrożni, nie ma co.

–Jestem za młody, by umierać – zapiszczał Shawn jak mała dziewczynka. – I nie cierpię Chińczyków. I chcę do domu!

Dowódca zaśmiał się; zawsze bawiły go zgrywy młodego nawigatora. Ale szybko spochmurniał.

–Musimy się z tym pogodzić – orzekł. – W ich przeklętej marynarce jakiś Chinol jest zdecydowany nas dopaść. Usiłuje to zrobić od trzech dni. Dwukrotnie zmobilizował pół floty, by

próbowała nas rozwalić bombami i moździerzami, trzymał w powietrzu lotnictwo marynarki czatujące na nas z torpedami, zaśmiecał wodę sonopławami, a nie minęło pół godziny, odkąd kazał

jednemu ze starych niszczycieli wysilić swe maszyny i gnać przez pół nocy, by nas staranować.

Panowie, musimy brać tego skurczybyka serio, bo inaczej da nam w dupę. Musimy pamiętać, że za

każdym razem, kiedy wychylimy z wody czubek peryskopu, on będzie to widział. Nie zapom-



nijcie, że przed chwilą nie zgadywał i nie szukał po omacku... on wiedział, gdzie jesteśmy, a przyznam, że dla mnie to całkiem nowe doświadczenie. Środa, 5 lipca, godzina 1.00. Dom admirała Zhanga Yushu

Naczelnny dowódca tej nocy znów nie mógł spać. Spacerował samotnie plażą, wpatrując się w morze i pozwalając myślom wybiegać w ciemne przestworza. Gdzie był amerykański okręt? Cóż za diabeł go prowadzi, jak udało mu się uniknąć przechwycenia i dlaczego po prostu nie odpłynął? Admirał był zdumiony. Ten człowiek jakimś cudem wymknął się całemu wielkiemu zespołowi: niszczycielom, fregatom, kutrom torpedowym, śmigłowcom i samolotom ZOP. I minionej nocy znów się pokazał, niedaleko Guangzhou. Nawet wykryliśmy jego maszt radarem, ale nie udało się go znaleźć. Czego on chce? I na to ostatnie pytanie admirał nie potrafił sobie odpowiedzieć. Wrócił niepokieszony do domu, wsłuchując się w odgłosy letniej nocy. Dla niego jednak cykanie świerszczy brzmiało jak impulsy dalekiego sonaru. Szelest wiatru wśród palmowych liści był jak szum śruby okrętu podwodnego. Odgłos fal rozbijających się o brzeg przypominał mu bosonogie dzieciństwo w pobliskim mieście Xiamen, gdzie mieszkali na łodzi rybackiej ojca, zakotwiczonej tuż przy plaży. Tak, w stosunkowo krótkim czasie zaszedł w życiu daleko. Teraz jednak musi znaleźć ten okręt. Im dłużej na niego polował, tym większa była jego determinacja: musi go trafić, a najlepiej zatopić.

Admirał przeszedł przez szeroki ganek i cicho wszedł przez balkonowe drzwi do swego gabinetu. Nalał sobie mrożonej herbaty, a kiedy popijał ją powoli, przyszedł mu do głowy pomysł. Podniósł słuchawkę i zadzwonił bezpieczną linią do admirała Jicai, który, jak wiedział, nie będzie miał mu za złe wyrwania ze snu. Nie w tym tygodniu, kiedy w ludowej marynarce panowało takie napięcie. Jicai odezwał się po trzecim dzwonku i przyjął prze-114

prosiny swego przełożonego za zakłócenie spokoju o takiej porze.

–Dzwonię, bo nie możemy dać się pokonać temu podwodniakowi, no i ty też chcesz go wyeliminować tak głęboko jak ja.

–Może nawet głębiej, towarzyszu admirale. Co byście powiedzieli na tysiąc sążni*? Zhang zaśmiał się.

–Jicai, próbowaliśmy wszelkich konwencjonalnych sonarów i systemów radarowych, jakie

mamy. Byliśmy blisko, ale nigdy dostatecznie; szybcy, ale niewystarczająco. Ale mamy dostęp do jedyne systemu, który może wykryć Amerykanina odpowiednio wcześnie, byśmy mogli uderzyć.

–Towarzyszu admirale, ten system jeszcze w ogóle nie był wypróbowany. Nie wiemy nawet, czy będzie działał.

–Amerykanie najwyraźniej uważają, że będzie. Zainstalowali go na swych najnowocześniejszych okrętach.

–Zgadza się. Ale oni mają oryginał, a my... no, coś w rodzaju kopii.

–Owszem, ale to w końcu tylko sonar holowany. Przecież potrafimy robić całkiem udane sonary holowane.

–Tak, towarzyszu admirale, ale nigdy nie robiliśmy tak długiego. Nawet nie próbowaliśmy.

–Może i tak. Ale nasi naukowcy dołożyli wszelkich starań, a raport na ten temat mówi, że sonar będzie pracował lepiej niż wszystkie, którymi dotychczas dysponowaliśmy. Przewiduje się, że nasz będzie działał równie dobrze jak amerykański.

–No cóż... ma tysiąc metrów, co dla mnie jest parametrem fenomenalnym. Mówią, że wychwyci każdy dźwięk w oceanie na przestrzeni wielu mil.

–Jeżeli będzie tak dobry, jak twierdzą nasi ludzie, Jicai, to możliwe, że znajdzie nam ten amerykański okręt. Jest zamontowany na nowym niszczycielu.

–Tak jest. W specjalnej nadbudówce na rufie. Okręt stoi przy pirsie na Rzece Perłowej, dobrze strzeżony.

*** 1 sążeń (ang. fathom) = 6 stóp = 1,83 m, często jeszcze stosowana na brytyjskich i amerykańskich**

mapach morskich jednostka głębokości morza, wypierana przez system metryczny.

–Czy jest gotów do wyjścia w morze?

–Tak jest, towarzyszu admirale. Absolutnie gotowy do ostatnich prób morskich. Mają się zacząć za dwa dni.

–Wyślij go w morze, Jicai. Poleć dowódcy pójść na akwen, gdzie Luda namierzył jego maszt i rozpocząć poszukiwania od tego miejsca. Amerykanin prawdopodobnie myśli, że jesteśmy beznadziejni, jeśli chodzi o ZOP, i być może jeszcze stamtąd nie odpłynął. Gdyby uciekł, nie dogonimy go. Ale jeśli nas nie docenia i został, może nam się udać. Jedyne okręt, który może tego dokonać, to ten niszczyciel z nowym holowanym sonarem.

–Kiedy ma wyjść? O brzasku?

–Nie, Jicai, nie o brzasku. Natychmiast. I powiedz pułkownikowi Li, że ma znaleźć Seawolfa. To osobisty rozkaz naczelnego dowódcy.

Godzina 2.00. Baza marynarki wojennej w Guang-zhou

Rzucili wszystkie cumy o dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt pięć. Dwa holowniki pociągnęły stu pięćdziesięcio-metrowy okręt klasy Luhai na szeroki nurt Rzeki Perłowej. Na jasnoszarym kadłubie widniały czarne litery jego nazwy: Xiangtan. Krwistoczerwony pas linii wodnej, oświetlony latarniami portowymi, odbijał się w czarnej wodzie prastarej kantońskiej rzeki. Do północy brakowało jeszcze minuty, kiedy dowódca niszczyciela, pułkownik Li wydał komendę: „Pół naprzód”.

Holowniki towarzyszyły mu jeszcze przez piętnaście mil w stronę ujścia, mimo że płynął samodzielnie, napędzany potężnej mocy turbinami konstrukcji ukraińskiej. Ustawily się po obu stronach dziobu, pełniąc raczej funkcję pilotów niż pomocniczych maszyn, i prowadziły wielki okręt między zdradliwymi płyciznami południowej odnogi rzeki.

Xiangtan był silnie uzbrojony w działa przeciwlotnicze, torpedy i pociski rakietowe woda-powietrze i woda-woda (te ostatnie stanowiły falangę podobnych do cruise'ów rakiet lecących tuż nad powierzchnią morza, o zasięgu siedemdziesięciu-116

sięciu mil morskich). Ta najnowocześniejsza pierwszoliniowa chińskiej marynarki osiągała prędkość trzydziestu węzłów, obsadzona była ponaddwustu pięćdziesięciosobową załogą, a jej

wyposażenia dopełniały stojące na rufie dwa silnie uzbrojone harbiny, śmigłowce znacznie wzmacniające jej potencjał ZOP, zwłaszcza pod względem zasięgu i szybkości działania.

Radary i sonary Xiangtana były najlepsze, jakie Marynarka Ludowo-Wyzwoleńcza mogła zakupić,

ale tej nocy znalazły się w cieniu wielkiego sonaru holowanego: superczułego podwodnego przewodu akustycznego, który wkrótce zostanie rozciągnięty w głębinie za rufą Luhaia, by rejestrować przedziwne odgłosy oceanu, eliminując zakłócenia, odfiltrowując przelotne kontakty, a przede wszystkim szukając wśród nich choćby najslabszego śladu dźwiękowego mechanizmów Seawolfa.

Załoga niszczyciela stawiała się na alarmowe wezwanie dowódcy; wielu z nich przybiegło ze swych

domów wokół stoczni, by w środku nocy zająć swe pierwsze stanowiska bojowe. Nikt nie wiedział,

co się dzieje, poza tym, że mają wyjść w morze na dwa dni przed planowanym terminem.

Cokolwiek było tego przyczyną, musiało być niezwykle ważne. W mig rozniosła się wiadomość, że

to rozkaz samego admirała Zhanga Yushu.

Płynęli teraz na południe w ciemnościach rozpraszanych tylko silnymi światłami szperaczy z pokładów pelengowych holowników, czujnie omiatających wodę przed zespołem. Kiedy okręty wyszły na szerokie wody delty, eskorta zawróciła do portu, a Xiangtan ruszył dalej dobrze oznakowanym kanałem prowadzącym na zachód od leżącej na terytorium Hongkongu wyspy Lantau. Wkrótce zostawił o siedem mil po prawej burcie Makau i popłynął dalej, trzymając się ustalonych tras nawigacyjnych, prowadzących wszystkie statki z Guangzhou na Morze Południowochińskie.

O piątej rano piątego lipca, w perłowym świetle przedświt i w lekkim deszczu, okręt pułkownika

Li mknął po spokojnych wodach już o prawie sto mil morskich na południe od ujścia Rzeki Perłowej. Nie mógł oczywiście wiedzieć, że w tej samej chwili komandor podporucznik Linus Ciarę prowa-

sięciu mil morskich). Ta najnowocześniejsza pierwszoliniowa chińskiej marynarki osiągała prędkość trzydziestu węzłów, obsadzona była ponaddwustupięćdziesięcioosobową załogą, a jej wyposażenia dopełniały stojące na rufie dwa silnie uzbrojone harbiny, śmigłowce znacznie wzmacniające jej potencjał ZOP, zwłaszcza pod względem zasięgu i szybkości działania.

Radary i sonary Xiangtana były najlepsze, jakie Marynarka Ludowo-Wyzwoleńcza mogła zakupić,

ale tej nocy znalazły się w cieniu wielkiego sonaru holowanego: superczułego podwodnego przewodu akustycznego, który wkrótce zostanie rozciągnięty w głębinie za rufą Luhaia, by rejestrować przedziwne odgłosy oceanu, eliminując zakłócenia, odfiltrowując przelotne kontakty, a

przede wszystkim szukając wśród nich choćby najslabszego śladu dźwiękowego mechanizmów Seawolfa.

Załoga niszczyciela stawiała się na alarmowe wezwanie dowódcy; wielu z nich przybiegło ze swych

domów wokół stoczni, by w środku nocy zająć swe pierwsze stanowiska bojowe. Nikt nie wiedział,

co się dzieje, poza tym, że mają wyjść w morze na dwa dni przed planowanym terminem.

Cokolwiek było tego przyczyną, musiało być niezwykle ważne. W mig rozniosła się wiadomość, że

to rozkaz samego admirała Zhanga Yushu.

Płynęli teraz na południe w ciemnościach rozpraszanych tylko silnymi światłami szperaczy z pokładów pelengowych holowników, czujnie omiatających wodę przed zespołem. Kiedy okręty wyszły na szerokie wody delty, eskorta zawróciła do portu, a Xiangtan ruszył dalej dobrze oznakowanym kanałem prowadzącym na zachód od leżącej na terytorium Hongkongu wyspy Lantau. Wkrótce zostawił o siedem mil po prawej burcie Makau i popłynął dalej, trzymając się

ustalonych tras nawigacyjnych, prowadzących wszystkie statki z Guangzhou na Morze

Południowochińskie.

O piątej rano piątego lipca, w perłowym świetle przedświtu i w lekkim deszczu, okręt pułkownika

Li mknął po spokojnych wodach już o prawie sto mil morskich na południe od ujścia Rzeki

Perłowej. Nie mógł oczywiście wiedzieć, że w tej samej chwili komandor podporucznik Linus

Ciarkę prowa-

ę

dził Seawolfa z wolna z powrotem na wschód, znajdując się o jakieś piętnaście mil i rumb* czy dwa

z prawej.

Pułkownik był, jak na razie, zadowolony z przebiegu akcji. Xiangtan sprawnie i szybko dotarł do

wyznaczonego rejonu poszukiwań, a załoga perfekcyjnie rozwinęła sonar holowany. Ciągnął się

teraz za nimi z rufy na tysiąc metrów jak groteskowy elektroniczny ogon, czarny, gruby na trzynaście centymetrów, niosąc w swym rdzeniu najnowocześniejsze przyrządy elektroakustyczne

we wszystkich oceanach.

Jeśli w jego myśli wkradała się jakakolwiek wątpliwość, dotyczyła ona tego, czy chińskich inżynierom uda się go właściwie podłączyć do pokładowych komputerów, które miały przetwarzać

lawinę danych z tego zadziwiająco sprawnego urządzenia. Właśnie owo przetwarzanie danych było

slabą stroną całego przedsięwzięcia; amerykańska technika była tu stokroć lepsza. Nie zmieniało to

faktu, że w historii nowoczesnych morskich środków walki nie było jeszcze systemu, który tak doskonale potrafiłby identyfikować specyficzne częstotliwości celów pośród kakofonii

oceanicznego tła akustycznego. Admirał Zu Jicai dobrze znał jego możliwości; mówiąc obrazowo,

ten sonar mógłby wychwycić szelest trybików nakręcanej myszki w piwnicach wieży Babel, i to z

dwudziestu mil.

050500LIP06. 2030N/11345E. Prędkość 10 w. Głębokość 45 m. Kurs 085°.

Na Seawolfie panował spokój. Sonar nie wykazywał obecności żadnych jednostek, kapitan Crocker

w końcu udał się na spoczynek, a Linus Ciarke pełnił wachtę w centrali. Dopiero o piątej

dwadzieścia pięć sonarzysta zaczął dostrzegać słabe linie od silnika, które jednak rosły, w miarę jak

szybko płynący Xiangtan zbliżał się do kursu amerykańskiego okrętu.

W normalnych okolicznościach pojawienie się jakiegokol-

*** Tradycyjna jednostka kąta w nawigacji, 1/16 kąta pełnego, czyli 22,5°, stosowana obecnie**

głównie do ogólnego określenia kursu statku bądź kierunku wiatru (stąd wzięły się określenia

w

rodzaju wschodni „południo-wschód” itp.).

wiek okrętu wojennego, a cóż dopiero dużego chińskiego niszczyciela, nakazuje wezwanie dowódcy do centrali. Linus Ciarke jednak uważał, że dla niego ten patrol nie był dotychczas szczególnie udany. Trzykrotnie okazał zdenerwowanie takiego rodzaju, jakiego żaden ZDO, który ma nadzieję na własne dowództwo w przyszłości, okazywać nie powinien. W głębi duszy był co prawda zdania, że są to tylko naturalne ludzkie odruchy w obliczu najwyższego niebezpieczeństwa:

zalania przedziału torpedowego w głębokim zanurzeniu, stanięcia na drodze nadbiegających torped czy zauważenia Seawolfa przez wielki chiński strategiczny okręt podwodny. Linus wiedział, że kapitan Crocker jest pierwszorzędnym dowódcą, ale wiedział też, że ich rozkazy wyraźnie zabraniały im dać się wykryć. A jak dotąd zostali wykryci już trzykrotnie... raz oczywiście pod Tajwanem, potem przez Xia, a ubiegłej nocy przez radar brzegowy. Judd może jest twardzielem, doświadczonym i utalentowanym oficerem, ale nie jest przecież supermanem. Linus Ciarke pomyślał sobie, że czas samemu wykazać się ikrą i udowodnić, że i on potrafi dowodzić amerykańskim atomowym okrętem podwodnym wykonującym ściśle tajne zadanie. Miał teraz za sobą wiele doświadczenia w CIA i sporo ważnych kontaktów. Bardzo chciał się przyjrzeć nadpływającemu chińskiemu okrętowi, więc nakazał zmniejszenie prędkości i podejście na peryskopową, kiedy kontakt zbliżył się na dwie mile. Trzeba go sobie obejrzeć. Gdyby przyszło do rozróby, zawsze przecież można uciec w głębinę i zostawić przeciwnika za rufą – tak, jak to

zrobił Judd Crocker przy spotkaniu ze znacznie mniejszym niszczycielem Luda.

W pomieszczeniu operacyjnym Xiangtana zapanowało poruszenie. Jeden z operatorów sonaru, nie

obeznany jeszcze z ekranem wyświetlającym wskazania wielkiego, tysięcmet-rowego sonaru

holowanego opracowanego w USA, pomyślał, że chyba coś odbiera, ale nie umiał powiedzieć co.

Zmiana w poziomach była jednak na tyle duża, że nie zawahał się zameldować linii od silnika.

Pułkownik Li, dowódca okrętu, natychmiast rozkazał zwolnić – zmniejszenie szumu opływu wody

ułatwia bowiem identyfikację obiektu. Niszczyciel niemal się zatrzymał, podczas gdy chińscy

operatorzy stukali

wiek okrętu wojennego, a cóż dopiero dużego chińskiego niszczyciela, nakazuje wezwanie dowódcy do centrali. Linus Ciarke jednak uważał, że dla niego ten patrol nie był dotychczas szczególnie udany. Trzykrotnie okazał z denerwowanie takiego rodzaju, jakiego żaden ZDO, który ma nadzieję na własne dowództwo w przyszłości, okazywać nie powinien. W głębi duszy był co prawda zdania, że są to tylko naturalne ludzkie odruchy w obliczu najwyższego niebezpieczeństwa: zalania przedziału torpedowego w głębokim zanurzeniu, stanięcia na drodze nadbiegających torped czy zauważenia Seawolfa przez wielki chiński strategiczny okręt podwodny. Linus wiedział, że kapitan Crocker jest pierwszorzędnym dowódcą, ale wiedział też, że ich rozkazy wyraźnie zabraniały im dać się wykryć. A jak dotąd zostali wykryci już trzykrotnie... raz oczywiście pod Tajwanem, potem przez Xia, a ubiegłej nocy przez radar brzegowy. Judd może jest twardzielem, doświadczonym i utalentowanym oficerem, ale nie jest przecież supermanem. Linus Ciarke pomyślał sobie, że czas samemu wykazać się ikrą i udowodnić, że i on potrafi dowodzić amerykańskim atomowym okrętem podwodnym wykonującym ściśle tajne zadanie. Miał teraz za sobą wiele doświadczenia w CIA i sporo ważnych kontaktów. Bardzo chciał się przyjrzeć nadpływającemu chińskiemu okrętowi, więc nakazał zmniejszenie prędkości i podejście na peryskopową, kiedy kontakt zbliżył się na dwie mile. Trzeba go sobie obejrzeć. Gdyby przyszło do rozróby, zawsze przecież można uciec w głębinę i zostawić przeciwnika za rufą – tak, jak to zrobił Judd Crocker przy spotkaniu ze znacznie mniejszym niszczycielem Luda.

W pomieszczeniu operacyjnym Xiangtana zapanowało poruszenie. Jeden z operatorów sonaru, nie obeznany jeszcze z ekranem wyświetlającym wskazania wielkiego, tysięcmet-rowego sonaru holowanego opracowanego w USA, pomyślał, że chyba coś odbiera, ale nie umiał powiedzieć co. Zmiana w poziomach była jednak na tyle duża, że nie zawahał się zameldować linii od silnika. Pułkownik Li, dowódca okrętu, natychmiast rozkazał zwolnić – zmniejszenie szumu opływu wody ułatwia bowiem identyfikację obiektu. Niszczyciel niemal się zatrzymał, podczas gdy chińscy operatorzy stukali 119 W

w klawiatury komputerów, usiłując opanować nowy system elektroniczny

Tymczasem płynący już na peryskopowej Seawolf znalazł się o dwa tysiące czterysta metrów na prawym trawersie chińskiego okrętu. Komandor Ciarke uruchomił kamerę noktowizyjną i patrzył przez peryskop. Rzuciła mu się w oczy sporych rozmiarów nadbudówka na rufie, większa niż zazwyczaj na okrętach obcych bander, choć nie tak rzadko spotykana na amerykańskich. Myśli Linusa zaczęły biec szybkim tempem. Domyślił się, na co patrzy. Wszyscy we flocie podwodnej wiedzą, że Chińczycy dostali w swe ręce ten nowoczesny sonar holowany, bezczelnie kradnąc plany i technologię Amerykanom.

–Podchodzę bliżej – oznajmił. – Oficer pokładowy, proszę trzymać okręt poziomo na peryskopowej. Chcę przejść mu za rufą i zrobić trochę zdjęć tej nadbudówce. Może uda się nawet sfotografować sam sonar.

–Ostrożnie, sir – ostrzegł go dyskretnie Andy Warren. – Nie wiemy, jak długi jest ten przewód.

–Nie martw się, Andy. Nie podejść bliżej niż na milę. Przecież tak długi nie jest? Przy tym jest to niszczyciel. Przewód sonaru biegnie za nim pod kątem w dół, a nie poziomo, jak za podwodniakiem.

–Sir, czy chce pan, bym zawiadomił dowódcę, że kręcimy się przy tyłku chińskiego niszczyciela sześciotysięcznika? Takie sprawy wielce go interesują – powiedział szef okrętu Brad Stockton, który właśnie wszedł do centrali.

–Nie uważam tego za konieczne, Brad. Tylko sobie popatrzymy. On nawet nie nadaje ani nic w tym rodzaju. Pomyślałem sobie, że przetniemy jego kurs około mili za rufą, zrobimy zdjęcia, a potem odejdziemy na parę mil, wysuniemy maszt rozpoznania radioelektronicznego i zobaczymy, czy nie da się łyknąć kilku szczegółów o jego nowym radarze i systemie łączności. Ex-amerykańskim, jak sądzę.

–No cóż, sir, dobrze. Skoro tak pan uważa. Myślę jednak, że dowódca powinien z grubsza wiedzieć, co knujemy. Jesteśmy okropnie blisko krytycznej części naszej misji. I proszę pamiętać,

sir, że nie znamy długości tego sonaru holowanego ani jego kąta zanurzenia, jeżeli mają go w wodzie.

–Moja ocena brzmi: jesteśmy bezpieczni – odrzekł Linus. – A ponieważ wygląda na to, że oni ukradli nam wszystko poza pomnikiem Waszyngtona, mamy wobec nich sporo praw. I zamierzam te prawa wyegzekwować. Zwrot! Ster w prawo, kurs zero dziewięćdziesiąt.

Prędkość

osiem...

Seawolf, z peryskopem wciąż sterczącym z wody, skręcił ku linii kursu obcego okrętu, by przeciąć

ją za jego rufą.

Tego manewru już jednak nie dokończył. Prawie, ale niezupełnie. Na głębokości dwudziestu trzech

metrów w jego wielką śrubę dostał się sonar holowany chińskiego niszczyciela. Gruby, mocny

kabel w gumowej izolacji zaczął się owijać na wale, zbijając się w pięciometrowej średnicy ciasną

kulę. Wał obracał się dalej, nawijając coraz to więcej zwojów, aż wreszcie silnik Seawolfa nie mógł

już dłużej walczyć z narastającym obciążeniem i stanął. Śruba została zablokowana.

Nikt jeszcze tego nie wiedział, ale już pierwsze szarpnięcie wyrwało przewód z mocowania na pokładzie Chińczyka. A teraz jego ciężar z wolna ciągnął rufę Seawolfa w dół.

Nie było żadnego hałasu, przeciwnie, na przegłęzionym pod dziwnym kątem okręcie zapadła ciężka, nieruchoma cisza. Jednak nawet dla pogrążonego we śnie dowódcy była ona jak przeraźliwy

wrzask o pomoc, zdolny przedrzeć się przez głuche uszy Beethovena. W dwie i pół sekundy Judd

Crocker był już zupełnie rozbudzony i wypadł ze swej kabiny. W pięć sekund później dopadł do

centrali.

–Co się dzieje, ZDO? – rzucił, łapiąc uchwyty peryskopu, który był wciąż wysunięty i

wycelowany na Xiangtana. Po trzech sekundach zanurzył się wraz z okrętem pod wodę, ale dla Judda te sekundy wystarczyły aż nadto. Rufa niszczyciela była o pięćset metrów, nie o milę, jak się wydawało młodemu komandorowi.

–Głębokość dwadzieścia siedem metrów, sir – meldował sternik z rosnącym napięciem w głosie. – Zwiększa się. Trym na rufę siedem stopni. Zwiększa się!

–To może nie być aż tak groźne, sir – wtrącił Ciarkę. – To tylko tymczasowe. Myślę, że o coś zawadziliśmy.

–Zawadziliśmy! – krzyknął Crocker. – Jesteśmy na środku Morza Południowochińskiego. W każdym razie byliśmy, kiedy ostatnio prowadziłem okręt, czterdzieści minut temu.

Tu nie ma o co zawadzić. Z wyjątkiem chińskiego niszczyciela tuż za burzą.

–Przeszedłem za jego rufą, by zrobić zdjęcia – tłumaczył ZDO. – Trzymałem się przynajmniej o milę od niego. Ale, jak widać, i to nie wystarczyło.

–Jezu, Linus! Jaką milę, do cholery! To tylko pięćset metrów. Przed chwilą widziałem. Chryste Panie, Linus! Miałeś ten pieprzony peryskop na małej mocy! No i wjechałeś wprost na jego sonar holowany

–O mój Boże! Na małej mocy... O mój Boże! Nie mogę w to uwierzyć. Tak mi przykro, sir!

–I mnie też, Linus. I mnie też – odparł Judd z rezygnacją. Sam nie mógł w to uwierzyć. Kiedyś jeden z jego uczniów popełnił identyczny błąd. Wystarczył jeden obrót uchwytu peryskopu w niewłaściwą stronę i chiński okręt został w oczach Clarke'a odepchnięty czterokrotnie dalej, niż był w rzeczywistości.

–Centrala, tu siłownia. Nie możemy uruchomić turbiny. Główny wał zablokowany. Sprawdzamy. Możemy jechać na awaryjnym napędzie.

–Zrozumiałem. Możemy mieć coś owinięte na śrubie. Dajcie pełną moc na awaryjnym i spróbujcie ruszyć głównym wstecz. Może uda się to odplątać.

–Głębokość trzydzieści metrów, sir. Trym na rufę dziesięć stopni.

Judd odepchnął na bok zastępcę i nakazał krótkie dmuchnięcie sprężonym powietrzem w główne rufowe zbiorniki balastowe w desperackiej próbie usunięcia skłonności okrętu do zsuwania się rufą

naprzód w głąb morza. Jakoś udawało mu się zachować zewnętrzny spokój, ale w środku aż w nim kipiało. „Ach, ten pieprzony ZDO, co za ostatni dupek! No, trzeba będzie wiele szczęścia, by się z tego wykaraskać”. Judd myślał gorączkowo, rozważając niezbędne pociągnięcia. „Co mam zrobić? Zanurzyć się? Wynurzyć? Wypowiedzieć wojnę? Zatopić okręt? Poddać się? Wezwać kawalerię? Niech to szlag!” A po chwili: „Spokojnie, Judd. Na rany boskie, spokój. Przemysł to dokładnie, od najlepszego wariantu po najgorszy”. Z najlepszym poszło łatwo. „Jeśli mamy szczęście, dowódca niszczyciela pomyśli, że przewód zahaczył o dno. Może 122

nawet nie zauważy jego braku jeszcze przez kilka minut, jeśli jest naprawdę głupi”. Jednak od tego

punktu scenariusz znacznie tracił na optymizmie. „Wciąż nie odpływa, co? Chce zaznaczyć pozycję, by później wydobyć swój cholerny kabel. A skoro on nie ma zamiaru się stąd ruszyć,

muszę ja to zrobić. Ale na awaryjnym napędzie mogą robić tylko trzy węzły. A na rufie mam pięćdziesiąt ton pieprzonego żelastwa. Na odzyskanie głównego napędu szanse są znikome. Jasna cholera!"

Oto była prawdziwa kapitańska samotność. Nie miał nikogo, do kogo mógłby się zwrócić.

Zwłaszcza do swego zastępcy.

Wokoło wszyscy wypełniali swoje funkcje z kamiennym spokojem, choć znaleźli się w kryzysie

przerastającym ich najgorsze koszmary.

–Siłownia do centrali. Wał główny nie chce się obracać się wstecz. Silnik awaryjny pracuje całą naprzód.

–Stery głębokości działają. Głębokość trzydzieści trzy metry, stała. Trym jest lepszy, sir... to jest, pięć stopni na rufę.

–Sonar do centrali. Wszystkie kontakty zagłuszone przez napęd awaryjny.

Judd wiedział, że kończą mu się opcje. Jeśli zatrzyma silnik awaryjny, Seawolf stanie również. A

wtedy dodatkowy ciężar na rufie, zbyt duży, by go skompensować balastowaniem, pociągnie go na

dno. Jediną szansą na przeciwdziałanie temu jest przedmuchiwanie głównych zbiorników. Ale

utrzymywanie choćby jako tako przyzwoitego trymu tą metodą jest piekielnie hałaśliwe, a poza tym

możliwe tylko przez jakieś pół godziny, zanim czysta fizyka wydarzeń znów ich nie przerośnie.

Brak powietrza, nagła zmiana głębokości w górę lub, co gorsza, w dół, albo zbyt duży kąt

przegłębienia – każda z tych przyczyn może spowodować automatyczne zatrzymanie reaktora,

ostatecznie okaleczając Seawolfa.

Z drugiej strony, jeśli utrzyma hałaśliwy silnik awaryjny w ruchu, będzie jak głuchy, ale

przynajmniej utrzyma stałą głębokość w granicach mniej więcej dziesięciu metrów. Ale nie będzie

to głębokość peryskopowa, zatem oprócz głuchoty grozi im także ślepotą.

Na głębokości peryskopowej zaś ruch na napędzie awaryjnym oznaczałby wynurzenie się kiosku od

czasu do czasu, co wspaniale rozgłosiłoby jego obecność na całe Morze Południowochińskie. Ten

napęd służyć miał tylko jako środek dowleczenia się do domu w czasach pokoju. Był równie cichy

jak piła tarczowa.

Kapitan Crocker walczył z ogarniającym go poczuciem bezsilności. Wniosek nasuwał się jeden:

muszą się wynurzyć i sprawdzić śrubę. Oznaczało to wyjście na powierzchnię tuż obok chińskiego

niszczyciela, ale przynajmniej znajdowali się na wodach międzynarodowych.

Wydał odpowiednie rozkazy i Seawolf niezgrabnie ruszył w górę, wolno i niestabilnie, ledwie dając

sobą»kierować. Był jak ranny wieloryb ze sterczącym z grzbietu harpunem. Judd spojrział przez

peryskop. Deszcz ustał i w bladym świetle świtu morze wyglądało pięknie, ale widok, jaki go powitał na powierzchni, nie wróżył dobrze. Przez szkło obiektywu widać było wyraźnie upiorną

plątaninę czarnego kabla ciasno owiniętego wokół śruby. Co gorsza, o dwieście metrów na lewym

trawersie stał duży chiński niszczyciel z działem obróconym na kiosk Seawolfa. Crockerowi zdawało się, że Chińczycy celują mu wprost między oczy.

–Jezusie, Mario i Józefie święty! – westchnął.

Myśli przelatywały mu przez głowę w zawrotnym tempie. Sytuacja była drastyczna, ale nie

wyjątkowa. Okręty podwodne i wcześniej zaplątywały się w przewody sonarów holowanych; najbardziej spektakularnym przykładem była przygoda okrętu brytyjskiego na Morzu Barentsa

we wczesnych latach osiemdziesiątych, który wynurzył się, przeciął kabeł i bezpiecznie powrócił do domu. Wszyscy wiedzieli też o incydencie, do którego doszło nieopodal wybrzeży Karoliny pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy sowiecki podwodniak złapał się „na wędkę” amerykańskiej fregaty. Marynarska legenda mówi, że Rusek musiał wyjść na powierzchnię, tak jak teraz Seawolf, i próbował się uwolnić, nie mając do dyspozycji odpowiedniego sprzętu. Marynarze amerykańscy podobno rozsiedli się na rufie, zajadali hot dogi, wyli ze śmiechu i każdą kolejną nieudaną próbę Rosjan kwitowali głośnym, szyderczym aplauzem. Juddowi wiadomo też było 124

o innym wypadku na Morzu Barentsa, jaki zdarzył się w wigilię Bożego Narodzenia w osiemdziesiątym szóstym. Wielki sowiecki strategiczny okręt klasy Tajfun nawiął na jedną z dwóch śrub sonar innego podwodnego szpiega Royal Navy, wyrwał go z zamocowania i odpłynął na jednej śrubie w swoją stronę.

Teraz jednak to sam Judd Crocker musiał zdecydować, jak postąpić. Dopóki nie uwolnią się od przewodu, będą unieruchomieni, zatem decyzja właściwie była oczywista. Bez napędu nie miałyby sensu iść w zanurzenie, bo i tak nie mogliby uciec, a w końcu musieliby się znowu wynurzyć. Dowódca nakazał więc przygotować zespół płetwonurków do natychmiastowej akcji. Szef Stockton wybrał ośmiu ludzi, czterech do nurkowania, resztę do pomocy z pokładu rufowego. Po paru minutach czwórka nurków już nakładała kombinezony i płetwy, a zespół pomocniczy przygotowywał akwalungi, palniki acetylenowo-tlenowe i wielkie dwuręczne nożyce do cięcia przewodu, a nawet topory: wszystko, co mogło posłużyć do uwolnienia śruby Seawolfa. Zespół wydostał się na zewnątrz drzwiami w prawej części kiosku, zasłoniętymi przed wzrokiem Chińczyków, i jeden po drugim wychynęli na pokład rufowy, posuwając się ku śrubie. Lecz gdy tylko wyłonili się zza kiosku, wchodząc w pole widzenia załogi niszczyciela, zostali wyparci z powrotem gradem pocisków z broni ręcznej, bijących w stł kadłuba i rykoszetujących ze świstem we wszystkich kierunkach. To, że nikt nie zginął, zakrawało na cud, ale udało im się bezpiecznie wycofać do wnętrza.

A zatem pierwsza zasada została określona. Chińczycy nie zamierzali pozwolić Amerykanom wypłatać się z pułapki, a nawet po prostu wyjść na pokład. Judd Crocker rozważał swe wciąż kurczące się możliwości działania. Gdyby dysponował napędem, mógłby pomyśleć o zatopieniu Chińczyka torpedami, ale z pewnością inne jednostki i samoloty były już w drodze. Kapitan tego cholernego niszczyciela na pewno nie zechce zachować tego małego dramatu dla siebie, pomyślał. Odwrotnie niż mój pieprzony ZDO.

Ponieważ nie mogli dostać się do śruby, by próbować ją uwolnić i uciec, byli już właściwie jeńcami Chińczyków. Ale przynajmniej Xiangtan nie starał się ich zatopić, no i znaj-125

dowali się na wodach międzynarodowych, kilka mil poza chińską jurysdykcją. Przez pewien czas wydawało się, że żaden z nich nie wie, co dalej począć, ale nagle Chińczycy wykonali pierwszy ruch. Z pokładu okrętu wystartował śmigłowiec. Judd obserwował go przez peryskop, jak sunie nisko nad wodą i zawisa tuż nad pokładem dziobowym Seawolfa. Luk się otworzył i opuściło się z niego czterech ludzi z jakimś ciężkim sprzętem na plecach.

–Co o tym sądzisz, Brad? – zapytał, przekazując bosmanowi peryskop.

–Nie wiem, co oni tam chcą robić, ale to nie są butle powietrzne, to sprzęt spawalniczy. Wie pan, co myślę? Oni chcą przyspawać nam do pokładu parę solidnych haków, by móc nas odholować do brzegu.

–Żartujesz?

–Nie, sir. To właśnie robią.

–No, to dlaczego by ich nie utopić? Po prostu zanurzymy się znowu – zasugerował oficer nawigacyjny.

–Dobry pomysł – pochwalił dowódca. – Otworzyć główne odpowietrzniki. Oficer pokładowy!

Zanurzyć okręt.

Do zbiorników balastowych znów wpłynęła woda i Seawolf z wolna zaczął się zanurzać, kołysząc się niezgrabnie na boki i wzdłuż, zamiast wsunąć się ładnie pod powierzchnię posuwistym, eleganckim ruchem, jak to by wyglądało przy pracującej śrubie. Judd nieprzerwanie obserwował sytuację przez peryskop i widział, że śmigłowiec nadleciał błyskawicznie i podjął marynarzy z wody. Nie mógł jednak powtarzać tego manewru w nieskończoność, bo w końcu zabraknie mu sprężonego powietrza na opróżnianie balastów, polecił więc ponowne wynurzenie. I znów pat; wśród samych złych opcji ta była najlepsza. Przygotował pilny meldunek do Pearl Harbor: SEAWOLF WYNURZONY NA POZYCJI 2030N/11335E. ŚRUBA UNIERUCHOMIONA PRZEZ SONAR HOLOWANY. CHIŃSKI NISZCZYCIEL XIANGTAN W POBLIŻU. OGIEŃ Z BRONI RĘCZNEJ UNIEMOŻLIWIA PRACĘ PRZY UWALNIANIU ŚRUBY. DZIOBOWE DZIAŁO WYCELOWANE W KIOSK. NIEZBĘDNA NATYCHMIASTOWA POMOC OKRĘTÓW I SAMOLOTÓW. 126

Odpowiedź z SUBPAC nadeszła w ciągu kwadransa.

PMDZ ETA 1300. ZTL W ZASIĘGU LOTNICZYM ZA 24 GODZ. WSPARCIE NAWODNE ZA

48 GODZ. AKCJA DYPLOMATYCZNA

W TOKU.*

–No, to wszystko brzmi zbyt powolnie – skomentował Crocker. – Sześć godzin dla samolotu patrolu

morskiego dalekiego zasięgu, cały dzień dla ptaszków z lotniskowca, a dwie doby dla nawodnych.

Sądzę, że do tego czasu jakoś powstrzymamy Chinoli przed dokonaniem istotnych ulepszeń naszego pokładu dziobowego. Ale nie będzie to łatwe.

Tymczasem na rufie niszczyciela zapanował ożywiony ruch. Krótco po szóstej oba harbiny wystartowały, niosąc dwa końce ciężkiej stalowej liny, która zwisała pomiędzy nimi niczym gigantyczne U. Judd patrzył, jak opuszczają ją do wody za rufą Seawolfa, przesuwają pod śrubą i

sterem do przodu, po czym wznoszą się na trzydzieści metrów, lekko napinając linę, i powoli zaczynają zataczać ciasny krąg, bardzo blisko siebie, ale pilnując, by nie zderzyć się wirnikami. W

efekcie mocna lina zakreśliła się wokół smukłej rufy okrętu podwodnego w stalowy węzeł. Nie mogła przesunąć się do przodu z uwagi na rozszerzający się kadłub, ani tym bardziej zsunąć z rufy,

w czym przeszkadzały śruba i ster. Niszczyciel ruszył wstecz i oba śmigłowce wylądowały na pokładzie rufowym. Juddowi wydawało się, że wyroiło się tam z dziesięć tysięcy Chińczyków.

Odgadł, co się szykuje, i miał rację. Końce liny zostały zamocowane na polerach i oto o siódmej

trzydzieści w deszczowy poranek piątego lipca dwa tysiące szóstego roku USS Seawolf, duma „cichej służby” amerykańskiej marynarki wojennej, rozpoczął powolną podróż na holu, rufą naprzód, ku niewoli. Na jak długo? Nikt nie wiedział. Po co? Na to pytanie Judd Crocker mógł łatwo odpowiedzieć; zwłaszcza że teraz do Xiangtana dołączyła eskorta w postaci dwóch

samolotów i dwóch szybkich patrolowców, które ustawiły się blisko obu burt amerykańskiego okrętu.

Komandor podporucznik Cy Rothstein również się domy-

* Wyjaśnienie skrótów: Patrol Morski Dalekiego Zasięgu; Estimated Time of Arrival = spodziewany czas przybycia, Zespół Taktyczny Lotniskowca.

127

m

ślił, że zostaną zaholowani do Guangzhou, gdzie Chińczycy postarają się rozebrać cały okręt na

czynniki pierwsze i skopiować wszystkie jego tajemnice: sonary, radary, komputery, układ napędowy, reaktor, uzbrojenie, okładzinę kadłuba. Jeszcze nigdy Chinom się tak nie poszczęściło.

Nigdy nie trafiła się im wspanialsza szansa utworzenia floty podwodnej na obraz i podobieństwo

amerykańskiej.

Jedyną otwartą kwestią pozostawał dla Rothsteina los załogi. Czy ich uwolnią? A może poddadzą

drobiazgowym przesłuchaniom, próbując wykorzystać najlepszych podwodniaków US Navy do

pomocy na drodze do dorównania zachodniej potędze morskiej?

Cy tego oczywiście nie wiedział, podobnie jak wszyscy inni. Ale w tym momencie Judd Crocker zmuszony był na nowo rozważyć opcję samounicestwienia: wysadzenia załogi do wody w kamizelkach ratunkowych i zatopienia okrętu. Zdawał sobie sprawę z katastrofalnych skutków wpadnięcia Seawolfa w ręce Chińczyków. Teraz mogło temu zapobiec właśnie zatopienie okrętu, i to na neutralnych wodach, gdzie US Navy będzie mogła chronić jego tajemnice. Taka dramatyczna akcja oznaczała jednak wysoką cenę. Chińscy marynarze już raz otworzyli ogień do jego ludzi i Judd przypuszczał, że zrobią to ponownie. Kosztem zatopienia Seawolfa mogła być śmierć wszystkich członków jego załogi.

Kapitan wiedział, że są już praktycznie jeńcami Chin i mogą być poddani przesłuchaniom. Żywił jednak usprawiedliwioną nadzieję, że dyplomaci mogą znaleźć jakieś rozwiązanie

kryzysu, a nieco targowania się ze strony rządu USA może przynieść im wolność. Tymczasem nie mogli zrobić nic innego, jak tylko czekać na następne posunięcie ich „gospodarzy”.

A będzie to nieprzyjemne oczekiwanie. Byli już blisko chińskich wód terytorialnych. Xiangtan holował ich z prędkością czterech węzłów, czyli czekała ich dwudziestogodzinna podróż. Pozbawiony własnego napędu okręt kołysał się dość silnie, pomimo spokojnego morza. Wszystkie inne systemy działały normalnie, więc mieli światło i klimatyzację zasilane z reaktora. Okręt miał też duży zapas żywności i wody, sprawnie działała łączność i dowódca mógł na bieżąco informować SUBPAC o rozwoju wydarzeń. 128

Nie bardzo jednak było o czym meldować. Mieli dwa wyjścia. Mogli zabarykadować się wewnątrz okrętu, broniąc Chińczykom dostępu do końca, i trzymać luki szczelnie zamknięte w oczekiwaniu na uwolnienie drogą polityczną. Mogli też się poddać i udawać wielkie oburzenie z powodu aresztowania na wodach międzynarodowych podczas najzupełniej pokojowego wypełniania swych zadań.

Niezależnie od wybranej drogi Judd nakazał zniszczenie wszelkich śladów ich działalności fotograficznej: zdjęć, kamer i odczytników, i ich wyrzucenie za burtę przez wyrzutnie torpedowe. Wraz z nimi powędrował do morza pocięty w drobne paseczki paszport zastępcy dowódcy okrętu. Judd odrzucił wariant z zabarykadowaniem się. Uważał, że może nadejść chwila, kiedy Chińczycy spróbują wedrzeć się do wnętrza okrętu siłą, co wiązałoby się z poważnym starciem wręcz, w którym po obu stronach zginęłoby z pewnością wiele osób. Jakkolwiek na to spojrzeć, bezsilne siedzenie w jednym z najpotężniejszych narzędzi walki na świecie było źródłem nieopisanej frustracji. Seawolf był zdolny posłać na dno nie tylko Xiangtana, ale i większość jego „kolegów”. Po to właśnie miał na pokładzie torpedy ADCAP Mk 48, na wypadek gdyby Stany Zjednoczone podczas któregoś patrolu przystąpiły do wojny. W lukach czekały też dalekiego zasięgu rakiety woda-ziemia Hughes Tomahawk z głowicami jądrowymi. Każda z nich mogłaby zmieść z powierzchni ziemi Pekin, a co dopiero Guangzhou. W razie czego mogą zniszczyć poważny szmat południowych Chin. A jednak kapitan Crocker był bezsilny, nie wolno bowiem mu było rozpocząć trzeciej wojny światowej na własną rękę. Nie był też w dobrym położeniu do pojedynku z niszczycielem, zresztą nawet gdyby go zatopił, na jego miejsce pojawiłoby się wiele innych. I w końcu Seawolf nieuchronnie poszedłby na dno, walcząc do końca.

Ostatni sygnał z Pearl Harbor jednak zabraniał mu otwierania ognia. SUBPAC grał na zwłokę, usiłując dogadać się z chińską marynarką i wyrażając zaniepokojenie, że amerykański okręt mógł być w taki sposób zatrzymany na neutralnych wodach. Chińczycy jednak, zgodnie z przewidywaniami, też grali na zwłokę: „Bardzo nam przykro z powodu 129

tego niefortunnego incydentu. Jesteśmy wielce wzburzeni, że wasz okręt, przenoszący broń termojądrową, zderzył się z naszym pokojowo nastawionym niszczycielem na próbach morskich na Morzu Południowochińskim. Po prostu odpowiedzieliśmy na wezwanie o pomoc ze strony dowódcy waszego okrętu. Nie mamy złych zamiarów. Pomożemy w remoncie okrętu... i wówczas będziemy mogli porozmawiać... co? Bardzo, bardzo nam przykro”. Północ, 5 lipca

2006 r. Biuro dowódcy Floty Południowej To był bez wątpienia najszczęśliwszy dzień w życiu admirała Zhanga Yushu. Radośniejszy nawet

od tego magicznego dnia, kiedy poślubił Lan, lepszy niż ten, kiedy kupili letni domek nad wodą i

bardziej ekscytujący od chwili nominacji na najwyższe stanowisko dowódcze w Marynarce

Ludowo- Wyzwoleńczej. Z twarzą rozjaśnioną uśmiechem maszerował po prywatnym gabinecie

admirała Zu Jicai, uderzając pięścią o dłoń i gratulując sobie wielkiej zdobyczy, jaką dał Chinom:

Seawolfa i jego załogę.

Być może pewnego dnia Najwyższy Sternik uzna za stosowne zwrócić go Amerykanom, ale nie

wcześniej, niż inżynierowie z chińskiej marynarki poznają jego najgłębsze tajemnice.

–O, mój przyjacielu Jicai! – wykrzyknął. – Cóż to za wspaniały dla nas dzień! Będą tu za kilka godzin. Czy wszystko gotowe? Największy pirs podwodniaków? Mamy ośrodek odosobnienia dla

połowy załogi? Resztę wsadzimy do cywilnego więzienia i zabierzemy się do tego okrętu. To jest

cudowne, wprost cudowne!

Zhang był w ekstazie, ale też zgadzał się, że w przechwyceniu Seawolfa poważną rolę odegrał łut

szczęścia. Był przy tym uosobieniem pragmatyka. W tej chwili wiedział, że ma w swym ręku –

może zaledwie na miesiąc – ostatni krzyk światowej techniki podwodnej. Miał świadomość, że

wśród aresztowanej załogi są ludzie, których wiedzy w dziedzinie sonarów, radarów, komputerów i

uzbrojenia zazdrości Ame-

mm

rykanom cały świat. Będzie miał do dyspozycji inżynierów i techników, którzy mogą zademonstrować każdą część okrętu aż po najmniejsze detale. Będzie miał ekspertów nuklearnych,

elektroników, raketowców, współczesnych amerykańskich rycerzy, którzy wiedzą, jak posłać wielką raketę międzykontynentalną dalej, niż się komukolwiek w Chinach marzyło. A przede wszystkim wiedział, że trzyma w ręku najlepszego dowódcę okrętu podwodnego w całej US Navy.

Nie miał pojęcia tylko o jednym: że wśród schwytanych oficerów Seawolfa znajduje się jedyny syn

prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki.

ROZDZIAŁ 4

Piątek, 7 lipca 2006 r. Delta Rzeki Perłowej, 9 mil morskich na południowy wschód od Makau

O dwie mile na trawersie cypla wyspy Zhu, u wejścia na wody delty Xiangtan ze swym wielkim,

czarnym więźniem na holu zmienił kurs z trzynastu na trzysta trzydzieści cztery stopnie. Sygnały

od SUBPAC tylko utwierdziły Judda w przekonaniu, że pomoc przybędzie za późno. Teraz o ratunku nie mogło być mowy i nikt na Seawolfie nie wiedział, co ich czeka po tej żalösnej, powolnej podróży do portu Guangzhou.

Znów zaczął padać deszcz. Z mroku wyłoniły się dwa holowniki marynarki, które poprzedniej nocy

eskortowały niszczyciela w drodze na morze. Dowódcy odbyli krótką naradę i po chwili holowniki

ustawiły się po burtach amerykańskiego okrętu, by asystować w manewrach na rzece. Można było

teraz płynąć szybciej i pułkownik Li nakazał zwiększyć prędkość do siedmiu węzłów. Mały zespół

ruszył przez szeroko rozlane wody ujścia, mierzącego na zachód od Hongkongu aż piętnaście mil.

Judd Crocker wręczył Linusowi Clarke'owi zestaw dokumentów składających się na zupełnie nową

tożsamość: paszport na nazwisko Bruce'a Lucasa, urodzonego w Houston w tysiąc dziewięćset

siedemdziesiątym drugim roku jako drugi syn jednego z dyrektorów spółki naftowej, Johna Lucasa,

i jego żony Marie. Z książeczki wojskowej Bruce'a wynikało, że wstąpił do marynarki w roku

dziewięćdziesiątym i uzyskał awans do stopnia komandora podporucznika w dwutysięcznym

czwartym. Na Seawolfie odbywał drugą turę służby jako zastępca dowódcy i specjalista torpedowy.

Lista najbliższych rodzin wymieniała jako osoby, które na-

+ *

leży powiadomić w razie wypadku, jego rodziców, zamieszkałych na houstonkim przedmieściu

Beaumont Place. Nazwisko Bruce Lucas widniało też na „obroży” komandora.

Dobrze wiedząc, że okręt wpłynął już w deltę, Judd Crocker nadał przez rozgłośnię okrętową komunikat dla załogi, wyjaśniając, w jakim znaleźli się położeniu, i zapewniając, że SUBPAC ma

sytuację pod kontrolą. Powiedział, że w takich okolicznościach polityką tak US Navy, jak i rządu

jest negocjować przez kanały dyplomatyczne. Oznajmił, że z oczywistych przyczyn niepożądane jest dopuszczenie do walki ani żadne przejawy bohaterstwa. Chińczycy nie mają prawa do okrętu ani do aresztowania załogi. Jednakże ponieważ Seawolf nie mógł się poruszać o własnych siłach i niósł w lukach broń masowej zagłady, no cóż... Chińska Republika Ludowa przypuszczalnie ma powody, by okręt zatrzymać, podczas gdy dyplomaci będą wiedli spory. – A teraz niezwykle ważny punkt – dodał. – Jak wielu z was już może wie, komandor podporucznik Linus Clarke, mój zastępca, jest synem prezydenta Stanów Zjednoczonych. Był zawodowym oficerem marynarki przez całe swoje dorosłe życie i z pewnością to nie jego wina, że ojciec zdecydował się ubiegać o ten urząd i wygrał wybory. Kiedy to nastąpiło, Linus był już w służbie, jako porucznik na lotniskowcu John C. Stennis. Nie było powodu, by zrezygnował z wybranego zawodu tylko dlatego, że jego ojciec przez osiem lat urzęduje w Białym Domu. Niemniej marynarka ma swoje procedury na takie okoliczności, zwłaszcza kiedy jej personel znajdzie się w tak niedogodnym położeniu jak my. Komandor Clarke jest zagrożony, a jego ojcu mogłoby to wiązać ręce. Dlatego przyjmuje odtąd nową tożsamość, którą proszę dobrze zapamiętać. Już nie jest Linusem Clarkiem. Nazywa się komandor podporucznik Bruce Lucas, z Houston w Teksasie. Proszę to wbić sobie w pamięć. Gdybyśmy byli przesłuchiwani, pamiętajcie, by nie zawieść Linusa ani mnie, ani waszego prezydenta. Od tej chwili naszym ZDO jest komandor podporucznik Bruce Lucas. Tak mówi jego obroża, jego paszport i książeczka wojskowa, a potwierdza to lista najbliższych rodzin. Nigdy w życiu nie spotkał nikogo, kto by mieszkał 133

w Białym Domu. Jest komandorem Bruce'em Lucasem. Zrozumiano? To wszystko. Nikt nie miał wiele do roboty, kiedy Seawolf płynął na holu. Łącznościowcy sprawdzali co pół godziny, czy nie nadeszły przez satelitę nowe rozkazy, a kucharze podawali bardzo niewiele posiłków tym, którzy czuli się na tyle dobrze, by jeść. Można by rzec, że okręt zamienił się w widmo. Oficerowie siedzieli w mesie, pijąc czarną kawę. Większość mechaników i elektroników rozsiadła się na niższych pokładach, grając w karty lub drzemiąc, a turbiny trwały w bezruchu.

Klimatyzacja i wodociągi działały normalnie, a komandor Rich Thompson utrzymywał właściwe parametry pracy reaktora. Szef okrętu Brad Stockton patrolował nieustannie pokłady, sprawdzając wszystko i dodając ducha młodszym członkom załogi.

Kluczem do najbliższej przyszłości miało być przyjęcie, jakie im zgotuje chińska marynarka wojenna, kiedy już dotrą do bazy w Guangzhou. Jeżeli Chińczycy potraktują ich spokojnie i pozwolą im pozostać na okręcie na czas dyplomatycznych przetargów, sytuacja byłaby idealna. Oznaczałoby to, że niepotrzebne są dramatyczne oświadczenia, iż najlepszy okręt podwodny amerykańskiej marynarki został porwany przez Chińską Republikę Ludową, a cała załoga więziona jest w Guangzhou. Takie wieści wywołałyby falę publicznego oburzenia w USA. Posypałyby się żądania, by prezydent wszczął działania. Powtórzyłaby się historia kryzysu z tehe-rańskimi zakładnikami z roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego. A gdyby republikańskiej administracji nie udało się zastraszyć Chin i skłonić do uwolnienia okrętu i załogi, wówczas i ona będzie skończona. Obecna sytuacja była już na dobrej drodze do takiego kryzysu, ale SUBPAC i jego przełożeni z Waszyngtonu nie chcieli o niczym informować opinii publicznej, dopóki Seawolf nie dotrze do Guangzhou i szefowie Połączonego Komitetu Szefów Sztabu się nie zorientują, jak rozdano karty. Tymczasem na okręcie kapitan Crocker wezwał do siebie komandora Schultza i we dwójkę udali się do przedziału reaktora.

–Mike, nie wiem, co się stanie w Guangzhou – zaczął dowódca – ale musimy się liczyć z tym, że Chińczycy zechcą 134

w m

uzyskać kompletną dokumentację okrętu. Mam ustne rozkazy od szefa operacji morskich na wypadek wpadnięcia w ręce nieprzyjaciela. Dotyczą one tego zaworu odcinającego w awaryjnym systemie chłodzenia... wiesz, tego, który razem oglądaliśmy w Nowym Londynie. Chcę, byś go teraz aktywował, aby nie dawał oznak awarii, kiedy ona nastąpi.

–Tak jest, sir.

Okręt płynął dalej za chińskim niszczycielem, bezwolnie ciągnięty stalową liną, pokonawszy już w ten sposób sto pięćdziesiąt mil. Posuwali się w górę rzeki dość szybko i o trzeciej po południu tego upalnego dnia dotarli do nabrzeża okrętów podwodnych w chińskiej bazie w Guangzhou. Judd Crocker uznał, że barykadowanie się nie ma sensu i wraz z szefem Stocktonem otworzyli właz i wyszli na pomost kiosku. Musieli zmrużyć oczy przed słońcem przedzierającym się przez deszczowe chmury, ale po chwili szeroko je otworzyli na widok oczekującego ich

dwuosobowego oddziału uzbrojonych marynarzy. Holowniki powoli dopchnęły Seawolfa do nabrzeża, podano na pokład trap, po którym niezwłocznie weszło dwudziestu strażników, zajmując pozycje przy czterech głównych lukach z bronią gotową do strzału. Nie było wyjścia z okrętu. W jednej chwili do obu mężczyzn na pomoście dotafła brutalna rzeczywistość.

Chiński oficer marynarki wszedł na pokład z megafonem w ręku. Wycelował go wysoko, prosto na nich, i nienaganną angielszczyzną odczytał pisemne oświadczenie dla kapitana Crockera i załogi.

–Nazywam się komandor Li Zemin. Odpowiadam za całą ochronę bazy marynarki wojennej

Chińskiej Republiki Ludowej w Guangzhou. Jesteśmy przekonani, że wasz okręt ma na pokładzie

narzędzia walki, w tym nuklearne. Bezwarunkowo zabrania się obcym państwom wprowadzać taką

broń na wody Morza Południowochińskiego. Zabrania tego Najwyższy Sternik republiki. Tu, w

Chinach, musicie przestrzegać chińskich praw i obyczajów. Dlatego w imieniu prawa załoga tego

okrętu zostaje aresztowana. Za chwilę macie zejść z pokładu, najpierw szeregowi marynarze, potem

podoficerowie i oficerowie młodszy, dowództwo okrętu zejdzie na końcu. Jesteśmy w kontakcie z

waszym rządem, który za-

f

przeczą, jakobyście mieli rozkaz podejść tak blisko naszych brzegów. Wobec powyższego pociągniemy was do odpowiedzialności, każdego z osobna, za to godne pożałowania wdarcie się na pokojowe szlaki handlowe Chin. W odpowiednim czasie staniecie przed sądem, a to może oznaczać długie więzienie. Teraz zaczniacie opuszczać okręt. Musicie jednak utrzymać reaktor jądrowy w działaniu i pozwolić waszemu głównemu oficerowi nukleonikowi na pozostanie przy nim i konferencję z naszymi inżynierami. Nie muszę dodawać, że jeśli ktokolwiek stawi jakikolwiek opór, zbrojny czy nie, zostanie zastrzelony na miejscu wraz z co najmniej dwoma kolegami. Otwórzcie luki i wychodźcie z rękami w górze. Macie być nieuzbrojeni. Każdy, u kogo znajdziemy jakąkolwiek broń, również zginie na miejscu.

Napisanie tej przemowy zabrało admirałowi Zhangowi cały ranek, ale był z niej bardzo dumny. „Pokażemy tym aroganckim skurwielom, kto tu teraz rządzi, co, Jicai?”

Kapitan Crocker zdał sobie sprawę z całej grozy ich sytuacji. Nie było możliwości się z niej wyplątać. Nie do wiary, ale nieodwracalnie zostali więźniami Chińczyków, a z przemowy komandora Li wynikało, że mogą nimi pozostać przez długi czas. W jego głowie kołatały się najrozmaitsze myśli. Co robi Pentagon? A rząd? A prezydent? Jak długo potrwa ten koszmar? Z której strony spojrzeć na problem, i tak Chińczycy byli górą. Siedemnaście po trzeciej dowódca Seawolfa nakazał załodze opuszczenie okrętu i poddanie się ludziom komandora Li Zemina zgodnie z jego instrukcjami. Na zapleczu nabrzeża widać było kolumnę dziesięciu wojskowych ciężarówek, otoczonych przez jeszcze więcej żandarmów. Admirał Zhang przez cały dzień przysyłał dodatkowe oddziały niewielkimi samolotami transportowymi z baz w Xiamenie i Zhan-jiang.

Stalowe drzwi otworzyły się i na pokład zaczęli wychodzić marynarze z Seawolfa. Na czele szedł młody rekrut z Kalifornii, Kirk Saarlos, z rękami wysoko w górze. Było w tym coś

surrealistycznego, jakby to, co obserwował z góry Judd Crocker, nie działo się naprawdę. Ale działo się, i to źle. Jeden ze żandarmów postąpił naprzód i uderzył marynarza

kolbą w plecy, popychając go silnie ku trapowi. Wiele czasu upłynęło, odkąd którykolwiek z Amerykanów doświadczył takiej bezosobowej, nie sprowokowanej przemocy; niektórzy nie spotkali się z nią w ogóle. Ale teraz nie było wątpliwości, że wkrótce odkryją, na czym polega więzienna rzeczywistość w kraju, gdzie prawa człowieka traktuje się wręcz po barbarzyńsku. Chińczycy wyprowadzili załogę z okrętu w dziesięcioosobowych grupach i pognali do ciężarówek, rozdając z rzadka kopniaki, ciosy pięściami i kolbami. Niewielu z nich udało się dotrzeć do pojazdu bez bolesnych pamiątek, a olbrzym z Ohio, motorzysta Tony Fontana został silnie uderzony w głowę kolbą pistoletu za to, że nazwał komandora „skoś-nookim chińskim kretyńskim dupkiem, który powinien pracować w jakiejś cholernej pralni”. Któryś z marynarzy zaśmiał się i przyplącił to nokautem. Było źle.

Ewakuacja zabrała całą godzinę, zanim komandor Li w asyście ośmiu żołnierzy wszedł na pokład i rozkazał obu Amerykanom iść z mostka do centrali manewrowej, gdzie żołnierze spisali ich nazwiska i stopnie. Komandor Li powiadomił oficjalnie Crockera, że Seawolf ulega konfiskacie na rzecz chińskiej marynarki wojennej. Powiedział, że załoga została przewieziona do cywilnego więzienia na terenie miasta Guangzhou, ale „wysokie dowództwo” włącznie z głównymi oficerami mechanikami będzie zatrzymane w bazie, podczas gdy chińscy inżynierowie będą „zapoznawać się” z okrętem.

Minęła siedemnasta, zanim Judd Crocker, Bruce Lucas, Cy Rothstein, Shawn Pearson, Andy Warren i Brad Stockton zostali po kolei wyprowadzeni pod broń na ląd i przewiezieni do aresztu. Był to niski, szary budynek z niewielkimi, wysoko umieszczonymi oknami, których nie myto chyba od rewolucji. Na szczytowej ścianie uśmiechał się z muralu jej przywódca Mao. Cele były małe i brudne, mierzyły na oko dwa i pół na trzy metry, a od frontu zamykała je przez całą szerokość stalowa krata, oddzielając je od długiego korytarza z klepiskiem zamiast podłogi. W każdej stała surowa drewniana prycza i wiadro; wody nie było. Żandarmi kolejno wpychali ich do środka, zatraskiwali drzwi i zamykali na klucz. 137

Ich sześć cel sąsiadowało ze sobą, a za nimi w szeregu były \ jeszcze cztery puste. Prawdopodobnie za ich plecami jest jeszcze dziesięć, pomyślał Crocker. Panująca w całym budynku cisza wskazywała, że reszta cel jest pusta.

Kiedy drzwi zamknęły się za Bradem Stocktonem, komandor Li wszedł sprężystym krokiem na korytarz i przemaszerował powoli przed wszystkimi więźniami.

–To tylko wasze tymczasowe kwatery – oznajmił. – Jutro przeniesiemy was tam, gdzie jest wasza załoga. Ale najpierw spotka się z wami najczcigodniejszy naczelny dowódca ludowej marynarki, który omówi z wami warunki waszego pobytu i zakres technicznej współpracy, jakiej od was oczekujemy. Wówczas Judd Crocker przemówił po raz pierwszy.

–Komandorze, w myśl postanowień konwencji genewskiej z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego, jesteśmy zobowiązani podać panu nasze nazwiska, stopnie i numery służbowe. Nie mamy wobec was żadnych innych obowiązków. Takie jest prawo wojenne, którego przestrzegają wszystkie kraje. To znaczy, te cywilizowane.

–Dwie rzeczy, kapitanie Crocker – warknął komandor Li. – Po pierwsze, mój kraj może się poszczycić bardzo wysokim poziomem cywilizacji od czterech tysięcy lat, kiedy to wasi przodkowie jeszcze żywili się korzonkami. Po drugie, śmiem twierdzić, że konwencja genewska nie ma tu zastosowania, nie jesteśmy bowiem w stanie wojny.

–Traktuje pan moich ludzi, jakbyśmy byli.

–Może to inny rodzaj wojny, kapitanie Crocker. Proszę, by za godzinę był pan gotów na spotkanie z naszym czcigodnym naczelnym dowódcą. Myślę, że się pan przekona, jaką ma siłę... perswazji. Oczywiście w znaczeniu ściśle naukowym...

Godzina 18.00. Biuro dowódcy Floty Południowej, baza marynarki w Guangzhou

Admirał Zhang Yushu zajmował duży fotel i biurko, normalnie zarezerwowane dla dowódcy Floty Południowej. Wokół niego na wysokich, rzeźbionych krzesłach siedzieli wyżsi 138

oficerowie, trzon chińskiej marynarki wojennej. Po prawicy miał swego przyjaciela Zu Jicai, pod

którego dowództwem znalazł się teraz Seawolf. Był tam także dowódca Floty Wschodniej, admirał

Yibo Yunsheng, który dopiero co przyleciał z Szanghaju. Ten dawny dowódca starego

strategicznego okrętu podwodnego Xia cieszył się opinią mądrego i sprawdzonego oficera

liniowego i admirał Zhang darzył go zaufaniem.

Szef sztabu, wiceadmirał Sang Ye, przybył z Pekinu. Znali się z Zhangiem od wielu lat i żaden

nie dałby powiedzieć o drugim złego słowa. Sang Ye miał duży wpływ na kiesę marynarki, a to była operacja, która mogła wymagać wielkich wydatków.

Wraz z nim tym samym samolotem przyleciał do Guangzhou sam szef sztabu generalnego, Qiao

Jiyun, ponieważ sprawa Seawolfa nie dotyczyła już tylko samej marynarki. Miała znaczenie

militarne dla całego kraju i gdyby poprowadzono ją niewłaściwie, mogła wciągnąć Chiny w

bezpośrednią konfrontację z USA.

Aby podkreślić wagę potencjalnych konsekwencji politycznych tej sytuacji, Najwyższy Sternik

nalegał, by w naradzie uczestniczył nowo mianowany komisarz polityczny AMLW, admirał Xue

Qing, wraz z całą świtą zastępców, którzy teraz czekali w sąsiednim pokoju.

Gabinet, w którym zebrało się to dostojne gremium, był nie tyle biurem, ile salą posiedzeń, jakby

żywcem przeniesioną z Pałacu Ludowego. Wyłożony olbrzymim, trzydziesto-metrowym

antycznym perskim dywanem, przewiezionym niegdyś szlakiem jedwabnym przez karawanę Marco

Polo, sprawiał wrażenie tysiącletniego. Miał jednak jedynie cztery lata, zbudowano go i wyposażono specjalnie dla takich ważnych spotkań. Jak kolosalne jest znaczenie marynarki wojennej, zrozumiano dopiero pod koniec dwudziestego wieku, kiedy zastąpiła ona armię jako główny rodzaj wojsk, ucieleśnienie chińskich ambicji militarnych i pierwsza linia obrony kraju. Przez kilka lat wizytujący sztab Floty politycy i dowódcy siadywali w nieładnych, li tylko funkcjonalnych pomieszczeniach, aż pewnego dnia w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku sam Najwyższy Sternik wyraził niesmak

z tego powodu, że najlepsi i najbardziej zaufani ludzie w całym kraju, czuwający nad losem miliarda obywateli, muszą pracować w takich ruderach.

–Lubię przyjeżdżać do Guangzhou – stwierdził – i zawsze czuję się zaszczycony, mogąc rozmawiać z moimi dowódcami i ujrzeć nasze wspaniałe okręty. Ale proszę bardzo, by ktoś zapewnił nam wygodny pokój, w którym moglibyśmy się spotykać... godny oczekiwań tych, którzy

piastują wysokie godności państwowe i od których wiele się wymaga.

I tak powstała Wielka Sala, ozdobiona czterema masywnymi kolumnami i udrapowana czerwonym, wytłaczanym jedwabiem. Na wspaniałych rzeźbionych stołach z połowy XV wieku spoczęły piękne, inkrustowane złotem wyroby z laki z tego samego okresu dynastii Ming. Na ścianie za plecami admirała Zhanga wisiał ogromny obraz, przedstawiający pochód jednego z jej synów, cesarza Wuzonga, w ozdobnej karecie ciągniętej przez zaprzęg słoń. Nad drzwiami wejściowymi powieszono dwa podobnych rozmiarów portrety: byłego Najwyższego Sternika, Mao Zedonga, i Wielkiego Reformatora, Deng Xiaopinga, który kiedyś był przewodniczącym Komisji Wojskowej. To właśnie on awansował Zhanga Yushu na stanowisko naczelnego dowódcy marynarki wojennej. Tego dnia protegowany Denga siedział za wielkim czterometrowym biurkiem obitym szkarłatną skórą, na którego brzegach ustawiono dwie tradycyjne biało-niebieskie wazy z okresu Ming. Były nie tylko świadectwem wielkości chińskiej kultury, ale i przypominały odwiedzającym Guangzhou zagranicznym oficerom i dygnitarzom, że Chiny wynalazły porcelanę w VII wieku, innymi słowy, jak wolał to przedstawiać Najwyższy Sternik, wyprzedziły Europę o tysiąc lat; a i do dzisiaj porcelana ta nie ma sobie równych. Admirał Zhang sam wyglądał teraz jak cesarz. Rozpoczynając naradę, krótko przedstawił historię Seawolfa.

–Szczerze mówiąc, ten okręt wprawia nas w zakłopotanie. Jego obecność w bazie

rozwścieczy Amerykanów, którzy po pierwsze zażądają jego zwrotu, po drugie, wymyślą sposób na ukaranie nas ekonomicznie, a po trzecie, mogą nawet przedsięwziąć działania wojenne przeciw nam, co byłoby wielkim nieszczęściem. Stany Zjednoczone są bardzo po-

teżne i mogą być groźne, kiedy mają do tego powód. A teraz mają. Cokolwiek będą twierdzić dyplomaci, nie zmieni to faktu, że amerykański okręt znajdował się na wodach międzynarodowych, gdzie miał pełne prawo przebywać, a my praktycznie go porwaliśmy. Jednakże o tym nie wspomnimy w naszej argumentacji. Będziemy wstrząśnięci tym, że Ameryka wysłała broń masowej zagłady tak blisko naszych brzegów, jak w sześćdziesiątym drugim roku rakiety kubańskie znalazły się blisko wybrzeża USA. Prezydent Kennedy nie wahał się wówczas zaryzykować wybuchu wojny światowej. Towarzysze, chciałbym wyjaśnić, do czego zmierzamy. W naszym dążeniu do utworzenia nowoczesnej, oceanicznej marynarki wojennej brakuje nam jednego... wiedzy, jak budować wysokiej klasy okręty podwodne. Tylko one bowiem zawsze będą nas chronić przed atakiem, pozwolą nam na blokadę i odbicie Tajwanu, a poza tym zapewnią nam kontrolę nad światowymi szlakami żegludowymi na wschodzie. Jednak mimo starannego zdobywania tajnych dokumentacji komputerowych i odkryć naukowych Zachodu, nie potrafiliśmy ich w zadowalający sposób skopiować. Są w tych systemach zawilości i niuanse, których nie rozumiemy... – Admirał nagle wstał i zaczął chodzić między biurkiem a obrazem z pochodem cesarza. – Towarzysze, odpowiedź na wszystkie nasze modły stoi jak cumach przy pirsie okrętów podwodnych numer pięć.

–Przerwał, aby znaczenie jego słów w pełni dotarło do zebranych. – Można pracować, mając plany i dokumentacje, ale efekty ani w połowie nie dorównują uzyskiwanym wtedy, gdy ma się do

dyspozycji prawdziwy produkt, który można dotknąć, rozebrać, złożyć i znów rozebrać, i pozwolić

z badać co do najdrobniejszej części najtęższym umysłem Chin i nie tylko. Już posłałem po zespół

dwunastu wyższych oficerów, mechaników z okrętów podwodnych oraz naukowców z rosyjskiego

Centralnego Biura Projektów Morskich w Sankt Petersburgu. Nie bardzo chcieli przyjechać w tak

krótkim czasie, ale jak wiecie, ostatnio jesteście ich zdecydowanie największym klientem, czuli się

więc zobowiązani, by spełnić naszą prośbę. Wysłałem po nich wojskowy samolot i mam nadzieję,

że mój przyjaciel i kolega admirał Sang Ye nie ma nic przeciwko temu wydatkowi?

–Będę zaszczycony, mogąc wypisać na to czek – odrzekł z uśmiechem zagadnięty szef sztabu marynarki.

–Srowadzam także dwóch rosyjskich specjalistów sona-rowych. Samolot z Gorkiego wystartuje w drogę powrotną jutro. Chyba i z tym się pogodzicie?

–O ile nie chodzi o boeinga siedemset czterdzieści siedem dla dwóch osób. – Sang znów się uśmiechnął.

–Oczywiście, że nie. To inny nasz wojskowy transportowiec, stacjonujący na zachodniej granicy. W drodze powrotnej uzupełni w swojej bazie paliwo i przyleci tutaj.

–A ile płacimy Centralnemu Biuru za udostępnienie personelu technicznego?

–Dwa miliony dolarów.

–Kosztowna usługa.

–Tak, admirale. Ale do tego zadania musimy mieć najlepszych ludzi. Czy można uwierzyć w nasze szczęście? Stoimy dziś u progu rozpoczęcia budowy okrętów podwodnych, które będą mogły konkurować z amerykańskimi. Uważam, że Seawolf zaoszczędzi nam dwadzieścia pięć lat badań, po upływie których i tak nadal zostalibyśmy z tyłu.

–Na jak długo potrzebujemy tego okrętu, towarzyszu admirale? – zapytał komisarz polityczny, admirał Xue Qing.

–Możemy poczynić pewne postępy w ciągu dwóch miesięcy. Na sporządzenie kompletnej dokumentacji i skopiowanie okrętu trzeba by całych lat.

–A przez ten czas co, według was, mamy mówić Amerykanom?

–No cóż, ich okręt odniósł w wyniku kolizji bardzo poważne uszkodzenia, a naszym życzeniem jest wyremontować go na tyle, by mógł o własnych siłach dopłynąć do Kalifornii. Powiemy im, że mamy poważny problem z reaktorem i nie możemy wypuścić okrętu w morze, dopóki istnieje jakiegokolwiek ryzyko.

–A jeśli odpowiedzą, że w takim razie wezmą go na hol, by naprawić u siebie?

–To jest niedopuszczalne. Okręt podlega kwarantannie z powodu podejrzenia o

radioaktywność i nie może opuścić nabrzeża, gdyż nie jest w pełni bezpieczny. Poza tym oba-

wiam się, że nigdy nie wpuszczymy obcego okrętu wojennego na wody delty Rzeki Perłowej.

–Krótko mówiąc, chcecie ich zbywać wykrętami, dopóki nie zakończycie prac?

–Zgadza się. Oczywiście sprawy potoczyłyby się szybciej, gdyby załoga zechciała z nami współpracować.

–Oni nic nam nie powiedzą.

–Kto wie? Przy pewnej perswazji?

–A gdzie zamierzacie przetrzymywać załogę przez cały ten czas?

–Nakazałem już ponowne otwarcie starego więzienia na Xiachuan Dao, około

osiemdziesięciu mil na zachód od Ma-kau. W razie potrzeby pomieści trzysta osób, licząc personel i strażników. Mam nadzieję, że zacznie funkcjonować do niedzieli. Wyspa ma wodę i prąd, zainstalowane jeszcze przez Japończyków, ale w dobrym stanie.

–I uważacie, towarzyszu admirale, że to odpowiednie miejsce, by ukryć Amerykanów? – spytał Zu Jicai.

–Tak, w pewnym sensie. Sądzę, że mamy przewagę, dopóki Waszyngton nie zna miejsca ich pobytu.

–A, według was, ile czasu zajmie Amerykanom ich wytropienie?

–Przy łucie szczęścia dwa do trzech tygodni. Użyją satelitów do obserwacji w podczerwieni i mogą zauważyć nienormalną aktywność na wysepce pustej dotychczas od stuleci. Poza tym CIA ma bardzo skuteczną siatkę szpiegowską.

–Co oni uczynią, stwierdziwszy, że ich ludzie są aresztowani? ‹

–Nic, bo będzie za późno. Zamierzam przenieść wszystkich z wybrzeża do nowego więzienia w głębi kraju, którego nawet Amerykanie nie będą mogli odkryć. To da nam dodatkowe trzy tygodnie z Seawolfem... Apotem z najgłębszym współczuciem poinformujemy ich, że na pokładzie doszło do poważnego wypadku nuklearnego i cały rejon musi zostać zamknięty.

–A załoga?

–Obawiam się, że i ich nie możemy wypuścić. Do tego czasu bowiem będą o wiele za dużo wiedzieli. Skoro czas nas ponagla, trzeba będzie intensywnie ich przesłuchiwać. Wszyscy wyżsi oficerowie się domyślą, że zamierzamy sko-

piować Seawolfa. Pentagonowi nie trzeba wiele czasu, by się zorientować, że naszym celem jest zapewnienie sobie pełnej dominacji na naszych własnych wodach, a także na szlakach naftowych z Bliskiego Wschodu.

–Ależ, Zhang! – zaprotestował Xue Qing. – Przecież nie możemy ich po prostu rozstrzelać. Świat zawrze z oburzenia!

–Nie możemy ich też po prostu wypuścić. Świat zawrze jeszcze bardziej, gdy wyjdą na jaw niektóre metody, do jakich zmuszeni będziemy się uciec, by odtworzyć ten okręt i zapewnić sobie ich... współpracę.»

–Cóż więc proponujecie?

–Odbędzie się proces wojskowy za zamkniętymi drzwiami. Każdy członek załogi Seawolfa zostanie oskarżony o zdradę wobec narodu chińskiego i wprowadzenie nielegalnej broni jądrowej w zasięg uderzenia w miłującą pokój Chińską Republikę Ludową. Zarzucimy im zagrożenie życia na morzu i nieodpowiedzialne prowadzenie atomowego okrętu podwodnego, niosącego na pokładzie broń masowego rażenia, absolutnie niezgodnie z duchem porozumienia o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku...

–Przecież my nawet tego porozumienia nie podpisaliśmy – wtrącił komisarz polityczny.

–To nam nie przeszkadza, by je rozumieć – odparł Zhang z niezwykłą u niego wyniosłością. – Możemy oskarżyć ich o okłamanie chińskich władz wojskowych, kiedy walczyły o zabezpieczenie ich śmiertelnej broni, aby nasz lud z Guangzhou mógł bez strachu przed promieniowaniem wieść życie w naszym prastarym, historycznym mieście. Oskarży się ich też o sabotaż reaktora i celowe spowodowanie poważnej katastrofy nuklearnej w naszym porcie.

Towarzysze, sądzę, że za takie zbrodnie kara trzydziestu pięciu lat więzienia dla każdego członka

załogi nie byłaby przesadą. W ciągu tych lat oczywiście po cichu by... zaginęli. Żaden z nich nie

może żywy opuścić Chin. Na to jest już za późno.

Każdy z sześciu mężczyzn zebranych w Wielkiej Sali sztabu floty skinieniem głowy zaakceptował

plan naczelnego dowódcy. Było to, jak na Chiny, czymś niezwykłym; rozmowa

Wr M

i dyskusje są tam wyniesione do poziomu sztuki. Wszystkich obecnych jednak cechowały życiowa

mądrość i doświadczenie. Każdy był świadomy, że od chwili rozmowy pułkownika Li z admirałem

Zhangiem przez łącze satelitarne i uprowadzenia amerykańskiego okrętu kości zostały rzucone.

Odwrotu już być nie mogło.

Za dziesięć minut naczelny dowódca miał się udać do aresztu, by poinformować Amerykanów, czego się od nich wymaga jako od jeńców rządu chińskiego.

Godzina 19.30. Budynek aresztu „Mao”, baza marynarki wojennej w Guangzhou

Admirał Zhang Yushu kopnięciem otworzył drzwi i wkroczył na brudny korytarz przed sześcioma

zajętymi celami. Miał na sobie granatowy mundur, pistolet przy boku i wysokie czarne oficerki. W

prawej dłoni dzierzył smukłą oficerską trzcinę. Towarzyszył mu komandor Li Zemin i czterech żandarmów, którzy oddali honory czekającemu już wewnątrz porucznikowi.

Kiedy admirał wszedł do budynku, porucznik stanął na baczność i wyprężywszy całe swoje sto sześćdziesiąt centymetrów, krzyknął po angielsku:

–Powstań! Wszyscy! Stać w obecności czcigodnego naczelnego dowódcy ludowej marynarki! Znużeni Amerykanie z wolna podnieśli się z prycz, a oficer wrzasnął znowu:

–Macie oddać honory naczelnemu dowódcy! Macie okazywać najwyższy szacunek! Wstać i salutować! Jesteście przestępcami w spokojnym kraju!

–Kapitanie Crocker – przemówił Zhang – proszę pamiętać, że nikt na świecie nie może wam pomóc. Zostaliście złapani na gorącym uczynku, najwyraźniej sposobiąc się do działań wojennych na naszych chińskich wodach. Wasz kraj nie może nic dla was zrobić. Och, zdaje sobie sprawę, że przemożny Wuj Sam mógłby rzucić na Guangzhou rakietę jądrową i zapewne

je unicestwić, zabijając dwa miliony moich niewinnych rodaków. Ale nie przejęlibyśmy się tym zbyt.

145

Wciąż pozostałoby nas prawie miliard i ćwierć. Każda wojna zawsze oznaczała dla nas duże straty, ale my możemy je znosić łatwiej niż którykolwiek naród w historii. – Przeszedł wzdłuż cel, mierząc więźniów nienawistnym spojrzeniem, po czym zawrócił, mówiąc dalej: – Stany Zjednoczone w żadnym razie nie zaatakują Guangzhou, ponieważ z całą pewnością pragną odzyskać swój okręt i najprawdopodobniej nie chcą was wszystkich zabić. Nie rzucają się zatem na Guangzhou z bombami. Nie podejmą też próby inwazji na tak duży kraj jak Chiny. I tak wracamy do punktu wyjścia. Rząd Stanów Zjednoczonych nic dla was nie uczyni. Jesteście całkowicie w naszej mocy i radzę wam ściśle z nami współpracować. Amerykański kapitan wbił w niego stanowcze spojrzenie i odparł:

–Zgodnie z postanowieniami konwencji genewskiej ani ja, ani moi ludzie nie jesteśmy zobowiązani powiedzieć wam choćby jednego słowa.

To wystąpienie bezgranicznie rozwścieczyło Chińczyka.

–Ty! – wrzasnął. – Ty! Masz się nie odzywać nie pytany do naczelnego dowódcy!

–Zamknij się, ty cholerny dupku – warknął nie ogolony Brad Stockton, którego twarde mięśnie atlety nieraz budziły grozę na niższych pokładach niejednego okrętu.

–Cisza! – huknął admirał Zhang. Po chwili dodał miękko: – Kapitanie Crocker, raczy pan poinformować swoich oficerów, że mają się odzywać tylko wtedy, kiedy ktoś się do nich zwróci. Może zrobiłby to pan, zanim podejmiemy naszą rozmowę.

–Admirale Zhang, zgodnie ze starą, uświęconą amerykańską tradycją niech mi będzie wolno zasugerować – odrzekł uprzejmie Judd – aby wziął pan ten swój idiotyczny kijek i się nim wypieprzył, a może przy okazji i pańskiego szalonego kołosa.

Naczelnny dowódca, którego angielski był doskonały, choć raczej formalny i podręcznikowy, stanął osłupiały tą porcją soczystej potoczności, ale porucznik, który jako student spędził kilka miesięcy w Kalifornii, zrozumiał słowa Crockera dokładnie i raz jeszcze wpadł w szal.

–Jesteście więźniami Chińskiej Republiki Ludowej!!! Nie

będziemy tolerować niesubordynacji, za którą zostaniecie ukarani w sposób, którego nigdy nie zapomnicie!!! A teraz milczeć!

–Hej, Zhang, kim jest ten pieprzony mały cudak, z którym się włóczysz? – zapytał Shawn

Pearson. – Pamiętasz to stare przysłowie? Sądź człowieka po jego przyjaciółach... a ja tu widzę

dupków-bliźniaków.

Twarz admirała była jak gradowa chmura. Przyszedł do aresztu, by zastraszyć i przerazić więźniów. W tej chwili rozważał, czyby ze dwóch nie rozstrzelać. Jasno jednak widział swój cel; wyrwał porucznikowi z ręki listę nazwisk, stopni i numerów służbowych Amerykanów. Choć ich bezczelność go rozgniewała, nie widział korzyści w egzekucji szefa okrętu i wysokiego, młodego nawigatora, który prawdopodobnie więcej wie o pewnych układach elektronicznych niż ktokolwiek w całej chińskiej marynarce.

–Wasza postawa – powiedział łagodnym tonem – nie doprowadzi was donikąd. Świadczy też,

że odrzucacie moje rozsądne prośby. Dlatego teraz was opuszczę do jutrzejszego ranka.

Dostaniecie

po misce czystego ryżu i wodę. I... kapitanie Crocker, proszę mieć w pamięci jedno: na tym świecie

nie ma nikogo, kto mógłby wam pomóc. Wasz rząd pozostawia was samym sobie, a to daje mi

wolną rękę w badaniu waszego okrętu tak jak chcę.

Judd Crocker, rzucając skrycie okiem przez kratę do celi komandora podporucznika Bruce'a a Lucasa, odpowiedział mu tylko skinieniem głowy i mruknął pod nosem:

–Nie wiem, czy na twoim miejscu bym na to liczył, Zhang, staruszkule...

Piątek, 7 lipca, godzina 1.30. Biuro doradcy prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego, Biały Dom

–Chryste Panie, Joe! To się ciągnie już trzydzieści sześć godzin. Jak to się stało, że tyle wam zajęło poinformowanie mnie o tym? Co się z wami, u diabła, dzieje?

–Arnie, Chińczycy tuszowali sprawę od początku – odrzekł admirał Joe Mulligan. – Spójrz na to z naszego punktu

widzenia. SUBPAC dostaje sygnał, że Seawolf jest unieruchomiony o sto mil od brzegu na Morzu Południowochińskim. To niedobrze, ale jeszcze nie sprawa życia i śmierci. Łączymy się z chińską marynarką wojenną i mówią nam, że amerykański dowódca poprosił ich o pomoc, której mu udzielają. Nic w tym jeszcze nie ma tragicznego, nie?

–Nie wierzyłbym tym małym kutasom, choćby mnie przekonywali tysiąc lat. I ty też nie powinieneś.

–Tak. Ale wszyscy zainteresowani, włącznie z SUBPAC, starali się działać spokojnie, usiłując znaleźć sposób na wydostanie okrętu z matni i rozstanie się z Chińczykami w zgodzie. Arnie, to się nazywa „dyplomacja” i od czasu do czasu trzeba się nią wykazać.

–A innym razem to się nazywa „gówno prawda” – burknął Morgan. Mulligan nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

–Arnie, czy ktoś mógłby mi podać kawę? Morgan zignorował prośbę i dalej wyrzekał:

–A potem, pozwoliwszy się wodzić pieprzonemu Pekinowi za nos przez większą część dnia, dzwonisz do mnie o północy i mówisz, żebym zbierał tylek i gnał do biura, bo masz mi coś pilnego do przekazania. Chryste, Joe! Miałeś na to cały boży dzień!

–Arnie, jak długo się znamy?

–Za długo, dupku. Powinienem teraz spać.

–Chyba mi tu nie flaczejesz, co? Gdzie jest ten podwodniak ze stali, którego kiedyś znałem?

–Joe, wyrwałeś mnie z wyra. Jesteśmy jedynymi ludźmi w zachodnim skrzydle Białego Domu o pierwszej nad ranem, a ja wciąż znajduję się w szoku wywołanym totalną klęską US Navy, która nie dała rady puścić tej sprawy na szybkie tory.

–Arnie, ja nie skończyłem.

–No dobra, gadaj. Nic gorszego już tam chyba nie masz.

–Owszem, mam. Zastępcą dowódcy Seawolfa jest Linus Clarke.

Krew odpłynęła z porytej zmarszczkami twarzy Arnolda Morgana. W ustach mu nagle zaschło, a

gdzieś głęboko poczuł słabe drżenie. Podeszedł do biurka i usiadł w fotelu, splatając ręce przed sobą.

–

ogrom zawartego w słowach Mulligana problemu odebrał mu mowę. Po jakimś czasie zapytał tylko:

–Czy prezydent wie? – Nie.

–Wiadomo już, co z załogą?

–Według naszych informacji załoga opuściła okręt w Guangzhou i jest w więzieniu.

–Jasna cholera.

Przez długą chwilę żaden z nich się nie odzywał, a potem Morgan zadał jeszcze jedno pytanie:

–A czy Chińczycy znają jego tożsamość?

–Nie. Zawsze mieliśmy odpowiednie procedury na takie okoliczności. Pozbycie się wszelkich dowodów, dokumentów, paszportu i tak dalej, i wydanie nowego zestawu, który jest trzymany w zamknięciu przez cały rejs. Sprawdziłem to. Procedura została zachowana. Linus jest teraz komandorem podporucznikiem Bruce'em Lucasem z Houston. Chińczycy nie mają pojęcia, kim jest.

–No, to już coś. Dobra, Joe. Przelećmy się jeszcze raz przez całą sytuację. Chcę zrobić kilka notatek.

–Nie ma problemu. Strzelaj.

–Okay. Więc Seawolf jest na patrolu na Morzu Południo-wochińskim, gdzie spędził prawie dwa tygodnie. Wyszedł z Pearl Harbor pod dowództwem bardzo kompetentnego kapitana Crockera, którego ojciec służył wraz ze mną.

–Zgadza się.

–Nie znamy jeszcze wyników jego misji, ale znając tego dowódcę, możemy przypuszczać, że szło im dobrze.

–Zgadza się.

–I nagle w środku pieprzonej nocy Seawolf przechodzi za rufą nowego chińskiego niszczyciela rakietowego i zaplątuje się w jego sonar holowany.

–Widzieliśmy to na zdjęciach satelitarnych.

–Dobra. A teraz powiedz mi, dlaczego Judd Crocker nie wysłał po prostu zespołu nurków do wody, by skurczybyka wyplątali? Przecież cały potrzebny sprzęt miał na pokładzie.

–Ogień z broni ręcznej, panie admirale.

–Chcesz powiedzieć, że te skośnooki otworzyły ogień do nurków i nie pozwoliły im wyjść na pokład?

–Tak to wygląda. Z meldunku Judda nie wynika, czy istotnie kule fruwały w powietrzu, czy tylko groźby.

–Nie ma powodu, by sądzić, że Crocker spanikował?

–Absolutnie. Jest chyba najlepszym dowódcą w całej flocie podwodnej US Navy.

–Wiem, że jest. Czyli kule musiały fruwać... Ale jedźmy dalej. Mamy teraz Seawolfa kołyszącego się bezwładnie bez napędu, uwiązanego do chińskiego niszczyciela. Wzięli go na hol, po czym dostaliśmy od Judda meldunek, że ciągną ich do Guangzhou. Nie sprecyzował, czy w tamtej chwili uważał się z załogą za jeńców.,

–Pewnie dlatego, że sam nie był pewien.

–Dobra. Teraz wy zwracacie się do chińskiej marynarki, która informuje was, że otrzymali od amerykańskiego dowódcy prośbę o pomoc, więc jej właśnie udzielają, tak?

–Tak powiedzieli.

–A zatem sytuacja jest nieco dezorientująca. Crocker nie protestuje gwałtownie przeciwko aresztowaniu go na wodach międzynarodowych, a Chinole powiadają, że nie szczędzą wysiłków, by mu pomóc.

–Tak jest.

–No więc, co jest grane?

–Arnie, od tego momentu zaczyna się to wszystko robić nieco mgliste. Natychmiast zaalarmowaliśmy Langley; odpowiedzieli, że do Guangzhou został właśnie przerzucony silny oddział żandarmerii marynarki. Potem Fort Meade dostroił swojego satelitę i uzyskał zdjęcie sporego zamieszania na pirsie okrętów podwodnych. Wygląda na to, że załogę zdjęto z okrętu... W kilka godzin później CIA otrzymuje sygnał od swojego agenta, że prawie stu amerykańskich marynarzy zostało przewiezionych ciężarówkami do cywilnego więzienia za miastem, niedaleko tego słynnego obiektu w Guangzhou... jak to się nazywa? Mauzoleum Siedemdziesięciu Dwóch Męczenników.

–Lepiej dopilnujmy, żeby nie przemianowali go na Stu Siedemdziesięciu Dwóch Męczenników...

–W każdym razie doszliśmy do tego punktu. Chińczycy teraz mówią, jak są pokojowo nastawieni i że będą próbować naprawić nasz okręt i odprawić go znów na morze. Maryna-150

–Tak to wygląda. Z meldunku Judda nie wynika, czy istotnie kule fruwały w powietrzu, czy

tylko groźby.

–Nie ma powodu, by sądzić, że Crocker spanikował?

–Absolutnie. Jest chyba najlepszym dowódcą w całej flocie podwodnej US Navy.

–Wiem, że jest. Czyli kule musiały fruwać... Ale jedźmy dalej. Mamy teraz Seawolfa kołyszącego się bezwładnie bez napędu, uwiązanego do chińskiego niszczyciela. Wzięli go na hol, po czym dostaliśmy od Judda meldunek, że ciągną ich do Guangzhou. Nie sprecyzował, czy w tamtej chwili uważał się z załogą za jeńców.,

–Pewnie dlatego, że sam nie był pewien.

–Dobra. Teraz wy zwracacie się do chińskiej marynarki, która informuje was, że otrzymali od amerykańskiego dowódcy prośbę o pomoc, więc jej właśnie udzielają, tak?

–Tak powiedzieli.

–A zatem sytuacja jest nieco dezorientująca. Crocker nie protestuje gwałtownie przeciwko aresztowaniu go na wodach międzynarodowych, a Chinole powiadają, że nie szczędzą wysiłków, by mu pomóc.

–Tak jest.

–No więc, co jest grane?

–Arnie, od tego momentu zaczyna się to wszystko robić nieco mgliste. Natychmiast zaalarmowaliśmy Langley; odpowiedzieli, że do Guangzhou został właśnie przerzucony silny oddział żandarmerii marynarki. Potem Fort Meade dostroił swojego satelitę i uzyskał zdjęcie sporego zamieszania na pirsie okrętów podwodnych. Wygląda na to, że załogę zdjęto z okrętu... W kilka godzin później CIA otrzymuje sygnał od swojego agenta, że prawie stu amerykańskich marynarzy zostało przewiezionych ciężarówkami do cywilnego więzienia za miastem, niedaleko tego słynnego obiektu w Guangzhou... jak to się nazywa? Mauzoleum Siedemdziesięciu Dwóch Męczenników.

–Lepiej dopilnujmy, żeby nie przemianowali go na Stu Siedemdziesięciu Dwóch Męczenników...

–W każdym razie doszliśmy do tego punktu. Chińczycy teraz mówią, jak są pokojowo nastawieni i że będą próbować naprawić nasz okręt i odprawić go znów na morze. Maryna-150

rze są teraz gośćmi Republiki Ludowej, wszyscy zaś mają nadzieję, że cały incydent wkrótce się

zakończy i pójdzie w niepamięć.

–I ty im wierzysz, Joe?

–Trochę. A ty.

–Ani trochę.

–Hmm... Okay, Arnie, kapuję. Ale nie traćmy z oczu jednego. Nie leży w ich interesie doprowadzić do poważnej konfrontacji z USA. Nie będą też chcieli zasłużyć na potępienie przez cały świat, likwidując całą załogę okrętu. Skłaniam się więc do wniosku, że może zrobią z tego jakiś użytek propagandowy... wiesz, biedni, pokojowi Chińczycy i wściekli amerykańscy gangsterzy na ich podwórku. Ale na koniec będą chcieli pozostać z nami w przyjaznych stosunkach i pewnie oddadzą i okręt, i załogę. Być może, że i z jakimś handlowym cukierkiem na osłodę.

–I z jakąś sumą na fundusz wyborczy Partii Demokratycznej.

–Arnie, ja tylko chcę ci pokazać nasz sposób myślenia przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny.

–Chcesz mojej rady?

–Jasne.

–Wsadźcie sobie wasz cholerny sposób myślenia gdzieś i sprawcie sobie nowy. – Hę?

–Joe, mówię poważnie. Obowiązki szefa operacji morskich zabierają wiele czasu. Ponośisz ogólną odpowiedzialność za działanie największej, najnowocześniejszej floty operacyjnej w całej historii świata. To ogromne, codzienne, dźwigane godzina po godzinie brzemie. Moje zadanie jest inne. Ja tu jestem po to, by myśleć. Siedzieć tu, w tym pokoju, i zastanawiać się nad działaniami militarnymi prowadzonymi na całej planecie Ziemia. Spędzam cały dzień roboczy na czytaniu, dyskutowaniu, ocenianiu i planowaniu, szukaniu słabych punktów i usiłowaniu przechytrzenia naszych pieprzonych wrogów. I dlatego zamierzam tu, na miejscu, w zachodnim skrzydle Białego Domu i o godzinie cholernie bliskiej drugiej nad ranem, wygłosić ci homilię na temat: „Co sądzę o sposobie myślenia Chińczyków”.

–Okay, stary, jestem gotów. A propos, czy ktoś tu może podać nam kawę?

–Joe, tutaj możesz dostać wszystko, jeżeli bardzo tego chcesz. Poza pieprzoną ciszą i spokojem.

Wielki Człowiek podniósł słuchawkę i natychmiast zgłosiła się obsługująca czterdzieści tysięcy rozmów dziennie centrala Białego Domu. Joe Mulligan usłyszał wypowiedane tonem „słodkiego bandziora” słowa budzącego największy strach w międzynarodowych sferach wojskowych faceta.

–Halo, tu admirał Morgan. Z kim mam przyjemność rozmawiać w tę piękną noc? Maryanne? Wspaniale. Ładne imię. Słuchaj, Maryanne, siedzę tu w towarzystwie admirała Josepha Mulligana, profesjonalnej głowy całej amerykańskiej marynarki wojennej. A to, czego potrzebujemy, nie jest wcale skomplikowane: dzbanek kawy i taca ciasteczek... Oczywiście zdaję sobie sprawę, że to nie leży w zakresie pani obowiązków, ale chciałbym, aby ktoś spełnił tę prośbę. Kawa i ciasteczka. Może się pani posłużyć moim nazwiskiem i bezwstydnie zacytować moje życzenia komukolwiek z małuczkich, kogo pani znajdzie. Może pani prosić i grozić. Ja wiem, Maryanne, że pora jest późna, ale problemy moje są wielkie, a potrzeby proste... i właśnie dlatego takie bardzo sprytne młode damy jak pani są tu zatrudniane... Dziękuję za łaskawe wejrzenie... Do widzenia.

–Jezu, ale ty potrafisz nawijać!

–Nawet ja nie mogę drzeć się na ludzi o takiej późnej godzinie i oczekiwać, że będą funkcjonować. Ale pokładam wiarę w pannie Maryanne.

W sześć minut potem do drzwi zapukał młody mężczyzna, w nienagannej białej marynarce, wnosząc duży dzbanek kawy, porcelanowe nakrycia, tacę ciasteczek Pepperidge Farm i spory talerz kanapek z kurczakiem.

–Pomyślałem, że może pan zgłodniał, sir.

–Widzisz, Joe? Czasem trzeba się wykazać czarem i dyplomacją.

Admirał Mulligan pokręcił tylko głową nad nieszczerością swego rozmówcy. Morgan zachichotał,

po czym szybko dodał:

–Ale nie wtedy, gdy ma się do czynienia z przebiegłymi Azjatami. 152

–No, dobra, Arnie. Wyłóż mi to.

Doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego przeszedł do stołu konferencyjnego i nalał im obu kawy. Podszedł potem do wielkiego ściennego ekranu komputerowego, na którym z twardego dysku można było wyświetlić aktualne mapy wszystkich oceanów świata. Włączył komputer, wystukał na klawiaturze „Chiny” i „Morze Żółte”, po czym powiększył obraz, ukazując najdalszy zakątek owego morskiego zakamarka – Zatokę Liaotuńską.

–Uważaj. Tu Chińczycy budują nowe strategiczne okręty podwodne, w Huludao. Wiemy, jak płytkie jest Morze Żółte, i wiemy, że nawet nowo zbudowane okręty muszą stamtąd wypływać na

powierzchnię, zmierzając wzdłuż brzegów Korei ku głębokim wodom. Trzeba teraz przyjąć dwa

założenia. Po pierwsze, Judd Crocker i jego chłopcy są w akcji, śledzą nowego Xia. Po drugie, Chińczycy podejrzewają, że on gdzieś tam na nich czatuje, co bez wątplenia wkurza ich niezmiernie. W każdym razie w ciągu następnych paru dni grano z wigorem w kotka i myszkę.

Otrzymujemy sygnał z Tajwanu, że nieopodal wyspy odbywają się intensywne ćwiczenia ZOP z

użyciem bomb głębinowych i moździerzy. To nie były ćwiczenia, wierz mi. Myśleli, że dostaną

Judda, ale on im się wymknął. Łatwo zgadnąć, że to jeszcze bardziej Chinoli rozzłościło. Popatrz na

te dane z Fort Meade, spójrz na zdjęcia satelitarne z Morza Południowochińskiego. Oto nagle Xia

III wychodzi na powierzchnię. Fotografujemy go z satelity i mamy go tu, na tej mapie. Trzy

godziny później dostajemy z Fort Meade kolejny sygnał o dużych ćwiczeniach z udziałem

samolotów, helikopterów i okrętów, odbywających się o dziesięć mil od miejsca, gdzie

namierzyliśmy Xia. I znów jestem pewien, że to nie były ćwiczenia. To znowu chodziło o Judda i

znowu udało mu się im uciec. Kurczę, ależ go trudno złapać. Przyjmijmy teraz, że zdobył to, po co

tam popłynął. Ma zdjęcia i pomiary. Chinole nadal nie mogą go znaleźć, ale nie dają za wygraną.

Wysyłają z Kantonu w morze swój nowy niszczyciel, Xiangtan, kierując go na akwen, gdzie według wywiadu chińskiego może się znajdować Seawolf. Główna ich akcja spaliła na panewce, nie? No to postanowili posłać ten okręt, by powęszył w pobliżu brzegów, tam gdzie prawdziwie cwany

amerykański dowódca jak Judd mógłby się udać i gdzie by się go najmniej spodziewano. Joe Mulligan wpatrywał się w elektroniczną mapę i tylko kiwnął głową w zamyśleniu.

–A potem trafia im się ziarno jak ślepej kurze. Jeden skurczybyk wpada na drugiego i oto

Chińczycy mają tego diabła, który ich straszył tyle dni. Szczwane bestie usiłują nas zbić z tropu

serią urażonych, ale tchnących dobrą wolą depeesz. Przez ten czas porywają Seawolfa i planują za

pomocą tortur wydobyć z jego załogi każdy najdrobniejszy sekret budowy najlepszego okrętu podwodnego, jaki kiedykolwiek znał świat. Co, u diabła, innego mogą 'Z nim zrobić? Zamienić go

w pieprzony prom do Kowloonu? I dlatego, admirale, muszę być informowany na bieżąco o

każdym durnym wydarzeniu w waszej durnej marynarce związanym z Chinami. Ponieważ nikt inny

tego nie kapuje.

Admirał Mulligan zdecydował się położyć życie na szali i spytał:

–Czy istnieje choćby cień szansy, że się mylisz?

–Odpieprz się, Joe. I nie gadaj jak kretyn, nawet jeżeli nim jesteś.

Szef operacji morskich o mało się nie udławił ciasteczkami; dobrze wiedział, że Morgan ma rację. Gdy myślisz, że coś wiesz, pomyśl, to pogadaj z Arniem. Wtedy dowiesz się dużo, dużo więcej. Złożył w duchu dzięki Bogu za Arnolda Morgana i ich długoletnią przyjaźń.

–Tylko pomyśl, Joe. Mamy tu cholernie wkurzoną chińską marynarkę, wokół której

Amerykanie swobodnie zataczają piruety. W końcu dopisuje jej szczęście. Wpada im w łapy okręt

podwodny, który zaoszczędzi im długie lata szpiegowania w trudzie i znoju. Joe, oni planują

skopiować ten okręt co do najdrobniejszego szczegółu. W razie potrzeby będą torturować

najważniejszych ludzi z załogi, by wydali im technologię. I uważam, że już nigdy nie

zobaczmy żadnego z nich. Albo wsadzą ich na wieki do więzienia po jakimś groteskowym procesie, albo po prostu zabiją. To jest tak cholernie wielki kraj i tak cholernie tajemniczy, że nigdy ich tam nie odzujemy.

–No cóż, jeśli takie jest twoje zdanie, to ja sobie pójdę,

a ty możesz zadzwonić do prezydenta i zawiadomić go o rychłej śmierci jego jedyne syna.

Powodzenia.

Admirał Morgan zaśmiał się, jak na niego, nieco nerwowo.

–Siadaj, Joe. Nie mówię, że się z tym ot, tak pogodzimy. Próbuję ci tylko przedstawić chiński sposób myślenia. To najgorszy z możliwych scenariuszy, zgoda. Ale jeśli mamy sobie jakoś w tej

sytuacji poradzić, musimy sobie to uzmysłwić. Oczywiście jeżeli się mylę, wszystko się jakoś ułoży i nikomu się nic nie stanie. Mam jednak dziwnie niedobre przeczucie co do Chińczyków i nic

z tego, o czym słyszę przez ostatnie dni, mi się nie podoba. W każdym razie, jeśli o nas chodzi, może z tego wyniknąć tylko jedno: prezydent każe nam w jakiś sposób odbić Linusa. Mam nadzieję.

Sobota, 8 lipca, godzina 9.00. Areszt wojskowy „Mao”, baza marynarki wojennej w Guangzhou Zamieszanie na zewnątrz budynku przyciągnęło uwagę całej szóstki Amerykanów. Wszyscy stanęli pod ścianami swych cel, kiedy kopnięte przez kogoś drzwi wejściowe otwarły się z łomotem i do środka wszedł komandor Li Zemin. Za nim wprowadzono czterech amerykańskich marynarzy, najwidoczniej wcześniej przywiezionych z cywilnego więzienia przy mauzoleum.

Judd Crocker patrzył, jak wchodzi, skuci za ręce w jeden szereg, sami najmłodsi członkowie załogi, z torpedystą Kir-kiem Saarlosem na czele. Za nim szedł Nathan Dunn z Alabamy, czarny motorzysta z Georgii Carlton Fleming, a na końcu młodszy kucharz, dziewiętnastoletni Skip Laxton z Vermontu. Każdy z nich skinieniem głowy oddał honory swym oficerom, po czym wepchnięto ich do pozostałych czterech cel. Wówczas na korytarz wszedł admirał Zhang Yushu, stanął przed kapitanem Crockerem i rzekł lodowatym tonem:

–Powiedz swoim ludziom, że mają współpracować z moimi technikami przy obchodzie okrętu dziś przed południem. I to natychmiast, kapitanie Crocker. W tej chwili!

–Odpierdol się, Zhang. Marnujesz czas swój i mój. Nie muszę niczego podobnego robić. A kiedy w końcu się stąd wy-

dostaniemy, może się okazać, że zostaliście pariasem świata za złamanie konwencji.

–Nie prowokuj mnie, kapitanie Crocker, bo możecie nigdy stąd nie wyjść.

–Pieprzę cię, ty tłusty chiński skurwysynu.

–Straż! Wyciągnąć tego z celi numer dziewięć! Niech tu klęknie przed swoim okropnie ordynarnym dowódcą.

Przyprowadzono Skipa Laxtona i drobny porucznik uderzył go kolbą w krzyż, przewracając go na podłogę.

–Na kolana! Czoło do ziemi i ręce na plecy!

Zamroczony Amerykanin zrobił, co mu kazano. Naczelny

dowódca raz jeszcze zwrócił się do Judda, nakazując mu wydanie swym ludziom rozkazu współpracy z chińskimi technikami przy oględzinach okrętu.

–Masz natychmiast to zrobić!

–Idź do diabła – odparł Crocker.

Zhang nieostrzegalnie skinął głową porucznikowi, który wyciągnął pistolet i strzelił młodemu kucharzowi w tył głowy, zabijając go na miejscu. Amerykańscy oficerowie w osłupieniu patrzyli na bezwładne ciało i powoli powiększającą się czerwoną plamę pod jego głową.

–Ty pieprzony barbarzyński morderco! – krzyknął Brad Stockton. – Jak to się rozniesie, staniesz przed międzynarodowym sądem jako zbrodniarz wojenny! To było morderstwo!

–I to nie ostatnie – spokojnie odrzekł admirał Zhang. – Zamierzam zabić jednego z waszych marynarzy za każdym razem, kiedy wasz kapitan odmówi spełnienia mojej prośby.

Ponieważ jesteście mi potrzebni, podobnie jak kilku innych oficerów, zostaniecie oszczędzeni. Na razie. Ale nie dbam o to, czy będę musiał zabić jeszcze z pięćdziesięciu szeregowych członków załogi. Będę to robił, dopóki nie pójdziecie po rozum do głowy. Widzicie, ja gram o bardzo wysoką stawkę: całą przyszłość mojego kraju. Śmierć paru amerykańskich piratów jest mi absolutnie obojętna. – Odwrócił się do swojego podwładnego. – A teraz przyprowadzić tu tego czarnego i niech uklęknie tuż przed kapitanem Crockerem.

Kiedy Carlton Fleming znalazł się przed Juddem, admirał powtórzył swą „prośbę”: 156

–Sir, proszę poinformować swoich ludzi, że mają z nami współpracować.

–Dobrze więc – odparł Judd. – Ponieważ pochodzę z bardziej cywilizowanego kraju niż ty, nie mam wyboru. Marynarze! – zwrócił się do pozostałej trójki. – Pójdziecie z technikami admirała Zhanga i ze mną na okręt i odpowiecie im zgodnie z prawdą na wszystkie ich pytania.

Wszyscy stali w milczeniu, patrząc na wychodzącego naczelnego dowódcę marynarki i szefa bezpieczeństwa. Po chwili usłyszeli huk zatraskujących się drzwi wejściowych. Nie słyszeli już jednak, jak cynicznie Zhang ocenił całe zajście.

–Mówiłem ci, Li. Zachód jest niezwykle miękki i zawsze musimy pamiętać słowa naszego wielkiego przywódcy Mao Zedonga: prawdziwa potęga tkwi w lufie karabinu. Sam widziałeś... jeden nabój. Tylko tyle było trzeba. Jeden nabój i już się załamali. Jedno nic nie znaczące życie wobec większej chwały Chin i całego naszego narodu. Przyszłość należy do nas, Li. I mimo że upłynęło już tyle lat, musimy bezustannie mieć w pamięci złote myśli przewodniczącego Mao.

–Czy mogę o coś zapytać, towarzyszu admirale?

–Naturalnie, mój wierny Li.

–Czy nakazalibyście egzekucję pięćdziesięciu marynarzy, gdyby było trzeba?

–Tak, Li. Myślę, że mógłbym to zrobić. Są w życiu dowódcy chwile, kiedy nie ma najmniejszej wątpliwości, że cel uświęca środki. Na nieszczęście dla Amerykanów to właśnie jedna z takich chwil.

Piątek, 7 lipca, godzina 8.00. Zachodnie skrzydło Białego Domu

Trzynastogodzinna różnica czasu między Chinami i Wschodnim Wybrzeżem USA była dla admirała Morgana źródłem ciągłej irytacji. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że zawsze jest o dzień z

tyłu i usiłuje dogonić peleton. Jak zwykł mawiać, „kiedy oni tam cokolwiek robią podczas normalnego dnia pracy, u nas zawsze jest wtedy pieprzony środek nocy, a to daje tym chińskim

kutasom przewagę". Szedł teraz

żwawo w stronę Gabinetu Owalnego, stukając obcasami lśniących czarnych butów, ze szczęką wysuniętą do przodu i nieruchomo patrzącymi przed siebie oczyma. Potężnie zbudowany admirał

Mulligan, który stawiał dłuższe od niego kroki, musiał przyspieszyć, by nie zostać za nim w tyle.

Dwaj żołnierze marines pełniący wartę przed drzwiami prezydenta ledwo zdążyli się poruszyć,

kiedy Morgan wszedł między nich, zastukał dwa razy i od razu wszedł wraz z szefem operacji morskich do środka.

Prezydent wstał zza biurka i podał rękę Mulliganowi.

–Cześć, Joe. Miło cię znów widzieć. My z Arnoldem już przestaliśmy sobie podawać ręce, bo spotykamy się z pięć razy dziennie... naleję wam kawy, co? Zamówiłem też gorące grzanki. Zdaje się, że byliście tu całą noc? '

–Tak, sir, to prawda – odpowiedział Morgan. – I obawiam się, że nie przynosimy dobrych wieści. Chińska marynarka po bliżej nie określonej kolizji na Morzu Południowochińskim jakimś cudem porwała Seawolfa. Stoi on teraz na cumach w Guangzhou. Sądzymy, że załogę uwięziono. I z najgłębszym żalem muszę panu powiedzieć, że Linus jest tam zastępcą dowódcy.

Prezydent głośno wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby* gdy dotarło doń znaczenie słów admirała. Potrząsnął głową kilkakrotnie, jakby chciał powiedzieć: „Nie, błagam, nie! Powiedz mi, że to nieprawda". Potem wysunął dłonie do przodu i z wyraźnym wysiłkiem opanował się, by spytać:

–Czy są w niebezpieczeństwie? Wydostaniemy ich stamtąd?

–Sir, myślę, że bardzo nam pomoże krótkie streszczenie całego incydentu przez Josepha.

Będzie pan miał dokładny obraz sytuacji i wtedy możemy zacząć się zastanawiać, jak im skrócić ich

cholerne karki. W sensie politycznym, naturalnie.

Prezydent mimo woli uśmiechnął się blado i skinął głową Mulliganowi, który bez żadnych wstępów rozpoczął:

–Najpierw, sir, dostaliśmy depeszę z Pearl, że wskutek owinięcia się kabla na śrubie Seawolf jest unieruchomiony na Morzu Południowochińskim i że stoi przy nim nowy chiński niszczyciel rakietowy, Xiangtan. Następny sygnał przy-

–P

szedł od dowódcy okrętu, Judda Crockera, że niszczyciel wziął ich na hol i ciągnie do Guangzhou. Podkreślił, że Chińczycy otworzyli do jego ludzi ogień z broni ręcznej, nie pozwalając na uwolnienie śruby. Następnie odezwała się chińska marynarka wojenna, twierdząc, że spełniają prośbę amerykańskiego dowódcy o pomoc. Potem zaczęły dochodzić raporty wywiadowcze mówiące o umieszczeniu załogi w więzieniu na przedmieściach Guangzhou. A w ostatnim komunikacie rząd chiński wyraża głęboki smutek, że w ogóle uznaliśmy za stosowne wprowadzić nuklearny okręt podwodny na ich wody terytorialne bez ich powiadomienia. Niemniej zrobią wszystko, co w ich mocy, by wyremontować Seawolfa i jak najszybciej go nam zwrócić. Wraz z załogą.

–Hmm... to nie brzmi zbyt źle, prawda? Co, Arnie? Joe Mulligan niezwłocznie wtrącił:

–Sir, muszę panu powiedzieć, że wszystko, co do tej pory mówiłem, pański doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego uważa za totalną bzdurę. Arnie uważa, że sytuacja jest w rzeczywistości w drastycznym stopniu gorsza.

–Arnie...?

–Panie prezydencie, jeśli chodzi o okręty podwodne, zawsze gramy z Chińczykami ostro - rzekł Morgan. – Pamięta pan, ile nam wszystkiego nakradli za poprzedniej administracji i jeszcze wcześniej? A znaczna część z tych technologii dotyczyła floty podwodnej: nowe sonary, w tym holowane, rakiety, kompaktowa głowica jądrowa. Ba, nawet technika wystrzeliwania rakiet kierowanych dalekiego zasięgu spod wody, stosowana na naszych tridentach i rosyjskich tajfunach. Proszę przy tym pamiętać, co Seawolf tam robił. Jego zadaniem było dobrze się przyjrzeć nowemu strategicznemu podwodniakowi, który właśnie opuścił stocznię w Huludao nad Morzem Żółtym, i pomierzyć jego kadłub. Panie prezydencie, ja oczywiście nie przeczę faktom zaprezentowanym tu przez admirała Mulligana. Jednak moja ocena sytuacji jest inna. Jestem zdania, że Judd i Lunus dotarli na pozycję na czas i zaczęli śledzić nowy okręt, Xia III. Jestem też przekonany, że Chińczycy domyślali się, że oni tam są, nawet jeśli ich fizycznie nie wykryli. W ciągu minionego tygodnia doszło do kilku poważnych incydentów. Najpierw zmasowane użycie

przez chińskie okręty bomb głębinowych i moździerzy prze-ciwpodwodnych nieopodal Tajwanu, na głębokim akwenu, gdzie Seawolf mógł z powodzeniem przebywać. Potem szeroko zakrojona akcja poszukiwawcza z udziałem śmigłowców, samolotów, niszczycieli, fregat i Bóg wie czego jeszcze, tuż na południe od miejsca, gdzie nasze satelity dostrzegły Xia na powierzchni. I zaraz potem dowiadujemy się, że nastąpiła kolizja naszego okrętu i nowego chińskiego niszczyciela. Chińczycy otworzyli ogień do grupy marynarzy z Seawolfa, którzy chcieli przeciąć zaciśnięty na śrubie przewód sonarowy i uwolnić okręt. Potem po prostu wzięli go na hol i zaciągnęli do swej bazy w Guangzhou, uwięzili załogę, którą zapewne mogą intensywnie przesłuchiwać... no i mają używanie, rozbierając wszystko na części i kopiując każdy system i każde urządzenie na Seawolfie. Zaoszczędzi im to pół wieku szpiegowania i wykradania tajnych dokumentacji.

–Nie wierzysz, że oddadzą okręt i załogę? – spytał prezydent Ciarke.

–Może i oddadzą okręt, jak się ze wszystkim uporają, sir. Ale wątpię w to. Myślę, że znajdą sposób, by powiedzieć na przykład, iż uległ skażeniu promieniotwórczemu i dlatego go konfiskują w celu zapewnienia bezpieczeństwa czcigodnym chińskim dupkom, mówiąc po prostu: „Przykro

nam, panowie”.

–A co z załogą?

–Panie prezydencie, myślę, że musimy przyjąć, iż zamierzają wycisnąć z niej całą wiedzę o budowie okrętu. Może się to odbywać w bardzo nieprzyjemny sposób. Potem pewnie zaaranżują publiczny proces wojskowy i wsadzą ich do kicia na długie lata za narażenie życia miłujących pokój obywateli Chin. Postarają się obrócić to w zbrodnię przeciw Republice Ludowej i w ten

sposób pozyskać przychylną opinię światowej.

Do gabinetu wszedł steward z tacą gorących grzanek. Prezydent podziękował mu, ale nie ruszył

jedzenia. Nie odzywał się też ani słowem. Siedział tylko i słuchał, co mówi jego doradca,

przypominający teraz, z jakim zapalem Chińczycy zabiegali o stworzenie floty oceanicznej, a

właśnie najwyższej klasy służby podwodnej, stosując wszelkie chwyt, by unowocześnić swoje

technologie.

–Zamawiają rosyjskie okręty klasy Kilo prawie co miesiąc. W Szanghaju i w Huludao aż się roi od rosyjskich naukowców, specjalistów od broni podwodnej. Czy doprawdy mamy wierzyć Chińczykom, gdy mówią: „Och, my tylko niesiemy pomoc na wezwanie waszego kapitana.

Oddamy wam okręt najszybciej, jak się da. Możecie nam zaufać"? Niech pan nie zapomina, że

polowali na Seawolfa, przypuszczalnie starając się go zatopić, uganiając się za nim połową floty

przez dwa tygodnie.

Zapadło milczenie. Kiedy w końcu prezydent przemówił, w jego głosie brzmiała ostateczna rezygnacja.

–Arnoldzie, przyjmuję twoją wersję oceny sytuacji i zamierzeń Chińczyków. Nie ma innego racjonalnego wytłumaczenia... prawda, Joe?

–Zgadza się, sir. Kiedy po raz pierwszy zebrałem znane nam fakty, pomyślałem, że Chińczycy mogą mówić prawdę, łagodząc sprawę i unikając konfliktu z nami. Ale spędziwszy kilka godzin na dyskusji z pańskim doradcą, nie mogę się z nim nie zgodzić. Istnieje

prawdopodobieństwo, że Chiny skopiują Seawolfa, może nawet w kilku egzemplarzach, i w kilka lat osiągną tyle, ile normalnie zajęłoby im dwadzieścia, zmieniając raptownie równowagę sił morskich w tamtym rejonie. I do widzenia Tajwan, a po nim Bóg wie co jeszcze. Z wielkim żalem muszę też stwierdzić, że załoga Seawolfa znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Prezydent wstał i przeszedł na drugą stronę gabinetu, stając pod portretem George'a Waszyngtona.

–Panowie, znam was obu dobrze – zaczął. – Nie wierzę, że przyszlście tu po to, by przygotować mnie na rychłą śmierć mojego jedyne go syna. Czy mamy jakiś plan?

–Nie mamy, sir. Implikacje są tak olbrzymie, a opcje tak rozmaite, że potrzeba nam wielu rad. Poczyniłem jednak już pierwsze kroki; kazałem chińskiemu ambasadorowi i attache morskiemu zbierać tyłki i zjawić się tu w ciągu pół godziny.

–Dobrze. Ten etap zawsze trzeba przejść, chociaż ambasador stanie tu i będzie udawał, że nic nie wie, po czym wyrazi szczere zdumienie naszymi podejrzeniami wobec Marynarki Ludowo-Wyzwoleńczej.

–Ma pan rację, sir. Śliski z niego węgorz. Ale odeślę go 161

z listem wyrażającym nasz gniew z powodu zajęcia uszkodzonego amerykańskiego okrętu na wodach międzynarodowych. Musimy im jasno uzmysłwić, że oczekujemy, iż wrócą grzecznie do szeregu, bo inaczej...

–Tak, Arnie. Wiem, że masz specjalny dar pisania takich listów. Muszę jednak przyznać, że zawsze bałem się nadejścia takiego dnia jak ten.

–Mówi pan o Linusie.

–Tak. Nie zrozum mnie źle. Marynarka zrobiła dla niego wiele, stawiając go o krok od pierwszego dowództwa. Świetnie się też spisała, trzymając prasę z dala od niego i pozwalając mu spokojnie pracować w obranym zawodzie, bez zewnętrznych wpływów, utrzymując jego przydziały służbowe w tajemnicy nawet przede mną... Ale, mój Boże, od dawna obawiałem się

podobnego. – Zawahał się przez długą chwilę, po czym dodał: – Joe, czy mogę przyjąć, że na tym etapie Chińczycy nie wiedzą, kim jest Linus?

–Tak, sir. Jego tożsamość została bardzo profesjonalnie zmieniona.

–Dzięki Bogu. – Prezydent zamyślił się. Wrócił za biurko, jakby godząc się z losem. – Dobrze. Spotkamy się o dziewiątej trzydzieści w pokoju sytuacyjnym. Chcę tam widzieć pełny zespół polityczny. Myślę, że powinien też być przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, wy obaj i może ktoś z SUBLANT, jeśli jest w zasięgu któryś z wyższych oficerów. Wezwijmy też lepiej szefa wydziału dalekowschodniego CIA... i możemy się zabrać do roboty. Mulligan ruszył pierwszy do wyjścia, ale przeszedłszy przez próg na korytarz, stwierdził, że jest sam. W gabinecie, schowany za na wpół otwartymi drzwiami, prezydent objął ręką szerokie ramiona swego doradcy; Arnold widział, że ledwo panuje nad sobą. Wiedział, jak mocne więzi łączą Ciarkę z synem. Oczywiście cały naród, a nawet prawie cały świat wiedział o tym strasznym wypadku jeździeckim na ranczu w Oklahomie, w którym zginęła Pierwsza Dama, zaledwie po roku rezydowania w Białym Domu. Jednak tylko dowództwo marynarki wojennej w pełni rozumiało, jaką stratę poniósł prezydent. Kiedy poprosił, by Linusa przywieziono samolotem z okrętu podwodnego, na którym wówczas służył,

bez wahania udzielono młodemu oficerowi urlopu okolicznościowego i syn mógł wesprzeć swego

załamanego ojca. Przez pół roku Linus krążył pomiędzy Białym Domem i ranczem. Ludzie bliscy

Gabinetu Ovalnego twierdzili, że bez swojego syna prezydent nie mógłby nadal funkcjonować.

Rezultatem tego wszystkiego były doskonałe stosunki pomiędzy władzą wykonawczą i marynarką

wojenną USA. Skutkiem ubocznym jednak stało się pewne z lekka nienaturalne uzależnienie naczelnego dowódcy sił zbrojnych od swego młodego i niedoświadczonego syna; wystarczająco

widoczne, by wywołać zaniepokojenie kilku dowódców rodzaju wojsk. Wyjaśniało ono też w dużym stopniu wyraźną arogancję Linusa.

To nie było zwyczajne ojcowskie oddanie, a raczej obsesyjna rodzicielska miłość spotęgowana przez bolesną utratę ukochanej żony. Wszyscy wiedzieli, że od jej śmierci prezydent, jedna z najlepszych partii w Stanach, nawet nie spojrzał na inną kobietę.

Żadna tragedia nie mogłaby mocniej dotknąć któregośkolwiek z ojców niż ta, z którą usiłował sobie

teraz poradzić prezydent Ciarke.

–Odzyskaj go dla mnie, Arnoldzie. Proszę cię, obiecaj, że to zrobisz. Odkąd zmarła jego matka... on jest wszystkim, co mam...

–Odzyskamy go, sir. Obiecuję to panu.

Ale wychodząc, by dołączyć do czekającego admirała Mulli-gana, Arnold Morgan nie miał zielonego pojęcia, jak uda mu się dotrzymać tej obietnicy

ROZDZIAŁ 5

Piątek, 7 lipca, godzina 9.30. Zachodnie skrzydło Białego Domu

Wszyscy wyznaczeni przez prezydenta uczestnicy tego ściśle tajnego zebrania przybyli do starego

podjmu sytuacyjnego Ronalda Reagana przed głową państwa. Stali wokół ustawionego pośrodku

stołu, czekając, aż prezydent pozwoli im usiąść. Na jednej ze ścian, na ponadmetrowej szerokości

ekranie komputera widniała mapa nawigacyjna Morza Południowochińskiego z zakazanymi wodami redy Guangzhou w centrum.

–Dzień dobry panom.

Ciarkę, wysoki republikanin z Południowego Zachodu, był tego dnia bardzo rzeczowy. Znikł gdzieś jego zwykły uśmiech, a w powitaniu zabrakło tej lekkiej nuty humoru. Niezwłocznie przystąpił do wyłożenia swojego planu zebrania.

–Zdecydowałem już, że utworzymy tutaj niewielki komitet i że mój doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, admirał Morgan, obejmie ogólne kierownictwo całej operacji.

Uzgodniłem to z przewodniczącym Połączonego Komitetu Szefów Sztabów i szefem operacji morskich. Powody podjęcia takiej decyzji są oczywiste. Sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, ma tak

silne podteksty polityczne, że przestaje być sprawą wyłącznie militarną. Dlatego admirał Morgan

jest idealnym kandydatem, jako uznany ekspert w tej dziedzinie i człowiek łączący te dwa aspekty.

Wiem, że Arnie cieszy się szacunkiem nas wszystkich, a już na pewno moim. Zdecydowałem, że

jako kompetentny w tej sprawie doradca zajmie moje miejsce na tym i na wszystkich kolejnych

zebraniach mających na celu rozwiązanie sytuacji chińskiej. Zasiądę po jego prawicy,

ponieważ, jak wam wszystkim wiadomo, jestem w tę sprawę silnie zaangażowany emocjonalnie i

nie chciałbym, by wpływało to na zamierzenia i działanie tego komitetu. Decyzje, jakie będą tu podejmowane, wymagają zimnej krwi. Nie mogę wystawiać innych na niebezpieczeństwo, by za

wszelką cenę uratować własnego syna. Dlatego też zaakceptuję plan działania powzięty przez komitet; podkreślam tu jednak słowo „działania”. Dalszy ciąg tego zebrania zależy od woli przewodniczącego Morgana.

Admirał przeszedł sprężysto do dużego krzesła u szczytu stołu, na którym zazwyczaj zasiadał

prezydent. Przemówił ostro i zwięźle:

–Niech po mojej lewej stronie usiądzie admirał Mulligan. Za nim chciałbym widzieć sekretarza stanu...

Harcourt Travis, wysoki, szpakowaty były profesor Harvardu (tak jak prezydent), przesiadł się na wskazane miejsce.

–Myślę, że następny powinien być sekretarz obrony Bob MacPherson. W ten sposób mamy dwóch polityków wagi ciężkiej po jednej stronie stołu, mogę więc teraz posadzić przewodniczącego

Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, generała Tima Scannella, po prawej ręce prezydenta. Dalej

przyda się jedwabne pióro Dicka Stafforda... następnego poproszę szefa wywiadu marynarki, admirała Schnidera. Naprzeciw nich niech zasiądzie szef personelu Białego Domu, Louis Fallon, i

ludzie z CIA, a także COMSUBLANT*, jeżeli zdąży tu na czas. – Kiedy wszyscy zajęli miejsca

według jego poleceń, Morgan przystąpił do meritum. – Okay, rozpoczynamy zebranie.

Zakładam,

że wszyscy przeczytali raport wojskowy podający w skrócie, gdzie jest nasz okręt i jak się tam, u

diabła, znalazł. Do tej pory dowiedzieliśmy się, że załogę zdjęto z pokładu i uwięziono. Około stu

marynarzy przebywa w cywilnym więzieniu w Guangzhou. Nie wiadomo jeszcze, co się dzieje z

wyższymi oficerami, ale pracujemy nad tym. I wszyscy wiecie też, że jest wśród nich syn

prezydenta, Linus Clarke. Chińczycy nie wiedzą, kim jest, i oczywiście zamierzamy taki stan

rzeczy utrzymać.

Prezydent skinął głową i poprosił Morgana o zdanie re* Dowódca Floty Podwodnej Atlantyku US Navy. 165

lacji z półgodzinnej rozmowy z ambasadorem Chińskiej Republiki Ludowej, która zakończyła się zaledwie przed kwadransem; mało brakowało, by dyplomata z Pekinu opuścił Biały Dom w przyspieszonym tempie, wspomagany czubkiem lśniącego czarną pastą buta admirała.

–To proste, sir – odrzekł Arnold. – Powiedział, że nie otrzymał na ten temat żadnych

informacji i nie jest kompetentny, by prowadzić o tym rozmowę, ma za to bezgraniczne zaufanie do

szczerości Armii i Marynarki Ludowo-Wyzwoleńczej. Obiecał, że zjawi się z informacjami za dwa

dni. Powiedziałem małemu kłamliwemu sukinsynowi, że to byłoby akurat o dwa dni za późno i że

za trzy godziny ma do mnie wrócić z jakimiś poważnymi oświadczeniami na temat zamiarów Chin.

W przeciwnym razie, powiedziałem mu, możemy zacząć rozważać wykonanie ataku

uprzedzającego na środki bojowe bądź instalacje chińskiej marynarki wojennej. – Admirał potoczył gniewnym wzrokiem wokół stołu. – Cholernie trudno jest dyskutować z notorycznym kłamcą, nie? Mały sukinsyn wie o każdym najmniejszym ruchu w Kantonie natychmiast po jego wykonaniu. Muszą go informować na bieżąco, bo wiedzą, że co chwila będziemy go tu wzywać. On dobrze wie, co się dzieje, ale zamierza po prostu grać na zwłokę. I to właśnie, moi panowie, leży u podstaw całej chińskiej strategii... trzymać nas na odległość serią pustych obietnic,

jednocześnie maglując załogę i kopiując okręt, każdy układ elektroniczny, komputer, zawór, raketę... Uważam, że nie mamy dużo czasu.

–Arnie – wtrącił prezydent – czy zamierzasz zarekomendować taki kierunek naszych działań? Mam na myśli uderzenie w okręty republiki ludowej?

–Sir, muszę na to odpowiedzieć: nie. Mówiąc zupełnie szczerze, nie mam ani zdźbła pojęcia, co powinniśmy robić. Wiem jednak, czego nie powinniśmy... mianowicie ryzykować wybuchu trzeciej wojny światowej. Powiedziałem ambasadorowi to, co mu powiedziałem, ponieważ chciałem go zastraszyć i skłonić, by przekazał swym politycznym panom, że nie żartujemy i że powinni się dobrze zastanowić, zanim zdecydują się zatrzymać okręt. Z nimi nie można postępować miękko, bo uznają to za słabość. 166

–Może admirał Mulligan mógłby zaproponować kilka wariantów możliwych działań morskich – zasugerował prezydent. – tylko w luźnej formie, żebyśmy mieli nad czym się pogłowić.

–Sir, marynarka może uderzyć w każdy cel, jaki pan nam wskaże – odrzekł szef operacji morskich. – Miasta, budynki, stocznie, okręty. Do wyboru. Proszę mi dać czterdzieści osiem godzin, a każdy wymieniony przez pana obiekt na tej planecie przejdzie do czasu przeszłego. I nikt nie może nam w tym przeszkodzić. Szczęśliwie moim zadaniem, jako lojalnego sługi kraju i prezydenta, jest tylko wykonanie poleceń. Nie muszę potem borykać się, w sensie zawodowym, z konsekwencjami. Prezydent uśmiechnął się w duchu i skinął głową, po czym zapytał:

–Z czym wiązałyby się natarcie na Guangzhou, oblężenie nabrzeża, odbicie więźniów i, no... odebranie okrętu i odpłynięcie na morze?

–Ostrożnie, sir – powiedział admirał Morgan. – Pańskie preferencje zaczynają się uwidaczniać. Prezydent uśmiechnął się smutno.

–Wiem, Arnie, wiem. Wiem też, że gadam jak starożytny strateg. Chciałbym jednak usłyszeć, czy w ogóle jest jakaś nadzieja, że możemy po prostu tam pójść i zabrać, co nasze?

–Tim? – Morgan skinął głową przewodniczącemu Połączonemu Komitetu Szefów Sztabów.

–Panie prezydencie, aby wysadzić desant sił lądowych odpowiednio silny, by odciąć Guangzhou i praktycznie opanować miasto, potrzebujemy co najmniej miesiąca na przygotowania. Gdybyśmy chcieli wylądować od strony wody, musielibyśmy stoczyć bitwę na Morzu Południowochińskim i chociaż na pewno byśmy ją wygrali, straty byłyby poważne. Trzeba by dokonać uprzedzających ataków na co najmniej cztery ich bazy morskie. Myślę, że taki desant musiałby liczyć ze sto tysięcy żołnierzy, którzy prawdopodobnie byłiby zmuszeni toczyć zacięty bój o każdy metr terenu. W dwa dni mielibyśmy trzecią wojnę światową.

–A tymczasem ci cholerni Chinole wymordowaliby całą załogę Seawolfa i może zatopili sam okręt, gdyby nie mogli go odholować w bezpieczne miejsce – burknął Morgan. 167

–Może admirał Mulligan mógłby zaproponować kilka wariantów możliwych działań morskich – zasugerował prezydent. – Tylko w luźnej formie, żebyśmy mieli nad czym się pogłowić.

–Sir, marynarka może uderzyć w każdy cel, jaki pan nam wskaże – odrzekł szef operacji morskich. – Miasta, budynki, stocznie, okręty. Do wyboru. Proszę mi dać czterdzieści osiem godzin, a każdy wymieniony przez pana obiekt na tej planecie przejdzie do czasu przeszłego. I nikt nie może nam w tym przeszkodzić. Szczęśliwie moim zadaniem, jako lojalnego sługi kraju i prezydenta, jest tylko wykonanie poleceń. Nie muszę potem borykać się, w sensie zawodowym, z konsekwencjami.

Prezydent uśmiechnął się w duchu i skinął głową, po czym zapytał:

–Z czym wiązałyby się natarcie na Guangzhou, oblężenie nabrzeża, odbicie więźniów i, no... odebranie okrętu i odpłynięcie na morze?

–Ostrożnie, sir – powiedział admirał Morgan. – Pańskie preferencje zaczynają się uwidaczniać.

Prezydent uśmiechnął się smutno.

–Wiem, Arnie, wiem. Wiem też, że gadam jak starożytny strateg. Chciałbym jednak usłyszeć, czy w ogóle jest jakaś nadzieja, że możemy po prostu tam pójść i zabrać, co nasze?

–Tim? – Morgan skinął głową przewodniczącemu Połączonego Komitetu Szefów Sztabów.

–Panie prezydencie, aby wysadzić desant sił lądowych odpowiednio silny, by odciąć Guangzhou i praktycznie opanować miasto, potrzebujemy co najmniej miesiąca na przygotowania. Gdybyśmy chcieli wylądować od strony wody, musielibyśmy stoczyć bitwę na Morzu Południowochińskim i chociaż na pewno byśmy ją wygrali, straty byłyby poważne. Trzeba by dokonać uprzedzających ataków na co najmniej cztery ich bazy morskie. Myślę, że taki desant musiałby liczyć ze sto tysięcy żołnierzy, którzy prawdopodobnie byliby zmuszeni toczyć zacięty bój o każdy metr terenu. W dwa dni mielibyśmy trzecią wojnę światową.

–A tymczasem ci cholerni Chinole wymordowaliby całą załogę Seawolfa i może zatopili sam okręt, gdyby nie mogli go odholować w bezpieczne miejsce – burknął Morgan.

–Może admirał Mulligan mógłby zaproponować kilka wariantów możliwych działań morskich – zasugerował prezydent. – Tylko w luźnej formie, żebyśmy mieli nad czym się pogłowić.

–Sir, marynarka może uderzyć w każdy cel, jaki pan nam wskaże – odrzekł szef operacji morskich. – Miasta, budynki, stocznie, okręty. Do wyboru. Proszę mi dać czterdzieści osiem godzin, a każdy wymieniony przez pana obiekt na tej planecie przejdzie do czasu przeszłego. I nikt nie może nam w tym przeszkodzić. Szczęśliwie moim zadaniem, jako lojalnego sługi kraju i prezydenta, jest tylko wykonanie poleceń. Nie muszę potem borykać się, w sensie zawodowym, z konsekwencjami.

Prezydent uśmiechnął się w duchu i skinął głową, po czym zapytał:

–Z czym wiązałoby się natarcie na Guangzhou, oblężenie nabrzeża, odbicie więźniów i, no... odebranie okrętu i odpłynięcie na morze?

–Ostrożnie, sir – powiedział admirał Morgan. – Pańskie preferencje zaczynają się uwidaczniać.

Prezydent uśmiechnął się smutno.

–Wiem, Arnie, wiem. Wiem też, że gadam jak starożytny strateg. Chciałbym jednak usłyszeć, czy w ogóle jest jakaś nadzieja, że możemy po prostu tam pójść i zabrać, co nasze?

–Tim? – Morgan skinął głową przewodniczącemu Połączonego Komitetu Szefów Sztabów.

–Panie prezydencie, aby wysadzić desant sił lądowych odpowiednio silny, by odciąć Guangzhou i praktycznie opanować miasto, potrzebujemy co najmniej miesiąca na przygotowania. Gdybyśmy chcieli wylądować od strony wody, musielibyśmy stoczyć bitwę na Morzu Południowochińskim i chociaż na pewno byśmy ją wygrali, straty byłyby poważne. Trzeba by dokonać uprzedzających ataków na co najmniej cztery ich bazy morskie. Myślę, że taki desant musiałby liczyć ze sto tysięcy żołnierzy, którzy prawdopodobnie byłiby zmuszeni toczyć zacięty bój o każdy metr terenu. W dwa dni mielibyśmy trzecią wojnę światową.

–A tymczasem ci cholerni Chinole wymordowaliby całą załogę Seawolfa i może zatopili sam okręt, gdyby nie mogli go odholować w bezpieczne miejsce – burknął Morgan.

–No, to zdaje się, że właśnie wykluczaliśmy regularne natarcie na dużą skalę -zakonkludował prezydent. – Nie da się po prostu wysłać tam piechoty morskiej.

–Jeżeli mamy osiągnąć nasz cel, to nie – potwierdził generał Scannell.

–Możemy chyba wystosować jakieś ultimatum – powiedział sekretarz obrony. – Dać im do zrozumienia, że jeśli nie spełnią naszych żądań, powiedzmy do siedemnastej naszego czasu, to zaczniemy zatapiać ich okręty. Sami wiedzą, że nie są w stanie temu przeciwdziałać.

–Już im dałem takie ultimatum – mruknął Morgan. – Tylko że dałem im czas do południa. Teraz zabrał głos Harcourt Travis, sekretarz stanu i bynajmniej nie zagorzały zwolennik doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego:

–Jest w najwyższym stopniu nieprawdopodobne, by Chińczycy ulegli groźbom. Znacie ich... Będą się kłaniać do ziemi i mówić, jak dalece godny pożałowania jest cały ten incydent. Ale też żli z nas chłopcy, że zakradaliśmy się na ich wody No, oni to rozumieją... zaraz o wszystkim zapomną i nam wybaczą. A przez ten czas zrobią wszystko, aby ten piękny okręt naprawić, by mógł bezpiecznie udać się do domu; może byśmy im za taką dobrą współpracę dali dużo, dużo tajnych

technologii? Biznes lepszy od walki, co? Lepiej coś zaróbmy! Ha, ha, ha...

Wszyscy się roześmieli z tak udanej parodii chińskiej dyplomacji. Ale jego słowa nie przeszły bez

echa.

–Masz rację, Harcourt. Dobrze to ująłeś – zgodził się Arnold Morgan. – Tak właśnie postąpią. Będą zwlekać, dopóki nie dostaną tego, co chcą. Potem zagrają ostrzej, postawią załogę przed sądem, wsadzą na długo do więzienia gdzieś na końcu świata, gdzie ich w życiu nie znajdziemy, a w końcu oznajmią, że okręt jest w stanie uniemożliwiającym wyjście poza ich wody i że zamierzają go zatrzymać, dopóki nie będzie w pełni sprawny.

–A niech to szlag – zaklął prezydent.

–Prawda jest taka – odezwał się Harcourt Travis – że na polu negocjacji nie możemy z nimi wygrać. Czas działa na ich korzyść, a przeciw nam. Potrzebne jest szybkie działanie.

–Zatem cokolwiek wymyślimy, musimy to szybko wykonać – podsumował generał Scannell.

–W tym cały szkopuł – rzekł admirał Morgan. – Nie wiemy, co zrobić. Jeżeli ich zaatakujemy w jakikolwiek sposób, mogą zacząć mordować załogę Seawolfa.

–Nie mogę uwierzyć, że jesteśmy bezsilni – zaprotestował prezydent.

–Ani ja – odpowiedzieli unisono Morgan i Mulligan.

–A gdyby tak zacząć systematycznie i metodycznie ostrzeliwać rakietami Cruise ich bazy morskie, od Xiamen przez Ningbo, Guangzhou, Zhanjiang aż po Haikou? Powiemy im, że zaprzestaniemy ataków, gdy oddadzą okręt wraz z załogą... – zaproponował niepewnie sekretarz obrony MacPher-son.

–Są dwa argumenty przeciw takiemu rozwiązaniu – odparł Morgan. – Po pierwsze, w odwecie zabiją załogę, a po drugie, nie wiemy, jak daleko mogą wystrzelić raketę balistyczną z Xia III. Podejrzewam, że wiedzą to wyłącznie Judd i Linus, ale są w tej chwili nieosiągalni.

Przez chwilę wokół stołu panowała cisza. Przewodniczący komitetu admirał Morgan zaczął nagle obracać swe złote pióro między palcami, co było niechybną oznaką, że jakaś myśl zaczyna mu chodzić po głowie.

–Chciałbym wyjaśnić jedną rzecz – powiedział. – Bardzo łatwo stracić z oczu istotę sprawy, kiedy się widzi, jak wspaniały prezydent i drogi przyjaciel wielu z nas cierpi z powodu strasznej,

osobistej tragedii. No, może to jeszcze nie jest tragedia, ale z jego punktu widzenia trudno uważać

inaczej. Chcę zatem przypomnieć, że chodzi tu o okręt podwodny, którego konstrukcja kosztowała

nas miliard dolarów, a który w rękach chińskich jako model do reprodukcji przysporzyłby nam gigantycznego bólu głowy. Dzięki niemu mogliby praktycznie wykluczyć zachodnią żeglugę z chińskich wód przybrzeżnych, zdominować wąskie wejście na Zatokę Perską, przez które przepływa jedna trzecia światowego wydobycia ropy naftowej, co z kolei pozwoliłoby im na blokadę i zdobycie Tajwanu. Seawolf jest najlepszym okrętem podwodnym, jaki kiedykolwiek

zbudowano. Nie można go usłyszeć, jeśli nie przekracza dwudziestu węzłów, a w razie potrzeby

może

nawiewać, rozwijając czterdzieści węzłów. Panowie, oni nie mogą go dostać.

–Arnie, myślałem, że już go mają – przerwał prezydent.

–Tak, ale nie mogą go sobie zatrzymać. Obawiam się, że będziemy zmuszeni go unicestwić, w środku bazy Guangzhou, zanim skończą nad nim pracować.

–Chcesz powiedzieć, że mamy wysłać tam oddział komandosów, by podłożyli ładunki wybuchowe i wysadzili okręt w powietrze? – spytał Joe Mulligan. – Nigdy by się nam nie udało wyciągnąć ich z powrotem.

9 -Nie. To by nie poskutkowało. Musimy trafić go „inteligentną” bombą prosto w przedział reaktora.

–Jezu, Arnie, to by zamieniło całą bazę w zakazaną strefę radioaktywną na dwieście lat! – wykrzyknął prezydent.

–Pewnie tak.

–A to oznacza trzecią wojnę.

–Oznaczałoby, gdyby wiedzieli, kto to zrobił. Ale jeżeli rzucimy bombę z dużej wysokości, powiedzmy z dwudziestu tysięcy metrów, w ciągu paru godzin od chwili, kiedy wzbudzą reaktor do stanu krytycznego? Według ludzi z Fort Meade w tej chwili reaktor jest nieczynny.

–A skąd wiesz, że planują go znowu uruchomić?

–Uruchomią go. Jak chcesz się dostać do okrętu i dowiedzieć się, jak działa, musisz włączyć jego system zasilania. Jeśli mam zgadywać, to reaktor Seawolfa pójdzie w ruch gdzieś w przyszłym tygodniu. Przyłapiemy na burcie tłum chińskich techników i zmiemy go z powierzchni ziemi za pomocą bombowca stealth lecącego hen, w stratosferze. Nikt nawet nie zobaczy bomby, która spadnie pionowo na okręt po zmierzchu. Wszyscy pomyślą, że durni Chinole wysadzili okręt w powietrze, nie umiając się obchodzić z reaktorem. Te zwariowane żółtki nie mają o tym pojęcia. A dookoła w promieniu wielu kilometrów nie ma żadnego Amerykanina.

–Czyste rozwiązanie – pochwalił prezydent. – Chociaż szkoda takiego dobrego okrętu.

–Ten okręt praktycznie już jest spisany na straty. I tak nigdy go więcej nie ujrzymy. Ale niszcząc go, sprawimy, że jego tajemnice pozostaną nie odkryte.

–Przynajmniej do czasu, kiedy znów będziemy mieli prezydenta demokratę.

–Proszę mnie nie straszyć – burknął Morgan. – I tak już jestem w poważnym stresie.

–Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, żebym zakończył to zebranie, panie

przewodniczący? – spytał Ciarke. – Zrozumiałem, co pan nam tu przedstawił. Chyba będzie dobrze, jeśli spotkamy się tu znów o piętnastej. Przez czas możecie się zastanowić nad wykonalnością takiego nalotu bombowego. Porozmawiamy potem jeszcze o załodze Scct11 wolfa, może też dostaniemy jakieś nowe zdjęcia satelitarne albo odpowiedź ambasadora. Zjemy razem kolację, bo przyjdzie nam nad tym posiedzieć. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy... nic nie ma takiego znaczenia jak ta sprawa.

–Okay, sir. Jak pan sobie życzy. Pozbieram wszystkie materiały i spotykamy się o piętnastej. Admirał Morgan skinął na Mulligana i obaj wyszli z pokoju. Szli przez jakiś czas w milczeniu, aż szef operacji morskich mruknął:

–Wiesz, Arnie, nie znoszę kręcenia się w kółko, ale tu ciągle powraca ten sam problem. Jak my zaatakujemy, to oni zabijają załogę. Nie jestem przekonany, czy stanie się cokolwiek innego, jak rozwalimy Seawolfa. Czyż oni nie mogą wtedy też rozwalić naszych, skoro już nie będą im potrzebni?

–Mogą, Joe. Co gorsza, mogą ich torturować, usiłując wyciągnąć z nich informacje o budowie okrętu. A to może być coś strasznego. Jednak specjalnie nie chciałem o tym mówić przy prezydencie.

–Nie było sensu. Widziałeś, jaki jest zdenerwowany.

–Jasne. Ale, Joe... trzeba dobrze wszystko rozważyć. Idziemy do mnie i coś musimy wymyślić. I to w ciągu czterech godzin. Przez ten czas pomolestujemy jeszcze ich ambasadora i attache morskiego. Ale, na Boga, mamy tu sakramencko wielki problem. Cokolwiek by Chińczycy mówili, ludzie z Seawolfa są zakładnikami. A to zawsze duży kłopot.

–Tak, zwłaszcza jeden konkretny zakładnik.

–Ano właśnie. 171

Przez następne cztery godziny dwaj admirałowie zastanawiali się nad rozwiązaniem. Każdy wariant działania natrafiał na ten sam nie do przebicia mur: możliwość zabicia przez Chińczyków uwięzionej załogi okrętu. Morgan co godzinę dzwonił do chińskiego ambasadora, grożąc mu błyskawiczną i straszną zemstą USA. Za każdym razem odpowiedź brzmiała podobnie. „Nie ma problemu, admirale. Mój rząd nie chce problemów. Okręt w naprawie. Dostaniecie go z powrotem bardzo szybko. Marynarze są czcigodnymi gośćmi Republiki

Ludowej. Nie ma problemu". Morgan chętnie by go udusił. A przez cały czas chodził mu po głowie nowy plan. Jego źródłem był wrodzony talent i skłonność admirała do działań podstępnych, ukradkowych i wręcz poniżej pasa.

Nie znosił idei brutalnego ataku na oślepa, wyważania otwartych drzwi i rozwalania, wroga w drobny mak.

Morgan był kiedyś dowódcą okrętu podwodnego i jego naturalnym sposobem działania było wywodzenie przeciwnika w pole, skrytość i przebiegłość. Nigdy w życiu nie rozkazałby bombardować Libii, Iraku, Sudanu czy Afganistanu, a nawet Belgradu. Mógłby usankcjonować jakiś szybki atak na niewielką skalę, ale groźny w skutkach i nie pozostawiający śladów. Ale najprawdopodobniej posłałby na miejsce oddział sił specjalnych, by cicho podszedł nieprzyjaciela, śledził go, czekając na sposobną chwilę, a potem błyskawicznie uderzył, pochwyił i zgładził przywódcę i cały jego gabinet. Do widzenia, Muammarze, Saddamie, bin Ladenie i Slobodanie. Arnold Morgan uwielbiał siły specjalne i wielkie zamieszanie, jakie po sobie pozostawiały. Teraz, kiedy stał przed problemem, jak się mogło wydawać, nierozwiązywalnym, dodatkowo skomplikowanym przez zagrożenie cennego życia amerykańskich zakładników, jego myśli zaczęły krążyć wokół owej mrocznej krainy, w której doskonalili żołnierze USA operowali szybko, cicho i z brutalną skutecznością. Nie był jeszcze gotów głośno o tym mówić. Ale w najgłębszych zakamarkach umysłu Arnolda Morgana zaczął się rodzić plan „wyłuskania” Amerykanów z tego chińskiego pudła. Każdy gram jego zdrowego rozsądku upierał się, że to najpewniej nie jest w ogóle możliwe. Ale to, co wiedział 172

o możliwościach sił specjalnych, wspierało jego instyktowne poczucie, że jest na to szansa. Niewielka, ale w tym wypadku trzeba było z niej skorzystać.

Morgan odrzucił wszystkie warianty zakładające otwarty, bezpośredni atak, który wiązałby się z jakąkolwiek konfrontacją z siłami chińskimi. Militaryny zmysł podpowiadał mu, że należy rozpoznać więzienie, gdzie przetrzymywani są marynarze z Seawolfa, a potem posłać tam „chłopaków”, którzy załatwią strażników i uwolnią więźniów. są

–Dwa pytania, Arnie – powiedział Mulligan, po raz kolejny tego dnia. – Jak przerzucimy na miejsce kilkunastu chłopaków? I jak wydostaniemy stamtąd ponad setkę?

–Darujmy sobie szczegóły, Joe. Mówię teraz o zasadzie. – Morgan podniósł słuchawkę i burknął: – Kathy, połącz mnie ze SPECWARCOM w Coronado. Chcę rozmawiać z kontradmirałem Bergstromem. Natychmiast, gdziekolwiek jest i cokolwiek tam robi.

Minęła właśnie godzina czternasta czasu wschodniego. Kiedy zadzwonił telefon, kontradmirał Bergstrom konferował akurat z dwoma najlepszymi instruktorami dywersji podwodnej, najtwardszymi mężczyznami z najtwardszego pułku na świecie, ustanawiającymi standardy dla całych sił specjalnych amerykańskiej marynarki (SEALs*).

–Hej, Arnold! Jak się miewasz? Dawno już nie rozmawialiśmy.

–John, szczerze mówiąc, jestem w rozpaczliwej sytuacji. Muszę z tobą pomówić.

–Nie ma sprawy. Strzelaj.

–Nie, tutaj.

–Gdzie?

–W Waszyngtonie.

–Kiedy?

–Zaraz.

–To znaczy już, zaraz?

–Tak jest.

* Skrót od Sea, Air and Land, czyli „morze, powietrze i ląd”; jednocześnie skojarzenie ze słowem seal, czyli foka. 173

–Jak mam się tam dostać?

–Jakimkolwiek samolotem, który masz pod ręką.

–Sam?

–Sam.

–Do Andrews?

–Tak jest.

–Sześć godzin.

–h – Helikopter będzie czekał.

–To na razie.

yi Admirałowie Bergstrom i Morgan dobrze się znali, j – On, jako nasz wielki pragmatyk sił specjalnych, będzie jeszcze większym pesymistą ode mnie – zauważył Joe Mulligan.

–Tak. Ale powie: „Dobra, zrobmy to, tylko jak?” A ty mówisz: „Nie róbmy tego, bo to niemożliwe”.

–Cóż, Arnie, to jest niemożliwe.

–Wiem.

–To tak, jakbyśmy to my trzymali pod kluczem setkę ważnych Chińczyków w więzieniu stanowym, powiedzmy, w centrum Atlanty. I tuzin uzbrojonych chińskich dywersantów próbowałby ich odbić. Wyłapalibyśmy ich w kilka godzin.

–Nie wyłapalibyśmy ich, gdyby zaatakowali w środku nocy i byli wyszkoleni przez ludzi Bergstroma w Coronado. I mieli ze sobą cały właściwy sprzęt. Wówczas mogłoby się to okazać całkiem trudne.

–Zgoda, Arnie. Może i tak.

–To nasza szansa, Joe. Musimy spróbować. Widziałeś dziś rano prezydenta? Biedak był bliski łez. Musimy coś zrobić. Nie umiem mu powiedzieć, że nawet nie spróbujemy.

Piątek, 7 lipca, godzina 19.00. Pokój sytuacyjny, zachodnie skrzydło Białego Domu

Popołudniowe zebranie komitetu kryzysowego trwało już cztery godziny. Argumenty krzyżowały się w powietrzu; za każdym razem, kiedy wojskowi sugerowali jakąkolwiek formę ataku na Guangzhou, Harcourt Travis wskazywał na przerażające konsekwencje wojny z Chinami. Podkreślał 174

--

orientalną obsesję na punkcie „utraty twarzy” i nie dopuszczał żadnych kompromisów.

–Jeżeli Stany Zjednoczone zaczną zabijać chińskich obywateli, by uwolnić okręt i załogę, nie ma żadnej wątpliwości, że Chińczycy odwzajemnią uderzenie.

–Ale to przecież dotyczy chyba każdego kraju, który według nas należałoby ukarać? – zauważył generał Scannell.

–Być może – odpowiedział Travis. – Z Chińczykami jednak jest inaczej. Jest ich tak wielu... Jeśli zadamy im cios, który dla innego narodu byłby druzgocący, i zgładzimy, powiedzmy, dziesięć milionów ludzi, nie wpłynie to w najmniejszym stopniu na ich sposób myślenia. Wzruszą tylko ramionami i powiedzą: „To bez znaczenia. I tak zostało nas miliard dwieście czterdzieści milionów”.

–Trochę to przeraża, jak o tym pomyśleć – zgodził się Bob MacPherson. – Ale jeśli czegoś z tym nie zrobimy, to chyba wkrótce będą mogli grasować swobodnie po całym świecie, robiąc wszystko, na co im przyjdzie ochota, tylko dlatego że nikt nie czuje się na siłach stawić im czoło.

–Nie sądzę, żeby tak w istocie było – sprzeciwił się Arnold Morgan. – Prawdziwe pytanie brzmi: kto jest gotów podjąć ryzyko, że chińska rakietą jądrową z wyciem silnika spadnie na

nas z nieba?

–No właśnie, kto? – powtórzył prezydent.

–Ja – odpowiedział doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. – Ty?

–Jasne, że tak! – warknął Morgan. – Pamiętajcie jeszcze o paru ich cechach. Nie tylko o gigantycznej populacji cholernych wieśniaków taplających się w błocie na polach ryżowych. Pamiętajcie o ich braku wyrafinowania technicznego. Ostatnim razem, kiedy chcieli dokonać próby rakiety międzykontynentalnej, o mało nie wysadzili w powietrze własnego okrętu. Za każdym razem, kiedy rozpoczynają jakiś tego typu projekt, udaje się im go dokumentnie spieprzyć. W co więc mogą trafić? W Pearl Harbor, wielką rakieta z głowicą jądrową? Nie, nie trafią w żaden tak

mały cel. Poza tym, czy zechcą? Nie sądzę. Będą wiedli dyskusję zupełnie taką samą jak my teraz,

pod przewodnictwem komisarzy politycznych,

wycofując się, obawiając i w ogóle kuląc pod siebie ogon. Przy nich tu obecny Ping Pong Travis

wyglądałby na Aleksandra Wielkiego!

–Dziękuję, Arnoldzie – odparł grzecznie Harcourt. – W każdym zachowawczym sekretarzu stanu tkwi szlachetny dzikus, próbujący się przebić na powierzchnię.

Wszyscy się roześmieli z żartu; w tej właśnie chwili doszedł admirał Brett Stewart,

COMSUBLANT, przeprosił za spóźnienie, wyjaśniając, że wezwanie do Waszyngtonu zastało go na morzu.

–Ja się na pewno bardzo cieszę z twego przyjazdu, Brett – rzekł Harcourt Travis. – Jako dowódcy naszej atlantyckiej floty podwodnej być może uda ci się wyperswadować naszemu czcigodnemu przewodniczącemu pomysł wydania wojny Chinom w celu odzyskania jednego z naszych okrętów.

–Już o tym słyszałem – powiedział Stewart. – I nie sądzę, abyśmy kiedykolwiek go odzyskali. Nawet jeżeli zatopimy pół chińskiej floty. Oni go potrzebują, i to zapewne bardziej niż czegokolwiek przedtem. Stawiam na to, że w tej chwili są w trakcie przerzucania na miejsce rzeszy swoich inżynierów i techników, prawdopodobnie z posiłkami z Rosji, szykując się do rozmontowania Seawolfa na czynniki pierwsze. Z sygnałów wynika, że otworzyli ogień do grupy roboczej Judda Crockera, próbującej uwolnić śrubę. Spodziewam się, że nad tym już dyskutowaliście i doszliście do wniosku, że im naprawdę zależy na tym okręcie. Strzelanie do amerykańskiej załogi nie jest aktem, który ktokolwiek podejmowałby beztrąsko.

–Też tak uważam – potwierdził admirał Morgan.

–Faktem jest, że nie możemy wyprowadzić okrętu z Guangzhou – ciągnął Stewart. – Czy ktoś wie, co z reaktorem?

–Chyba go zatrzymali – odpowiedział szef operacji morskich. – Dowiemy się na pewno po następnym przelocie satelity.

–To miałyby sens. Wówczas, kiedy skompletują zespół techniczny, dokonają ponownego rozruchu do stanu krytycz-cznego, a nam na pewno powiedzą, że wystąpił jakiś przeciek radioaktywny i niebezpieczeństwo nie pozwala im oddać nam okrętu.

–Admirał Morgan twierdzi, że jeżeli chcemy zachować tajemnicę nowoczesnej technologii

Seawolfa, musimy go zniszczyć.

–1 ma rację – natychmiast odpowiedział Stewart. – W przeciwnym razie będzie ich wkrótce całe stado, powiewające banderami Chińskiej Republiki Ludowej, i Chińczycy zdominują wszystkie dalekowschodnie szlaki naftowe... i parę bliskowschodnich też. Przez ostatnie pięć lat Chiny zaczęły prowadzić politykę ekspansjonistyczną. Jeśli chcecie znać moje zdanie, nie możemy im pozwolić na utworzenie flotyli kopii Seawolfa. A to oznacza, że musimy unicestwić oryginał.

–Kto jest za? – spytał admirał Morgan. – Proszę głosować, podnosząc rękę, jak ja. Admirał Mulligan uniósł dłoń, po nim generał Scannell i sekretarz obrony Bob MacPherson. To samo zrobił admirał Stewart i dwaj ludzie z CIA. Harcourt Travis stwierdził, że tego typu operacja wojskowa daleko wykracza poza jego kompetencje, i wstrzymał się od głosu, ale się nie sprzeciwił. Prezydent wstał z miejsca i powiedział, że chciałby wyjść na pięć minut. Dodał, że również wstrzymuje się od głosu, ponieważ jest zbyt mocno zaangażowany osobiście, by móc obiektywnie oceniać sytuację. Każdy z zebranych domyślał się, że perspektywa chińskich tortur dla jego jedynego syna doprowadziła go na skraj rozpacz. Clarke opuścił pokój, ale Arnold Morgan ruszył za nim, mówiąc:

–Proszę poczekać, sir! Muszę panu coś powiedzieć.

Prezydent odwrócił się do niego i admirał dostrzegł toczące się po jego twarzy łzy.

–Proszę posłuchać, panie prezydencie. Chcę, aby pan to wiedział... i chcę coś panu obiecać.

Jeśli zbombardujemy nasz okręt, wydostaniemy Linusa z tej pieprzonej nory w trzy godziny od

wielkiego bum. Mam plan. Niech pan nie odchodzi. Sir, wydobędę go stamtąd, obiecuję to. Prezydent skinął głową i próbował się uśmiechnąć. Poklepał swego doradcę po ramieniu.

–Dzięki, Arnoldzie. Daj mi parę minut. Zaraz wracam. Morgan wrócił do pokoju sytuacyjnego.

–Co z nim, Arnie? – spytał Travis. 177

m

–To, co byłoby i z każdym z nas, gdyby jakiś pieprzony Chinol szykował się do wyrywania paznokci naszym synom.

–Ten prezydent jest chyba najlepszym przyjacielem, jakiego wojsko kiedykolwiek miało - stwierdził generał Scan-nell. – Musimy zrobić dla niego wszystko, co w naszej mocy, cokolwiek by się działo i choćby ryzyko było wielkie.

Arnold Morgan zasiadł znów na swym miejscu.

–Sądzę zatem, panowie, że przeważającą większością głosów zdecydowaliśmy się unicestwić Seawolfa, zanim żółt-ki położą łapę na jego sekretach.

Wszyscy kiwnęli głowami, po czym przewodniczący kontynuował:»

–Okay, w takim razie spróbujemy sformułować wstępny plan, bo czas nagli. Pomoże nam to z grubsza określić harmonogram akcji. Jako główne założenie proponuję przyjąć, że musimy postarać się odbić załogę okrętu, wykorzystując tę kupę zamieszania, jaka ogarnie Guangzhou, kiedy rozwalimy reaktor Seawolfa.

–Ale jak przerzucimy tam oddział? – spytał Mulligan.

–Zapewne z wielkim trudem. Ale pozostańmy przy punkcie pierwszym, to jest, jak zniszczyć okręt zacumowany w chińskiej bazie marynarki.

–Czy mamy tu eksperta od bomb?

–Raczej nie.

–Sprowadzę kogoś – zaoferował generał Scannell. Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i nacisnął pojedynczy klawisz, łącząc się ze swym biurem. Wszyscy usłyszeli, jak mówi: – Złapcie generała Cale'a Cartera i powiedzcie, żeby przysłał najlepszego specja od bombardowań... pokój sytuacyjny w Białym Domu, w ciągu godziny... powiedzcie, że wolałbym, by przybył osobiście, jeśli może... tak... to wszystko.

O wpół do dziewiątej wieczorem przenieśli się do małej prywatnej jadalni. Właśnie z bazy lotniczej Andrews przyleciał śmigłowcem marynarki kontradmirał Bergstrom, a w kwadrans potem przybył generał Cale Carter, południowiec z Alabamy. Podano wyśmienitą kolację zorganizowaną przez admirała Morgana. Jego instrukcje dla szefa kuchni odzwierciedlały aktualny nastrój: „Befsztyk z polędwicy, średnio krwisty, pieczone ziemniaki i wszelkie zielone
178

warzywa, jakie panu odpowiadają. Może być sałatka, ale broń Boże ryż! I żadnej chińskiej smażeniny!" Na stole stanęły butelki gazowanej wody mineralnej i dobrze schłodzone kalifornijskie sauvignon blanc. Admirał nie omieszkał burknąć, że nie tyka chardonnaya przed Świętem Pracy. Nikt jednak nie spróbował wina oprócz prezydenta, który go potrzebował, i Arnolda Morgana, który je lubił. We dwóch osuszyli butelkę, zanim generał Carter zapoznał się z założeniami planowanego nalotu. Jedyłą sugestią ze strony Morgana było zastosowanie bomby zrzuconej z wysokiego pułapu, około piętnastu tysięcy metrów, zamiast rakiety balistycznej czy też nisko lecącej typu cruise. Generał Carter pokiwał w zamyśleniu głową, powiedział, że chciałby zrobić kilka notatek i przedłożyć swoją opinię, kiedy wróci do pokoju sytuacyjnego, gdzie będzie mógł się posłużyć mapą delty Rzeki Perłowej i „zagrać profesjonalistę".

Minęła dziesiąta, zanim admirał Morgan zarządził powrót przed wielki ekran komputera, by wysłuchać zaleceń eksperta od bombardowań.

–Panie prezydencie, panowie, chciałbym zacząć od tego, że trafienie bombą i zniszczenie USS Seawolfa nie stanowi najmniejszego problemu. Wyzwanie polega na tym, że nie chcecie, aby

ktokolwiek się dowiedział, iż to nasza sprawka.

Morgan przytaknął skinieniem głowy.

–No cóż, to znaczy, że musimy to zrobić ekstraostrożnie. Powszechnie uważa się, że im wyżej leci bombowiec, im dalej jest od celu, tym mniejsze są szanse jego wykrycia przez nieprzyjaciela. To nieprawda. Zwłaszcza w bazie marynarki wojennej, gdzie na pewno pełno jest

radarów. W samej rzeczy, wykrycie jest bardziej prawdopodobne przy locie na wysokim pułapie niż

na bardzo niskim. Biorąc pod uwagę ukształtowanie terenu wokół delty, uważałbym, że najlepiej

będzie zaatakować z małej wysokości. Pozostając poniżej pułapu siedemdziesięciu metrów nad

wodą, samolot nie zostanie wykryty. Będzie bowiem poniżej zasięgu radarów i dodatkowo osłonięty przez ląd. Sądząc po położeniu bazy morskiej, powiedziałbym, że lecąc na kilkunastu tysiącach metrów, prawie na pewno zostalibyście dostrzeżeni. Choćbyśmy wysłali tam najnowszej

generacji bombowiec stealth, mogą go wy-

kryć. Oczywiście w tej chwili tylko zgaduję, ale zapewne służby radiolokacyjne Chińczyków są w ostrym pogotowiu, kiedy ten okręt stoi tam na cumach. A więc, panowie, proponuję zastosowanie do przeniesienia bomby podstawowego myśliwca marynarki, F/A-18 Hornet. Lubię ten samolot. Jest szybki; może osiągnąć dobrze ponad tysiąc osiemset kilometrów na godzinę, startować z lotniskowca i unieść pod kadłubem bombę o wadze do ośmiu ton. Broń, jaka przychodzi mi na myśl, to GBU-24, czyli kierowana laserem bomba paveway-3, skonstruowana przez Raytheon. Mierzy około czterech i pół metra i waży zaledwie tonę, z czego prawie połowa to materiał wybuchowy. Ta rzecz przebija się przez kadłub okrętu do przedziału reaktora niczym harpun. Pilot powinien zastosować technikę rzutu ukośnego. Chcę przez to powiedzieć, że ma wejść nad deltę na pełnym gazie, lecąc na siedemdziesięciu paru metrach z szybkością około tysiąca ośmiuset kilometrów na godzinę. W odległości około ośmiu kilometrów od celu musi podnieść nos na czterdzieści pięć stopni, śmigając w górę jak pocisk, i zwolnić bombę przy jak największej prędkości. Skutek będzie taki sam, jak gdyby rzucił ją ukośnie w górę, na dodatkowy tysiąc metrów. W najwyższym punkcie lotu obróci się ona i zacznie cichy ślizg w kierunku celu. Jej system kierowania będzie szukał odbitego światła laserowego, zlokalizuje znacznik i skoryguje trajektorię lotu tak, by trafić w sam jego środek, cały czas odpowiednio poprawiając ustawienie lotek. Na długo przed uderzeniem w cel samolot będzie już daleko, minie odległy o sto kilka kilometrów na południe Hongkong po czterech minutach. Kiedy wypadnie na otwarte wody Morza Południowochińskiego, okręt podwodny i wszystko w pobliżu zamieni się w radioaktywne zgliszcza.

–Dziękuję, generale – powiedział Morgan. – W pełni doceniam te rady.

–Jest jednak pewien problem, który może braliście pod uwagę, a może nie – powstrzymał go dowódca sił powietrznych.

–Proszę więc o nim powiedzieć.

–Cel musi zostać oświetlony. Można zaprogramować strefę uderzenia bomby z dokładnością do piętnastu metrów, ale

: *

to za mało jak na wasze potrzeby, prawda? Dla was niezbędna jest dokładność dziesięciokrotnie

większa, do półtora metra, żeby trafić w reaktor. Jeśli bomba chybi o, powiedzmy, dziesięć metrów,

wybije w kadłubie sporą dziurę i narobi trochę bałaganu. Nie spowoduje jednak wybuchu reaktora.

Żeby tak się stało, musi trafić w jego środek. To zaś oznacza, że cel trzeba oświetlić, a nie wiem,

czy macie kogoś, kto by to zrobił.

–I ja nie wiem – rzekł admirał Morgan. – Jake, jak tam stoimy w Guangzhou?

Jake Raeburn, szef wydziału dalekowschodniego CIA, przemówił po raz pierwszy tego wieczoru.

–Admirale, mamy w tym rejonie kilku agentów, z czego trzech w Guangzhou, a jeden z nich pracuje w samej bazie. Jest najlepszy z nich. To Chińczyk, nienawidzi reżimu; jego kuzyn zginął na placu Tianan'men w osiemdziesiątym dziewiątym.

–Nie jest chyba w marynarce?

–Nie, to pracownik cywilny, elektryk. Oddawał nam nieocenione usługi przez kilka lat. Ale chce uciec z żoną i synem do Ameryki, co mu obiecaliśmy. Gdyby potrafił odwinąć taki numer, byłoby to jego ostatnie zadanie. Nie chcę, by zmarł na chorobę popromienną.

–Jakiego sprzętu nam potrzeba, Cale? – spytał Tim Scannell.

–To małe urządzenie, elektroniczne, z własnym zasilaniem. Kłopot tym, że bateria nie starcza na długo. Po ustawieniu i włączeniu mamy sześć godzin, zanim zgaśnie.

–Chce pan powiedzieć, że to nie jest ręczny laser, który ktoś może wycelować z oddali na konkretny punkt kadłuba okrętu? – upewnił się prezydent.

–Nie, sir. Ktoś musi najpierw zamocować i ukryć to urządzenie w pobliżu celu, potem je włączyć, kiedy będziemy gotowi, a w końcu wiać stamtąd, zanim nadleci bomba.

–Czy to wykonalne, Jake? Możemy oświetlić cel? – spytał Morgan.

–Tak jest, sir.

Przewodniczący komitetu chciał zakończyć zebranie o dwudziestej trzeciej, miał zamiar spędzić

parę godzin sam na sam z admirałem Bergstromem. Ale ledwo zaczął pod-

sumowywać spotkanie, ktoś głośno zapukał do drzwi, a po chwili wszedł umundurowany strażnik z

kopertą dla doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Wiadomość nadeszła bezpośrednio z Langley. Morgan odczytał ją zaraz na głos.

–Zaobserwowano, że około południa w sobotę wszyscy więźniowie zostali przewiezieni wojskowymi ciężarówkami z więzienia za miastem z powrotem do silnie strzeżonej bazy marynarki. Dalsza obserwacja na jej terenie niemożliwa. Wiadomość nadeszła od naszego zwykłego informatora znad Rzeki Perłowej. – Przeczytawszy notatkę, Morgan burknął: -To może dobrze, a może i źle. Dobrze, bo więzienie w Guangzhou było dla nas najgorszym z możliwych miejsc, by planować odbicie załogi, w środku dobrze zorganizowanego miasta, pełnego stacjonujących tam wojskowych. Według mnie przenoszą ich gdzie indziej, a jedynym powodem, dla którego przewieźli ich do bazy, jest to, że dalej popłyną morzem. W innym wypadku zawieźliby ich na lotnisko albo dalej ciężarówkami do celu, nie?

–Może chcą ich po prostu trzymać w samej bazie? – zasugerował prezydent.

–Gdyby tam mieli odpowiednie warunki, sir, w ogóle by ich stamtąd nie ruszali – odpowiedział Morgan. – Według mnie chcą ich zawieźć do więzienia wojskowego, specjalnie w tym celu przygotowanego. Jake, musimy ich odnaleźć, i to szybko. – Tymi słowami zakończył zebranie komitetu i zaproponował ponowne spotkanie nazajutrz o jedenastej rano. – Chcę załatwić parę rzeczy, zanim zaczniemy – dodał, po czym wstał, podziękował każdemu z zebranych, a wyczerpanemu kontradmirałowi Bergstromowi dał znak, by poszedł za nim do jego biura w zachodnim skrzydle. – Musimy poważnie pomówić na ten sam temat – oznajmił.

Bergstrom przewrócił z rezygnacją oczami i podreptał za Morganem, który miał w perspektywie drugą noc bez snu. Posłali po kawę i dwie lampki koniaku, by bronić się przed zaśnięciem, po czym doradca prezydenta powiedział cicho:

–John, wiesz, co sędzę o twoich ludziach. Wolalbym mieć pluton SEALs niż cztery tysiące bomb.

Morgan mówił oczywiście o elitarnej formacji specjalnej 182 -1

US Navy. Marynarka amerykańska utrzymuje sześć oddziałów SEAL złożonych z dwustu

dwudziestu pięciu ludzi. Trzy z nich stacjonują w Little Creek w Wirginii, pozostałe na wyspie Coronado, nieopodal San Diego, gdzie też znajduje się dowództwo formacji – SPECWARCOM (skrót od Special War Command), nadzorujące wszystkie misje SEALs, gdziekolwiek by je prowadzono. Foki mają za sobą krótką, ale pełną chwały historię: nie trafiło się jeszcze, by kiedykolwiek pozostawili na polu bitwy rannego czy poległego kolegę. Nawet w Wietnamie. Z ich brutalnym szkoleniem może się równać jedynie brytyjski pułk SAS, a wojskowi lubią podkreślać, że trudniej dostać się do tej jednostki, niż ukończyć prawo na Harvardzie. John Bergstrom zasłużył sobie na obecne stanowisko wieloletnią służbą jako dowódca oddziału. Wysoki, z zaczątkami siwizny, miał teraz sześćdziesiąt jeden lat, lecz zachował swą świetnie wytrenowaną sylwetkę.

Przed sześcioma laty zmarła mu żona, a on nigdy się z tym do końca nie pogodził. Był jednak niezwykle popularny tak w kręgach wojskowych, jak i cywilnych. Często jego twarz rozjaśniał wesoły uśmiech i miewał w oczach ten nieco kpiący wyraz, jak człowiek, który stawiał czoło wielkim niebezpieczeństwom, a teraz całą resztę uważa za drobiazg. Był chyba najlepszym dowódcą sił specjalnych, jakiego marynarka kiedykolwiek miała, dlatego też zajmował swe stanowisko dłużej niż ktokolwiek inny. Z admirałem Morganem darzyli się nawzajem wielkim szacunkiem. Sączyli teraz z wolna kawę, zastanawiając się nad ogromem czekającego ich zadania.

–Ponieważ chyba nie zamierzasz mnie namawiać, bym pilotował tego horneta, Arnie, to zgaduję, że chcesz, aby do akcji wkroczyli moi chłopcy?

–Spodziewam się, że się domyśliłeś z zasłyszanej konwersacji, że syn prezydenta, Linus, jest zastępcą dowódcy Seawolfa? – spytał Arnold z nikłym uśmiechem.

–Wiedziałem o tym od miesiąca. A teraz jest w chińskim pudle. To niedobrze, Arnie.

–Niedobrze? Jest znacznie gorzej. On jest w drodze z jednego chińskiego pudła do drugiego, a my nie wiemy, gdzie to drugie jest.

–Pierwszy raz ktoś chce, bym zaatakował miejsce, którego nawet jeszcze nie ma na mapie - zaśmiał się Bergstrom. – Ale powiem ci jedno: jeżeli trzymają załogę w bazie Guangzhou, mowy nie ma, żebym wysłał tam swoich ludzi. To byłaby misja samobójcza, a moje Foki takich nie podejmują. Są na to zbyt cenni.

–John, nigdy bym na to nie nalegał. Głównie dlatego, że taki atak równałby się wypowiedzeniu Chinom wojny. I w ogóle zgadzam się, że siły SEALs nie są przeznaczone do tego typu frontalnych akcji. Od tego są marines. Nie chciałbym też, by amerykańscy żołnierze pakowali się w strefę skażenia radioaktywnego, w jaką zamieni się ta baza.

–Chcesz mi powiedzieć, że możemy zostać zmuszeni poświęcić załogę Seawolfa, by zniszczyć okręt?

–Tak, John, chyba tak. Chcę ci jednak powiedzieć też, że jeśli jest w ludzkiej mocy ich stamtąd wydostać, to uczynimy to.

–Jeśli ich znajdziemy.

–Zgadza się. Ale do tego czasu musimy być przygotowani, a mamy tu do czynienia z typem akcji, o jakiej obaj wielokrotnie dyskutowaliśmy

–Masz na myśli błyskawiczne przerzucenie do obcego kraju dużego,

pięćdziesięcioosobowego oddziału naszych cennych Fok, który by się tam przyczaił, a potem zlikwidował wrogi rząd albo przywódcę, jak Saddama, Miloševi-cia albo tego pieprzonego Saudyjczyka, jak mu tam, bin La-dena?

–O to właśnie chodzi. Elita elit, najlepszy zespół, jaki możemy zebrać. Pamiętasz, że zawsze byliśmy zdania, że operowałby z lotniskowca, gdzie dowódca założyłby sztab akcji. Coś takiego chodzi mi teraz po głowie.

–Sugerujesz, że mam zacząć kompletować taki zespół? A jego pierwszym zadaniem bojowym byłoby wyprowadzenie z Chin załogi Seawolfa?

–Tak, John.

–Jezu. To wielka rzecz...

–Największa. Prezydent jest na skraju załamania groźbą, że Chińczycy zaczną torturować jego syna, by wydobyć od niego informacje.

–Myślisz, że mogą to zrobić?

–Tak, a ty nie?

–Mogą.

–John, uważam też, że Chinole ich już nigdy nie wypuszczą. Kiedy zaczną się przesłuchania, szybko zamienią się w tortury. A wtedy nie dopuszczą, by ktokolwiek się z Chin wydostał i o tym opowiedział.

–Postawią ich przed sądem?

–Chyba tak. Wlepią im długie wyroki, a podczas ich odsiadki wszyscy po prostu zaginą. Nikt nie powróci, by zrelacjonować swe doświadczenia.

–W takim razie musimy ich stamtąd wyciągnąć.

–Otóż to. I dlatego chcę, byś zebrał oddział najlepszych chłopaków, jakich kiedykolwiek miałeś. Weź ich z Virginia Beach i z Coronado, a jak chcesz, to uzupełnij skład paroma facetami z brytyjskiego SAS. Nie miałbym nic przeciwko umiędzynarodowieniu takiej akcji. Załatw tylko, żeby byli najlepsi z najlepszych. Jeśli Chińczycy przeniosą załogę Seawolfa do więzienia w pobliżu wody, wchodzimy tam. I guzik mnie obchodzi, czy przyjdzie wybić do nogi całą straż, a jeżeli nie znajdzie się dowódca z jajami, sam poprowadzę atak.

–Nie wiedziałem, że jest pan wciąż oficerem czynnej służby... – Admirał Bergstrom wyszczerzył zęby.

–No to mnie do niej powołaj, dupku – odparł Arnold Morgan. – Wyciągnę ich stamtąd i nie ma odwołania.

–Dwa pytania, Arnie. Jak chłopaków tam przerzucimy? I jak wszyscy potem się wydostaną? Żeby splądrować chińskie więzienie wojskowe, będziemy potrzebować chyba z pięćdziesięciu ludzi. A marynarzy z Seawolfa jest przynajmniej setka, co?

–Okręty podwodne, John. I zodiaki jako środek desantowy. Do tego zespół lotniskowca paręset mil od brzegu.

–Chryste, Arnie! Chcesz wywołać wojnę?

–Nie zamierzam dać się Chińczykom złapać, a w każdym razie nie wcześniej, niż wszyscy nasi będą bezpieczni poza ich terytorium. Wtedy żółtki mogą sobie robić i myśleć, co im się żywnie podoba. A jak zechcą rozrabiać, zatopimy ich.

–Arnold, jakie są ramy czasowe? Biorąc pod uwagę, że nawet nie wiemy, gdzie teraz są więźniowie?

–Ramy są takie, że najpierw wyślemy drużynę zwiadowczą, by zlokalizowała nowe więzienie. Potem, na trzy godziny przed wylądowaniem Fok, zbombardujemy Seawolfa w Guangzhou, powodując maksymalną panikę i zamieszanie. Pod jego osłoną chłopaki wejdą do akcji. To znaczy, że teraz ty zabierasz się stąd śmigłowcem do Andrews i wracasz do San Diego. Montujesz oddział, nie szczędząc wysiłku i kosztów. Za czterdzieści osiem godzin od tej chwili mają wylecieć na Okinawę, gdzie natychmiast zaokrętują na lotniskowiec i zaczną się szykować do działania.

–Załatwione. Tak myślę. Jeśli potrafimy odnaleźć więźniów. – Szef SEALs wstał, wychylił kieliszek koniaku, zabrał swój neseser i ruszył do drzwi. Odwrócił się po chwili i uśmiechnął szelmowsko. – A tak przy okazji... w SPECWAR-COM uważają, że jest z ciebie kawał twardego. Bogu dzięki, że jesteś po naszej stronie. No, to do zobaczenia, Arnie... na czele desantu, he, he, he... Sobota, 8 lipca, godzina 18.00. Baza marynarki wojennej w Guangzhou

Wieczorna wycieczka po Rzece Perłowej została odwołana. Duży prom, odchodzący zazwyczaj z

przystani numer jeden przy ulicy Yanjiang, na wschód od mostu Ludowego, nie przyjął dziś na pokład stu siedemdziesięciu pasażerów, głównie cudzoziemców, którzy wyrzekali tak głośno, w

jakim stopniu rozsądnie jest wyrzekać w Chińskiej Republice Ludowej -czyli raczej cicho.

Nie wiedzieli jednak, że pobyt na promie nie wyszedłby im na dobre, ponieważ tego dnia udawał

się on w rejs do dawnego japońskiego więzienia wojskowego na dziesięciokilometrowej wyspie

Xiachuan Dao, oddalony od stałego lądu o cztery mile morskie i leżącej o osiemdziesiąt mil na

południowy zachód od Makau. Admirał Zhang nie tylko zarekwirował prom „w imieniu marynarki

Republiki Ludowej", ale też w rekordowym czasie przygotował opuszczone więzienie do

użytkowania. Posłał na wyspę dwuosobowy oddział inżynierski, by zainstalował

najnowocześniejsze systemy

łączności, współczesną sieć elektryczną, nową kanalizację (co prawda z rurami na wierzchu) i

ciepłą wodę, ustawił biurka, telefony i rozgłośnie wewnętrzną na potrzeby dowództwa.

Betonowe

ściany i dwie wieże strażnicze przeszły gruntowny remont. Same cele pozostawiono w takim stanie,

w jakim były od końca lat czterdziestych, kiedy usunięto stąd ostatnich więźniów rewolucji, rozstrzelano ich i pogrzebano w zbiorowej mogile. Teraz wyglądały tak, że nawet szczur kręciłby

nosem. Admirał Zhang twierdził jednak, że to tylko rozwiązanie na krótko, za parę tygodni bowiem

Amerykanie znajdą się w nowym więzieniu w głębi kraju.

Nie mówił tego jednak z jakichś humanitarnych pobudek. Obawiał się po prostu, że amerykańskie

siły zbrojne mogą pokusić się o próbę odbicia więźniów. Uważał zaś Jankesów za nieokrzesanych

osiłków, którzy przed niczym się nie cofną, zwłaszcza gdy są świetnie wyszkoleni i uzbrojeni; bywają mięczakami, kiedy są w gorszej sytuacji i pod presją... obce im są trudy i poświęcenie rewolucji... ale śmiertelnie groźni i bezlitośni, kiedy są górą. A zazwyczaj są... Admirał Zhang nienawidził Ameryki, podobnie jak nienawidził Brytyjczyków za ich wyjątkowo arogancki stosunek do liczącej milenia cywilizacji chińskiej. *

Prom zacumował do nabrzeża w bazie. Przez zakratowane okno kapitan Crocker w świetle

jarzeniówek widział między budynkami swoją załogę, powoli kolumną dwójkową posuwającą się

ku trapowi. Każdy z marynarzy miał ręce skute za plecami. Judd obserwował ich przemarsz blisko

godzinę, kiedy drzwi wejściowe do budynku aresztu otworzyły się z hukiem i czterech żandarmów

zaczęło otwierać cele i zakuwać w kajdanki także sześciu najstarszych oficerów Seawolfa.

Zajmujących ostatnie cele młodych marynarzy wyprowadzono już godzinę wcześniej; Judd był coraz bardziej pewien, że wkrótce dołączy do całej załogi – po raz pierwszy od przybycia do Guangzhou.

Całą szóstkę poprowadzono na nabrzeże, gdzie czekał na nich admirał Zhang i komandor Li Zemin.

Strażnicy popchnęli ich wprost na prom, każąc im usiąść na długich, błyszczących farbą ławkach na

górnym pokładzie, zazwyczaj

i

wypełnionych turystami. Naprzeciwko Judda znalazł się mechanik, komandor podporucznik Rich

Thompson, władca okrętowego reaktora; wciąż miał spuchniętą twarz po pobiciu przez strażników.

Obaj koledzy skinęli do siebie głowami, zanim zauważyli drobnego porucznika żandarmerii, który z

zimną krwią zastrzelił młodego Skipa Laxtona.

–Nie wolno wam rozmawiać! – wrzasnął. – I pamiętajcie, w każdej sekcji promu jest

dwunastu uzbrojonych strażników. Na każdą waszą trójkę wypada jeden. Nie dorównacie im. Nie

próbujcie ucieczki, bo zostanieie na miejscu zastrzeleni.

Gdzieś we wnętrzu promu dał się słyszeć pomruk budzonych do życia silników, a z lądu dobiegły pokrzykiwania cumowników. Widoczne przez duże, podłużne okna światła portowe zaczęły się przesuwać do tyłu, kiedy prom ruszył naprzód, ku ciemnym wodom Rzeki Perłowej, kierując się na południe, w stronę Hongkongu, a potem... Bóg wie gdzie.

Na nabrzeżu admirał Zhang i komandor Li wciąż byli pogrążeni w rozmowie sprowokowanej zdziwieniem dowódcy ochrony bazy, że admirał uparł się przetransportować więźniów na Xiachuan Dao, zamiast „trzymać najważniejszych oficerów pod kluczem" w bazie, w pobliżu Seawolfa.

–Powodów mam wiele – tłumaczył Zhang. – Ale główny jest ten, że chcę mieć całą załogę odizolowaną od świata, w jednym miejscu. Tam mam warunki i wyposażenie do przesłuchiwania ich, a kiedy będę potrzebował któregoś z ważniejszych oficerów, mogę go tu ściągnąć śmigłowcem na dzień czy dwa, zależnie od jego gotowości do współpracy. Pamiętaj też, Li, na Xiachuan Dao zespół specjalistów będzie prowadził obserwację więźniów, a to ważna praca. Jak wiesz, w sztuce przesłuchiwania najistotniejsze jest znalezienie słabego ogniwa, człowieka, który pierwszy się załamie. W ten sposób można wiele osiągnąć w krótkim czasie. Nie chcemy marnować czasu na przesłuchiwanie najtwardszych ludzi. Nic nam nie powiedzą, a jeśli tak, to same kłamstwa. Można na to stracić wiele godzin, a my nie mamy za dużo czasu.

–Tak jest, towarzyszu admirale. Rozumiem. Poza tym jest jeszcze kwestia zabezpieczenia bazy w Guangzhou. Podejrzewamy, choć nie mamy dowodów, że istnieją przecieki

informacji. Macie jak zawsze rację, towarzyszu. Lepiej ich trzymać w jednym miejscu, odizolowanych od siebie, ale pod stałą obserwacją naszego zespołu. To o wiele lepsze rozwiązanie.

–Zacznijcie jutro o brzasku, Li. Będzie mi was tu brakowało przez dwa tygodnie, ale przecież będziecie wykonywali bardzo ważne zadanie dla naszej ojczyzny. Chciałbym, abyście mi towarzyszyli przy kolacji w Wielkiej Sali, zanim wyjedziecie. Będzie to znacznie przyjemniejsza odprawa przed lotem na Xiachuan.

–Dziękuję, towarzyszu admirale. Będę zaszczycony. Sobota, 8 lipca, godzina 5.00. Gabinet admirała Morgana, Biały Dom

Siedział samotnie, już czwartą godzinę rozmawiając przez telefon, bez pośrednictwa sekretarki (co nie było zaskoczeniem), oczekując na żwawsze działanie amerykańskiej ambasady w Londynie i usiłując zdobyć numer bezpiecznego telefonu attache morskiego. Najpierw nie uwierzyli, że to on, potem musieli oddzwonić do niego w Waszyngtonie, a w końcu łączność została przerwana. Zatelefonował więc ponownie; słuchawkę za oceanem podniosła inna telefonistka, która nie uwierzyła, że to on, i też musiała oddzwonić. Teraz, po usłyszeniu dwóch kolejnych próśb o cierpliwość, siedział z głuchą słuchawką przy uchu w nastroju, który można by porównać do wrzenia na wolnym ogniu. W trzy minuty później głos zza oceanu powiedział:

–Zastanie pan pułkownika Harta pod następującym numerem...

Morgan nagryzmolił go na kartce i niezwłocznie wystukał podane cyfry na swym bezpiecznym telefonie. W Londynie było dziesięć po dziesiątej rano; po dwóch dzwonek odezwała się sekretarka.

–Biuro pułkownika Harta, słucham.

–Proszę mnie z nim połączyć. Mówi Arnold Morgan z Białego Domu. W pewnym sensie ten telefon był przełomowym wydarze-

niem w życiu byłego pułkownika marines Franka Harta, znanego w korpusie jako „Fagin”. Pułkownik od kilku lat był, jak to się mówi, w odstawce. Niegdyś filar wywiadu marynarki, przez dwa lata porucznik w SEALs, został zamieszany w pewne wyczyny administracji Reagana w polityce zagranicznej, w zamyśle słuszne, czasem nawet błyskotliwe. Kiedy niektóre z owych działań wyszły na jaw, lewicowi kongres-mani i dziennikarze w groteskowym pokazie fałszywej prawości ruszyli do ataku na wszystkich związanych z nimi ludzi. Nastąpiły

kwieciste tyrady, pełne sformułowań w rodzaju: „Czy prezydent był poinformowany?... Czy wiedział o tym sekretarz stanu?... Jak ci ludzie śmia postępować, jakby byli ponad prawem?... Powiesić... Rozstrzelać... Wtrącić do więzienia... Usunąć ze stanowisk...” Jednym słowem, Dziki Zachód i lokalne sejmiki ustanawiające własne prawa. Kariery zniszczone, życie delikwentów i ich rodzin złamane. Niezwykłe rzadko, może nawet w ogóle nie padały inne pytania: Czy ci ludzie działali w najwyższym interesie Stanów Zjednoczonych? Czy wykonywali założenia polityki uznawanej przez wybranego znakomitą większością głosów prezydenta za podstawę bezpieczeństwa kraju w najczarniejszych dniach zimnej wojny? Czy cała akcja nie była oparta na pokładach drzemiącego w każdym dobra, na ludziach honoru, dających z siebie wszystko najlepsze dla Ameryki i jej obywateli w walce z napierającym sowieckim komunizmem? Odpowiedź na wszystkie te pytania brzmiała: tak. Jedyne „nie” mogło paść, gdyby spytano: „Czy którykolwiek z nich popełnił choćby jeden czyn, który można by przypisać pragnieniu osobistych korzyści?” Nie. Nie udowodniono im nic ponad to, że działali z pobudek patriotycznych. Może ich patriotyzm był zbyt wybujały, może ślepy, ale był prawdziwy. Nie zawsze to samo można było powiedzieć o niektórych z oskarżycieli. Pułkownik Hart, szczupły, przystojny mężczyzna o twardym spojrzeniu, absolwent Annapolis*, został porwany przez ów wir. Nigdy nie postawiono go przed sądem, jak niektórych oficerów, ale jego kariera wojskowa i polityczna skończyła się wraz z odejściem prezydenta Reagana z Białego Domu. Pod* Akademia Marynarki Wojennej USA. 190 czas przesłuchania przez komisję kongresową, transmitowanego na żywo przez telewizję, zdarzył

się jednak incydent, który uczynił go prawie nieśmiertelnym. Pułkownik Hart w pełnym galowym mundurze stanął przed jednym z oskarżycieli i powiedział: „Sir, nie wiem, co pan robi, kiedy widzi pan flagę Stanów Zjednoczonych Ameryki. Ale jeśli pan chce, pokażę panu, co ja wtedy robię”. I założywszy czapkę, stanął na baczność i wykonał przepisowy, sprężysty salut Korpusu Piechoty Morskiej. Ludzie, którzy walczyli za USA w wojnach na całym świecie, uронili łzę za pułkownika Harta.

Wiele osób nigdy tej chwili nie zapomniało, a wśród nich Arnold Morgan i obecny prezydent. Obaj uważali, że z pułkownikiem postąpiono bardzo nie fair. Po całej sprawie został on dyskretnie przeniesiony do dyspozycji dyplomatycznego ramienia marynarki wojennej. Najpierw pracował w ambasadzie w Buenos Aires jako zastępca attache morskiego. Potem przyszły stanowiska w Europie i na Bliskim Wschodzie, a w październiku 2004 r. został mianowany attache morskim w Londynie. Powszechnie sądzono, że ma odpowiednie predyspozycje do objęcia poważnej ambasady w nieodległej przyszłości. Ten telefon od admirała Morgana jednak oznaczał nagły zwrot w karierze pułkownika Harta.

–Witam, s\r – powiedział. – Wiele czasu już upłynęło od ostatniej naszej rozmowy.

–Zbyt wiele, Frank – odrzekł admirał. – Jak tam się z tobą obchodzą?

–Lepiej niż z panem, sir. Nikt tu nie zapędza mnie do pracy o piątej rano.

–Tak to już często bywa, kiedy jest się blisko ośrodka władzy.

–O, do diabła. Myślałem, że to coś wyjątkowego. Że może ten telefon to coś poważnego, co się wiąże ze zmianą adresu.

–Nie myliłeś się. Chyba ci się to nie spodoba.

–Panie admirale, nie chciałbym być niegrzeczny, ale ponieważ jestem bardzo zajęty rozwiązywaniem skomplikowanego problemu militarnego, a mianowicie którzy z nas mają wziąć udział w kolacji wydawanej przez pierwszego

lorda Admiralicji piętnastego lipca, może by pan przeszedł do rzeczy?

Morgan roześmiał się, słysząc w głosie dawnego kolegi oficera „zadowolenie” z borykania się z

trywialnymi zajęciami, nieodmiennie irytującymi wszystkich wojskowych.

–Frank, czy miałbyś ochotę przyjąć dowództwo liniowe w SEALs?

–Kto, ja? – spytał niepewnie Hart.

–Czy podano mi niewłaściwy numer?

–Chryste, Arnold, ja mam sześćdziesiąt lat!

–No to co? Mam ci dać prezent urodzinowy?

–Sir, usiłuję poważnie odpowiedzieć na pytanie. Nie sądzę, abym był w odpowiedniej kondycji, by się zadawać z tamtymi facetami.

–Frank, potrzebuję twojego mózgu, a nie pieprzonych mięśni.

–A, to co innego. O co chodzi?

–Montujemy w tej chwili duży oddział desantowy SEALs. Może aż pięćdziesięcioosobowy. Będzie operował z lotniskowca na Dalekim Wschodzie. John Bergstrom zajmuje się tym osobiście w Coronado. Potrzebujemy jednak twardego, doświadczonego dowódcy, który będzie miał jednocześnie świadomość nieco wybuchowej sytuacji politycznej. Szukamy doskonałego oficera sztabowego, który będzie to wszystko trzymał w garści. W grę wchodzi pewnie konieczność podejmowania poważnych decyzji, a nie będzie czasu na konsultacje.

–Ramy czasowe?

–Teraz. Musiałbyś natychmiast lecieć do Waszyngtonu.

–Muszę to uzgodnić z ambasadorem.

–Zrobione. Na szczęblu prezydenckim.

–I z szefem operacji morskich. To wciąż mój przełożony.

–Zrobione. Na szczęblu przewodniczącego Połączonego Komitetu Szefów Sztabów.

–No i z biurem sekretarza stanu, jak przy wszystkich dyplomatycznych akredytacjach i

odwołaniach.

–Zrobione. Na szczeblu prezydenckim.

–Jezu, sir! Nie żartuje pan, co?

–Nie tym razem, Frank. 192

–Nie mam wielkiego wyboru, prawda?

–Ano nie. Jeśli odmówisz, nikt sobie o tobie dobrze nie pomyśli. Co gorsza, nikt nie pomyśli dobrze i o mnie, bo tak się składa, że to mój pomysł.

–Co mam robić?

–Zbieraj manatki i niech cię kierowca zawiezie do bazy RAF w Lyneham. Czeka tam już wojskowy samolot, którym przylecisz do Andrews, a stamtąd śmigłowcem do Białego Domu. Zamelduj się u mnie, gdy tylko wylądujesz.

–Sir, a co z moją żoną i rodziną?

–Co tylko sobie zażyczy. Załatwię jej sześciu ludzi do pomocy. Porozmawiam z nią sam, kiedy już będziesz w powietrzu.

–Tak jest, sir. Moja odpowiedź brzmi: tak.

–Wiedziałem, Frank. Dziękuję. Admirał odłożył słuchawkę, mrużąc pod nosem:

–Ciekawe, ilu z tych przeklętych adwokacików, którzy usiłowali go pozbawić czci, w wieku sześćdziesięciu lat zgodziłoby się objąć dowództwo operacji komandosów w warunkach wojennych?

Sobota, 8 lipca, godzina 23.30. Delta Rzeki Perłowej

Porucznik Shawn Pearson, nawigator Seawolfa, próbował zapamiętać ich trasę. Prom płynął na południe już od czterech godzin i powinni znajdować się gdzieś w okolicy ujścia delty. Noc była gorąca i wilgotna. Przez duże okna z prawej burty widać było światła miejskie odległe o jakieś cztery mile. Shawn odgadł, że to Makau. Nie wyczuwał jednak żadnej zmiany kursu. Prom dalej szedł po spokojnej wodzie kursem południowym. Była leciutka martwa fala, ale słyszał wyraźny poszum uderzających o wodę rozbryzgów spod dziobu. Zawsze słyhać to głośniej, kiedy morze jest gładkie, i Shawn wiedział, że są wciąż na osłoniętym akwenie. Upłynęła jeszcze godzina, zanim wyczuł, że prom stopniowo skręca w prawo – wydawało mu się, że nowy kurs wynosi dwieście trzydzieści stopni – i jednocześnie zaczyna się delikatnie kołysać. Wyglądało na to, że płyną wzdłuż wybrzeża albo ku 193

wielkiej tropikalnej wyspie Hainan, gdzie znajduje się duża baza chińskiej marynarki, albo

niedaleko na północ od niej, do siedziby sztabu Floty Południowej w Zhanjiang. Pamięć geograficzną miał świetną, ale nie przypominał sobie, by na wybrzeżu między Zhanjiang a Guangzhou znajdowało się cokolwiek o większym znaczeniu.

Wyglądając przez okno, Shawn nie dostrzegał już lądu za czarnym przestworem połyskującej w księżycowym świetle wody. Odkąd opuścili bazę, nikt nie odezwał się nawet słowem. Żandarmi niestrudzenie przechadzali się między długimi ławkami, groźnymi spojrzeniami mierząc tych, którzy nie spali.

Kapitan i szef okrętu zasnęli, ale Bruce Lucas i Cy Rothstein czuwali. „Einstein” poprosił o pozwolecie, by coś powiedzieć, i zażądał wody dla marynarzy. Shawn był zdziwiony, kiedy strażnik tylko kiwnął głową i powiedział coś szybko do młodszego kolegi, który z kolei krzyknął jeszcze mniej wyraźnie do kogoś na górnym pokładzie. Dziesięć minut później dwaj stewardzi z załogi promu wnieśli cztery białe wiadra i kilka dużych plastikowych czerpaków. Ponieważ wszyscy więźniowie mieli ręce skute za plecami, dwaj żandarmi przeszli kolejno wzdłuż wszystkich ławek, podając Amerykanom wodę wprost z czerpaków; rozlewali ją przy tym, prawie dławiąc delikwentów, ale pozwolili każdemu wypić po kilka sporych łyków. Może to nie był najelegantszy drink w ich życiu, a już na pewno nie najbardziej higieniczny, ale zimny i... mokry, nie mówiąc już o tym, że ostatni, jaki mieli dostać przez długie godziny.

Od północy do samego rana w niedzielę dziewiątego lipca płynęli na południowy zachód, kołysząc się umiarkowanie na średniej fali. Większość załogi spała, ale porucznik Pearson uważał za swój obowiązek czuwać i choć w przybliżeniu określić ich pozycję. Jak dotychczas, czujność

Chińczyków nie słabła ani na jotę. Nie było ani jednej chwili, kiedy można by zamienić parę słów z

kolegą, nie narażając się na ich gniewną reakcję. Shawn miał jednak nadzieję, że w ciągu

następnych dni sytuacja się poprawi, a na razie musiał się starać zachować orientację co do miejsca

ich pobytu. Zegarki odebrano im wszystkim już pierwszego dnia niewoli, ale za

oknami lewej burty widać było pierwsze różowe przebłyski poranka, domyślił się więc, że musi być

około szóstej rano, może pół godziny przed wschodem słońca. Wyczuł też spadek prędkości. Sześć

godzin żeglugi przy około trzynastu węzłach oznaczało, że muszą być o siedemdziesiąt kilka mil od

delty, gdzieś wzdłuż południowego wybrzeża Chin. Shawn wysilał pamięć, próbując sobie przypomnieć mapy, które tak długo studiował, kiedy Seawolf płynął na południe niedaleko stąd.

Pamiętał jednak tylko dwie wyspy, jedną całkiem dużą, drugą o wiele mniejszą. Ich nazwy wyleciały mu z głowy, jedyna, która mu przychodziła na myśl, to Syczuan Dao, przez skojarzenie z

ulubioną chińską restauracją w San Diego. To musiało być coś podobnego, pomyślał.

W pół godziny później słońce wspięło się znad Pacyfiku na nieboskłon i już strzelało ciepłymi, jaskrawymi smugami w górny pokład. Wkrótce rytm maszyn uległ zmianie, a prom położył się w

ostry zwrot w prawo. Shawn dostrzegł błyskowe światło latarni morskiej, co pięć sekund zapalające

się na odległym przylądku. Nie mógł wiedzieć, że stoi ona na przybrzeżnej wyspie Weijia, odległej

o zaledwie kilkaset metrów od większej Shangchuan Dao, której nazwę pomylił z kalifornijską restauracją. Teraz po prawej burcie widniał ląd, ale prom zdawał się oddalać od niego na ukos.

Sprawdzając położenie słońca, Shawn ocenił ich kurs na trzysta czterdzieści stopni, czyli prawie

północny. Nie widział jednak nic po lewej, ponieważ widok zasłaniała gródź.

Wkrótce maszyny jeszcze bardziej zwolniły biegu; prędkość spadła do około siedmiu węzłów.

Pearson domyślił się, że kapitan lawiruje między niedokładnie oznaczonymi na mapie płyciznami.

Przed dziobem ujrzał ląd; długi i płaski brzeg, za którym teren wznosił się, tworząc wyrastający z

dżungli górski grzbiet. Nie mógł się zorientować, gdzie są, ale osądził, że znajdują się między wyspami przybrzeżnymi, odległymi od stałego lądu o kilka mil. Oceniał, że przez noc musieli przebyć około osiemdziesięciu, może dziewięćdziesięciu mil od Makau, a zatem mogły to być zapamiętane z mapy wyspy: „restauracja” po prawej, mała wysepka po lewej. Prom zmierzał teraz

w kierunku tej ostatniej, wolno manewrując wśród piaszczystych mielizn. Dokładnie na kursie leżała Xiachuan

Dao, praktycznie nie zamieszкана od kilkuset lat. Jedyne zabudowania należały do starego więzienia wojskowego, w którym popełniano nie wysłowione okrucieństwa; jasno teraz oświetlone

cele tortur wciąż były gotowe do użytku, mimo że upłynęło już tyle lat.

* i_•

ROZDZIAŁ 6

Sobota, 8 lipca 2006 r. Godzina 9.30. Biuro admirała Morgana, Biały Dom

Kathy O'Brien patrzyła na zarośniętą, śpiącą twardo za biurkiem postać w rozchełstanej koszuli –

człowieka, którego kochała. Admirał spał odchyłony do tyłu na dużym skórzanym kapitańskim fotelu, oddychając głęboko. Dziw, że nie zamarzł, pomyślała. Klimatyzacja włączona była na pełną

moc i sądząc po panującej w gabinecie temperaturze, musiała tak pracować przez całą noc. Admirał

lubił chłód. Kathy postawiła na podłodze granatową torbę żeglarską i pocałowała go lekko w czoło.

Odniosło to podobny skutek, jak gdyby ktoś wypalił z armaty. Po czterech godzinach snu Arnold

Morgan wrócił do przytomności w ułamku sekundy, jak każdy były dowódca okrętu podwodnego.

Poderwał się do wyprostowanej pozycji, skupił wzrok na Kathy i uśmiechnął się.

–Hej, odnalazłaś mnie! – powiedział, zupełnie niepotrzebnie.

–Arnold, kochanie, to bardzo niezdrowo. Musisz się porządnie wyspać.

–Właśnie się porządnie wyspałem. Padłem tu już o piątej rano. A

–Jak mówię „porządnie”, to mam na myśli nieco wygodniejszą pozycję, czystą piżamę, pościel i łóżko, w miarę możliwości obok mnie. Tradycyjnie.

–Ach, tak, jasne... – odparł Morgan, nie słuchając uważnie. – Biegnij teraz i połącz się z chińskim ambasadorem. Każ mu zbierać tylek i zameldować się u mnie natychmiast.

–Arnoldzie, nie zrobię nic tego sobotniego poranka, dopóki nie dołączysz z powrotem do rodzaju ludzkiego. Masz się

197

wykąpać, ogolić i przebrać. Chodzisz w tym samym ubraniu już dwa dni.

Admirał potrząsnął głową.

–Na drugim końcu świata jest setka porządnie wystraszonych facetów, którzy noszą te same ubrania już ponad dwa tygodnie. Poza tym nie mam tu żadnych rzeczy, a wyjść do domu nie mogę. Kathy wskazała na stojącą na podłodze torbę.

–Sir – powiedziała z przesadnym naciskiem – w tej torbie znajdzie pan czyste ubranie: koszulę, krawat, parę spodenek, parę ciemnych skarpet, spinki do mankietów, ulubione mydło, zielony żel do golenia, maszynkę, dezodorant, szampon, szczoteczkę i pastę do zębów, a także wodę po goleniu. Proszę się teraz zameldować w tej luksusowej łazience przy basenie i doprowadzić się do ładu. Kiedy po dwudziestu minutach pan tu wróci, znajdzie pan kawę i tosty, a Ling Guła Pękl, jak się go pan upiera przezywać, będzie o dziesięć minut od pańskiego gabinetu. Czy to mniej więcej zrozumiałe?

–Chryste Panie – rzekł Morgan. – Rządzisz się bardziej niż moje byłe żony razem wzięte.

–Tańczę też wkoło pewnej bardzo głupiej osoby, która nie ma pojęcia, jak o siebie dbać, i wyobraża sobie, że wciąż jest na jakimś śmiesznym okręcie podwodnym.

Admirał uśmiechnął się, złapał torbę i odmaszerował ku rufie, to jest do łazienki, szybkim krokiem i wyprostowany, jak każdy, kto spędził życie w wojskowym mundurze. Kiedy wrócił, wyglądał nieskazitelnie. Pocałował Kathy, powiedział, że kocha ją beznadziejnie mocno, i rzucił się na grzankę i kawę, przygotowując się duchowo na przyjęcie spodziewanego chińskiego gościa z największą uprzejmością; było to dlań równie łatwe jak dla andaluzyjskiego bojowego byka. Punktualnie o dziesiątej przybył ambasador Chin, jak zawsze wyglądający na smutnego i zmartwionego, ale uśmiechnięty i ugrzecziony.

–Cześć, Ling, stary przyjacielu – powitał go Morgan. – Jakże się dzisiaj miewasz? Świetnie?

Świetnie! Proszę siadać... Życzy pan sobie kawy czy może herbaty?... Doskonale. Kathy!!!

Na twarzy pana Linga Guofenga pojawiło się lekkie zdzi-198

wienie – admirał Morgan najwidoczniej pozbył się telefonu i wołał stać na środku gabinetu i wydawać z siebie ryk.

–Chińska herbata dla mojego przyjaciela Linga – poprosił z uśmiechem Arnold, kiedy Kathy wpłynęła z wdziękiem na wezwanie.

–Jest już w drodze, sir – odrzekła, odwzajemniając uśmiech z nieco przesadną słodyczą.

–Doskonale – powtórzył, wskazując ambasadorowi krzesło przed swym biurkiem. – A teraz, sir, przypomnę panu, że prosiłem go o oficjalne oświadczenie pańskiego rządu, i wybaczam panu opóźnienie w jego przekazaniu. Sądzę, że ma je pan przy sobie?

–Tak, admirale. Czy zechce je pan przeczytać?

–Oczywiście.

Morgan wziął podany mu arkusz papieru, najwyraźniej przygotowany w Pekinie i przywieziony do Waszyngtonu pocztą dyplomatyczną. Tekst był łatwy do przewidzenia.

Ku naszemu szczeremu żalowi stwierdziliśmy, że niszczyciel Xiangtan uczestniczył w drobnej kolizji z atomowym okrętem podwodnym należącym do marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Oczywiście ubolewamy, że nie uznaliście za stosowne powiadomić nas o patrolowaniu naszych wód przez taki okręt. Niemniej wypadki się zdarzają i z przyjemnością odpowiedzieliśmy na wezwanie o pomoc ze strony waszego dowódcy, kapitana Judda Crockera. Zaholowaliśmy zatem wasz okręt USS Seawolf do naszej bazy morskiej w Guangzhou i zajęliśmy się doprowadzaniem go ponownie do stanu zdolności do żeglugi. Sądzymy, że nastąpiły pewne problemy z reaktorem jądrowym i prowadzimy obecnie testy, by się upewnić, czy działa prawidłowo i czy nie występują przecieki radioaktywne, zanim okręt będzie mógł opuścić chińskie wody. Zakładamy, że nastąpi to jeszcze w tym miesiącu. Tymczasem amerykańscy marynarze i

oficerowie są gośćmi chińskiej marynarki wojennej, a my przesyłamy na wasze ręce ten dowód

przyjaźni, wyrażając nadzieję, że w razie podobnego zdarzenia i wy potraktujecie nasze załogi z

równą uprzejmością.

Oświadczenie wydało naczelne dowództwo chińskiej Marynarki Ludowo-Wyzwoleńczej i nosiło

osobisty podpis admirała Zhanga Yushu, naczelnego dowódcy.

–Bardzo to miłe – skomentował Morgan. – Daleko posunięta gotowość do współpracy. Oto

sekret dobrych stosunków międzynarodowych. Nigdy nie szukać problemu tam, gdzie nie ma

intencji.

Ambasador był oszołomiony. Siedział bez ruchu, utkwivszy wzrok w Lwie Białego Domu, nie wierząc własnym uszom.

–Staramy się, sir... – wydukał, prawie straciwszy mowę. – Mój rząd bardzo was, Amerykanów,

podziwia. Wkrótce dostaniecie wasz okręt z powrotem... i załogę... Wszyscy są teraz bardzo zadowoleni.

Wypił łyk herbaty, zwilżając zaschnięte usta. Po prostu nie mógł pojąć tej głębokiej zmiany w nastawieniu admirała.

–To by było tyle, Ling, stary przyjacielu. Zasuwasz teraz do ambasady i bądź tak dobry, by

informować mnie na bieżąco o postępach w remoncie Seawolfa. Kathy!!! Odprowadź, proszę, pana

ambasadora!

W pół godziny później Arnold Morgan był znów na porannym zebraniu w pokoju sytuacyjnym. Wszyscy członkowie komitetu kryzysowego, tak wojskowi, jak i politycy, byli już obecni. Wszystkich też zdumiała zapowiedź przewodniczącego, że opracowuje oświadczenie dla prasy, jakie ma wystosować biuro rzecznika marynarki.

–Czy nie uważa pan, że to zasługuje na wystąpienie prezydenckie? – zapytał Dick Stafford, autor przemówień prezydenta Clarke'a.

–To zasługuje na to, na co uważamy, że zasługuje, Dick -odparł admirał. – Jest jednak kilka podstawowych zasad, których musimy przestrzegać. Po pierwsze, jakakolwiek oznaka paniki, strachu, niepokoju czy słabości z naszej strony spowoduje, że prasa dostanie małego rozumu. Rezultatem będą wielkie tytuły: „US Navy obawia się, że Chińczycy porwali Seawolfa wraz z całą załogą”. Każdy artykuł utrzymany w tym tonie ujawni nasz całkowity brak wiary w chińskie oświadczenie i postawi naszych przeciwników w stan pełnej gotowości na wypadek potencjalnego ataku amerykańskiego albo próby odbicia ich zdobyczy, a jednocześnie zmusi ich do przyspieszenia tego wszystkiego, co tam z okrętem wyprawiają. A zatem takie artykuły są z

naszego punktu widzenia w najwyższym stopniu szkodliwe.

–# *

–I co dalej? – nalegał Dick Stafford.

–Chcę całą sprawę maksymalnie zatuszować. Dzisiaj wydamy oświadczenie, zanim ktoś zrobi to za nas. Przecież wiedzą o tym Rosjanie, być może ktoś na Tajwanie, jacyś korespondenci w Chinach, może nawet w samym Guangzhou. Coś w końcu musi się o tym przedostać do publicznej wiadomości... Ludzie się dowiedzą, że największy atomowy niszczyciel amerykański jakimś cudem znalazł się zacumowany w bazie chińskiej marynarki, nikt nie wie, gdzie podziela się jego załoga i nikt nie pisał o tym słóweczka. To byłaby największa historia prasowa w tym roku, wierzcie mi.

–Jakie oświadczenie masz na myśli, Arnoldzie? – zapytał prezydent.

–Mała notatka z biura prasowego marynarki w Pentagonie. Nic wymyślnego. Przygotowałem już tekst, zaraz wam przeczytam. – Morgan wziął leżącą przed nim kartkę i zaczął czytać:

Okręt podwodny US Navy USS Seawolf uległ drobnej awarii maszyn podczas patrolu ponad sto mil morskich od wybrzeży kontynentalnych Chin. Chińska Marynarka Ludowo-Wyzwoleńcza odpowiedziała na wezwanie o pomoc nadane przez amerykańskiego dowódcę i przyholowała nasz okręt, jednostkę o wyporności dziewięciu tysięcy ton, do swej bazy, gdzie wykonywane są zwykle prace remontowe. Wszyscy członkowie załogi są bezpieczni i podejmowani jako goście przez chińską marynarkę wojenną do czasu zakończenia napraw. Seawolf powinien podjąć swą służbę

patrolową przed upływem dziesięciu dni. Departament Marynarki USA wyraża wdzięczność Chińskiej Republice Ludowej za współpracę, będącą bezpośrednim wynikiem silnych związków wojskowych i handlowych zbudowanych przez prezydenta Clintona. Szef operacji morskich, admirał Joseph Mulligan wysłał osobiste podziękowania na ręce naczelnego dowódcy chińskiej marynarki, admirała Zhanga Yushu. Prezydent uśmiechnął się. Morgan potrząsnął głową i dodał:

–Jeszcze nigdy nie udało mi się pomieścić tylu kłamstw w tak niewielu słowach. Trzymaj, Dick. Weź to ode mnie, zanim piorun we mnie strzeli.

–Cholernie sprytnie – pochwalił generał Scannell. – Jeśli 201

prasa niczego nie wyczuje i wydrukuje to w takiej postaci, Chińczycy po prostu pomyślą, że ich podstęp zdał egzamin.

–Właśnie. A to może nam dać dodatkowe trzy lub cztery dni. Przy takiej stawce, jak życie

ponad stu marynarzy, powinniśmy rozkazać im to wydrukować, ale konstytucja nie daje nam takiego prawa. Jak zwykle, demokracja faworyzuje dupków.

Te słowa wywołały wybuch śmiechu zebranych, reprezentujących prawie skrzydło prawicy. Dopiero prezydent przypomniał wszystkim o ponurej rzeczywistości.

–Arnoldzie, możesz nam powiedzieć, jaki jest aktualny plan operacji wojskowej? Przy okazji chciałbym nadmienić, że zgadzam się z twoją strategią prasową. Gdybym to ja przyłożył do tego ręki, mogłoby to tylko niepotrzebnie wywołać rozgorączkowanie dziennikarzy i rozdmuchanie całej sprawy.

–Powiniennem chyba poinformować wszystkich – powiedział Morgan – że po odejściu Johna Bergstroma zabawiłem się w nocnego marksa i w efekcie nominowałem na dowódcę naszej misji ratunkowej dość kontrowersyjną postać. Chodzi

o pułkownika Franka Harta, który na pokładzie lotniskowca będzie pełnił funkcję oficera sztabowego SEALs i koordynatora ataku.

Po tym oświadczeniu kilka par brwi uniosło się na znak zdziwienia, chociaż admirał Morgan wcześniej rano uprzedził o tym Harcourta Trávisa i Boba MacPhersona.

–Powody podjęcia tej decyzji są oczywiste – kontynuował Morgan. – Pułkownik Hart, były dowódca zespołu SEALs

1 oficer marines, ma wiele doświadczenia w postępowaniu z obcymi rządami w kwestiach militarnych. Jest wprost stworzony do podejmowania szybkich decyzji, przywykł do samotnej pracy i zna się na tego typu operacjach lepiej niż ktokolwiek z nas. Kiedy wystartujemy z tą misją,

będzie musiał bardzo szybko myśleć. Może nawet być zmuszony do jej natychmiastowego odwołania, zanim zginie wielu ludzi. Musimy tam mieć kogoś tego kalibru. Wybrałem Harta.

Powinien już tu być... gdzie on się, u diabła, podziewa?

–A sama operacja... możemy się czegoś o niej dowiedzieć? – spytał Travis.

–Tak. John Bergstrom dobiera zespół około pięćdziesięciu 202

ludzi z kilku aktywnych plutonów SEALs. We wtorek w południe odlecą do bazy na Okinawie. Gdy tylko zlokalizujemy więźnienie, gdzie przetrzymywani są marynarze z Seawolfa, wyślemy

tam dwunastoosobową grupę zwiadowczą, używając do tego celu okrętu podwodnego i SDV*. W trzydzieści sześć godzin porządnie rozpracują to więzienie. Natychmiast po ich powrocie na okręt sprawdzimy, czy reaktor Seawolfa jest na chodzie. Jeśli tak, pošlemy horneta, by go zbombardował. Pod osłoną wywołanej przez to paniki w Guangzhou oddział SEALs zdobędzie więzienie, zniszczy urządzenia łączności, wysadzi w powietrze helikopter i zabierze więźniów zodiaca-mi i SDV na czekające okręty podwodne.

–I poważnie myślisz, że uda się nam taki numer? – spytał znów Harcourt Travis.

–No cóż, do osiągnięcia sukcesu potrzeba nam trzech rzeczy. Najpierw musimy znaleźć to cholerne więzienie. Reaktor Seawolfa musi pracować. I po trzecie, musimy znaleźć dowódców okrętów podwodnych, którzy podprowadzą je blisko chińskiego brzegu, być może przez trzy ostatnie mile płynąc w wynurzeniu.

–A jeśli zostaną wykryci przez patrol przybrzeżny?

–Mamy nadzieję, że katastrofa w Guangzhou wprowadzi kompletny chaos w całej chińskiej flocie. Nawet jeśli wykryją nasze okręty radarem brzegowym, upłyną co najmniej dwie godziny, zanim dotrą na ten akwen, ponieważ Guangzhou będzie unicestwione, a do Zhanjiang jest daleko. To znaczy, że Foki będą się musiały diabelnie spieszyć.

–A jakie są możliwości przegranej?

–Niewielkie. Stawiam dwadzieścia dolarów przeciwko dziesięciu, że wygramy. Naszym atutem będzie element zaskoczenia. No i to, że baza morska w Guangzhou będzie atomowym rumowiskiem.

–Jakie jest zdanie admirała Bergstroma na ten temat? – chciał wiedzieć prezydent.

* Swimmer Delivery Vehicle – rodzaj miniaturowej łodzi podwodnej do przetransportowania pletwonurków z większego okrętu w pobliże miejsca lądowania.

–Uważa, że damy radę. Inaczej odmówiłby wysłania swych drogocennych Fok.

–A ty, Joe? – zwrócił się do admirała Mulligana Ciarke.

–Dokonamy tego, sir. Posyłamy tam najlepszych ludzi, jakich mamy. Prezydent wstał i powiedział:

–Dziękuję panom. Proszę nie myśleć, że nie jestem świadomy tego, że większość z was robi to dla mnie. Przekażcie ode mnie żołnierzom, że moje osobiste myśli i modlitwy będą im towarzyszyć na każdym metrze ich drogi... Niech Bóg ma ich w opiece. – Wszyscy usłyszeli, jak głos mu się łamie, kiedy dodał: – Gdyby tylko mogli mi go wrócić całego i zdrowego...

Sobota, 8 lipca 2006 r., południe. Biuro dowódcy SPECWARCOM, Coronado, San Diego
Admirał John Bergstrom powrócił do Kalifornii o siódmej rano, przespawszy cały lot wojskowym transportowcem z Waszyngtonu. W bazie wziął prysznic i przebrał się w świeży mundur, a teraz pracował już ze zdwojoną energią, otoczony przez trzech adiutantów, wydzwanając do Little Creek w Wirginii i do własnych plutonów nad Pacyfikiem, a także do Bradbury Lines w hrabstwie Herefordshire w Wielkiej Brytanii, kwatery głównej słynnego pułku SAS, który współpracował z ludźmi SEAL częściej, niżby się mogło wydawać.

Jego dowódca, pułkownik Mike Andrews, pozytywnie odniósł się do pomysłu udziału trzech jego ludzi w ściśle tajnej misji formacji amerykańskiej. Cieszył się, że zadzierzną koleżeńskie więzi, i uważał, że będzie to wspaniała okazja do zdobycia nowych wspólnych doświadczeń strategicznych i taktycznych. Wiedział poza tym, że bardzo to się spodoba politykom, ponieważ stosunki obecnego konserwatywnego premiera z prezydentem Clarkiem przypominały bliskie więzi łączące Margaret Thatcher i Ronalda Reagana.

Przede wszystkim jednak sądził, że jego ludzie naprawdę się przydadzą admirałowi Bergstromowi, którego znał, lubił i szanował. Jego żołnierze walczyli i zabijali w Irlandii Pół-

* ma ~

nocnej, Iraku i Kosowie, by wymienić tylko kilka rejonów ich działań. Byli ludźmi z żelaza, poruszającymi się po dowolnym terenie z tygrysią zręcznością, ekspertami od noża, pistoletu i materiałów wybuchowych. Operowali w myśl twardej zasady numer jeden w SAS: zabij albo sam będziesz zabity, podejmując decyzje w ułamkach sekund. Chłopaki Mike'a Andrewsa byliby nieocenieni w chińskich lasach tropikalnych i zarówno on sam, jak i admirał Bergstrom o tym dobrze wiedzieli.

–Jest tylko jeden drobny szkopuł, admirale – powiedział podczas rozmowy telefonicznej. – To

muszą być ochotnicy. Nie mogą wydać rozkazu, by walczyli na rzecz obcego mocarstwa, nawet dla

was. A jeśli znajdą się ochotnicy, będę musiał wszystko uzgodnić z ministerstwem obrony, pewnie

nawet z samym szefem sztabu. Nie przewiduję jednak problemów. Oddzwonię za trzy godziny.

Numer ten, co zawsze? Dobra. Na razie.

Bergstrom już zdecydował, kogo postawi na czele oddziału atakującego więzienie: komandora porucznika Ricka Huntera, byłego dowódcę zespołu, mierzącego sto dziewięćdziesiąt centymetrów, którego ciało kryło stalowe mięśnie. Rick pochodził z Kentucky i był dużym, twardym chłopakiem

z farmy w „pasie błękitnych traw”, synem Barta Huntera, dobrze znanego hodowcy rasowych koni z okolicy Versailles Pike pod Lexingtonem. Bart naturalnie uważał, że jego syn musi być niespełna rozumu, wybierając zawód stawiający go oko w oko ze śmiercią na co dzień, zamiast zostać w domu i przygotowywać konie roczniaki na doroczną aukcję w Keene-land. Dla Ricka jednak przyglądanie się, jak rosną źrebaki, studiowanie ich rodowodu i spędzanie życia na rozmowach na ten sam temat z weterynarzami i innymi miejscowymi facetami w gumiakach to po prostu nie było to. Porzucił studia na Uniwersytecie Vanderbilta w Tennessee, gdzie był akademickim mistrzem w pływaniu, a w rok później wstąpił do Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis. Od tamtej chwili ani razu nie zwolnił, wspinając się po szczeblach kariery oficerskiej, aż w końcu został przyjęty do SEAL. W „posagu” wniósł do formacji wyjątkowe talenty. Jako farmer w trzecim pokoleniu był wyborowym strzelcem i miał siłę 205

dorosłego polarnego niedźwiedzia. Był też niestrudzonym pływakiem, ekspertem od minowania, walki wręcz i desantu morskiego. Jako zaś najstarszy z synów Barta Huntera nawykł też do sprawowania rządów na ośmiusethektarowej farmie hodowlanej. Ludzie to wyczuwali i widzieli w nim naturalnego przywódcę.

Kilka lat wcześniej poprowadził sensacyjną misję bojową w głąb Rosji. Operacja była „czarna”, czyli taka, do której w razie niepowodzenia rząd się nie przyznaje, a wiedziało o niej bardzo niewiele osób. Był wśród nich i John Bergstrom. Wprawdzie po takiej operacji zwyczajowo już nie wysyłało się „w pole” tego samego personelu po raz drugi, wykorzystując ludzi do szkolenia następnych pokoleń żołnierzy, ale tym razem zasady gry były nieco inne. Ta akcja musi się powieść. Bergstrom otrzymał polecenie ze szczebla prezydenta, by użyć absolutnie najlepszych, a komandor porucznik Hunter był absolutnie najlepszy. Było niemal pewne, że dochrapie się szarży admirałkiej i być może zasiądzie właśnie na miejscu samego Bergstroma.

Admirał ani chwili nie wahał się polecić jego bezpośrednio przełożonemu w Little Creek, by

natychmiast odesłał komandora Huntera do Coronado, a wraz z nim jeszcze dwudziestu dobranych Fok, najlepiej z doświadczeniem bojowym, w miarę możliwości instruktorów dywersji podwodnej o specjalnych umiejętnościach w zakresie walk w dżungli, ataków z zaskoczenia, minowania i „organizowania ucieczek z więzienia, jeśli macie tam jakichś w okolicy”.

Instruktorzy dywersji podwodnej byli najtwardszymi facetami w całej formacji SEALs, zawodowcami z kamienia, którzy prowadzili szkoleniowy „młyn”, doprowadzając żołnierzy fizycznie i umysłowo na mroczne wyżyny całkowitego poświęcenia, gdzie wytrzymuje się ból nie do wytrzymania, strach znika, a własne doskonalenie jest najważniejsze. Instruktorzy zapędzali ludzi na szczyty, o których istnieniu tamci nie mieli dotąd pojęcia i gdzie dawszy z siebie wszystko, wracali z nad krawędzi śmierci i ostatecznego wyczerpania i odkrywali w sobie nowe rezerwy sił. Oczywiście nie wszyscy. Niektórzy mdleli, inni natrafiali na psychiczny mur nie do przebiccia i po prostu siadali sku-206 41 * Wf ęĘę

leni na ziemi, poddawali się albo tracili wiarę w sens takiego samoudręczenia. Jednak kiedy kurz osiadał, zostawało kilku mężczyzn stojących z podniesionym czołem i wyprostowanymi ramionami, wciąż niepokonanych. Tym nielicznym przypinano złoty trójząb, odznakę US Navy SEALs, która wyróżnia ich spośród wszystkich innych formacji liniowych armii amerykańskiej. Dwudziestu jeden żołnierzy, lecących teraz z Little Creek do San Diego, stanowiło zróżnicowaną grupę weteranów z wszelkich możliwych ścieżek życia. Niektórzy przyszli z wielkich miejskich blokowisk, inni z zamożnych przedmieść, z północy i z południa, czarni i biali. Jedni bali się skrycie, inni nie; wszystkich jednak jednoczył ten sam duch i gotowi byli oddać za siebie wzajemnie życie. Należeli do formacji SEALs, co jest powołaniem wyjątkowym. Złote trójzęby na rękawach wypolerowane były do blasku u każdego z nich. Komandor porucznik Hunter siedział z przodu obok młodszego oficera, trzydziestoletniego

porucznika Raya Schaeffera z portowego miasta Marblehead w Massachusetts, który wprost z liceum poszedł do Annapolis. Ray był prawdziwym żeglarzem: doskonale pływał, był świetny w nawigacji, prowadzeniu jachtu, połowach ryb, a w plutonie dzierzył palmę pierwszeństwa w boksie w wadze średniej. Jego rodzina mieszkała w Marblehead od pokoleń; ojciec, kapitan żeglugi wielkiej, miał nieopodal portu spory dom w stylu kolonialnym. Wiszące w jednym z rogów salonu stare drzewo genealogiczne rodu wskazywało, że jeden z Schaefferów był wśród wioślarzy z Marblehead, po przegranej bitwie o Long Island uwożących w bezpieczne miejsce generała Waszyngtona.

Ray służył z Rickiem Hunterem podczas misji rosyjskiej. Wcześniej się w ogóle nie znali, ale wszyscy zauważyli, że powrócili z niej jako dozgonni przyjaciele. Widać było, że wspólnie stawiali czoło ogromnym niebezpieczeństwom i cokolwiek tam się zdarzyło, związało ich wzajemnym szacunkiem. Kiedy komandora Huntera poproszono o wyznaczenie ludzi, których weźmie ze sobą do Coronado, nazwisko porucznika Raya Schaeffera wymienił na pierwszym miejscu. Za nimi siedział porucznik Dan Conway z Connecticut, kolejny absolwent Annapolis. Jako syn dowódcy fregaty i wnuk

podwodniaka z drugiej wojny światowej, cały czas mieszkający w rodzinnym domu w Nowym Londynie, doskonale znał obyczaje podwodnych wojowników. Ten wysoki, dwudziesto-dziewięcioletni brunet szybko awansował w SEALs i był

0 krok od dowództwa zespołu. W szkole średniej, jako zawodnik reprezentacji bejsbolowej, zastanawiał się, czy wybrać karierę sportową w klubie Fenway Park, czy Annapolis. Marynarka

wygrała o włos na finiszu, ku zadowoleniu ojca; matka o mało nie przyplącała zawałem decyzji syna o wstąpieniu do tej elitarnej formacji.

Dan Conway był urodzonym sportowcem, o szerokich barach i prawym ramieniu zdolnym cisnąć piłkę na drugą bazę niczym haubica. Walkę bez broni opanował w stopniu mistrzowskim. Na ćwiczeniach z bronią zaś... lepiej było pozostawać poza zasięgiem jego prawicy, gdy akurat trzymał w niej jeden ze specjalnie dla SEALs zaprojektowanych noży bojowych. Test odporności fizycznej, zwany „piekielnym tygodniem”, podczas którego połowa kandydatów odpada, Dan ukończył z pierwszą lokatą. Był tamtego dnia na skraju załamania, z płaczem walcząc o oddech po dwunastokilometro-wym biegu plażą i długim pływaniu w oceanie. Nie wierzył, że da radę biec choćby przez następne parę sekund, kiedy instruktor rozkazał trzymającym się na nogach rekrutom biec z powrotem do bazy. Dwóch z nich straciło przytomność

1 wróciło na noszach. Dan Conway brnął naprzód, modląc się, by nie podzielić ich losu.

Zwymiotował, zanim dotarł do bram bazy, a gdy ją minął, padł na beton jak długi. Wtedy inny instruktor stanął nad nim i ryknął, by wstał i jeszcze raz przeszedł przez „tunel” – wielką, na wpół

zatopioną szalupę, co wymagało podwodnego pełzania pod jej ławkami. Dan ledwo chwycił powietrze, płuca pulsowały mu boleśnie i sama myśl o zanurzeniu się na ponad minutę była ponad

jego siły. Pokręcił głową i wiedział, że to koniec. Potem wstał i przecisnął się przez „tunel”:
pod

wodą, zdzierając skórę z kolan, z trudem mieszcząc się pod drewnianymi ławkami, ale wciąż prąc

naprzód. Kiedy w końcu wygramolił się po drugiej stronie przez burtę, zemdlał. Dwaj instruktorzy

złapali go, zanim upadł. Ostatnie słowa, jakie usłyszał, brzmiały: „No, to mamy tu prawdziwą, żywą Fokę”.

Miejsce obok Dana zajmował podporucznik Garrett Atkins, rodowity Kalifornijczyk. Młodszy od niego o dwa lata, rozpoczął karierę w marynarce jako adept kursu oficerów uzbrojenia okrętów podwodnych klasy Los Angeles. Był w tym dobry, ale z natury będąc człowiekiem otwartych przestrzeni, kochał plaże, góry, uwielbiał uganiać się po bezdrożach swoim jeepem grand cherokee, za to szybko znienawidził ciasnotę pomieszczeń na dużym okręcie podwodnym. Wysoki mężczyzna o sylwetce sportowca, raczej nieśmiały z usposobienia, był w szkole średniej wybijającym się futbolistą i niezłym bejsbolistą. Chciał się wycofać z podwodniactwa, ale nie miał ochoty na „miękką” alternatywę, więc zdecydował się na coś znacznie twardszego. W rok później wręczono mu złoty trójzęb i od tamtej pory niecierpliwie wyczekiwał dnia, kiedy wyruszy z plutonem bojowym SEAL na akcję. Ten dzień był już niedaleko. Gdy samolot mijał płaskie, rolnicze tereny

Środkowego Zachodu, obaj z Conwayem siedzieli w milczeniu, domyślając się, że szykuje się coś poważnego.

W pozostałej grupie wyróżniało się dwóch podoficerów. Obaj byli specjalistami od walk w terenach górskich i przed siedmiu laty brali udział w kampanii w Kosowie. „Sum” Jones (nikt nie wiedział, czy ma on jakieś bardziej oficjalne imię) pochodził z Karoliny Północnej; jego rodzina od dziewięciu pokoleń mieszkała w Morehead City, na skraju stałego lądu, przed wyspami ławicy Lookout. Ciotka Suma miała tam księgarnię naprzeciwko mariny, ale on nigdy nie czuł pociągu do tego rodzaju interesów. Wolał spróbować zawodu rybaka na dużym trawlerze, „orzającym” sieciami morze za ławicami Shackleford, broniącymi dostępu do brzegów okręgu Carteret. To wąskie pasmo mielizn, zmieniając po drodze nazwę na Core, tuż na południowy wschód od Morehead skręca ostro w prawo i ciągnie się przez osiemdziesiąt mil morskich aż po sztormowe wody wokół okrytego złą sławą przylądka Hatteras. Niełatwo tam zarabiać na życie rybaczeniem; ludzie toną tam każdego roku. Sum, kawał byka o blond czuprynie i niebieskich oczach, niewiele sobie z tego robił. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu przy rozmiarze kołnierzyka czterdzieści osiem; jego siłę obrazuje zdarzenie z pewnej deszczowej nocy, kiedy sam, własnymi rękami pod-209

niósł tył sportowego samochodu, by umożliwić kolegom zmianę koła.

O kilka kilometrów od Morehead City znajduje się baza marines Lejeune Camp. Sum miał tam kilku przyjaciół i zanim ukończył dziewiętnaście lat, porzucił rybołówstwo i zaciągnął się do korpusu. W osiemnaście miesięcy później złożył podanie o przeniesienie do SEALs i ukończył szkolenie z drugą lokatą w swojej grupie. Przeżył podobno dramatyczne chwile podczas walk w Kosowie, w górach na północ od Prisztiny, gdzie był razem z siedzącym teraz obok

trzydziestoletnim weteranem Fok Rockym Lambem, czarnym zawodowym żołnierzem z Bronxu, który wstąpił do marynarki zaraz po szkole. Sum i Rocky operowali w tamtych górach przez trzy tygodnie. Wkrótce po zestrzeleniu amerykańskiego transportowca przeprowadzili

dwie budzące podziw misje ratownicze, wyprowadzając z terytorium nieprzyjaciela oddziały amerykańskich i brytyjskich sił specjalnych, otoczone przez miazdząco liczniejsze wojska jugosłowiańskie. Nikt nie wie, ilu zabili Serbów, przedzierając się przez gęsto patrolowane, zalesione zbocza, ale na pewno wielu żołnierzy zawdzięcza życie tym dwóm amerykańskim Fokom. Nazwiska obu znalazły się w pierwszej dziesiątce wybranych przez komandora Huntera do tego zadania w Chinach. Było też tam dwóch młodych żołnierzy z Luizjańskich bayous* na zachód od Nowego Orleanu. Riff Davies i Buster Townsend także zaciągnęli się do „marwoju” zaraz po szkole, zamiast próbować sił na studiach. Riff wylądował na lotniskowcu, Buster na krążowniku raketowym. Obaj jednak żądni prawdziwych przygód w trzy lata po zawarciu paktu o wstąpieniu do marynarki zawarli kolejny, że spróbują dostać się do SEALs. Obaj pochodzili z twardych Luizjańskich rodzin, które harowały, uprawiając buraki cukrowe na gorących, bagnistych ziemiach delty Missisipi. Od pierwszej klasy rywalizowali ze sobą na każdym polu, co najpierw zawiodło ich do szkolnej reprezentacji futbolowej i koszykarskiej, a znacznie później pomogło przetrwać trudy „piekielnego * Rozległe tereny podmokłe, poprzecinane licznymi kanałami i jeziorami, charakterystyczne dla krajobrazu Luizjany. 210

tygodnia”, przepchnęło ich przez kurs dywersji podwodnej i wydobywało z obu najgłębsze rezerwy siły i determinacji, których się nawet u siebie nie spodziewali. Po zdobyciu złotych trójzębów przeszli szkolenie w rozlicznych tropikalnych ośrodkach, zdobywając wysokie noty u instruktorów. Riff i Buster radzili sobie w dotkliwym, wilgotnym upale, do jakiego od dziecka przywykli, i byli nieustraszeni tak na lądzie, jak i w wodzie. Wszyscy wiedzieli, że potężnie zbudowany Buster w wieku piętnastu lat zabił nożem myśliwskim aligatora. Riff nie omieszkał o tym barwnie opowiedzieć: „...a wielki był, sukinsyn! Staruszek Buster wpakował mu ten długi nóż prosto w oko i przebił mózg... I bardzo dobrze, bo już myślałem, że bestia go zeżre z butami...” Jednak legenda obu Luizjańczyków na dobre się ukorzeniła, kiedy młody Davies podczas ćwiczeń za granicą stanął nagle na wprost wielkiej rozwścieczonej kobry, z gatunku plujących jadem. Dwaj inni żołnierze zamarli w bezruchu na widok wielkiego węża, kołyszącego się na ogonie nie dalej jak dwa i pół

metra przed nimi. Nie poruszyli się, dopóki Riff Davies nie przygwoździł jej bambusowym kijem

do drzewa i nie rozwalil jej łba strzałem ze swego sig sauera. Jeden z nich opowiadał potem, że „to

było zupełnie jak na westernie, kiedy John Wayne załatwił grzechotnika”. Z tego opisu wziął się

wpadający w ucho przydomek Riffa: Grzechotnik Davies.

–Trza na nie uważać, cholerne wężyska – powiedział swym przeciągłym, Luizjańskim akcentem. –

Ale one nie są i w połowie tak szybkie, jak wam się wydaje. Trza tylko mieć długi kij i szybki

sierpowy... wtedy one na moment spuszczają z ciebie oko... zabijałem węże od małego, trzeba powiedzieć.

Komandor porucznik Hunter nie wiedział jeszcze, dokąd się udadzą z Coronado, ale był zadowolony z wybranych mężczyzn. Odkąd sięgał pamięcią, przy żadnej akcji nie było jeszcze

takiego pośpiechu, takich wydatków i naglącej atmosfery. To dla niego oznaczało jedno: albo mają

wysadzić w powietrze coś niebywałego, albo wykończyć jakiegoś poważnego wroga Stanów

Zjednoczonych. Może obie te rzeczy naraz. W każdym razie Rick Hunter weszły w tym bitwę i

wątpił, by była ona łatwa do wygrania. Zastanawiał się, czy niektórzy z nich mogą zginąć, ale miał

do swych ludzi zaufanie. Pamięć-

tał o jednej z maksym formacji: „Niewielu problemów życiowych nie można rozwiązać za pomocą

materiału wybuchowego”.

Niemniej nie uważał, że są niezwyciężeni. SEALs krwawili i cierpieli tak samo jak wszyscy inni.

Tylko trzeba było z siedmiu przeciwników, by zrobić to jednemu z nich. Co prawda już dość dawno

nie byliśmy w akcji na wrogim terytorium, rozważał komandor, i trzeba będzie przypomnieć sobie

wszystkie otrzymane lekcje. Przy ataku musimy być tam wcześniej, zanim nieprzyjaciel się

zorientuje, o co chodzi, musimy być przygotowani, poznać jego silne i słabe punkty, mieć dokładnie

opracowany plan, być absolutnie bezlitośni i uważać na siebie wzajemnie bez przerwy. A nade

wszystko musimy być bezszelestni i szybcy.

Niedziela, 9 lipca 2006 r. Wyspa Xiachuan

Prom powoli podszedł do starego kamiennego mola, wysuniętego w morze z łagodnie opadającego

skalnego półwyspu na północno-wschodnim krańcu wyspy. Poza nim widać było ciągnącą się w dal

piaszczystą plażę, omywaną tego dnia przez zielone, delikatne fale. W głębi lądu teren był inny,

bardziej stromy. Porucznik Pearson zwrócił uwagę na dwa skalne szczyty. Wyższy z nich wznosił

się o trzy kilometry na zachód od mola, drugi ponad półtora na północ.

Trudno się było domyślić, dokąd przyplynie, ponieważ wyspa wydawała się nie zamieszkana. Na

otaczających ją wodach nie było ani śladu choćby łódki rybackiej, ani nawet jednej z tych

ubogich

bambusowych tratw, od wieków używanych przez ludność tej części chińskiego wybrzeża. Nie było

widać żadnego znaku życia, jeśli nie liczyć stadka mew, z których większość przyleciała tu za promem. Do mola zacumowany był tylko szybki kuter patrolowy, dwustutonowy Huangfen Osa-1,

zdolny rozwijać prędkość trzydziestu dziewięciu węzłów i uzbrojony w cztery działka kalibru 25

mm oraz dwie wyrzutnie rakiet woda-woda. Jego silniki, napędzające trzy śruby, wciąż pracowały.

Wszyscy usłyszeli głuchy stuk, kiedy prom oparł się lewą

212

burtą o nabrzeże. Żandarmi stali na pokładzie, krzycząc coś do ludzi na łodzi, którzy w tajemniczy

sposób wychynęli z porastającego brzeg tropikalnego lasu. Podano cumy, które przybysze zamocowali do pordzewiałych żelaznych pierścieni wmurowanych między kamienie mola. Z nadburcia promu do nabrzeża było około dwóch metrów, ale żandarmi wysunęli przywieziony specjalnie z Guangzhou trap. Kiedy jeszcze zajęci byli jego mocowaniem na burcie, pojawił się

skądś komandor Li Zemin. Stał na brzegu i wykrzykiwał jakieś rozkazy.

Na górnym pokładzie porucznik żandarmerii, który był z nimi dosłownie od pierwszych chwil ich

pobytu w Guangzhou, wydierał się na Amerykanów, każąc im wstać i schodzić kolumną na ląd.

Wciąż ze skutymi rękoma marynarze zaczęli łąka po łące podchodzić długą linią do trapu, pod

skierowanymi na nich lufami pistoletów maszynowych straży.

Wyokrętowanie wszystkich więźniów zajęło pół godziny. Kazano im stanąć w dwuszeręgu, z

kapitanem Crockerem i komandorem Lucasem na czele. Wreszcie, poprzedzani przez szóstkę strażników, ruszyli naprzód, kierując się w dżunglę starą, ale najwyraźniej ostatnio oczyszczoną dróżką, na której zmieściłby się terenowy jeep. Pod wysokimi drzewami panował mroczny cień i było goręcej niż nad morzem. W powietrzu unosiły się chmary moskitów i innych owadów, wszędzie słychać było ich jednostajne brzęczenie. Reszta żandarmów maszerowała obok nich w pięciometrowych odstępach. Porucznik Pearson zauważył, że jest ich teraz więcej niż na statku. Pomyślał też, że nikt ich nie odnajdzie na zapomnianej przez Boga i ludzi wysepce leżącej w tym zapadłym kącie Morza Południowochińskiego. Po raz pierwszy z rozpaczą pojął, że może już nigdy nie ujrzeć swojej rodziny.

Szli przez rozpalony, wilgotny las kilometr, po czym teren zaczął się wznosić. Ludzie byli zmęczeni i zaczęli słabnąć z głodu, nie mówiąc już o pragnieniu. Strażnicy wrzeszczeli na nich, by trzymali tempo, więc odetchnęli z ulgą, kiedy droga raptownie skręciła w prawo i zaczęła prowadzić w dół po długim zboczu, u którego stóp widzieli plamę słonecznego światła, ale nic poza tym. Shawn Pearson obliczył, że od mola do owej polany było dwa kilometry. Kiedy wreszcie wyszli pomiędzy drzew na polanę, zaszokował ich widok budowli,

która bez wątpienia była więzieniem wojskowym: szare kamienne mury wysokie na pięć metrów i dwie bambusowe wieże strażnicze z reflektorami. W południowej ścianie, przed którą się znaleźli, osadzona była dwuskrzydłowa brama, również wykonana z bambusa i to całkiem nowa. Na lewo od głównego kompleksu stały dwa inne kamienne budynki ze skośnymi dachami, z których bliższy był trzykrotnie większy od drugiego. Wszystkie okna miał zakratowane, a przed drzwiami stali dwaj uzbrojeni wartownicy. Wejścia do mniejszego jeszcze nie było widać, ale z jego dachu sterczało kilka anten radiowych.

Po prawej stronie było betonowe lądowisko, na którym stał rosyjski śmigłowiec ZOP typu Kamow Ka-28 Helix, mogący przenosić trzy torpedy lub bomby głębinowe. Tuż przed nim, bliżej głównego kompleksu, znajdował się spory skład paliwa w postaci dwóch dwudziestotonowych zbiorników; wyglądały na nowe, jakby dopiero co przywieziono je ze stałego lądu śmigłowcami. Innej drogi dla nich nie było, jak ocenił Judd Crocker.

Tuż przed dziewiątą w ten słoneczny niedzielny ranek mała armia amerykańskich jeńców została wprowadzona do więzienia. Wysokie na cztery metry skrzydła bramy otworzyły się przed nimi do wewnątrz i strażnicy kazali im wchodzić na środek wewnętrznego placu. Na wprost nich przez całą długość muru rozciągał się parterowy budynek właściwego więzienia. To na jego rogach stały wieże strażnicze, które widzieli ponad murem z zewnątrz. Po obu stronach stały jeszcze dwa budynki. Dwa inne zbudowano przy samej bramie. Przed tym po prawej też stali dwaj wartownicy, a wewnątrz panował ożywiony ruch i przez okna widać było ludzi w mundurach marynarki wojennej. Większy, stojący na lewo od bramy, wydawał się opuszczony. Drzwi miał otwarte na oścież i nie było przy nich nikogo.

Sam dziedziniec, wystawiony na światło reflektorów, kiedyś był wybetonowany, ale teraz jego powierzchnia była spękana i zwietrzała. Tu i ówdzie przez szczeliny zwycięsko wyglądała soczysta trawa, a ponieważ był lipiec, miesiąc wyjątkowo deszczowy, wszędzie stały kałuże

Porucznik żandarmerii przywołał Amerykanów do porządku, kazał mi się zatrzymać i stanąć na baczność w obecności najczcigodniejszego dowódcy ochrony Floty Południowej. Wówczas sam komandor Li Zemin wystąpił naprzód i oznajmił wszystkim, że pozostaną w tym więzieniu na wyspie mniej więcej trzy tygodnie, po czym – w zależności od ich chęci do współpracy – zostaną odesłani do domu na swym okręcie. Jest wiele do zrobienia, mówił dalej, a na razie przydzielę im tymczasowe cele. Stałe zakwaterowanie nastąpi po południu, jak się wyraził, w zależności od raportów. Powiedziawszy to, komandor opuścił więzienie, wychodząc przez bramę w asyście czterech żandarmów. Skierowali się ku mniejszemu z dwóch budynków, temu, na którym

Amerykanie dostrzegli anteny.

Była to komenda obozu i kwatera komendanta, tymczasowe księstewko Li Zemina. W większym

budynku urządzono główne centrum administracyjne, mieścił on też skład zapasów i kwatery żołnierzy.

Komandor Zemin konferował z czterema towarzyszami, którzy w rzeczywistości byli wyszkolonymi w zakresie przesłuchiwania specjalistami AMLW. Od dwóch dni dyskretnie obserwowali Amerykanów, nie przerywając tego zajęcia nawet podczas podróży morskiej. Pierwszą

rzeczą, jakiej Li chciał się dowiedzieć, było to, który z wyższych oficerów może być najsłabszy.

Powiedziano mu, że kapitan nie wchodzi w rachubę. Wszyscy czterej byli zgodni co do tego, że

Judd Crocker jest trudnym i niebezpiecznym przeciwnikiem, który nie tylko nie powie im niczego,

ale i prawdopodobnie z radością obdarzy ich stekiem kłamstw na temat Seawolfa i działania jego

mechanizmów. Tak samo oceniali Brada Stocktona, który według nich jest „bardzo niebezpieczny” i

przy najmniejszych szansach może poprowadzić próbę ucieczki. Sądzieli, że nie zawahałby się zabijać dla odzyskania wolności, i zalecali, by trzymać go jak najdalej od kapitana.

Komandor Li zamyślił się.

–Ucieczka byłaby oczywiście dziecinadą – stwierdził. – Z tej wyspy nie można uciec. Przy pierwszych oznakach kłopotów możemy przywieźć śmigłowcami posiłki z Guangzhou,

a w razie potrzeby sprowadzić tu więcej okrętów i kutrów patrolowych. Moglibyśmy ich wystrzelać z powietrza, gdyby przyszła nam na to ochota, albo też zostawić ich na wyspie, aż zginą z głodu. Pamiętajcie, że oni mogą opuścić Xiachuan Dao tylko wtedy, gdy my im to każemy.

Eksperci porównali swoje notatki. Zgadza się co do dwóch punktów: że komandor podporucznik Cy Rothstein może nie wytrzymać brutalnego traktowania, a komandor podporucznik Bruce Lucas jest bardzo, bardzo wystraszony. Oficer sonarowy Frank jest bardzo młody i może dać się zastraszyć, jeżeli będzie przekonany, że nie ma żadnego wyjścia poza wyjawieniem skomplikowanych szczegółów podlegających mu układów elektronicznych.

–A co sądzicie o oficerze odpowiedzialnym za reaktor?

–Pamiętacie, towarzyszu komandorze, że kapitan rozkazał mu powiedzieć nam wszystko, co nas interesuje, kiedy zastrzelony został ten młody marynarz? Mimo to sprawiał kłopoty i trzeba go było ukarać, zanim choćby pomógł nam zatrzymać reaktor.

–Myślicie, że nauczył się wtedy czegoś, czy nadal będzie próbował utrudniać nam dochodzenie?

–Uważam, że można przyjąć, iż ostatnim razem pękł i zrobi, co mu każemy- powiedział jeden z ekspertów.

–Tak, ale oczywiście miał też wtedy wyraźny rozkaz swego dowódcy.

–Tak jest. A my zmuszeni byliśmy zabić jednego z marynarzy, aby kapitan wydał ten rozkaz.

–W takim razie zabijemy następnego... i jeszcze jednego... i jeszcze... aż wreszcie zaczną nas słuchać.

Niedziela, 9 lipca 2006 r., godzina 13.00. Baza marynarki wojennej w Zhanjiang

Admirał Zhang Yushu zajmował największe biurko w biurze Zu Jicai, jak zawsze podczas

wizyt w sztabie Floty Południowej. Odstępując mu je, dowódca floty okazywał w ten sposób

szacunek dla przełożonego. Siedzieli teraz obaj, rozważając ostatnie doniesienia od

ambasadora w
Stanach

w.9

m

Zjednoczonych, Jego Ekscelencji Ling Guofenga. Oficjalny komunikat głosił, że pierwsze wydania

niedzielnich gazet zamieściły niewielkie artykuły na temat uszkodzenia Seawolfa. Departament

Marynarki w Pentagonie wydał późnym wieczorem w sobotę oświadczenie na ten temat. Trzy główne dzienniki, które ambasador przestudiował, poświęciły temu zaledwie cztery do pięciu akapitów, a tytuły sprowadzały się do wariantów zdania: „Amerykański okręt podwodny uzyskał

pomoc od Chińczyków". Jedynie „New York Times” dodał stwierdzenie, że dowódca US Navy wystosował osobisty list z podziękowaniem do admirała Zhanga Yushu, a tylko „Washington Post” wydrukował na pierwszej stronie zapowiedź schowanego wewnątrz gazety artykułu: „Amerykański okręt unieruchomiony w Chinach”. Admirał Zu uważał to wszystko za bardzo dobre wieści.

–Towarzyszu admirałe, to znaczy, że oni nam uwierzyli, przynajmniej na razie. Nie ma najmniejszych oznak wrogości, a choćby zaniepokojenia. Według mnie nasz ambasador wykonuje

świetną robotę.

Zhang Yushu nie był tego taki pewien.

–Nie ufam im, mój przyjacielu. Nie ufam tym ludziom z Pentagonu ani odrobinę. I kilka kwestii nie daje mi spokoju. Po pierwsze, dlaczego tak długo zwlekali z wydaniem oświadczenia

dla prasy? Mogli przecież coś powiedzieć już w środę. Dlaczego więc wybrali sobotę i to późnym

wieczorem? To niezwykle. W sobotni wieczór o wpół do dziesiątej nie ma w Pentagonie wielu osób, a jeszcze mniej siedzi w redakcjach gazet. Dlaczego nie wydali oświadczenia w piątek

po

południu, kiedy wszędzie jeszcze są ludzie? A nawet mogli już poczekać do poniedziałku. Nie,

Jicai, to było celowe działanie. Bardzo mnie to zastanawia. Po drugie, nowojorska gazeta wspomina

o osobistych słowach podziękowania dla mnie od dowódcy amerykańskiej marynarki. Przecież ja

do tej pory nie otrzymałem żadnego listu od nikogo. Czyli to jest kłamstwo. Po trzecie,

zauważyłem, że nie ani razu pada nazwa Guangzhou. Dlaczego? Może nie życzą sobie, by

amerykańscy dziennikarze zaczęli węszyć wokół tamtejszej bazy i żeby stwierdzili, iż ochrona

została wzmocniona. Jeżeli to oświadczenie prasowe jest prawdziwe, jeśli oni naprawdę wierzą

w naszą współpracę, powinni chyba zachęcać swych reporterów do przybycia tutaj i dania świadectwa, jak nasze dwa wielkie narody ze sobą współpracują. To byłaby świetna reklama i dla nich, i dla nas. Doskonale dla przyszłych interesów. Nie, Jicai, coś mi tu porządnie śmierdzi.

– Jesteś pewien, że nie zachowujesz się zbyt podejrzliwie? – Admirał Jicai uśmiechnął się. – Może oni naprawdę chcą nam wierzyć i pozostać naszymi przyjaciółmi?

– Chciałbym, aby tak było. I zgadzam się z tobą, że Amerykanie i Chińczycy wiele mają ze sobą wspólnego... Niestety, przypomina mi się jedno z naszych najstarszych przysłów: „Sypiamy w jednym łóżu, ale śnią nam się inne sny”.

Niedziela, 9 lipca 2006 r., godzina 11.00. Biały Dom

Admirał Morgan i pułkownik Hart pogrążeni byli w rozmowie już od ósmej rano. W tym czasie admirał trzykrotnie dzwonił do swego dawnego biura w Fort Meade, by spytać, czy nie nadeszły jakieś nowe informacje na temat miejsca pobytu załogi Seawolfa. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego nie miała jednak nic nowego do powiedzenia. Wiadomo było jedynie, że wszyscy więźniowie zostali przewiezieni z cywilnego więzienia w Guangzhou na teren bazy morskiej. Ponieważ na całej Rzece Perłowej nie zaobserwowano ruchu choćby jednego okrętu wojennego, nawet płynącego w poprzek delty, wniosek nasuwał się jeden: wszyscy marynarze nadal są w bazie. Pozostawało jednak tajemnicą, gdzie konkretnie. Satelity przekazywały zdjęcie za zdjęciem, ale na terenie bazy zdawał się panować idealny spokój, a poza tym nie było tam żadnego budynku, który mógłby pomieścić ponad setkę nowo przybyłych więźniów.

Pierwszy przełom nastąpił po otrzymaniu informacji z CIA. Jake Raeburn z wydziału dalekowschodniego zadzwonił pięć minut po jedenastej z wiadomością, że akurat nadszedł meldunek od agenta z Guangzhou. Ich człowiek z bazy doniósł, że więźniów wywieziono w sobotni wieczór. Pod silną strażą wsadzono ich na cywilny prom. Nikt nie wie, dokąd popłynął, ale podobno w dół delty, w stronę morza. 218

*

–O ile nasz agent się orientuje, w bazie nie pozostał ani jeden Amerykanin. Dotarło doń, że

tamtego wieczoru odwołany został rejs wycieczkowy promem po delcie, więc wysnuł wniosek, że marynarka wojenna zarekwirowała go specjalnie do tego celu – zakończył Raeburn.

Admirał Morgan podziękował mu, prosząc, by informował na bieżąco Fort Meade i powiedział im, by się „lepiej przyłożyli do satelitarnej obserwacji tego odcinka wybrzeża”. Do pułkownika Harta zaś rzekł:

–Musimy ich znaleźć, Frank. Mamy na to czterdzieści osiem godzin, a ja przez ten czas będę próbował zbić Chińczyków z tropu i przekonywać ich, że wierzymy w ich dobrą wolę i nie zamierzamy czynić żadnych zaczepnych kroków.

–Tak jest, sir. Przeczytałem dokładnie całe oświadczenie i tylko jedno mi nie daje spokoju. Wie pan, ten kawałek o wysłaniu przez Joe Mulligana osobistych podziękowań. Czy taki list rzeczywiście został wysłany?

–Co ty, Frank. Jasne, że nie.

–Sądzę, że powinniście go wysłać.

–Dlaczego?

–Ponieważ taki kurtuazyjny gest jednego dowódcy wobec drugiego należy widzieć w kategorii uprzejmości i szacunku. Chińczycy specjalizują się w takich wypowiedziach, grzecznych, uprzejmych, powściągliwych i nieco mglistych. Nieszczę-rość nie stanowi dla nich żadnego problemu. Czuję jednak, że wzmianka o takiej kurtuazji przy jednoczesnym jej braku może zostać poczytana za zniewagę i chęć upokorzenia. Oni są w tym bardzo czujni i założę się, że admirał Zhang będzie chciał wiedzieć, czy taki list z Białego Domu albo z Pentagonu istotnie nadszedł. Jeśli jest podejrzliwy, jego brak zastanowi go, a może nawet poda w wątpliwość całe to oświadczenie. Wyślijcie go jak najszybciej, a być może nadal będzie przekonany, że jesteście słabi.

Admirał Morgan potrafił wysłuchać rozsądnej rady i natychmiast powiedział:

–Dobry pomysł, Frank. Zaraz się do tego biorę. Kathy!!! Notes!

Pani O'Brien zjawiała się w wielkim pośpiechu.

–Dobra... Podyktuję ci. Admirał Joseph Mulligan, szef 219

operacji morskich USA, składa wyrazy uszanowania sztabowi głównemu Marynarki Ludowo-Wyzwoleńczej i pragnie podziękować jej naczelnemu dowódcy, admirałowi Zhangowi Yushu, za

jego łaskawość, z jaką udzielił pomocy znajdującemu się w potrzebie amerykańskiemu okrętowi podwodnemu USS Seawolf. Pragnę zapewnić, że US Navy z ochotą pokryje wszelkie poniesione w związku z remontem naszej jednostki koszty, a także obiecuję, że jeśli kiedykolwiek zajdzie potrzeba, byśmy odwzajemnili się podobną przysługą dla któregokolwiek z waszych okrętów, nie zawahamy się tego uczynić. Raz jeszcze gorąco dziękuję i pozdrawiam, admirał Joseph Mulligan, szef operacji morskich USA, Pentagon, Waszyngton. Masz wszystko? Dobra. Kathy, dzwoń teraz do biura Joe i każ im to natychmiast wysłać e-mailem, bezpośrednio do kwatery głównej AMLW w Pekinie. Powiedz im, że nie muszą tym zawracać głowy admirałowi, bo to na mój rozkaz w imieniu prezydenta. Mają to zrobić od razu albo jeszcze wcześniej.

–Tak jest, sir – odrzekła Kathy, wychodząc.

–Okay, Frank, na czym to stanęliśmy?

W tej chwili zadzwonił telefon – bezpieczna bezpośrednia linia z Fort Meade. Rozmowa była zwięzła:

–Tak? Aha... Aha... To musi być to. Nie wiadomo, kiedy odpłynął? Nie... Chyba nie. Dobra, informujcie mnie na bieżąco. – Admirał odłożył słuchawkę bez pożegnania. Kurtuazji dziś nie będzie, wyjąwszy list do Zhanga. – Mają chyba ten prom, Frank. Złapali go w ostatnim przelocie o dwudziestej pierwszej, jak płynął w górę Rzeki Perłowej.

–Może to coś znaczy, a może i nie – ostudził jego zapal niedawny attache morski w Londynie.

–W tych przewodnikach po Guangzhou, które mam od pana, piszą o wieczornych rejsach promem

w dół delty, z powrotem o dwudziestej drugiej. To może być zwykła wycieczka.

–Niech to diabli, Frank. Zapomniałem ci powiedzieć, że w sobotę ten rejs został nagle odwołany.

–No, to chyba znaleźliśmy środek transportu naszych chłopaków, co?

–Właśnie.

–Teraz możemy z grubsza określić odległość... Na przy-

•* *

kład, można przyjąć, że prom odbił od nabrzeża o dwudziestą. Najwyraźniej chcieli go mieć przed

dwudziestą drugą i pewnie zarekwirowali około osiemnastej. Tu jest terminal promowy... a tu port

wojenny... to tylko parę mil.

–I skoro to pudło wróciło w niedzielę o dwudziestą drugą, to znaczy, że rejs zajął mu dwadzieścia sześć godzin -dodał Morgan. – Dajmy im ze dwie godziny u celu, na wyokrętowanie więźniów i może uzupełnienie paliwa, to wtedy mamy dwanaście godzin w jedną stronę. Jak szybko taki prom mógł płynąć?

–Na w miarę spokojnej wodzie prawdopodobnie więcej niż dwanaście, a mniej niż dwadzieścia węzłów.

–No, niech będzie, że czternaście... bo musieli wyjść na otwarte morze, gdzie zawsze jest trochę fali... czyli zabrali naszych gdzieś na odległość... dwanaście razy czternaście... to będzie chyba sto sześćdziesiąt osiem mil, co?

–Zaletą tej liczby nie jest jej dokładność, sir – odparł Hart. – Daje ona pewność, że nie mogli popłynąć nigdzie dalej. Jej słabością jest natomiast to, że być może prom pozostał przy nabrzeżu u celu swej podróży znacznie dłużej, może by oficerowie mogli zjeść na nim obiad albo wykorzystać go jako biuro. Poza tym nie wiemy, w którą stronę się skierował po dotarciu do ujścia delty: mógł udać się na wschód, okrążając Hongkong, i popłynąć wzdłuż wybrzeża albo na jedną z wysp, a mógł też pójść na zachód, niewykluczone, że aż do tych dwóch małych wysepek. Jak one się nazywają? Shangchuan i Xiachuan. Leżą na granicy zasięgu promu, jeśli przyjmujemy owe dwadzieścia sześć godzin jako faktyczny czas trwania rejsu.

–Co prawda mogli przybić do każdego punktu wybrzeża po drodze... – mruknął Morgan.

–Zgadza się, sir. Ale powiedziałbym, że dotarli co najmniej do ujścia delty, bo inaczej równie dobrze mogliby zawieźć ich na miejsce ciężarówkami.

–Masz rację. Powiem więc tym z Fort Meade, by się skoncentrowali na tym odcinku chińskiego wybrzeża... od Makau do tych tutaj marnych wysepek, a także od Hongkongu do... jak mu tam?... Humen... Hej, to brzmi znajomo. Myślę, że tam jest port wojenny. Sprawdź w tej dużej księdze, Frank.

Pułkownik sprawnie przekartkował egzemplarz Jane's Fighting Ships, renomowanego katalogu flot i okrętów wojennych świata, i szybko znalazł notatkę o bazie Floty Południowej w Humenie.

–Ma pan rację, sir – powiedział, wracając do komputerowej mapy południowych Chin na ekranie.

–Jak daleko jest z Hongkongu do Humenu?

–Osiemdziesiąt pięć mil, może ciut więcej. Ale tam jest głęboko, a wybrzeże wygląda na bezludne.

–Chińczycy pewnie mogą mieć tam gdzieś po drodze rodzaj więzienia... ale mogą też mieć je w samej bazie... a to byłaby dla nas najgorsza wiadomość.

–Tak, sir. Chodzi panu o to, że nie możemy zaatakować wprost chińskiego portu wojennego?

–Nie przy użyciu SEALs. A gdybyśmy chcieli posłać tam marines, potrzeba by ich tysiące. To by się równało wypowiedzeniu Chinom wojny... Do diabła, tego nie można zrobić.

–No cóż, sir, w tej chwili nie możemy w ogóle nic zrobić, bo wciąż nie wiemy, gdzie trzymają naszych ludzi.

–Nie, Frank. Ale musimy... – Urwał w pół zdania, podniósł słuchawkę i warknął: – Dajcie mi Fort Meade, ale piorunem!

Niedziela, 9 lipca 2006 r., północ. Więzienie na Xiachuan Dao

Amerykanów podzielono wcześniej na sześćosobowe grupy i zamknięto w celach. Teraz próbowali spać na betonowych podłogach o wymiarach trzy na cztery metry. Ściany cel były z surowego kamienia, bez okien, ale w każdym drzwiach był duży, zakratowany otwór, przez który

widać było siedzących w mrocznym korytarzu dwóch strażników, zmieniających się co cztery godziny. Ich rozkazy były wyraźne: „Jeżeli ktokolwiek w celi się odezwie, zastrzelić pierwszego

więźnia od drzwi". Amerykanie wierzyli w to i nikt nie próbował otwierać ust.

Nagle drzwi wejściowe się otworzyły i zapalono główne

światła. Porucznik, który zastrzelił Skipa Laxtona, stanął pośrodku korytarza i głośno oznajmił:

–Zaczynamy separację i przesłuchiwanie. – Podeszedł do pierwszej celi, kazał strażnikowi

otworzyć drzwi i krzyknął: – Komandor podporucznik Bruce Lucas i komandor podporucznik Cy

Rothstein, wystąp! Natychmiast!

Judd Crocker w jednej chwili poderwał się na nogi i przepchnął się naprzód.

–Dokąd zabierasz tych ludzi? – krzyknął. – Nie myśl, że cię zapomniałem, ty morderco! Spodziewał się, że zostanie pobity i powalony na ziemię za swoje wystąpienie, ale uważał, że musi pokazać swym ludziom, iż nadal jest w bojowej formie. Spokojna, pogodna odpowiedź chińskiego oficera bardzo go zaskoczyła.

–Kapitanie Crocker, podziwiam pana postawę jako dowódcy. Byłoby jednak dobrze, gdyby pan pamiętał, że nie znajduje się już na pokładzie Seawolfa. Tutaj jest pan tylko jeszcze jednym przestępcą i może pan stanąć przed sądem

o wiele prędej niż ja.

Powiedziawszy to, porucznik podeszedł do następnej celi

1 wywołał porucznika Kyle'a Franka, którego wyciągnięto mimo oporu na korytarz. Jak wszyscy inni, on też był skuty kajdankami i nie mógł się przeciwstawić szóstce uzbrojonych strażników. *

Trzech Amerykanów poprowadzono korytarzem na zewnątrz, przy akompaniamencie wściekłych krzyków kapitana.

–Dokąd ich zabierasz, ty sukinsynu?! Odpowiesz za to! Przysięgam na Boga, że jeśli cokolwiek im się stanie...

Zanim chiński porucznik zamknął za sobą drzwi, odwrócił się raz jeszcze i powiedział z szerokim uśmiechem:

–Kapitanie Crocker, proszę o ciszę. Pański rząd pana opuścił. Oni także rozumieją przestępczą naturę pana nieupoważnionych działań. Dali nam pozwolenie, abyśmy traktowali

pana

tak samo jak każdego innego kryminalistę. Dobranoc.

Judd poczuł smutny chłód osamotnienia, jakiego jeszcze nigdy dotąd nie doświadczył. Nie uwierzył w słowa porucznika, ale w obecnym stanie, głodny, spragniony, obolały od 223

ocierających przeguby kajdan, zaczął poddawać się zwątpieniu. A jeśli Chińczyk mówi prawdę? Może marynarka jest na niego wściekła za to, że pozwolił się wykryć? Może uważają, że to on jest winien zaplątania się w przewód sonaru... Może poświęcenie ich wszystkich jest jedynym wyjściem dla rządu, jeśli chce uniknąć wojny z Chinami? Ten mały skurwiel był całkiem pewny swego... Jezu Chryste!

Bruce Lucas, Cy Rothstein i Kyle Frank zostali zaprowadzeni przez smagany ciepłym deszczem dziedzińcem do opuszczonego budynku w załomie murów. Wewnątrz, na prawo od wejścia, ujrzeli drzwi do pomieszczenia, w którym siedziało sześciu Chińczyków. Dalej biegł długi, jasno oświetlony korytarz, do którego ich skierowano. Nfii końcu znajdowały się cztery cele, również zalane światłem, a w każdej stały dwa lub trzy krzesła. Wszystkie pomieszczenia były odrażająco brudne, a na podłodze i ścianach widać było rdzawe plamy – ewidentne ślady krwi. Rozdzielono ich. Każdego wtrącono do osobnej celi i kazano usiąść i czekać. W pół godziny później do celi Cy Rothsteina wkroczył komandor Li Zemin w asyście dwóch strażników, ubranych w proste granatowe koszule i spodnie, białe skarpetki i czarne buty, uzbrojonych w pistolety maszynowe. Czwarty osobnik miał na sobie biały laboratoryjny fartuch i niósł spory plik papierów. Wraz z komandorem zasiedli na pozostałych krzesłach, a strażnicy zajęli pozycje w rogach celi, doskonale widoczni dla więźnia.

–No więc, komandorze... – zaczął Li. – Jest pan, jak mi wiadomo, oficerem uzbrojenia na Seawolfie, prawda?

Cy nie odpowiedział.

–Milczenie jest bezsensowne. Przecież dokładnie przejrzelśmy dokumenty okrętowe i wiemy, kim pan jest. Proszę nie postępować nierozsądnie. – Amerykanin nie odezwał się.

Komandor Li polecił jednemu ze strażników zdjąć mu kajdanki i mówił dalej: – Posłuchajcie mnie,

komandorze Rothstein. Obaj jesteście oficerami w wielkich narodowych flotach. Pan i pańscy koledzy złamaliście wszelkie normalne zasady przyjęte na morzu. Wasz własny rząd się z tym zgodził i pozwolił nam postawić was przed sądem, jak każdego

innego międzynarodowego terrorystę. Ponieważ nimi właśnie jesteście... Waszyngton się od was odciął, pokojowy naród chiński was potępia... Jesteście na naszej łasce i niełasce. Komandorze, oferuję panu rozsądny kompromis. Pan pomoże nam, a my pomożemy panu. Jeśli pan i pańscy koledzy oficerowie gotowi jesteście przekazać nam wszystkie informacje o budowie i obsłudze Seawolfa, których potrzebujemy, procesu nie będzie. Wszyscy zostaniecie uwolnieni i wrócicie do domu, prawdopodobnie własnym okrętem. Nikt się nigdy nie dowie, co nam powiedzieliście. Na pewno nie od nas. Wy się do niczego nie przyznacie i nikt nie będzie o niczym wiedział.

–Ja będę – po raz pierwszy przemówił Cy.

I tak obaj mężczyźni zasiedli po dwóch stronach niewidzialnej linii. Cy Rothstein zastanawiał się, czy będzie miał odwagę znieść fizyczne cierpienia, jakie niechybnie go czekały w tej celi tortur; Li Zemin rozważał celowość faktycznego torturowania bezbronno amerykańskiego oficera. W końcu Chińczyk zdecydował się na jeszcze jedną próbę.

–Komandorze, dam panu przykład prostych pytań, jakie chcemy zadać. Na przykład, rakieta

Hughes Tomahawk... chodzi mi o typ TLAM-N... wiemy, że jej zasięg wynosi około dwóch i pół

tysiąca kilometrów, ale mamy inne pytania, choćby o system nawigacji inercyjnej. Nie mamy także

pewności co do prędkości lotu i chcemy, by nam pan podał wartość prawdopodobnego błędu

kołowego. Nasi naukowcy uważają, że Seawolf niósł dwie wersje rakiety, drugą z nich jest TLAM-

C/D. Czy ta rakieta ma dodatkowy układ kontroli lotu oparty na systemie GPS, czy też działa

wyłącznie w oparciu o wewnętrzny system nawigacyjny? No, komandorze, proszę pomyśleć, jak to

wszystkim ułatwi życie, jeśli sobie tu po prostu posiedzimy i porozmawiamy. Może powie mi pan

coś na temat tej głowicy bojowej z ładunkiem wysokowybuchowym? Ile tego w niej jest, czterysta,

a może pięćset kilogramów? Czemu mi pan nie odpowie i nie ułatwi wszystkim życia?

Cy milczał, utkwivszy wzrok w ścianie na wprost siebie. Komandor Li przekroczył

niewidzialną linię i skinął głową jednemu ze strażników. Rothstein widział, jak się do niego z wolna zbliża, z lekkim uśmiechem na twarzy. Mówi się, że żołnierz nigdy nie widzi pocisku, który go zabija. Cy też nie 225

zobaczył silnego ciosu, jaki zmienacka wylądował na jego szczęce, rozcinając mu dolną wargę i wybijając dwa przednie zęby. Oszołomiony, nie przygotowany na nagły ból, przymknął oczy i chwycił krwawiącymi ustami powietrze. Nie widział, że kolba pistoletu maszynowego wbija mu się w żebra, łamiąc dwa z nich naraz. Spadł z krzesła na beton i poczuł serię kopnięć w klatkę piersiową, a potem potężny cios w tył głowy, który litościwie pozbawił go przytomności. W głowie mu pociemniało, podobnie jak w celi, kiedy komandor Li ze swą świtą wyszedł, gasząc światło. Na korytarzu słychać było odtwarzane z taśmy głośnie krzyki bitych ludzi. Linus Ciarke jeszcze nigdy się tak nie bał. Drzwi jego celi otworzyły się z łoskotem i wszedł komandor Li z dwoma strażnikami. Złapali leżące na jednym z krzeseł sznury i przywiązali mu nogi do krzesła, po czym to samo zrobili ze skutymi kajdankami rękoma. Li stanął przed nim i powiedział:

–Komandorze Lucas, odpowie pan na wszystkie moje pytania niezwłocznie i dokładnie, bo w przeciwnym razie każę pana zabić. Nie przez zwyczajną egzekucję, jak to chyba pan widział z jednym z marynarzy, ale w bardziej powolny i wymyślny sposób, który się panu nie spodoba... Linus nie mógł opanować drżenia. Li bezlitośnie kontynuował:

–Bruce Lucas, jak zrozumiałem, jest pan zastępcą dowódcy okrętu. Zgadza się? Drugim po kapitanie?

Linus był zbyt przerażony, by odpowiedzieć. Siedział, nie mogąc uwierzyć, co się z nim dzieje – z amerykańskim oficerem u progu dwudziestego pierwszego wieku. Rozważał, czyby po prostu nie powiedzieć prawdy, odpowiadać na te cholerne pytania, a potem wyjawić, kim jest naprawdę, by ratować życie. Przecież nie ośmieliliby się mu nic zrobić, gdyby wiedzieli, kto jest jego ojcem? Ale Li Zemin niecierpliwił się i chciał przyspieszyć sprawę. Zwrócił się do jednego ze strażników i coś szybko powiedział po chińsku. Strażnik przyniósł duży biały ręcznik i starannie owinął nim głowę więźnia. Linus przez mgnienie oka poczuł się jak członek Ku-Klux-Klanu, w kapturze bez otworów na oczy. 226

Wiedział, że w rogu celi stoi duża beczka z wodą, choć nie zdążył upić ani łyka. Siedział tak w bawełnianym kokonie na głowie, spragniony, zgrzany i wystraszony; słyszał kroki strażnika i plusk zanurzanego w wodzie przedmiotu. Po chwili kroki się zbliżyły i wnet poczuł dotknięcie zimnej wody, wylanej na ręcznik, na samym czubku głowy. Było to nawet przyjemne. Potem znów usłyszał kroki, plusk, i znów połała się woda. Dwaj strażnicy ujęli końce wilgotnego ręcznika i lekko go naprężyli. Przez chwilę nic się nie działo. Linus zaczął się bać. Wyobrażnia, podsycana scenami z oglądanych kiedyś filmów z udziałem orientalnych czarnych charakterów, podsuwała mu mgliste obrazy wyrafinowanych tortur, choć żadnej nie mógł sobie wyraźnie przypomnieć. Przełknął z trudem ślinę, czując lekki ucisk ręcznika na krtani.

I wtedy potężny cios w szczękę szarpnął nim w lewo, natychmiast potem drugi spadł z

przeciwnej strony, ale głowa, podtrzymywana przez ręcznik, tkwiła niemal nie poruszona w jednym położeniu. Od tej chwili w niewielkich, choć nieregularnych odstępach czasu na przemian bito go albo z brutalną siłą, albo z przerażającą precyzją. Niektóre z lekkich uderzeń celowo omijały newralgiczne miejsca, ale już na pierwsze dotknięcie Linusa momentalnie przeszywał paniczny strach przed bólem, który jednak nie następował. Po chwili jednak spadał kolejny cios, przeszywając go niczym prądem elektrycznym. Wkrótce stracił poczucie czasu, nie wiedział, jak długo trwa ta męczarnia, ale był pewien, że dłużej już nie wytrzyma. Chciał krzyżeć, ale głos nie chciał mu się wydobywać z krtani. W końcu stracił przytomność. Przewrócił się z krzesłem na bok, uderzając silnie czołem o betonową posadzkę. Dopiero wtedy komandor Li pochylił się i ściągnął ręcznik z zakrwawionej głowy zastępcy dowódcy USS Seawolf, ratując mu życie w ostatniej chwili. 4_

Wiedział, że w rogu celi stoi duża beczka z wodą, choć nie zdążył upić ani łyka. Siedział tak w bawełnianym kokonie na głowie, spragniony, zgrzany i wystraszony; słyszał kroki strażnika i plusk zanurzanego w wodzie przedmiotu. Po chwili kroki się zbliżyły i wnet poczuł dotknięcie zimnej wody, wylanej na ręcznik, na samym czubku głowy. Było to nawet przyjemne. Potem znów usłyszał kroki, plusk, i znów połała się woda. Dwaj strażnicy ujęli końce wilgotnego ręcznika i lekko go naprężyli. Przez chwilę nic się nie działo. Linus zaczął się bać. Wyobrażenia, podsycana scenami z oglądanych kiedyś filmów z udziałem orientalnych czarnych charakterów, podsuwała mu mgliste obrazy wyrafinowanych tortur, choć żadnej nie mógł sobie wyraźnie przypomnieć. Przełknął z trudem ślinę, czując lekki ucisk ręcznika na krtani.

I wtedy potężny cios w szczękę szarpnął nim w lewo, natychmiast potem drugi spadł z przeciwnej strony, ale głowa, podtrzymywana przez ręcznik, tkwiła niemal nie poruszona w jednym położeniu. Od tej chwili w niewielkich, choć nieregularnych odstępach czasu na przemian bito go albo z brutalną siłą, albo z przerażającą precyzją. Niektóre z lekkich uderzeń celowo omijały newralgiczne miejsca, ale już na pierwsze dotknięcie Linusa momentalnie przeszywał paniczny strach przed bólem, który jednak nie następował. Po chwili jednak spadał kolejny cios, przeszywając go niczym prądem elektrycznym. Wkrótce stracił poczucie czasu, nie wiedział, jak długo trwa ta męczarnia, ale był pewien, że dłużej już nie wytrzyma. Chciał krzyżeć, ale głos nie chciał mu się wydobywać z krtani. W końcu stracił przytomność. Przewrócił się z krzesłem na bok, uderzając silnie czołem o betonową posadzkę. Dopiero wtedy komandor Li pochylił się i ściągnął ręcznik z zakrwawionej głowy zastępcy dowódcy USS Seawolf, ratując mu życie w ostatniej chwili.

ROZDZIAŁ 7

Poniedziałek, 10 lipca 2006 r., godzina 16.00. Baza marynarki wojennej w Zhanjiang Admirał Zhang Yushu otrzymał kurtuazyjno-dziękczynny list od dowódcy marynarki USA. Nie uspokoiło to jednak jego nerwów. Wszystko to było tak nietypowe dla tych aroganckich ludzi kierujących amerykańskimi siłami zbrojnymi. Zhang uważał za niemożliwe, by ci sami admirałowie, którzy przed paroma laty w tak imperialnym geście unicestwili jego własne okręty klasy Kilo, teraz potulnie przyjmowali bezsporny, oczywisty fakt porwania dużego amerykańskiego atomowego okrętu podwodnego z całą załogą. Zhang nie był głupi. Dobrze wiedział, że satelity Amerykanów co parę godzin fotografują Seawolfa, a admirałowie kipią z wściekłości. A jednocześnie potraktowali Ling Guofenga jak dobrego przyjaciela, najwyraźniej dając wiarę oficjalnym zapewnieniom sztabu Marynarki Ludowo-Wyzwoleńczej, których nikt przy zdrowych zmysłach nie traktowałby poważnie. Amerykańskie oświadczenia tchnęły jednak szczerością. Zupełnie, jakby ich rząd pragnął, aby chińskie wyjaśnienia były prawdziwe, i za wszelką cenę chciał uniknąć konfrontacji oraz sprawić, by nic się nie stało jego cennemu personelowi. Zachód jest tak dziecinny, pomyślał, w swoim przejmowaniu się jedynym z odnawialnych zasobów, którym

–podobnie jak Chiny – dysponuje w wielu milionach egzemplarzy.

Sytuacja była zadziwiająca. Najważniejsi oficerowie Seawolfa okazali się uparci – poza jednym, który jednak nie miał dostatecznej wiedzy technicznej. Czas był niezwykle ważnym czynnikiem. Zhang mógł ciągnąć swe oczywiste kłamstwa może jeszcze przez dziesięć dni. Potem Ameryka-228 m P

* m

nie mogą zaatakować, wdrzeć się siłą do portu wojennego w Guangzhou, mając za sobą światową opinię publiczną. Admirał wiedział, że może stawić im czoło przez jakiś czas, ale ostatecznie Amerykanie zmiażdżą wszelki opór dzięki swemu o niebo lepszemu uzbrojeniu. Nigdy nie zapomniał wojny w Zatoce Perskiej przed piętnastoma laty. Po całej przed-bitewnej gadaninie Saddama o irackiej potędze i umiejętnościach zahartowanych w pustynnej wojnie dowódców i żołnierzy, Amerykanie zrobili z irackiej armii pośmiewisko, pustosząc ziemię, niszcząc ich siły, drogi, mosty, umocnienia i wszystko, co im stało na drodze. Zhang był przerażony myślą, że Pentagon może poważnie „zająć się” portem wojennym w Guangzhou, a potem może i w Zhanjiang, Haikou, Humenie, nawet i w Xiamenie. Ale też pragnął mieć flotylę Seawolfów, a teraz wreszcie miał w ręku środki do osiągnięcia tego celu. Musi jednak być bardzo, bardzo ostrożny i nie podejmować żadnego ryzyka... zwłaszcza w wypadku amerykańskich jeńców. Nie wolno dopuścić, by kiedykolwiek wydostali się z Chin żywi, a przede wszystkim, by Amerykanie ich odnaleźli. Niespokojnie chodził tam i z powrotem po biurze admirała Zu Jicai.

–Czy wciąż masz pewność, Jicai, że Pentagon nam uwierzył?

–Yushu, powiedziałem to już wielokrotnie. Masz w ręku osobisty list admirała Mulligana, który przekazuje ci pozdrowienia, dziękuje za pomoc i zapewnia o przyjaźni. To zupełnie jak za dawnych dobrych czasów, kiedy u władzy był prezydent Clinton. Oni zdają się cenić naszą przyjaźń i chcą naszego poparcia i naszego biznesu. Zrobią wszystko, by nas nie urazić.

–Zu, przyjacielu. Nie znajduję słów, by odpowiednio dobitnie wytłumaczyć, jak głęboka przepaść dzieli obecny rząd republikański od administracji Clintonowskiej. To dwa zupełnie odmienne światy. Jeden był przyjazny, przymilny, skłonny do współpracy i miękki. Ten jest twardy, podejrzliwy, czujny i w najwyższym stopniu cyniczny. Człowiek, który dziś siedzi w Białym Domu, słucha swych generałów, a jak dobrze wiemy, generałowie, przynajmniej ci najlepsi, są jedynymi ludźmi, których naprawdę warto słuchać w kwestiach polityki międzynarodowej. Chyba że politycy są weteranami rewo-

lucji, jak wielcy ludzie, którzy ukształtowali naszą ludową republikę. W Stanach Zjednoczonych zaś nie było porządných rewolucjonistów od dwustu lat!

–Dlatego też, mój drogi Yushu, nie sądzę, aby moje rady i mój instynkt przydały ci się do czegokolwiek – odpowiedział dowódca Floty Południowej. – Sądzę bowiem, że jesteś głęboko poruszony tą sytuacją. Widzę w tobie ilustrację starego chińskiego powiedzenia: „jak mrówki na

rozpalonym piecu", jesteś pełen niepokoju. A znam cię od wielu lat. Kiedy tak się niepokoisz, musisz sam decydować, jak działać. Rozumiem cię. Jeżeli szanse na nagły amerykański odwet są

jak jedna na sto, ty po prostu nie interesujesz się tymi dziewięćdziesięcioma dziewięcioma, tylko tą

jedną.

Zhang uśmiechnął się.

–Jicai, nie mogę zostawić więźniów na Xiachuan. Ta wyspa jest zbyt narażona na atak z morza.

–Ale my mamy o godzinę żeglugi stamtąd całą marynarkę wojenną do dyspozycji, by odparła każdy atak. Mamy wielu żołnierzy, samoloty. Cóż oni mogą zrobić, przed czym my nie moglibyśmy się obronić? Mogą co najwyżej przysłać tu zespół lotniskowca. Ale mamy teraz cztery okręty podwodne klasy Kilo. Możemy ich pozatapiać. To w historii nic nowego. Bez problemu dalibyśmy im radę.

–Być może. Ale ten zespół ma moc rażenia zdolną zmieść z powierzchni ziemi połowę Chin.

–Ależ, Yushu, oni tego nie zrobią! Nie postawią świata na krawędzi wojny światowej z powodu jednego okrętu i stu marynarzy!

–Może nie, a może tak. Ale na pewno muszę przenieść tych marynarzy jak najszybciej gdzieś w głąb kraju, gdzie nikt ich nigdy nie odnajdzie. Ponieważ jeśli Amerykanie nie będą wiedzieli, gdzie oni są, nie odważą się zaatakować. To mięczaki, cenią każde ludzkie życie, co my uważamy za absurd. Dopóki mamy tę załogę w ręku, a oni mają nasze słowo, że nic się jej nie stanie, myślę, że będą się trzymali na dystans. Ale jeżeli jakimś cudem natrafią na ich ślad... tego się obawiam. Nie mogę używać Xiachuan Dao dłużej niż przez jeszcze dziesięć dni. Potem musimy znaleźć alternatywny obóz, daleko od wybrzeża.

230 % t»

Admirał Zhang był w biurze już od piątej rano, obracając w myślach ten sam problem na wszystkie strony. Potrzebował więzienia w głębi kraju, na takim odludziu, że jego więźniowie praktycznie przestaliby dla świata istnieć. Z biegiem lat można by ich zlikwidować i nikt by się nie dowiedział o ich losie. Dziwna rzecz, ale przez cały dzień nie przyszło mu nic do głowy. Zhang był tak głęboko pochłonięty okazją do skopiowania Seawolfa, że popadł w stan określony przez inne stare chińskie powiedzenie: patrzył na niebo z dna studni, czyli nie widział całego obrazu. Jego obsesją stało się pragnienie przechytrzenia Pentagonu. Wierzył, że flota okrętów klasy amerykańskiego niszczyciela ukształtowałyby los Chin na pół wieku, zabezpieczając je przed napaścią i dając im dominację nad światowymi szlakami naftowymi, zwłaszcza wiodącymi na Daleki Wschód i tymi obecnie znajdującymi się w ręku ich dobrego przyjaciela, Iranu.

Teraz jednak, spięty ostrogą strachu przed amerykańskim atakiem, zdwoił wysiłki, koncentrując się na miejscu, które dotąd tylko raz odwiedził: na wielkim, szarym mieście Chongqing leżącym u zbiegu potężnych rzek Jangcy i Jialing, ponad tysiąc kilometrów na północny zachód od Zhanjiang. To był sam środek Chin, piętnastomilionowe miasto w centralnej prowincji Syczuan, odległe o tysiąc sto kilometrów od Szanghaju, tysiąc trzysta od Pekinu, chronione od zachodu przez potężny masyw górski, ciągnący się przez tysiąc osiemset kilometrów i odgraniczający Chiny od większości państw Azji. Przez całe stulecia Chongqing był praktycznie niedostępny – poza żeglarzami zdolnymi popłynąć niespełna dwa tysiące kilometrów w górę Jangcy. Latem palony słonecznym żarem, prawie całą zimę zaś spowity gęstą mgłą. Miejskie lotnisko, położone między górami, nie nadaje się do ruchu międzynarodowego, a lądowanie na nim wymaga od pilotów linii krajowych najwyższych umiejętności. Podróż pociągiem ze stolicy Syczuanu, Chengdu, odległej zaledwie o dwieście dziewięćdziesiąt kilometrów, zajmuje dwanaście godzin: tory wiją się wzdłuż brzegów rzeki Tuo i przedzierają się przez góry. Z Kunmingu, leżącego o sześćset czterdzieści kilometrów na południe, trzeba jechać półtorej doby.

Podczas drugiej wojny światowej Chongqing był stolicą 231

Chin i kwaterą główną Kuomintangu, armii Czang Kajsze-ka, a ci bezlitośni, antykomunistyczni Tatarzy dwudziestego wieku potrzebowali więzień dla setek więźniów

politycznych. Budowali je z dala od miasta, przeważnie na zachód od niego; admirał Zhang dobrze znał ich położenie. Wiedział, że stanowią rozległy archipelag, którego niektóre „wyspy” leżały na istnych pustkowiach. Niektóre z nich udostępniono do zwiedzania i organizowano wycieczki autobusowe z miasta; lecz naczelnemu dowódcy wystarczy jeden telefon, by cały ten kompleks zamknąć dla postronnych osób.

–Chongqing, Jicai – oznajmił. – Oto rozwiązanie. Najodleglejsze więzienie najodleglejszego miasta, prawie niedostępne z powietrza, do którego dojazd drogami to koszmar, no i nie ma tam morza. Nawet Amerykanie nie mogą go zaatakować. A poza tym nigdy tam nie znajdą swych ludzi. Nikt tego nigdy nie dokonał w tych starych chongajńskich więzieniach. Za dziesięć tygodni miasto schowa się we mgle. Amerykańskie satelity, nawet gdyby wiedziały, gdzie patrzeć, nie będą w stanie jej przebić.

–Zwracam ci uwagę, Yushu, że te więzienia nie były używane od pół wieku. Są w ruinie. Co z wodą i elektrycznością?

–Jicai, pozwól, że zadam ci pytanie z wiedzy ogólnej. Co leży o pięćset kilometrów w dół rzeki Jangcy od Chongqingu?

–W Yichangu? No, tama Trzech Przełomów, naturalnie. Nie bardzo widzę, co to ma wspólnego z...

–To, że na tej potężnej budowie pracuje pół miliona robotników, z czego wielu

wykwalifikowanych. Są tam miliardy ton cementu, stali i maszyn. Są specjaliści konstruujący jedną z największych zapór wodnych na świecie. Wystarczy jedna dobra barka materiałów i nieco ludzi, a w tydzień postawię jedno z tych więzień na nogi i zamknę dla turystów na sto lat.

–Muszę przyznać jedno, mój wielki przywódco – odrzekł admirał Jicai. – Nigdy nie było dla ciebie problemem myślenie w wielkiej skali. Zgadza się z tobą. Jeżeli mógłbyś to zaaranżować,

wówczas Amerykanie nigdy nie odnajdą swych marynarzy.

Wtorek, 11 lipca 2006 r., godzina 12.00. Kwatera główna SPECWARCOM, Coronado, San Diego. Admirał John Bergstrom docierał swój zespół uderzeniowy SEAL, jak gdyby akcja miała nastąpić już nazajutrz. Co oczywiście nie było prawdą, ponieważ dotąd nie wiadomo, gdzie przetrzymywana jest załoga Seawolfa. Admirał opierał się jednak na dwóch założeniach. Po pierwsze, że miejsce akcji znajduje się gdzieś w bezpośredniej bliskości morza, o czym świadczyły doniesienia wywiadowcze przekazywane mu przez admirała Morgana i pułkownika Harta. Po drugie, niezbędne będzie szczegółowe rozpoznanie, co wymagać będzie wysłania co najmniej dwunastoosobowej drużyny zwiadowczej w okolice więzienia, gdziekolwiek się ono znajduje. Przez cały dzień toczyły się dyskusje z admirałem Morganem. Doradca prezydenta coraz bardziej irytował się na centrum wywiadowcze w Fort Meade, gdzie specjaliści pracowali pełną parą non stop na sześciogodzinnych zmianach. Sytuacja zaczynała się robić tragiczna. Zespół Bergstroma wprowadził szybko doszedł pod twardą komendą komandora Huntera do formy bojowej, ale zawieszony był w próżni. Przygotowywano szczegółowe plany natarcia z udziałem najlepszych spośród dwóch tysięcy trzystu żołnierzy SEAL, ale nikt nie miał pojęcia, na co mają nacierać. Wywoływało to potężną frustrację.

Za cztery godziny, o szesnastej czasu lokalnego, sześćdzieści-czterooosobowy zespół miał odlecieć z lotniska marynarki w North Island pod San Diego do bazy amerykańskiej na Okinawie, wyspie leżącej w połowie japońskiego archipelagu rozciągniętego pomiędzy Kiusiu i Tajwanem, o półtora tysiąca kilometrów od delty Rzeki Perłowej. Stamtąd mieli zostać przerzuceni jednym z wielkich śmigłowców Sikorski CH-53D Sea Stallion na pokład lotniskowca klasy Nimitz, USS Ronald Reagan, o wyporności stu tysięcy ton. Śmigłowiec taki może pomieścić trzydziestu ośmiu żołnierzy; przetransportowanie zespołu SEAL z całym niezbędnym wyposażeniem, plus

pułkownika Harta, który spodziewany był lada moment, będzie wymagało trzech lotów.

Pułkownik przybył o trzynastej, ku zadowoleniu admirała

Bergstroma. Reputacja Franka Harta nie została nadszarpnięta w środowisku wojskowym, tylko

wśród pewnych lewicujących polityków i ich zwolenników, których admirał Morgan nazywał czule

„cholernymi tępakami”.

–Cieszę się, że cię widzę, Frank – przywitał go John Bergstrom. – Jak się miewasz?

–Czy spędził pan kiedykolwiek dwa pełne dni z admirałem Morganem? Bergstrom zaśmiał się.

–Parę razy mi się to przytrafiło. To jest gość, co?

–No cóż, jeśli pominąć fakt, że nic nie uchodzi jego uwagi, że jest cwańszy od wszystkich, nie sypia, nie jada, nie idzie do domu, drze się na ludzi i jest chyba najbardziej ordynarnym facetem, jaki kiedykolwiek pracował w Białym Domu, nie licząc Lyndona Johnsona przed czterdziestu laty, to cała reszta była jak piknik.

–Dowiedziałeś się czegoś?

–Wszystkiego.

–Frank, cieszę się, że jesteś na pokładzie. Gdyby admirał cię nie zwerbował, sam bym po ciebie pojechał. To będzie piekielnie niebezpieczna misja, zwłaszcza jeśli chłopaki będą się musieli przebijać przez nieprzyjaciela w drodze powrotnej i trzeba będzie ich podjąć wprost z plaży. Tak, to będzie sakramencki kawał roboty.

–Wiem. O której lecimy?

–Start o szesnastej z North Island. Zabierze was galaxy* w drodze na Diego Garcia. Teraz musimy omówić parę spraw: listę wyposażenia, metody łączności, procedury na wypadek konieczności odwołania akcji, dane o twoich głównych oficerach, skład drużyny zwiadowczej. Wszystko to ci wyłożę, poczyniliśmy odpowiednie przygotowania. Mam na ten temat całą teczkę.

–Dobra, John. Teraz już pozostaje tylko poznać cel ataku... i posłać zwiadowców. Mam tylko nadzieję, że morze nie jest tam zbyt płytkie. Nowe SDV mają całkiem niezły zasięg,

*** Wielki samolot transportowy używany przez armię amerykańską.**

ale wątpię, by SUBPAC chciał trzymać swoje okręty na powierzchni, jeśli można by tego uniknąć.

–Jasne, że nie chce, Frank. Ale, jak ci wiadomo, w tej akcji chodzi o nadzwyczaj poważną stawkę. O ile to w ogóle w ludzkiej mocy, musimy ją wykonać. Tymczasem poznasz swojego dowódcę zwiadu. Poprosiłem, by tu wpadł za parę minut.

–Świetnie, John. Kto to jest?

Ale admirał nie zdążył odpowiedzieć. Drzwi się otworzyły i do pokoju wkroczył legendarny komandor Russell Bennett, główny instruktor dywersji podwodnej, dawny dowódca zespołu SEAL, który przed czterema laty przeprowadził diaboliczny atak na irańskie okręty podwodne w Bandar-e Abbas, weteran wojny w Zatoce Perskiej i członek grupy, która sprawiła, że silnik prezydenckiego jachtu generała Noriegi wyfrunął na trzydzieści metrów w powietrze nad panamskim portem Balboa. „Mina burząca Mark 138 na samym wale”, jak meldował komandor Bennett. Miał teraz trzydzieści osiem lat, ale wciąż był twardszy i sprawniejszy od szkolonych przez siebie ludzi z żelaza. Rusty Bennett, absolwent Akademii Marynarki, prymus kursu dywersji podwodnej podczas swego pierwszego pobytu w Coronado, był synem poławiacza homarów z Maine i wniósł do wybranej profesji związane z tym talenty; był doskonałym nawigatorem i potrafił pływać w lodowatej wodzie, działając w niej równie sprawnie jak na lądzie. Był średniego wzrostu, miał ciemnorude włosy, ciemnoniebieskie oczy, spory, dobrze przyszyżony wąs i ręce jak ze stali. Znał się jak mało kto na materiałach wybuchowych i był jednym z najlepszych alpinistów, jacy kiedykolwiek nosili złoty trójząb. Czy to na drzewo, czy na skałę, czy na gładką stalową burtę okrętu, Rusty zawsze potrafił się wdrapać. Każdy nieprzyjaciel, który zobaczyłby go podczas ataku, prawdopodobnie miałby przed sobą ostatnie sekundy życia. Według kryteriów SEAL był wymarzonym kandydatem na dowódcę plutonu. Jego właśnie John Bergstrom wybrał do poprowadzenia zwiadu na miejscu uwięzienia załogi Seawolfa. Podobnie jak Rick Hunter, Rusty

był wycofany z aktywnej służby po ostatnim zadaniu bojowym. Admirał Morgan jednak wyraźnie

domagał się najlepszych ludzi, a nikt

nie mógł kwestionować, że komandor Bennett jest najlepszy.

Rusty Bennett wyciągnął rękę, by przywitać pułkownika Harta.

–Miło mi pana poznać, pułkowniku. Wiele o panu słyszałem.

–Większość ludzi coś o mnie słyszała – odrzekł z uśmiechem Hart. – Nie zawsze dobrego, niestety.

–Mam lepsze źródła niż większość ludzi, sir. To, co ja słyszałem, było dobre.

Obaj mieli uścisk niczym koparka i John Bergstrom mógłby przysiąc, że podłoga zadrżała, kiedy ci dwaj oficerowie ścisnęli sobie dłonie, aż im kłykcie zbieleły. Jeden drugiemu okazywał, że odtąd są partnerami w niezwykle niebezpiecznym przedsięwzięciu. Nie ma takich uścisków między cywilami.

–Jak pan wie, komandorze, pułkownik Hart został powołany na najwyższym szczeblu do objęcia dowództwa nad tą operacją. Właśnie przyleciał wprost z Białego Domu, gdzie wraz z admirałem Morganem próbowali nadać sprawie szybszy bieg. Niestety, przeszkadza nam drobna kwestia, mianowicie wciąż nie znamy celu.

–Sir, mnie jeszcze w ogóle o niczym nie poinformowano. Powiedziano mi, że pan sam mi wszystko powie, i chyba dlatego tu jestem.

–Oczywiście. Macie przed sobą obaj długi lot, więc pułkownik Hart będzie mógł uzupełnić szczegóły. Najpierw muszę podkreślić wysoki stopień tajności tej akcji. Siadajcie, panowie, to wprowadzę Rusty'ego w temat. Zapewne czytał pan w gazetach o wypadku z naszym okrętem podwodnym Seawolf?

–Tak jest, sir. To ten, co się zepsuł, czy coś w tym rodzaju, i naprawiają go gdzieś w Chinach?

–Ten sam. Tylko że się nie zepsuł, lecz zaplątał śrubę w sonar holowany chińskiego niszczyciela, a te sukinsyny go capnęły i odholowały do Guangzhou.

–Jezu.

–Załoga została aresztowana i przewieziona ostatecznie do więzienia w nieznanym miejscu. Obaj z admirałem Morga-

nem uważamy, że będą torturowani, by zdradzili technologiczne tajemnice okrętu.

–Czy pan ze mnie żartuje? – Rusty był bezgranicznie zdumiony.

–Komandorze, wiemy, jak im zależy na wykradzeniu wszelkich naszych sekretów militarnych, zwłaszcza dotyczących rakiet balistycznych i okrętów podwodnych. Spędzili na tym całe lata, wydając miliony dolarów. A teraz mają w rękach najlepszy nasz okręt i ponad setkę świetnie wykwalifikowanych marynarzy, którzy mogą im pomóc dopracować jego plany. Uważamy, że nie cofną się przed niczym, by wydobyć od nich potrzebne informacje... a to jeszcze nie wszystkie złe wieści.

–Chyba nie mogą być dużo gorsze?

–Są. Zastępcą dowódcy Seawolfa jest Linus Clarke, jedyny syn prezydenta. Bennett świsnął przez zęby.

–Chce pan powiedzieć, że Linus jest w chińskim pudle? – Tak.

–A co my z pułkownikiem mamy w tej sprawie zrobić?

–Krótko mówiąc, wydostać go stamtąd wraz z całą resztą.

–Kto, ja? – spytał komandor Bennett, nieświadomie powtarzając wypowiedź Franka Harta sprzed tygodnia.

–No, niezupełnie sam. Podejmiesz tę operację wspólnie z dowódcą zespołu, komandorem Rickiem Hunterem. Do dyspozycji będziecie mieć najpotężniejsze środki, jakie US Navy kiedykolwiek zaangażowała w zadanie w czasie pokoju. Oddział SEAL będzie liczył w sumie sześćdziesiąt cztery osoby. Zostajesz mianowany dowódcą drużyny zwiadu, która jako pierwsza

wyląduje z jednego z naszych okrętów podwodnych. Postaraj się załatwić to cicho, nie zabijając przy tym zbyt wielu chińskich wartowników, bo jak cię złapią, to wszystko skończone. Komandor Bennett uśmiechnął się, wznosił oczy ku niebu i spytał:

–Czy aby damy sobie radę, pułkowniku? Frank roześmiał się i odrzekł:

–Wątpię. Ale lepiej postarajmy się, jak umiemy, bo ina-237

czniej rozczarujemy prezydenta Stanów Zjednoczonych, a to byłoby bardzo niedobrze. Teraz roześmieli się wszyscy trzej.

–Zwłaszcza że najwyraźniej nie mamy pojęcia, gdzie tego chińskiego pudła szukać – dodał

Rusty. – A w ogóle to zapomniałem powiedzieć, że nie jestem najlepszy w organizacji ucieczek z

więzienia. Czy nie możecie zwerbować Ala Capone albo kogoś z ferajny?

Rozmawiali jeszcze przez godzinę, a Bergstrom co rusz patrzył na telefon z nadzieją, że Morgan zadzwoni i powie: „Znaleźliśmy ich”. Telefon jednak milczał. O piętnastej pułkownik i Foka odeszli, by spakować swój sprzęt, po czym dołączyli do Ricka Huntera, czekającego w samochodzie, by wyruszyć na lotnisko. Byli we trójkę jedynymi ludźmi poinformowanymi o całej grozie zadania; John Bergstrom dawno już zdecydował, że nie należy ryzykować rozprzestrzenienia się po całej bazie w San Diego szokującej prawdy o Seawolfie. Teraz stał przed wejściem do swego biura i żegnał się z odchodzącymi.

–No, dobra, Rusty, Frank... Lećcie do Ricka Huntera i w drogę. Pamiętajcie, że będę myśłami z wami na każdym kroku. Jeśli będziecie czegokolwiek potrzebować... czegokolwiek, powtarzam... macie to jak w banku. No, to z Bogiem...

Reszta oficerów i podoficerów miała być zapoznana z charakterem misji po starcie samolotu, pozostali żołnierze zaś na odprawie po zaokrętowaniu na lotniskowiec.

–Chryste Panie... – mruknął admirał Bergstrom, patrząc za odjeżdżającymi. – To się może przerodzić w jeden wielki, pieprzony koszmar...

Wtorek, 11 lipca 2006 r., godzina 22.00. Więzienie na Xiachuan Dao

Linus Ciarkę został odwiązany od krzesła nad ranem w poniedziałek. Od tamtej pory pozostawiono

go samego. Jeden ze strażników przyniósł mu tylko w południe miskę ryżu i wodę, potem to samo o

dziesiątej wieczorem. Wtorek też upłynął bez żadnych wydarzeń, z takimi samymi marnymi posiłkami

o tych samych porach. Beczka z wodą gdzieś zniknęła, za to w rogu celi postawiono mu wiadro,

którego miał używać jako toalety. Linus zaczął tracić na wadze, a jego ubranie było w okropnym

stanie. Z zarostem nie można w nim było rozpoznać tego eleganckiego ZDO, który zameldował się

na okręcie w Pearl Harbor zaledwie przed trzema tygodniami.

Było nieco po dziesiątej wieczorem, kiedy w celi zapaliło się jaskrawe światło. Wszedł strażnik i

kopnięciem zbudził go z niespokojnego snu. We dwóch z towarzyszem poderwali Linusa z podłogi

i posadzili na krześle, znów przywiązując mu nogi i ręce. Po chwili przyszedł porucznik i

uśmiechając się, obszedł go dookoła, ale nie zadał żadnego pytania. Potem cicho powiedział:

–Chyba przyda się jeszcze trochę perswazji, potem powie nam pan wszystko, co chcemy wiedzieć, prawda, komandorze Lucas?

Linus zebrał resztki silnej woli i nie odezwał się ani słowem.

–Widzi pan, wszyscy inni już nam wszystko powiedzieli. Tylko pan się tak głupio upiera. Linus nie uwierzył. Judd Crocker i Brad Stockton nigdy by się nie poddali. Ale może „Einstein” się załamał? A młodszy oficerowie? Czy ugięli się przed Chińczykami? Już nie wiedział, co myśleć. Porucznik nie zwracał się bezpośrednio do niego, ale wciąż chodził w kółko i jakby rozmyślał na głos, mówił o kimś raczej, niż do kogoś:

–Gdybyś tylko zechciał być rozsądny... miałbyś o tyle łatwiej... interesują nas tylko rutynowe sprawy... głębokości operacyjne, trym przy zanurzaniu... kąty... procedury balastowe... dziedziny, w których jesteś ekspertem, Brusie Lucas. Działanie peryskopu i masztów... Chcemy tylko, byś nam

pomógł nauczyć się obsługiwać taki okręt równie dobrze, jak ty i twoi koledzy.

Linus nic nie odpowiadał. Siedział nieruchomo, patrząc wprost przed siebie. Porucznik podszedł do drzwi i wrócił z ręcznikiem w ręku, który rozpostarł i łagodnym ruchem zarzucił mu na głowę. Amerykanin bał się już przedtem, ale teraz kompletnie się 239

rozsywał, dygocąc nieopanowanie, ledwo powstrzymując się od krzyku, kiedy pierwsza porcja wody polala się na ręcznik. Dwie noce temu myślał, że umiera. Teraz już nie miał wątpliwości. Nie mógł znieść horroru duszenia się po raz drugi. Może skłamać? Powiedzieć im jakieś bzdury. Ale co będzie, jeśli się zorientują? Myśli biegały mu bezładnie, podczas gdy wilgotny ręcznik z wolna oblepiał mu twarz. Linus oddychał z trudem, a serce tłukło mu się w piersi jak oszalałe. Wiedział, że za chwilę przesyje go pierwsza fala bólu, a jednocześnie żywił szaloną nadzieję, że może się rozmyślać, może najpierw zacząć zadawać mu pytania. Był gotów odpowiedzieć na każde z nich, chciał to chińskiemu oficerowi powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle. Coraz trudniej było mu oddychać. Przesiąknięta bawełna lgnęła mu do twarzy. Cze-ał w napięciu na pierwszy cios. Próbował wydać z siebie jakiś głos, dać znak, że się poddaje, jednak udało mu się tylko jęknąć. Pomyślał, że za chwilę znów straci przytomność. Ale nagle ręcznik został zdjęty i Linus zobaczył przed sobą ciemne, skośne oczy drobnego porucznika żandarmerii.

–I co, komandorze, czy teraz ma pan większą ochotę na małą konwersację?

Powietrze wdarło się do pulsujących płuc Linusa Clarke'a. Siedział, chwytając łapczywie oddech za oddechem, a Chińczyk trzymał mokry ręcznik tuż nad jego głową, gotów natychmiast ponownie owinąć mu twarz.

–Tak! Tak! Co tylko chcecie! Tylko zabierz ode mnie ten ręcznik! Daj mi oddychać!

–Oczywiście – odrzekł porucznik. – Potraktujmy to jako drobny przejaw kurtuazji między braćmi oficerami. A teraz sugeruję, abyś się doprowadził do porządku, przebrał w jakieś czyste ubranie, a potem wraz z komandorem Li Zeminem polecicie na małą przejażdżkę śmigłowcem do Guangzhou... jutro z samego rana. Spędzisz przyjemny dzień na rozmowach z naszymi technikami. Oczywiście, jeżeli nie powiesz nam prawdy, przywieziemy cię tu z powrotem i spędzisz ostatnie chwile życia pod tym mokrym ręcznikiem... ale jestem pewien, że pan to dobrze zrozumiał, panie Lucas.

Linus skinął głową wdzięczny, że może oddychać, i już nie

zainteresowany ochroną tajemnic Seawolfa. Gotów był mówić im wszystko przez cały dzień, jeśli tego było trzeba, aby przestali go dusić.

Tymczasem w sąsiedniej celi panowało istne pandemonium. Zaczęło się wieczorem, kiedy do celi, w której zamknięty był kapitan Crocker z Shawnem Pearsonem, Chase'em Utleyem i Jasonem Colsonem, wszedł jeden ze strażników. Bez żadnego zauważalnego powodu powalił nawigatora na podłogę ciosem kolbą karabinu, zapominając, że wprawdzie kapitan ma ręce skute za plecami, ale nogi ma wolne. Judd kopnął go z całej siły w krocze. Chińczyk przewrócił się, kuląc się i wijąc z bólu. Judd, poddając się ogarniającej go furii,

0 mało nie skopał go na śmierć. Trzy minuty później, kiedy nadciągnęły posiłki, pierwszego

ze strażników, który wszedł do celi, powalił w ten sam sposób. Gdyby miał wolne ręce, dzięki potężnej sile wyzwolonej szalem pewnie by pokonał całą ich szóstkę. Nie miał jednak wolnych

rąk, więc oddzielili go od reszty, zaciągnęli do jednej z cel tortur, przywiązali do krzesła i

systematycznie bili. Tylko jeden ze strażników źle ocenił sytuację i był teraz w drodze do szpitala. Masywny, silny Judd Crocker nagle wstał wyprostowany, odrywając oparcie od krzesła. Obrócił się na piętach i pchnął plecami Chińczyka, przewracając go na wznak. Potem sam się na niego przewrócił, a połamane krzesło uderzyło strażnika w twarz, łamiąc mu nos i powodując pęknięcie czaszki. Trzeba było sześciu żandarmów, by pokonać rozwścieczonego dowódcę okrętu, ale teraz przywiązali mu ręce do żelaznych pierścieni wmurowanych w sufit. Stopy mu rozsunięto i też przywiązano do podobnych pierścieni w podłodze. Krew ciekła mu z licznych rozcięć na twarzy i głowie; cały był posiniaczony, a rysy trudno było rozpoznać. Mimo to za każdym uderzeniem wciąż miotał na nich obelgi.

–Odpierdol się, ty żółty skośnooki palancie! Pieprzę cię

1 pieprzę przewodniczącego Mao... żaden z was nie umie porządnie uderzyć. Piep... – I w tym momencie mocarny Judd Crocker zemdlał. Chińczycy odcięli go i zostawili leżącego i krwawiącego na resztę nocy.

W sąsiedniej celi Cy Rothstein był równie obity. Słyszał zamieszanie przez ścianę i domyślił się, że to albo Judd, albo 241

Brad Stockton, i wiedział, że podobnie jak on sam, żaden z tych dwóch nie oprawcom nie powie. Miał rację w obu wypadkach. Szefa okrętu także poddano identycznej torturze, jak zastępcę dowódcy, i Stockton dwukrotnie stracił przytomność. Odgadł jednak trafnie, że nie chcą go zabijać. Kiedy za trzecim razem chiński porucznik pochylił się nad nim, by sprawdzić, czy oddycha, bosman z całej siły rąbnął go głową w nos, prawie mu go łamiąc. Teraz Chińczycy brali odwet. Jak Judd, Brad został przywiązany za nogi i ręce i obrywał potężne lanie. Radził sobie jednak inaczej niż kapitan. Stał po prostu w milczeniu i przyjmował cios za ciosem, aż ostatni – kolbą karabinu w tył głowy – pozbawił go przytomności.

Jak dotąd, komandor Li Zemin pozyskał sobie tylko jednego amerykańskiego pomocnika. Wtorek, 11 lipca 2006 r., godzina 23.00. Na pokładzie samolotu transportowego marynarki wojennej

Samolot wiozący sześćdziesięciu czterech wybranych żołnierzy SEAL sunął ponad bezmiarem Pacyfiku. Piloci rozpoczęli schodzenie do lądowania w Barber's Point, bazie US Navy na wyspie Oahu, nieopodal Pearl Harbor. Galaxy nadlatywał od północnego wschodu ponad rozkołysanym długą martwą falą oceanem, zwrócony nosem w stronę, w którą przed zaledwie dwudziestoma trzema dniami Seawolf płynął z tak elegancką precyzją.

Mieli się tu zatrzymać tylko na godzinę, aby wylądować jakąś część zapasową oraz uzupełnić paliwo przed dalszą długą drogą aż na środek Oceanu Indyjskiego, na wyspę Diego Garcia. Następny przystanek na Okinawie będzie jeszcze krótszy.

Podczas długiego lotu na Hawaje pułkownik Hart poznał jeszcze trzech oficerów, z których dwaj byli porucznikami przydzielonymi do Zespołu Trzeciego w Coronado. Bobby Allensworth, instruktor walki wręcz, porzucił życie drobnego ulicznego złodziejzaka w południowej części centrum Los Angeles i w wieku osiemnastu lat wstąpił do korpusu pie-242

choty morskiej. Był Murzynem, matka wychowywała go sama. Ojca nie miał szansy poznać, nie miał też w ogóle wielu szans w życiu. Marines dali mu jedną, a on uchwycił ją obiema rękami. Pięć lat później dosłużył się oficerskich szlifów, a w wieku dwudziestu dziewięciu lat otrzymał awans na porucznika i błogosławieństwo na drogę do SEALs. Bobby był doskonałym atletą i bokserem o idealnej równowadze. Jego prawy sierpowy o sile młota doprowadził go do finałów Turnieju Złotej Rękawicy. Występował w drużynie marines w wadze piórkowej, ale ani przez chwilę nie pomyślał o zawodowstwie. W duszy był i żołnierzem marines, i Foką, i tak miało być zawsze. Miał tylko metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, ale kiedy przypinano mu złoty trójząb, zdawało mu się, że urósł do trzech metrów. Jeżeli miał jakąś słabość, to było nią niepowstrzymane poczucie humoru. Zawsze był skory do śmiechu, a komandor Hunter mawiał, że powinien zostać komikiem.

Towarzyszem podróży Bobby'ego był inny komik, cięty nowojorczyk z Małej Italii, porucznik Paul Merloni, którego mamma nigdy nie wybaczyła mu zmiany imienia z danego mu na chrzcie Paolo. Paul wstąpił do Annapolis prosto ze szkoły publicznej na Manhattanie i ukończył Akademię jako trzeci student na roku. Służył w stopniu porucznika na krążowniku rakietowym Lake Erie, gdy poprosił o przeniesienie do SEALs. Jego życiowym hobby było dżudo i zdobył czarny pas, zanim jeszcze ukończył dziewiętnaście lat. W formacji był ogólnie lubiany, a Bobby'ego Allenswortha nauczył sztuki walki wręcz. We dwójkę raz roznieśli cały bar w niezapomnianej bójkę po meczu drużyny futbolowej Chargers. Wrócili z niej bez szwanku, jeśli nie liczyć opuchniętej pięści Bobby'ego, której jednym sierpowym znokautował ważącego sto kilkadziesiąt kilogramów ex-obrońcę liniowego. Do obecnej akcji Paul nadawał się szczególnie z jednego powodu: kiedy trenował dżudo na Manhattanie, nauczył się od instruktorów dialektu kantońskiego. Ćwiczył język

przez całe lata i mówił już płynnie, a z pewnością wystarczająco, by leżąc w trawie w pobliżu kompleksu więziennego, zrozumieć większość, jeżeli nie wszystko z tego, o czym będą rozmawiali strażnicy. 243

choty morskiej. Był Murzynem, matka wychowywała go sama. Ojca nie miał szansy poznać, nie miał też w ogóle wielu szans w życiu. Marines dali mu jedną, a on uchwycił ją obiema rękami. Pięć lat później dosłużył się oficerskich szlifów, a w wieku dwudziestu dziewięciu lat otrzymał awans na porucznika i błogosławieństwo na drogę do SEALs. Bobby był doskonałym atletą i bokserem o idealnej równowadze. Jego prawy sierpowy o sile młota doprowadził go do finałów Turnieju Złotej Rękawicy. Występował w drużynie marines w wadze piórkowej, ale ani przez chwilę nie pomyślał o zawodowstwie. W duszy był i żołnierzem marines, i Foką, i tak miało być zawsze. Miał tylko metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, ale kiedy przypinano mu złoty trójząb, zdawało mu się, że urósł do trzech metrów. Jeżeli miał jakąś słabość, to było nią niepowstrzymane poczucie humoru. Zawsze był skory do śmiechu, a komandor Hunter mawiał,

że powinien zostać komikiem.

Towarzyszem podróży Bobby'ego był inny komik, cięty nowojorczyk z Małej Italii, porucznik Paul Merloni, którego matka nigdy nie wybaczyła mu zmiany imienia z danego mu na chrzcie Paolo. Paul wstąpił do Annapolis prosto ze szkoły publicznej na Manhattanie i ukończył Akademię jako trzeci student na roku. Służył w stopniu porucznika na krążowniku rakietowym Lake Erie, gdy poprosił o przeniesienie do SEALs. Jego życiowym hobby było dżudo i zdobył czarny pas, zanim jeszcze ukończył dziewiętnaście lat. W formacji był ogólnie lubiany, a Bobby'ego Allenswortha nauczył sztuki walki wręcz. We dwójkę raz roznieśli cały bar w niezapomnianej bójkę po meczu drużyny futbolowej Chargers. Wrócili z niej bez szwanku, jeśli nie liczyć opuchniętej pięści Bobby'ego, której jednym sierpowym znokautował ważącego sto kilkadziesiąt kilogramów ex-obrońcę liniowego. Do obecnej akcji Paul nadawał się szczególnie z jednego powodu: kiedy trenował dżudo na Manhattanie, nauczył się od instruktorów dialektu kantońskiego. Ćwiczył język przez całe lata i mówił już płynnie, a z pewnością wystarczająco, by leżąc w trawie w pobliżu kompleksu więziennego, zrozumieć większość, jeżeli nie wszystko z tego, o czym będą rozmawiali strażnicy. 243

Trzecim oficerem z Coronado był trzydziestoczteroletni świeżo upieczony komandor podporucznik

Olaf Davidson, który w Kosowie był dowódcą zespołu. Ten ogromny, mierzący sto dziewięćdziesiąt

cztery centymetry potomek norweskich rybaków z Nowej Fundlandii był oficerem SEALs od dziesięciu lat, ale od wojny w Jugosławii nie miał aktywnego statusu. Specjalizował się w łodziach,

właśnie desantowych, oraz w obsłudze SDV. Admirał Bergstrom uważał go za najlepszego w tej

dziedzinie, a skoro było prawie pewne, że drużyna zwiadu będzie musiała dotrzeć na teren wroga

pod wodą poprzez przybrzeżne płycizny, potężnie zbudowany Olaf miał wylądować na plaży w pierwszym rzucie, ramię w ramię z komandorem Rustym Bennettem,

Wśród ostatniej dwudziestki SEALs, która dołączyła w San Diego, znajdowali się dwaj weterani. Jednym z nich był starszy bosman Steve Whipple z Chicago, zawodowy mechanik z marynarki, który zaciągnął się do SEALs po tym, jak przyjęto go na próbę do drużyny futbolowej Bears, ale nie zdał egzaminu. Whipple, wytatuowany twardziel o wzroście metr osiemdziesiąt, był w zespole, który zburzył największą wieżę wiertniczą Saddama podczas wojny w Zatoce Perskiej. Miał wtedy tylko dwadzieścia jeden lat, a od tamtej chwili minęło ich piętnaście. Jako instruktor walki w dżungli szkolił żołnierzy na całym świecie. Według

Bobby'ego Allens-wortha Steve był w zawodach na rękę mistrzem centralnej części wszechświata.

Jego kolega, starszy bosman John McCarthy, też miał doświadczenie bojowe. Cichy, nieśmiały i chudy jak szczapa, pochodził ze stanu Waszyngton i już jako dziesięcioletek uganiał się po najwyższych szczytach Gór Kaskadowych. W SEALs pełnił funkcję instruktora alpinizmu. Był też królem liny z kotwiczką, asem wspinaczki po sznurach i nadwornym zabójcą oddziału. Jeśli trzeba będzie dostać się do więzienia, drapiąc się na jego mury, starszy bosman Mc-Carthy pójdzie przodem, ze swym nożem bojowym zawsze w zasięgu prawej dłoni. Oprócz amerykańskich komandosów marynarki w samolocie znajdowało się trzech Brytyjczyków z SAS, przydzielonych do oddziału na czas tej akcji. Dwaj z nich, sierżant 244

Fred Jones z Dorset i kapral Syd Thomas, trzydziestosześcioletni londyńczyk z East Endu, mieli za sobą operację na tyłach irackiej armii w dziewięćdziesiątym pierwszym roku, kiedy we dwójkę tylko unieszkodliwili dwie wyrzutnie rakiet Scud, a w drodze powrotnej wysadzili w powietrze dwie ciężarówki pełne komandosów z elitarnej gwardii Saddama. Syd w tej chwili do łez rozśmieszał szóstkę Fok opowieściami o swych przygodach na pustyni: „...raz zarżnęliśmy kozę ze stada jakiegoś turbaniarza, specjalnie na niedzielny obiad, a Freddie wziął ją i upiekł w żarze... dopalającej się pieprzonej ciężarówki. Ludzie, to było zupełnie, jakbyś jadł stare sztuczne ognie!” Trzeci z Sasów, Charlie Murphy, był jednym z najmłodszych sierżantów w historii pułku. Służył dawniej w jednostce spadochronowej w Irlandii Północnej, a podczas operacji w Kosowie był dowódcą drużyny walczącej w górach z Serbami. Kiedyś wraz z trzema żołnierzami oczyścili z nich wioskę, niszcząc przy tym trzy jeepy,czołg i dwie ciężarówki. Zostali potem na miejscu, pomagając rannym kosowskim cywilom i odpierając ataki następnych pięćdziesięciu Serbów. Ta operacja była „czarna”, w przeciwnym razie Charlie Murphy zostałby odznaczony Krzyżem Wiktorii, najwyższym orderem wojennym w Wielkiej Brytanii. Oficjalnie jednak ta bitwa nigdy się nie rozegrała.

Siedzący w wielkim, surowym wnętrzu wielkiego galaxi żołnierze nie byli przeciętnymi ludźmi. Lecieli razem przez bezchmurne niebo ku Hawajom z ciężkimi myślami, niewiele mówiąc i próbując sobie wyobrazić, jak wygląda chińskie więzienie wojskowe, które przyjdzie im zdobywać, kiedy w końcu wywiad je odnajdzie. W ładowni samolotu stało mnóstwo skrzyń zawierających wszelaki sprzęt bojowy, jakiego mogli potrzebować podczas operacji uwalniania załogi Seawolfa. Nie zamierzano przy tym brać chińskich jeńców.

Tylko dwunastu komandosów miało wylądować spod wody u celu. Każdy z nich zabrał z sobą własny, robiony na miarę neoprenowy ubiór pletwonurka, czyli tak zwaną „piankę”. Na wszelki wypadek były cztery dodatkowe komplety, ale gdyby nie było potrzeby wzmocnienia drużyny zwiadu, wyznaczeni do tego żołnierze mieli wylądować z głównym 245

oddziałem. Znalazło się tam także szesnaście par wielkich pletw, również robionych dla każdego specjalnie i powiększonych, aby można było szybciej płynąć pod wodą, opatrzonych osobistym numerem słuchacza kursu dywersji podwodnej. Każdy miał po dwie nowoczesne

cywilne sportowe maski, których jaskrawe barwy skrywała czarna, maskująca taśma. Żaden ze zwiadowców nie nosił zegarka, ponieważ odbicie światła od niego mogłoby zaalarmować wartowników. Zamiast tego będą wyposażeni w specjalnie zaprojektowaną „deskę” – niewielką platformę z dwoma uchwytemi, zaopatrzoną w zegar, głębokościomierz i kompas. Płetwonurek może pod wodą trzymać ją przed sobą, mając przed oczyma niezbędne dane o kierunku, czasie i głębokości. Ponieważ cel wciąż nie był znany, nie można wykluczyć, że zwiadowcy będą musieli długo płynąć pod wodą, być może przez nieprzyjacielski port. Dlatego też mieli ze sobą spory zapas aparatów oddechowych marki Drager, które nie zostawiają zdradliwych bąbelków powietrza na powierzchni, jak konwencjonalne akwalungi. Dragery zawierają butlę z około trzystu sześćdziesięcioma litrami tlenu sprężonego do ciśnienia dwudziestu pięciu barów, co wystarcza na cztery godziny pływania. Sekretem urządzenia jest ponowne wykorzystywanie nie zużytego tlenu w wydychanym powietrzu. Na lądzie aparat Dragera waży szesnaście kilogramów, w wodzie praktycznie nic.

Podstawową bronią wybraną do akcji był wyborowy niemiecki pistolet maszynowy HecklerKoch MP-5, niewielki, nieoceniony w walce z bliska i o idealnej celności do dwudziestu pięciu metrów, najlepszy przyjaciel każdego z Fok. W ładowni galaxi znalazło się ich sześćdziesiąt. Dodatkowo każdy żołnierz miał przy sobie w mocowanej paskami kaburze z dwoma zapasowymi magazynkami o pojemności piętnastu sztuk amunicji standardowe pistolety automatyczne Sig Sauer kalibru 9 milimetrów.

Główna grupa uderzeniowa miała zabrać do boju cztery karabiny maszynowe M-60 E3, zwane lekkimi, choć w stanie gotowym do strzału, z dwiema taśmami po sto naboju, ważyły po trzynaście i pół kilograma. Wystarczało to na dwie minuty ognia ciągłego. Obsługują tę broń pojedynczy

kaemiści, 246

z których dwóch miało wyruszyć z drużyną zwiadu na wypadek niespodziewanego kontrataku ze strony oddziału strzegącego więzienia.

Jedna ze skrzyń zawierała osiem starannie zwiniętych lin z kotwiczkami, dla ułatwienia wspinaczki zaopatrzonych w węzły, a także dwanaście silnych noktowizorów. W lekkich kartonowych pojemnikach z uchwytemi leżało osiem aluminiowych drabin o długości od czterech do sześciu metrów wraz z ośmioma przedłużeniami, pomalowanych czarną matową farbą. Były lekkie i łatwe do przeniesienia przez dwie osoby nawet w trudnym terenie. Decyzja, czy użyć drabin, czy lin, zapadnie po rozpoznaniu celu przez zwiadowców Rusty'ego Bennetta.

Specjalnie przystosowane pojemniki mieściły zapas materiałów wybuchowych, wśród których było sześć min magnetycznych – na wypadek, gdyby zaszła potrzeba zatopienia kilku kutrów patrolowych. Miny te wyposażone są w uprzęż dla pływaka i zapalniki czasowe. Kilka takich strategicznie rozmieszczonych drobnych „diabełków” może „przebrać grzbiet” lotniskowcowi. Było tam też dwanaście min burzących Mark 138, prostych chlebaków z dwudziestoma kilogramami ładunku wybuchowego i standardową nieelektryczną spłonką M-7

na końcu lontu. Gdyby położyć tę niewinnie wyglądającą torbę pod domem jednorodzinny o sporej kubaturze, po chwili pozostałaby po nim tylko kupa gruzu.

Ulubionym przez ludzi z SEALs środkiem do rozwalania wszelkich obiektów w drobiazgi jest plastyczny materiał zwany C-4. Wygląda jak biała plastelina i można go tak samo dowolnie kształtować. C-4 może być detonowany za pomocą zwykłego lontu prochowego M-700, palącego się z prędkością pół metra na sekundę. Można go naciąć na końcu i podpalić zapalką, ale Foki nie cierpią używać światła nocą i wolą w tym celu posługiwać się zapalarką M-60, małym plastikowym gadżetem z iglicą na sprężynie, jak w dubeltówce. Jedynym odgłosem przy podpalaniu nim lontu jest cichy stuk, po którym zaraz słyszy się syk płonącego prochu i jest to świetny moment, by brać nogi za pas i zwiewać gdzie pieprz rośnie. W ładowni galaxy było wiele C-4 i wiele zwojów lontu. Oprócz tego były tam czterdziestopięciometrowe 247

I

szpule ładunku kablowego, dobrze znanego siłom specjalnym całego świata. Wygląda on jak zwykły lont, jest tylko nieco grubszy, ma średnicę około sześciu milimetrów i zamiast palić się z prędkością pół metra na sekundę, wybucha z prędkością mniej więcej ośmiu kilometrów na sekundę, jako że jest wypełniony diabelsko silnym materiałem wybuchowym zwanym PETN. Foki go uwielbiają, ponieważ daje się on owinąć wokół wszelkich przedmiotów i można łączyć ze sobą różne jego odcinki, które wybuchają potem równocześnie.

Poza takim typowo wojennym towarem samolot wiozł skrzynki materiałów opatrunkowych, kodeiny, morfiny, opatrunków osobistych i medykamentów. Był tam i środek odstraszający owady, tabletki do dezynfekcji wody, roztwory soli kwasu mlekowego, zestawy dożylnie, prześcieradła. Chłopcy z SEALs jeszcze nigdy nie pozostawili ранnego kolegi na pewną śmierć. Jeśli rana jest ciężka, opatrują go i unoszą, nie zważając na nic. Schwytani w pułapkę, okopują się i walczą, dopóki nikt nie pozostanie żywy, choć zazwyczaj dotyczy to wrogów.

Był tam też sprzęt łącznościowy, między innymi nadajnik satelitarny wysyłający krótkie, dwusekundowe kodowane sygnały zwane „wrzaskami”, trzy dość ciężkie standardowe radiostacje przenośne o zasięgu wystarczającym, by połączyć się z czekającym z dala od brzegów lotniskowcem, ale rzadko ich używano poza sytuacjami ostatecznego, śmiertelnego zagrożenia, ponieważ łatwo je było przechwycić i namierzyć. Jedna ze skrzynek zawierała dwadzieścia najnowszego typu miniaturowych odbiorników nawigacyjnych GPS, które z pewnością mogą się przydać w nie znanym dotąd terenie wokół więzienia.

Drużyna zwiadowcza miała do swej dyspozycji siatki maskujące, pod którymi się ukryją na czas

prowadzenia obserwacji, saperki do okopywania się i zagrzebywania odpadów oraz maczety, by

móc przedzierać się przez zarośla tropikalnej dżungli. Były dla nich oczywiście i nieprzemakalne

pałatki, a także dwa laptopy do zapisywania ruchów chińskiej straży.

Kiedy samolot wylądował na Hawajach, żaden z żołnierzy nie opuścił ładowni. Uzupełnienie

paliwa przebiegło szybko

i galaxie o północy znów był w powietrzu, sunąc na zachód na pułapie siedmiu i pół tysiąca metrów

ponad pustaciami środkowego Pacyfiku, mijając cofające się strefy czasowe, śpiącym pasażerom w

drodze na Okinawę zapewniające nieustanną noc. Kiedy wylądują, powinna być godzina dziewiąta

rano w środę dwunastego lipca; ale oczywiście tak nie będzie. Będzie godzina dziewiąta plus szesnaście godzin, czyli dokładnie pierwsza nad ranem następnego dnia, w czwartek trzynastego

lipca. Sprawę dodatkowo komplikuje fakt, że w tej samej chwili w Waszyngtonie będzie środowe

południe.

Środa, 12 lipca 2006 r., godzina 12.00. Biuro admirała Morgana, Biały Dom

–Ja tego za cholere nie rozumiem! – Arnold Morgan kipiał z wściekłości. – Tam, w stratosferze,

lata kupa sprzętu za miliardy dolarów, rzekomo zdolnego odczytać pieprzony tytuł w „Washington

Post”, a nie może on znaleźć ponad setki pieprzonych marynarzy włóczących się po jakiejś

cholernej plaży na Morzu Południowochińskim – perorował, chodząc gniewnie po swym biurze.

Zatrzymał się pod portretem generała Pattona. – Niech mnie diabli. Tak, tak, możesz robić taką

zatroskaną minę, George. Sprzętem za pieprzone miliardy dolarów zarządzają krety. – Potoczył

wzrokiem po pustym pomieszczeniu. – A kto jest głównym pieprzonym kretynem? Przewodnikiem

cholernej stada, największym z kretynów? George Dupek Morris, oto kto. Admirał George

Morris, dowódca stada kretynów w Kretynowie.

Doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego wychodził z siebie z niepokoju. Od trzech dni amerykańskie satelity obfotografowały wybrzeża południowych Chin w poszukiwaniu choćby najdrobniejszej przesłanki mogącej świadczyć o miejscu pobytu załogi Seawolfa. Nie było jednak nic do odkrycia. Żadnego znaku, że większa grupa ludzi znalazła się tam, gdzie przedtem nikogo nie było, ani śladu wzmożonej aktywności wojskowej, ani jednego przypadku odchylenia od normy. Gdyby Arnold Morgan mógł, kręciłby Ziemią jeszcze szybciej, by zapewnić satelitom do-249 0

datkowe okrążenia. Z każdą upijającą godziną jego frustracja narastała. Osobiście zatwierdził wydatki milionów dolarów na wysłanie jednego z najlepszych i największych zespołów sił specjalnych w historii czasu pokoju. Wiedział, że właśnie podchodzą do lądowania na Okinawie, by potem przelecieć na pokład płynącego teraz o sześćdziesiąt mil na zachód od wyspy Ronalda Reagana, otoczonego przez okręty eskorty. Wyrwał z londyńskiej ambasady pułkownika Harta, by objął komendę nad operacją. Wydał Bóg wie ile pieniędzy na przeprowadzkę jego rodziny do Waszyngtonu. Narobił obietnic prezydentowi Stanów Zjednoczonych. I po tym wszystkim nie mógł zameldować choćby o porażce akcji, bo nawet nie wiedział, gdzie szukać pieprzonego celu!

–Chryste Panie, co ja takiego zrobiłem, by zasłużyć na takie gówno? Piękna jak pogodny poranek Kathy O'Brien wsunęła się do gabinetu i zapytała:

–Kochanie, czy ja się mylę, czy ty za chwilę cały się pokryjesz pianą z ust?

–Piękne dzięki za współczucie. Czy mogę dostać filiżankę kawy?

–Może zjadłbyś jakąś sałatkę? Siedzisz tu od czwartej rano.

–Chcesz powiedzieć, że na dobitkę mam udawać cholernego królika?

–Dam ci do niej sos winegret. Króliki jedzą czystą.

–Mięsa, kobieto! – ryknął, sam się śmiejąc ze swego kiepskiego naśladownictwa Henryka VIII. – Przynieś mi befsztyk, cieniutkie, krwiste plasterki pokrojone przez mego miecznika, włożone między dwie solidne kromki żytniego chleba ze sporą łyżką majonezu pośrodku. I z musztardą.

–Nie będziesz jadł wołowiny. Za dużo jej pochłaniasz. Możesz dostać tuńczyka, kurczaka mórz.

–Nie chcę tuńczyka! – krzyknął, wciąż się śmiejąc. – Nienawidzę kurczaków mórz. Chcę pieczeń wołową lądów. Z majonezem i musztardą.

–Nie ma mowy.

Admirał ruszył ku oknu, popatrzył na zieleń trawnika, wznosił ręce do nieba i rzekł z patosem:

–Pani O'Brien, to, że cię kocham niezmiennie i do zgonu, nie oznacza, że masz prawo pozbawiać mnie należnej mi skromnej części wyrafinowanych przyjemności życiowych.

–Do wyrafinowanych przyjemności życiowych nie zaliczają się ociekające majonezem kanapki z wołową pieczeńią, pożerane siedemnaście razy w tygodniu.

–Piętnaście – poprawił ją. – Gdzie jest ten George, Kathy? Gdzie ten kretyński admirał, który powinien przynieść mi dobre wieści z bitew na dalekim, egzotycznym morzu?

–Przyznam, że nie umiem na to pytanie odpowiedzieć.

W tej chwili zadzwonił telefon. Kathy obróciła się w zgrabnym piruecie i podniosła pastelowozieloną słuchawkę. Morgan burknął spod okna:

–Mogę rozmawiać wyłącznie z prezydentem. Jestem w zbyt głębokiej depresji, by słuchać kogokolwiek innego. Poza tym nie ma mnie, mam przerwę na lunch i nawet ona zamienia się w jakieś piekło...

–Biuro admirała Morgana, słucham?... Mogę spytać, kto dzwoni? – Zasłoniwszy mikrofon dłonią, rzekła: – Arnold, to do ciebie. Lepiej odbierz.

–Czy to prezydent? Jeśli nie, oficjalnie jestem na obiedzie. Żadnych telefonów.

–Nie, to nie prezydent. To admirał Morris.

–Co?! – Morgan przyskoczył do biurka i schwycił słuchawkę. – George?! Rozmówca'po drugiej stronie mówił zwięźle i rzeczowo.

–Arnold, myślę, że ich znaleźliśmy. Mam zdjęcia. Helikopter już czeka, jadę do ciebie. Do zobaczenia za dwadzieścia minut.

Arnold Morgan o mało nie umarł ze szczęścia. Podskoczył kilka razy na prawej nodze i wykonał ów charakterystyczny amerykański gest, ściągając w dół wyprostowaną prawą rękę, jakby ciągnął za uchwyt klaksonu wielkiej ciężarówki: „Yes!!!”

–George! – wykrzyknął w przestrzeń. – George Morris. Na pierwszy rzut oka nie sprawia

wrażenia szczególnie bystrego, ale jest uważny, dokładny i nic nie uchodzi jego uwagi. Jakim ja się

wykazałem przebłyskiem geniuszu, mianując go na moje miejsce! Geniusz, powiadam.

–Zdawało mi się, że przed chwilą nazwałeś go kretyńcem – przypomniała Kathy, tanecznym krokiem wychodząc z gabinetu, by zamówić dla niego kanapkę z tuńczykiem i kawę dla dwóch. Następne dwadzieścia minut wlokło się nie do wytrzymania. Morgan zupełnie stracił apetyt i nie ruszywszy nawet kawy, wyszedł na zewnątrz, by na lądowisku oczekiwać na przylot śmigłowca z Fort Meade. Wypatrzył go z daleka. Maszyna zatoczyła krąg nad Białym Domem, podczas gdy pilot porozumiewał się z centralą kontroli powietrznej, jak zawsze obsadzoną przez marines, i wreszcie wylądował z hukiem silnika na betonowym kwadracie. Wartownik podszedł sprężyście, by otworzyć drzwi, i po chwili admirał Morris już wysiadał niezgrabnie ze śmigłowca, ściskając neseser i dwa skoroszyty; z jednego z nich wystawała zwisająca mu przez rękę mapa morska.

–Cześć, George – powitał go Morgan. – I co, mamy ich?

–Tak myślę, sir. A jeśli nie ich, to mamy coś jeszcze większego.

–Nie ma nic większego.

Obaj mężczyźni pospieszyli do zachodniego skrzydła, gdzie jeden z agentów Secret Service zaczął wypisywać gościowi przepustkę. Po trzech sekundach Morgan rzucił gniewnie:

–Nie mamy czasu na takie zawracanie głowy Wypisz tę przepustkę i przynieś mi ją do biura.

Jak ci się to nie podoba, możesz biec do Gabinetu Ovalnego i powiedzieć prezydentowi – po czym pociągnął za sobą Morrisa na korytarz, nie czekając nawet na potulne „Tak jest, sir” agenta.

W gabinecie Morgana Kathy czekała z kawą. George Morris otworzył skoroszyt i ułożył na biurku

rzęd dużych fotografii.

–Okay, sir. Może opowiem wszystko chronologicznie, to będzie pan wiedział tyle samo co my. To jest zdjęcie zrobione przed trzema tygodniami, jeden z naszych punktów odniesienia.

Przedstawia dwie wyspy odległe o osiemdziesiąt mil od delty Rzeki Perłowej. Miejsce jest prawdopodobnie nie zamieszkane. Jak pan widzi, nie ma tam prawie nic, wyjąwszy zespół przypuszczalnie opuszczonych budynków na północy. No więc posadziłem nad tym człowieka i kazałem porównać

m

–Zdawało mi się, że przed chwilą nazwałeś go kretyńcem – przypomniała Kathy, tanecznym krokiem wychodząc z gabinetu, by zamówić dla niego kanapkę z tuńczykiem i kawę dla dwóch. Następne dwadzieścia minut wlokło się nie do wytrzymania. Morgan zupełnie stracił apetyt i nie ruszywszy nawet kawy, wyszedł na zewnątrz, by na lądowisku oczekiwać na przylot śmigłowca z Fort Meade. Wypatrzył go z daleka. Maszyna zatoczyła krąg nad Białym Domem, podczas gdy pilot porozumiewał się z centralą kontroli powietrznej, jak zawsze obsadzoną przez marines, i wreszcie wylądował z hukiem silnika na betonowym kwadracie. Wartownik podszedł sprężyście, by otworzyć drzwi, i po chwili admirał Morris już wysiadał niezgrabnie ze śmigłowca, ściskając neseser i dwa skoroszyty; z jednego z nich wystawała zwisająca mu przez rękę mapa morska.

–Cześć, George – powitał go Morgan. – I co, mamy ich?

–Tak myślę, sir. A jeśli nie ich, to mamy coś'jeszcze większego.

–Nie ma nic większego.

Obaj mężczyźni pospieszyli do zachodniego skrzydła, gdzie jeden z agentów Secret Service zaczął wypisywać gościowi przepustkę. Po trzech sekundach Morgan rzucił gniewnie:

–Nie mamy czasu na takie zawracanie głowy. Wypisz tę przepustkę i przynieś mi ją do biura.

Jak ci się to nie podoba, możesz biec do Gabinetu Ovalnego i powiedzieć prezydentowi – po czym

pociągnął za sobą Morrisa na korytarz, nie czekając nawet na potulne „Tak jest, sir” agenta.

W gabinecie Morgana Kathy czekała z kawą. George Morris otworzył skoroszyt i ułożył na biurku rząd dużych fotografii.

–Okay, sir. Może opowiem wszystko chronologicznie, to będzie pan wiedział tyle samo co my. To jest zdjęcie zrobione przed trzema tygodniami, jeden z naszych punktów odniesienia.

Przedstawia dwie wyspy odległe o osiemdziesiąt mil od delty Rzeki Perłowej. Miejsce jest prawdopodobnie nie zamieszkane. Jak pan widzi, nie ma tam prawie nic, wyjąwszy zespół przypuszczalnie opuszczonych budynków na północy. No więc posadziłem nad tym człowieka i kazałem porównać

–Zdawało mi się, że przed chwilą nazwałeś go kretyńcem – przypomniała Kathy, tanecznym krokiem wychodząc z gabinetu, by zamówić dla niego kanapkę z tuńczykiem i kawę dla dwóch. Następne dwadzieścia minut wlokło się nie do wytrzymania. Morgan zupełnie stracił apetyt i nie ruszywszy nawet kawy, wyszedł na zewnątrz, by na lądowisku oczekiwać na przyłot śmigłowca z Fort Meade. Wypatrzył go z daleka. Maszyna zatoczyła krąg nad Białym Domem, podczas gdy pilot porozumiewał się z centralą kontroli powietrznej, jak zawsze obsadzoną przez marines, i wreszcie wylądował z hukiem silnika na betonowym kwadracie. Wartownik podszedł sprężyście, by otworzyć drzwi, i po chwili admirał Morris już wysiadał niezgrabnie ze śmigłowca, ściskając neseser i dwa skoroszyty; z jednego z nich wystawała zwisająca mu przez rękę mapa morska.

–Cześć, George – powitał go Morgan. – I co, mamy ich?

–Tak myślę, sir. A jeśli nie ich, to mamy coś' jeszcze większego.

–Nie ma nic większego.

Obaj mężczyźni pospieszyli do zachodniego skrzydła, gdzie jeden z agentów Secret Service zaczął wypisywać gościowi przepustkę. Po trzech sekundach Morgan rzucił gniewnie:

–Nie mamy czasu na takie zawracanie głowy. Wypisz tę przepustkę i przynieś mi ją do biura.

Jak ci się to nie podoba, możesz biec do Gabinetu Ovalnego i powiedzieć prezydentowi – po czym

pociągnął za sobą Morrisa na korytarz, nie czekając nawet na potulne „Tak jest, sir” agenta.

W gabinecie Morgana Kathy czekała z kawą. George Morris otworzył skoroszyt i ułożył na biurku rząd dużych fotografii.

–Okay, sir. Może opowiem wszystko chronologicznie, to będzie pan wiedział tyle samo co my. To jest zdjęcie zrobione przed trzema tygodniami, jeden z naszych punktów odniesienia.

Przedstawia dwie wyspy odległe o osiemdziesiąt mil od delty Rzeki Perłowej. Miejsce jest prawdopodobnie nie zamieszkane. Jak pan widzi, nie ma tam prawie nic, wyjąwszy zespół przypuszczalnie opuszczonych budynków na północy. No więc posadziłem nad tym człowieka i kazałem porównać

–Zdawało mi się, że przed chwilą nazwałeś go kretyńcem – przypomniała Kathy, tanecznym krokiem wychodząc z gabinetu, by zamówić dla niego kanapkę z tuńczykiem i kawę dla dwóch. Następne dwadzieścia minut wlokło się nie do wytrzymania. Morgan zupełnie stracił apetyt i nie ruszywszy nawet kawy, wyszedł na zewnątrz, by na lądowisku oczekiwać na przylot śmigłowca z Fort Meade. Wypatrzył go z daleka. Maszyna zatoczyła krąg nad Białym Domem, podczas gdy pilot porozumiewał się z centralą kontroli powietrznej, jak zawsze obsadzoną przez marines, i wreszcie wylądował z hukiem silnika na betonowym kwadracie. Wartownik podszedł sprężyście, by otworzyć drzwi, i po chwili admirał Morris już wysiadał niezgrabnie ze śmigłowca, ściskając neseser i dwa skoroszyty; z jednego z nich wystawała zwisająca mu przez rękę mapa morska.

–Cześć, George – powitał go Morgan. – I co, mamy ich?

–Tak myślę, sir. A jeśli nie ich, to mamy coś jeszcze większego.

–Nie ma nic większego.

Obaj mężczyźni pospieszyli do zachodniego skrzydła, gdzie jeden z agentów Secret Service zaczął wypisywać gościowi przepustkę. Po trzech sekundach Morgan rzucił gniewnie:

–Nie mamy czasu na takie zawracanie głowy. Wypisz tę przepustkę i przynieś mi ją do biura.

Jak ci się to nie podoba, możesz biec do Gabinetu Ovalnego i powiedzieć prezydentowi – po czym

pociągnął za sobą Morrisa na korytarz, nie czekając nawet na potulne „Tak jest, sir” agenta.

W gabinecie Morgana Kathy czekała z kawą. George Morris otworzył skoroszyt i ułożył na biurku rząd dużych fotografii.

–Okay, sir. Może opowiem wszystko chronologicznie, to będzie pan wiedział tyle samo co my. To jest zdjęcie zrobione przed trzema tygodniami, jeden z naszych punktów odniesienia.

Przedstawia dwie wyspy odległe o osiemdziesiąt mil od delty Rzeki Perłowej. Miejsce jest prawdopodobnie nie zamieszkane. Jak pan widzi, nie ma tam prawie nic, wyjąwszy zespół przypuszczalnie opuszczonych budynków na północy. No więc posadziłem nad tym człowieka i kazałem porównać

stare zdjęcia z ostatnich pięciu lat. Na żadnym nie było tam nikogo. Oczywiście inni moi ludzie

przeszukiwali w podobny sposób inne punkty wybrzeża, ale właśnie tu natrafiliśmy na to coś. W przeszłości fotografowaliśmy ten odcinek nieregularnie, ale zgodnie z pańskimi rozkazami z ostatniego weekendu zwiększyliśmy intensywność obserwacji chińskiego wybrzeża w odległości po osiemdziesiąt mil po obu stronach delty. Ta wyspa nazywa się Xiachuan i szczerze mówiąc, jest na samej granicy zakresu, który nam pan podał. Zrobiliśmy jednak powiększenia, do których zaraz przejdę...

Morgan wziął pierwsze dwa zdjęcia i przyglądał się im uważnie przez chwilę, po czym przeszedł do następnego.

–Proszę spojrzeć na to – kontynuował Morris. – Widzi pan różnicę? O, tutaj...

–Gdzie?

–Ta biała plamka niedaleko budynku.

–Za mała, George. Podaj mi lupę. – Spojrzał przez podane szkło na wskazane miejsce i zakrzyknął: – Niech mnie diabli! To śmigłowiec!

–Właśnie. I jeszcze jedna biała plamka na wodzie.

–Okręt wojenny.

–Tak. A teraz następne zdjęcie. Okrętu już nie ma, ale tu go widać znowu, jak płynie w kierunku Guangzhou. Potem zrobiliśmy kolejne zdjęcie po czterech godzinach... i okręt znów jest. Morgan skinął głową.

–I zadaliście sobie pytanie, co u diabła znaczy ta nagła aktywność militarna na bezludnej chińskiej wysepce.

–Tak jest. Powiększyliśmy więc fotografie, wydobywając każdy szczegół. Proszę spojrzeć. Te stare budynki to więzienie. O, tu są wieże strażnicze. I nagle pojawił się pęk anten radiowych, a okręt znów przyplłynął. Wygląda na to, że wychodzi na czterogodzinne patrole i wraca. Tu mamy sekwencję zdjęć robionych w takich właśnie odstępach... a tu powiększenia. Zidentyfikowaliśmy go jako szybki kuter pościgowy typu Huangfen, chyba dwustutonowy, i jak pamiętam, uzbrojony w rosyjskie działka.

–George, to zaczyna nabierać sensu. Czuję to.

–Tak, sir. Ale nie skończyłem. Teraz proszę popatrzeć 253

tutaj. To zdjęcia dziedzińca więziennego. Są na nim ludzie, całkiem duża grupa... chyba z dwunastu. Tu widać ich na kolorowym zdjęciu. Mają pełne umundurowanie, granatowe, czyli marynarka wojenna, i broń długą. Ci faceci są na służbie. Na pustej dotąd wyspie, razem ze śmigłowcem, nowymi urządzeniami łącznościowymi i okrętem patrolowym, w obszarze, który

wytczyliście na podstawie analizy drogi tego sfotografowanego w niedzielę. Znaleźliśmy ich, sir. Bez dwóch zdań.

–Tak, George. Jeśli nie pilnują tam naszych więźniów, to pilnują kogoś innego. Ale kluczem do zagadki jest ten zestaw zdjęć: w czwartek nie ma nic, ani anten, ani śmigłowca, ani okrętu. W sobotę nocą, na tych zdjęciach w podczerwieni, jest już wszystko. Tamtej nocy prom odpłynął z Kantonu z naszymi ludźmi, przybywając tu w niedzielę rano, a na następnym zdjęciu mamy tuzin wartowników.

–I tutaj, sir... na tej fotografii zrobionej nad ranem w poniedziałek widać, że reflektory na wieżach są włączone i omiatają cały dziedziniec.

–Na Boga, George, masz rację! Mamy ich.

Admirał Morris zebrał fotografie, zostawiając kilka Morganowi i pożegnał się, wracając, jak powiedział, „do fabryki”.

Doradca prezydenta włączył komputer i otworzył na dużym ściennym ekranie mapę ukazującą cały obszar wokół delty Rzeki Perłowej. Chciał pomyśleć spokojnie, zanim zadzwoni do admirała Bergstroma, i potrzebował szczegółowego obrazu maleńkiej wyspy, którą będą musieli zaatakować ludzie z SEALs. Zawołał Kathy, prosząc, by przyniosła swój notes i zapisywała jego głośne myśli.

–Okay. Wyspa nazywa się Xiachuan. Jest długa na dziesięć kilometrów, w najszerszym miejscu mierzy niecałe pięć, i rozciąga się z południowego zachodu na północny wschód. Leży na

płytkim akwenu o jakieś cztery mile od dwukrotnie większej wyspy Shangchuan.
Współrzędne

odniesienia: dwadzieścia jeden czterdzieści północnej i sto dwanaście trzydzieści pięć wschodniej.

Więżenie jest usytuowane na północno-wschodnim krańcu wyspy, prawie na samym końcu. Na mapie widać dużą górę na południu, wysoką na czterysta metrów, o nazwie Guanyin. Inny szczyt,

czterysta osiemdzie-

siat metrów, góruje nad całą północną częścią wyspy. Na jej południowo-wschodnim krańcu jest długi i płaski półwysep, wysunięty daleko w morze. Zachodnia część to podłużna, bagnista równina, więc tam na pewno nie będziemy lądować. Jedyne głęboka woda blisko brzegu znajduje się w cieśninie między obiema wyspami. Tamtędy musiał przypłynąć prom, a także kuter patrolowy. Głębokość wynosi tam chyba około sześciu do siedmiu metrów. To znaczy, że trzeba będzie podpłynąć od południa, a wycofywać się na wschód z użyciem pontonów... powiedzmy, czterech. Na podejściu od strony morza mapa pokazuje głębokość trzynastu metrów przy półwyspie. Wzdłuż południka sto dwanaście trzydzieści mamy łagodnie schodzący szelf, który

ciągnie się przez sześć mil, po czym schodzi do dwudziestu paru metrów. Następne trzy mile jest do izobaty trzydziestometrowej, a do pięćdziesięcio-metrowej ciągnie się aż przez kolejne dwanaście mil. Jak na potrzeby podwodniaków to jest to pieprzone bajoro... przepraszam cię, Kathy, myślałem, że jesteś Johnem Bergstromem. Kathy zachichotała cicho, patrząc z czułością na swego stalowookiego tyrana.

–Żeby znaleźć naprawdę porządną wodę, powiedzmy, z sześćdziesiąt metrów, trzeba się trzymać o sześćdziesiąt mil od wyspy, co oznacza, że do podjęcia wracających ludzi okręt będzie musiał podejść w wynurzeniu. No, ale do tego czasu cała chińska marynarka będzie całkowicie zaabsorbowana katastrofą nuklearną w swoim własnym porcie. W razie jakichś problemów z tym patrolowcem, po prostu sukinsyna zatopimy, nie?

–Tak – potwierdziła Kathy.

–No, dobra, aniele. Wydrukuj mi to pięknie, proszę... i połącz mnie z Johnem Bergstromem na bezpiecznej.

Wpatrywał się nadal w mapę, usiłując sobie wyobrazić rodzaj terenu, po którym będzie się musiał poruszać zespół SEALs. Ponieważ wyspa była od tak dawna nie zamieszкана, Morgan przypuszczał, że trafią na pierwotny las zdominowany przez wysokie drzewa, tworzące na ziemi strefę cienia, co hamuje rozrost poszycia. To dobrze. Jeszcze jedną dobrą wiadomością było to, że dno morskie wyglądało raczej na piaszczyste niż skaliste. Gdyby dowódca okrętu podwodnego 255

chciał podjąć pewne ryzyko, skradając się po ciemku przez płyciznę w jak największym zanurzeniu, to nie zrobi sobie nic gorszego od zdrapania kilku porastających kadłub muszli. Zadzwoił telefon. Morgan podniósł słuchawkę i usłyszał, jak ktoś mówi:

–Chwileczkę. Admirał Bergstrom już podchodzi. I za chwilę:

–Arnie? No i jakie masz wieści?

–Znaleźliśmy ich, John. To wyspa, podam ci współrzędne. Poczyniłem już pierwsze spostrzeżenia, Kathy właśnie je drukuje. Dostaniesz wszystko z satelity za dziesięć minut. George ma sporo dobrych zdjęć. Powinieneś je otrzymać e-mailem za pół godziny. '

–Doskonale. Chłopaki już wylądowali. Tam jest około pierwszej nad ranem w czwartek. Powinni zameldować się na Reaganie o czwartej. Masz już jakieś przybliżenie czasu akcji?

–Czy okręt podwodny jest gotowy?

–Tak jest. Czeka w pogotowiu. Ostatni meldunek mówi, że trzyma się o pięć mil przed dziobem lotniskowca. SDV czeka gotowy w suchym doku na pokładzie.

–Według mojej mapy, John, ma do przebycia dziewięćset pięćdziesiąt mil. To znaczy, że jeśli wyruszą zaraz, będą na miejscu, powiedzmy o sześćdziesiąt mil na południe od wyspy, na w miarę głębokiej wodzie, w piątek po południu. Wylądują, gdy tylko się ściemni, i musimy ich zabrać z powrotem do drugiej rano w niedzielę. Operacja „Nocny sokół” rozpocznie się w niedzielę w nocy. Trochę zbyt napięty rozkład, ale cóż zrobić. Teraz albo nigdy.

–Załatwione, sir. Zadzwoń za godzinę. Mam tu Franka Harta na drugiej linii z Okinawy... jesteście gotowi.

Admirał Morgan uśmiechnął się ponuro, podniósł pastelowo-wozieloną słuchawkę i nacisnął klawisz łączący z gabinetem prezydenta.

–Witam, panno Jane. Mówi Arnold Morgan. Bądź tak miła i powiedz prezydentowi, żeby zaraz przerwał na dziesięć minut cokolwiek tam, u diabła, robi i zameldował się w moim biurze z największym pośpiechem i dyskrecją.

Panna Jane się roześmiała, mimo iż zapewne był to pierw-256

szy w historii Białego Domu przypadek, by ktoś wydał tak arogancki rozkaz urzędującemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Przekazała wiadomość głowie państwa słowo w słowo. Clarke też się roześmiał, przeprosił Harcourta Tra-visa i ambasadora Izraela, z którymi właśnie rozmawiał, i z największym pośpiechem i dyskrecją udał się do biura swego doradcy.

–Cześć, Arnie. I jak wyglądamy?

–Sir, wyglądamy tak dobrze, jak tylko można w takich okolicznościach wyglądać.

–Znaleźliśmy ich?

–Ano, znaleźliśmy.

–I jest szansa na ratunek?

–Ratunek jest w drodze, panie prezydencie. Proszę usiąść, wszystko panu opowiem. Kiedy w dwadzieścia minut później prezydent Clarke wracał do swego gabinetu, nie odczuwał już, że katastrofa w Guangzhou spoczywa tylko na jego barkach. W tej chwili dzielił to brzemie z wieloma porządnymi ludźmi i czuł też, że wreszcie jest realna szansa na bezpieczny powrót Linusa do domu. Przedtem takiego poczucia nie miał.

Czwartek, 13 lipca 2006 r., godzina 3.30. Pas startowy bazy marynarki wojennej na Okinawie

Z mroku po raz trzeci tej nocy nadleciał wielki śmigłowiec sea stallion, zawisając na chwilę, a potem miękko lądując na pasie startowym, z którego niedawno odleciał w dalszą drogę galaxy. Na

lewo stali owiewani ciepłą bryzą znad oceanu komandor Hunter, starszy bosman John McCarthy i

kilku innych żołnierzy, którzy nadzorowali załadunek góry sprzętu i czterdziestu kilku kolegów, już

znajdujących się na lotniskowcu.

Pułkownik Hart pracował wraz z Rustym Bennettem i paroma Fokami przy urządzeniu stanowiska

dowodzenia wysoko w nadbudówce okrętu. Pomieszczenie przydzielono im świetne, ponieważ

admirał Art Barry, dowódca zespołu lotniskowca, zdecydował, że dowódca oddziału SEALs

powinien

pracować wspólnie z jego własnym, liczącym siedemdziesiąt osób personelem przestronnego pomieszczenia operacyjnego. Głównym tego powodem był stosunkowo krótki czas trwania operacji, na który nie opłacałoby się instalować nowego zestawu łącznościowego i komputerowego

z mapami elektronicznymi. Poza tym admirał bardzo chciał pracować z legendarnym pułkownikiem

Hartem, wokół którego nieustannie unosiła się aura tajemniczości.

W tej chwili cały zespół okrętów posuwał się z prędkością dwudziestu pięciu węzłów na południowy zachód, ku Tajwanowi. Kiedy Rick Hunter i reszta ludzi przybędzie na pokład, będą

mieli za sobą bezsprzecznie najdłuższy z trzech nocnych lotów śmigłowcem. Sea stallion ma jednak

zasięg prawie tysiąca stu kilometrów, które pokonuje z prędkością dwustu czterdziestu kilometrów

na godzinę, tak że droga z Okinawy zajęła mu trzy kwadransy. Wylądował na wielkim,

ponadtrzystumetrowym pokładzie startowym lotniskowca i komandosi zajęli się rozładowywaniem

ostatnich skrzyń, tych z materiałami wybuchowymi. Do pomocy mieli dwie układarki i czterech

marynarzy z działu amunicyjnego, z którymi wspólnie przetransportowali pojemniki z C-4, minami

magnetycznymi i ładunkami burzącymi w bezpieczne miejsce przed wyruszeniem na Xiachuan

Dao. McCarthy udał się lewoburtową windą pod pokład do wyznaczonego im składu, by

dopilnować ustawienia skrzyń i oznakowania ich po swoim.

Kilku innych członków zespołu, których załoga lotniskowca już traktowała z pewnym respektem i

podziwem, stało na pokładzie, przyglądając się samolotom ustawionym równiutko w dwóch

rzędach na skraju pokładu, gdyż środkowy pas zawsze musi być wolny dla lądowania. Potężne parowe kata-pulty w razie potrzeby mogły posyłać samoloty w niebo w odstępach dwudziestosekundowych.

Marynarze pokładowi pokazywali im różne typy tej powietrznej kawalerii, przykład groźnej potęgi

pierwszej linii amerykańskich sił zbrojnych. Po prawej burcie stało dwadzieścia myśliwców F-14D

Tomcat. Za nimi, w stronę rufy, widać było cztery prowlery EA-6B, cztery samoloty rozpoznania

elektronicznego typu Hawkeye, sześć vikingów, dwie maszy-

ny typu Shadow i sześć śmigłowców. Po lewej stronie pokładu stało w dwóch rzędach trzydzieści sześć samolotów F/A-18 Hornet, szybkich jak błyskawica maszyn będących podstawową siłą uderzeniową lotnictwa marynarki wojennej USA. Tu, na czarnych odmętach Pacyfiku, w tę lipcową, bezksiężycową noc mogło się wydawać, że USS

Ronald Reagan, mocarna amerykańska pływająca forteca, kołysząc się na długiej martwej fali, pręży mięśnie, mając pod dnem prawie cztery kilometry wody; że to aż niemożliwe, by potężna machina wojenna, uosabiana przez tego morskiego kolosa, nie mogła po prostu lwim rykiem gniewu przerazić Chińczyków i zmusić ich do wydania Seawolfa i ludzi, którzy go prowadzili. Ale ze względu na subtelności współczesnej równowagi politycznej i militarnej, jak i straszliwe konsekwencje ewentualnej wojny na skalę światową, takie monstrualne przykłady brutalnej siły wyglądają nieraz jak relikty ery dinozaurów. Czasem ich groźna obecność okazuje się skuteczna, czasem nie. Tym razem nie. Tu konieczne było takie rozegranie sytuacji, aby zaskoczony nieprzyjaciel nie miał szans zareagować, a po szybkim i dotkliwym uderzeniu nie miał najmniejszego pojęcia o tożsamości napastników. Bezszelestne metody działania SEAL, przy precyzyjnym planowaniu i wykonaniu, nadawały się do tego idealnie. Z Bożą pomocą w ciągu nadchodzącego weekendu zespół Harta i Huntera wykona swoje tajne zadanie sprawnie i bez przeszkód. Paradoksem w tej sytuacji było to, że najgroźniejszy, a wciąż nikomu nie znany tajny element operacji znajdował się o niespełna trzydzieści metrów od stojącej na pokładzie startowym grupki komandosów. Nikt nie zwracał uwagi na parę hornetów stojących osobno na końcu pasa, uzbrojonych i gotowych do lotu; drugi na wypadek, gdyby pierwszy nie mógł wystartować z powodu nieoczekiwanej awarii – nawet najmniejsze ryzyko niepowodzenia było niedopuszczalne. Pod kadłubem każdej z maszyn podwieszona była ponadczterometrowej długości ciemnozielona, kierowana promieniem lasera i zdolna przebić pancerne poszycie bomba typu Pave way, zawierająca prawie pół tony sprasowanego silnego materiału wybuchowego, dla której pokonanie mocnej stali ciśnieniowego kadłuba atomowego okrętu podwodnego nie jest problemem. 259

ROZDZIAŁ 8

Piątek, 14 lipca 2006 r., godzina 9.00. Pomieszczenie odpraw admirała, USS Ronald Reagan. 2015N/11610E. Prędkość 30 w.

W odprawie brało udział piętnastu mężczyzn. Wśród nich było dwunastu komandosów, którzy mieli wylądować tej nocy na wyspie pod dowództwem komandora porucznika Rusty'ego Bennetta. Bennett siedział wraz z dowódcą zespołu, komandorem porucznikiem Hunterem, przy głównym stole. Przed nimi zajął miejsce zastępca Rusty'ego, specjalista od łodzi desantowych i SDV, Olaf Davidson. Obecni byli dwaj porucznicy, Paul Merloni i Dan Conway, as wspinaczki starszy bosman John McCarthy i były rybak morski, Sum Jones. Oprócz nich wraz z czwórką innych szeregowych SEALs znaleźli się tu dwaj Luizjańczycy, Grzechotnik Da-vies i zabójca aligatorów Buster Townsend.

Za stołem stał kierujący całością operacji pułkownik Hart, dziś ubrany w mundur SEALs. Do dużej tablicy za jego plecami przypięta była mapa wyspy Xiachuan. Z tyłu, za zebranymi, zasiadł kontradmirał Art Barry, którego dopuszczono do tajemnicy Drzwi były zamknięte, a na korytarzu postawiono dwóch uzbrojonych wartowników. Nikomu nie było wolno wejść do sali odpraw, w której panowało wyraźne napięcie. Komandosi siedzieli w milczeniu, każdy sam na sam z własnymi myślami; wśród nich przewijała się jedna, którą każdy usiłował ukryć: ta noc może być ostatnią w ich życiu.

Frank Hart wolnym krokiem z napięciem malującym się na twarzy przemierzał salę. – Panowie – rozpoczął – wszyscy znacie w ogólnym za-260 L_ 9 '

rysie cel i charakter naszej dzisiejszej akcji, którą musicie traktować jako w najwyższym stopniu tajną. Macie wylądować na wyspie od południa, ustalić miejsce spotkania za plażą, po czym grupa obserwacyjna uda się na północny wschód... odległość dziesięć kilometrów, prawdopodobnie przez wysoką dżunglę... i założy dwa punkty obserwacyjne jak najbliżej więzienia, nie dając się złapać.

Panowie, odkładałem tę odprawę na ostatnią chwilę, ponieważ istotne jest, abyście wszystko mieli w świeżej pamięci. Tym, którzy nie zostali poinformowani o szczegółach, wyjaśniam: w więzieniu, które jest waszym celem, znajduje się i zapewne poddawana jest najostrzejszym przesłuchaniom cała załoga Seawolfa, między innymi zastępca dowódcy okrętu, komandor podporucznik Linus Ciarke, który jest synem prezydenta Stanów Zjednoczonych. Nie muszę tłumaczyć powagi tej sytuacji. Powiem tylko, że natychmiast po waszym szczęśliwym powrocie na lotniskowiec ze szczegółowymi mapami, szkicami i notatkami wysyłamy tam największy zespół sił specjalnych, jaki kiedykolwiek utworzono w USA w czasie pokoju, aby odbił więźniów i przerzucił ich na okręt. Zaatakujemy nagle i brutalnie. Jest całkiem prawdopodobne, że nikt z Chińczyków nie przeżyje... ale, panowie, o jednym musicie stale pamiętać: wykrycie jest niedopuszczalne. Gdyby was przyłapano, cała misja spali na panewce, ponieważ Chińczycy natychmiast wzmocnią załogę wyspy śmigłowcami, ciężkim sprzętem, ludźmi, a może nawet

okrętami... i przeniosą więźniów w inne miejsce. Wtedy żaden z nich już nigdy nie ujrzy swojej ojczyzny. – Pułkownik przerwał, pozwalając, by jego słowa zapadły wszystkim w pamięć. Zanim podjął przemowę, przeszedł tam i z powrotem przez salę. – Wątpię, by którykolwiek z was jeszcze kiedyś w życiu wziął udział w akcji równie uważnie obserwowanej z Gabinetu Owalnego. Waszym hasłem musi być „ostrożność”. Jeżeli będziecie nieuważni choćby przez ułamek sekundy i zostaniecie spostrzeżeni przez wartownika, będziemy niemal na pewno zmuszeni odwołać akcję, bo w ciągu godziny nadciągną przeważające chińskie siły. Gdybyście zabili wartownika i sami wydostali się bezpiecznie z powrotem, rezultat będzie identyczny, ponieważ jego nieobecność zwróci uwagę. Powtarzam raz jesz-261 w-cze: bądźcie ostrożni, na rany boskie! – Podeszedł do stołu i wziął niewielki pilk papierów, przestudiował je i odłożył. – Jako koordynator misji podam wam teraz harmonogram. Każdy z was otrzyma kopię, którą musicie wykuć na pamięć i zniszczyć. Za dwie godziny od tej chwili wsiądziecie do śmigłowca i polecicie z niezbędnym sprzętem na okręt podwodny klasy LA, USS Greenville, który teraz płynie o dwie mile na naszym prawym trawersie. Znajdujemy się o sto osiemdziesiąt mil morskich na południe od wybrzeża Chin. Pozostałą drogę na Xiachuan Dao pokonacie na podwodniaku, który podpłyne tak blisko do celu, jak tylko pozwoli mu głębokość akwenu, czyli na trzydzieści mil. W tym momencie ośmiu z was wchodzi do SDV, zamocowanego w suchym doku na pokładzie podwodniaka, i podpływa nim na jakieś pół mili od plaży, gdzie zaczyna się robić naprawdę płytko. Dalej trzeba będzie płynąć samemu. Woda jest ciepła, dno piaszczyste i gładkie, rekinów nie ma tyle, by warto

o nich mówić. Pozostała czwórka popłynie całą drogę małym zodiakiem; tysiąc metrów przed brzegiem zgasicie silnik

1 podpłyniecie do plaży na wiosłach. Chińczycy mają na wyspie kuter patrolowy, ale jeszcze nigdy nie zaobserwowano, by wychodził w morze przed północą. Do tego czasu będziecie już na miejscu. Wyciągacie łódź z ładunkiem przez plażę pod osłonę drzew i ustalacie wtedy punkt spotkania. W łodzi będziecie mieli dwa karabiny maszynowe, dwie saperki, apteczkę, radio, odbiornik GPS, amunicję, parę granatów i świec dymnych, kompas, laptopa, lornetki, siatki maskujące i dwa wodoszczelne namioty. Oczywiście wodę i żywność też. Jak wiecie, w lipcu może tu lać jak z cebra... zresztą właśnie leje. Zabieracie swoją broń osobistą. Grupa obserwacyjna wyruszy niemal natychmiast, jak tylko się zbierzecie. – Hart wskazał na mapę, rysując końcem wskaźnika linię między półwyspem na południowym zachodzie wyspy, gdzie mieli wylądować, a jej drugim końcem, gdzie zaznaczone było więzienie. – Obejdziecie dwa szczyty, ale to przy więzieniu wygląda mi na dobry punkt obserwacyjny, zapewniający widok z góry na wewnętrzny plac. Tam się przyczaicie. Nie likwidować wartowników, bo inaczej będzie po zabawie. Poszukajcie sobie jakiegoś miłego, zacisznego miejsca i rozbierzcie to więzienie

» *

w myślach na czynniki pierwsze. Kiedy przyniesiecie nam informacje, cały zespół pójdzie do akcji w niedzielę w nocy. Zasadniczo chciałbym was mieć na pozycji około dwudziestej trzeciej w piątek i w drodze powrotnej przed drugą rano w niedzielę. To powinno dać wam czas na

rozpracowanie warty, jej liczebności i rozkładu patroli przez całą dobę. Opuśćcie wyspę szybko i w ten sam sposób, w jaki się tam dostaliście, przez punkt spotkania i wpływ do SDV, do którego traficie za pomocą GPS i jego nadajnika kierunkowego, ale czterech z was pozostanie na łodzi, by pomóc przy lądowaniu głównego oddziału w niedzielę. Miejsce jego lądowania będzie inne niż potem punkt ewakuacyjny. Będziemy mieli wielu ludzi ze sobą, więc potrzebne jest miejsce jak najbliżej więzienia, które do tego czasu będzie zdobyte. Podczas ewakuacji więźniów i głównego oddziału niektórzy mogą być w kiepskim stanie. Mamy do dyspozycji osiem zodiaków, ale i tak trzeba będzie zrobić po dwa, może trzy kursy na głęboką wodę do czekającego podwodniaka. Przekazuję teraz pałeczkę waszemu dowódcy, komandorowi Bennettowi, który przedstawi szczegóły. Rusty...? Żelazny facet z wybrzeża Maine natychmiast wstał i zaczął mówić:

–Cała nasza dwunastka musi się znaleźć pod pokładem okrętu podwodnego jak najszybciej. Nasz

sprzęt już tam jest. Chińczycy też mają satelity i nie chciałbym, żeby widzieli, jak przechodzimy na

okręt o dwieście mil od ich brzegów. Dlatego zjedziemy na dół po linach, gdy tylko śmigłowiec zawiśnie nad pokładem. Rękawice na ręce i jazda, a potem natychmiast do środka. Wszystkim pasuje? Dobra. Teraz tak: kiedy przejdziemy do SDV, będzie nas ośmiu. Komandor Davidson z

Sumem, Hankiem i Alem dopilnuje odbicia z doku. W SDV będę ja, porucznicy Merloni i Conway,

starszy bosman McCarthy, Grzechotnik Davies, Buster Townsend, John i Bill. Ruszymy z prędkością osiemnastu węzłów. Po pięćdziesięciu pięciu minutach podwodniak się wynurzy i komandor Davidson ze swą trójką opuszczą na wodę zodiaka ze sprzętem. Tylko go nie wywróćcie!

Okręt się wycofa, a wy śmigniecie z dużą prędkością prosto na miejsce lądowania. Jego pozycja to

dwadzieścia jeden trzydzieści sześć północnej

i sto dwanaście trzydzieści jeden wschodniej. Zobaczycie, że ten sześciometrowy zodiak ma potężny silnik, johnsona 250, i będzie zasuwał jak z pieprzem. Benzyny będzie duży zapas. Morze powinno być spokojne, niebo deszczowe i powinniście załatwić całą podróż w godzinę, wliczając w to ostatni kilometr na wiosłach. Tylko nas, biedaków, nie rozjedźcie! Tak rozłożyłem to w czasie, żebyśmy dostali się na plażę piętnaście minut przed zodiakiem. W ten sposób będziemy mieli sporo ludzi do szybkiego przeniesienia łodzi do kryjówki. Ustalimy punkt spotkania, zatrzymamy ślady na plaży, ustawimy namiot pod siatką maskującą plus jeden z kaemów i się rozdzielimy. Dowódcą grupy, która obsadzi punkt spotkania, będzie komandor Davidson. Zostaną z nim Sum, Hank i Al. Ci czterej nie wrócą z resztą zwiadu na okręt, ale będą czekać na miejscu, po czym przemieszczą się na miejsce lądowania głównego oddziału. Znajduje się ono na wschodzie, ciut mniej niż półtora kilometra od więzienia. Pozycja dwadzieścia jeden trzydzieści dziewięć, sto dwanaście trzydzieści osiem. Wasz mały zodiak w końcu dołączy do czterech dużych, przewożących ludzi na okręt w niedzielę. Czy wszystko jasne?

–Tak jest! – Wszyscy kiwnęli głowami.

–Dobra. Tymczasem nasza ósemka wyskoczy z pianek i przebierze się w mundury polowe z kamuflażem. Zabieramy jak najmniej bagażu, ale musimy mieć coś przeciwdeszczowego, kaem na wypadek, gdybyśmy wpadli w kłopoty i musieli przebić się z powrotem. Do tego radio, parę świec dymnych jako sygnały dla śmigłowców ewakuacyjnych, jeśli trzeba będzie je sprowadzić. Mam jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie. Mamy do pokonania dziesięć kilometrów przez nie zamieszkaną, dziki las. Pułkownik Hart już dopilnował pakowania naszych plecaków, rozdzielając sprzęt równomiernie między wszystkich, więc nie musimy się tym przejmować. Po prostu wkładamy i ruszamy. Niestety, trzeba będzie zabrać jeszcze parę saperek do zakopywania odpadów i maczety, bo musimy się trzymać azymutu i niewykluczone, że przyjdzie nam się przerażać przez dżunglę... Przyda się nam też parę nożyc ogrodniczych, gdyby trzeba było robić to ciszej. Nie zabieramy materiałów wybuchowych. Pamiętajmy, że to

zwiad i naszym celem jest pozostać absolutnie niewykrywalnymi. Czy są jakieś pytania? Zwracajcie się z nimi do pułkownika Harta.

–Sir, czy wiadomo, ilu jest w więzieniu strażników i innego personelu? – spytał Dan Conway.

–Nie bardzo – odrzekł Hart. – Mam nadzieję, że wy mi to powiecie.

–Czy mają jakieś działa, śmigłowce albo okręty rakietowe w pobliżu?

–O działach sami musicie się dowiedzieć. Zaobserwowano dwa śmigłowce stojące przy samym więzieniu. Mają też mały kuter patrolowy, ale daleko. Nie powinien nam przeszkadzać, ale w niedzielę pewnie chłopaki będą się musieli go pozbyć.

–Ilu naszych tam trzymają?

–Ponad stu.

–A co z samym Seawolfem? Co w tej sprawie robimy?

–Obawiam się, że trzeba go będzie zatopić. Zrobimy to w niedzielę w nocy, na parę godzin przed lądowaniem głównego oddziału na Xiachuan Dao.

–Jak, sir?

–Nie jestem pewien. Wiem tylko, że ma to być tak zrobione, żeby wyglądało na to, iż ich własnym naukowcom coś się pochrzało z temperaturą reaktora. Wybuch przerazi ich na śmierć, a to będzie dla nas wyśmienita osłona. Guangzhou jest tylko o godzinę lotu śmigłowcem od wyspy. Mam nadzieję, że nie w głowie im będzie myśleć o amerykańskim natarciu. Będą zbyt zajęci tam na miejscu.

–Sir, czy wszyscy ludzie z Seawolfa są w tym jednym więzieniu?

–Chyba tak. Ale nie mamy żadnych informacji, czy Chińczycy kogoś nie zabili.

–Po co im nasi, sir? Czy są zakładnikami?

–Nie, nie są zakładnikami. Chińczycy od wielu lat usiłują skonstruować duży, nowoczesny atomowy okręt podwodny, kupując albo kradnąc odpowiednie technologie. Teraz mają w ręku taki okręt i mogą go skopiować... a poszłoby im dziesięć razy szybciej, gdyby zdołali nakłonić do współpracy najważniejszych członków załogi.

–Czy nasz rząd nie zamierza nic z tym fantem zrobić? 265

–Zamierza, ale Chińczycy przyjęli bardzo podstępą linię. Twierdzą, że Seawolf został uszkodzony w drobnej kolizji z ich niszczycielem i oni jedynie odpowiedzieli na apel dowódcy o pomoc. A teraz... co za niespodzianka... nastąpił wyciek radioaktywny, więc nie mogą okrętu wypuścić, zanim zostanie on usunięty... może za dwa, może za trzy tygodnie?

–Co da im czas na skopiowanie, prawda?

–Nie bardzo. Chcieliby go na o wiele dłużej, nawet gdyby najlepsi technicy z załogi rzeczywiście im pomagali.

–Jezu.

–Myśli pan, że będą próbować wymuszać informacje torturami?

–Tak. A ty nie?

–Chyba tak – odparł porucznik Merloni. – Lepiej ich stamtąd wyciągnijmy, i to szybko. Piątek, 14 lipca 2006 r., godzina 10.50. Pokład startowy lotniskowca Ronald Reagan, sto osiemdziesiąt mil od wybrzeża Chin

Śmigłowiec sea king uniósł się nad zalewany deszczem lewy pas startowy. Na wysokości kilkunastu metrów, prawie równo z „plantacją” anten na szczycie nadbudówki, pochylił nos w dół i szybko nabierając prędkości, ruszył w stronę widniejącej o dwie mile na prawo od dziobu lotniskowca sylwetki USS Greenville. Lot zajął niecałe dwie minuty. Nawet nie zamykali za sobą drzwi, bo za chwilę już trzeba było wyrzucić w dół zwój grubej liny, wprost na przedni pokład przed kioskiem i niedawno zamontowanym na okręcie wielkim, krągłym suchym dokiem, w którym stał SDV. Cała szóstka Fok włożyła mocne skórzane rękawice spawalnicze i ustawiła się przed drzwiami, z komandorem Bennettem na czele, kiedy sea king zawisł nad celem. Rusty ujął linę i przestąpił próg drzwi, opadając jak kamień przez kilka metrów, pozwalając jej prześlizgiwać się swobodnie przez dłonie. W odpowiednim momencie zacisnął je mocno, wyhamowując pęd i

zatrzymując się o pół metra nad pokładem Greenville'a. Kiedy dotknął go stopami, porucznik

Conway już zsuwał się po

linie, a za nim w krótkich odstępach Grzechotnik, Buster, Sum i bosman McCarthy. W trzy i pół

minuty od startu z lotniskowca śmigłowiec już wracał po następną szóstkę. Takie lądowanie nazywa

się, i słusznie, szybkim zjazdem.

Cztery minuty po jedenastej wszystkie włazy były już zamknięte i uszczelnione, maszty schowane,

a woda morska z szumem wpływała do zbiorników balastowych. Komandor Tom Wheaton zanurzył

okręt głęboko i skierował go wprost na południowe podejście do Xiachuan Dao, odległe o siedem

godzin żeglugi.

–Dziób dziesięć stopni w dół... Głębokość sto dwadzieścia metrów... Maksymalna prędkość.

Dwunastu komandosom przydzielono koje, by mogli odpocząć przed akcją. Większość z nich położyła się, by wyspać się „na zapas”, ale Sum Jones i Olaf Davidson spędzili ten czas na

studiowaniu mapy wyspy, zastanawiając się nad wyborem miejsca lądowania dla głównego

oddziału. Próbowali też dla relaksu obejrzeć film, ale szybko stracili zainteresowanie i wrócili do

mapy. Dwaj najsilniejsi ludzie w drużynie zwiadu mieli wiele problemów na głowie.

O czternastej podano im wyśmienity obiad: grube plastry idealnie usmażonego befsztyka z polędwicy po nowojorsku z pieczonym ziemniakiem i sałatą. Na deser zaatakowali wielkie porcje ciasta z jabłkami i jagodami, do tego lody. Miał to być ich ostatni porządny posiłek przez dwa następne dni.

O siedemnastej cała drużyna przebrała się w neopreno-we kombinezony, włącznie z czwórką, która miała pracować w wodzie przy wyprowadzaniu SDV z doku, a potem popłynąć pneumatycznym zodiakiem. Pianki mogły się też przydać w razie wypadku albo ataku nieprzyjaciela, przez który mogliby znaleźć się za burtą. Foki z natury lubią głębiny, gdzie ich trening daje im nieocenioną przewagę.

O siedemnastej trzydzieści Rusty Bennett z siódmką zwiadowców, poczerniwszy twarze wodoodpornym olejem, zaczęli zajmować miejsca w SDV. Wspięli się do suchego doku przez właz w pokładzie, a potem sprawnie wśliznęli się luką wejściową w dnie do wnętrza tej dziewiętnasto-metrowej miniaturowej łodzi podwodnej, napędzanej cichym silnikiem elektrycznym. Dwaj marynarze z Greenville 'a, któ-267

rzy mieli poprowadzić SDV, już czekali na dwóch przednich siedzeniach. Komandor Davidson ze swym zespołem czekali przy drugim włazie, kiedy dowódca okrętu powiadomi ich, że z powodu zbyt płytkiej wody dalej płynąć już nie można. Wiadomość nadeszła o siedemnastej pięćdziesiąt dwie.

–Sonar do kapitana. Echosonda pokazuje trzydzieści sześć metrów.

–Nawigator do kapitana. Jesteśmy na pozycji dwadzieścia jeden szesnaście północnej, sto dwanaście trzydzieści jeden i pół wschodniej, trzydzieści mil na południe od miejsca lądowania. Komandor Wheaton cicho powiedział przez wewnętrzny telefon:

–Okay, chłopaki, to już tu. Dalej iść nie 'możemy. Nie chcecie chyba zastać nas tkwiących w mule, kiedy wrócicie na niedzielne śniadanko?

Na okręcie zapanowała pełna napięcia cisza. Wszyscy znajdujący się w pobliżu patrzyli na masywną postać Olafa Davidsona, który stał w milczeniu pod włazem do komory śluzowej, przez którą miał wyjść na zewnątrz. Komandor weteran trzymał się za lewe przedramię, jakby jego ogromna siła dodawała mu pewności. Wreszcie ruszył do góry i zniknął w ciemnej czeluści włazu, a za nim kolejno podążyli trzej koledzy. Pod pokładem po chwili dały się słyszeć głuche stuki metalu o metal, kiedy wypychali SDV z doku. Kiedy cała czwórka znalazła się z powrotem na okręcie, silniki miniaturowej łodzi podwodnej zaczęły pracować i wkrótce płynęła już kursem północnym z prędkością osiemnastu węzłów, na głębokości piętnastu metrów, prawie nie zostawiając śladu na smaganej deszczem, pustej powierzchni morza. Ośmiu komandosów mogło ze sobą rozmawiać, ale nikt się nie odzywał. Wszystko zostało już powiedziane, plany zapisane w pamięci. Wiedzieli, że każdy odgłos, w jakiegokolwiek formie, ulega pod wodą wzmocnieniu. W

pomieszczeniu SDV panowała absolutna cisza. Każdy z nich na swój sposób radził sobie z napięciem i własnymi myślami.

Siedzący na dziobowych miejscach dowódca łodzi i nawigator nie widzieli przed sobą nic.

Sterowali, kierując się wyłącznie wskazaniem przyrządów pokładowych, ale w dwie

godziny później dotarli wprost na wybrane miejsce: nieco ponad pół mili od południowego półwyspu Xiachuan Dao. Dowódca rzekł cicho i zwięźle:

–Jesteśmy, panowie. Sonda wskazuje trzy metry wody pod stępką, ale dno tu się bardzo szybko

wznosi. Czas na was.

W przeciwieństwie do większości poprzednich wersji SDV, które zostawały całkowicie zalane wodą dla umożliwienia pletwonurkom wyjścia z kadłuba, ten nowoczesny model wyposażony był w niewielką komorę śluzową mieszczącą dwóch ludzi. Po założeniu aparatów oddechowych i masek wchodzi oni do komory, która następnie wypełnia się wodą; pletwonurkowie po prostu wypadają stopami naprzód na zewnątrz tą samą drogą, którą uprzednio weszli do łodzi. Wodę następnie usuwa się i powtarza procedurę dla następnej dwójki, podczas gdy pierwsza już odpływa do celu. Tym razem pierwsi opuścili SDV komandor Bennett i Buster Townsend, dla którego była to pierwsza akcja bojowa. Młody żołnierz bał się jej, ponieważ wyobraził sobie, że na plaży mogą czekać w zasadzce tysiące Chińczyków. Przez całe lata szkolił się i trenował jednak właśnie do takich zadań, i wiedział, co ma robić. Położył prawą dłoń na szerokim ramieniu swego dowódcy i obaj kopnęli mocno płetwami, ruszając w stronę, gdzie czekali na nich więźniowie admirała Zhanga Yushu. Rusty szybko ustalił kierunek i wkrótce zsynchronizowali swoje ruchy, za każdym wymachem nóg posuwając się o trzy metry bliżej celu. Aby tam dotrzeć, będą musieli trzysta razy pchnąć płetwami w pdstępach pięciosekundowych, w sumie dwadzieścia pięć minut pływania. Wydaje się to nieskomplikowane, ale w rzeczywistości łatwe jest tylko dla tych, którzy wykuli swe ciała na twardym kowadle treningu i dyscypliny, właściwej dla formacji US Navy SEAL. Płynąc szybko i równym rytmem, Rusty i Buster stawiali przed swymi organizmami niemałe zadania, ale otrzymywali właściwy odzew. Podczas pływania w takim stylu przeciętny Foka spodziewa się zmęczenia pod koniec trzeciego kilometra. Dzisiejszy krótki odcinek nie wymagał od nich więcej niż krótki sprint od długodystansowca. Wkrótce deska Rusty'ego zaryła się w piasek dna; byli na miejscu. 269

Komandor nie zdziwił się wcale, kiedy tuż za nimi wynurzyły się z wody głowy Dana Conwaya i Grzechotnika Daviesa. Po chwili dołączyła do nich reszta drużyny

Dochodziła dwudziesta. Plażę okrywał mroczny cień, jedynie nad czarnym konturem lasu na niebie widniały jeszcze resztki wieczornego światła. Rusty był zadowolony, bo dzięki temu mógł się przekonać, że ich informacje się potwierdziły: znajdowali się w szerokiej zatoce, wrzynającej się łagodnym łukiem w ląd, a okolica wydawała się opustoszała. Niemożliwe, by z brzegu można było dostrzec cokolwiek na wodzie. Noc była bezksiężycowa, w dodatku większość nieba za-snuwały czarne, deszczowe chmury. Rusty usiadł na dnie po szyję w wodzie i skinął na pozostałych, by się doń przyłączyli.

–Zostaniemy tu jeszcze dziesięć minut>- powiedział szeptem. – Poczekamy, aż się zrobi

naprawdę ciemno. Gdybyśmy teraz ruszyli, to na tej szerokiej białej plaży widać by nas było jak

psu jaja. Lepiej zachować podwójną ostrożność.

Siedzieli w wodzie bez słowa, aż wreszcie nie było już nawet widać białego piasku plaży. Nie spostrzegli też zodiaca – ani nawet go nie słyszeli – kiedy Olaf Davidson ze swą załogą bezszelestnie wpłynęli do zatoki, wiosłując krótkimi, pięknie odmierzaniem pociągnięciami; cztery wiosła wchodziły w wodę jak jedno, nie wydając prawie plusku. Ten kwartet zawstydzili nawet reprezentacyjną czwórkę ze sternikiem z Harvardu.

–Uważajcie, gdzie płyniecie, szaleńcy – ofuknął ich Bennett, kiedy duży ponton o mało nie uderzył w Bustera.

–Jezu – odpowiedział mu głos Suma. – Co wy tu, u diabła, robicie, opalacie się? Zwiadowcy stłumili śmiech, podczas gdy nowo przybyli zsunęli się z zodiaca do wody, po czym

wszyscy pociągnęli go na brzeg, sprawnie odwracając dziobem ku wodzie. Nawet bowiem przy drobnej fali przybojowej takie łodzie szybko nabierają wody przez obciążoną silnikiem rufę. Poszło im to niezwykle sprawnie; schwycili za specjalnie do tego celu przeznaczone uchwyty, tak rozmieszczone, aby większość niosących mogła dźwignąć w górę ciężką część rufową, i w dziewięćdziesiąt sekund zodiak znalazł się już wśród drzew za pasem plaży. 270

Było już bardzo ciemno i zaczął padać deszcz. Rusty nie był zachwycony miejscem, w którym na razie złożyli łódź, ponieważ nie zapewniało ono osłony od strony morza. Gdyby ktokolwiek się tam napatoczył, zostaliby spostrzeżeni. Ruszył więc w towarzystwie Dana Conwaya na krótki rekonesans i o czterdzieści metrów dalej natrafili na pasmo niskich skałek, wrzynające się na dziesięć metrów w głąb lasu.

–Tb coś dla nas – oznajmił dowódca. – Zaniesiemy łódź za skały, przykryjemy płachtą wodoszczelną i mamy kryjówkę jak złoto. Wartownik będzie miał w polu ostrzału z elkaemu zarówno podejście od strony wody, jak i lądu. Chłopaki mogą spać w zodiacu. Żaden intruz niczego nie dojrzy.

W ciągu następnych trzydziestu minut komandosi byli całkowicie zorganizowani. Łódź została zamaskowana i osłonięta przed deszczem płachtą namiotową, którą rozpięli niecały metr nad ziemią; ślady ich lądowania na plaży dokładnie zatarto liśćmi palmowymi, którymi potem dodatkowo przesłonięto łódź. Na wypadek niebezpieczeństwa przygotowali nadajnik radiowy i założyli taśmę z nabojami do elkaemu. Kiedy zakończyli prace, ich schronienie było praktycznie niewidzialne. Kiedy Rusty Bennett uznał wreszcie efekt za zadowalający, wraz z siódmką z grupy obserwacyjnej zaczęli szykować się do wymarszu. Zdjęli kombinezony i przebrali się w brązowe podkoszulki i plamiaste, maskujące spodnie i koszule oraz wysokie, miękkie

sznurowane buty, po czym pomalowali twarze jasną i ciemniejszą zieloną pastą, gdzieś tam z plamką brązu. Komandor Bennett jako jedyny z nich nigdy nie nosił polowego kapelusza, wolał swoją zieloną opaskę na głowę. Na koniec sprawdzili uzbrojenie: sig saury, pistolety maszynowe, amunicję, noże bojowe. Ustalała się częstotliwość radiowa do łączności między grupą obserwacyjną a ich nową bazą przy plaży, ale nie zostanie użyta, chyba że w razie jakiegoś absolutnie szokującego wydarzenia.

Założyli plecaki i uścisnęli poważnie dłonie zostającym na miejscu czterem kolegom. Obarczeni najłżejszymi plecakami Paul Merloni i Grzechotnik nieśli karabin maszynowy z amunicją, McCarthy i Buster maczety, a Bennett szedł na czele z kompasem. Była dwudziesta pierwsza cztery, kiedy ruszyli 271

na północ poprzez ociekającą wodą dżunglę. Mogliby wprowadzić pierwsze dwa i pół kilometra ść plażą, ale po przestudiowaniu mapy Rusty od razu odrzucił tę możliwość. Z pewnością szłoby im się szybciej, ale też wystawieni byłiby na niebezpieczeństwo wykrycia przez patrolujący przybrzeżne wody kuter, albo nawet przez pieszy patrol, a to oznaczałoby porażkę całej operacji. Wybrał więc drogę trudniejszą, poprzez tropikalny las, o sto metrów od linii brzegowej, poza zasięgiem czyjegokolwiek wzroku. Posuwali się pojedynczym rzędem, tylko ci, co nieśli elkaem, szli obok siebie, zamykając pochód. Teren był bardzo trudny, przez pierwszy kilometr gęsto zarośnięty. Aż się prosiło o torowanie drogi maczetami, ale wiedzieli, że trzeba robić jak najmniej hałasu, więc parli naprzód, zatrzymując się co sto metrów i nasłuchując. Wokół jednak panowała niezmacona cisza.

Rusty zasygnalizował zmianę azymutu na czterdzieści pięć stopni, kiedy dotarli do krańca zatoki, i poszli dalej, trzymając się brzegu, ale pozostając w ukryciu. Od tego miejsca marsz był znacznie lżejszy; pod koronami wysokich drzew prawie nie było zarośli. Niemniej w tej gęstej, czarnej ciemności trudno było się ustrzec przed wpadnięciem na pień i Bennett szedł z ręką wyciągniętą do przodu niczym czułki chrząszcza badającego teren przed sobą. Wysoki baldachim z liści wydaje się tak gęsty, że chyba i w dzień nie bywa tu jaśniej, pomyślał.

Grunt był bardzo nasiąknięty i miękki. Nie dało się omijać wszechobecnych błotnistych kałuż i wszyscy błogosławili swe wysokie, nieprzemakalne buty. W pewnej chwili omal nie wpadli do

przecinającego im drogę strumienia, ale Rusty w samą porę zdążył wydać szeptem komendę do zatrzymania się. Nurt w strumieniu był całkiem bystry; zaryzykowali zapalenie miniaturowej latarki i rzut oka na mapę, i stwierdzili, że musi on wypływać ze źródła na górze Guanyin, wznoszącej się na czterysta metrów gdzieś po ich lewej stronie. Pułkownik Hart zaznaczył im trasę przez długą nadbrzeżną równinę, ograniczoną od lewej przez rozległe błota, która miała ich poprowadzić wokół odnóża góry. Gdyby miał sam wybierać, Rusty wolałby raczej przejść przez górę, niż maszerować przez prawdopodobnie bardzo mokry i grząski 272

teren. Pułkownik był jednak nieustępliwy. Jeżeli Chińczycy pomyśleli o wystawieniu jakichkolwiek wysuniętych posterunków, to z pewnością zrobiliby to na owej górze, która dominuje nie tylko nad samym więzieniem, ale i nad większą częścią wyspy. A w takim razie

przemarsz tamtędy nie byłyby możliwe za dnia, ryzykowanie zaś przypadkowego nadziania się na wartownika nocą równałoby się niedopuszczalnej głupocie. Pułkownik znany był nie tylko ze swej inteligencji, ale i z barwnego formułowania zdań. „Marynarzu”, powiedział do Rusty'ego, „nie cieszy mnie, że ty i twoi ludzie zamoczycie sobie nóżki, ale chyba wolisz to niż odstrzelony tyłek”. Na co komandor porucznik Bennett odparł, że uważa to za trafne spostrzeżenie.

Dlatego też szli teraz po owej mokrej równinie, nie musząc się wspinać na żadne stromizny, ale za to marsz przez podmokły trawiasty grunt nie należał do przyjemności. Za którymś razem, kiedy z chlupotem brnęli przez coś, co jako żywo przypominało opuszczone pole ryżowe, Buster podsunął się ku dowódcy i scenicznym szeptem powiedział:

–Sir, proszę o pozwolenie na wyciągnięcie noża. To jest pieprzony raj dla aligatorów!

–Udzielam – syknął Rusty. – I na Boga, trzymaj się blisko mnie na wypadek, gdybym na któregoś sukinsyna nadepnął.

I tak posuwali się jednostajnie naprzód. Nagle znaleźli się na twardszym, lekko wznoszącym się terenie. Bennett szeptem potwierdził, że dotarli do podnóża największej góry na wyspie. Według zdjęć satelitarnych ten nie nazwany szczyt górował nad samym więzieniem. Ich trasa wiodła teraz przełęczą między dwoma grzbietami, na północ od szczytu Gu-anyin. Skierowali się na wschód, z powrotem ku morzu, a kiedy dotarli do brzegu, zwrócili się znów na północ, ku zboczom, mając nadzieję, że wynurzą się akurat nad kompleksem budynków więziennych, celem ich wyprawy. Była prawie dwudziesta czwarta, kiedy zaczęli ostatni kilometr drogi. Rusty z Danem Conwayem często zatrzymywali się i omiatali teren dookoła czujnikami termicznymi na podczerwień. Nie znaleźli ani razu choćby królika. Cztery minuty przed północą dowódca nakazał postój i oznajmił, że być może więzienie znajduje się już za następnym wzgórzem. Teraz 273 mf

znów szli wśród wysokich drzew, poruszając się wyjątkowo ostrożnie od jednego pnia do drugiego, wyglądając jak miękkie, zwiewne duchy z opowieści dla dzieci. Rusty trzymał w ręku włączony odbiornik GPS z delikatnie podświetlonym na zielono ekranikiem, na którym w miarę ich posuwania się naprzód zmieniały się wartości współrzędnych geograficznych. Czekał na pojawienie się cyfr „21.42N, 112.39E”. Znajdowali się odpowiednio daleko na północy, ale ostatnia cyfra długości geograficznej oscylowała między ósemką i dziewiątką. Kiedy wreszcie zdecydowała się ustatkować i wskazała „mocne dziewięć”, Rusty był pewien, że znaleźli się prawie w samym więzieniu. Zrobili jeszcze parę kroków między drzewami, gdy nagle coś przed nimi zajaśniało. Najpierw widać było silne snopy światła z reflektorów ustawionych na wysokich wieżach strażniczych, które same skryte były w mroku. Snopy omiatały z wolna dziedziniec więzienia, a to oznaczało, że na każdej z wież jest co najmniej dwóch ludzi: operator reflektora i uzbrojony wartownik.

–Kiepska sytuacja – zauważył Rusty, od razu zabierając się do roboty. – To oznacza, że musimy się tam wdrapać i zabić czterech ludzi, zanim zaczniemy. Inaczej rozpęta się piekło, kiedy my wciąż będziemy tkwili w tym pieprzonym pierdłu. Niech to diabli. Musimy się ich

pozbyć.

–I co teraz będzie? – szepnął z udawaną powagą porucznik Merloni.

–Cicho, mądralo, daj mi pomyśleć... a może tam, Dan? Nieco w dół zбочza. Widzisz tę linię krzewów z wielkim drzewem przed nimi? Możemy tam się ukryć. Z dołu nie będą mogli nas zobaczyć, a my będziemy mieli wspaniały widok na więzienie. Założę się, że będziemy mogli obserwować cały dziedziniec.

–Tak, możemy tam zostać spostrzeżeni tylko wtedy, kiedy ktoś na nas wdepnie – zgodził się porucznik Conway.

–Tak, ale my zobaczylibyśmy go dużo wcześniej.

–Ciekawe, ilu tam może być tych Chińczyków?

–Trudno powiedzieć – odrzekł Bennett. – Ale skoro jest tam setka więźniów, muszą mieć przez całą dobę ze trzydziestu wartowników na służbie. Na cztery zmiany to już jest sto dwadzieścia osób. Oprócz tego cała zbieranina innych

znów szli wśród wysokich drzew, poruszając się wyjątkowo ostrożnie od jednego pnia do drugiego, wyglądając jak miękkie, zwiewne duchy z opowieści dla dzieci. Rusty trzymał w ręku włączony odbiornik GPS z delikatnie podświetlonym na zielono ekranikiem, na którym w miarę ich posuwania się naprzód zmieniały się wartości współrzędnych geograficznych. Cekał na pojawienie się cyfr „21.42N, 112.39E”. Znajdowali się odpowiednio daleko na północy, ale ostatnia cyfra długości geograficznej oscylowała między ósemką i dziewiątką. Kiedy wreszcie zdecydowała się ustatkować i wskazała „mocne dziewięć”, Rusty był pewien, że znaleźli się prawie w samym więzieniu. Zrobili jeszcze parę kroków między drzewami, gdy nagle coś przed nimi zajaśniało. Najpierw widać było silne snopy światła z reflektorów ustawionych na wysokich wieżach strażniczych, które same skryte były w mroku. Snopy omiały z wolna dziedziniec więzienia, a to oznaczało, że na każdej z wież jest co najmniej dwóch ludzi: operator reflektora i uzbrojony wartownik.

–Kiepska sytuacja – zauważył Rusty, od razu zabierając się do roboty. – To oznacza, że musimy się tam wdrapać i zabić czterech ludzi, zanim zaczniemy. Inaczej rozpęta się piekło, kiedy my wciąż będziemy tkwili w tym pieprzonym pierdłu. Niech to diabli. Musimy się ich pozbyć.

–I co teraz będzie? – szepnął z udawaną powagą porucznik Merloni.

–Cicho, mądralo, daj mi pomyśleć... a może tam, Dan? Nieco w dół zбочa. Widzisz tę linię krzewów z wielkim drzewem przed nimi? Możemy tam się ukryć. Z dołu nie będą mogli nas zobaczyć, a my będziemy mieli wspaniałą widok na więzienie. Założę się, że będziemy mogli obserwować cały dziedziniec.

–Tak, możemy tam zostać spostrzeżeni tylko wtedy, kiedy ktoś na nas wdepnie – zgodził się porucznik Conway.

–Tak, ale my zobaczylibyśmy go dużo wcześniej.

–Ciekawe, ilu tam może być tych Chińczyków?

–Trudno powiedzieć – odrzekł Bennett. – Ale skoro jest tam setka więźniów, muszą mieć przez całą dobę ze trzydziestu wartowników na służbie. Na cztery zmiany to już jest sto dwadzieścia osób. Oprócz tego cała zbieranina innych

dudków: kierowcy, załogi patrolowca i śmigłowców, kucharze, łącznościowcy i Bóg wie kto jeszcze. Nie zdziwiłbym się, gdyby ich było na wyspie ze dwustu.

–O Jezu.

–No dobra, chłopaki. Sprawdźmy to wzgórze jeszcze raz lornetkami, potem podsuniemy się do krawędzi i zobaczymy, czy da się tam zorganizować punkt obserwacyjny. A propos, jestem wściekle głodny.

–Niech pan się nie martwi, sir – szepnął porucznik Merloni. – Pozbędę się tylko tego kaemu, zsunę się na dół i zamówię dla nas parę talerzy słodko-kwaśnej wieprzowiny. Woli pan ryż gotowany czy smażony?

Z wielkim trudem powstrzymali się od śmiechu, trzęsąc się i zasłaniając usta, niczym psotni uczniacy przyłapani przez dyrektora. Grzechotnik Davies dołał jeszcze oliwy do ognia, szepcząc:

–Nie ma takiej potrzeby. Mam radio, wywołam ich, chyba załatwią dostawę do domu...

–Dla mnie kurczak po syczuańsku, z dodatkową soją...

Komandor Bennett wiedział, że ludzie po prostu odreagowują w ten sposób długie godziny stresu, tłumienia naturalnego strachu i niepewności, czy wyjdą z tego żywi; wiedzieli przecież, że w razie zauważenia przez nieprzyjaciela zostaliby zastrzeleni na miejscu. Nie uważał za konieczne strofować ich za parę dowcipów na temat chińskiej kuchni.

–Uważajcie tylko, żeby nas nie załatwili – powiedział spokojnie. – Idziemy. Trzymać się nisko

i kurs na tę krawędź. Mogą tu mieć jakiegoś dupka z lornetką podobną do naszych, który łatwo nas

może dostrzec.

Dotarcie na miejsce zajęło im piętnaście minut – czołgali się wśród traw charakterystycznym stylem

SEAL. Można by stać o kilka metrów od nich i człowiek nawet by nie wiedział, że tam są; dopóki

by go nie zabili. Gęste krzaki rosnące wzdłuż krawędzi skalnej idealnie nadawały się do ich celów.

Można było w nich wyciąć niewielkie przesieki i obserwować z tej pozycji więzienie przez dzień i

noc, licząc wartowników, sprawdzając sposób zmiany warty, rozkład patroli, metodę oświetlania

terenu reflektorami, notując czas zapalania i gaszenia światła w budynkach, rozpoznając funkcję

każdego

z nich, a przede wszystkim ustalając, gdzie jest centrala łączności. Ją muszą zdobyć pierwszą

albo zginąć, kiedy nadciągną zaalarmowane duże siły wroga.

Ku swemu zadowoleniu odkryli wśród krzaków dwa niskie granitowe progi, które dawały

prawdziwą osłonę. Więzienie było nie dalej niż o dwieście metrów od nich, ale o ile nie będą mieli

diabolicznego pecha, nikt ich tu nie znajdzie. Listowie było tak gęste, a ich maskowanie tak profesjonalne, że nawet z powietrza z wielkim trudem można by ich dostrzec.

–Oczywiście nie wiemy, czy oni patrolują to wzgórze. Jeśli tak, to może będziemy musieli się stąd zabierać – zauważył porucznik Merloni. – Ja bym na ich miejscu tak robił. Gdyby to była Ameryka i trzymalibyśmy pod kluczem wnuka Mao Zedonga, rozstawiłbym wartę po całej okolicy przez całą dobę.

–I ja też – zgodził się Rusty. – Ale może oni tego zaniedbali. Niewykluczone, że nie mieści im się w głowach, by Amerykanie mogli podjąć taką akcję. No, ale przecież nie wiedzą, że mają w więzieniu Linusa Clarke'a, nie?

–I w tym cała rzecz – odezwał się Dan Conway. – Dlatego właśnie to robimy, i dlatego też są spore szanse, że nam się uda.

Nie po raz pierwszy już komandor porucznik Bennett pomyślał, że młody porucznik Conway znajdzie w Coronado na sam szczyt... jeśli wróci stąd żywy. Nadeszła pora na wydanie rozkazów.

–Podzielimy się teraz. Porucznik Conway, Bill i Buster są ze mną, reszta to druga grupa,

która teraz przygotowuje coś do żarcia... zwykle zimne porcje... i pójdzie spać do czwartej rano. Ja z

Busterem weźmiemy pierwszą wachtę, kiedy wytniemy sobie dziurkę do podglądania. Dan i Bill

ustawią kaem i będą czuwać za naszą redutą. Niech ktoś znajdzie laptop i przygotuje kamerę, żeby

była gotowa na pierwszy brzask. Słońce zaszło tuż przed dwudziestą. Na tej szerokości

geograficznej powinniśmy mieć około dziesięciu godzin nocy, zatem świt powinien nadejść o szóstej.

Buster Townsend wszedł w krzaki i nożycami ogrodniczymi cicho wyciął dwie szczeliny w zwartym listowiu. Wszys-276

cy spryskali się środkiem przeciw owadom, napili się wody i zjedli parę batonów o dużej zawartości protein, jakimi mieli się posilać przez następną dobę. Potem Rusty Bennett wsunął się w zarośla, oparł o skałę i wyregulował nocną lornetkę, trzymając w pogotowiu stoper. Buster usiadł za nim z laptopem, gotów zapisywać komentarz komandora. Po dziesięciu minutach Bennett zaczął mówić:

–Okay... na każdej z wież jest po dwóch wartowników. Jeden z nich obsługuje reflektor. Zapalają je co cztery minuty, światła nachodzą na siebie. Omiatanie całego dziedzińca zajmuje im czterdzieści pięć sekund. Przez dwie minuty i piętnaście sekund nie świecą w ogóle. W połowie wysokości wież są inne światła. Z dachu długiego budynku prowadzą drabiny. Mówię o północnej ścianie

kompleksu, obserwuję ją od zachodu. Odległość dwieście dziesięć metrów. Jest godzina pierwsza zero zero. Czterooosobowy patrol idzie dwójkami wzdłuż ściany... chyba głównego budynku więzienia. Przejście od końca do końca zajmuje im... dwie minuty i dziewięć sekund, jedna dwójka idzie od zachodu, druga od wschodu. Na cztery przejścia trzy razy zatrzymali się, żeby pogadać, co zwiększyło czas przejścia o trzy minuty Na wprost mnie, na prawo od głównego budynku stoi kwadratowy parterowy budynek z zapalonymi wszystkimi światłami. Jest usytuowany na prawo od głównego wejścia na teren więzienia. Jego drzwi są otwarte przez cały czas, odkąd tu jesteśmy. W ciągu ostatnich dwudziestu pięciu minut pięć osób z niego wyszło, a trzy weszły, ale mogli to być ci sami ludzie. Wszyscy byli w mundurach. Wnioskuje z tego, że to wartownia. – Rusty mówił powoli, beznamiętnym, ale czystym i równym głosem, aby przymocowany na jego szyi mikrofon mógł precyzyjnie przetworzyć go na zapis tekstowy w laptopie dla późniejszej transmisji satelitarnej. – O pierwszej dziesięć zauważyłem rząd czterech świateł przesuwający się na południe około pół mili na wschód od więzienia. Z mojego punktu mam widok na morze po przeciwnej stronie kompleksu, a zewnętrzny mur przesłania linię brzegową. Te światła muszą się znajdować na jakiejś łodzi patrolowej. Musimy potem sprawdzić, czy gdzieś na południu jest nabrzeże. Tu zaznaczyć gwiazdką.

Przez następną godzinę komandor Bennett opisywał te 277

same budynki, które wcześniej starali się zapamiętać Judd Crocker i Shawn Pearson – mały z antenami radiowymi, oświetlony tylko na parterze, drugi o wiele większy, w którym – w tych ścianach, które z ich kryjówek były widoczne -siedem okien jaśniało światłem, a dwa były ciemne. Na okrągłej przesiece zauważył dwa śmigłowce i zbiorniki paliwa. Najgorsze, że nie mógł dojrzeć, co robią patrole wychodzące poza mury więzienia. Przeszkadzały w tym korony gęsto ulistnionych drzew, prawie zupełnie zasłaniających widok.

–Widzę teraz dwójkę żołnierzy przechodzących na tle bramy, co jedenaście minut, zawsze z zachodu na wschód. Wniosek: patrol okrąży więzienie wzdłuż murów, ale będziemy musieli podejść tam bliżej i przekonać się naocznie. Nie mogę na razie powiedzieć, czy jest ich dwóch, czy może czterech. Zaznaczyć gwiazdką.

Godziny upływały jednostajnie. Dopiero za pięć czwarta coś się zaczęło dziać. Była to najwyraźniej zmiana warty. Najpierw Bennett zauważył wyjście czwórki mężczyzn z budynku straży. Stanęli w szeregu i ruszyli do aresztu. Poprzednia zmiana również ustawiła się w szyku. Wymieniono saluty i schodząca ze służby czwórka pomaszerowała na wartownię. Natychmiast kolejnych czterech żołnierzy wyszło przez bramę na zewnątrz.

–Okay, Buster. Zewnętrzny patrol jest na pewno czteroosobowy. Zmienili się za minutę czwarta. Główna brama więzienia otwiera się do wewnątrz. Wnioskuje, że jest tylko jedna, bo w przeciwnym razie użyliby jakiejś mniejszej furtki w murze. Sprawdzić rano. Zaznaczyć gwiazdką.

Foki też zmieniły wachtę o czwartej. Rusty i Buster byli zmęczeni prawie do wyczerpania. Owinęli się w wodoodporne pałatki i padli na ziemię, zasypiając niemal natychmiast. Wachtę objęli Paul

Merloni i McCarthy, przejmując obserwację i jej metodę. Porucznik dyktował swe spostrzeżenia,

bosman zajmował się komputerem. Poświęcili chwilę na przeczytanie notatek dowódcy na ekranie,

po czym zasiedli na pozycjach, by śledzić każdy ruch wokół więzienia, w którym zamknięty był

syn prezydenta Stanów Zjednoczonych, Linus Ciarkę.

W godzinę później, kilka minut po piątej, Paul zauważył 278

P

światła powracającego kutra patrolowego. Wiał lekki wietrzyk znad morza i porucznik posłyszał pomruk silnika z odległości jednej mili. Niestety, i on nie mógł dostrzec, gdzie kuter

zacumował. O szóstej wzeszło słońce, naprzeciw pozycji Paula. Pod tym kątem było jak czerwony reflektor skierowany w jego oczy, świecąc bezpośrednio nad dachem aresztu, i wszelka obserwacja przez następne pół godziny po prostu nie była możliwa, dopóki słoneczna kula nie wspięła się wyżej na nieboskłon.

O siódmej Paul miał już doskonały widok na cały kompleks więzienny i mógł zweryfikować położenie budynków na komputerowym planie. Zauważył też, że niezależnie od patrolowania od zewnątrz całego obwodu murów brama była obsadzona na stałe przez dwóch wartowników. Dwa razy zanotował wyjście obsługi naziemnej do śmigłowców i za każdym razem oba skrzydła bramy otwierały się i natychmiast za nimi zamykały. Dostrzegł też, że w głównym budynku więzienia są tylko dwa małe okna, najwyraźniej nie dające więźniom bezpośredniego światła dziennego. Patrząc tak z góry na tę spokojną scenerię, aż trudno było sobie wyobrazić, że w tym miejscu naprawdę więziona jest cała załoga amerykańskiego okrętu podwodnego.

Zmienili się ponownie o ósmej. Rusty zjawił się z Danem Conwayem, wciąż żując proteinowy baton.

–Posiedzimy tu jeszcze z godzinę – oznajmił – potem podejdziemy bliżej i dokonamy dokładniejszych pomiarów. Jeden zespół pójdzie na wybrzeże sprawdzić, co z tym patrolowcem, i wybrać miejsce lądowania dla głównego oddziału uderzeniowego na niedzielą noc. Chyba najlepiej będzie, jak ja to zrobię, żeby w razie czego mieli na kogo zwalić winę... Wszyscy zdajecie sobie sprawę, że główny oddział musi wylądować o wiele bliżej niż my. Będzie nas sześćdziesięciu czterech i im szybciej zajmiemy pozycje do ataku, tym lepiej. Chcę, żeby łodzie były nie dalej niż kilometr od celu, ale musimy pilnować tego pieprzonego kutra, zorientować się, o jakich porach w ciągu doby wychodzi na patrol i wraca. Trzeba też ustalić miejsce, z którego będziemy odpływać. Pamiętajcie, że ci faceci z więzienia mogą być bardzo

osłabieni, a jest ich ponad setka. Czeka nas potężny kawał roboty, by ich wszystkich odstawić na plażę i załadować do zodiaców. Pułkownik i Rick chcą to zrobić absolutnie skrycie, ale mam przeczucie, że będziemy musieli zabić cholernie wielu Chinoli, żeby z powodzeniem wykręcić ten numer. Tak czy owak, potrzebne są dwa miejsca desantu... jedno do lądowania, drugie do wycofania się, i to szczegółowo zbadane i opisane.

O ósmej trzydzieści wartownicy znów otworzyli bramę, pozwalając trzem umundurowanym Chińczykom wyjść. Dwóch miało czapki i niosło pliki dokumentów, podczas gdy trzeci miał na sobie tylko szorty mundurowe i rozpiętą pod szyją białą koszulę z pagonami. Był od pozostałych wyższy i miał jasne włosy, prawie nie spotykane wśród mieszkańców Chin. Łatwo było stwierdzić, że jest inny; prawdopodobnie był jednym z jeńców, choć z miejsca, gdzie siedział Rusty, niemożliwe było rozpoznanie Linusa Clarke'a.

Od chwili, kiedy załamał się na torturach, został odizolowany od reszty załogi i codziennie przewożono go śmigłowcem do Guangzhou, by wspomagał chińskich inżynierów w próbach skopiowania Seawolfa. Wydawało mu się, że alternatywą jest śmierć, a każdy człowiek, jak

sobie tłumaczył, ma prawo ratować własne życie na wszelkie możliwe sposoby. Dlatego także w ten jasny sobotni poranek wszedł do helikoptera i poleciał na stały ląd, z powrotem na okręt za miliard dolarów, za którego utratę ponosił osobistą i wyłączną winę, nie posłuchawszy rady zarówno oficera wachtowego Andy'ego Warrena, jak i doświadczonego szefa okrętu Brada Stocktona. Linusowi wciąż dźwięczały w uszach słowa Brada z tamtej nocy: „Chce pan, bym powiadomił dowódcę, że kręcimy się koło tyłka wielkiego chińskiego niszczyciela? Sądzę, że powinien o tym wiedzieć, sir... Sir, nie wiemy, jak długi jest ten sonar holowany... ten sonar holowany... sonar holowany...” To były ostatnie słowa, jakie słyszał przed zaśnięciem, i pierwsze, jakie przychodziły mu na myśl, gdy się budził. Z tymi słowami będzie musiał żyć do końca swoich dni... ile-kolwiek ich mu jeszcze pozostało. Siedział teraz, tępo wpatrując się w zielone zbocze góry, gdy śmigłowiec wzbijał się w górę niemal prosto nad kryjówką komandosów US Navy, którzy przybyli tu, by go ratować. 280

W pół godziny później z północnego wschodu nadleciał inny śmigłowiec. Rusty obserwował, jak zbliża się wprost ku niemu i w ostatniej chwili skręca nad samym więzieniem i ląduje na przesiece. Wysiadło z niego czterech mężczyzn, z których dwóch skierowało się prosto do głównego budynku,

a dwóch pozostałych, dźwigających skrzynki narzędziowe, poszło do centrali łączności. Rusty odgadł z zadowoleniem, że Chińczycy mają jakiś problem z radiostacją.

–Ten mały domek jest naszym największym problemem -powiedział sobie. – Jeśli o sekundę za późno go załatwimy, nadadzą sygnał i będzie po nas. Zaatakują nas z morza i z powietrza, i możemy nie ująć z tego z życiem. – Wystukał tę myśl dużymi literami na klawiaturze:
MUSIMY

**UDERZYĆ NA CENTRALĘ ŁĄCZNOŚCI, ZANIM ZROBIMY COKOLWIEK INNEGO –
TO**

NASZ CEL NUMER JEDEN. ZA WSZELKĄ CENĘ NIE DOPUŚCIĆ DO NADANIA

SYGNAŁU.

Sprawdził tekst, a porucznik Conway, oparty o skałę tuż obok niego, dodał jeszcze coś.

–Mamy jeszcze dwa inne cele równie ważne, sir, a może i trzy. – Tak?

–Śmigłowce mają radiostacje. Wiem, że nikogo w nich nie będzie, ale jeżeli któryś z chińskich oficerów okaże się sprytny... i żywy... po wysadzeniu przez nas centrali, pogna do któregoś z nich i włączy radio. Podobnie z kutrem patrolowym, który musi mieć łączność satelitarną. Ktoś będzie na nim czuwał. Nie możemy zakładać, że to dupek i nie nada natychmiast sygnału do Guangzhou.

–Masz rację, Dan – pochwalił go Rusty. – Czasami o podstawowych rzeczach, które pchają się same przed oczy, trzeba powiedzieć głośno, żeby je sobie uzmysłwić. A ty właśnie powiedziałaś. Zaraz to zapiszę.

–Niech pan pamięta jeszcze o czymś, sir.

–A mianowicie?

–Że gdyby pan nie wskazał głównego problemu, i ja bym o tym nie pomyślał, ani nie powiedział.

–To miłe z twojej strony, Dan. I świadczy o tym, że masz zadatki na świetnego dowódcę SEALs. Taki człowiek nie

281

6

potrzebuje osobistych zasług, ale satysfakcji z dobrej roboty To oznaka pewności siebie i braku

poczucia zagrożenia.

Rusty Bennett był zapalonym wojskowym psychologiem amatorem, nie tak świetnym jak

pułkownik Hart, ale dobrym. Wszyscy wiedzieli, że obaj z Rickiem Hunterem awansują na pełnych

komandorów natychmiast po zakończeniu tej misji... jeżeli ją wypełnią.

O dziewiątej Dan Conway zameldował o zamieszkaniu w budynku więzienia. Więźniów

wyprowadzono na dziedziniec i ustawiono w dwunastoosobowych szeregach. Inni wychodzili z

dwóch mniejszych budynków po obu stronach głównego, ale tych prowadzono pojedynczo.

Rusty

domyślił się, że w dużym są wspólne cele dla większości załogi, natomiast oba mniejsze służyły do

odosobnienia niektórych z nich, być może prowadzono tam przesłuchania.

Komandosi byli zbyt daleko, by rozpoznać oficerów Seawolfa, ale nie mieli już wątpliwości, że to

istotnie jest załoga okrętu – prawie wszyscy mieli wciąż na sobie 'mundury US Navy. Nawet z tej

odległości widać było, że niektórych potraktowano brutalnie. Trzej czy czterej musieli być

podtrzymywani przez kolegów, wśród nich i kapitan, mocno pobity w celi tortur. Brad Stockton

trzymał się na nogach przy pomocy Shawna Pearsona i Andy'ego Warrena. Wielki Tony Fontana

jakimś cudem nie popadł w kolejne tarapaty i wyglądał na całego i zdrowego.

Komandosi nie mogli wiedzieć, że komandor podporucznik Cy Rothstein zmarł w celi tortur

wskutek krwotoku we-wnętrzczaśkowego, kiedy mały porucznik żandarmerii o jeden raz za dużo

uderzył go kolbą w głowę. Po dwóch dniach ciągłego, bezlitosnego bicia nie powiedział swym

oprawcom niczego. Ten incydent potwierdził oczywisty fakt, że amerykańscy więźniowie nigdy już

nie mieli opuścić Chin, by móc opowiedzieć o swych przeżyciach. Admirał Zhang nie mógł do tego

dopuścić. Nawet ten władca wielkiego i udzielnego królestwa, jakim była jego marynarka wojenna,

wiedział, że światowe trybunały praw człowieka potrafią w tych czasach pokazać pazury, nawet

wobec najpotężniejszych. Wstrząsające widmo masakry na placu Tianan'men mimo upływu

siedemnastu lat wciąż prześladowe chińskich przywódców.

Na placu pojawiła się nowa postać. Komandor Li Zemin wyszedł z budynku łącznościowców i skierował się ku otwartej już dla niego bramie. Wkroczył na dziedziniec i pomaszerował przed front więźniów, najwyraźniej zamierzając do nich przemówić. Rusty i Conway nie słyszeli słów, ale ostry ton świadczył o ich gniewnej treści. Po paru minutach Li odwrócił się na pięcie i opuścił więzienie.

–Czy mam tego gnojka zastrzelić od razu, sir? – spytał porucznik Merloni.

–Świetny pomysł, Paul. Co wolisz, nagłą śmierć od kul chińskiego myśliwca czy sąd wojskowy po powrocie do domu? Jeśli wrócimy.

–Wolę sąd, choć z niewielką przewagą, sir.

Strażnicy ruszyli naprzód. Było ich trzydziestu; zaczęli wyciągać niektórych więźniów z szeregów i wyprowadzać ich w stronę innego dużego budynku, stojącego na wprost wartowni, jedynego, którego nie można było zobaczyć z kryjówki. Rusty miał jednak nadzieję, że przyjrzy mu się bliżej po południu lub wczesnym wieczorem. Kwadrans po dziesiątej komandor Bennett uznał, że pora ruszać.

–Nie widzieliśmy żadnych oznak świadczących o wysyłaniu patroli gdziekolwiek dalej niż w bezpośredniej bliskości murów – powiedział do swych ludzi. – Żaden ze strażników nie usiłował zapuszczać się w głąb lasu. I bardzo dobrze, bo mamy kupę roboty. My z Danem i moim zespołem

pójdziemy w las i ruszymy w stronę plaży, sprawdzimy ten kuter i nabrzeże, przy którym stoi.

Potem będziemy się trzymali niecały kilometr od więzienia, szukając miejsca lądowania dla głównego oddziału. Nie wiem, jak tam wygląda poszycie leśne, ale niewykluczone, że będziemy

musieli wyciąć jakąś ścieżkę dla chłopaków. Jak wylądują, będzie kompletnie ciemno. Trzeba ustalić jakiś punkt odniesienia i zapisać pełne współrzędne z GPS. Przygotowałem szkic i naniósłem miejsce, które zaproponował pułkownik Hart. Wystarczy sprawdzić, czy jest bezpieczne,

a jeżeli nie, to wyszukać inne. Mówię, żeby reszta z was wiedziała, gdzie pracujemy. Po zmierzchu

pójdziemy zbadać dno, bo nie wypada skierować naszych łodzi na jakieś skały. W tym czasie ty,

Paul, z bos-

manem McCarthym spróbujecie dokładnie pomierzyć więzienie i odległości między

poszczególnymi punktami. Postarajcie się ustalić wysokość murów, bramy i wież. Dobrze by było przyjrzeć się, jak ta brama jest zamykana, skoro mamy ją jutro rozwalić... myślę jednak, że użyjemy ładunku kablowego. Grzechotnik i John, zostaniecie tutaj i będziecie dalej obserwować więzienie. Zapisujcie wszelkie ich ruchy i wszystko, co się będzie działo. Zauważyłem przez lornetkę, że Chińczycy najwyraźniej próbowali oczyścić niektóre miejsca z roślinności, ale nie bardzo się do tego przyłożyli i na szczęście jest sporo dobrej osłony, w paru miejscach bardzo blisko murów. Zaznaczcie je na planie w laptopie. Tak więc Dan i bosman będą mogli podejść całkiem blisko... tylko, kurde, nie za blisko! Spotykamy się tutaj i porównujemy notatki, powiedzmy, o piętnastej.

–Okay, sir. No, to ruszamy.,

Rozdzielili się i sześciu z nich zniknęło między drzewami, okrężną drogą zmierzając do swych wyznaczonych rejonów. Wszystkie rutynowe zadania zostały wykonane bezszelestnie i tak, że nieprzyjaciel nie mógłby niczego zauważyć. Okazało się, że miejsce lądowania wybrane przez pułkownika Harta nadaje się do tego idealnie. Rusty z Busterem ustawili spory kamień przed ścianą drzew, tam gdzie zespół desantowy miał wejść w dżunglę. Następnie wycięli maczetami niewielką przesiekę w zaroślach, gdzie będą mogli się zebrać po lądowaniu i zorientować w sytuacji. O dwieście metrów od nich Bill leżał na brzegu płynącego na północ strumienia i obserwował teren od strony więzienia, wypatrując ewentualnych intruzów. Gdyby ktokolwiek zbliżał się albo do niego, albo w stronę plaży, miał się wycofać i spotkać z Danem Conwayem, który z kolei pobiegłby zaalarmować dowódcę i Bustera, by zaprzestali hałasu. Nikt jednak z Chińczyków nie wysuwał nosa nigdzie poza kompleks więzienny, z wyjątkiem rutynowych patroli wokół murów. Jak powiedział komandor Bennett, nie mieściło im się w głowach, by Amerykanie mieli zaatakować więzienie na tej odległej wysepce otoczonej tysiącami mil kwadratowych morza, pełnego okrętów chińskiej floty i odległej zaledwie o kilkadziesiąt mil od wielkiej bazy w Guangzhou. 284

Kiedy spotkali się w swej kryjówce na zboczu, mogli się podzielić mnóstwem zdobytych informacji. Kuter patrolowy wyszedł w morze krótko po dziesiątej i nie wrócił aż do czternastej. Cumował przy długim kamiennym pirsie znajdującym się o sześćset metrów od wyznaczonego miejsca lądowania. Kilku pletwonurków podpłynęło do kutra podczas lądowania i przyklei mu do dna miny magnetyczne z zapalnikiem czasowym ustawionym tak, by wybuchły w tym samym momencie, kiedy wylecą w powietrze oba śmigłowce i budynek centrali łączności. Wtedy będziemy już na terenie więzienia, pomyślał z nadzieją Rusty Bennett, a patrol zewnętrzny będzie nieżywy. Reszta może się okazać bardziej kłopotliwa. Ani trochę nie podobał mu się raport McCarthy'ego o wieżach strażniczych. Starszy bosman McCarthy był bardzo doświadczonym alpinistą i umiał po mistrzowsku zarzucać linę z kotwiczką, ale wyraźnie coś go niepokoiło.

–Mury są wysokie na pięć metrów, wzniesione głównie z gładkiego betonu, ale na samym szczycie mają drewnianą belkę. Mogę zarzucić kotwiczkę i wspiąć się na górę w minutę, ale czasu jest bardzo mało. Myślę, że musimy najpierw zlikwidować patrol na zewnątrz murów, a to niedobrze. Wolałbym, żebyśmy mogli posłać czterech ludzi niepostrzeżenie na mur, a potem po drabinach na wieże. Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, by któryś z wartowników na wieżach ich nie spostrzegł. Trzeba by wtedy ich zastrzelić, a to oznacza hałas dziesięć minut wcześniej, niż ktokolwiek może się dowiedzieć, że w ogóle tu jesteśmy. Moim zdaniem rozpaczliwie potrzebujemy tych dziesięciu minut, a jedynym sposobem na załatwienie tych z wieży po cichu jest zrobienie tego podczas deszczu. Radzę, aby poczekać, aż zacznie padać.

Rusty'emu ten pomysł się nie podobał, ale zrozumiał, o co bosmanowi chodzi.

–Hałas? – zapytał.

–Tak, sir. Kiedy mieliśmy ten ulewny szkwał koło trzynastej, leżałem w krzakach tuż pod północno-zachodnią wieżą. Byłem może o dziesięć metrów, po drugiej stronie ścieżki, obserwując wartowników. Jak tylko zaczęło padać, obaj włożyli plastikowe peleryny z kapturami i pewnie niewiele słyszeli. Sir, jeśli zaatakujemy podczas silnej ulewy, to sądzę, że

uda się nam tam wdrapać i wykończyć wartę, a potem przez parę minut omiatać dziedziniec reflektorami, jak gdyby to wciąż oni robili. Dałoby to naszym czas na pokonanie murów, załatwienie tego czteroosobowego patrolu wewnętrznego i unieszkodliwienie reszty na wartowni. W tym samym momencie wysadzilibyśmy w powietrze ich środki łączności. Ale jeśli zostaniemy zauważeni w pół drogi na wieże, to koniec, będziemy zmuszeni otworzyć ogień. A na wieżach jest telefon, widziałem okablowanie. Kiedy tylko naciśniemy spust, rozpęta się piekło. Będą mieli czas na przegrupowanie, zdążą ustawić parę kaemów i ściąć naszych na murze. No i będą mieli te dodatkowe minuty, by zaalarmować Guangzhou i ściągnąć posiłki. Wtedy klops. Nie wydostaniemy się stąd. Bennett zamyslił się.›

–Widzę, że powodzenie całej operacji zależy od tego, czy uda się po cichu zlikwidować wartowników na wieżach -stwierdził.

–Tak jest. A nie możemy użyć kotwiczek, by się na nie dostać, bo najpewniej trafilibyśmy kogoś w łeb.

–Czy masz jakieś sugestie?

–Tak, sir. Myślę, że powinniśmy posłać tam wcześniej czterech ludzi. Najlepiej będzie użyć drabin. Ciszej i szybciej. Mur ma wszędzie jednakową wysokość, więc potrzebować będziemy czterech pięciometrówek. Nic dłuższego, bo będzie wystawać ponad mur. Z tyłu dachu więzienia jest ponad-metrowy wolny pas, schowany zawsze w cieniu, dosłownie pod wieżami. Wartownicy nie mogą go widzieć. Chłopaki mogą wciągnąć za sobą drabiny na dach i uderzyć jednocześnie, wspinając się na wieże po ich bokach, akurat tam, gdzie nikt by się tego nie spodziewał.

–Aluminiowe drabiny lubią trochę pogrzechotać – zauważył kwaśno Rusty.

–Nie wtedy, gdy są ultralekkie i owinięte w miękką, czarną tkaninę. Ci strażnicy nie są nadzwyczaj czujni. Siedzą tam po prostu, śmiertelnie się nudzą i próbują chronić się przed zmoknięciem. Nie zdziwiłbym się, gdyby jeden z nich spał, podczas gdy drugi kręci reflektorem.

Gdybyśmy mogli poczekać na deszcz, sir, to jestem przekonany, że nam się uda. 286

m V

–Nie jestem pewien, czy mamy wybór. I zgadzam się z tobą. Musimy zlikwidować wartowników z wież i zrobić to cichaczem.

–Jeżeli tego dokonamy, to chłopaki będą mogli po cichu załatwić patrol na dole, a potem rozpieprzyć wartownię. Gdy tylko usłyszymy eksplozję, rozwalamy śmigłowce, kuter i centralę. Przy dozie szczęścia nie zdążą nadać ani kawałka sygnału.

–I to byłoby fantastyczne, bo dałoby nam całą godzinę na spokojną ewakuację.

–Aż takim optymistą bym nie był – orzekł bosman. – Przez jakiś kwadrans to raczej będzie niezła wojenka.

–Tak. A teraz mamy jeszcze dwie rzeczy do zrobienia. Po pierwsze, ten duży budynek naprzeciw lądowiska. Nie wiemy dotąd, co tam się mieści. Po drugie, trzeba się przekonać, czy patrolowiec idzie w morze także wieczorem. Wiemy, że nad ranem wypływa. W tym czasie musimy obserwować ten budynek; pójdziemy na dół, kiedy się ściemni. Na szczęście to najdalszy punkt od głównej trasy patrolu.

I tak po zapadnięciu zmroku Foki ponownie zanurzyły się w las; klucząc, dotarli pod więzienie i na

przystań. Znow padło, dzięki czemu mieli ułatwione, choć mniej przyjemne zadanie. Rusty,

Grzechotnik i Buster znaleźli odpowiednią pozycję na tyłach budynku i szybko ustalili, że to

kwatery oddziału wartowniczego. Rusty'emu niezbyt odpowiadał pomysł zabijania ludzi podczas

snu, ale gdyby ich zostawić przy życiu, włączyliby się do akcji i zaczęli zabijać Amerykanów. Jak

zwykle podczas operacji oddziałów SEALs, możliwe było jedynie działanie bezpardonowe,

drastyczne. Trochę złuzujesz, i możesz się spodziewać własnej śmierci.

Mieli trochę czasu na zastanowienie się nad sytuacją, podczas gdy mierzyli stoperem czas zmiany

warty, co nastąpiło o dwudziestej. Przed kwaterą trzymał straż tylko jeden żołnierz, zmieniany co

dwie godziny. Drzwi były przeważnie otwarte, ukazując siedzących wewnątrz mężczyzn wolnych

od służby.

I wtedy, dokładnie dziewięć minut po dziewiątej, zdarzył się ten jeden na milion, nieoczekiwany

wypadek. Wartownik nagle ruszył wprost ku miejscu, gdzie kryli się Amerykanie.

Zobaczyli go wszyscy Byli zaledwie o czterdzieści metrów od jego posterunku i w świetle padającym z otwartych drzwi zauważyli, że karabin trzyma na pasie na ramieniu, a drugą ręką

manipuluje przy rozporoku. Facet po prostu szedł „na stronę”. Komandosi zamarli w bezruchu.

Wartownik szedł prosto na Rusty'ego, który rozplaszczył się na ziemi twarzą w dół. Pozostali dwaj

byli o metr od niego i nie było już żadnej możliwości manewru. Nie mogli uciec ani nawet odczołgać się z powrotem do lasu, bo zostaliby zauważeni. Zastrzelić go nie mogli z uwagi na

hałas, a nawet ogłuszenie go bądź uduszenie nie wchodziło w rachubę, bo jego zniknięcie zostałoby

sposrzeżone. Jasna cholera, pomyślał Rusty, on wlezie prosto na nas!

I miał rację. Wartownik, gotowy już, by wycelować w krzaki, stanął Rusty'emu na nogę. Musiał się

domyślić, że to czyjeś ciało, choć Bennett ani drgnął. Żołnierz odwrócił się zaskoczony, jak gdyby

chciał krzyknąć, ale nie zdążył. Grze-chotnik był już za nim i przeciągnął mu nożem po szyi,

przecinając mu tchawicę, tętnicę szyjną i struny głosowe jednym wprawnym ruchem. Chińczyk

zmarł, zanim upadł na ziemię, ale nie wydał z siebie głosu. No i zwiadowcy mieli poważny problem.

Komandor Bennett natychmiast przejął inicjatywę.

–Szybko, bierzcie go we dwóch za ramiona i do lasu z nim. Uważajcie, na Boga, żeby się nie usmarować krwią. Ostrożnie, chłopcy... Dalej, dalej... odciągnijcie go z widoku.

Zatrzymali się po czterdziestu metrach.

–Stop! – syknął dowódca. – Teraz największe niebezpieczeństwo przedstawia ta smuga krwi.

Musimy się jej pozbyć. Buster, leć na wzgórze i przynieś maczetę, nożyce, dwie saperki i jedną z

tych podgumowanych płacht.

–Tak jest, sir!

Zajął mu to dziewięć minut. Wśliznął się między nich tak cicho, że nikt go nie spostrzegł, dopóki nie stanął tuż obok Grzechotnika.

–Jezu, Buster, skądżeś się tu, do diabła, wziął?

–Tylko sobie ćwiczę.

–Okay, chłopaki. Nie damy rady wyczyścić tej gęstwiny jak dywanu, więc zamiast tego ukryjemy ślady. Utnijcie tro-

chę palmowych liści, to je rozrzucimy na trawie tam, gdzie on upadł. Tutaj nie jest tak źle, to miękka ziemia. Nie dowiedzą się, co się z nim stało, i wątpię, by zaczęli go szukać przed świtem.

My tymczasem zaciągniemy go na plażę i zakopimy głęboko. Zdejmiemy mu buty, czapkę i karabin i położymy gdzieś na widocznym miejscu. Przy odrobinie szczęścia pomyślą, że poszedł się wykąpać i utonął albo zdezerterował.

Spokojna dotąd noc zmieniła się w wielce niebezpieczną sytuację. Wszyscy byli zmęczeni, kiedy

skończyli kopać grób, a potem jeszcze przemaszerowali dziesięć kilometrów do punktu spotkania,

ale była już północ i ósemka zwiadowców musiała odpłynąć. Przekazali komputer z notatkami i

planami komandorowi Davidsonowi i zapowiedzieli, że jak wszystko będzie grało, wrócą około dwudziestej trzeciej na miejsce desantu zgodnie z planem.

Komandor Davidson ze swymi ludźmi mieli za sobą nudne trzydzieści sześć godzin. Nie widzieli

nikogo, ale około dwudziestej pierwszej spostrzegli kuter patrolowy, płynący o milę od brzegu.

Według połączonych informacji z satelity i z laptopa Rusty'ego powinien on ponownie wyjść w morze o pierwszej nad ranem i wrócić na przystań o piątej. Była to odpowiednia chwila, by ustawić

antenę satelitarną i wysłać meldunek do pułkownika Harta.

Olaf i Sum poszli z komandorem Bennettem i jego ludźmi nad wodę, gdy tylko tamci przebrali się

w kombinezony. Mieli z sobą liście palmowe do zatarcia śladów na piasku. Uścisnęli sobie dłonie i

po chwili, w strugach drobnego deszczu, ośmiu zwiadowców ruszyło w wodę, niosąc swe deski i

oddychając już w aparatach Dragera. Bezgłośnie wsunęli się w głębię i popłynęli ku
oczekującemu

ich SDV, wysyłającemu co trzydzieści sekund dyskretny sygnał sonarowy, dzięki któremu
mogli go

łatwo odnaleźć.

Niedziela, 16 lipca 2006 r., godzina 9.39. Biuro dowódcy Floty Południowej, Zhanjiang

Admirał Zhang był zamyślony. Wraz z admirałem Zu Jicai patrzyli na codzienny raport od
komandora Li Zemina. Nie

289

chęć palmowych liści, to je rozrzucimy na trawie tam, gdzie on upadł. Tutaj nie jest tak źle, to
miękką ziemią. Nie dowiedzą się, co się z nim stało, i wątpię, by zaczęli go szukać przed
świtem.

My tymczasem zaciągniemy go na plażę i zakopimy głęboko. Zdejmiemy mu buty, czapkę i
karabin i położymy gdzieś na widocznym miejscu. Przy odrobinie szczęścia pomyślą, że
poszedł się

wykąpać i utonął albo zdezerterował.

Spokojna dotąd noc zmieniła się w wielce niebezpieczną sytuację. Wszyscy byli zmęczeni,
kiedy

skończyli kopać grób, a potem jeszcze przemaszerowali dziesięć kilometrów do punktu
spotkania,

ale była już północ i ósemka zwiadowców musiała odpłynąć. Przekazali komputer z notatkami
i

planami komandorowi Davidsonowi i zapowiedzieli, że jak wszystko będzie grało, wrócą około
dwudziestej trzeciej na miejsce desantu zgodnie z planem.

Komandor Davidson ze swymi ludźmi mieli za sobą nudne trzydzieści sześć godzin. Nie
widzieli

nikogo, ale około dwudziestej pierwszej spostrzegli kuter patrolowy, płynący o milę od brzegu.

Według połączonych informacji z satelity i z laptopa Rusty'ego powinien on ponownie wyjść w

morze o pierwszej nad ranem i wrócić na przystań o piątej. Była to odpowiednia chwila, by ustawić

antenę satelitarną i wysłać meldunek do pułkownika Harta.

Olaf i Sum poszli z komandorem Bennettem i jego ludźmi nad wodę, gdy tylko tamci przebrali się

w kombinezony. Mieli z sobą liście palmowe do zatarcia śladów na piasku. Uścisnęli sobie dłonie i

po chwili, w strugach drobnego deszczu, ośmiu zwiadowców ruszyło w wodę, niosąc swe deski i

oddychając już w aparatach Drägera. Bezgłośnie wsunęli się w głębie i popłynęli ku oczekującemu

ich SDV, wysyłającemu co trzydzieści sekund dyskretny sygnał sonarowy, dzięki któremu mogli go

łatwo odnaleźć.

Niedziela, 16 lipca 2006 r., godzina 9.39. Biuro dowódcy Floty Południowej, Zhanjiang

Admirał Zhang był zamyślony. Wraz z admirałem Zu Jicai patrzyli na codzienny raport od komandora Li Zemina. Nie

zawierał nic szczególnego, wymieniał niektóre co ważniejsze informacje, jakie udało im się wycisnąć z więźniów, oraz typowe ogólne dane na temat aktualnego stanu jednostki i jej tymczasowego miejsca postoju: koszty, zapotrzebowania, przyjazdy i odjazdy. Na samym końcu zamieszczony był ustęp, który nie powinien budzić niczyjego niepokoju. Brzmiał on następująco: „Jeden z wartowników, stojący na posterunku przy koszarach, zaginął. Nie stawił się na służbę o 0200, a jego łóżko pozostało nietknięte. Po świcie dokonaliśmy dokładnego przeszukania i natrafiliśmy na jego buty, skarpety, spodnie, czapkę i karabin na plaży. Nie było jednak ani śladu po nim samym i dlatego doszliśmy do wniosku, że późnym wieczorem poszedł się wykąpać dla ochłody i albo utonął, albo zdezerterował. Zaalarmowaliśmy policję na Shangchuan Dao, by zwracała uwagę na ewentualne wypłynięcie zwłok na zachodnim brzegu wyspy,' jako że tam właśnie powinien go wyrzucić prąd pływowy”.

Admirał Jicai przeczytał raport uważnie, robiąc na boku notatki dotyczące kosztów i zapotrzebowań, i dopiero po chwili, jakby po namyśle powiedział głośno:

–Stracili żołnierza ostatniej nocy. Wygląda na to, że się utopił albo zdezerterował. Jego ubrania znaleziono na plaży

Zhang wyciągnął rękę, pytając: -r Mogę zobaczyć?

–Naturalnie. To ostatni ustęp.

–Hmm... To raczej niepokojące. Ten człowiek mógł być amerykańskim agentem, pracującym przeciwko nam. Mógł w jakiś sposób przekazywać CIA informacje o więźniach.

–Ach, Yushu... Wszędzie widzisz Amerykanów.

–Doprawdy?

–No, parę dni temu zdecydowałeś się odbudować cały zespół więzień w Chongqingu na wypadek, gdyby Amerykanom zachciało się zaatakować Xiachuan Dao i odbić załogę.

–Tak, zrobiłem to – potwierdził Zhang. – I cały czas działam w oparciu o takie założenie. Amerykanie nie cofną się przed niczym Obaj się o tym przekonaliśmy w bolesny sposób.

–Zdaję sobie z tego sprawy, Yushu. Ale próbuję to wszystko przeanalizować z punktu widzenia wojskowego prawdopodobieństwa. Postaw sobie pytanie: ilu ludzi według ciebie 290

potrzeba, aby pokonać nasze oddziały? I jakże się oni mieliby tam dostać? I skąd niby mogli się dowiedzieć, że załoga Seawolfa w ogóle tam jest? Mógłbym jeszcze dodać: jak poradziliby sobie z ewakuacją wszystkich? Potrzebny jest do tego duży okręt, a tam woda jest za płytka, poza tym zawczasu byśmy wykryli, że próbuje podejść pod wyspę. Całe godziny wcześniej,

niżby tam dotarł. Moim zdaniem, patrzysz na sytuację niemożliwą z wojskowego punktu widzenia. I jak zawsze, mój Yushu, wpatrujesz się w nią aż za intensywnie.

–Intensywne wpatrywanie się w sprawy jest moim zadaniem. Taka jest moja misja wobec chińskiego narodu. A ta historia z topielcem wcale mi się nie podoba. Pokaż, niech spojrzę jeszcze

raz...

Zu Jicai podał mu faks i naczelny dowódca przeczytał go powoli, spacerując po biurze ze zmarszczonym czołem.

–Przede wszystkim chciałbym, abyś zebrał wszystkie dane o tym człowieku. Skąd pochodzi, gdzie mieszka, rodzina, historia, czas służby... sprawdź, czy gdziekolwiek istnieje choćby cień dowodu, że mógłby się kontaktować z Amerykanami.

–Dobrze. Myślę, że większość strażników pochodzi z Floty Południowej, czyli że jego teczka powinna być tu, w Zhanjiang. Wówczas będziemy ją mieli w ciągu kwadransa. – To powiedziawszy, wezwał adiutanta, wręczył mu faks i polecił: – Zadzwoń na Xiachuan, Li, i zapytaj o nazwisko tego człowieka, o którym mowa na końcu, a potem wyciągnij mi jego akta, powinny u nas być. Jeżeli nie ma, to dzwoń do Szanghaju i każ im to załatwić w try miga. Powiedz, że to rozkaz naczelnego dowódcy.

Dwaj admirałowie czekali w milczeniu, sącząc herbatę. Po dwunastu minutach przyniesiono teczkę osobową zaginionego żołnierza. Zu Jicai przejrzał ją, odczytując na głos skrót zawartych w niej informacji.

–Miał dwadzieścia osiem lat, żonaty, jedno dziecko. Mieszkają w Guangzhou. Jako najbliższa rodzina zapisana jest żona. Rodzice mieszkają w twoim rodzinnym Xiamenie. On sam też się tam

urodził i wychował. Służył na niszczycielach... o ile mogę się z tego zorientować, nigdy nie opuszczał chińskich wód.

–A jego żona?

–To samo. Też pochodzi z Xiamenu. Niezbyt wykształcona. Przeprowadziła się do Guangzhou, kiedy jego tam przeniesiono. Nie składali żadnych podań o przyszłe zmiany zawodu. Nie wygląda mi na typowego kandydata na agenta CIA – dodał z przekąsem.

Admirał Zhang uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia.

–Nie. Tu się z tobą zgadzam. Ale coś mi nie daje spokoju. Ten raport szczegółowo wymienia, co z jego ubrania znaleziono na plaży, włącznie ze skarpetkami. Ale nie ma tu mowy o jego koszuli ani kurtce mundurowej.

–I co z tego?

–Kto idzie się kąpać w koszuli i kurtce, zdejmując przedtem buty, skarpetki spodnie i czapkę?

–zapytał Zhang.

–No, mógł nie mieć na sobie kurtki.

–To prawda. A w takim razie powinna ona być w jego pokoju.

–Jeżeli zaś jej tam nie ma, to jaki stąd wniosek?

–Żaden, doprawdy. Tylko że mógł zostać zastrzelony albo zakłuty nożem, mundur został zalany krwią, a zabójca podrzucił część jego ubrań na plaży po to właśnie, aby wszyscy pomyśleli, że utonął, ciało zaś ukrył lub zakopał wraz z zakrwawioną koszulą i kurtką

–Czy kiedykolwiek słyszeliście o Li Changu, towarzyszu admirale?

–Oczywiście. To słynny chiński detektyw z filmu.

–Nie miał on ani w połowie tak bujnej wyobraźni jak ty, Yushu. Admirał Zhang roześmiał się.

–Ja tylko gram rolę adwokata diabła – zauważył. – Ale naprawdę zastanawiam się, dlaczego ktokolwiek miałby urządzić sobie nocną kąpiel w kurtce mundurowej.

–Może chciał popełnić samobójstwo, Yushu. Nie zdjął jej, by namoknięta ciągnęła go w dół.

–Gdyby chciał zakończyć życie, z pewnością rzuciłby się w wodę w całym ubraniu. Po co wtedy miałby zdejmować buty i spodnie?

–No, tak. Zgadza się. Ale to wszystko tylko przypuszczenia. 292

–Rozumiem to, Jicai. Ale zadzwońmy do komandora Li, niech zarządzi rewizję w jego pokoju i zobaczy, czy jest tam koszula i kurtka. Może po prostu zdjął je i poszedł na plażę przez nikogo nie zauważony.

–Oczywiście, zrobię to. Ale i tak jakoś nie mogę uwierzyć, że mógł być amerykańskim szpiegiem albo że w dżungli na Xiachuan Dao grasuje maniackalny morderca, zabijający uzbrojonych i wyszkolonych żołnierzy republiki ludowej.

–Chyba że Amerykanie już tam wylądowali, Jicai.

–Wylądowali?!

–No cóż, zdarzały się dziwniejsze rzeczy. Oczywiście wiem, że niewielkie jest prawdopodobieństwo mojej historii. Ale może tak być i musimy posprawdzać wszystko przy takim założeniu... nie chodzi o to, co jest prawdopodobne, ale o to, co mogłoby się zdarzyć.

–Nie dziewięćdziesiąt dziewięć, ale ta jedna szansa?

–Właśnie.

Upłynęło kolejne kilkanaście minut, zanim adiutant wrócił z faksem od komandora Li, który pisał: „Rewizja zakończona. Nie znaleziono koszuli ani kurtki”.

–To znaczy, że zginął ubrany w koszulę i kurtkę – podsumował admirał Zhang. – Albo w wodzie, albo z rąk mordercy. A może z rąk obcego wojska?

–Oczywiście mógł go zabić jeden z kolegów.

–Tak, mógł.

–Co zatem chcesz, abym zrobił w tej sprawie?

–Nic więcej, przyjacielu. Jednak zniknięcie tego żołnierza nie daje mi spokoju i chyba długo nie da. I dlatego chcę jak najbardziej przyspieszyć ewakuację Amerykanów z tej narażonej na atak wyspy.

–Chcesz powiedzieć, że naprawdę kazałeś otworzyć na nowo więzienia pod Chongajngiem?

–Kazałem. Przed sześcioma dniami.

–I jest gotowe na przyjęcie więźniów?

–Będzie we wtorek. Ale już zdecydowałem zabrać ich z wyspy jutro o pierwszym brzasku.

Pojadą drogami i przejazd przez góry zajmie im dwa dni. I wtedy moje zmartwienia się skończą. Bo wtedy Amerykanie będą w miejscu, gdzie nikt ich nie odnajdzie nawet za sto lat.

ROZDZIAŁ 9

Dwa dni przed odlotem drużyny zwiadu na Xiachuan Dao pierwsza część dwustronnego ataku admirała Morgana na chińską marynarkę wojenną weszła w fazę operacyjną. Było to w środę dwunastego lipca w południe, w tej samej chwili, gdy pierwsi komandosi lądowali na pokładzie lotniskowca; tylko że działo się to o dziesięć tysięcy kilometrów stamtąd, w strefie czasowej wcześniejszej o trzynaście godzin, w słonecznym kalifornijskim mieście San Diego. John Bergstrom wybierał się do zoo. Znalazłszy się w rozległym centrum kultury Balboa Park, król Fok zdążył już oddać hołd przed pomnikiem weteranów wojennych i szedł leniwym krokiem aleją Zoo Drive, zmierzając do małpiarni, stojącej vis-a-vis klatki z niedźwiedziami. Miał na sobie białe szorty i ciemnoniebieską koszulę tenisową, a na bosych nogach buty żeglarskie. W prawej ręce niósł plastikową torbę na zakupy, w której znajdował się nowiutki magnetofon kasetowy, jeszcze w oryginalnym białym kartonie. Kontradmirał Bergstrom, opalony, smukły mężczyzna o lekko siwiejących włosach wyróżniał się z tłumu bijącą od niego pewnością siebie i autorytetem człowieka nawykłego do posłuszeństwa innych.

Miejsce przed klatką z szympanсами, gdzie kręciło się pełno turystów, nie było dla niego naturalnym otoczeniem. Siedział jednak teraz na ławce właśnie tam, jako element skomplikowanego planu ataku na chińską marynarkę, oczekując biernie przybycia niejakiego Richarda White'a, czterdziestotrzyletniego bankowca inwestycyjnego z oddziału Bank of California w Hongkongu. Tak jak John Bergstrom, White również niezupełnie był tym, za kogo ludzie go uważali; miał za sobą dwadzieścia lat tajnych operacji na rzecz CIA na Dalekim Wschodzie. Nawet zarząd banku nie miał pojęcia o działalności pana White'a. Bergstrom wiedział, że 294

kiedy bankowiec się pojawi, wraz z nim przybędzie trzecia osoba, niejaki pan Honghai Shan z Chińskiego Międzynarodowego Biura Podróży. Wracali do Hongkongu razem z Richardem White'em, ale to właśnie ten rodowity mieszkaniec Kow-loonu miał przenieść magnetofon admirała przez znany z czujności celników punkt graniczny na lotnisku Chek Lap Kok.

Tu, na ławce w zoo, pod torem Skyfari, napowietrznej kolejki sunącej co dwadzieścia minut nad drzewami i oferującej widok z lotu ptaka na lwy i inną dziką zwierzynę, miało się odbyć przekazanie „fantu”. Richard White miał przejąć magnetofon i przedstawić admirałowi dzielnego

agenta amerykańskiego, którego praca dla oficjalnego „zewnątrznego ramienia” chińskiego przemysłu turystycznego czyniła go praktycznie nietykalnym dla urzędu celnego w Hongkongu. Jego rodzice, nauczyciele, zostali zamordowani przez Czerwoną Gwardię madame Mao podczas rewolucji kulturalnej w latach sześćdziesiątych; Honghai od chłopięcych lat pracował jako łącznik dla CIA. Za trzy lata od tej chwili miał wraz z żoną osiąść w domu na wzgórzach La Jolla, podarowanym przez wdzięczną Agencję.

Nadeszli osobno, Amerykanin pierwszy. Natychmiast usiadł na ławce Bergstroma i zaczął czytać „Wall Street Journal”. Zza tej papierowej zasłony przywitał się słowami:

–Czołem, admirale. Jestem Rick White. Shan będzie tu za moment.

Bergstrom nie dał po sobie poznać, że dosłyszał. Trzy minuty później nadszedł z wolna nienagannie ubrany chiński biznesmen, mimo ponadtrzydziestostopniowego upału w kremowym garniturze, i usiadł na przeciwnym końcu ławki, studiując przewodnik po zoo, zapewne w poszukiwaniu klatki z pandami. Wciąż schowany za płachtą dziennika White po cichu dokonał prezentacji.

–Admirale, to jest Honghai Shan, nasz wielce zaufany człowiek. Lecimy razem do

Hongkongu. Ja będę miał paczkę cały czas przy sobie, ale kiedy będziemy wysiadać z samolotu,

pójdziemy osobno i Shan ją przeniesie przez komorę celną, a potem podrzuci mi do biura.

Bergstrom nic nie odpowiedział. Wstał z miejsca i odszedł, pozostawiając na ławce plastikową torbę. W chwilę po nim

Richard White ją podniósł i skierował się powoli ku pomnikowi weteranów, ale zanim do niego doszedł, wsunął się do czarnego samochodu, który powiózł go do Lindbergh Field,

międzynarodowego portu lotniczego San Diego. Honghai pojechał innym wozem, ciemnozieloną limuzyną, która pomknęła prosto na autostradę prowadzącą na lotnisko w Los Angeles. Spotkali się dopiero na sąsiednich fotelach w lecącym do Hongkongu samolocie United Airlines. Magnetofon spoczywał na podłodze obok nogi White'a. Samolot wystartował do szesnastogodzinnego lotu o dwudziestej drugiej w środę, ale na skutek różnicy czasu, wynoszącej również szesnaście godzin, mieli wylądować w Chinach o szóstej rano w piątek. Dwaj amerykańscy agenci rozmawiali cicho o życiu w Hongkongu, o dawnych czasach brytyjskich rządów i o stale rozbudowującej się chińskiej armii. Byli starymi przyjaciółmi i już wcześniej wystawiali się na niebezpieczeństwa, ale dla obu otrzymana od Johna Bergstroma paczka, którą za wszelką cenę musieli przemycić do Hongkongu, miała w sobie coś śmiertelnie groźnego.

Shan się nie obawiał. Jako wyższy urzędnik chińskiego biura podróży przyczyniał się do napływu milionów dolarów rocznie do republiki ludowej. Był uprzywilejowanym podróżnikiem i miał wielu przyjaciół w najwyższych kręgach partii komunistycznej. Większość celników dobrze wiedziała, kim jest, i całe lata upłynęły, odkąd ostatni raz poproszono go o otwarcie walizki, nie mówiąc już o jej przeszukaniu. Prawdopodobieństwo, że którykolwiek z nich będzie chciał zajrzeć do plastikowej torby, było znikome. Prawdopodobieństwo otwarcia oryginalnie zapakowanego kartonu, a zwłaszcza próby rozmontowania nowego magnetofonu było zbyt małe, by brać je w rachubę. I tak też było. Honghai Shan przeszedł przez granicę celną, nie zatrzymując się, pozdrowiony ukłonem przez celnika. Walizkę Ricka otworzono, ale nie przeszukiwano jej. Obaj dotarli do domów o ósmej rano. O dziewiątej trzydzieści Shan wyszedł ze swego biura na dziesiątym piętrze budynku Swire House przy Chater Road i żwawym krokiem ruszył do siedziby Bank of California. Tam w hallu spotkał się z Richardem White'em i wręczył mu paczkę, którą przewieźli przez 296

pół świata. Uśmiechnęli się do siebie, podali sobie ręce i Amerykanin pospieszył do siebie, zapowiadając sekretarce, mówiącej po chińsku rozwódce z San Francisco nazwiskiem Su-zie Renrui, że nie ma go dla nikogo. Zamknął za sobą drzwi na klucz i rozpakował magnetofon. Wyjął niewielki śrubokręt i zaczął wykręcać drobne śrubki łączące dwie części obudowy. W środku nie było elektronicznych podzespołów, tylko dwie zapieczętowane czarne torebki foliowe, przemyślnie wpasowane do wnętrza urządzenia. Jedna z nich zawierała ciężkie, piętnastocentymetrowe pudełko, szerokie na dziesięć i grube na trzy centymetry. W drugiej znajdowało się inne, kwadratowe pudełko i coś w rodzaju obiektywu fotograficznego oraz nieco przewodów i śrub, które grzechotały

w środku. Rick White nie wiedział, co to naprawdę jest, i nigdy się nie dowiedział. Z torby wyjął pięknego arbuza, którego wcześniej przeciął, wydrążył i dokładnie wysuszył. Ułożył

ostrożnie obie torebki w skorupie, przykrył drugą połową tak, że trudno było dostrzec linię cięcia. Raz jeszcze zajrzał do rozkręconego „magnetofonu” i znalazł tam to, czego szukał: małą rolkę czarnożółtej taśmy samoprzylepnej. Rozwinął ją, oderwał papier ochronny i starannie skleił obie połówki arbuza, który teraz nosił napis „Owoc z południowych Chin”. Zapakował magnetofon z powrotem do kartonu i wyszedł z biura, w osobnej torbie zabierając arbuza. Zapowiedział Suzie, że nie będzie go tylko przez dwadzieścia minut. Po drodze do windy wrzucił karton do zsypu prowadzącego do znajdującej się w podziemiu spalarki śmieci. Znalazszy się na zewnątrz, ruszył szybko elegancką aleją między drapaczami chmur, po czym wkrótce skręcił w bardziej zaciszne uliczki. Zdążając ku rojnemu rynkowi przy Li Yuen i Wing Sing Street, kluczył wśród spieszących we wszystkie strony klientów. Odszukanie stoiska pod szyldem „Jian Shuai, Owoce i Warzywa”, na które składały się trzy długie wózki dwukołowe uginające się pod wszelkimi możliwymi produktami, zajęło mu dziesięć minut. Na jednym z wózków piętrzył się stos arbułów z czar-nożółtymi taśmami Korporacji Owocowej Południowych Chin. Sam pan Jian wyszedł mu na spotkanie.

–Dzień dobry, panie White. Proszę nadstawić torbę – powiedział, wybierając dwa dorodne owoce i wkładając je zrzecz-297

nie do plastikowej torby. Ruchy miał tak szybkie, że nawet sam Rick nie spostrzegł, kiedy wyjął jego własnego arbuza i odłożył go na brzeg straganu. Po chwili podawał klientowi garść monet, mówiąc: – Oto pańska reszta, panie White. Bardzo dziękuję. Słucham panią? – Jednym tchem zwrócił się do następnej klientki. – Trochę groszku śnieżnego? Ach... doskonały wybór... Rick White zniknął w tłumie, kierując się z powrotem do banku. Wróciwszy do swego biura, podarował Suzie dwa świeżo kupione arbuzy i zabrał się do pracy. Jego zadanie dla rządu amerykańskiego było wykonane.

W wąskiej przecznicy odchodzącej od Li Yuen Street pan Jian Shuai na chwilę przekazał interes żonie i dwóm córkom, a sam zapakował do kartonu trochę towaru: czereśnie, groszek, paprykę, trochę ryżu i owoców liczi, szpinak, brokuły i jednego arbuza. Wciąż w swym białym fartuchu poniósł go przed siebie, na ulicy zatrzymał taksówkę i kazał się zawieźć do Aberdeen, dzielnicy leżącej na południowo-zachodnim wybrzeżu, kilka kilometrów dalej. Absolutna, zdawałoby się, niemożliwość znalezienia kogokolwiek wśród tego nawodnego szaleństwa zatłoczonych dżonek i sampanów – domów osiemdziesięciu tysięcy ludzi – bynajmniej nie spieszyła Shu-aia. Szedł pewnie przez tętniące rozgorączkowanym handlem uliczki, drewniane pomosty, uchylając się przed furgonetkami i rowerami dostawców, które przeciskały się ciasnymi przejściami, mijając pływające restauracje z widokiem na nieprzerwany ruch statków, stateczków, dżonek i łodzi sunących przez cieśninę East Lamma Channel. Szukał dużej dżonki należącej do jego przyjaciół, Quinleia Zhao i Kexionga Gao, hurtowników owocowo-warzywnych.

Ci dwaj ludzie byli znanymi na tych wodach kupcami, skupowali owoce od wszystkich chłopów z rozsianych po delcie żyznych wysepek. Ich statek był solidnym kilkunastometrowym żaglowcem, który przy porządnym wietrze z baksztagu*

* Jedno z określeń kursu żagłówki względem kierunku wiatru, jakie i dalej pojawiają się w tekście: fordewind – wiatr prosto z rufy, baksztag – skośnie od rufy, półwiatr – prostopadle do burty, bajdewind – skośnie od dziobu. Istnieje też swojskie określenie na wiatr prosto z dziobu: „wmordewind”. 298

mógł pruć mętne wody z prędkością dziesięciu węzłów. Obaj byli świetnymi żeglarzami i ostrożnymi nabywcami najlepszej jakości towaru. Pracowali też od lat dla CIA, a mimo to bez przeszkód poruszali się po ruchliwych szlakach handlowych, najmniejsze bowiem podejrzenie nie kalalo ich nieskazitelnej reputacji. Działający na terenie rojącym się od chińskich szpiegów Zhao i Gao, obaj po czterdziestce, byli wytrawnymi agentami.

Czekali teraz na pokładzie swej dżonki, wypatrując na nabrzeżu znajomej sylwetki najlepszego łącznika CIA, Shu-aia, z kartonem. Gao spostrzegł go pierwszy. Wspiął się na nadburcie i wrzasnął

na całe gardło:

–Tutaj, ty durniu! Spóźniłeś się, a my się spieszymy! Shuai, tutaj!

W gorączkowym wyścigu po transakcje, który trzyma Aberdeen Harbour w napięciu i chaosie przez cały długi dzień, była to zwyczajna wymiana zdań między kupcami, niczym nie odbiegająca od ogólnie przyjętej normy; taka właśnie, jaką Zhao i Gao lubili.

–Dobrze, dobrze! Co wy sobie myślicie, że kto ja jestem? Drzeć to się możecie na swoją

babcię! – odpowiedział w tym samym stylu Jian Shuai. – Zamówienia nie złożyliście aż do

wczoraj... Może myślicie, że jesteście właścicielami mojej firmy, co? No, trzymaj... i może tym

razem dla odmiany zapłacicie mi w terminie?

Z tymi słowy zniknął na powrót w kotłującym się tłumie. Gao wrzasnął za nim:

–Jak następnym razem nie ruszysz tyłka szybciej, to więcej u ciebie nie zamawiamy,

słyszalesz?!

Wziął karton i położył go na stosie podobnych pakunków. Po chwili rzucili cumy i postawili wielki, gaflowy żagiel, który wkrótce wypełnił południowo-zachodni monsunowy wiatr, popychający ich dżonkę ku wodom delty Rzeki Perłowej. Wy płynąwszy na szerszą przestrzeń, zrobili zwrot na północny zachód, by po okrążeniu dużej wyspy Lantau popłynąć w górę rzeki do Guangzhou. Te wody są niebezpieczne dla wszystkich prócz obywateli Chin. Patrolowane gęsto przez chińską straż przybrzeżną drogi wodne delty są akwenem niedostępnym dla obcych

bander. Już przed stu pięćdziesięciu laty, w okresie wojen opiumowych z Wielką Brytanią, władze chińskie wydały dekret zabraniający wszystkim niechińskim statkom wpływania na kanał Lema, praktycznie jedyną drogę do Rzeki Perłowej. To paranoidalne zarządzenie zostało utrzymane w mocy przez wszystkie kolejne rządy Chin aż do dzisiaj*. Jeśli chce się popłynąć do Guangzhou, trzeba być Chińczykiem na chińskim statku i uzyskać specjalne pozwolenie na nawigację po tych wodach. Nawet wtedy należy się liczyć z możliwością zatrzymania i kontroli przez kuter patrolowy. Tylko stali bywalcy – miejscowi kupcy regularnie tędy pływający i dobrze znani strażnikom i celnikom – nigdy nie są molestowani. Dlatego też Zhao i Gao godzina za godziną żeglowali spokojnie półwiatrem, trzymając się środka toru i z dala od mielizn po lewej, gdzie dwie wielkie rzeki rozdzielają się na tysiąc odnóg, meandrujących przez sto kilometrów zielonych mokradeł, zaledwie o pół metra wzniesionych nad poziom morza.

Po zachodzie słońca wiatr nieco osłabł. Dżonka płynęła od południa, osiągając średnią prędkość dziewięciu węzłów, i teraz powoli zbliżała się do miasta. O dwadzieścia kilometrów od centrum Guangzhou, w miejscu, gdzie rzeka rozwidła się na dwie odnogi, Gao skręcił w północną, trzymając się na prawo od rzędu mniejszych łodzi, także zmierzających do miejskich nabrzeży. Przez kolejne kilka kilometrów byli tylko jeszcze jednym stateczkiem wśród dziesiątek innych, przywożących najświeższe produkty dla czekających na nie każdego wieczoru kantońskich hoteli i hurtowników. Teraz Zhao po raz pierwszy wyłączył światła pozycyjne i wysunął się z konwoju, niknąc w mroku jeszcze nie rozproszonym przez księżyc. Mała echosonda wkrótce wskazała głębokość poniżej półtora metra pod stępką i Zhao zrobił zwrot, kierując się z powrotem wzdłuż brzegu, poza przemysłowe przedmieście Huangpu. Było tu pusto i cicho, daleko od głównego szlaku wiodącego północną odnogą rzeki. Trzeba było przy

*** W rzeczywistości Rzeka Perłowa aż po Guangzhou jest obecnie dostępna dla żeglugi międzynarodowej, a samo miasto, jak i wymienione dalej jego przemysłowe zaplecze Huangpu są ważnymi portami południowych Chin. 300**

tym doświadczenia całego życia, aby uniknąć ugrzęźnięcia na którejś z licznych pływizn, przez które z trudem mógłby się przedrzeć nawet sampan o półmetrowym zanurzeniu. Wiał lekki, ciepły wiatr, szumiąc w ciągnącym się po lewej całymi kilometrami sitowiu. Gao nie spuszczał oka z ekranu echosondy, precyzyjnie prowadząc dżonkę przez ciemne, płytkie wody. Gdy tylko zaczynała wskazywać mniej niż metr dwadzieścia wody, ostrzegał stojącego za sterem Zhao, by „ciągnął”, oddalając się od pływizny ku środkowi kanału. Po pewnym czasie dotarli do znajomej kępy wierzb, których gałęzie zwisały nad wodą. Zhao przebrał żagiel, redukując prędkość do dwóch węzłów, i

dżonka powoli dryfowała ku brzegowi. Przed nimi majaczył na wodzie kształt innej łodzi. Gao zauważył trzy krótkie błyski latarki.

–To on – syknął. – Jesteśmy na miejscu.

Jeszcze nie skończył mówić, kiedy usłyszeli plusk wiosel i mała łódka zbliżyła się do ich burty.

–Dong, to ty?

–To ja, Zhao, zaraz podchodzę.

Obie łodzie zetknęły się burtami z cichym stuknięciem. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i karton z arbuzem Ricka White'a powędrował do przybysza.

–Pospieszcie się teraz, Zhao... musicie szybko wracać, wszędzie jest pełno patroli.

–Do widzenia, braciszku. Uważaj na siebie.

Zhao położył dżonkę na kurs południowo-zachodni i ruszyli z powrotem bajdewindem, mając teraz bryzę z lewej burty. Żagiel, już mocno wybrany, pracował dobrze i Chińczyk tylko drobnymi ruchami steru kierował się z powrotem na główny kanał, ponownie włączywszy światła. Daleko na wschodzie, w odległym San Diego, trzy czeki, każdy na dziesięć tysięcy dolarów, wpłynęły na trzy osobne konta założone na nazwiska Zhao, Gao i Donga, obywateli Chińskiej Republiki Ludowej sposobiących się do nowego życia w Ameryce, kraju, którego żaden z nich nie widział jeszcze na oczy.

Quinlei Dong powiosłował do brzegu i zostawił łódź w trzcinach, uwiązaną do zardzewiałego żelaznego pręta, który sam dawno temu wbił w muliste dno. Do drogi było stąd półtora kilometra, ale trawa była bujna, a Dong miał wyso-301

kie gumowe buty. Pomaszerował przed siebie przez błotnistą równinę, dźwigając karton z owocami do swego samochodu. Droga wśród kompletnej ciemności zajęła mu dwadzieścia pięć minut. Przystanął na chwilę w czystym strumieniu, myjąc buty, potem włożył je do bagażnika, obok kartonu, wyjechał tyłem z kępy drzew, gdzie ukrył pojazd, i szybko znalazł się na głównej drodze do Guangzhou. Była prawie dwudziesta druga i spieszo mu było na późną kolację w małym mieszkaniu przy rynku, nieopodal mostu na wyspę Shamin. Mieszkał tam ze swą żoną Lin od piętnastu lat, odkąd opuścili uczelnię w Pekinie. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku oboje byli na placu Tianan'men i widzieli śmierć kilkorga przyjaciół i jednego kuzyna od kul żołnierzy. Nie potrzebowali długich dyskusji przed powzięciem decyzji o przeniesieniu się z Pekinu do cieplejszego Guangzhou. Nienawidzili rządzącej partii komunistycznej i przyrzekli sobie kiedyś wyjechać z Chin do Stanów, jak to przez lata zrobiło wielu ich przyjaciół.

Quinlei został zwerbowany przez CIA jeszcze jako student, w ciągu sześciu miesięcy po masakrze na Tianan'men. Przez następne osiemnaście lat zgromadził w banku w San Diego czterysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów za informowanie Langley o ruchach okrętów, danych personalnych i niezliczonych szczegółach dotyczących marynarki wojennej. Dzięki dyplomowi z elektroniki szybko awansował w pracy w porcie wojennym Floty Południowej. Nie pracował bezpośrednio na okrętach, ale w biurach i pokojach operacyjnych na lądzie. Stał się ekspertem w dziedzinie komputerów, a także osobiście zakładał wiele najważniejszych obwodów elektrycznych i oświetleniowych w porcie. W wieku trzydziestu siedmiu lat był teraz zastępcą

głównego elektryka; było to stanowisko cywilne, ale zawsze ściśle współpracował z wyższym oficerem marynarki. Codziennie meldował się w pracy o ósmej i kończył o siedemnastej. Od czasu do czasu wartownicy na bramie rewidowali go przy wyjściu, ale nigdy przy wejściu. Teraz przygotowywał się do największego zadania, jakie kiedykolwiek stawiali przed nim jego amerykańscy mocodawcy. W poniedziałek rano będą już z Lin w drodze. Zostały im jeszcze dwie 302

noce w małym mieszkanku przy moście na wyspę Shamin. Spakowali już większość dobytku. Ich dziewięcioletni syn Li spał już, a Lin zadała sobie wiele trudu, by przygotować kolację – być może ostatnią, jaką wspólnie zjedzą w Chinach. Zrobiła kurczaka shao xing, w całości ugotowanego w winie Hua Diao, i podała go z wstążkami ryżowego makaronu. Zjedli we dwoje w kącie mikroskopijnej kuchni, pijąc tylko wodę i niewiele mówiąc, jak gdyby obawiali się, że ich skromne

ściany też mogą mieć uszy. Nazajutrz rano Dong miał rozpocząć misję, być może

najniebezpieczniejszą, jaką którykolwiek agent CIA kiedykolwiek podejmował w tej części świata. Posprząтали po kolacji i przed północą położyli się do łóżka. Żadne z nich nie spało dobrze i kiedy nad miastem ukazały się pierwsze promienie brzasku, Dong już był na nogach, otwierając wydrążony arbuz i wyjmując tak przemyślnie w nim ukryte urządzenia elektroniczne. Rozerwał foliowe torebki i przyjrzał się czarnemu pudełku – baterii, która powinna wystarczyć na sześć godzin. Sprawdził bieguny, przewody, a potem główną część urządzenia. Podszedł do okna, popatrzył przez soczewki, ustawił ostrość krzyża celownika, zamocował obiektyw do kwadratowego pudełka i połączył z baterią. Pokiwał z zadowoleniem głową, kiedy po włączeniu zamigotało, a potem zapłonęło równym blaskiem zielone światełko. Dostawał za to pół miliona dolarów. Wiedział, że nie może być żadnych pomyłek.

Ostrożnie rozmontował urządzenie i włożył wszystkie części do dolnej przegrody swojej skrzynki narzędziowej; skrywając je wśród rolek taśmy i zwojów przewodów, zwracał uwagę, by nie sąsiadowały ze sobą i wyglądały na jakieś typowe rekwizyty elektryka. O siódmej trzydzieści zadzwonił telefon. Kiedy Dong odebrał, męski głos powiedział tylko: „Tak”. Dong wiedział, kto to jest; ten sam człowiek, dla którego pracował od wielu lat, amerykański wyższy urzędnik z sieci radiowo-telewizyjnej w Hongkongu.

Rzadko kiedy krótkie słowo „tak” zawiera tyle treści. Teraz oznaczało, że operatorzy satelitów z Fort Meade wykryli na zdjęciach w podczerwieni gorący „podpis” reaktora Seawolfa – a więc Chińczycy wzbudzili go do stanu krytycznego. Oznaczało też, że elektroniczne urządzenie, którego zada-

s

niem było oznakowanie promieniem lasera dokładnie wytyczonego punktu na pokładzie okrętu wprost nad reaktorem, musi teraz zostać umieszczone w odpowiednim miejscu i aktywowane.

Przede wszystkim zaś oznaczało, że Arnold Morgan zrobi to, co zapowiedział, i zbombarduje Seawolfa, wraz z nim unicestwiając port wojenny w Guangzhou.

Quinlei Dong pożegnał się z Lin, która drżała ze strachu, ale nie pozwoliła sobie na łzy.

–Proszę cię, uważaj na siebie – tylko tyle zdołała powiedzieć.

Dong włożył skrzynkę narzędziową do samochodu i uruchomił silnik. Pojechał na wschód ulicą Liuersan i wjechał na Most Ludowy. Stamtąd było jeszcze piętnaście minut do bazy i kiedy tam dotarł, wartownik potraktował go rutynowo.

–Halo, towarzyszu Quinlei – pozdrowił go. – Za ciężko pracujecie. Jest sobota, powinniście być w domu z rodziną.

–Nie, Sun, nie za ciężko, za wolno! – odpowiedział żartobliwie Dong. – Powinienem to skończyć już wczoraj wieczorem! Wartownik zaśmiał się i machnięciem ręki polecił mu przejechać.

–No, to pospieszcie się! – zawołał za nim. – Dziś piękny dzień na jakąś wycieczkę z rodziną! Dong jechał powoli między ponurymi zabudowaniami bazy, zauważając, że tak jak co dzień od jakiegoś czasu, dziś też wszędzie roi się od strażników. Było ich pełno na każdym pirsie, a najwięcej przy miejscu postoju amerykańskiego okrętu. Elektryk Quinlei, jak głosiła nalepka uprzywilejowanego pracownika na szybie samochodu, trzymał się z dala od głównych nabrzeży, poruszając się tylnymi uliczkami. Poprzedniego dnia celowo nie dokończył pracy przy wymianie okablowania biegnącego nad sufitem jednego z pokoiów operacyjnych. Teraz znów szedł tam po schodach, kiwnąwszy głową wartownikom u wejścia do budynku i napomknąwszy, że idzie dokończyć instalację nowego terminalu głównego komputera. Żołnierze widywali go wielokrotnie wchodzącego i wychodzącego w ciągu ostatnich dwóch tygodni, więc tylko się doń uśmiechnęli, a jeden rzucił za nim: 304 m

–W porządku, panie Drucik!

W południe zszedł znów na dół, niosąc skrzynkę narzędziową i małe pudełko z drugim śniadaniem. Zwrócił się do dowódcy warty:

–Idę coś przekąsić nad wodą, ale jeszcze tu wrócę. Mam tam problem na górze, więc nie zamykajcie. To musi być gotowe na poniedziałek rano. Na razie wygląda na to, że będę miał szczęście, jeśli uda mi się to poskładać do przyszłego roku!

–Jaka może być przyczyna, towarzyszu? Ten podziemny kabel, który przecięła koparka?

–Tak myślałem, ale teraz już nie mam pewności. Chyba awaria nastąpiła gdzieś wewnątrz budynku. Może będę musiał któregoś z was poprosić o pomoc po południu... na dziesięć minut.

–Nie ma problemu, towarzyszu. Z miłą chęcią.

Quinlei Dong poszedł powoli do swego samochodu i przeszedł na drugą stronę, chowając się za nim przed wzrokiem wartowników. Skręcił za róg, rozejrzał się, czy nikt go nie obserwuje, po czym puścił się biegiem przez uliczkę w kierunku innego wysokiego budynku z czerwonej cegły, na którego tyłach były małe stalowe drzwi. Stary magazyn, obecnie pusty i zapomniany, nie był używany od pięciu lat i wskutek ograniczeń budżetowych skazany na taki sam los przez kolejne pięć. Marynarka wojenna wydaje teraz pieniądze na nowe okręty, a nie na stare zabudowania. Dong wiedział, że drzwi są otwarte. Sam pięć dni temu umyślnie zepsuł w nich zamek. Złapał za klamkę, otworzył je i wsunął się do środka. Przeszedł przez ciemną, pustą halę i wszedł na stalowe schody, prowadzące przez siedem pięter aż na dach. Wspinał się wolno, nie wiedząc, jak poradzi sobie z zamkniętymi drzwiami na górze. Kiedy tam dotarł, problem sam się rozwiązał – drzwi były zamknięte tylko na dwie masywne zasuwki. Wystarczyło je otworzyć i już był na dachu. Wyszedł na zewnątrz ostrożnie i skulony, ruszył ku stojącemu na południowej krawędzi kominowi. Przycisnął się do niego plecami i spojrzał w dół; bezpośrednio pod nim znajdowało się główne nabrzeże okrętów podwodnych, przy którym cumował USS Seawolf, pilnowany przez wielu wartowników 305

i patrole. Gdyby któryś z nich uważnie popatrzył na dach starego magazynu, mógłby go tu dojrzeć. Dong otworzył skrzynkę narzędziową i wyjął okrągły obiektyw. Zabrał się do odmierzania, wiedząc, że punkt, którego szuka, znajduje się za kioskiem w odległości równej połowie jego wysokości. Jeżeli kiosk ma dwanaście metrów, musi odmierzyć sześć metrów w stronę rufy. Rzeczywiste liczby nie miały znaczenia, chodziło o proporcje. Dong nie mógł stąd mierzyć w metrach i centymetrach, ale z łatwością mógł wyznaczyć połowę danego odcinka. Wyciągnął ze skrzynki stalową linijkę i przyłożył do niej kciuk w połowie długości, po czym ustawił ją przed oczyma tak, że pokrywała się z wysokością kiosku. Następnie odwrócił ją poziomo tak, że jeden z końców „dotykał” podstawy kiosku, i wtedy kciuk wskazał mu dokładnie właściwy punkt na pokładzie rufowym. Trzymając rękę z linijką nieruchomo, podniósł obiektyw do oka i ustawił krzyż celownika na c?ubek swojego palca. W tym miejscu pod pokładem krył się gorący reaktor Seawolfa. Teraz trzeba tylko przytwierdzić urządzenie do ściany komina. To była najtrudniejsza część zadania. Musi przykręcić do cegły małą obejmę na wysokości nieco powyżej głowy. Jeśli stanie na skrzynce, da radę to zrobić. Niepokoiło go tylko, że to wywoła hałas, ale też nie potrwa to długo. Potrzebne są tylko dwa otwory głębokie na trzy i pół centymetra. Nic trudnego. Dong wyjął czarne elementy urządzenia, a potem śrubokręt i wiertarkę akumulatorową. Zdjął kurtkę i owinął nią narzędzie, by stłumić wysoki dźwięk elektrycznego silnika. Stał na skrzynce, przytrzymał obejmę przy cegle i nacisnął wyłącznik. Wiertło wgrzyzło się w mur z łatwością, a kurtka spełniła swoje zadanie, zmniejszając hałas do minimum; porywisty wiatr rozproszył stłumiony dźwięk i porwał go w przestrzeń. Dong szybko wywiercił potrzebne otwory, po czym przysiadł pod kominem i odczekał bez ruchu dziesięć minut. W końcu znów stanął na skrzynce, wcisnął w otwory plastikowe kołki, przyłożył do ściany obejmę i wkręcił oba wkręty mocujące. Gotowe. Znów odczekał kilka minut, a potem zamocował w obejmie główną część lasera i jeszcze raz zmierzył odległość i wycelował obiektyw na odpowiedni punkt. 306

Następnie dokręcił mocno śruby stabilizujące urządzenie we właściwym położeniu. Wykonawszy tę zasadniczą część zadania, zajął się założeniem przewodów i połączeniem lasera z baterią zasilającą, po czym wsunął ją w przewidzianą na to część obudowy. Włączył urządzenie i sprawdził, czy zielona

lampka kontrolna świeci się równym blaskiem. Na koniec raz jeszcze sprawdził ustawienie celownika. Zadanie zostało wykonane. Czynność niby łatwa, ale w tych okolicznościach i przy takiej ważności celu nic nigdy nie jest proste. Dong owinał jeszcze laser kawałkiem szarej folii,

mocując ją pod spodem drucikiem. Teraz trzeba było tylko wydostać się z bazy.

Dong zszedł na dół i upewniwszy się, że teren jest czysty, otworzył drzwi i wyszedł. W uliczce nie

było żywej duszy Zamknął starannie drzwi za sobą i wolnym krokiem wrócił do budynku, w

którym oficjalnie był w pracy Wartownicy wciąż jeszcze byli na posterunku; Dong wszedł do

środką i udał się do pokoju operacyjnego, gdzie musiał tylko posprzątać po sobie, ale jako

wymówkę, aby wrócić następnego dnia, zostawił na dywanie kilka luźnych przewodów. W

kwadrans później zszedł i żegnając się z wartownikami, powiedział im, że będzie musiał wpaść

jeszcze raz nazajutrz i wymienić wadliwy przełącznik, który był przyczyną całego problemu, na co

wystarczy mu godzina. Na bramie nikt się nie pofatygował, by go zrewidować. Ten sam żołnierz,

który doradzał mu rodzinną wycieczkę, powtórzył to samo przy wyjeździe.

–Dobry dzień, by być na łonie rodziny, co, towarzyszu Quinlei? Idźcie i bawcie się dobrze, a ja tu

popilnuję interesu, ha, ha, ha!

Sobota, 15 lipca 2006 r., godzina 23.45. Biuro admirała Morgana, Biały Dom

Doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego w tej chwili nie odpowiadał przed

nikim. Otrzymał wyraźny rozkaz głowy państwa, by sprowadzić z powrotem Li-nusa, choćby nie

wiem co. Prezydent zdawał sobie sprawę, że Seawolf musi zostać zniszczony oraz że zespół SEALs

musi

zdożyć więzienie, zionąc ogniem i ołowiem, i stłumić wszelki opór Chińczyków. Szczegóły militarne tej operacji go nie obchodziły. Chciał tylko odzyskać syna. Admirałowi Morganowi przypadło opracowanie planu akcji ratunkowej, co już bez wątpienia wykonał. Konferował teraz z

najbardziej zaufanymi współpracownikami: admirałem George'em Morrisem, dyrektorem Agencji

Bezpieczeństwa Narodowego w Fort Me-ade, i Jakiem Raeburnem, szefem wydziału dalekowschodniego CIA. W Waszyngtonie dochodziła północ, na Morzu Południowochińskim była

trzynasta następnego dnia.

Admirał Morris miał niezłe wieści. Reaktor Seawolfa pracował nieprzerwanie już trzeci dzień.

Satelity nie zaobserwowały widocznych oznak wzmożonej aktywności w więzieniu na Xiachuan

Dao ani też niczego, co mogłoby świadczyć o planach przeniesienia amerykańskiej załogi w inne

miejsce. Co prawda wyglądało na to, że niektórych ą nich codziennie przewożą śmigłowcem do

Guangzhou i z powrotem. Nie zanotowano też wzmocnienia obrony wyspy: wciąż był tam jeden

patrolowiec i dwa śmigłowce, a często też tylko jeden.

Admirał Morgan sam otrzymał sygnał od Johna Berg-stroma z Coronado i była to doskonała wiadomość. Nic wymyślnego, brak szczegółów, tylko krótkie, zakodowane „Sokoły w gnieździe”.

Znaczyło to, że drużyna zwiadu SEALs była na Xiachuan Dao, wykonała swoje zadanie i bezpiecznie wróciła na Ronalda Reagana. Sprawilo to admirałowi wielką ulgę.

Także Jake Raeburn przyniósł pomyslnie nowiny. Jego człowiek w Guangzhou odebrał znacznik

laserowy i zamontował go na wysokim budynku nieopodal zacumowanego okrętu podwodnego.

Jeżeli coś się nie stanie, nazajutrz o dziewiętnastej włączy laser, a bomba uderzy w dwie godziny

później.

Wszystko to sprowadzało się do jednego: operacja „Nocny sokół” się odbędzie. Cały oddział komandora Huntera wyląduje na plaży Xiachuan Dao około dwudziestej trzeciej. Potem – wszystko

w rękach bogów. Ale ludzie z SEALs robili już podobne rzeczy i admirał był zdania, że mogą to

powtórzyć. Bergstrom był o to spokojny. W pułkowniku Harcie mieli najlepszego z możliwych dowódcę-koordynatora. Pozostawało

i *

tylko pytanie, jak blisko dowódcy okrętów podwodnych będą mogli podejść do wyspy bez konieczności wynurzenia się.

Morgan liczył na to, że dywersja w Guangzhou na taką skalę wywoła tak ogromne zamieszanie, że

w pobliżu wyspy nie znajdzie się ani jeden okręt skłonny wypatrywać amerykańskich

podwodniaków. Kryzys nad Rzeką Perłową będzie potężny, o wiele gorszy niż po najpoważniejszej awarii amerykańskiego reaktora w Three Mile Island w siedemdziesiątym dziewiątym. Cała trójka kontynuowała przyciszonym tonem spekulacje na temat wyniku akcji. Krótco przed pierwszą zadzwonił telefon i tym razem wieści mieściły się w kategorii między podejrzanymi i złymi. Dzwoniono do admirała Morrisa. Jeden z jego operatorów studiujących zdjęcia satelitarne dokonał bystrego spostrzeżenia, że nagle nie wiadomo skąd, pojawił się konwój ciężarówek chińskiej marynarki. Zauważono go w mieście Yangjiang na stałym lądzie, około czterdziestu pięciu mil od wyspy. Operator doliczył się dwunastu pojazdów pomalowanych na granatowo, w barwach marynarki wojennej. Ponadto na samej wyspie wylądował właśnie ciężki rosyjskiej budowy śmigłowiec transportowy.

–Zastanowiło mnie, sir, czy to nie świadczy przypadkiem o planowanym przeniesieniu więźniów... wie pan, ewakuacji wyspy i odtransportowaniu ich gdzieś w głąb lądu. Ani ciężarówek, ani śmigłowca nie było widać jeszcze cztery godziny temu, a między Yangjiang i Zhanjiang jest całkiem dobra droga.

–Dziękuję, poruczniku. Dobra robota. Proszę dać mi znać natychmiast, gdy coś jeszcze panu wpadnie w oko.

–Kto widział co? – wychrypiął Arnold Morgan. – Wylóż kawę na ławę.

–Moi ludzie sądzą, że Chińczycy szykują się do przeniesienia więźniów gdzie indziej.

–Co takiego? Teraz? – zagrzemiał Morgan. – Jezu Chryste! Tylko nie teraz!

–No, tam jest teraz czternasta. Byłoby to możliwe, ale dzisiaj jest niedziela. Nie sądzę, aby wiele działali przed poniedziałkiem rano. A gdyby działali, to i tak nie możemy zrobić nic innego, jak tylko siedzieć na tyłku i patrzeć. 309

–Ale co w końcu oni zauważyli?

Admirał Morris powtórzył informacje przekazane przez telefon.

-To nie są złe wieści – warknął Morgan. – One są tragiczne!

-No, niezupełnie, jeżeli nie planują wyjazdu przed poniedziałkowym rankiem. Jeśli tak jest, to nie zmienia to w niczym naszych planów.

-Ano, nie. Zresztą i tak nie moglibyśmy wiele zrobić poza załatwieniem Seawolfa i bazy w Guangzhou... i pozostawieniem więźniów własnemu losowi. Co nie spodobałoby się szefowi.

-Chyba nie, Arnie. Ale nawet Linus Ciarke nie może być wart wojny z Chinami, w której mogliby uznać za stosowne zniszczyć w odwecie jedno z miast Zachodniego Wybrzeża.

'... II

Niedziela, 16 lipca 2006 r., godzina 10:00. Sala odpraw admiralskich, USS Ronald Reagan

Na cztery godziny przed wyruszeniem z powrotem na wyspę komandor porucznik Rusty Bennett

działał na czystej adrenalinie. Podobnie jak jego siedmiu kolegów, przespał całą drogę na podwodniaku i spróbuje zrobić to samo w drodze powrotnej. Teraz jednak znajdował się w wirze

wydarzeń. Prognoza pogody była doskonała: silne opady deszczu przed północą, ciągnące z południowego zachodu z letnim monsunem, jak to się działo od trzech tygodni niemal codziennie.

Wyżsi oficerowie SEALs ślęczeli nad sporządzonymi przez zwiad mapami, studiując odległości od

wybranego miejsca desantu do różnych punktów terenu. Rusty i pułkownik notowali wysokość,

czas i dystans, oceniali liczebność chińskiej straży. Komandor widział, że dowódca jest na granicy

wytrzymałości nerwowej. Krążył niespokojnie po sali z obawą malującą się wyraźnie na twarzy.

Rick Hunter siedział nad powiększeniami map, mierząc odległości linijką, uruchamiając i zatrzymując stoper, odliczając sekundy i próbując wyobrazić sobie, ile czasu może zająć jego ludziom przebiegnięcie przez zewnętrzną ścieżkę,

wspięcie się na mury i wciągnięcie za sobą drabin. Sprawdzał po kilka razy zapisany rozkład

chińskich patroli, notując dokładną pozycję wartowników w chwili, kiedy jego ludzie rzucą się do

muru. Liczył sekundy, jakie upłyną, zanim chłopakom uda się zlikwidować czterech strażników na wieżach i podać z powrotem drabiny na ziemię dla drugiej fali atakujących. To będą musieli zrobić ci, którzy usuną patrol wewnątrz murów tak, by żołnierze patrolujący zewnętrzny ich obwód niczego nie usłyszeli. Wraz z Frankiem Hartem dawno już zdecydowali, że do tego zadania wyznaczeni zostaną trzej Brytyjczycy z SAS: sierżant Fred Jones, kapral Syd Thomas i były spadochroniarz Charlie Murphy.

Trzej oficerowie wiedzieli, że w tym punkcie planu muszą być gotowi na rozpoczęcie „głośnej” fazy operacji. Rick Hunter i pułkownik Hart gorączkowo szukali sposobu na zapewnienie sobie dodatkowych „cichych” minut na przygotowanie wysadzenia w powietrze wartowni, zanim przystąpią do równoczesnego zniszczenia centrali łączności, śmigłowców i kutra patrolowego.

–Nie możemy liczyć na to, że wykończą patrol, a potem przejdą przez cały dziedziniec przez nikogo nie zauważeni, by zaatakować wartownię – uznał Hart.

Hunter uważał, że to jest możliwe do wykonania, ale zgodził się, że to mało skuteczne.

–Lepiej przerzucić tam jeszcze trzech ludzi, póki będziemy mieli opanowane wieże, i rozwalić wartownię w tym samym czasie co środki łączności.

Obaj wiedzieli, że w wartowni może być telefon, a nawet radiostacja. Gdyby trzech Sasów zostało spostrzeżonych, podniesiono by alarm i któryś z wartowników zdążyłby nadać sygnał, zanim zlikwidowane zostaną pozostałe trzy cele. Trzech dodatkowych ludzi rozwiązałyby ten problem.

–A przy tym w ten sposób Brytyjczycy mogliby się skoncentrować na otwarciu głównej bramy pokojowo albo ładunkiem, zależnie od zachowania przeciwnika – dodał Rick.

–Okay. To znaczy, że będziemy musieli zostawić drabiny na miejscu, kiedy chłopaki przejdą przez mur. Ile sekund mamy, zanim patrol wyjdzie zza rogu i je zauważy? – spytał Rusty.

Rick sprawdził notatki.

–Najwyżej trzydzieści. Popatrz, będą tu, kiedy Sasi ruszą do ataku. Przejście wzdłuż tej

ściany zajmuje im czterdzieści siedem sekund, zanim dotrą do rogu. Nasi potrzebują siedemnastu

sekund. Zabiorą liny z kotwiczką do ześlizgu po drugiej stronie muru. No, to trzeba zapewnić, by

następna trójka z minami chlebakowymi dokładnie wiedziała, gdzie liny są zaczepione. Jak będą

szybcy, mogą odrzucić za sobą drabiny płasko na ziemię. Mają trzynaście sekund, zanim patrol

będzie mógł cokolwiek zauważyć.

I tak to szło dalej, przez trzecią i czwartą godzinę szczegółowo rozpatrywali każdy najdrobniejszy element, porównywali notatki, liczyli sekundy, oceniali ryzyko i przewidywali sytuacje awaryjne... „A co, jeśli nasi zostaną wykryci przedwcześnie?... Co jest najważniejsze w takim wypadku... Łączność, zawsze łączność. Załatwimy ją, to nie będą mogli wezwać pomocy. Nie uda się, to jesteśmy martwi”.

Pułkownik widział poważny problem w sposobie zniszczenia kutra patrolowego. Miny magnetyczne muszą być ustawione na czas, powiedzmy, że na sześćdziesiąt minut, przez które chłopaki na łodzi przygotowują wszystko do ataku. Zgranie wszystkiego w czasie będzie w ten sposób uzależnione od idealnego działania zapalników zegarowych i momentu ich nastawienia.

–Zbyt uzależnione – wyraził opinię pułkownik. – Cała operacja zależy od miny magnetycznej. Kiedy ona wybuchnie, wtedy będziemy zmuszeni zacząć hałasować. Czyli że czas wybuchu determinuje wszystkie nasze działania, co mi się nie podoba. Ale jeszcze bardziej mi się nie podobają następstwa, jeżeli cokolwiek nie pójdzie po naszej myśli.

–To znaczy?

–Posłuchajcie. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że może się zdarzyć, iż któryś z Chińczyków podniesie alarm. Po wiedzmy, na dwanaście minut wcześniej, zanim będziemy całkiem gotowi. Zacznie wrzeszczeć i wtedy automatycznie ruszamy do ataku. Chłopaki z minami ciskają je w centralę, ktoś wysadza śmigłowce, inni obrzucają granatami wieże strażnicze i wysadzają w powietrze bramę, strzelamy do

wszystkiego, co się rusza, i wykorzystujemy do maksimum element zaskoczenia. Ale tam, na

przystani, stoi okręt z gotową do użycia radiostacją. Jest na nim wyszkolony operator i może kilku marynarzy. No i na częstotliwości alarmowej nadają, że więzienie jest atakowane przez silny oddział enpla*. Bo to, co słyszą, uznają pewnie za początek trzeciej wojny światowej. Oczywiście okręt ma przed sobą jeszcze tylko dziesięć minut życia, ale te dziesięć minut to aż nadto, byście wszyscy skończyli jako trupy.

–Mnie też przestaje się to podobać – mruknął Rick Hunter.

–No, jest na to prosty sposób – pocieszył go Hart.

–Jaki?

–Taki, że w ogóle nie użyjemy min magnetycznych. Postawimy na przystani dwóch ludzi z ręcznymi wyrzutniami rakiet przeciwczołgowych. Albo na twoją komendę, albo kiedy usłyszą pierwszy wybuch czy strzał, wpakują dwie takie ślicznotki w patrolowiec i już nikt na nim nie złapie za telefon.

–Pięknie. Świetny pomysł, sir. To samo ze śmigłowcami?

–Jasne. Nie chcemy żadnych zapalników czasowych. Mogą się okazać prawdziwymi WNT.

–Czym?

–WNT. Skrót od „wrzód na tyłku”.

Komandor porucznik Hunter pokręcił głową. Frank Hart to naprawdę gość – supermózg, zawsze panuje nad sytuacją i jeszcze znajdzie czas na jakiś wic. Bergstrom mówił, że jego nominacja przyszła z samego Białego Domu. Był przy tym uczciwy.

–Muszę przyznać, Rick – powiedział – że choć bardzo mi się podoba ten skrót i chętnie bym sobie przypisał prawa autorskie, to nie mogę. Autorem jest admirał Morgan, któremu podoba się on

jeszcze bardziej. Ale i tak zamierzam go stosować jak swój.

Pod pokładem oddział Fok sposobił się do akcji. Sprawdzano i raz jeszcze czyszczono broń, poprawiano kamuflaż.

* Powszechnie stosowane w wojsku określenie od skrótu n-pl, nieprzyjaciel.

wszystkiego, co się rusza, i wykorzystujemy do maksimum element zaskoczenia. Ale tam, na przystani, stoi okręt z gotową do użycia radiostacją. Jest na nim wyszkolony operator i może kilku

marynarzy. No i na częstotliwości alarmowej nadają, że więzienie jest atakowane przez silny oddział enpla*. Bo to, co słyszą, uznają pewnie za początek trzeciej wojny światowej. Oczywiście

okręt ma przed sobą jeszcze tylko dziesięć minut życia, ale te dziesięć minut to aż nadto, byście

wszyscy skończyli jako trupy.

–Mnie też przestaje się to podobać – mruknął Rick Hunter.

–No, jest na to prosty sposób – pocieszył go Hart.

–Jaki?

–Taki, że w ogóle nie użyjemy min magnetycznych. Postawimy na przystani dwóch ludzi z ręcznymi wyrzutniami rakiet przeciwczołgowych. Albo na twoją komendę, albo kiedy usłyszą pierwszy wybuch czy strzał, wpakują dwie takie ślicznotki w patrolowiec i już nikt na nim nie złapie za telefon.

–Pięknie. Świetny pomysł, sir. To samo ze śmigłowcami?

–Jasne. Nie chcemy żadnych zapalników czasowych. Mogą się okazać prawdziwymi WNT.

–Czym?

–WNT. Skrót od „wrzód na tyłku”.

Komandor porucznik Hunter pokręcił głową. Frank Hart to naprawdę gość – supermózg, zawsze panuje nad sytuacją i jeszcze znajdzie czas na jakiś wic. Bergstrom mówił, że jego nominacja przyszła z samego Białego Domu. Był przy tym uczciwy.

–Muszę przyznać, Rick – powiedział – że choć bardzo mi się podoba ten skrót i chętnie bym sobie przypisał prawa autorskie, to nie mogę. Autorem jest admirał Morgan, któremu podoba się on

jeszcze bardziej. Ale i tak zamierzam go stosować jak swój.

Pod pokładem oddział Fok sposobił się do akcji. Sprawdzano i raz jeszcze czyszczono broń, poprawiano kamuflaż.

*** Powszechnie stosowane w wojsku określenie od skrótu n-pl, nieprzyjaciel.**

Niektórzy już poczernili sobie twarze i dłonie, zaciskali pasy. Każdy w samotności szykował się do boju. Podoficerowie krążyli wśród ludzi, dodając im ducha, ostrzegając, przypominając o konieczności zachowania nieprzerwanej czujności, o credo sił specjalnych: ciszy i ostrożności. Zabronione były wszelkie sygnety czy łańcuszki, sprawdzano kieszenie, czy nie zostały w nich drobne monety lub inne przedmioty, których brzęk mógł zdradzić ich obecność i kosztować kogoś życie.

Kiedy do wyruszenia zostały ostatnie minuty, nikt już prawie nic nie mówił. Tylko szef kompanii przemawiał stłumionym głosem:

–Szkoliliście się do takiej akcji przez długie lata. Nie ma w historii wojska lepiej wyćwiczonych

żołnierzy. Jeżeli zachowacie czujność, będziecie niezwyciężeni. Pamiętajcie po prostu o wszystkim,

czego was uczono, o przezorności i przywiązywaniu wagi do szczegółów. Nie podejmuj niepotrzebnego ryzyka, a jeśli trzeba zabić, zrób to twardo, szybko i cicho... bo jeśli go nie zabijesz,

on jak amen w pacierzu zabije ciebie. Wierzę w was wszystkich na sto procent. I chcę was tu wszystkich widzieć z powrotem, co do sztuki. Nie zawiedźcie mnie, chłopaki. A teraz jazda, dobrać się do nich.

Klepnął kilku z nich po ramionach, a gdy wychodził, rozbrzmiały trzy długie dzwonki alarmowe.

Foki powoli ruszyły za szefem na korytarz prowadzący na pokład startowy, skąd wielkie śmigłowce

zabiorą ich na oczekujące w pobliżu okręty podwodne. W sali odpraw pozostali pułkownik Hart i

Rick Hunter, rozdzielając ostatnie zadania. Rusty Bennett, jako as wspinaczki, podjął się ataku na

wieżę strażnicze. Jego zadaniem było unieszkodliwić wartę i przejąć obsługę reflektora, omiatając

dziedziniec tak, jak to zaobserwował w piątek i sobotę. Potem miał samotnie udać się na miejsce

ewakuacji i czekać na przybycie zodiaków, kiedy tylko zostanie zniszczony kuter patrolowy.

Komandor Bennett miał objąć komendę nad ewakuacją z wyspy ponad stu marynarzy i sześćdziesięciu czterech Fok, w tym prawdopodobnie będzie trochę rannych.

Starszy bosman John McCarthy otrzymał zadanie zlikwidowania wartowników na drugiej z wież, a

porucznik Allens-worth poprowadzi drugą grupę przez mur w celu wysadzenia

I

wartowni. Porucznikowi Merloniemu, ekspertowi od walki bez broni, powierzono misję unieszkodliwienia centrali łączności. Porucznik Schaeffer miał zniszczyć kuter patrolowy, a potem dołączyć do Ricka Huntera w najbardziej niebezpiecznej części operacji – ataku na główny budynek więzienia. Obaj wiedzieli, że muszą się przebić do środka, zastrzelić przebywających tam dwóch strażników, po czym przystąpić do uwalniania zamkniętych w celach więźniów, z których wielu może być w kiepskim stanie. Gdy tylko dwaj strażnicy zostaną zlikwidowani, obaj oficerowie przekażą ewakuację w ręce „człowieka z żelaza”, starszego bosmana Steve'a Whipple'a, a sami znów podejmą takie samo zadanie przy budynku przesłuchań. Kiedy tam się dostaną, sami będą już musieli sobie poradzić z wyprowadzeniem przetrzymywanych tam Amerykanów. Poza murami więzienia bosman Rocky Lamb i Grzechotnik Davies poprowadzą zespół, którego misja będzie polegała na unieszkodliwieniu patrolu zewnętrznego. Jak to wyłożył McCarthy: „Każdy głupi potrafi zabić czterech Chinoli. Sztuka w tym, żeby to zrobić w dokładnie określonym momencie, tak by nikt się nie zorientował, co się, u diabła, dzieje”.

Pułkownik Hart i komandor Hunter naradzali się do ostatniej chwili. Przez okna sali widoczne były dwa atomowe okręty podwodne, USS Greenville i USS Cheyenne, na które ze śmigłowców

zjeżdżali po linach pierwsi komandosi. Trzeci okręt, USS Hartford klasy Los Angeles, czekający w

pobliżu z minimalną obsadą, szedł w zanurzeniu peryskopowym o pół mili dalej. Miał zostać wykorzystany prawie wyłącznie jako środek ewakuacji i szpital dla uwolnionej załogi Seawolfa. W

końcu i dla nich nadszedł czas, by wyruszyć. Bennett i Hunter uścisnęli dłoń pułkownikowi Hartowi i odeszli ku windzie, by zjechać na pokład startowy i odlecieć na podwodniaka, na pierwszy odcinek drogi ku więzieniu na Xiachuan Dao. 315

Niedziela, 16 lipca 2006 r., godzina 14.00. Morze Południowochińskie, sto dziewięćdziesiąt mil od

wybrzeża Chin

Obaj dowódcy okrętów podwodnych zamierzali zanurzyć się i dołączyć do Hartforda natychmiast

po zaokrętowaniu Fok. Greenville pierwszy zniknął z powierzchni, schodząc na sto dwadzieścia

metrów, i ruszył pełną prędkością na północ, wprost ku wyspie. Cheyenne podążył za nim, utrzymując stały dystans tysiąca metrów, kontrolując go za pomocą impulsów sonaru aktywnego o

niskiej mocy. Oba okręty mogły się również porozumiewać za pomocą telefonu podwodnego, ale to

zostawiano jedynie na przypadki awaryjne.

Ludzie z drużyny zwiadu zostali podzieleni na dwie czteroosobowe grupy: Rusty Bennett, Dan

Conway, uster Townsend i John trafili na Greenville'a, a Paul Merloni, Grzechotnik, McCarthy i

Bill na Cheyenne'a. Ich nadzieje na jakąkolwiek drzemkę szybko się rozwiały. Na każdym z okrętów było po dwudziestu ośmiu ich kolegów, których ciekawość rosła z każdą przebytą milą.

Studiowanie map i szkiców jest owszem, przydatne, ale możliwość zasypania pytaniami

facetów,

którzy sami byli na miejscu, jest o wiele bardziej interesująca. Pytania zaś wciąż były te same: ilu

jest strażników? Czy da się tam wejść inaczej, niż rozwalając trotylem bramę? Czy naprawdę jest

szansa na sukces? Odpowiedzi „weteranów” były ściśle i optymistyczne. O ile można było stwierdzić, Chińczycy nie mają pojęcia, że grozi im niebezpieczeństwo. Obsada warty jest spora,

ale nie przerażająca, a każdy ze zwiadowców był przekonany, że akcja zakończy się powodzeniem.

Byle tylko udało im się nie dopuścić do nadania sygnału alarmowego.

Przez całą drogę komandor Bennett i bosman McCarthy przerabiali tę samą lekcję: Jak dokumentnie rozwalimy łączność, mamy do przodu. Jak nie, to po nas. Żadnemu z nich nie podobał

się ten drugi wariant.

Niedziela, 16 lipca 2006 r., godzina 18.00. Ulica Liuersan, Guangzhou

Quinlei Dong zaniósł skrzynkę narzędziową do bagażnika. W ręku miał białe kartonowe pudełko z

nowym wyłącznikiem. Uruchomił silnik i ruszył dobrze znaną trasą w stronę Mostu Ludowego, z

którego potem skręcił w ulicę prowadzącą do bazy. Wieczór był jasny i ciepły, słońce jeszcze stało

nad horyzontem, kiedy zastępca głównego elektryka portu wojennego w Guangzhou podjechał do

bramy. Wartownik, dzisiaj już inny, podszedł do samochodu.

–Dokąd się udajecie, towarzyszu?

–Tam, gdzie wczoraj i przez cały poprzedni tydzień... Do pokoju operacyjnego w bloku B, gdzie elektryka wciąż jest w proszku.

–Czemu przychodzicie w niedzielę?

–Przede wszystkim dlatego, że pod groźbą śmierci cały system ma być gotowy i sprawny na jutro na dziewiątą zero zero. Rozkaz komendanta. Myślicie, że mi się uśmiecha niedzielna praca? Wartownik się uśmiechnął, przypomniawszy sobie popularne powiedzenie o tym, w co niedzielna praca zazwyczaj się obraca.

–Czy warta w bloku B wie, że macie przyjść?

–Wie, wie. Uprzedziłem ich wczoraj. O, tutaj mam potrzebny wyłącznik. Już byłem gotów polecić rozkopanie całego podwórka dla znalezienia awarii, kiedy zauważyłem, że stary wyłącznik przepalił się od tyłu. Muszę tylko go wymienić. Pół godziny i już mnie nie ma. Chodźcie mi pomóc, jeśli chcecie. Przyda mi się asystent. Wartownik zaśmiał się, sprawdził przylepioną do szyby przepustkę i machnął ręką, by jechał.

–Do zobaczenia wkrótce, towarzyszu Quinlei.

Dong ruszył naprzód, powoli jadąc przez pusty port; to znaczy, pusty wszędzie poza nabrzeżem podwodniaków, gdzie jak zwykle koczowała armia wartowników pilnująca amerykańskiego okrętu. Zostawił samochód w tym samym miejscu, schowany w bocznej uliczce, znacznie bliżej starego magazynu niż bloku B, gdzie miał pracować. Szybkim krokiem

pomaszerował do wejścia, gdzie u podnóża schodów nudził się pojedynczy wartownik. Wymienili ciepłe pozdrowienia, rozpoznając się z wczorajszego spotkania.

–I co, macie ten wyłącznik, he?

–Mam. Zajmie mi to z pół godziny.

–W porządku.

Dong wszedł na piętro i zaczął sprzątać wczorajszy bałagan. Nowy wyłącznik do niczego nie był potrzebny, ale i tak go zamontował. Podłączył pozostawione wczoraj luźne przewody, pozamiatał walające się wokół skrawki izolacji i kawałki kabli i założył na miejsce panele sufitowe. Sprawdził działanie obwodów, wyrzucił śmieci do kosza i nie spiesząc się, zszedł na dół. Była dokładnie za kwadrans siódma.

–Po wszystkim? – spytał wartownik.

–Dla mnie po wszystkim. Możecie teraz p'ozamykać. Ja już nie wracam. Światło działa, komputery działają. Do jutra!

–Do jutra, towarzyszu Quinlei.

Dong odszedł w stronę samochodu. Tak jak poprzednio, schował się za niego i obejrzał się na blok B. Wartownik musiał wejść do środka, bo nie było go nigdzie widać. Ulica wyglądała na zupełnie opustoszałą. Ruszył więc biegiem do magazynu, otworzył tylne drzwi i wśliznął się do środka z bijącym mocno sercem. Musiał się spieszyć. Wartownik mógł łąda moment wrócić i zastanowić się, dlaczego jego samochód wciąż jeszcze tam stoi. Mógł nawet podejść, by sprawdzić, co się stało. Dong wbiegł na schody i nie zwalniając, pokonał wszystkie siedem pięter. Odsapnął przez chwilę pod drzwiami prowadzącymi na dach, po czym odsunął zasuwę i wyszedł na zewnątrz. Schylony dotarł do komina, sięgnął ręką w górę i zdjął z zamontowanego wczoraj urządzenia plastikowe okrycie. Ponownie sprawdził ustawienie celownika, ale ani on, ani okręt nie zmienił pozycji. Laser wciąż był wycelowany w wybrany przez niego punkt na pokładzie Seawolfa. I wtedy Quinlei Dong, mąż Lin i ojciec dziewięcioletniego Li, włączył urządzenie, które miało naprowadzić amerykańską bombę i spowodować pierwszą poważną katastrofę nuklearną w historii miasta Guangzhou, na Zachodzie zwanego Kantonem. Patrzył, jak pojawia się małe zielone światelko, migocze przez chwilę, by w końcu zapłonąć 318

stałym, choć nie intensywnym blaskiem. Wiedział, że w tym momencie niewidzialny promień laserowy wystrzelił w dół, ponad głowami silnego oddziału wartowniczego, wskazując mającej wkrótce nadlecieć z mroku bombie miejsce, w które ma uderzyć. Nie mogła chybić. Dong odczekał parę minut, spoglądając przez krawędź dachu na amerykański okręt. Nawet o tej porze, w niedzielny wieczór, panował wokół niego niezwykle ożywiony ruch. Na pokładzie czterech mężczyzn w laboratoryjnych kitlach rozmawiali z grupą oficerów; trzej inni właśnie wchodzili po trapie, a na pomoście bojowym, na szczycie kiosku, stało kolejnych czterech ludzi w mundurach. Wszędzie wokoło kręcili się wartownicy. Dong wycofał się, nie chcąc przedłużyć

swojej obecności w porcie ani też ryzykować, że ktoś w końcu podniesie głowę i go spostrzeże. Ostrożnie zamknął za sobą drzwi na obie zasuwę, zbiegł, przeskakując po dwa stopnie, i przystanął przy stalowych drzwiach na ulicę. Nasłuchiwał przez chwilę, po czym ostrożnie je uchylił i wtedy, ku swemu przerażeniu, usłyszał czyjeś kroki i głosy. Przez głowę przemknęła mu straszna myśl, że go zauważono i patrol nadchodzi, by go zatrzymać. Delikatnie zamknął drzwi i zamarł w bezruchu. Po dłuższej chwili uchylił je znowu i zobaczył, jak dwaj żołnierze z patrolu znikają za rogiem budynku. Upewnił się, że ulica jest pusta i wyszedł na zewnątrz. Pewnym krokiem ruszył ku swemu samochodowi, wsiadł i zapalił silnik. Objechał blok B od tyłu, nie chcąc, by zobaczył go znajomy wartownik. Ten na bramie zatrzymał go i zapytał, czy zakończył swoją pracę. Dong odrzekł, że tak, i dodał, że polecił jego koledze, by zamknął budynek.

–W porządku, towarzyszu. Widzimy się jutro, he?

–Tak, zwłaszcza jeśli okaże się, że w bloku B nie działa oświetlenie!

Żołnierz roześmiał się i po raz ostatni przepuścił go przez bramę. Za pół godziny od tej chwili Dong, Lin i Li będą w drodze na południe, do Kowloonu, gdzie amerykański agent czekał na nich z nowymi dokumentami dla całej trójki. Jeszcze tego wieczoru znajdą się w samolocie lecącym na

Hawaje i dalej, do Los Angeles. 319

Niedziela, godzina 20.15

Komandor porucznik Olaf Davidson i jego zespół wypuścili powietrze ze swego zodiaca, zakopali

go wraz z większością ekwipunku i opuścili pierwotne miejsce lądowania. Sum Jones i Al,

uzbrojeni po zęby, z poczernionymi twarzami, dźwigając karabin maszynowy, zajęli pozycję tuż

nad nowo wybranym przyczółkiem, o niespełna kilometr od więzienia. Kuter patrolowy wciąż był

w polu widzenia, dopiero co odpłynąwszy od nabrzeża. Sam Olaf z Hankiem usadowili się w

kryjówce zespołu Rusty'ego na zboczu, sprawdzając po raz kolejny „rozkład jazdy” patroli,

świecenia reflektorów i zmian warty. Każda, nawet najmniejsza zmiana zostałaby zauważona i

oceniona. Ale jak dotychczas wszystko odbywało się tak samo jak w poprzednich dniach. Jedynyrp

odchyleniem od normy było siedmiominutowe opóźnienie w wypłynięciu patrolowca i przyłot

dużego śmigłowca transportowego, choć nie zmieniło to ich liczby: wciąż na lądowisku stały dwa,

jak to zapisał Rusty.

Zapadał zmierzch. Przy plaży Sum wycelował nocną lornetkę na przystań, gdzie dwaj żołnierze

rzucili cumy kutra i teraz stali nad wodą, rozmawiając. Z notatek Rusty'ego wynikało, że zawsze

opuszczali rejon przystani zaraz po odpłynięciu okrętu i wracali do koszar. Sum miał nadzieję, że i

dziś tak będzie, bo w przeciwnym razie będą zmuszeni ich zabić.

Al tymczasem przygotował latarkę sygnalizacyjną i ustawił kaem na pozycji z polem ostrzału na

podejście od strony lasu do przystani. Jeśli lądujący desant SEAL zostanie wykryty i rój

Chińczyków nadbiegnie, by kontratakem zepchnąć ich w morze, pierwszych pięćdziesięciu nie

przedrze się przez ołowiany deszcz pocisków kalibru 12,7 mm, jaki spadnie na nich wprost z

dżungli.

W kryjówce Olaf spojrzął na zegarek. Była dwudziesta trzecia trzy. Zmiana warty na zewnątrz

więzienia odbyła się o czasie i teraz czterech Chińczyków ruszyło dwójkami w obie strony dookoła

murów. Jeśli wszystko pójdzie według planu, będzie to ich ostatni patrol w życiu. Chłopaki

wylądują przed upływem dwóch godzin.

Niedziela, godzina 21.09. Morze Południowochińskie, USS Ronald Reagan. 1825N/11235E.

Prędkość 25 w. Kurs 225°

Komandor porucznik Joe Farrell spojrzął na nadbudówkę. Czerwone światło na maszcie sygnalizacyjnym mówiło: „Cztery minuty do startu”. Przez szybę kokpitu widział jasno oświetlony

pas startowy. Wokoło ludzie z obsługi pokładowej zajmowali pozycje. Nawet na jałowym biegu wielkie silniki naddźwiękowego F/A-18 McDonnell-Douglas „Hornet” na najbliższe dotknięcie manetki odpowiadały potężnym rykiem. Hornet mógł w razie potrzeby przenosić 7700 kilogramów

bomb, ale tego wieczoru pod kadłubem wisiała tylko jedna: czteroipółmetrowa paveway-3 z laserowym systemem naprowadzania i półtonową głowicą bojową.

Minęły dwie minuty i sygnał na maszcie zmienił barwę na żółtą. Marynarz stojący tuż przed nosem

samolotu dał mu znak, by podkołował nieco do przodu, a sam zanurkował pod kadłub, by zabezpieczyć grubą stalową linę katapulty.

Wysoko nad pokładem zapaliło się zielone światło. „Strzelec”, porucznik Dale, prawą dłoń wycelował wprost w Farrell’a, a lewą podniósł do góry, wystawiając dwa palce: „Pełna moc!” Joe

pchnął manetki do przodu, wyzwalając morderczą moc dwóch silników odrzutowych. Dale wyprostował pozostałe palce lewej dłoni, nie spuszczając oczu z pilota: „Włącz dopalacze!”

Komandor porucznik Farrell zasalutował regulaminowo i pochylił się do przodu, napinając mięśnie

w oczekiwaniu na pchnięcie katapulty. „Strzelec” odwzajemnił salut, po czym ugiął kolana i dotknął palcami pokładu. Dał znak „Naprzód!” – i marynarz stojący na rusztowaniu na lewo od

samolotu nacisnął guzik zwalniający katapultę numer jeden, schylając się szybko, gdy ogromna siła

napiętej liny wyrzuciła horneta do przodu.

Joe Farrell zacisnął dłonie na drążku, aż zbieleły mu kłykcie, a myśliwiec śmignął z rykiem silników naprzód, zostawiając za sobą gorące tchnienie spalin. Wszyscy przyglądający się startowi

doświadczeni piloci i ludzie z obsługi technicznej wstrzymali oddech. Pułkownika Harta, stojącego 321

wysoko na mostku z admirałem, aż dreszcz przeniknął na myśl o dramatyzmie chwili, gdy Joe Farrell wyruszał, aby zniszczyć Seawolfa.

Nos horneta uniósł się, a na pokładzie odetchnięto z ulgą, kiedy rasowa sylwetka myśliwca z szybkością trzystu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę wzbiła się w niebo, niosąc śmiertcionośny

ładunek.

–Wieża do horneta jeden zero zero, dobra robota. Zezwalam na akcję.

–Hornet jeden zero zero, zrozumiałem.

ROZDZIAŁ IO

Niedziela, godzina 21.19. W kokpicie horneta

Komandor porucznik Farrell nie spuszczał oczu z przyrządów pokładowych. Myśliwiec mknął nad czarnymi wodami Morza Południowochińskiego na wysokości zaledwie siedemdziesięciu pięciu metrów, w każdej minucie pokonując ponad dwanaście kilometrów. Ta część sztuki bojowego pilotażu wymagała od lotnika najwyższych kwalifikacji: lot na niskim pułapie, poniżej zasięgu wojskowych radarów, ze świadomością, że jeden zbyt silny ruch drążkiem pośle samolot wysoko w górę, wprost przed oczy wpatrujących się w ekrany rada-rzystów wroga, albo też wprost w morze, ku natychmiastowej śmierci w wirującej kuli ognia. Piloci lotnictwa morskiego US Navy bez przerwy trenują niskie loty, ale niebezpieczeństwo zawsze pozostaje takie samo, a koncentracja uwagi, jakiej wymaga utrzymanie się dokładnie o siedemdziesiąt pięć metrów nad wodą przy maksymalnej prędkości, jest wprost niesamowita. Zwłaszcza nocą.

Hornet Farrella leciał z prędkością tylko siedmiuset czterdziestu kilometrów na godzinę, ale za każdym razem, kiedy dostrzegał przed sobą światło na wodzie w odległości, powiedzmy, trzech kilometrów, już po piętnastu sekundach ginęło za ogonem samolotu. Komandor trzymał drążek żelaznym uściskiem, przenosząc wzrok z kompasu na wysokość-ciomierz, z szyby na sztuczny horyzont, i od czasu do czasu mówił coś cicho do mikrofonu, przekazując meldunki na lotniskowiec, który po piętnastu minutach lotu pozostał o sto dwadzieścia mil morskich z tyłu. Dziewiętnaście po dziewiątej, po osiągnięciu niewidzialnej linii przechodzącej przez port Makau południka sto trzysta stopni i trzydzieści 323

minut, wykonał zwrot na północ, na ostatni trzydziestomilowy odcinek lotu do ujścia delty Rzeki Perłowej, wprost nad Wanshan Qundao.

Po pięciu minutach zobaczył światła wyspy tuż pod sobą, a z przodu po lewej jasną lunę nad Makau. Skręcił o dziewięć stopni w lewo, podążając wzdłuż linii brzegu w cieniu parusetmetrowych wzgórz na wschód od miasta Sanxiang. Kolejne muśnięcie drążka i znalazł się nad głównym torem wodnym, na zachód od Kowloonu, minął wyspę Qiao i skręciwszy jeszcze odrobinę w lewo, wleciał nad rozległe moczary delty. Pchnął manetkę do oporu i poczuł, jak gwałtowne zwiększenie ciągu wciska go w oparcie fotela. Samolot przyspieszył do tysiąca stu kilometrów na godzinę, tuż poniżej bariery dźwięku, której przekroczenie wywołałoby zdradzającą jego obecność falę uderzeniową. Leciał teraz wprost na bazę marynarki wojennej w Guangzhou, do której pozostało jeszcze tylko szesnaście kilometrów... czternaście... dwanaście... wreszcie dziesięć. Automatyczny, wstępnie ustawiony i odliczający sekundy celownik bombardierski wskazywał, że czas pójść w górę. Farrell nacisnął guzik „zezwoleń” na panelu kontrolnym. Pociągnął do siebie drążek i hornet po raz pierwszy od startu z lotniskowca zaczął nabierać wysokości, lecąc pod kątem czterdziestu pięciu stopni do płaszczyzny horyzontu. Uchwyt został automatycznie zwolniony i siła bezwładności popchnęła oswobodzoną bombę paveway-3 jeszcze przez tysiąc metrów dalej w niebo. Leciała z cichym gwizdem, tracąc z wolną prędkością – pierwszy kilometr pokonała w niespełna trzy sekundy, a

kolejne pięć w pół minuty. Po osiągnięciu wierzchołka trajektorii zaczęła opadać, jednocześnie czujnik laserowego systemu naprowadzania rozpoczął poszukiwanie niewidzialnego, odbitego od Seawolfa promienia, tak starannie wycelowanego przez Donga. Komandor Farrell wykonał figurę zwaną immelmanem: ściągnął drążek na siebie, zatoczył

możliwie najciaśniej-szą pętlę, przewracając samolot na plecy i zaraz potem szybką półboczka

wracając do właściwego położenia, znalazł się na kursie dokładnie przeciwnym. Ostrożnie

zmniejszył wysokość znowu do siedemdziesięciu pięciu metrów nad moczarami i wkrótce

wystrzelił nad wodę. Pędząc wciąż z prędkość-

cią tysiąca stu kilometrów na godzinę ku otwartemu morzu, minął Kowloon zaledwie minuty przedtem, zanim Quinlei Dong zaparkował samochód pod terminalem odlotów lotniska Chek Lap

Kok. I tak jak rodzina Donga, miał się zatrzymać dopiero na amerykańskiej ziemi, a raczej – w jego wypadku – na amerykańskim lotniskowcu.

Tymczasem bomba spadała łukiem w dół poprzez mrok, namierzywszy laserowy promień przed

sobą, i zmieniając nieco ustawienie lotek, nieubłaganie mknęła ku swemu celowi. Nikt nie mógł jej

zobaczyć ani usłyszeć. Nikt nie wiedział, że się zbliża.

Na pokładzie dziobowym Seawolfa było czterech wartowników, sześciu techników pracowało w

pomieszczeniu sonaru, dwudziestu innych specjalistów rozproszyło się po całym wnętrzu, wśród

nich kilku Rosjan. Nikt z nich się tego nie spodziewał, kiedy dokładnie o dwudziestej pierwszej czterdzieści paveway-3, nadleciawszy znikąd z dziwnym, miękkim świstem uderzyła w kadłub

okrętu. W ciągu milisekundy jej przeciwpancerna głowica przebiła kadłub ciśnieniowy i równie mocne ściany przedziału reaktora, po czym eksplodowała z głuchym, wibrującym hukiem o metr i

osiemdziesiąt centymetrów od kipijącej energii masy rdzenia reaktora. Przedział wytrzymał eksplozję głowicy bomby, zatrzymując wewnątrz całą wyzwoloną energię, ale tym większe uczyniła ona spustoszenie, rozrywając stalowe rury pierwotnego obiegu chłodzenia w czterech miejscach. Woda, krążąca w reaktorze pod ciśnieniem stu sześćdziesięciu barów, wytrysnęła w powietrze, natychmiast zamieniając się w parę i z siłą wybuchu wypełniając pomieszczenie.

Pompy zatrzymały się, a pręty hamujące automatycznie zostały opuszczone do rdzenia, by awaryjnie zatrzymać reaktor. Oba wielkie zawory odcinające, mimo eksplozji nie uszkodzone, zamknęły się automatycznie na skutek gwałtownego spadku ciśnienia w układzie poza stalową obudowę. Reaktor nagle pozbawiony został dopływu oczyszczonej wody pod ciśnieniem, która odbiera ciepło wytworzone w reakcji rozszczepienia jądra atomów wzbogaconego uranu U-235 w rdzeniu. Urządzenie błyskawicznie traciło kontrolę nad szybkimi neutronami, a rdzeń coraz bardziej się rozgrzewał.

Była jeszcze tylko jedna szansa na ratunek: automatyczny awaryjny układ chłodzenia, wbudowany na wypadek takich właśnie zdarzeń. On również ma dwa zawory odcinające i zaprojektowany jest, by zassać wodę morską i pompować ją przez rdzeń, tak by zawarty w niej wodór walczył z diabo-liczną energią neutronów, na której wykorzystaniu opiera się zasada działania bomb jądrowych. Woda ma tu życiodajne znaczenie. Dzięki doskonałej zdolności chłodzenia ma zapobiec stopieniu się całego rdzenia reaktora.

Rurociąg doprowadzający wodę znany jest w technicznym slangu okrętowym jako „zimna odnoga”. Kiedy wypływa znów poza masę srebrzystego uranu, już okropnie gorąca, kierowana jest do rur drugiej części układu, nazywanego „ciepłą odnogą”. Jednak dzięki przemyślnym działaniom sabotażowym Judda Crockera i Mike'a Schültza podczas holowania Seawolfa do Guangzhou, zawór odcinający z wolna się otworzył i teraz okręt miał dwie „ciepłe odnogi”, co równało się katastrofie. Awaryjny układ chłodzenia nie działał. Chińscy technicy w centrali kontrolnej siłowni, już wcześniej przerażeni nagłym wstrząsem eksplozji, ze zgrozą pojęli, co się za chwilę stanie. Temperatura rdzenia wzrastała w sposób widowiskowy. Szykował się chiński Czarnobyl. Próbowali jeszcze jakoś temu zaradzić, modląc się, by jakimś cudem włączyło się awaryjne chłodzenie. Mike Schultz jednak nie popełnił błędu. Nic już nie mogło uratować sytuacji. W cztery minuty później wiedzieli o tym wszyscy. Temperatura rdzenia znacznie przekroczyła poziom alarmowy. Narastające głęboko w przedziale reaktora ciepło zaczynało roztopiać obudowę i o dwudziestej pierwszej czterdzieści osiem rozpalona do białości masa uranu i nierdzewnej stali przepaliła pięciometrowej grubości wzmocnione dno reaktora i spadła na wewnętrzne poszycie

kadłuba.

W parę sekund gorący metal przeciął trzynastocentymet-rową stal niczym masło i wypadł do wody.

Po drodze zamienił USS Seawolfa w śmiertelną pułapkę, wypełnioną radioaktywnymi cząstkami.

Przez co najmniej czterdzieści lat wody portowe Guangzhou będą skażone w stopniu niebezpiecznym dla życia.

W centrali kontrolnej naukowcy byli w pełni świadomi

skali katastrofy. Czujniki promieniowania wszędzie alarmowały, a w wodzie rozchodziła się niezwykła poświata. Z głośników we wszystkich przedziałach płynęło ostrzeżenie: „Stopienie rdzenia... Stopienie rdzenia...” Wybuchła panika. Oficer pełniący funkcję dowódcy wykrzyknął

rozkaz natychmiastowego opuszczenia okrętu. Technicy, naukowcy, marynarze i wartownicy rzucili

się do włazów i trapów. Seawolf utrzymywał się jeszcze na powierzchni, mimo że przedział reaktora zalewała już napływająca przez wypalony otwór woda, ale każdy, kto pozostałby tam

dłużej niż dziesięć minut, byłby już tylko żywym trupem, któremu pozostało najwyżej trzy tygodnie

życia. Marzenie admirała Zhanga o skopiowaniu tego mocarnego cesarza oceanicznych głębin rozwiało się; Chińczycy w ciągu zaledwie kwadransa od wywołanego wybuchem wstrząsu znaleźli

się w dramatycznej sytuacji awaryjnej. Dowodzący oficer uciekał ze wszystkimi, krzycząc na naukowców, by bez przestanku biegli do najdalej położonych biur nieopodal bramy głównej. Kiedy

przybył na miejsce, zastał zamknięte drzwi; przestrzelił zamek z pistoletu służbowego i wszyscy

rzucili się do biurek i telefonów. Uruchomiono połączenie konferencyjne ze sztabem Floty Południowej w Zhanjiang, bezpośrednio z admirałem Zhangiem Yushu.

Naczelnym dowódcą był oszołomiony; ni stąd, ni zowąd znalazł się w środku sporu z tłumem fizyków jądrowych, którzy widzieli tylko jedną szansę na poradzenie sobie ze skutkami katastrofy:

zatopić Seawolfa, pozwalając mu opaść na tkwiący na dnie radioaktywny rdzeń. Potem można by

odizolować akwen w promieniu, powiedzmy, pięciuset metrów i być może postawić rodzaj tamy, by

zapobiec rozprzestrzenieniu się skażonej wody w stronę miasta.

Inni technicy jednak bardzo chcieli jeszcze trochę zatrzymać amerykański okręt i żądali odholowania go na otwarte morze, by tam spróbować wymontować najważniejsze urządzenia. Dla

Zhanga był to promyk nadziei w czarnej otchłani i wrzeszczał poprzez coraz bardziej histeryczną

kakofonię nakładających się na siebie głosów, by wykonano jego rozkaz -odholować okręt na morze i ratować z jego wyposażenia co się da.

Doktor Luofu Pang, kierownik zespołu badającego Sea-

wolfa i jeden z najbardziej poważanych naukowców Chin, zgodził się w końcu, mówiąc:

–Towarzyszu admirale, jeśli taki jest wasz rozkaz, to ja nie jestem upoważniony, by mówić

marynarce wojennej, co ma robić. Niech więc tak będzie. Przekażę wam jednak swoją ostatnią

opinię na ten temat. Każdy człowiek, który wejdzie na okręt choćby na dziesięć minut, zginie. Jeśli

poślecie tam naszych ekspertów, stracimy wszystkich. Z głębokim żalem muszę was poinformować,

że wasz rozkaz nie jest słuszny. I jeśli uznacie za stosowne utrzymać go w mocy, świadomie

posyłając naszych najlepszych techników na szybką śmierć, po wypadku, w którym osobiście

uczestniczyłem, wówczas ta moja rada musi zostać prawidłowo zaprotokołowana.

Niezwłocznie

podejmę odpowiednie działania, by tak się stało. – Jego głos nagle stwardniał, kiedy na koniec

dodał: – Tego się nie da zrobić, admirale.

Zhang potrafił rozpoznać nagą prawdę w słowach naukowca. Powiedział więc tylko: '

–Dobrze więc, doktorze Luofu. Jako wojskowy, jestem rozczarowany. Ale kapituluję wobec

waszych argumentów. Proszę zrobić wszystko, co możliwe, by zapewnić bezpieczeństwo personelu

bazy. I zatopić Seawolfa, skoro tak uważacie.

Były to wielkie słowa z ust wielkiego człowieka. Admirał Zhang nie został najmłodszym w historii

nacelnym dowódcą Marynarki Ludowo-Wyzwoleńczej przez ślepe zrządzenie losu.

O dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt niedzielnej wieczoru szesnastego lipca roku dwutysięcznego

szóstego wielka machina portu wojennego zaczęła reagować. Zespół do spraw wypadków nuklearnych uruchomił przewidziany na takie sytuacje program działania: rozpoczęto kontrolę

skazenia promieniotwórczego, ruszyły do akcji drużyny dezaktywacyjne, straż pożarna, służby medyczne, sprawdzano warunki meteorologiczne, a przede wszystkim siłę i kierunek wiatru. Do władz miejskich powoli dotarło, że w bazie zdarzyła się katastrofa. Policja szybko wkroczyła do akcji, odcinając szczelnym kordonem port wojenny i ewakuując najbliższe położone dzielnice, zwłaszcza te, w których stronę wiał wiatr. Najważniejsze było zapobieżenie masowej panice. Szef policji 328

zadzwoił do Komendy Głównej w Pekinie z informacją o wypadku, a prasa już usiłowała się skontaktować z dowództwem marynarki wojennej. Minęło jeszcze parę minut, zanim admirał Zhang sam połączył się ze stolicą, by powiadomić rząd, że w nie wyjaśniony na razie sposób na amerykańskim okręcie podwodnym podczas prowadzonych przy reaktorze prac doszło do poważnej awarii nuklearnej.

Wiedziano już, że rejon bazy jest silnie skażony, ale jak dotąd nie było dowodów na rozprzestrzenianie się radioaktywnego opadu na samo miasto. Policja uznała, że rozsądnie będzie wstrzymać przyjmowanie wszelkich lotów na miejskim lotnisku, dopóki sytuacja nie zostanie właściwie oceniona, co miało potrwać dwa dni.

W sztabie w Zhanjiang admirał Zhang zmagał się ze swymi prywatnymi niepokojami. Pierwszą, instynktowną myślą było, że najwyraźniej jego naukowcy coś spieprzyli. Amerykanie musieli przecież mieć jakieś systemy zabezpieczające reaktor, które poradziłyby sobie z tym problemem. Czyż zatem fizycy „zrobili Czarnobyl”, wyłączając system bezpieczeństwa, aby przeprowadzić jakiś bzdurny eksperyment? Zhang zadrżał. Nie, z pewnością nie. Może więc Amerykanie zamontowali gdzieś jakiś automatyczny układ sabotażowy i od początku wiedzieli, że okręt ulegnie samozniszczeniu? I stąd ich uprzejme, przebiegłe noty posyłane kanałami dyplomatycznymi. Admirał nie przywykł wychodzić na kompletnego głupka i bynajmniej mu to nie odpowiadało. Wezwał admirała Zu Jicai i pokrótce opowiedział mu o katastrofie. W dowódcę Floty Południowej jakby piorun strzelił. Jego wrodzony spokój ustąpił miejsca emocjonalnej burzy. Na wielokrotnie powtarzane pytanie Zhanga, czy okręt mógł mieć zamontowany mechanizm samozniszczenia, odpowiadał jednak zdecydowanie przecząco. Obaj wiedzieli, że mają zapewnioną współpracę wysokiego oficera amerykańskiego – samego zastępcy dowódcy, komandora podporucznika Bruce'a Lucasa. Któregoś wieczoru nawet chętnie spędził on noc na pokładzie Seawolfa i nie zdradzał ani cienia niepokoju, że z okrętem może się cokolwiek stać. Zapytano go zresztą o to wprost. Zhang i Jicai czytali raport z przesłuchania, na którym Amerykanin zapewniał, że nigdy nawet nie 329

słyszał, aby jakakolwiek jednostka US Navy została w taki sposób zabezpieczona przed dostaniem

się w niepowołane ręce.

Obaj admirałowie czuli pogardę dla oficera, który tak łatwo ugiął się przed nimi i zgodził się

ujawniać tajniki okrętowych mechanizmów. Związane to było z wrodzoną fobią Chińczyków dotyczącą „utrąty twarzy”. Jak wszyscy chińscy wojskowi, Zhang i Jicai w głębi duszy żywili szacunek dla Judda Crockera, Brada Stocktona i nieszczęśliwie zmarłego Cy Rothsteina, ludzi niezłomnych w swym patriotyzmie i lojalności nawet w obliczu śmierci. Bruce Lucas na ich szacunek nie zasługiwał. Admirał Zhang odczuwał nawet pewną sadystyczną przyjemność, kiedy

podniósł słuchawkę i zadzwonił do komandora Li Zemina, który właśnie jadł kolację w swej prywatnej kwaterze nad centralą łączności w więzieniu na Xiachuan Dao.

–Dobry wieczór, Li. Przepraszam, że niepokoję cię tak późno, ale może nie zostałeś dotąd poinformowany, że w bazie Guangzhou wydarzyła się wielka katastrofa...

–Nie, towarzyszu admirale. Nic mi o tym nie wiadomo.

–Na amerykańskim okręcie nastąpił poważny wypadek nuklearny i prawie cały port uległ skażeniu. Wygląda to na stopień rdzenia. Prywatnie sędzę, że nasi naukowcy mogli nie być wystarczająco kompetentni, by pracować przy nim bez dobrowolnej współpracy Amerykanów, i pewnie za bardzo go rozgrzali czy coś w tym rodzaju. Musimy jednak mieć pewność, że okręt nie był zabezpieczony jakimś mechanizmem samozniszczenia na wypadek, gdyby wpadł w obce ręce.

–Przesłuchiwaaliśmy komandora Lucasa na tę okoliczność, ale stwierdził, że nic o czymś podobnym nie wie.

–Jest on jednak podszyty tchórzem – powiedział Zhang. – Może być nieuczciwy i uważam, że dobrze byłoby przenieść go jak najszybciej, jeszcze dzisiaj, do celi przesłuchań. Nie dajcie mu spać... może też spróbować tej samej sztuczki co poprzednio? Może w ten sposób doczekamy się poważnej odpowiedzi. Dziękuję, Li. Porozmawiamy jutro z samego rana, zanim zaczniesz przewozić więźniów.

Niedziela, godzina 22.15. Morze Południowochińskie, 2112N/11235E

Wszystkie trzy amerykańskie okręty były teraz o trzydzieści mil na południe od miejsca desantu, płynąc na głębokości peryskopowej z prędkością ośmiu węzłów. Linia dna na echosondach stale się podnosiła. Uwaga trzech dowódców skupiona była całkowicie na meldunkach sonarzystów, nieprzerwanie odczytujących malejący zapas wody pod stępką. Minuty płynęły w napięciu. O dwudziestej drugiej pięćdziesiąt sonarzysta z Cheyenne zgłosił głębokość sześciu metrów. Jeszcze mila i okręty się wynurzą, by dalej płynąć na powierzchni. Radiooperator już połączył się z satelitą, odbierając potwierdzenie, że kuter patrolowy stoi znowu przy nabrzeżu i w rejonie wyspy nie ma śladu innych chińskich jednostek.

Pod osłoną czarnej tropikalnej nocy trzy okręty podwodne klasy Los Angeles wychynęły z ciemnej toni na smagane ulewnym deszczem wody Morza Południowochińskiego. Nie zwalniając biegu, sunęły przez kolejne cztery mile, cały czas wytyczając elektroniczne „uszy” w poszukiwaniu sygnałów nieprzyjacielskich radarów, których jednak na tym pustym, odludnym wybrzeżu nie było. W odległości czterech mil morskich od plaży, stanęły, kołysząc się łagodnie na niewielkiej fali. Chłopcy z SEALs byli gotowi i natychmiast zaczęli wychodzić na pokład. Marynarze Greenville'a i Cheyenne już napełniali powietrzem komory znacznie większych tym razem zodiaców, przygotowując silniki przyczepne i sprawdzając paliwo. Wkrótce komandosi zsunęli je sprawnie na wodę i zajęli w nich miejsca po ośmiu na łódź. Trzy czwarte drogi mieli pokonać na silnikach, ostatnią milę zaś przewiosłować w ciszy, tak jak poprzednio zrobił to zespół Olafa Davidsona. Każdą z ośmiu łodzi dowodził jeden ze zwiadowców, którzy już byli na wyspie. W pierwszej siedział komandor Bennett. Na zodiacach było dość ciasno z uwagi na pokaźną ilość ekwipunku i uzbrojenia: karabiny maszynowe, drabiny, miny chle-bakowe, zwoje ładunku kablowego, wyrzutnie rakiet prze-ciwczołgowych, kotwiczki, granaty, a także skrzynka flar, by 331

oświetlić teren w chwili, kiedy zacznie się „hałas”. Były tam też ręczne radiotelefony, już ustawione na wspólną częstotliwość z większym nadajnikiem, który będzie niósł osobisty ochroniarz komandora Huntera i który posłuży jako centrum dowodzenia dla wszystkich zespołów. W wyposażeniu znalazły się także odbiorniki nawigacyjne GPS, apteczki i lekkie aluminiowe nosze. Silniki zagrały niemal jednocześnie i zaskakująco cicho. Ostatnie informacje z sonarów i radarów mówiły, że w promieniu dwudziestu pięciu mil nie ma żadnego obcego okrętu, jeśli nie liczyć stojącego przy nabrzeżu patrolowca. Ruszyli więc w drogę, otworzywszy przepustnice silników na pełną moc, i w mig osiągając prędkość dwudziestu węzłów, skierowali się na północ, w stronę, gdzie oczekiwał na nich Olaf z Sumem, by sygnałami latarki naprowadzić ich na miejsce lądowania. Rusty wiedział, że w nawigacji pomoże im światło latarni na południowym cyplu Shangchuan Dao; wypatrzył je lekko z prawej po ośmiu minutach – jeden krótki błysk co pięć sekund. Spojrzał na zegarek i płynął dalej, a za nim pozostałe siedem łodzi w szyku torowym. Jeszcze sześć minut i da znak, by zwolnić; dziękował w duszy Bogu za deszcz, tłumiący odgłosy na

wodzie.

Kwadrans przed północą wyłączyli silniki i wzięli się do wiosł, przysiadając na gumowych komorach zodiaków. Długimi, cichymi pociągnięciami popchnęli łodzie ku dalekiemu jeszcze

brzegowi, bez świateł, prowadzeni tylko przez kompas i jarzące się zielono cyferki na ekranie GPS

Rusty'ego Bennetta. Po dziesięciu minutach komandor na lewo od dziobu dostrzegł kolejne światło,

tym razem trzy szybkie błyski co dwadzieścia sekund. Był to uzgodniony sygnał od Olafa

Davidsona. Bennett wydał cichą komendę:

–Lewa stop, prawa dwa pociągnięcia... obie naprzód, sześć pociągnięć i stop... prawa dwa... lewa

jedno... obie naprzód, dziesięć pociągnięć...

I wtedy poczuł, jak łódź zaczyna się poruszać sama, kiedy Olaf i Sum złapali za uchwyty burtowe i

pociągnęli przez płycizny do brzegu. Komandoski wyskoczyli do wody, by wspólnie wyciągnąć

zodiaka na plażę, ostatnia dwójka zaś odwróciła się, by tak samo wspomóc następną łódź. Rusty

przejął ko-

w ś

mendę nad lądowaniem, rozkazując, by przy każdej łodzi zostało dwóch ludzi, w sumie szesnastu

cennych żołnierzy. Miejsce ewakuacji znajdowało się jednak o milę dalej na północ, poza przystanią patrolowca, najbliżej więzienia, jak to tylko było możliwe. W chwili, kiedy chiński kuter

wyleci w powietrze, osiem zodiaców musi ponownie spłynąć na wodę i pełną prędkością przepłynąć do punktu, do którego wkrótce zaczną nadciągać pierwsi uwolnieni marynarze z Seawolfa. Ich droga musi być jak najkrótsza, ponieważ mogą wśród nich być ranni.

Tymczasem z dżungli jak duchy wysunęli się Hank i Al, witając się z komandorem Hunterem i

prowadząc przybyłych do wyciętej na skraju lasu przesieki w zaroślach. Rusty nadzorował wyładunek ekwipunku, a porucznik Conway odpowiadał za jego przenoszenie na miejsce zbiórki.

Warunki mogłyby się wydawać okropne – absolutna ciemność i rzęsisty tropikalny deszcz – ale dla

tego typu operacji były wymarzone. Jedyne światła w okolicy widać było na zacumowanym u nabrzeża kutrze. Komandor Hunter zaczął dzielić swych ludzi na trzy szesnastoosobowe zespoły.

Pododdział szturmowy A miał poprowadzić Rusty Bennett, mając pod komendą bosmana McCarthy'ego, trzech Brytyjczyków, Bustera Town-senda, Johna i Billa oraz ośmiu szeregowców.

Do nich należało przeprowadzenie wstępnego ataku: wspinaczka na mury, opanowanie wież strażniczych, likwidacja patrolu wewnątrz kompleksu, wysadzenie wartowni i bramy głównej, a potem pomoc przy uwalnianiu więźniów. W tym momencie dowodzenie miał przejąć

McCarthy, a

Rusty wycofać się na plażę, by zorganizować ewakuację.

Pododdziałem B dowodził porucznik Conway, jego zastępcą został Paul Merloni. W jego skład weszli Grzechotnik Davies, Sum Jones, Steve Whipple i Rocky Lamb, Hank, Al i ośmiu innych, dla

których była to pierwsza akcja bojowa. Ich zadaniem, decydującym o powodzeniu całej operacji,

było zniszczenie środków łączności i atak na budynek administracyjno-koszarowy, by zapobiec

ewentualnemu kontratakowi jego mieszkańców, a także zabicie wszystkich żołnierzy z patrolu

zewnątrznego.

Dowództwo pododdziału C objął komandor porucznik Olaf

Davidson, z porucznikiem Schaefferem jako zastępcą. Pozostali z nimi podporucznik Atkins i grupa najbardziej doświadczonych Fok, ponieważ pododdział ten miał stanowić odwód i być gotowy do wszelkiego typu działań, zwłaszcza na wypadek niespodziewanej sytuacji krytycznej. Mieli zadanie zniszczenia kutra patrolowego i obu śmigłowców, a potem przemieszczenia się na bezpośrednie zaplecze akcji i osłanianie grup A i B oraz pomoc przy ewakuacji więźniów. Ich pieczy powierzono też środki medyczne i nosze.

Komandor Hunter miał pozostać na stanowisku dowodzenia, usytuowanym na stromym, zalesionym zboczu o czterdzieści metrów od lądowiska, na lewo od drogi, którą przed paroma tygodniami prowadzono załogę Seawolfa do więzienia. Drużyna zwiadu wybrała to miejsce ze względu na dobry widok na bramę. Do pomocy w pierwszej fazie operacji miał porucznika

Allenswortha, który pełnił funkcję* jego osobistej ochrony, oraz dwóch żołnierzy, którzy mieli też służyć jako radiooperatorzy, zapewniając kontakt z trzema pododdziałami. W razie jakichkolwiek problemów Rick Hunter zdecydowałby o opóźnieniu akcji. Dopiero po zniszczeniu zewnętrznych zabudowań, pokonaniu znajdujących się wewnątrz murów wartowników i wysadzeniu w powietrze bramy cała czwórka miała wejść na dziedziniec więzienia i zająć się organizacją ewakuacji więźniów na plażę, do Rusty'ego Bennetta.

Deszcz nie przestawał lać i wciąż było ciemno choć oko wykol, więc transport sprzętu z plaży odbywał się denerwująco powoli. Ale ludzie z SEALs nienawidzą pomyłek, zostawiania czegokolwiek, nie cierpią nie sprawdzonych list, zapominania i niespodzianek. Porucznik Conway sprawdzał wszystko po kolei, korzystając z wodoszczelnego laptopa, a Olaf Davidson osobiście przekazywał niezbędne części ekwipunku poszczególnym pododdziałom, które ustawiły się na przesiece osobno. Rick Hunter chodził od grupy do grupy, po cichu przekazując dowódcom instrukcje. Kładł nacisk zwłaszcza na łączność radiową: żadnych słów w eterze, dopóki, jak się wyraził, „pieprzony sufit nie zacznie wam się walić na głowy”. Zezwolił jedynie na szybkie kliknięcia przełącznikiem nadawania, odbierane w innych radiostacjach jako drobny trzask. Jeden trzask oznaczał „prawie gotowi”, dwa -334

„gotowi”, trzy – „drobny problem”, a przedłużone przytrzymanie przełącznika – „kryzys”. O wpół do pierwszej wszystko było gotowe; prawie godzinę później, niż zakładał plan, ale to opóźnienie... było przewidziane. Pułkownik Hart liczył na to, że nadrobią stratę po wyruszeniu. Rick Hunter wydał rozkaz wymarszu i trzy pododdziały szturmowe w milczeniu i bezszelestnie pomaszerowały w deszczu i w ciemności ku wyznaczonym celom. Każdy z dowódców miał swoją kopię mapy wyspy, planu więzienia i notatek drużyny zwiadowczej. Hasłem była „godzina A” – jak atak. Powinni znaleźć się na pozycjach wyjściowych piętnaście minut przed rozpoczęciem akcji. Ray Schaeffer z Garrettem Atkinsem i dwójką żołnierzy posuwali się lasem wzdłuż plaży, idąc specjalnym chodem Fok: lekkimi krokami, przenosząc ciężar ciała na nogę wy-kroczną dopiero w ostatniej chwili, by uniknąć łamania leżących na ziemi suchych gałązek. Dla obserwatora w jasnym świetle dnia wyglądałoby jak statyści mający wystąpić w

kreskówce o Różowej Panterze, ale poruszali się nadspodziewanie szybko i bezgłośnie. Oprócz standardowego uzbrojenia każdy z nich niósł ręczną wyrzutnię przeciwczołgową i po dwa pociski. Ich zadanie było istotne i przy tym proste. Na komendę radiową, dokładnie o godzinie A, Ray i Garrett mieli odpalić po jednej rakiecie w patrolowiec; jedna wycelowana ponad linię wodną, druga poniżej. W zależności od skutków wybuchów mogli poprawić dwoma następnymi pociskami, ale jeśli dwa pierwsze zamienią kuter we fruwające drzazgi, dalsza akcja będzie zbędna. Ray postawiłby tylko wówczas dwóch komandosów z kaemem o parędziesiąt metrów od wraku, by ścięli ogniem każdego, kto mógłby jeszcze próbować ucieczki w głąb lądu. Cel był jasny: dopilnować, by absolutnie niemożliwe było nadanie sygnału radiowego, co w „foczym” języku oznaczało „zniszczyć wszelkie nadajniki i zabić wszystkich, którzy mogliby je obsługiwać”.

Światła pokładowe chińskiego okrętu zbliżały się coraz bardziej, wyraźnie widoczne między drzewami. Kiedy pozostało im do przejścia jeszcze dwieście metrów, skręcili głębiej w dżungłę, zgodnie z sugestią Rusty'ego Bennetta. Zatoczywszy łuk, zawrócili znów w stronę morza. Szli miękko, 335 _#

krok za krokiem, szukając wybranej pozycji do strzału i obserwując ją zza zasłony liści. Minuty chińskiego patrolowca były policzone, i to w sensie dosłownym. Przemarsz zajął Fokom czterdzieści minut. Do godziny A pozostało trzydzieści pięć minut.

Komandor porucznik Olaf Davidson ze swymi weteranami wpatrywali się ze wzgórza na południowy wschód od więzienia w stojące pod nimi dwa śmigłowce. Olaf wiedział, że pułkownikowi Hartowi nie odpowiadają miny z zapalnikami zegarowymi, bo raz je nastawiwszy, nie można już tego zmienić. Porucznik zgadzał się z tym – w razie nieprzewidzianych okoliczności ktoś musiałby wrócić i wyłączyć zapalnik; to zaś byłoby – poza tym że WNT – cholernie

niebezpieczne i mógłby zostać przyłapany przez enpla.

Dlatego też Olaf polecił dwóm ludziom z wyrzutniami rakiet zająć dobrą pozycję o pięćdziesiąt

metrów od lądowiska. Gdy tylko operacja wejdzie w fazę „głośną”, wpakują w każdy zatankowany

niewątpliwie do pełna śmigłowiec po pocisku, zamieniając je w malownicze kule ognia, być może

wraz z pobliskim składem paliwa. Odczekał, aż dojdą na miejsce i przygotują się do strzału, po

czym z resztą pododdziału ruszył dalej, rozstawiając ludzi grupkami w dwóch strategicznych punktach wokół więzienia. Pierwsza z nich ukryła się w lesie naprzeciw południowo-

wschodniego

narożnika murów, gotowa podążyć za pierwszymi atakującymi przez bramę do środka. Druga grupa

miała osłaniać i wspierać oddział nacierający na kwaterę straży, gdzie można było się spodziewać

oporu. Olaf ustawił ich po drugiej stronie kompleksu, na wzgórzu od zachodu, skąd w razie potrzeby mogli zniszczyć cały budynek. Kiedy wszyscy znaleźli się na wyznaczonych pozycjach,

do ataku pozostało dwadzieścia pięć minut.

Pododdział B Dana Conwaya miał do przetaszczenia sporo materiałów wybuchowych i poruszał się

przez dżungłę wolniej od pozostałych. Nieśli kilka ciężkich min chlebakowych, z których cztery

zawierały specjalnie sprężony gaz i miały posłużyć do rozsadzenia bloku administracyjnego. Te z

klasycznym ładunkiem były przeznaczone dla kwatery komendanta, będącej zarazem centralą łączności. Torby mieściły po dwadzieścia kilogramów materiału wybuchowego i stanowiły

L

0 życia i śmierci całego oddziału i wszystkich więźniów. Dla każdej z nich był przewidziany plan zapasowy: „Co będzie, jeżeli dwaj nasi zginą, zanim uda im się podłożyć miny? Wtedy potrzebni będą dwaj następni”. Do wysadzenia były cztery budynki, lecz chociaż osiem min powinno wystarczyć aż nadto, oni musieli przydźwigać na wszelki wypadek aż szesnaście. Sto sześćdziesiąt dodatkowych kilogramów trotylu stanowiło polisę na życie stu siedemdziesięciu kilku Amerykanów na wyspie. Sprawni i silni jak pumy, parli do przodu przez ociekającą wodą i czepiającą się licznymi mackami zarośli dżunglę; dwóch szeregowców maczetami wyrąbywało przejście dla Rocky'ego Lamba, Grzechotnika, masywnego Suma Jonesa, który – podobnie jak idący za nim Steve Whipple – sam niósł dwie miny, i reszty pododdziału. Deszcz zaczął bezlitośnie; ślizgali się na błotnistej ziemi, klęli i modlili się, żeby tylko nie przestało padać w tę Noc Sokołów. Na wyznaczone pozycje dotarli dwadzieścia minut przed czasem

1 byli prawie gotowi. Porucznik Merloni z trzema komandosami znaleźli się na miejscu ostatni, całkowicie skryci w zagłębieniu terenu tam, gdzie wkrótce postarają się zabić czterech patrolujących zewnętrzny obwód murów Chińczyków, a może i sześciu. W notatkach Olafa była wzmianka o dwóch dodatkowych żołnierzach na popołudniowej zmianie, ale trudno przewidzieć, czy to samo odnosi się do służby nocnej. Byli przynajmniej ostrzeżeni.

Rick Hunter, nie obciążony większym bagażem, pierwszy znalazł się na swej pozycji. Bobby Allensworth ustawił przy nim przenośną radiostację, środek łączności pomiędzy dowódcą a wszystkimi Fokami. Tą drogą będą przepływały wszystkie rozkazy i drobne zmiany w planach, a w sytuacji krytycznej będzie to jedyna możliwość ratunku, wezwania pomocy z lotniskowca, gdyby Chińczykom udało się sprowadzić na wyspę posiłki. Na szczęście prawdopodobieństwo takiego kryzysu było znikome.

Pododdział A również miał długą drogę do przebycia, zanim znalazł się przy północnej ścianie muru. Dotarli tam niewiele wcześniej od Paula Merloniego, którego Buster omal nie zastrzelił, kiedy ten włoski nowojorczyk wychynął z mroku jak duch i syknął, naśladując chiński akcent:

337

0 życia i śmierci całego oddziału i wszystkich więźniów. Dla każdej z nich był przewidziany

plan zapasowy: „Co będzie, jeżeli dwaj nasi zginą, zanim uda im się podłożyć miny? Wtedy potrzebni będą dwaj następni”. Do wysadzenia były cztery budynki, lecz chociaż osiem min powinno wystarczyć aż nadto, oni musieli przydźwigać na wszelki wypadek aż szesnaście. Sto sześćdziesiąt dodatkowych kilogramów trotylu stanowiło polisę na życie stu siedemdziesięciu kilku Amerykanów na wyspie. Sprawni i silni jak pumy, parli do przodu przez ociekającą wodą i czepiającą się licznymi mackami zarośli dżunglę; dwóch szeregowców maczetami wyrąbywało

przejście dla Rocky'ego Lamba, Grzechotnika, masywnego Suma Jonesa, który – podobnie

jak

idący za nim Steve Whipple – sam niósł dwie miny, i reszty pododdziału. Deszcz zaczął bezlitośnie; ślizgali się na błotnistej ziemi, klęli i modlili się, żeby tylko nie przestało padać w tę

Noc Sokołów. Na wyznaczone pozycje dotarli dwadzieścia minut przed czasem 1 byli prawie gotowi. Porucznik Merloni z trzema komandosami znaleźli się na miejscu ostatni, całkowicie skryci w zagłębieniu terenu tam, gdzie wkrótce postarają się zabić czterech

patrolujących zewnętrzną obwód murów Chińczyków, a może i sześciu. W notatkach Olafa była

wzmianka o dwóch dodatkowych żołnierzach na popołudniowej zmianie, ale trudno przewidzieć,

czy to samo odnosi się do służby nocnej. Byli przynajmniej ostrzeżeni.

Rick Hunter, nie obciążony większym bagażem, pierwszy znalazł się na swej pozycji. Bobby

Allensworth ustawił przy nim przenośną radiostację, środek łączności pomiędzy dowódcą a wszystkimi Fokami. Tą drogą będą przepływały wszystkie rozkazy i drobne zmiany w planach, a w

sytuacji krytycznej będzie to jedyna możliwość ratunku, wezwania pomocy z lotniskowca, gdyby

Chińczykom udało się sprowadzić na wyspę posiłki. Na szczęście prawdopodobieństwo takiego kryzysu było znikome.

Pododdział A również miał długą drogę do przebycia, zanim znalazł się przy północnej ścianie muru. Dotarli tam niewiele wcześniej od Paula Merloniego, którego Buster omal nie zastrzelił, kiedy ten włoski nowojorczyk wychynął z mroku jak duch i syknął, naśladując chiński akcent:

–Baldzo dobrze, pan Buster. Baldzo dobrze lobota.

Bosman McCarthy z trudem stłumił śmiech; nie tyle z żakowskiego dowcipu porucznika, ile z natychmiastowej oceny Bustera, że to może być naprawdę prawdziwy, żywy Chińczyk. Nawet

Rusty Bennett potrzebował chwili odprężenia. Przez moment chichotali cicho, stojąc o sto metrów

od muru i ściskając siedem czarnych, grubo owiniętych tkaniną drabin. Paul Merloni i dwaj inni

musieli ruszyć natychmiast dalej, ponieważ mieli jeszcze dostarczyć miny ludziom z pododdziału

A, po wschodniej stronie więzienia.

Szesnaście minut dzieliło ich od godziny A, kiedy Bennett nakazał podejście do murów.

Dwuosobowy chiński patrol dopiero co zniknął za rogiem. Wraz z bosmanem McCarthym, Johnem

i Billem popęzli przed siebie, podczas gdy dwóch komandosów ustawiło karabin maszynowy,

wymierzając go w północną wieżę strażniczą. Drugi z kaemów był już na pozycji z dobrym polem

ostrzału wzdłuż wschodniego muru i gotów w razie potrzeby ostrzelać drugą z wież. Trzej Sasi

czekali w ukryciu po tamtej stronie, czterdzieści metrów od ściany, gotowi do wspięcia się na nią i

przedostania na dziedziniec. Tuż obok czaili się trzej szeregowcy z minami chle-bakowymi, którzy

mieli pójść w ich ślady w trzynaście sekund później.

Piętnaście minut do ataku.

Niedziela, godzina 13.00. Biuro admirała Morgana, Biały Dom

Kiedy admirał Morgan wracał z Pentagonu do Białego Domu, w jego biurze były tylko dwie osoby:

pani O'Brien i kompletnie roztrzęsiony prezydent Stanów Zjednoczonych. Najpotężniejszy

przywódca Zachodu miał w tej chwili tylko jeden obraz przed oczami: jego jedyne syna
Linusa w

chińskiej celi tortur, gdzie oprawcy wrywają mu paznokcie, albo z elektrodami
przytwierdzonymi

do ciała. Przez myśl przebiegały mu wszystkie krwawe sprawozdania, prawdziwe i wymyślone,
na

temat metod przesłuchiwania w krajach Dalekiego Wschodu. Bez przerwy widział
wykrzywioną

bólem

338

i przerażeniem twarz swego chłopca, i niezdolny dłużej walczyć z własnym strachem, zanosił
się szlochem, wsparty łokciami o biurko swego doradcy do spraw bezpieczeństwa.

Kathy stała za nim, obejmując go ramieniem, usiłując nie dopuścić do ostatecznego
rozklejenia się najważniejszej osoby w państwie, pełna niepokoju, że ktoś może go zobaczyć w
takim stanie. Zamknęła drzwi na klucz i powtarzała wciąż to samo, po raz pierwszy w życiu
zwracając się do prezydenta po imieniu:

–Nie, John, proszę cię, przestań. Nie wolno ci się tak denerwować. Arnold mówi, że mamy

sytuację pod kontrolą... Jest pewien, że siły specjalne uwolnią go dziś w nocy. Arnold będzie
tu za

parę minut... już wyjechał z Pentagonu. Proszę się nie poddawać, sir... musimy mieć wiarę...
Nie

wiem, co by się ze mną stało, gdybym nie miała wiary...

Prezydent zmusił się do opanowania. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę do nosa i otarł twarz z
łez, usiłując wrócić do siebie i wyrzucić z myśli obraz Linusa jako małego chłopca.

–Jesteś katoliczką? – zapytał Kathy.

–Tak, sir. Moja irlandzka rodzina była katolicka przez całe stulecia. A pan?

–Chciałbym nim być – odpowiedział. – Katolicy zdają się czerpać więcej sił ze swej wiary w
czasach nieszczęść.

–Och, myślę, że to tylko kwestia własnej wiary. Im silniej pan wierzy, tym łatwiej jest wszystko znieść.

–Ale ja też byłem wychowany w wierze. Żałuję tylko, że to nie wiara katolicka. Kathy, co twój ksiądz powiedziałby mi w tej chwili?

–Nie jestem pewna, sir. Ale z pewnością wspomniałby

o tym, że musi pan pokładać ufność w Bogu, który kocha

Linusa, i pana, i ostatecznie uchroni go przed złem...

–Ale On nie chroni przed nim wszystkich, prawda?

–Owszem, na swój sposób chroni wszystkich. To jednak już część wiary. Trzeba ją mieć. Na tym to polega: zaufać Panu. I musi się pan modlić za syna, to też ksiądz by powiedział. Jeden cichy głos, ale będzie on dosłyszany. To prawda, sir. Trzeba się modlić, jestem tego pewna. Dlaczego nie pomodlimy się razem o ocalenie Linusa? Tu, w tej chwili. Dwa głosy będą lepsze niż jeden.

–Dwa ciche, słabe głosy? – Prezydent uśmiechnął się.

–Tak, sir. Tu i teraz. Myślę, że powinniśmy uklęknąć.

Uklękli więc i Kathy odmówiła modlitwę, której ją nauczono. Potem przez chwilę modlili się w ciszy, aż wreszcie Kathy zakończyła:

–Prosimy Cię, Boże, przywiedź go bezpiecznie do domu wraz z innymi, przez Chrystusa, Pana naszego... Amen.

W tej chwili jakby na dany znak archanioł Gabriel Białego Domu przybył pod drzwi i załomotał w nie prawicą. Kathy wstała i otworzyła mu, a admirał Morgan wpadł do środka z uniesioną ręką. Spojrzał na prezydenta, ale zdawał się nie zauważać, że Ciarękę klęczy na podłodze.

–Stało się, sir – przemówił. – Mamy sukinsynów. Chce pan usłyszeć dobrą wiadomość czy jeszcze lepszą?

–Niech będzie najpierw ta dobra.

–Okay. W tej chwili rosyjska agencja prasowa ogłosiła, że w bazie marynarki wojennej w Guangzhou zdarzył się poważny wypadek nuklearny. To koniec Seawolfa i najwyraźniej spowodował on gigantyczne zamieszanie w tamtym rejonie Morza Południowochińskiego. Nasz pilot wylądował bezpiecznie na Reaganiu. Tyle dobrych wieści. A teraz powiem, że nasze siły specjalne są już na miejscu. Otoczyli więzienie i wszystko jest gotowe. To klasyczna operacja Fok. Zaatakują za dziesięć minut i będę zdziwiony, jeśli za dwie godziny załoga okrętu nie będzie wolna i w drodze do domu. I jak się panu to podoba?

–Przyznam, że cholernie mi się to podoba. Ale powiedz mi, skąd taki optymizm?

–No cóż, sir, uderzenie w okręt było piekielnie trudne, ale teraz wiemy, że Chińczycy mają na głowie bardzo poważny problem. Jestem pewien, że całą energię skierowali na walkę ze skutkami katastrofy w Guangzhou. Co więcej, najtrudniejszą częścią takich operacji są zawsze zwiad i lądowanie sił specjalnych. Decydujące znaczenie ma dotarcie na miejsce i zajęcie pozycji bez wykrycia przez nieprzyjaciela. Kiedy nasi już się znajdą bezpiecznie na miejscu, uzbrojeni po zęby i z zapasem trotylu, stawiam dolary przeciw obwarzankom, że pokonają zaskoczonego wroga. I to właśnie lubię.

–I ja to lubię – zgodził się prezydent, zbierając się do

wyjścia. – A propos, Kathy, czy ty masz bezpośrednie połączenie tam do góry? Bo na to mi wygląda...

–Nie, sir, nie mam. Ale On nas słyszy.

–Tak, Kathy. Chyba masz rację.

Trzydzieści minut przed godziną A. Pod więzieniem na Xiachuan Dao

Okazało się, że tej nocy poza mury więzienia wyszły dwa patrole. Jeden czteroosobowy, szedł o „dwie ściany” przed następnym, dwuosobowym. W ten sposób oba nigdy nie widziały się nawzajem, ponieważ zawsze znajdowały się po przeciwnych stronach kompleksu. Takie najwyraźniej było założenie, ale w praktyce Rusty zauważył, że po jakiejś godzinie czwórka żołnierzy prawie doganiała swych kolegów, po czym celowo zatrzymywała się, by przywrócić prawidłowy odstęp. Dzisiaj, w ulewnym deszczu, przejście wzdłuż pięć-dziesięciometrowej ściany północnej zajmowało obu patrolom pięćdziesiąt trzy sekundy. Na przebyciu krótszych odcinków wschodniego i zachodniego potrzebowali tylko czterdziestu trzech, tyle zatem czasu pozostawało czterem Fokom na dopadnięcie do muru, wspięcie się na jego szczyt i wciągnięcie za sobą dfabin na górę, tak żeby nie być w tym czasie w polu widzenia patrolujących żołnierzy. Aż nadto; ale komandor Bennett wiedział, że im bliżej muru się ukryją, tym więcej czasu zaoszczędzą. Dał więc znak swojej trójce, by podpełzli do przodu, ku kępie wysokiej trawy zaledwie o kilkanaście metrów od celu. Dotarłszy tam, nacisnął guzik nadawania swojego radiotelefonu: „prawie gotowi”. Do godziny A pozostało dwanaście minut. Deszcz nie ustawał. W odbitym świetle reflektorów widać było sylwetki czterech wartowników na wieżach, gdzie było chyba jeszcze bardziej mokro niż na dole. Zza wschodniego rogu wyłonił się akurat czteroosobowy patrol; Amerykanie przywarli ciaśniej do ziemi, niemal wstrzymując oddech. Chińczycy przeszli obok, stąpając pewnie, z pistoletami maszynowymi zawieszonymi na ramionach, nie rozglądając się na boki. Po raz pierwszy Rusty stwierdził, że oświetlają sobie drogę latarką, by unikać kałuż, 341

wyjścia. – A propos, Kathy, czy ty masz bezpośrednie połączenie tam do góry? Bo na to mi wygląda...

–Nie, sir, nie mam. Ale On nas słyszy.

–Tak, Kathy. Chyba masz rację.

Trzydzieści minut przed godziną A. Pod więzieniem na Xiachuan Dao

Okazało się, że tej nocy poza mury więzienia wyszły dwa patrole. Jeden czteroosobowy, szedł o „dwie ściany” przed następnym, dwuosobowym. W ten sposób oba nigdy nie widziały się nawzajem, ponieważ zawsze znajdowały się po przeciwnych stronach kompleksu. Takie

najwyraźniej było założenie, ale w praktyce Rusty zauważył, że po jakiejś godzinie czwórka żołnierzy prawie doganiała swych kolegów, po czym celowo zatrzymywała się, by przywrócić prawidłowy odstęp. Dzisiaj, w ulewnym deszczu, przejście wzdłuż pięć-dziesięciometrowej ściany północnej zajmowało obu patrolom pięćdziesiąt trzy sekundy. Na przebycie krótszych odcinków wschodniego i zachodniego potrzebowali tylko czterdziestu trzech, tyle zatem czasu pozostawało czterem Fokom na dopadnięcie do muru, wspięcie się na jego szczyt i wciągnięcie za sobą drabin na górę, tak żeby nie być w tym czasie w polu widzenia patrolujących żołnierzy. Aż nadto; ale komandor Bennett wiedział, że im bliżej muru się ukryją, tym więcej czasu zaoszczędzą. Dał więc znak swojej trójce, by podpełzli do przodu, ku kępie wysokiej trawy zaledwie o kilkanaście metrów od celu. Dotarłszy tam, nacisnął guzik nadawania swojego radiotelefonu: „prawie gotowi”. Do godziny A pozostało dwanaście minut. Deszcz nie ustawał. W odbitym świetle reflektorów widać było sylwetki czterech wartowników na wieżach, gdzie było chyba jeszcze bardziej mokro niż na dole. Zza wschodniego rogu wyłonił się akurat czteroosobowy patrol; Amerykanie przywarli ciaśniej do ziemi, niemal wstrzymując oddech. Chińczycy przeszli obok, stąpając pewnie, z pistoletami maszynowymi zawieszonymi na ramionach, nie rozglądając się na boki. Po raz pierwszy Rusty stwierdził, że oświetlają sobie drogę latarką, by unikać kałuż, 341

ale nie świecą po okolicznych zaroślach. Dobra nowina, pomyślał. Północna ściana muru była najciemniejsza ze wszystkich, poza zasięgiem jakichkolwiek świateł. Obserwował patrol, póki nie skręcili za róg. Wtedy dwukrotnie kliknął przełącznikiem radiotelefonu: „gotów!” Odzew Huntera był natychmiastowy; jedno kliknięcie oznaczające: „naprzód!”

–No, to idziemy, chłopaki! – Komenda Rusty'ego była typowa dla SEAL, wojskowo nieortodoksyjna, ale jasna, konkretna i wyrażająca wzajemne koleżeństwo, bez podkreślania dystansu między oficerem i podwładnymi.

Wzięli drabiny i cicho podbiegli do ściany, każda dwójka ku własnemu celowi. Znaleźli się tam po czterech sekundach. Cztery pięciometrowe drabiny niemal jednocześnie oparły się

o koronę muru; czterej komandosowie wspięli się po nich tak, jak ich długo uczono: szybko, lecz nie za szybko, bez błędów, jakie mógł przynieść nadmierny pośpiech. Byli na górze po dwunastu sekundach, przetaczając się natychmiast płasko na dach więzienia, w czarny cień pod wieżami. Leżąc w kamiennym bezruchu, odczekali dziesięć sekund, po czym sięgnęli za krawędź, by wciągnąć swe drabiny. Upłynęło mniej niż pół minuty od Hunterowego kliknięcia przełącznikiem nadawania, ale z drugą częścią zadania – wspinaczką na wieże -musieli przeczekać do przejścia drugiego, dwuosobowego patrolu. Potrwa to niedługo, a nie chcieli pracować ponad głowami uzbrojonych żołnierzy nieprzyjaciela. Teraz najważniejsze było zgranie w czasie. Bennett ostrożnie spoglądał w dół za przechodzącymi Chińczykami, trzymając palec na przełączniku radiotelefonu przestawionego już na kanał McCarthy'ego. Kiedy patrol zniknął za rogiem, nacisnął go

1 na odbiorniku bosmana mignęła lampka. Obaj policzyli do pięciu i cztery drabiny znów uniosły się w górę, opierając się o murek okalający platformy wartowników. Ruszyli w górę, tym razem wolniej i ostrożniej niż poprzednio, wspinając się dwójkami po przeciwnych stronach każdej wieży. Kiedy dotarli na szczyt, nie było już wahania. Rusty Bennett zobaczył przed sobą plecy żołnierza i wyprostowując się raptownie na ostatnim szczeblu drabiny, przeskoczył przez sięgający mu do pasa murek, schwycił Chińczyka jedną ręką za głowę, i nożem bojowym przeciął mu gardło prawie na pół. O metr od

–
niego Bill zrobił to samo z drugim z wartowników. Żaden z napadniętych nie zdążył wydać z siebie

nawet jęku. Bill zaciągnął oba ciała w róg platformy, a Rusty niezwłocznie przejął obsługę

reflektora, omiatając światłem dziedziniec dokładnie tak samo, jak zawsze robili to wartownicy. Na

drugiej wieży wypadki potoczyły się identycznie.

Na stanowisku dowodzenia obserwujący wszystko przez szkła noktowizora komandor Hunter

zobaczył, że obie wieże są już w rękach Amerykanów, co pozwalało pozostałym przypuścić szturm

na mury. Dwie minuty do godziny A. Wciąż panowała cisza i spokój. Dwuosobowy patrol właśnie

mijał główną bramę, oddalony o piętnaście sekund marszu od ściany wschodniej, na którą wkrótce

mieli się wspiąć Sasi. Rick widział patrol, ale nie mogli go widzieć Buster i Brytyjczycy. Nadali już

wprawdzie sygnał gotowości, ale nie mogli biec do muru linami i drabinami, dopóki w

radiotelefonie Bustera nie odezwie się kliknięcie dowódcy. Ale na razie było cicho.

Brytyjczycy czekali w trawie. W tym miejscu było nieco jaśniej, więc z łatwością spostrzegli patrol,

gdy tylko wyłonił się zza węgła. Rozplaszczyli się na ziemi, ścisnąwszy mocniej swoje hecklery;

byli tak blisko, że wyraźnie słyszeli chrzęst piasku pod butami żołnierzy. Nie zagrażało im

bezpośrednie niebezpieczeństwo, nawet gdyby zostali wykryci przez Chińczyków, wtedy bowiem

po prostu by ich zastrzelili, ale wówczas operacja przybrałaby charakter otwartej walki, którą prawdopodobnie by wygrali, tylko jakim kosztem?

Syd, Fred, Charlie i Buster wstrzymali oddechy. Kiedy patrol zniknął za rogiem, na radiotelefonie

Bustera mignęła lampka odbioru: „naprzód!” Oznaczało to dla nich dwie rzeczy. Po pierwsze, że

wieże strażnicze były już zdobyte i reflektorami, których wędrujące słupy światła widzieli ponad

murem, kierują Amerykanie; po drugie, że nadeszła ich chwila.

–Ruszać się, wy tam! – rzucił Buster swym Luizjańskim akcentem.

–Dobra, ty tam – syknął Syd akcentem rdzennego cock-neya. – Już zbieramy tyłki...

I trzech brytyjscy komandos z zerwali się równocześnie i śmignęli ku ścianie, pozostawiając za sobą

Bustera na pół uba-

niego Bill zrobił to samo z drugim z wartowników. Żaden z napadniętych nie zdążył wydać z siebie nawet jęku. Bill zaciągnął oba ciała w róg platformy, a Rusty niezwłocznie przejął obsługę reflektora, omiatając światłem dziedziniec dokładnie tak samo, jak zawsze robili to wartownicy. Na drugiej wieży wypadki potoczyły się identycznie.

Na stanowisku dowodzenia obserwujący wszystko przez szkła noktowizora komandor Hunter zobaczył, że obie wieże są już w rękach Amerykanów, co pozwalało pozostałym przypuścić szturm na mury. Dwie minuty do godziny A. Wciąż panowała cisza i spokój. Dwuosobowy patrol właśnie mijał główną bramę, oddalony o piętnaście sekund marszu od ściany wschodniej, na którą wkrótce mieli się wspiąć Sasi. Rick widział patrol, ale nie mogli go widzieć Buster i Brytyjczycy. Nadali już wprawdzie sygnał gotowości, ale nie mogli biec do muru linami i drabinami, dopóki w radiotelefonie Bustera nie odezwie się kliknięcie dowódcy. Ale na razie było cicho.

Brytyjczycy czekali w trawie. W tym miejscu było nieco jaśniej, więc z łatwością spostrzegli patrol, gdy tylko wyłonił się zza węgła. Rozplaszczyli się na ziemi, ścisnąwszy mocniej swoje hecklery; byli tak blisko, że wyraźnie słyszeli chrzęst piasku pod butami żołnierzy. Nie zagrażało im bezpośrednie niebezpieczeństwo, nawet gdyby zostali wykryci przez Chińczyków, wtedy bowiem po prostu by ich zastrzelili, ale wówczas operacja przybrałaby charakter otwartej walki, którą prawdopodobnie by wygrali, tylko jakim kosztem?

Syd, Fred, Charlie i Buster wstrzymali oddechy. Kiedy patrol zniknął za rogiem, na radiotelefonie Bustera mignęła lampka odbioru: „naprzód!” Oznaczało to dla nich dwie rzeczy. Po pierwsze, że wieże strażnicze były już zdobyte i reflektorami, których wędrujące słupy światła widzieli ponad murem, kierują Amerykanie; po drugie, że nadeszła ich chwila.

–Ruszać się, wy tam! – rzucił Buster swym luizjańskim akcentem.

–Dobra, ty tam – syknął Syd akcentem rdzennego cock-neya. – Już zbieramy tyłki...

I trzech brytyjski komandos zerwali się równocześnie i śmignęli ku ścianie, pozostawiając za sobą

Bustera na pół uba-

wionego, na pół skamieniałego. Zdał sobie sprawę, że los całej operacji zależy od następnych dziesięciu minut. Nadeszła godzina A.

Fred i jego ludzie w cztery sekundy byli przy ścianie, po następnych trzech drabiny stały już mocno oparte, a po jeszcze dziesięciu byli już na szczycie. Czteroosobowy patrol był jeszcze o dwadzieścia osiem sekund od rogu i zanim do niego dotarł, trzech inni Amerykanie podbiegli pod mur i zabrali drabiny, które nie mogły tam pozostać.

Na górze trzech Brytyjczycy leżeli płasko jeden za drugim, nie poruszając się. Rusty i McCarthy nieznacznie skrócili drogę sterowanych przez siebie płam światła, zatrzymując je, zanim mogły oświetlić przytulone do muru sylwetki. Trzeba było teraz zlokalizować patrol wewnętrzny, a żaden z nich nikogo na dziedzińcu nie widział. Nie było sensu schodzić, dopóki przynajmniej nie zobaczą celu. Rusty i John domyślili się, w czym rzecz, i próbowali im pomóc reflektorami, ale i oni nie mogli znaleźć Chińczyków. Dopiero po dwóch minutach zauważyli dwóch z nich w marynarskich mundurach: wychodzili z owego tajemniczego budynku naprzeciw wartow-towni, którego przeznaczenia do końca zwiad nie rozpoznał. Chińczycy zajęli pozycje po obu stronach bramy, dobrze widoczni w świetle padającym przez otwarte drzwi wartowni. Wiadomo było, że gdzieś jeszcze musi być właściwy patrol, ale wyraźnie mu się nie spieszyło z nadejściem. Leżący na murze Charlie Murphy mruknął pod nosem:

–Sukinsyny mają przerwę na herbatę...

Niewykluczone, że miał rację. Minęło jeszcze dziewięćdziesiąt sekund, zanim czwórka żołnierzy wychynęła niespodziewanie z cienia. Dwaj pomaszerowali szybkim krokiem na wschód i skręcili

wzdłuż krótszej ściany na końcu budynku więzienia. Pozostała dwójka odczekała, aż tamci zawrócą i pojawią się znowu, idąc z powrotem już znacznie wolniej, i dopiero wtedy ruszyła im naprzeciw. Oba patrole minęły się dokładnie w połowie długości budynku. Sierżant Jones zdecydował, że lepiej będzie zaatakować je po kolei. Miał nadzieję, że Rusty i McCarthy go obserwują, i zasygnalizował im ręką, by trzymali reflektory z dala od wschodniej ściany więzienia, po czym polecił zahaczyć kotwiczki i cała trójka 344 _

zsunęła się po linach na dziedzińiec, w połowie odległości między wartownią a mniejszym z budynków więziennych. Oczekiwanie trwało dwadzieścia cztery sekundy, ale zdawało się ciągnąć godzinami. Wreszcie zza rogu wynurzyła się pierwsza dwójka; kiedy doszła do końca budynku, nagle wyrosli tuż przed nią Fred Jones i Syd Thomas. Każdy przycisnął „swojemu” Chińczykowi dłoń do ust i pociągnął go w ciemną przestrzeń między budynkami. Zabili ich klasyczną metodą SAS – głębokim pchnięciem noża w samo serce – nie puszczając ani na chwilę ich ust. Murphy wysunął się bezszelestnie z mroku, by pomóc im zaciągnąć zwłoki w głęboki cień pod murem. W tej chwili pozostali dwaj wartownicy szli wzdłuż długiej ściany głównego budynku i Fred Jones pomyślał, że kiedy nie spotkają się w połowie drogi ze swymi kolegami,

domyślał się, że coś jest nie w porządku. Nadchodził kolejny krytyczny moment dla całej operacji i Fred nie mógł sobie pozwolić na żaden błąd. Gdyby Chińczycy uciekli w stronę wartowni i podnieśli alarm, ich trójka mogła nagle zostać otoczona przez przeważające siły enpla. Wiedział, że teraz na wschodnim murze było trzech kolejnych Amerykanów i pewnie dałoby się przeżyć wynikłą strzelaninę; Fred jednak nie pragnął strzelaniny. Zorientował się, że muszą zaatakować resztę patrolu natychmiast. Poleciał Murphy'emu ustawić kaem i osłaniać ich, a sam z Sydem pobiegł Chińczykom naprzeciw. Za sobą usłyszał lekkie tupnięcia i wiedział już, że trójka Fok zjechała na dół z minami, by zniszczyć wartownię. Dopadli rogu parterowego budynku i skręcili w lewo. Przed nimi ukazali się dwaj wartownicy idący wprost na nich, ale rozmawiali akurat, zwrócenieni do siebie twarzami. Ta konwersacja zapewniła Brytyjczykom dodatkowe trzy sekundy, a więcej nie potrzebowali.

–Dalej, Syd! – syknął Fred.

Puścili się pędem ku Chińczykom, którzy wciąż mieli broń przewieszoną przez ramię. Byli od nich o pięć metrów, kiedy jeden ze strażników nagle dostrzegł przed sobą dwa pędzące ku nim czarne potwory. Zdążył tylko powiedzieć – nawet nie krzyknąć – coś w rodzaju chińskiego „Co jest, do diab...”, kiedy Syd Thomas wpadł nań z całym impetem, uderzył nasadą 345

dłoni w nos, złapał za włosy i odciągnawszy mu głowę do tyłu, przejechał nożem po szyi. Drugi wartownik patrzył na to w bezgranicznym osłupieniu; nawet nie zobaczył wyraźnie Freda Jonesa, dopóki ten nie zderzył się z nim, wbijając nóż między żebra i zabijając na miejscu.

–Zostawmy ich i wracajmy między budynki – rzucił do Syda.

Obaj wycofali się, biegnąc z powrotem do Charliego i nowo przybyłych Fok. Rozeznawszy się w sytuacji, Fred Jones uznał, że tu, z dołu, wszystko wygląda nieco inaczej i niemożliwe będzie dyskretne zlikwidowanie wartowników przy bramie za pomocą noży. Cały obszar przed więzieniem był jasno oświetlony światłem z okien wartowni i budynku po prawej. Nie było mowy, aby przedostać się tamtędy niepostrzeżenie.

–Czyli że w tej samej chwili rozwalamy wartownię i strzelamy do wartowników?

–Albo jeszcze lepiej – rzekł Syd. – Zastrzelmy po prostu wartę i pošlijmy Charliego, żeby wysadził bramę ładunkiem kablowym. Gdy tylko będzie przy bramie, my grzmotniemy w wartownię.,

–Nie bądź kutasem, Syd. W ten sposób grzmotnęlibyśmy i w Charliego. Przykro mi, chłopaki, ale kolejność jest taka: wartownia, wartownicy i brama. Natychmiast. Mam godzinę A plus siedem.

Dwaj z nich przygotowali splotki w minach chlebakowych, po czym wysunęli się z za rogu, wyciągnęli z nich zawlecзки i cisnęli jedną minę w dolne, drugą w górne okno. Natychmiast rzucili się z powrotem i padli na ziemię. Eksplozje zwały się w jeden ogłuszający huk. Budynek rozpadł się

w stos dymiącego gruzu. Nikt z przebywających wewnątrz ludzi nie przeżył. Kiedy pył i dym nieco się przerzedził, zobaczyli, że dwaj wartownicy spod bramy biegną w stronę zburzonej wartowni. Fred Jones serią z hecklera zastrzelił obydwu w połowie drogi. Jednocześnie inny z komandosów podbiegł i rzucił granat w jedyne oświetlone okno w „tajemniczym” budynku, zabijając sześciu przebywających tam specjalistów od przesłuchiwań, którzy w chwili rozpoczęcia ataku siedzieli tam i pili herbatę. Charlie Murphy był już pod bramą i owinął trzykrotnie ładunkiem kablowym wielkie występy-346

jące zawiasy i mechanizm ryglowy, po czym pobiegł z powrotem, odwijając za sobą kabel ze szpuli. Odpalił ładunek z odległości czterdziestu metrów, wysadzając w powietrze wielkie wrota, które wyfrunęły na kilka metrów w górę. Z tą chwilą komandosi panowali już nad wewnętrzną częścią kompleksu więziennego. Akcja przeniosła się teraz na zewnątrz.

Natychmiast po wydaniu rozkazu zburzenia wartowni Rick Hunter przekazał sygnał ataku Danowi Conwayowi. Porucznik wykrzyknął krótki rozkaz swoim ludziom i bosmani Sum Jones i Steve Whipple wyskoczyli z ukrycia i rzucili miny w dwa okna: kwatery komendanta więzienia i pomieszczenia radiostacji. Powtórzył się dramat wartowni wewnętrznej; detonacje wypchnęły wszystkie cztery ściany budynku, dach zawalił się i w jednej chwili centrala łączności obróciła się w perzynę, zasypując odłamkami cegieł cały teren wokół. Rick Hunter nie mógł nic dojrzeć przez chmurę gryzącego pyłu, ale Rocky Lamb, Hank i Al biegli już przez nią, strzelając w otwarte drzwi koszar długimi seriami, spychając z powrotem do środka próbujących się wydostać zaskoczonych, na wpół ubranych żołnierzy. Conway, biegnący tuż za plecami pierwszej trójki, cisnął przez drzwi trzy granaty jeden za drugim. Jako były bejsbolista, potrafił to robić naprawdę mocno, daleko i celnie. Korytarz był teraz jedną masą ognia, pyłu i ciał. Hank i Al byli już na tyłach budynku, uaktywniając i wrzucając do pomieszczeń na obu piętrach po dwie świece dymne, zawierające przy tym toksyczny, ale nie trujący gaz, który na całą dobę miał pozbawić przytomności każdego, kto się tam znajdował. Ofiary obudzą się chore i z potężnym bólem gowy, ale żywe. Był to pomysł Franka Harta, który nie chciał totalnej rzezi chińskiego personelu. Po chwili było jasne, że nikt już z koszar nie wybiegnie, by próbować stawiać opór. Ci, którzy zdążyli to zrobić, już nie żyli. W tej samej chwili mignęły lampki kontrolne na radiotelefonach Raya Schaeffera i Olafa Davidsona. Ray ruszył do akcji pierwszy. Wsłuchiwał się dotąd w odgłosy eksplozji i strzałów, a teraz szepnął do Garretta Atkinsa:

–Okay, stary, pora na nas...

Nacisnęli spusty swych wyrzutni i dwie rakiety z głowicami przeciwpancernymi śmignęły w mrok nocy prosto ku chińskiemu kutrowi patrolowemu. Pocisk Garretta uderzył w niewielką nadbudówkę, niszcząc mostek wraz z radiostacją. Ray trafił w wyrzutnię rakiet na rufie; połączona eksplozja rozerwała tylną część okrętu, zamieniając go w bezużyteczny wrak. U nasady mola dwójka Fok czekała z odbezpieczoną bronią na ewentualnych uciekających marynarzy, ale nikt się nie pojawił. Rusty Bennett ocenił załogę kutra na trzy, może cztery osoby; żadna z nich najwidoczniej nie przeżyła wybuchów. Nawet jeśli ktoś ocalał, i tak nie mógł już nawiązać łączności radiowej.

Na wzgórzu nad lądowiskiem Olaf wydał rozkaz strzału. I tutaj pomknęły ku celom dwie rakiety; po chwili oba śmigłowce rozpadły się w tak intensywnej eksplozji, że najbliżej stojący musieli cofnąć się przed żarem. W pół minuty później wybuchł zbiornik paliwa, posyłając jaskrawą kulę ognia na kilkadziesiąt metrów w powietrze.

–Jezu, chyba przesadziliśmy! – jęknął Rick Hunter. – Te fajerwerki widać pewnie aż w Szanghaju!

Jak dotąd nie uwolniono ani nawet nie odnaleziono żadnego z więźniów. Ale chłopcy z SEAL zrobili to, co potrafią najlepiej: brutalną siłą unicestwili wszelkie wyznaczone obiekty lub instalacje, likwidując wszystkich, którzy mogliby im stanąć na drodze. Więzienie na Xiachuan Dao

znalazło się prawie całkowicie w amerykańskich rękach. Kilku strażników, którzy pozostali przy celach, nie mogło się z nimi równać.

Poniedziałek, 17 lipca 2006 r., godzina 2.14. Biuro dowódcy Floty Południowej

Nikogo nie dziwiło, że admirałowie Zhang i Zu Jicai nie śpią tej nocy, kiedy uwidaczniały się skutki katastrofy w Guangzhou. Napływały już stamtąd meldunki o ciężkich poparzeniach wśród personelu i o ogromnym poziomie promieniowania. A teraz pojawił się jeszcze inny problem. Przed naczelnym dowódcą stał młody porucznik, informując go, że ma kłopot z łącznością telefoniczną z Xiachuan Dao. 348

Nacisnęli spusty swych wyrzutni i dwie rakiety z głowicami przeciwpancernymi śmignęły w mrok nocy prosto ku chińskiemu kutrowi patrolowemu. Pocisk Garretta uderzył w niewielką nadbudówkę, niszcząc mostek wraz z radiostacją. Ray trafił w wyrzutnię rakiet na rufie; połączona eksplozja rozerwała tylną część okrętu, zamieniając go w bezużyteczny wrak. U nasady mola dwójka Fok czekała z odbezpieczoną bronią na ewentualnych uciekających

marynarzy, ale nikt się nie pojawił. Rusty Bennett ocenił załogę kutra na trzy, może cztery osoby; żadna z nich najwidoczniej nie przeżyła wybuchów. Nawet jeśli ktoś ocalał, i tak nie mógł już nawiązać łączności radiowej.

Na wzgórzu nad lądowiskiem Olaf wydał rozkaz strzału. I tutaj pomknęły ku celom dwie rakiety; po chwili oba śmigłowce rozpadły się w tak intensywnej eksplozji, że najbliżej stojący musieli cofnąć się przed żarem. W pół minuty później wybuchł zbiornik paliwa, posyłając jaskrawą kulę ognia na kilkadziesiąt metrów w powietrze.

–Jezu, chyba przesadziliśmy! – jęknął Rick Hunter. – Te fajerwerki widać pewnie aż w Szanghaju!

Jak dotąd nie uwolniono ani nawet nie odnaleziono żadnego z więźniów. Ale chłopcy z SEAL zrobili to, co potrafią najlepiej: brutalną siłą unicestwili wszelkie wyznaczone obiekty lub instalacje, likwidując wszystkich, którzy mogliby im stanąć na drodze. Więzienie na Xiachuan Dao

znalazło się prawie całkowicie w amerykańskich rękach. Kilku strażników, którzy pozostali przy

celach, nie mogło się z nimi równać.

Poniedziałek, 17 lipca 2006 r., godzina 2.14. Biuro dowódcy Floty Południowej

Nikogo nie dziwiło, że admirałowie Zhang i Zu Jicai nie śpią tej nocy, kiedy uwidaczniały się skutki katastrofy w Guangzhou. Napływały już stamtąd meldunki o ciężkich poparzeniach wśród

personelu i o ogromnym poziomie promieniowania. A teraz pojawił się jeszcze inny problem. Przed

naczelnym dowódcą stał młody porucznik, informując go, że ma kłopot z łącznością telefoniczną z

Xiachuan Dao.

–Jak długo próbowaliście? – spytał Zhang.

–Okolo dziesięciu minut, towarzyszu admirale. Od chwili, kiedy poleciliście poinformować komandora Li, że rano chcecie się z nim zobaczyć.

–Ico?

–W tym kłopot, towarzyszu admirale. Nic. Żadnej odpowiedzi. Nawet nie ma sygnału.

–Mówicie o telefonie w centrali?

–Tak, ale i o prywatnej linii komandora Li. Nie chodzi o to, że nie odpowiadają, towarzyszu admirale. W ogóle nie ma sygnału.

–Spróbujcie wywołać patrolowiec. Już tak robiliśmy.

–Próbowaliśmy, ale bez skutku.

–Radiostacja?

–Nie odpowiada, towarzyszu admirale. Trzech operatorów wywołuje ich na różnych częstotliwościach i nic.

–A więc problem nie dotyczy tylko łączności przewodowej, ale i radiowej. Co z satelitarną?

–Też próbujemy. Zazwyczaj odpowiadają bardzo szybko, ale dzisiaj nie ma odzewu.

–Nie działa telefon, nie odpowiada radiostacja i łącze satelitarne – mruknął do siebie Zhang, czując, jak zimna fala niepokoju ogarnia jego ciało i umysł. – Dziękuję wam, poruczniku – rzekł głośno i zwrócił się do admirała Jicai; – Słuchaj, Zu. Zostaliśmy zaatakowani. To za dużo jak na zbieg okoliczności.

Admirał Zu wstał z bezradną miną.

–Masz na myśli Amerykanów?

–A kogo, Tybetańczyków? – warknął Zhang. Wraz z narastającym gniewem tracił z dolność samokontroli.

–Chcesz powiedzieć, że są na wyspie?

–Nie wiem. Ale to możliwe.

–Jak by się tam dostali? Czy to inwazja?

–Wątpię, Jicai. Uważam, że to siły specjalne wylądowały z morza i usiłują odbić załogę Seawolfa.

–Ale jak?

–Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że z okrętów podwodnych, używając małych łodzi desantowych.

–Przecież nie mogliby pokonać naszego oddziału. Mamy 349

tam ponad setkę uzbrojonych żołnierzy i pełno personelu pomocniczego.

–Zgoda, może nasi ich odepchnęli, może pobili. Ale na pewno była jakaś bitwa, dlatego nie możemy nawiązać z wyspą łączności. Najbardziej martwi mnie zbieżność w czasie z utratą Seawolfa. W odstępie zaledwie paru godzin.

–No, to co robimy? Posyłamy tam posiłki? Śmigłowce, wojsko, artylerię?

–Nie, Jicai, na to już za późno. Przygotowanie zajęłoby nam ze dwie godziny, a potem jeszcze godzina na dotarcie na wyspę... Nie, nasza jedyna szansa to morze. Jeśli przybyli uwolnić więźniów, to muszą odpłynąć okrętami podwodnymi. Na pewno nie użyli nawodnych, bo już dawno byśmy je zobaczyli. To jest problem marynarki wojennej, Jicai. Jeśli chcemy złapać i ukarać Amerykanów, musimy ich dopaść na morzu. Jak ich przyłapiemy na chińskich wodach terytorialnych, możemy ich spokojnie zaatakować w saipoobronie. Może nawet uda się posłać na dno parę amerykańskich atomowych okrętów podwodnych.

–Popatrzmy zatem na mapę. Tu jest Xiachuan. Jeżeli Amerykanie przybyli spod wody, to muszą być mniej więcej tu, gdzie głębokość jest nie mniejsza niż czterdzieści metrów. Nie możemy wysłać okrętów z Guangzhou, skoro cały port jest napromieniowany, więc najbliższe jednostki mamy do dyspozycji tu, w Zhanjiang. To cztery godziny drogi.

–A co mamy do dyspozycji, Jicai? Ten nowy niszczyciel, Xiangtan?

–Tak jest. Oprócz niego gotowa do wyjścia jest fregata Shantou.

–Uzbrojona jest w bomby głębinowe i moździerze ZOP, prawda?

–Tak jest.

–No, to musimy zaczynać, Jicai. Wezwij tu obu dowódców. Powiemy im osobiście i wyraźnie, czego się od nich oczekuje...

Poniedziałek, 17 lipca 2006 r., godzina 2.17 (A + 15). Xiachuan Dao

Komandor Hunter już tylko sporadycznie słyszał strzały z pistoletów maszynowych. Porucznik Merloni ze swymi ludźmi próbowali zlikwidować sześciu żołnierzy z patrolu zewnętrznego. Z pierwszą czwórką poszło gładko, zostali zastrzeleni, kiedy na pierwszy odgłos eksplozji rzucili się biegiem w stronę bramy.

Dwaj pozostali pobiegli w przeciwną stronę, zobaczyli, skąd padają strzały, i otworzyli ogień we właściwym kierunku. Nie trafili nikogo, a jeden z nich został raniony przez któregoś z Amerykanów, ale podniósł się w zamieszaniu i wraz z kolegą uciekli w las. Hunter polecił wystrzelić kilka flar, by oświetlić teren, i porucznik Merloni ruszył w pościg, jednak bez powodzenia. Wszyscy byli zdania, że obaj Chińczycy przeżyli i ukrywają się w dżungli, co nie było korzystne, ale nie do uniknięcia. Dalsze ich ściganie w ciemności było niebezpieczne i mogło kosztować życie któregoś z komandosów. Rick Hunter uznał, że nadeszła pora na zasadniczą część zadania. Dał znak Allensworthowi, by zabrał karabin maszynowy, a sam z dwójką Fok zaczął schodzić ku wciąż spowitemu kurzem i dymem przedpolu więzienia. Dopiero teraz zauważył, że przestało padać. Drogę oświetlał mu płonący zbiornik paliwa przy lądowisku; wokół niego gromadzili się ci, którzy Rozpętali piekło wśród zabudowań kompleksu. Szli dumnie, z bronią na

piersi, poczerniali od dymu. Rusty Bennett pojawił się nie wiadomo skąd i oznajmił, że udaje się na plażę ewakuacyjną.

–Jesteś ranny, Rusty? – zaniepokoił się Hunter na jego widok.

Bennett wyglądał, jakby właśnie odbył kilka rund na ringu z Kubą Rozpruwaczem.

–Nie, ja nie. Wszystko w porządku.

–To znaczy, że ktoś blisko ciebie musiał oberwać, co?

–Taak... można tak powiedzieć, szefie.

Reflektory były wciąż włączone, ale bosman McCarthy i jego ludzie wychodzili już przez resztki

głównej bramy, w różnym stopniu splamieni krwią. Rick tylko potrząsnął gło-

wą w podziwie dla bezgranicznej odwagi mężczyzn, z którymi razem walczył.

–Świetna robota, chłopaki – powiedział. – Po prostu świetna robota.

Następni wynurzyli się zza murów Olaf Davidson, Sum, Buster, Grzechotnik i trójka z Sasów, pokryci od stóp do głów błotem, ceglanym pyłem, zakrwawieni i zabrudzeni sadzą. Wyglądali upiornie, nawet jak na żołnierzy, którzy właśnie zakończyli bitwę.

–Wspaniała robota – powtórzył Hunter, a do trzech Brytyjczyków rzekł: – Specjalne podziękowania dla was, panowie. Wszyscy winniśmy wam wdzięczność za wykonanie naprawdę trudnej części naszej operacji.

–Nie ma o czym mówić, Ricky, staruszk'- odparł Syd wesoło. – Służba nie drużba.

–Jest o czym mówić – zapewnił go Hunter i zwracając się do wszystkich, dodał: – A teraz, panowie, chodźmy uwolnić naszych. I na Boga, uważajcie tam w celach. Są tam jeszcze uzbrojeni wartownicy. Nie strzelajcie na oślep, żeby nie trafić któregoś z więźniów. Idziemy, spokojnie i ostrożnie. Strzelać tak, żeby zabić... ale uważajcie, do kogo.

ROZDZIAŁ 11

Poniedziałek, 17 lipca 2006 r., godzina 2.18. Więzienie na Xiachuan Dao

Komandor porucznik Hunter wydawał ostatnie rozkazy przed wejściem w szeroką szczyrbę w murze, która jeszcze kilka minut temu była główną bramą.

–Okay, chłopaki. Wiemy, że w więzieniu są jeszcze chińscy strażnicy, może też w tym budynku po lewej. Dlatego wchodzimy tak, jakbyśmy atakowali rejon umocniony. Silny atak frontalny, osłona ogniem, ale nie postrzelcie nikogo w celach.

–Sir, z czego są drzwi wejściowe? Czy mogą być zamknięte? Nie chciałbym stać tam jak dupek, wystawiając się na strzał, nie?

–Zakładam, że drzwi są stalowe, Paul. Czy ktoś ma lepsze rozeznanie?

–Te w małym budynku są ze stali – wtrącił Syd Thomas. – I były zamknięte. Pchnąłem je, nacisnąłem klamkę, ale nie ustąpiły.

–Okay, wysadzamy je. Niech ktoś przyniesie kabel.

–Mam go tutaj, Rick – powiedział Dan Conway, lekko unosząc dużą szpulę ładunku kablowego, którą przytaszczył w przewidywaniu takiej konieczności.

–Kto pójdzie?

–Ja pójdę – rzucił Buster. – Mam trochę pieprzonej adrenaliny do zużycia.

Roześmieli się wszyscy, a Foka z bayous złapał za luźny koniec kabla i powiedział Danowi, by rozwijał go ze szpuli. Wbiegł na dziedziniec i skierował się ku mniejszemu z budynków więziennych po lewej, by znaleźć się w cieniu. Zatrzymał się na chwilę, po czym ruszył biegiem wzdłuż

353

ROZDZIAŁ 11

Poniedziałek, 17 lipca 2006 r., godzina 2.18. Więzienie na Xiachuan Dao

Komandor porucznik Hunter wydawał ostatnie rozkazy przed wejściem w szeroką szczyrbę w murze, która jeszcze kilka minut temu była główną bramą.

–Okay, chłopaki. Wiemy, że w więzieniu są jeszcze chińscy strażnicy, może też w tym

budynku po lewej. Dlatego wchodzimy tak, jakbyśmy atakowali rejon umocniony. Silny atak frontalny, osłona ogniem, ale nie postrzelcie nikogo w celach.

–Sir, z czego są drzwi wejściowe? Czy mogą być zamknięte? Nie chciałbym stać tam jak dupek, wystawiając się na strzał, nie?

–Zakładam, że drzwi są stalowe, Paul. Czy ktoś ma lepsze rozeznanie?

–Te w małym budynku są ze stali – wtrącił Syd Thomas. – I były' zamknięte. Pchnąłem je, nacisnąłem klamkę, ale nie ustąpiły.

–Okay, wysadzamy je. Niech ktoś przyniesie kabel.

–Mam go tutaj, Rick – powiedział Dan Conway, lekko unosząc dużą szpulę ładunku kablowego, którą przytaszczył w przewidywaniu takiej konieczności.

–Kto pójdzie?

–Ja pójdę – rzucił Buster. – Mam trochę pieprzonej adrenaliny do zużycia. Roześmieli się wszyscy, a Foka z bayous złapał za luźny koniec kabla i powiedział Danowi, by rozwijał go ze szpuli. Wbiegł na dziedziniec i skierował się ku mniejszemu z budynków więziennych po lewej, by znaleźć się w cieniu. Zatrzymał się na chwilę, po czym ruszył biegiem wzdłuż

ściany. W tym momencie z okna w głównym budynku ktoś otworzył ogień z pistoletu maszynowego. Wszyscy zobaczyli, jak Buster pada na ziemię. Hunter natychmiast rozkazał go osłaniać. Steve Whipple nacisnął spust kaemu, który ustawił w ruinach bramy, i zasypał okno gradem pocisków, uciszając chińskiego strzelca. Niespodziewanie Buster poderwał się na nogi i podbiegł do drzwi, wciąż ściskając w ręku koniec ładunku kablowego. Komandosi w napięciu patrzyli, jak owija nim klamkę, upychając ile się dało w szparę między drzwiami a futryną. Sięgnął po nóż, odciął drugi kawałek, który założył przy zawiasach, splótł końce odcinków z kablem ze szpuli, po czym okręcił się na pięcie i wrócił tą samą drogą do bramy, podczas gdy Steve osłaniał go długą serią z kaemu.

–Niech mnie szlag – powitał go Hunter. – Myślałem już, że cię załatwili.

–Kto, te dupki? Pieprzone aligatory, z którymi się w życiu biłem, były o wiele groźniejsze od nich. Wywalaj to, Dan.

Conway przeciął kabel, założył splonkę i wysadził drzwi w powietrze, pozostawiając je krzywo zawieszona na jedynym zawiasie. Droga do wnętrza stała otworem. Rick dał znak dwudziestce swoich ludzi i wszyscy pospieszyli za nim do wejścia. Steve Whipple posyłał co chwila krótką serię w okna głównego budynku. O dwadzieścia metrów przed wejściem Hunter przyspieszył i biegnąc ile sił, kopnięciem wypchnął nadwerężone drzwi z zawiasów i natychmiast znalazł się w środku, strzelając z biodra wzdłuż korytarza. Kiedy echo strzałów

przebrzmiało, krzyknął na cały głos:

–W porządku, chłopaki! Tu oddział marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Przyszliśmy uwolnić naszych ludzi. Jeżeli są tu jacyś chińscy strażnicy, niech wychodzą z rękami w górze! Dan Conway stanął u jego boku akurat wtedy, gdy dwaj strażnicy wyskoczyli z ukrycia i ogień... a w każdym razie próbowali to zrobić, ale Rick i Dan ścięli ich jednocześnie wystrzelonymi seriami. Każdego z Chińczyków trafiło z dziesięć kul, zanim upadli na podłogę.

–Całkiem niezłe strzelacie – odezwał się niski, niezaprzeczalnie amerykański głos, dochodzący z pierwszej celi po

lewej. – Jedno wam trzeba przyznać, chłopaki. Wiecie, jak narobić pieprzonego hałasu.

Rick Hunter o mało nie zemdlął z ulgi. To był pierwszy namacalny dowód na to, że na tej wyspie

rzeczywiście trzymano w niewoli załogę Seawolfa. Odwrócił się do celi i ujrzał muskularne ramię

wysunięte przez kraty. Wewnątrz było ciemno i nie widział twarzy mówiącego, ale głos był mocny,

a uścisk dłoni prawdziwie męski.

–Miło was tu widzieć. Jestem kapitan Judd Crocker z Seawolfa.

–Witam, sir. Komandor porucznik Hunter, SEALs.

Judd popatrzył na jego twarz pokrytą maskującą pastą,

poczerniały mundur i opaskę na głowie, dymiący pistolet maszynowy w ręku.

–Od początku wiedziałem, że nie jesteście z biura prasowego – odrzekł z chichotem, co

wszyscy komandos w zasięgu słuchu przyjęli gromkim śmiechem.

–Pewnie nie mamy żadnych kluczy, co? – spytał Hunter.

–Gdybyśmy mieli, toby nas już tu nie było. Nie sądzę też, abyśmy znaleźli je przy strażnikach. Kiedy otwierali cele, co nie trafiało się zbyt często, przychodził tu taki jeden mały porucznik i robił to osobiście.

–Nie szkodzi, sir. Spodziewaliśmy się takiego problemu i mamy sporo małych ładunków. A ten mały porucznik prawdopodobnie leży gdzieś martwy pod gruzami. Grzechotnik!

Davies wysunął się naprzód i przylepił do zamka małą kulkę C-4.

–Proszę się odsunąć, sir, i położyć się twarzą do ziemi w rogu celi. A wy spadajcie stąd, bo

odpalam! – rzucił przez ramię do kolegów. Założył splonkę i plastik rozerwał zamek, uwalniając

dowódcę Seawolfa.

Judd wyszedł na korytarz i uściśnął dłonie najbliższym stojącym wybawców, mówiąc przy tym:

–Są tu tylko dwie pojedyncze cele, ta i następna, reszta to wieloosobowe, w każdej jest po ośmiu moich ludzi. Niektórzy z nich nie są w najlepszym stanie, ale żyją.

Grzechotnik zniszczył zamek sąsiednich drzwi, po czym krzyknął:

–Hej, tu nie ma nikogo! 355

–Psiakrew! – warknął kapitan. – To Linus. Tak mi się zdawało, że go zabierają... tak z godzinę temu. Czyba nie zburzyliście tego dużego budynku na prawo od bramy?

–Nie, sir. Obrzuciliśmy granatami tylko jedno pomieszczenie, na lewo od wejścia.

–Dobrze. Tam siedzieli ci, co nas przesłuchiwali. Myślę, że znajdziemy tam paru naszych, w celach na końcu korytarza. Powinien tam być mój ZDO i oficer uzbrojenia, Cy Rothstein. – ii

–Okay, sir. Niech no tylko przekażę nadzór nad tymi pracami ślusarskimi w godne ręce porucznika Conwaya, to pošlemy komandora Davidsona, by zajął się pozostałymi dwoma budynkami. W tym czasie przeczeszymy tu wszystko i sprawdzimy, czy nie zaczęli się tu jeszcze jacyś Chinole, a potem pójdziemy odszukać pana dwóch oficerów w celach przesłuchań. Szybko, Buster, Bobby, Paul, chodźcie ze mną. Grzechotnik, postaraj się nas nie wysadzić w powietrze, jak będziemy przechodzić...

Trójka Fok ruszyła ku przeciwnemu końcowi korytarza. Z ostatniej celi dobiegł ich cichy głos:

–Ostrożnie, sir. Jeden z nich jest tu za rogiem. To porucznik, mały sukinsyn.

–Są tam jacyś nasi?

–Nie. Wszystkich nas trzymają tu, przy tym korytarzu. Dziesięć dużych cel, po ośmiu w każdej. Jestem porucznik Warren, sir, oficer pokładowy.

–W porządku, stary. Wyciągniemy was stąd za minutkę.

–Jesteście z SEALs, chłopaki?

–Obawiam się, że tak.

Rick Hunter odwrócił się do Merloniego i rzekł:

–Nie ma powodu ryzykować. Daj no mi jeden z tych granatów, dobra?

Ścisnął podany granat w dłoni, wyciągnął zawleczkę i cisnął za róg. Huk wybuchu w zamkniętym pomieszczeniu był ogłuszający; porucznik chińskiej żandarmerii, tak źle zapisany

w pamięci załogi Seawolfa, zginął na miejscu.

–To już wszyscy, sir! – krzyknął Andy Warren. – Liczę co wieczór tych małych kutasów, gdy wchodzi, a potem liczę sukinsynów rano przy wyjściu.

Sam Arnold Morgan byłby dumny z jego doboru słów.

Ty™02336111 Grzechotnik wpadł już we właściwy rytm i otwierał celę za celą w szybkim tempie.

Porucznik Conway wchodził do każdej z nich, od czasu do czasu wzywając drużynę Olafa z noszami. Marynarze z pierwszych otwartych cel zaczęli wysypywać się na plac i bosman McCarthy zalecił im ustawienie się w jakimś porządku, by łatwiej było sprawdzić, czy kogoś brakuje.

–Mam tu listę załogi – oznajmił. – Dałem już jedną kapitanowi, ale musimy się upewnić, że nikogo tu nie zostawiamy, więc proszę, abyście stanęli w dwuszeregu. Czy ktoś chce listę? Mam ją

tutaj. Może wiecie o jakichś brakujących osobach?

–Skipa Laxtona zastrzelili pierwszego dnia! – krzyknął ktoś.

–I nie widziałem Cy Rothsteina i Brada Stocktona już od kilku dni! – dodał inny. McCarthy zauważył, że ludzie wyglądają okropnie, z zapadniętymi policzkami, wychudzeni, wielu było posiniaczonych, niektórzy ze śladami krwi na twarzach. Wynoszono właśnie drugiego z rannych – miał nogę złamaną od uderzenia kolbą karabinu. Pierwszy co chwila tracił i odzyskiwał przytomność po ciężkim pobiciu. Był podkomendnym komandora Rothsteina.

Kapitan Crocker sam wyglądał na nieźle poturbowanego. Miał podbite oba oczy i spuchnięty prawy policzek. W kącikach ust przylepiła mu się zakrzepła krew. Wydawało się jednak, że porusza się bez bólu, i teraz wyszedł za Hunterem na dziedziniec. To, co zobaczył, przedstawiało kompletny chaos. Nad więzieniem unosiła się gruba chmura dymu, a ponad murami wciąż jaśniał pożar na lądowisku. Po całym placu porzrzucane były ciała zabitych, ale nie było wśród nich widać żadnego z Fok. Judd i Rick minęli stojących marynarzy i poszli w stronę bloku przesłuchań, biorąc ze sobą Merlo-niego, Allenswortha i Bustera Townsenda. Przed drzwiami Hunter powiedział do Crockera:

–Sir, lepiej niech pan tam nie wchodzi. Możemy napotkać opór.

–Jeśli nie wejdem, możecie zostać zabici. Jestem ekspertem 357

Sam Arnold Morgan byłby dumny z jego doboru słów.

TVmczasem Grzechotnik wpadł już we właściwy rytm i otwierał celę za celą w szybkim tempie.

Porucznik Conway wchodził do każdej z nich, od czasu do czasu wzywając drużynę Olafa z noszami. Marynarze z pierwszych otwartych cel zaczęli wysypywać się na plac i bosman McCarthy zalecił im ustawienie się w jakimś porządku, by łatwiej było sprawdzić, czy kogoś brakuje.

–Mam tu listę załogi – oznajmił. – Dałem już jedną kapitanowi, ale musimy się upewnić, że nikogo tu nie zostawiamy, więc proszę, abyście stanęli w dwuszeregu. Czy ktoś chce listę? Mam ją tutaj. Może wiecie o jakichś brakujących osobach?

–Skipa Laxtona zastrzelili pierwszego dnia! – krzyknął ktoś.

–I nie widziałem Cy Rothsteina i Brada Stocktona już od kilku dni! – dodał inny. McCarthy zauważył, że ludzie wyglądają okropnie, z zapadniętymi policzkami, wychudzeni, wielu było posiniaczonych, niektórzy ze śladami krwi na twarzach. Wynoszono właśnie drugiego z rannych – miał nogę złamaną od uderzenia kolbą karabinu. Pierwszy co chwila tracił i odzyskiwał przytomność po ciężkim pobiciu. Był podkomendnym komandora Rothsteina.

Kapitan Crocker sam wyglądał na nieźle poturbowanego. Miał podbite oba oczy i spuchnięty prawy policzek. W kącikach ust przylepiła mu się zakrzepła krew. Wydawało się jednak, że porusza się bez bólu, i teraz wyszedł za Hunterem na dziedziniec. To, co zobaczył, przedstawiało kompletny chaos. Nad więzieniem unosiła się gruba chmura dymu, a ponad murami wciąż jaśniał pożar na lądowisku. Po całym placu porozrzucane były ciała zabitych, ale nie było wśród nich widać żadnego z Fok. Judd i Rick minęli stojących marynarzy i poszli w stronę bloku przesłuchań, biorąc ze sobą Merlo-niego, Allenswortha i Bustera Townsenda. Przed drzwiami Hunter powiedział do Crockera:

–Sir, lepiej niech pan tam nie wchodzi. Możemy napotkać opór.

–Jeśli nie wejdem, możecie zostać zabici. Jestem ekspertem 357 od rozkładu pomieszczeń w tym budynku, i to jedynym, jakiego macie.

–Okay, sir – zgodził się Rick i wyciągnął swój pistolet. – Potrafi pan się tym posługiwać...

–Biegle. Jestem cholernym Wyattem Earpem morskich głębin. Dobra, to wchodzić za mną na korytarz, który już zdążyliście zdemolować, jak widzę. Potem przejdę do straży tylnej.

Judd przeskoczył nad gruzem i wszedł do środka, a za nim Rick i Bobby Allensworth. Zanim

jednak doszli do załomu korytarza, porucznik zatrzymał go ręką, mówiąc:

–Proszę zaczekać, sir. Może najpierw wysunę tam lufę i sprawdzę, czy nie został tam ktoś żywy. Lepiej, bym ja go zastrzelił niż on pana.,

–Nie będę się spierał – odrzekł Judd.

Wysunąwszy zza rogu swój pistolet maszynowy, Bobby omiótł długą serią korytarz, ale okazało się to zbędne. Ktokolwiek był tam przedtem, musiał zginąć od wybuchu. Judd poprowadził ich ku trzem celom na drugim końcu. Dwie z nich były otwarte, zza przymkniętych drzwi padały smugi światła. Trzecia była zamknięta. Buster wyszedł naprzód i kopnięciem otworzył drzwi do pierwszej z nich. Wszedł do środka i wpakował kilka kul w drzwi na wypadek, gdyby ktoś się za nimi schował. To samo zrobił w następnej celi, ale i tam nikogo nie zastał. Pozostała więc tylko ta zamknięta.

–Komandorze Lucas! – krzyknął Judd.

–Tutaj, sir – padła stłumiona odpowiedź.

–Proszę się nie ruszać. – Hunter przejął inicjatywę. – Nie zbliżać się do drzwi. Paul... Porucznik Merloni, trudny do rozpoznania pod maską z sadzy i pyłu, stanął za swym dowódcą.

–Gotów? – Sir.

Rick Hunter z ogromną siłą dwoma kopnięciami wysadził drzwi z zawiasów i natychmiast wsunął

przez nie lufę heck-lera, sam jednak pozostając osłonięty za futryną. Rozległa się seria z kałasznikowa i pociski uderzyły w przeciwległą ścianę korytarza. Na nieszczęście dla swojej rodziny, chiński żandarm nie zauważył, jak Paul Merloni szybkim ślizgiem na

plecach po podłodze pojawił się w drzwiach i strzelając z dołu, zabił go jedną serią. Wszyscy teraz

ujrzeli Linusa Clarke'a, przywiązanego do krzesła, z mokrym ręcznikiem na kolanach.

Drugi z Chińczyków, sam komandor Li Zemin, rzucił broń i podniósł ręce wysoko nad głowę. Za

późno; Judd Crocker wpadł do celi jak szarżujący byk, rozwścieczony dwutygodniową niewolą.

Wbił lewą. dłoń w gardło komandora, pchając go przed sobą przez trzy metry i przyciskając do

ściany w taki sposób, że niższy Chińczyk zawisł w powietrzu. Dowódca Seawolfa odchylił prawą

rękę do tyłu i zaciśniętą mocno pięścią grzmotnął go w nos, pozwalając mu potem osunąć się na

podłogę.

–Do tyłu, sir! Natychmiast! On jest uzbrojony. Uwaga na pistolet, sir! Sir! Jazda na bok! –

Paul Merloni nie żartował.

Ale Judd Crocker nie zamierzał się usuwać. Wyciągnął pistolet Ricka i strzelił komandorowi Li dwa razy prosto w czoło.

–To za mojego młodego przyjaciela, Skipa Laxtona, ty skurwysynu. Nazwijmy to sprawiedliwością pogranicza.

Kiedy się odwrócił, Rick Hunter spostrzegł lzy toczące się po posiniaczonej i pokaleczonej twarzy

kapitana.

Przez ten czas Buster przeciął sznury i Linus wstał, zrzucając ręcznik na podłogę. Nie wyglądał ani

w połowie na tak pobitego i umęczonego jak reszta załogi, ale było oczywiste, że przeżył jakiś

wstrząs. Cały dygotał, ale był czysty i widać było, że karmiono go lepiej niż pozostałych. Miał też

na sobie chińską kosziłkę mundurową i szorty.

W budynku nie było już nikogo innego i Rick Hunter nakazał odwrót. Wyszli z powrotem na dziedziniec, by ocenić stan załogi. Światła zaczynały przygasać; co jakiś czas odzyskiwały moc, by

po chwili znów ściemnieć. Oba reflektory na wieżach już zgasyły i szeregi marynarzy stały prawie w

całkowitej ciemności. Judd Crocker spytał głośno, czy ktokolwiek widział komandora Rothsteina,

ale nikt nie potwierdził. Zwracając się do Ricka Huntera, wyjaśnił:

–To mój oficer uzbrojenia, najinteligentniejszy facet na okręcie. Bardzo ostro go przesłuchiwali... Niepokoję się o niego.

Dowódca komandosów spytał swoich ludzi, czy nikt nie 359

został w którymś z trzech budynków więziennych. McCarthy zapewnił, że nie.

–Przeszukajcie jeszcze raz, bosmanie. Weźcie latarki. Brakuje ważnego gościa, komandora Cy Rothsteina. Zaczniście wołać jego nazwisko.

–Tak jest!

–A inni, bosmanie?

–Wszyscy są, sir. Cała załoga w komplecie, poza Skipem Laxtonem, oczywiście.

–Czy ktoś wie, czy Rothsteina mogli wywieźć śmigłowcem z wyspy?

–Nie, sir – odpowiedział Shawn Pearson. – Komunikowaliśmy się przez ścianę z „Einsteinem” jeszcze trzy dni temu. Zabierali go wcześniej do celi przesłuchań i tego dnia widziałem, jak strażnik znowu go tam prowadzi. Od tamtej pory nie dawał znaku życia.,

–Chryste Panie – westchnął Judd. – Sukinsyny go zabili. Upłynęło jeszcze parę minut i grupy poszukiwawcze zaczęły wracać.

–Nikogo już tam nie ma, sir. Nikogo żywego – zameldował McCarthy.

–No cóż. W bloku przesłuchań też go nie ma, sami sprawdziliśmy. Wartownia w gruzach, centrala łączności też, koszary mocno uszkodzone, ale większość ludzi została zagazowana, a zresztą on nie mógł tam być. Muszę wyciągnąć wniosek, że komandor Rothstein nie żyje. Poza tym nie możemy pozostać na wyspie ani chwili dłużej, bo wszyscy skończymy tak samo. Musimy wiać.

–Ma pan rację, komandorze – przytaknął Judd Crocker. – Rozumiem. Sądząc po ich metodach przesłuchiwania, nie żywię żadnej nadziei co do jego losu.

W tej właśnie chwili ze wzgórza za południowym murem więzienia padły strzały. Dwóch marynarzy z lewej strony szeregu upadło na ziemię.

–To te dwa sukinsyny z patrolu, co nam uciekli! – krzyknął Allensworth.

–Wszyscy pod mur! Schować się! Bobby, dawaj flarę! – Rick Hunter zareagował szybko. Uaktywnił spłonkę podanej mu rakiety świetlnej, trzymając ją przez rękawicę i puszcza-

jąc dopiero w ostatniej chwili. Po chwili na niebie rozkwitła plama światła, zalewając całe wzgórze

białym blaskiem.

–Tam są, sir! – Buster dostrzegł Chińczyków pierwszy. – Na lewo od drzew!

–Paul, Grzechotnik, Buster i Steve, za mną! Musimy się ich pozbyć. Zabierzcie kaem. Inaczej będą próbowali nas ostrzeliwać po drodze na plażę. Olaf, zajmij się rannymi. Reszta ma zostać pod osłoną, dopóki nie wrócimy.

Hunter ruszył w lewo i pod górę, kryjąc się na skraju lasu i biegnąc cicho w ciemności na czele czwórki swych najbardziej zaufanych ludzi. W biegu wydawał ciche rozkazy:

–Trzymać się między drzewami tuż przy drodze... Ode-tniemy ich od lasu i przydusimy na zboczu tak, by ich jedyna droga odwrotu prowadziła w dół, ku plaży.

Kiedy znaleźli się odpowiednio wysoko ponad ostatnią znaną pozycją Chińczyków, kazał Paulowi wystrzelić następną flarę, tym razem prawidłowo – z ręcznej wyrzutni, nie z ręki. Po chwili jasne światło zalało teren i czujny Buster znów ich spostrzegł:

–Tam są, sir! W dół zbrocza, bliżej więzienia niż poprzednio!

–Załatw ich, Steve.

Bosman Whipple, nie czekając rozkazu, wypuścił długą serię z kaemu. Paul tymczasem posłał w niebo kolejną flarę i zobaczyli, jak chińscy żołnierze podrywają się do biegu w górę. Nie zdążyli. Pięciu komandosów ruszyło z powrotem na dół, ku zburzonemu więzieniu.

Poniedziałek, 17 lipca 2006 r., godzina 3.00. Biuro dowódcy Floty Południowej, Zhanjiang Admirałowi Zhangowi Yushu cała ta nieszczęsna awanturnicza operacja przyniosła same straty. Amerykański okręt zniszczony, prawie cały port wojenny w Guangzhou unieruchomiony. Teraz jasne już było, że amerykańskie oddziały wylądowały na Xiachuan Dao i zdobyły więzienie. Wiedział, że wielu jego ludzi zginie i co gorsza, straci też więźniów. Jak dotąd, pewna była tylko śmierć dwóch z nich. I tylko oni nie

przedstawiali niebezpieczeństwa. Reszta, jeżeli uda się im uciec, wyśpiewa całemu światu, co przeszli, kiedy ich okręt został – trzeba to przyznać – porwany na wodach międzynarodowych. Nie jest i nigdy nie było zamiarem chińskiego reżimu komunistycznego przejmować się opinią

światową, która znaczy dla nich nie więcej niż używana wykałaczką. Ostatnio jednak, w imię interesów handlu zagranicznego, rząd próbował chociaż zachowywać pozory. Do admirała

zaczynało docierać, że problem staje się coraz poważniejszy. Sytuacja mogła się przerodzić w odpowiednik placu Tianan'men w tropikalnej dżungli. Po raz pierwszy w życiu admirał pomyślał, że jego kariera wisi na włosku. Nie sądził, by którykolwiek dowódca w Armii i Marynarce Ludowo-Wyzwoleńczej mógł sobie pozwolić na wyłączną odpowiedzialność za katastrofę o tej skali: tragedia nuklearna, wiele chińskich ofiar, niezdolność do utrzymania więźniów w zamknięciu, utrata bardzo kosztownych śmigłowców i raketowego kutra patrolowego z rąk nieprzyjaciela na chińskiej ziemi i na dodatek powszechne potępienie całego świata dla chińskich metod przesłuchiwania i traktowania obcych obywateli – i to żołnierzy najważniejszego partnera handlowego Chin. Za to wszystko odpowiadał tylko jeden człowiek, reżyser tej potwornej komedii pomyłek, admirał Zhang Yushu.

–Nie doceniłem ich – mruknął. – Nie doceniłem ich, Jicai. Powtórzyłem raz jeszcze ten sam błąd. Nikt nie zdaje sobie sprawy, jak bezlitośni potrafią być Amerykanie, kiedy przyciśnie się ich do muru. Zastanawiam się, czy cokolwiek mi jeszcze pozostało. Co mogę zrobić? Jak zachować twarz? Admirał Zu wstał z krzesła i zaczął chodzić po gabinecie, marszcząc czoło w głębokim zamyśleniu.

–Czy jest sens rozważać, że w rzeczywistości to nie amerykański atak, ale po prostu poważna awaria zasilania pozbawiła nas łączności z wyspą? – spytał.

–Nie ma. Żadna awaria nie wpłynęłaby na funkcjonowanie radia albo terminalu satelitarnego, a zwłaszcza na radiostację kutra i śmigłowców. Jedynym wyjaśnieniem ich milczenia jest to, że Amerykanie zorganizowali desant i zniszczyli wszelkie środki łączności. Za dobrze ich znam.

–W takim razie, towarzyszu admirale, czy nie powinniśmy użyć lotnictwa?

–Chyba nie, Jicai. Jest na to za późno. Zdobycie więzienia i wycofanie się zajmie Amerykanom nie więcej niż dwie godziny. Lotnictwo nic nam nie da. Nie, Jicai, naszą jedyną szansą jest marynarka.

Zu Jicai popatrzył z drugiego końca gabinetu na ściągniętą niepokojem twarz naczelnego dowódcy, odzwierciedlającą niby lokalne, ale w swym wymiarze homeryckie starcie dwóch wielkich mocarstw świata.

–A co, według ciebie, moglibyśmy zrobić im na morzu? – spytał.

–Na początek możemy zatopić jeden z ich okrętów podwodnych, które muszą tam być, wiem to na pewno.

–Ale jak? Czym?

–Jicai, jeżeli oni mają się ewakuować z Xiachuan Dao, to prawie na pewno są na powierzchni albo w płytkim zanurzeniu. Nasz niszczyciel może ich tam skutecznie zaatakować. Xiangtan ma działa, torpedy, rakiety i dwa śmigłowce ZOP. Osiąga trzydzieści węzłów i ma niezły sonar.

Mamy dobry pretekst, by zatopić amerykański okręt podwodny.

–Dobry pretekst?

–Oczywiście. Wielki amerykański atomowy okręt podwodny na chińskich wodach terytorialnych, bezsprzeczny desant z jego pokładu i atak amerykańskich wojsk na naszą wyspę... O, tak, Jicai, można by to przedstawić w wiarygodny sposób. W "pościgu rozpoczętym na naszych wodach możemy ich dopaść nawet na międzynarodowych i zgodnie z prawem aresztować.

–Nie jestem pewien, dokąd nas to wszystko zaprowadzi, Yushu. Spójrzmy prawdzie w oczy. Skoro Amerykanie już odzyskali swoich ludzi, czemu im nie pozwolić po prostu odpłynąć? I tak odpłyną, a Seawolf jest stracony.

–Jicai, tu chodzi o utratę twarzy. Zgadzam się, że prawdopodobnie więźniom uda się wrócić do domu. Większości. Wiadomo, że będą opowiadać o nas i naszych metodach śledczych. Wolalbym jednak, żeby nie wszyscy dotarli do Stanów. Poczulbym się lepiej, gdybyśmy mogli zatopić jeden z amerykańskich okrętów, posyłając z nim na dno kilkudziesięciu 363

z nich. Dałoby mi to większą satysfakcję. Nie czułbym się tak okropnie upokorzony. A i w kularach władzy w Pekinie wyglądałbym nieco lepiej. Kto wie, może nawet zachowałbym stanowisko?

–Yushu, przez wszystkie lata naszej znajomości ani razu nie słyszałem, byś powiedział coś takiego, stawiając własne cele ponad militarnie uzasadnioną strategię.

–Bo nigdy nie musiałem. Teraz jest inaczej.

–A co z okrętami, które płyną w kierunku wyspy? Jakie mam im wydać rozkazy?

–Jicai, powiesz im, by zatopili każdy napotkany amerykański okręt podwodny, nie oglądając się na nic. Tyle, ile im się uda wytropić.

W tej chwili wszedł adiutant admirała Jicai z małym arkuszem papieru w ręku.

–Właśnie nadeszło z Guangzhou, towarzyszu admirale. Krótki telefonogram. Starszy wioski na wyspie Shangchuan Dao, leżącej po drugiej stronie cieśniny, naprzeciwko więzienia, zameldował policji w Makau, że jego synowie zauważyli jasną lunę na niebie, jak od wielkiego pożaru, około godziny temu. Z Makau przyszło to przez komendę w Guangzhou.

–Dziękuję, poruczniku. Nie zdziwi to naszego naczelnego dowódcy. Zhang krążył po gabinecie, nie przestając perorować.

–Musimy któregoś dopaść, Jicai. Musimy w któryś z tych okrętów trafić i posłać na dno wielu Amerykanów. To bardzo ważne.

–Z powodu utraty twarzy i ratowania własnej kariery, Yushu? Nie uważasz, że dość już poleło się krwi?

Admirał Zhang zawahał się. Po chwili wrzasnął na swojego starego przyjaciela:

–Milczeć! Milcz, Jicai! Muszę się zemścić, rozumiesz? Zemsta! Nie mam do niej prawa po tym wszystkim, co dla tego kraju zrobiłem? Rozumiem, że mogę zostać pozbawiony dowództwa,

ale jeśli mam odejść, chcę odejść jak wojownik, jako dowódca, który walczył z wrogiem do ostatniego tchu! Nie jako nędzna, żałosna kreatura, pobity i upokorzony przez amerykańskich imperialistów, a potem zesłany gdzieś, by zgnić w jakimś zakamarku, zapomniany przez wszystkich! –

Uspokoił się nieco i dalej mówił już normalnym tonem. – Nie miej mi za złe dumy, Jicai. Muszę ocalić twarz. Gdybym mógł, osobiście uderzyłbym w Amerykanów. Nic nie uczyniłoby mnie szczęśliwszym niż posłanie celnej chińskiej torpedy w samo serce amerykańskiego okrętu. Nienawidzę ich, Jicai. O, bogowie, jakże ja ich nienawidzę!

Po raz pierwszy w życiu admirał Zu Jicai zaniepokoił się stanem umysłu naczelnego dowódcy Marynarki Ludowo-Wyzwoleńczej. Instynkt mówił mu, by pozwolić amerykańskim więźniom iść do diabła, posprzątać bałagan, przeprosić Waszyngton za zniszczenie Seawolfa w wypadku nuklearnym w Guangzhou, zrzucając winę na kolizję z niszczycielem – i życie, handel i dobra koniunktura, wszystko to potoczyłoby się dalej. Duma Yushu może się okazać kosztowna, pomyślał.

Niedziela, 16 lipca 2006 r., godzina 14.15. Biuro admirała Morgana, Biały Dom

Telefon „gorącej linii” z Gabinetu Owального zadzwonił po raz kolejny.

–Witam, sir – powiedział Arnold Morgan. – Przykro mi, ale jeszcze ani słowa. Ale brak wiadomości to dobra wiadomość... Nie mieli nadawać żadnych sygnałów, dopóki pierwsi z uwolnionych marynarzy nie znajdą się na podwodniaku, chyba że wystąpi jakiś poważny problem. Jak dotąd nie odebraliśmy nic, a są na wyspie już dwie i pół godziny. To oznacza, że więzienie jest w amerykańskich rękach, proszę mi wierzyć, sir. W przeciwnym razie już byśmy wiedzieli, że coś poszło źle.

–Ale czy więźniowie żyją? To wszystko, co chcę wiedzieć.

–Gdyby nasi natrafili na coś nieprzewidzianego, dawno by o tym zameldowali, panie prezydencie. Musimy przyjąć za pewnik, że operacja przebiega zgodnie z planem. Nie ruszę się z tego krzesła, dopóki nie otrzymam jakiegokolwiek meldunku. Wtedy natychmiast do pana zadzwonię.

–Okay, Arnie. Wiem, że zachowuję się jak neurotyk. Ale nie wiem, co bym zrobił, gdybym go stracił...

Admirał rozłączył się, po czym zatelefonował do Joe Mulligana w Pentagonie.

–Cześć, Joe. Coś nowego?

–Zero. Ale przed chwilą miałem telefon od George'a Morrisa. Mamy zdjęcie satelitarne, na którym widać duży pożar na wyspie. Kupa czarnego dymu, wygląda to na paliwo.

–Założę się, że te szalone Foki rozwalily śmigłowce i skład benzyny.

–Tak też George mówił. Wygląda na to, że w ich fachu nie ma czasu na delikatność.

–Bez dwóch zdań. Ale ten pożar to chyba dobry znak. To znaczy, że są na miejscu i atakują. Umówmy się, Joe, nikt nie dorówna Fokom, kiedy się rozkręcą.

–Na to właśnie stawiam. Zadzwońię do ciebie, jak tylko coś do mnie dotrze. Godzina 3.12.

Więzenie na Xiachuan Dao

Kapitan Crocker po raz ostatni sprawdził stan załogi według listy. Brakowało tylko Cy Rothsteina i Skipa Lax-tona. Rick Hunter stanął obok niego i oznajmił:

–Muszę zapoznać pańskich ludzi z planem ewakuacji. – I zwracając się już bezpośrednio do marynarzy, rozpoczął: -Mam na plaży osiem pneumatycznych łodzi. Każda z nich może zabrać dziewięciu ludzi albo ośmiu, jeżeli jeden z nich będzie na noszach. Najpierw odpłyną trzy, z dwudziestoma siedmioma z was. Przy pięciu rannych mamy w pierwszym rzucie jeszcze czterdzieści miejsc. W sumie chcę wyekspediować sześćdziesięciu siedmiu najszybciej, jak się da.

Musicie robić dokładnie wszystko, co powiedzą wam moi ludzie. Jak krzykną „padnij”, padacie jak

kawki. Powiedzą „skacz”, nie pytacie, jak wysoko, tylko skaczecie od razu jak najwyżej. Oni poniosą nosze i poprowadzą was na plażę. Czeka tam zespół, który pomoże wam przy wsiadaniu do

łodzi. Potem przed wami pół godziny jazdy na podwodniaka. A teraz naprzód, załoga!

Judd Crocker dorzucił własne polecenia:

W 4

–Shawn, licz wszystkich wsiadających. Andy, zajmij się Bradem. Pojedzie na noszach.

Rick Hunter sprawdził, czy na dziedzińcu w całym zamieszaniu nie pozostawiono czegoś z amerykańskiego sprzętu lub broni. Porucznik Conway z Busterem ruszyli na czele kolumny w kilometrową drogę do miejsca ewakuacji, gdzie czekał komandor Bennett, wciąż pokryty skorupą

ślota, krwi i pyłu. Z poczernioną twarzą i brudną, zakrwawioną opaską na głowie wyglądał jak przyrodni brat Szalonego Konia* po bitwie nad Little Bighorn.

Noc była upalna, ale jak na znak niewidzialnego inspicjenta zaczęło znowu padać. Niesiony monsunem deszcz zacinał z ukosa, szybko nasączając suche dotąd mundury marynarzy z Seawolfa, idących za przewodnikami krętą ścieżką przez dżunglę. Dan i Buster prowadzili ich najpierw bardzo powoli kilkaset metrów na północ, ścieżką wyrąbaną w zaroślach przez pododdział Olafa Davidsona przed godziną, kiedy tylko więzienie zostało zdobyte. Dżungla była tutaj niska i gęsta, nad ścieżką zwieszało się mnóstwo gałęzi. Padało tak rzęsiście, że natychmiast utworzyły się kałuże. Idący na przedzie z noszami komandosy ślizgali się i potykali w egipskich ciemnościach, klnąc przy tym na czym świat stoi. Kolumna posuwała się w żółtym tempie. Pokonanie pierwszych paruset metrów zajęło im dziesięć minut, a i po zmianie kierunku na północny wschód szli tak samo wolno. Teren był teraz nawet trudniejszy; w miarę jak zbliżali się do morza, dżungla rzedła, ale podłoże było bardziej przesycone wodą, miejscami przypominając trzęsawisko. Nie dało się omijać grząskich kałuż, ponieważ nikt ich nie widział, dopóki nie wpadł po kostki w lepki maź. Noszowi musieli walczyć o utrzymanie równowagi i nie zawsze im się udawało, na szczęście żaden z rannych nie został upuszczony na ziemię. W siedemnaście minut od wyruszenia w drogę czoło kolumny dotarło do plaży.

–Chryste, myśleliśmy, że nigdy tu nie doczłapiecie – po

* Crazy Horse, wódz Siuksów, wraz z Sitting Bullem, wodzem Czejenów, rozgromili nad rzeką

Little Bighorn kawalerię amerykańską.

witał ich komandor Bennett. – Lepiej się pospieszcie, zanim łodzie wypełnią się deszczówką i zatoną.

Dan Conway zaśmiał się cicho i podążył za szefem plaży ku brzegowi, gdzie czekało osiem zodiaków zwróconych dziobami w stronę morza, kołysząc się lekko na krótkiej fali przyboju, choć tylko na metr wysunięte były na wodę.

–Okay, chłopaki! – krzyknął Rusty. – Wkładajcie do pierwszych pięciu łodzi po jednym noszach, a ty, Buster, przez ten czas odlicz dwudziestu siedmiu ludzi i niech się ustawią po dziewięciu przy trzech ostatnich. Do każdej łodzi przydzielę dwóch naszych, jednego jako sternika, drugiego do pomocy przy wodowaniu. Popłyną tylko sternicy.

Ponieważ wszyscy obecni byli z marynarki wojennej, operacja przebiegała w sposób sprawny i zdyscyplinowany. Tylko nosze sprawiały trudność, ale dla Fok nie była to pierwszozna. Rannych ułożono w zodiakach na prowizorycznych usztywnieniach, które zamontowano poprzedniego dnia jeszcze przed lądowaniem. Nosze leżały pośrodku, co pozwalało pozostałym pasażerom zająć miejsca przy bocznych komorach, twarzami do rufy, tak że mogli trzymać się uchwytów na burtach. Dość skomplikowaną czynność wsiadania do łodzi ułatwiało wszystkim doświadczenie morskie, ale i tak zanim Rusty w połowie uporał się z zadaniem, trzy ostatnie w szeregu łodzie były już obsadzone i gotowe do startu. W pierwszej grupie ewakuowanych znalazł się Linus Ciarke. Rusty polecił im wyruszać; nie mieli ani chwili do stracenia – było już wpół do czwartej, za niecałe trzy godziny będzie jasno. Gdyby Chińczycy chcieli ich zabić, ich śmigłowce mogłyby bezkarnie ostrzeliwać plażę i łodzie.

Rusty podszedł do ostatniej łodzi, która teraz unosiła się na falach trzydzieści metrów od brzegu, przytrzymywana za linę przez Fokę brodzącego po pierś w wodzie.

–Dobra, chłopaki, zapuszczaj silniki i w drogę. Pójdziecie trzy mile na południowy wschód, a potem zwrot na dwieście dwa stopnie i jeszcze sześć mil. Macie to zaprogramowane na GPS. Pamiętajcie, co wam powiedziałem. Gdy przepłyniecie dziewięć mil z prędkością dwudziestu węzłów, po niecałej półgodzinie natraficie na Hartforda. Będziecie odbierali jego

*»

witał ich komandor Bennett. – Lepiej się pospieszcie, zanim łodzie wypełnią się deszczówką i zatoną.

Dan Conway zaśmiał się cicho i podążył za szefem plaży ku brzegowi, gdzie czekało osiem zodiaców zwróconych dziobami w stronę morza, kołysząc się lekko na krótkiej fali przyboju, choć

tylko na metr wysunięte były na wodę.

–Okay, chłopaki! – krzyknął Rusty. – Wkładajcie do pierwszych pięciu łodzi po jednym noszach, a ty, Buster, przez ten czas odlicz dwudziestu siedmiu ludzi i niech się ustawią po dziewięciu przy trzech ostatnich. Do każdej łodzi przydzielilem dwóch naszych, jednego jako sternika, drugiego do pomocy przy wodowaniu. Popłyną tylko sternicy.

Ponieważ wszyscy obecni byli z marynarki wojennej, operacja przebiegała w sposób sprawny i zdyscyplinowany. Tylko nosze sprawiały trudność, ale dla Fok nie była to pierwszozna. Rannych ułożono w zodiacach na prowizorycznych usztywnieniach, które zamontowano poprzedniego dnia jeszcze przed lądowaniem. Nosze leżały pośrodku, co pozwalało pozostałym pasażerom zająć miejsca przy bocznych komorach, twarzami do rufy, tak że mogli trzymać się uchwytów na burtach. Dość skomplikowaną czynność wsiadania do łodzi ułatwiało wszystkim doświadczenie morskie, ale i tak zanim Rusty w połowie uporał się z zadaniem, trzy ostatnie w szeregu łodzie były już obsadzone i gotowe do startu. W pierwszej grupie ewakuowanych znalazł się Linus Ciarke. Rusty polecił im wyruszać; nie mieli ani chwili do stracenia – było już wpół do czwartej, za niecałe trzy godziny będzie jasno. Gdyby Chińczycy chcieli ich zabić, ich śmigłowce mogłyby bezkarnie ostrzeliwać plażę i łodzie. Rusty podszedł do ostatniej łodzi, która teraz unosiła się na falach trzydzieści metrów od brzegu,

przytrzymywana za linę przez Fokę brodzącego po pierś w wodzie.

–Dobra, chłopaki, zapuszczaj silniki i w drogę. Pójdziecie trzy mile na południowy wschód, a potem zwrot na dwieście dwa stopnie i jeszcze sześć mil. Macie to zaprogramowane na GPS. Pamiętajcie, co wam powiedziałem. Gdy przepłyniecie dziewięć mil z prędkością dwudziestu węzłów, po niecałej półgodzinie natraficie na Hartforda. Będziecie odbierali jego

m T

sygnał do namierzania. To tyle, a teraz wynocha, i nie spieprzyć mi tego.

Każdemu z Fok podobało się to ostatnie zdanie. Było znakiem firmowym Rusty'ego Bennetta, a ponieważ ten żelaznego hartu ducha oficer ze Wschodniego Wybrzeża był dla nich bohaterem i wzorem, każdy ze sterników odebrał je jako skierowane do niego osobiście życzenie powodzenia. Na tym właśnie polega prawdziwe przywództwo.

Pozostali na plaży usłyszeli, jak potężne silniki zodiaków budzą się do życia, a potem wyją przesilone na wysokich obrotach, starając się popchnąć przepełnione łodzie do ślizgu. Po chwili ich ton się zmienił, gdy zodiaki nabrały właściwego trymu i przyspieszyły – niemalże leciały nad spokojną wodą w szyku czołowym, unosząc syna prezydenta i dwudziestu sześciu innych ku bezpiecznej „przystani” USS Hartford. Kiedy następne dwie łodzie zameldowały gotowość, Rusty wysłał je w ślad za pierwszą trójką. Ostatnie trzy zodiaki miały ruszyć za chwilę; w ten sposób żaden z nich nie będzie musiał długo czekać na pomoc, gdyby przydarzył mu się defekt silnika. Mechanicy, którzy przeglądali łodzie przed wyruszeniem, zapewne modlili się teraz do technicznego anioła stróża, komandor Bennett bowiem przyobiecał im w razie podobnego wypadku współczesny odpowiednik tysiąca batów, a żadnemu z nich nie było spieszno przekonać się, co miał na myśli.

Kiedy ucichł w dali odgłos ostatnich łodzi, pozostali na brzegu mogli tylko czekać na ich powrót – za godzinę. Następnym razem zodiaki zabiorą siedemdziesiąt dwie osoby, ale będzie już za kwadrans piąta, a na plaży wciąż jeszcze pozostanie ich trzydziestu bez szansy na ewakuację przed piątą pięćdziesiąt pięć – na chwilę przed wschodem, po czym czeka ich pół godziny drogi na otwartym morzu w coraz jaśniejszym świetle dnia.

–To będzie na styk – mruknął Bennett. – Na cholernie wąski styk, zwłaszcza że to ja, Rick i Ray

Schaeffer będziemy w ostatniej łodzi.

Nadchodziła nowa kolumna; ponad setka mężczyzn człapała powoli przez deszcz i ciemność ku plaży. Komandosi, z bronią gotową do strzału, maszerowali po bokach, obser-369

wując bacznie skraj dżungli, mimo iż wiadomo było, że nie może już być na wyspie ani jednego żywego Chińczyka. Chyba że zrzucono desant spadochronowy, o którym nic nie wiedzieli... Postronny obserwator mógłby odnieść wrażenie, że załoga USS Seawolfa jest prowadzona do niewoli pod czujną strażą.

Kiedy ostatni marynarze dotarli na brzeg, od odpłynięcia ostatniego zodiaka upłynęło już dwadzieścia minut. Więzienie było zupełnie puste i pozostanie takie do chwili, kiedy struty

gazem personel chiński w koszarach znacznie odzyskiwać przytomność nad ranem następnego dnia. Judd Crocker był wciąż na wyspie; miał ją opuścić ostatnią łodzią, mniej więcej za czterdzieści pięć minut. Tak jak ostatnia dwunastka z pierwszego rzutu, miał zostać przerzucony na USS Greenville, czekający na powierzchni zaledwie o sześć mil od południowego cypla Xiachuan Dao, na akwenu o głębokości zaledwie trzydziestu metrów. Teraz rozmawiał z Rickiem Hunterem, wyrażając zaniepokojenie stanem zdrowia Brada Stocktona. Brad był bardzo brutalnie przesłuchiwany, głównie dlatego że Chińczycy uważali go za najstarszego rangą wśród załogi, oczywiście po dowódcy.

–Nie martwiłbym się o niego zbyt, sir – pocieszył go Hunter. – Na każdym okręcie jest lekarz wyspecjalizowany w obrażeniach wynikłych z tortur. Połatają go na pewno. Poza tym za parę godzin będziemy już na lotniskowcu, a tam mają szpital z prawdziwego zdarzenia.

Judd skinął tylko głową, a Rick, ulegając nagłemu impulsowi, zapytał:

–Było źle, sir?

–No, świetnie nie było.

–Czego oni chcieli od załogi?

–Przede wszystkim informacji, i to specjalistycznej. Na przykład od Cy Rothsteina czegoś w rodzaju wycieczki z przewodnikiem po systemach uzbrojenia. Zapewne pan wie, że to najbardziej skomplikowane układy na całym okręcie. Wprawdzie bez wątpienia mogli je sami skopiować, sporządzić plany i choćby wymontować najistotniejsze części, ale przecież nie ma to jak wykorzystać w tym celu człowieka, który zna je od podszewki.

–No chyba. Czyli te sukinsyny chciały złamać naszych specjalistów i zmusić ich do wyjawienia tajników obwodów elektronicznych, aby potem zbudować okręt o standardzie zbliżonym do Seawolfa?

–Bingo, komandorze.

–A to cwane dranie... Ale czegoś nie rozumiem... w jaki sposób w ogóle udało im się porwać wasz okręt?

–Cóż, być może to tajna informacja, ale skoro Bóg wie ilu Chińczyków i ponad setka naszych marynarzy plus pół SUBPACu ją zna, nie widzę powodu, by żałować jej oficerowi, który nas wyciągnął z pudła...

Rick Hunter zaśmiał się.

–W każdym razie może pan liczyć na moją dyskrecję, sir. Powiemy, że przekazał mi ją pan z powodów operacyjnych, skoro jeszcze tkwimy w tej pieprzonej dziurze.

Tym razem Judd parsknął śmiechem.

–Mogę ci mówić Rick?

–Jasne.

–No więc, Rick, za chwilę poznasz jaskrawy przykład gigantycznego pecha. W ciemną noc, hen, na Morzu Południowochińskim, udało nam się owinąć na śrubie sonar holowany chińskiego niszczyciela o wyporności sześciu tysięcy ton.

–Jasna dupa!

–O ile sobie przypominam, tak właśnie brzmiały moje pierwsze słowa, kiedy zrozumiałem, co się stało.

–Czy to pan wtedy prowadził okręt, sir?

–Nie. Spałem. Dopiero co zdałem wachtę.

–Jak się pan zorientował?

–Żartujesz, Rick? Kiedy coś podobnego dzieje się na dużym podwodniaku, wszystko się nagle zmienia. Tracisz napęd i robi się cicho, zmienia się trym, inaczej dźwięczą maszyny, do których pracy przywykłeś od dawna, pojawia się przechył.

–Kto trzymał wachtę, sir?

–To już na pewno jest tajna informacja, obawiam się. Ale prawda w końcu wyjdzie na jaw, jestem pewien.

–Myśli pan, że będzie izba morska?

–Chryste, pewnie, że tak. Najpierw pełne dochodzenie, zeznania wszystkich możliwych świadków wraz z żonami

371

i psem, co potrwa Bóg wie jak długo. A potem, jeśli uznają, że ktoś źle pełnił swoje obowiązki, będzie wyrok... Na przykład, że pewni oficerowie Seawolfa są winni poważnego zaniedbania, może nawet opuszczenia stanowisk w obliczu nieprzyjaciela...

–Chce pan powiedzieć, że postawią pana przed sądem wojskowym?

–Mogą to zrobić. Mało prawdopodobne, ale możliwe. Każdy dowódca, któremu się uda stracić okręt, ma cholerne kłopoty. Ale w świetle dowodów może uznać brak mojej winy.

–Ja bym tak zrobił, sir.

–Dzięki, komandorze. Mam nadzieję, że oni będą równie wyrozumiali.

–No, jeśli nie, to pójdę i opowiem, jak w pojedynkę załatwił pan uzbrojonego komendanta więzienia w celi tortur.

–Nie rób tego, na miłość boską! Jakiś lewicujący polityk będzie chciał oskarżyć mnie o morderstwo w myśl nowej ustawy o unikaniu zbędnego okrucieństwa wobec dalekowschodnich karzełków. '

Obaj oficerowie się roześmieli, choć gorzko.

Godzina 4.30. Na pokładzie niszczyciela Xiangtan, 2113N/11129E. Kurs 060°. Prędkość 30 w.

Pułkownika Li Penga niepokoiły otrzymane rozkazy. Wydane osobiście przez naczelnego dowódcę,

były bezlitośnie precyzyjne. „Wytropić i ścigać wszelkie podejrzane okręty w rejonie sześciu mil na

południe od Xiachuan Dao. Jesteście upoważnieni do otwarcia ognia i zatopienia każdej jednostki

amerykańskiej na wodach terytorialnych, a także podczas dalszego pościgu na wodach

międzynarodowych".

Pułkownik stał na mostku, naradzając się ze swym zastępcą, komandorem podporucznikiem Shoudongiem Gua-nem i oficerem uzbrojenia, komandorem podporucznikiem Anwei Bao. Ich dyskusja miała fatalistyczne zabarwienie. Wszyscy trzej wiedzieli, że podstawowy kłopot z amerykańską marynarką polega na tym, że ma ona skłonność do oddawania ciosów bardzo szybko i

bardzo mocno. Wiedzieli

też, że nawet jeśli uda się ich śmigłowcom odnaleźć i obrzucić Amerykanów bombami głębinowymi, mogą oni spokojnie zdążyć wystrzelić kilka celnych torped. Prywatnie wszyscy uważali, że otwarcie ognia do jakiegokolwiek dużego i szybkiego amerykańskiego okrętu jest czymś niebezpiecznie bliskim samobójstwa. Pułkownik Li jednak był niewzruszony.

–Naczelnny dowódca nie zostawił mi miejsca na żaden manewr – oświadczył. – Mam otworzyć ogień i zatopić ich.

–Czy wyraził swoją opinię co do utraty najlepszego okrętu nawodnego w naszej flocie?

–Nie, Guan. Zdawał się mnie nie słuchać albo i nie słyszeć. Na koniec powiedział mi, że stawką jest honor naszego kraju. Jedyne, co się dla niego i jego przełożonych w Pekinie liczy, to to, że zatopimy duży amerykański okręt podwodny. Był przy tym pewny, że zastaniemy co najmniej jeden, a może i dwa.

–Cóż, może on tego nie wie, ale ja wiem – rzekł komandor Anwei. – Amerykanie, jeśli ich znajdziemy, odgryzą się jak wściekłe psy. Kupa ludzi może dziś rano zginąć. Czy rozważaliście możliwość zignorowania rozkazu i udawania, że nic nie widzieliśmy?

Pułkownik Li uśmiechnął się, ale powiedział poważnie:

–Guan, mój drogi, stary przyjacielu, będę z tobą szczery. Owszem, rozważałem. Ale weź pod uwagę konsekwencje. Jeżeli znajdziemy Amerykanów, będzie o tym wiadomo choćby ze zdjęć satelitarnych, a na pewno będzie o tym wiedziała nasza bardzo liczna załoga. Gdybyśmy przymknęli oko na obecność nieprzyjaciela, całe dowództwo tego okrętu po prostu by zniknęło, w najlepszym razie osadzone na wiele lat w więzieniu i otoczone pogardą narodu. Myślę, że wszyscy wolelibyśmy raczej podjąć ryzyko amerykańskiego odwetu i wrócić jako bohaterowie.

–Mam nadzieję, że nie martwi – mruknął Guan. – Poza tym może naprawdę niczego nie znajdziemy.

–Może.

–Jak wygląda sytuacja, nawigatorze?

–W porządku, towarzyszu dowódco. Mamy niezłe tempo, podchodzimy pod południk sto jedenaście i pół stopnia, zo-

stało nam nieco mniej niż dwie godziny. Przy tej prędkości będziemy na miejscu około szóstej trzydzieści.

Niedziela, 16 lipca 2006 r., godzina 15.30. Gabinet Ovalny

Jeszcze nigdy za pamięci najstarszych pracowników Białego Domu nikt nie wpadł z marszu do gabinetu prezydenta, nawet nie zapukawszy, nie zastanawiając się nad tym, kto może tam akurat

być. Sekretarka była zaszokowana, kiedy Arnold Morgan wdarł się w ten sposób do jej szefa. Szef, nie nawykły, by mu tak brutalnie przerywano, rozmawiał akurat przez telefon. Podniósł wzrok z gniewną miną, dopóki nie zobaczył, że intruzem jest jego doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego i że jego twarz rozjaśnia szeroki uśmiech. Rzucił słuchawkę – dosłownie, tak że spadła za biurko i zawisała na przewodzie – wstał i powiedział drżącym głosem:

–Powiedz mi, Arnie, że on jest bezpieczny.

–Jest bezpieczny, sir. Na pokładzie okrętu podwodnego USS Hartford, dowodzonego przez komandora Jacka Cros-by'ego, i w drodze na lotniskowiec. Linus jest wstrząśnięty, ale cały i zdrowy. Przesyła panu ucałowania. Prezydent Ciarke opadł bezsilnie na fotel, powtarzając co chwila:

–Dzięki Ci, Boże, dzięki Ci, Boże... Łzy pociekły mu po twarzy, ale nie ocierał ich, zbyt szczęśliwy, by zwracać na to uwagę.

–Czy potrzebuje mnie pan jeszcze? – zapytał Morgan zachrypłym głosem. – Jesteśmy wciąż dość zajęci tą sprawą. Wybieram się do Pentagonu.

–Nie, Arnoldzie, wszystko w porządku. Idź, gdzie musisz. Ale chciałbym, żebyś po drodze poprosił Kathy, by tu wpadła.

–Oczywiście, sir. Może ja też jeszcze później zajrzę?

–Mam nadzieję, że to zrobisz, Arnie. Gdyby nie ty... gdyby nie twoja wiara w to, że możemy w nich uderzyć, nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek ujrzalibyśmy Linusa.

–Dziękuję, panie prezydencie. Niech Bóg ma w opiece pana i Linusa. Zaraz przyślę tu Kathy.

374

Admirał opuścił gabinet bezceremonialnie, jak wszedł. Przemaszerował przez korytarz i rzuciwszy w przelocie do Kathy: „Kawa. Samochód. Idź do szefa”, podszedł do telefonu i połączył się z Mulliganem. Była piętnasta czterdzieści pięć, czyli na Xiachuan Dao za kwadrans

piąta następnego ranka.

–Cześć, Joe. I jak tam?

–Frank Hart mówi, że w tej chwili powinien ruszać drugi rzut z ostatnimi członkami załogi, wszystkie osiem zodiaców. Zaczynają już ewakuować pierwszych komandosów. Nikt nie melduje o jakiegokolwiek aktywności po chińskiej stronie w promieniu pięćdziesięciu mil od pozycji podwodniaków.

–Świetnie, Joe. O której spodziewają się odpłynięcia ostatnich ludzi z wyspy?

–Według Franka za pięć szósta. Prawie o wschodzie słońca.

–Hmm... Czyli, że okrętowanie będzie się odbywało już za dnia, co?

–Obawiam się, że tak. Ale raczej nie spodziewamy się chińskiego ataku.

–Nie? Ja bym się po nich wszystkiego spodziewał. Zwłaszcza kiedy ktoś im utarł porządnie nosa.

–No cóż, możemy tylko obserwować morze i powietrze. Jak tylko się coś wykluje, zaraz dam ci znać.

–Nie trzeba, Joe. Jadę do ciebie. Przygotuj tam trochę porządnej kawy, dobrze? Kathy mnie tu ignoruje.

Śmiech szefa operacji morskich zakończył ich rozmowę. Natychmiast po odłożeniu słuchawki z głośnika odezwał się głos sekretarki:

–Posterunek zewnętrzny do bazy. Kawa za minutę. Samochód na dole. Bez odbioru. Morgan wcisnął guzik i rzucił:

–Baza do posterunku zewnętrznego. Kawa odwołana. Zameldować się w naszej ulubionej restauracji w Georgetown o dziewiętnastej trzydzieści. Wyjdiesz za mnie?

–Posterunek zewnętrzny do bazy. Pierwsze zrozumiano. Drugie... świetnie. Trzecie... nie ma mowy.

Admirał zabrał teczkę i wyszedł, zmierzając ku windzie do podziemnego garażu, gdzie jego kierowca, Charlie, powinien czekać w gotowości, jeśli ceni swoje życie, pracę i emeryturę. Kathy tymczasem już była w drzwiach Gabinetu Ovalnego. 375

–Witam, sir. Tak się cieszę. Czyż to nie najcudowniejsza wiadomość?

–Absolutnie – zgodził się prezydent. Przyszła pani Morgan spostrzegła, że wygląda teraz o dziesięć lat młodziej niż przed godziną. – Ale teraz chciałbym, aby wyświadczyła mi pani dwie

przysługi.

–Oczywiście.

–Chcę, aby pani załatwiła, by ten kościół po drugiej stronie ulicy, przy placu Jacksona, był otwarty. Proszę też powiadomić Secret Service, że zamierzam tam pójść za pół godziny. Niech poczynią odpowiednie przygotowania. Po drugie, chciałbym, aby poszła tam pani ze mną. Byliśmy razem, kiedy moje prośby zostały wysłuchane, i pragnę, by była pani przy mnie i tym razem.

–Dobrze, sir, oczywiście. U Świętego Jana jest msza poranna i wieczorna. Dopilnuję, żeby był otwarty za pół godziny.

Wyszła z gabinetu i wróciła do swego biura. Jako długoletni pracownik Białego Domu dobrze wiedziała, za jakie sznurki pociągać. Połączyła się z administracją i poprosiła, żeby ktoś zadzwonił na plebanię i załatwił, by kościół był otwarty, pusty i gotowy na przyjęcie prezydenta Stanów Zjednoczonych, tak jak przyjmował wszystkich prezydentów od czasów Jamesa Madisonsa. Kolejna sprawa była już poważniejsza. Perspektywa prezydenckiego spaceru w jakimkolwiek miejscu publicznym jest dla Secret Service jak śnieżna zawieja dla mieszkańców Tahiti. Trzeba postawić w stan alarmowy całą masę ludzi. Tereny Białego Domu są bezustannie monitorowane przez wszechobecne kamery, czujniki termiczne, dźwiękowe i naciskowe; za każdym razem, kiedy prezydent przybywa lub wyjeżdża, na dachu czuwa z odbezpieczonymi pistoletami maszynowymi cały zespół antyterrorystyczny SWAT – i to przy założeniu, że głowa państwa porusza się opancerzonym samochodem. Sama myśl o tym, że prezydent w towarzystwie sekretarki swego doradcy ma pójść do pobliskiego kościoła, uruchomiła całą maszynę bezpieczeństwa. Dla agenta Secret Service te trzysta metrów dzielące zachodnie skrzydło Białego Domu od parafii św. Jana jest niczym pole minowe. 376

W rzeczywistości miała to być cicha, nie uczęszczana uliczka, zamknięta dla wszelkiego ruchu i bez przerwy patrolowana przez roje policjantów.

Kiedy Kathy O'Brien oznajmiła, że prezydent wybiera się piechotą do kościoła, postawiono na nogi stu czterdziestu ludzi; jak zresztą można by się spodziewać po gigantycznej organizacji, której utrzymanie kosztuje rocznie ponad miliard dolarów. Oddział agentów miał towarzyszyć prezydentowi i osłaniać go na każdym kroku drogi.

Wyruszyli kwadrans przed siedemnastą, wychodząc z korytarza zachodniego skrzydła do rozgrzanego lipcowym słońcem siedmiohektarowego ogrodu, gdzie czekało na nich więcej uzbrojonych ludzi niż w tej samej chwili na plaży ewakuacyjnej na Xiachuan Dao. W otoczeniu ochrony przeszli przez rozległe trawniki i uliczkę na plac Jacksona, niedaleko Lafayette Square. Stamtąd było już tylko parę kroków do bla-dożółtego, klasycystycznego budynku kościoła pod wezwaniem św. Jana. Drzwi wejściowe były szeroko otwarte na powitanie głowy państwa przybywającej z prywatną wizytą. Prezydent polecił wszystkim zostać na zewnątrz, a sam z Kathy O'Brien weszły do środka, zamykając drzwi za sobą. Tam, w chłodnym półmroku

prawie dwustuletniego „kościola prezydentów”, John Clarke ukorzył się przed Bogiem, klęcząc przed pierwszym rzędem ławek i w ciszy wyrażając dozgonną wdzięczność za ocalenie jedyne go syna Linusa. Jego modlitwa, jak powiedział Kathy, nie była tylko dziękczynieniem, lecz i formalnym wyrazem świadomości, że jego „cichy, słaby głos” został dosłyszany ponad zgiełkiem grzesznego świata. Była potwierdzeniem jego wiary, w której wychowali go rodzice, baptyści z odległej Oklahomy. Klęczał jeszcze może z dziesięć minut, po czym odwrócił się do Kathy i spytał, czy jest gotowa, by mu towarzyszyć w drodze powrotnej.

Wstali oboje i poszli środkiem nawy między ławkami. U drzwi, zanim je otworzył, John Clarke spytał cicho:

–Tutaj nie jestem żadnym prezydentem, prawda?

–Nie, sir, nie jest pan. Ale jestem pewna, że jest pan mile widziany, ponieważ Bóg otrzymuje znacznie więcej próśb niż podziękowań. To właśnie święty Jan zapisał słowa naszego Pana: „Ja

jestem drogą, prawdą i życiem”.

Na twarzy prezydenta Stanów Zjednoczonych jaśniał uśmiech, kiedy z czystym sumieniem szedł z

powrotem do Białego Domu.

Poniedziałek, 17 lipca 2006 r., godzina 5.55. Plaża na Xiachuan Dao

Będąc najstarszym stopniem oficerem, kapitan Crocker uznał za stosowne nie odpływać z drugim

rzutem ewakuowanych, ale pozostać na wyspie do końca i opuścić ją ostatnim zodiakiem, wraz z

komandorem Hunterem i Rayem Schaefferem w zimnym świetle dnia. Na niebie widać już było

pierwsze różowe palce jutrzeńki; słońce wspinało się ku krawędzi oceanu, by wkrótce ukazać się

nad horyzontem. Nie było jeszcze widać nadpływających pięciu łodzi, ale nad wodą niósł się już

odległy pomruk ich pracujących pełną mocą silników. W trzy minuty później wpadły na zatokę; w

zachowaniu sterników widać było spory niepokój, kiedy zgasili i podnieśli w górę silniki, podczas

gdy komandosi czekający w wodzie złapali je za uchwyty i zatrzymali w miejscu. Nie było nawet

potrzeby odwracać ich dziobem ku wodzie, bo morze było teraz gładkie jak staw. Dowodzący

flotyllą sternik krzyknął:

–Okay, sir, spadamy! Cały sprzęt do drugiej łodzi plus trzech, po siedmiu do pozostałych i już nas nie ma!

Coraz jaśniejsze światło dnia jednakowo działało wszystkim na nerwy. Było niemal pewne, że Chińczycy muszą już wiedzieć, iż ich silnie strzeżone więzienie przeszło druzgocący atak, choć komandosi zniszczyli wszelkie środki łączności. Nikt się nie liczył z kontratakiem, póki trwała noc, ale teraz, gdy zasłona mroku się rozwiła, każdy z czekających na plaży czuł się coraz bardziej zagrożony. Marynarka chińska musi przynajmniej wysłać parę śmigłowców dla

zbadania przyczyny nagłej utraty łączności z wyspą. Gdyby nadleciały w ciągu następnych pięciu minut, bez wątpienia otworzyłyby ogień do uciekających Amerykanów.

–Dalej, chłopaki, ładować się! Jazda, jazda!

Sternik Zack Redmond z każdą minutą stawał się bar-

dziej nerwowy, i nie tylko on. Olaf Davidson stał przy drugiej łodzi, układając w niej karabiny maszynowe. Buster i Grzechotnik, zanurzeni po pas, podsadzali wsiadających kolegów. Kiedy nadeszła kolej na Ricka Huntera, stanął przy nich i uniósł zgiętą lewą nogę, a dwaj luizjańczycy

złapali go za gołeń i dźwignęli w górę. Największy „dżokej” świata prze-frunął nad burzą.

Była minuta po szóstej, kiedy ostatni zodiak niczym Bill Shoemaker na rodeo w Santa Anita został

wypchnięty na wystarczająco głęboką wodę, by można było opuścić silnik do wody. Plaża

opustoszała i kiedy pięć maszyn zagrało swoim szybkim rytmem, ostatni komandosi znaleźli się

zwróceni twarzami ku maleńkiej chińskiej wyspie, na której walczyli z nadludzką odwagą. Dym

nad więzieniem rozwiął się już i miejsce znów przypominało idylliczny tropikalny raj, a woda z

każdą chwilą nabierała coraz piękniejszego turkusowego odcienia. Wszyscy jak jeden mąż

odczuwali jednak ekstatyczną radość z powodu opuszczenia Xiachuan Dao. Tylko kapitan Judd

Crocker patrzył ze smutkiem na bujną zieleń i zastanawiał się, gdzie pochowano ciało komandora

Cy Rothsteina i czy ktokolwiek znajdzie jego grób.

Zodiaki śmignęły na otwarte wody zatoki i po raz pierwszy wszyscy ujrzeli cieśninę między

wyspami. Po przeciwnej stronie rysowały się płaskie brzegi większej Shangchuan Dao, z niskim

szczytem w głębi. Xiachuan miała bardziej poszarpaną linię. Najbardziej ich cieszył zupełny brak

ludzkiej aktywności. W ten jasny lipcowy ranek nie było widać nawet dżonki, a cóż dopiero

okrętu

wojennego. Pięć łodzi pomknęło pełną prędkością ku oczekującemu za horyzontem USS Greenville, na którym większość z obecnych przybyła na te wody.

Poniedziałek, 17 lipca 2006 r., godzina 6.20. Na pokładzie niszczyciela Xiangtan, 2130N/11220E.

Kurs 080°. Prędkość 30 w.

Pułkownik Li utrzymywał maksymalną prędkość od samego wyjścia z Zhanjiang, z łatwością zostawiając za sobą

znacznie mniejszą fregatę Shantou, płynącą teraz o pięć mil za ich rufą. Dowódca już dwukrotnie łączył się ze sztabem, upewniając się co do rozkazów. Za każdym razem odpowiedź admirała Zu Jicai była taka sama: admirał Zhang ani na jotę nie zmienił postanowienia. Zdecydowanie nakazywał, by Xiangtan ostrzelał Amerykanów rakietami, torpedami czy pociskami artyleryjskimi przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Im wcześniej, tym lepiej.

Pułkownik Li Peng był zdumiony. Przez lata służby w Marynarce Ludowo-Wyzwoleńczej ani razu nie otrzymał rozkazu otwarcia ognia bez względu na okoliczności; również w wypadku Tajwanu, a nawet Japonii. Dzisiejsza eskapada w najwyższym stopniu nie przystawała do normy. Chiny, stara cywilizacja, dawno już się nauczyły, że męstwem winien kierować rozsądek. Miotanie pocisków na partnera handlowego, z którym wojna na dużą skalę byłaby dla Chin katastrofalna, nie miało nic wspólnego z rozsądkiem. A przecież Chińczycy są dumni ze swego racjonalizmu. Mogą oszukiwać, kłamać, kraść, gmatwać i grzeszyć zaniedbaniem. Ale nie wykazywać rozsądku? Nigdy! A oto ten wspaniały chiński okręt wojenny był wysyłany właściwie wprost na zgubę, z rozkazem otwarcia ognia w czasie pokoju. Z zimną krwią czy też, jak pułkownik Li uważał, w ślepym szale. Odwrócił się do ZDO, komandora Shoudonga, i po raz kolejny mruknął:

–Nic z tego nie rozumiem.

ZDO też nie rozumiał, ale zaczynał wpadać w coraz bardziej fatalistyczny nastrój, zwłaszcza po ostatniej rozmowie ze sztabem floty. W jego głosie pobrzmiwała rezygnacja, kiedy zameldował:

–Towarzyszu pułkowniku, jesteśmy około dziesięciu mil od granicy obszaru poszukiwań. Czy to naprawdę oznacza, że gdy wykryjemy okręt podwodny, ruszamy wprost na niego i zaczynamy strzelać?

–To właśnie oznacza.

–1 żadnych ostrzeżeń? Żadnych poleceń natychmiastowego opuszczenia naszych wód terytorialnych? Nawet choćby strzału ostrzegawczego przed dziób?

–Nie, Guan. Żadna z tych rzeczy nie wchodzi w rachubę.

Mam rozkaz otworzyć ogień wprost do przeciwnika i użyć wszelkich środków, by go zatopić.

–Na bogów... lepiej więc nie spudłujmy, bo w przeciwnym razie oni nas rozniosą.

–Guan, oni mogą to zrobić, nawet kiedy nie spudłujemy.

Akurat na te słowa komandor Anwei Bao, oficer uzbrojenia, wszedł na mostek.

–Zrobiłem, jak kazaliście, towarzyszu dowódco. Wszystkie systemy są gotowe do natychmiastowego strzelania. Jest tylko jedna sprawa... Chciałbym zapytać...

–Słucham.

–Czy ktokolwiek wie, o co w tym chodzi? Dlaczego najwyraźniej jesteśmy gotowi ryzykować otwarty konflikt zbrojny ze Stanami Zjednoczonymi?

–No cóż, jest sprawa tego okrętu podwodnego, który wyleciał w powietrze w Guangzhou minionej nocy. Być może chodzi o to. Ale to przecież nie Amerykanie go wysadzili. Sądziłem, że to nasi naukowcy.

–No, taka jest oficjalna wersja, ale kto wie, jak było naprawdę?

–A co my tutaj robimy, pędząc ku płyciznom wokół tych dwóch wysepek?

–To jest właśnie największa zagadka. Nie mam pojęcia.

–Dlaczego sztab sądzi, że na południe od Xiachuan Dao zastaniemy amerykański okręt podwodny? Przecież na tej wyspie nikogo nie ma?

–Tego mi również nie powiedziano. Wiem tylko, że możemy go tam zastać i wówczas mamy go zatopić.

Poniedziałek, 17 lipca 2006 r., godzina 6.29. Morze Południowochińskie, 2131N/11234E

–Dwadzieścia z prawej, sir. Okręt podwodny na powierzchni – zameldował Buster Townsend, który wychylony przez dziób omiatał lornetką horyzont na kursie.

USS Greenville stał o milę dalej na południe, niż się spodziewali, a o cztery mile za nim widniały sylwetki dwóch fregat z zespołu osłony lotniskowca. Mimo jednak bliskiej już

silnej ochrony na zodiachach i na czekających w pogotowiu okrętach panowało napięcie wywołane perspektywą ewakuacji na chińskich wodach terytorialnych w biały dzień. Na Greenville'u nie mogli się już doczekać. Płetwonurkowie z SEAL wypłynęli im naprzeciw, pomagając ustawić łodzie przy burcie okrętu przed kioskiem, gdzie załoga opuściła się ułatwiającą wchodzenie na pokład. Wszyscy na zodiachach byli dobrze wyszkolonymi komandosami, którym nieobce było wdrapywanie się na śliskie pokłady przy najgorszych warunkach pogodowych, włącznie z bębnieniem o nie nożami pod wodą, by ich wpuszczono. Jedynym „laikiem” wśród nowo przybyłych był kapitan Crocker, ale on był dowódcą okrętu podwodnego i powinien sobie dać radę. Marynarze z Greenville'a schwycili pierwszą łódź, gdy tylko została pusta, i wciągnąwszy na pokład, wypuścili z komór powietrze i podali włazem do środka. Ciężki sprzęt włącznie z silnikiem wyrzucono za burtę. Pięć łodzi zostało w ten sposób załadowanych w dziewięćdziesiąt sekund, po czym okręt wykonał zwrot i ruszył na południe, nabierając prędkości, lecz wciąż pozostając w wynurzeniu. Stojący na pomoście kiosku dowódca i oficer nawigacyjny usłyszeli meldunek:

–Centrala, tu nasłuch elektroniczny. Odbieramy sygnał radaru wojskowego w paśmie X. Namiar

dwieście sześćdziesiąt. Poziom bliski niebezpiecznego.

Komandor Tom Wheaton podniósł do oczu lornetkę i spojrzał na ciemny jeszcze horyzont ku zachodowi. Nie dostrzegł nic, ale wiedział, że w kierunku wskazanym przez nasłuch musi się znajdować chiński okręt wojenny i wkrótce wejdą w zasięg jego radaru. Będzie wówczas przyłapany in flagranti: amerykański okręt podwodny na chińskich wodach terytorialnych, i to na

powierzchni. Jego najgorszy koszmar. Nie mógł oczekiwać miłosierdzia, a raczej deszczu gorącego

ołowiu – już za dwadzieścia minut.

Komandor Wheaton nie był upoważniony do nawiązywania walki. Nie było tu jednak wystarczająco głęboko, by mógł się zanurzyć; w tym celu musiał przebyć na powierzchni co najmniej cztery mile. Za osiemnaście minut będzie mógł uciec w głębinę, a dwie fregaty zablokują pościg.

Na pokładzie niszczyciela Xiangtan

–Mostek, tu radar. Nowy kontakt na powierzchni. Echo numer 2301. Namiar zero osiemdziesiąt, odległość trzydzieści pięć tysięcy metrów. Dwa nowe kontakty, blisko siebie. Echa numer 2302 i 2303. Namiar zero dziewięćdziesiąt jeden, odległość ta sama. Przekazuję dane do centrali kierowania ogniem.

–Kapitan do radaru. Dobra robota. Podajcie mi kurs i prędkość jak najszybciej. Nawigator, nanieść ich pozycję. Chcę wiedzieć, czy Amerykanie są poza strefą dwunastu mil. Alarm bojowy! Nieprzyjaciel na powierzchni! Kapitan do steru. Trzymać kurs zero osiemdziesiąt trzy. Upłynęło siedemnaście wlokących się nieznośnie minut. I wtedy na tle jaśniejącego nieba spostrzeżono czarne sylwetki amerykańskich okrętów. Mały kwadrat kiosku Green-ville'a po lewej i masywne plamy obu fregat nieco na prawo.

–Ten podwodniak nie może się zanurzyć – powiedział pułkownik Li. – Nie tutaj. Jest tu zaledwie trzydzieści metrów wody. Moje rozkazy są wyraźne: iść za nim, a potem zatopić. Ale jeszcze połączę się ze sztabem... pewnie już ostatni raz.

ROZDZIAŁ 12

Od początku swej długiej kariery oficera marynarki komandor Tom Wheaton nigdy jeszcze nie zetknął się z taką sytuacją jak dzisiejsza. Nieraz zakradał się na podejrzaną wodę, czasem ciepłą, czasem zimną; nigdy jednak nie znalazł się oko w oko z szarżującym wprost na niego obcym niszczycielem na akwenu zbyt płytkim, by się zanurzyć, a coś dopiero przechytrzyć go sprytnym manewrem i uciec. Na dodatek jeszcze na obcych wodach terytorialnych, gdzie w ogóle nie powinien się znaleźć. Zadanie Greenville'a polegało w końcu tylko na zapewnieniu bezpiecznego przerzutu amerykańskich jeńców, którzy przeżyli chińskie tortury. Komandor Wheaton uznał, że zanoszą się na małą wojnę, i nawiązał łączność z dowódcą Kaufmana, fregaty rakietowej klasy Oliver Hazard Perry o wyporności czterech tysięcy ton. Kapitan fregaty również był poważnie

zaniepokojony widokiem nadpływającego pełną prędkością chińskiego okrętu i rozumiał dylemat Greenville'a związany z zanurzaniem się przy zaledwie trzydziestokilkumetrowej głębokości akwenu. Najważniejsza jednak była teraz natychmiastowa ucieczka okrętu podwodnego. Jedynym pragnieniem komandora Wheatona było „zanurzyć się i pozwolić fregatom osłaniać nasz tyłek”. Nie ufał dokładności map i obawiał się wpakować na jakąś nieoznaczoną mieliznę. Nie musiał sobie przypominać pewnego podstawowego wzoru: „masa razy kwadrat prędkości równa się kucie inercji. Przy siedmiu tysiącach ton nawet dziesięć węzłów rozwaliliby nas na kawałki”. Teraz jednak nie było czasu na ostrożność. Wheaton zdecydował się zniknąć, choćby i z niewielką prędkością. Ilekroć spojrzął na zachód, chiński niszczyciel był coraz bliżej. Kapitan Greenville'a nie był jedynym zaniepokojonym 384

ROZDZIAŁ 12

Od początku swej długiej kariery oficera marynarki komandor Tom Wheaton nigdy jeszcze nie zetknął się z taką sytuacją jak dzisiejsza. Nieraz zakradał się na podejrzone wody, czasem ciepłe, czasem zimne; nigdy jednak nie znalazł się oko w oko z szarżującym wprost na niego obcym niszczycielem na akwenu zbyt płytkim, by się zanurzyć, a cóż dopiero przechytrzyć go sprytnym manewrem i uciec. Na dodatek jeszcze na obcych wodach terytorialnych, gdzie w ogóle nie powinien się znaleźć. Zadanie Greenville'a polegało w końcu tylko na zapewnieniu bezpiecznego przetrwania amerykańskich jeńców, którzy przeżyli chińskie tortury. Komandor Wheaton uznał, że zanoszą się na małą wojnę, i nawiązał łączność z dowódcą Kaufmana, fregaty rakietowej klasy Oliver Hazard Perry o wyporności czterech tysięcy ton. Kapitan fregaty również był poważnie zaniepokojony widokiem nadpływającego pełną prędkością chińskiego okrętu i rozumiał dylemat Greenville'a związany z zanurzaniem się przy zaledwie trzydziestokilometrowej głębokości akwenu. Najważniejsza jednak była teraz natychmiastowa ucieczka okrętu podwodnego. Jedynym pragnieniem komandora Wheatona było „zanurzyć się i pozwolić fregatom osłaniać nasz tyłek”. Nie ufał dokładności map i obawiał się wpakować na jakąś nie oznaczoną mieliznę. Nie musiał sobie przypominać pewnego podstawowego wzoru: „masa razy kwadrat prędkości równa się kupie inercji. Przy siedmiu tysiącach ton nawet dziesięć węzłów rozwaliliby nas na kawałki”. Teraz jednak nie było czasu na ostrożność. Wheaton zdecydował się zniknąć, choćby i z niewielką prędkością. Ilekroć spojrzął na zachód, chiński niszczyciel był coraz bliżej. Kapitan Greenville'a nie był jedynym zaniepokojonym 384 4 W M

dowódcą w okolicy. Na mostku Xiangtana pułkownik Li rozmawiał właśnie z admirałem Zu Jicai i dowódca Floty Południowej uznał za stosowne nakazać mu „ostrożność... na razie”. Udał się ponownie do admirała Zhanga i zaryzykował ponowny gniew naczelnego dowódcy, mówiąc po prostu:

–Xiangtan jest o dziewięć mil na zachód od wynurzonego amerykańskiego okrętu podwodnego. Tuż obok stoją dwie amerykańskie fregaty. Czy nadal życzycie sobie, by pułkownik Li otworzył ogień?

–I to natychmiast – odrzekł Zhang, nawet nie podnosząc głowy znad czytanych dokumentów. Zu Jicai rozejrzał się wokoło bezradnie, po czym rzekł:

–Towarzyszu admirałe, jesteście nie tylko moim bezpośrednim przełożonym, ale i przyjacielem niemal przez całe życie. Błagam, byście starannie wszystko rozważyli, zanim każecie mi wydać ten rozkaz.

–Rozważyłem. Nic już na ten temat nie mów, Jicai. Każ pułkownikowi Li zatopić ten okręt natychmiast, póki bezprawnie znajduje się na chińskich wodach terytorialnych. Natychmiast, powtarzam.

Dowódca Floty Południowej odszedł do swego biura, podniósł słuchawkę radiotelefonu i

powiedział:

–Pułkownik Li, to rozkaz naczelnego dowódcy. Macie niezwłocznie zatopić amerykański okręt podwodny.

–Tak jest – odpowiedział dowódca Xiangtana. – Muszę was jednak przestrzec, że w pobliżu znajduje się cały zespół taktyczny amerykańskiego lotniskowca. W tej chwili widzimy przed sobą dwie fregaty rakietowe. Atakując, popełnimy samobójstwo.

–A więc macie rozkaz umrzeć za swoją ojczyznę. Tu nie ma niejasności, pułkowniku. Podejmiecie wszelkie niezbędne działania i użyjecie wszelkich dostępnych środków, aby posłać amerykański okręt na dno Morza Południowochińskiego. To najwyższy zaszczyt dla was i waszej załogi.

Pułkownik Li wrócił na swój wysoki fotel w pomieszczeniu operacyjnym i rozkazał otworzyć ogień z dział kalibru 157 mm do echa numer 2301.

–Strzelać według uznania. I niech nas niebiosy mają w opiece.

P

O szóstej czterdzieści jeden pierwsze pociski pomknęły ku USS Greenville, przelatując nad wynurzoną kioskiem.

–Przeniósł! Niżej czterysta. Ognia!

–Bliski! Wyżej dwieście. Ognia!

Greenville był w trakcie zanurzania się. Górny właz był na pół zamknięty, kiedy trzeci z pocisków z ogłuszającym hukiem eksplodował wewnątrz kiosku. Greenville zatrzęsł się cały, a tuż ponad nim z niskim poszumem, charakterystycznym dla artylerii morskiej, przemknęło siedem kolejnych pocisków. Amerykanie mieli szczęście, bo trzy z nich ledwie o włos minęły kiosk. Komandor Wheaton nic o nich nie wiedział, wiedział za to, że coś dużego wybuchło mu nad głową. Chryste, pomyślał, to pieprzone działo! Sukinsyn strzela do nas! Mam tylko nadzieję, że kadłub ciśnieniowy jest nienaruszony.

–Kapitan do sternika – powiedział spokojnie. – Nie przerywać zanurzania.

–Górny właz zamknięty i uszczelniony, sir!

–Z kiosku dochodzi znaczny hałas, sir!

–Czy to było jedno, czy dwa trafienia?

–Myślę, że jedno. Może wypróbujemy peryskop, sir?

–Dobra.

–Cholera... nie idzie, sir.

–A maszt radiowy?

–Też nie.

–Górny właz w porządku, nie bierzemy wody.

–Okay. Zamknąć dolny właz. Prędkość dziesięć węzłów, kurs sto osiemdziesiąt.

–Na echosondzie dziewięć metrów pod stępką, sir. Wheaton odwrócił się do swego ZDO i rzekł cicho:

–Nie jest dobrze. Jesteśmy ślepi i prawie głusi. Pozostał nam jedynie dziobowy sonar, a przy tym łomocie dochodzącym z kiosku nie na wiele nam się on przyda. Nie mamy też łączności radiowej.

Judd Crocker dotarł tymczasem do centrali. Znalazł się w delikatnym położeniu – był starszy stopniem od dowódcy. Oznaczało to, że jeśli zabierze głos w kwestii prowadzenia okrętu, musi to zrobić bardzo ostrożnie i nadzwyczaj uprzejmie. Gdyby, jako najlepszy podwodniak US Navy, wydał po 386

prostu jakiś rozkaz, w myśl niezliczonych i skomplikowanych zasad rządzących „cichą służbą”, równałoby się to pozbawieniu Toma Wheatona dowództwa i przejęciu go. Judd znał komandora osobiście, co znacznie ułatwiało sprawę.

–No, Tom, przynajmniej nadal oddychamy – powiedział.

–Właściwie to prawie oddychamy, sir.

–Ten pocisk zniszczył wszystkie maszty?

–Na to wygląda. W zanurzeniu jesteśmy ślepi jak krety, nie mam też łączności, ale za to, Bogu dzięki, nie ma przecieków. Reaktor w porządku, mamy więc napęd.

–Ale gdybyśmy chcieli się rozejrzeć po okolicy, trzeba by wyjść aż na powierzchnię, co?

–Raczej tak, sir.

–Więc lepiej tego nie róbmy, bo ten pieprzony niszczyciel może spróbować jeszcze raz, z lepszym skutkiem.

–Jasne.

–Myślę, że gdyby zrobiło się gorąco, moglibyśmy po prostu go zatopić, sukinsyna -powiedział Judd, na którego psychikę poważny wpływ wywarło bliskie spotkanie z wojakami ze SPECWARCOM.

Komandor Wheaton uśmiechnął się ponuro i odrzekł:

–Fakt, że on pierwszy otworzył do nas ogień, więc działalibyśmy w samoobronie, gdyby ktokolwiek nas o to pytał.

–Zgadza się. Ale jest w tym coś piekielnie dziwnego. Obecność fregat powinna odstraszyć Chinoli, a tymczasem nie tylko się nie przestraszyli, ale niewiele myśląc, przyrąbali ci w kiosk z działa. Fregaty nic ich nie obeszły. Hmm... – zastanowił się Crocker. – Jak wytkniemy z wody czubek głowy, natychmiast go nam odstrzelą.

–Na to wygląda, sir. A my nie możemy im oddać. Jesteśmy wciąż na wodach chińskich i mają

prawo nas pogonić. Poza tym sam pan wie, jak niepewne są torpedy na tak płytkim akwenu. Po wystrzeleniu mogłyby opaść głęboko i po prostu walnąć o dno. Musimy dostać się z powrotem do lotniskowca. Ten hałas w kiosku zagłusza nasz sonar dziobowy, więc potrzebny nam pies przewodnik. A jedynym w okolicy jest USS Kaufman.

Tom Wheaton podszedł do panelu telefonu podwodnego, zwanego we flocie „gertrudą”. 387

–Kaufman, tu Greenville. Wykonać plan Q-5. Powtórz. Odbiór,

Ku jego lekkiemu zdziwieniu fregata odpowiedziała natychmiast. Ze słuchawki popłynął słaby, ale prawie nie zniekształcony głos:

–Greenville, tu Kaufman, zrozumiałem. Powtarzam. Wykonać plan Q-5. Tom odłożył słuchawkę i rzekł zadowolony:

–Pięknie. Mamy załatwione.

–O czym mówisz?

–W skrócie to plan szybkiego wydostania okrętu podwodnego z tarapatów bez łączności radiowej. Jeszcze nie zatwierdzony dla całej floty, ale przypadkiem Carl Sharpe i ja pracowaliśmy nad tym parę tygodni temu.

–Aha. Rozumiem... to znaczy, chyba rozumiem. W jaki sposób?

–Bez problemu. Kaufman włącza swój sonar aktywny w pewnej ustalonej sekwencji, dzięki czemu wiemy, że to on, a my po prostu namierzamy się na niego, traktując go jak podwodną latarnię morską. Wsuwamy się pod jego stępkę i tam zostajemy. Wówczas poprzez niego mamy znów pełną łączność, a on robi za psa przewodnika, i to obronnego.

W dziesięć minut później komandor Wheaton wprowadził Greenville'a pod fregatę i oba okręty ruszyły z prędkością dwunastu węzłów. Obaj dowódcy z łatwością się porozumiewali przez gertrudę. Plan działał, ale komandora Sharpe'a wciąż niepokoiła bliskość chińskiego niszczyciela.

–Podszedł na milę i stanął, jakby nie zwracając uwagi na obie fregaty i czekając na twoje ponowne pojawienie się.

–No, to każemy mu długo na to poczekać, co, Carl?

–Otóż to. Uda się nam.

I ruszyli w drogę; Kaufman z Greenville'em na przedzie, za nimi o półtorej mili Xiangtan, a pół mili za nim z kolei ustawiła się druga z fregat, Reuben James. Do lotniskowca pozostało im dwieście mil, ale admirał Barry już wycofywał Ronalda Reagana z całym zespołem dalej na

wschód. Skoro Xiangtan zdecydowany był strzelać do Amerykanów, lotniskowiec należało usunąć z obszaru zagrożenia. Jak się w US Navy mawia, nigdy nie wolno narażać zasadniczego ogniwa, 388

–Kaufman, tu Greenville. Wykonać plan Q-5. Powtórz. Odbiór.

Ku jego lekkiemu zdziwieniu fregata odpowiedziała natychmiast. Ze słuchawki popłynął słaby, ale

prawie nie zniekształcony głos:

–Greenville, tu Kaufman, zrozumiałem. Powtarzam. Wykonać plan Q-5. Tom odłożył słuchawkę i rzekł zadowolony:

–Pięknie. Mamy załatwione.

–O czym mówisz?

–W skrócie to plan szybkiego wydostania okrętu podwodnego z tarapatów bez łączności radiowej. Jeszcze nie zatwierdzony dla całej floty, ale przypadkiem Carl Sharpe i ja pracowaliśmy nad tym parę tygodni temu.

–Aha. Rozumiem... to znaczy, chyba rozumiem. W jaki sposób?

–Bez problemu. Kaufman włącza swój sonar aktywny w pewnej ustalonej sekwencji, dzięki czemu wiemy, że to on, a my po prostu namierzamy się na niego, traktując go jak podwodną latarnię morską. Wsuwamy się pod jego stępkę i tam zostajemy. Wówczas poprzez niego mamy znów pełną łączność, a on robi za psa przewodnika, i to obronnego.

W dziesięć minut później komandor Wheaton wprowadził Greenville'a pod fregatę i oba okręty ruszyły z prędkością dwunastu węzłów. Obaj dowódcy z łatwością się porozumiewali przez gertrudę. Plan działał, ale komandora Sharpe'a wciąż niepokoiła bliskość chińskiego niszczyciela.

–Podszedł na milę i stanął, jakby nie zwracając uwagi na obie fregaty i czekając na twoje ponowne pojawienie się.

–No, to każemy mu długo na to poczekać, co, Carl?

–Otóż to. Uda się nam.

I ruszyli w drogę; Kaufman z Greenville'em na przedzie, za nimi o półtorej mili Xiangtan, a pół mili za nim z kolei ustawiła się druga z fregat, Reuben James. Do lotniskowca pozostało im dwieście mil, ale admirał Barry już wycofywał Ronalda Reagana z całym zespołem dalej na wschód. Skoro Xiangtan zdecydowany był strzelać do Amerykanów, lotniskowiec należało

usunąć z obszaru zagrożenia. Jak się w US Navy mawia, nigdy nie wolno narażać zasadniczego ogniwa, 388 4 i «

zwłaszcza jeśli jest ono domem dla osiemdziesięciu czterech myśliwców bombardujących i ma w zbiornikach miliony litrów lotniczej benzyny Lotniskowiec stanowi o potęgę. To główna siła amerykańskiej marynarki wojennej, która traktowałaby przedwczesną utratę „zasadniczego ogniwa” jako najwyższego stopnia zaniedbanie. Admirałowie dowodzący zespołami taktycznymi nie są skłonni do niepotrzebnego ryzyka i dlatego Ronald Reagan odpływał na ocean.

Była to mądra decyzja. Dowódca Kaufmana widział na radarze nowe echo, odległe o dziesięć mil i leżące dokładnie w namiarze Xiangtana. Musiała to być jednostka chińska, najwyraźniej mająca go wspomóc w jego głównym zadaniu.

W radiostacji chińskiego niszczyciela prowadzono niezwykłe rozmowy. Pułkownik Li był za starym dowódcą, by mieć pewność, że zatopił amerykański okręt podwodny Widział, że został trafiony, ale wydawało mu się, że tylko jeden pocisk doszedł celu, eksplodując wewnątrz kiosku. Nie było jednak widocznych oznak uszkodzenia kadłuba ciśnieniowego. Li wiedział też, że amerykański okręt był w trakcie zanurzania się, gdy otwarto do niego ogień. Wniosek nasuwał się jeden: nie udało się im go poważnie uszkodzić. Dwa razy odebrali sygnały telefonu akustycznego, co zawsze jest dowodem obecności okrętu podwodnego. Jednak holowane przez Kaufmana urządzenie zagłuszające, zaprojektowane, by dokumentnie zamącić cały akustyczny obraz akwenu, uniemożliwiało wykrycie podwodniaka sonarem pasywnym. Namierzanie aktywne było również utrudnione ze względu na wywołane przez śrubę turbulencje. Pułkownik Li domyślał się, że jego cel musi się kierować ku otwartemu oceanowi. Obawiał się, że może pozostawać pod powierzchnią całymi dniami. Mógł liczyć tylko na to, że w końcu uszkodzenie zmusi amerykański okręt do wynurzenia się. Nie mógł podejść odpowiednio blisko, by użyć bomb głębinowych, ponieważ przeszkadzała mu w tym obecność fregaty. Amerykanie opuścili już poza tym wody terytorialne Chin i prawo nie było już po stronie Xiangtana.

Pułkownik Li po raz kolejny wywołał więc sztab Floty Południowej i zameldował o swych poczynaniach admirałowi Zu Jicai. Podkreślił, że nie może zalecać kontynuacji pościgu,

gdyż w obecnych okolicznościach jest wobec Amerykanów bezsilny – dopóki podwodniak znów nie wyjdzie na powierzchnię.

Admirał Zu polecił mu poczekać, a sam zreferował sprawę naczelnemu dowódcy. Kiedy pułkownik Li znów usłyszał głos w słuchawce, nie był to spokojny, zrównoważony ton jego bezpośredniego przełożonego, ale nabrzmiały wściekłością, ochryply wrzask admirała Zhanga Yushu, sprawiający wrażenie, iż jego właściciel postradał zmysły.

–Czy oszalałeś, Li?! Odpowiadaj! Musiałeś oszaleć! Nie ma innego wytłumaczenia twojego postępowania. Moje rozkazy były wyraźne. Miałeś zatopić amerykański okręt podwodny. Zatopić! Nie zarysować mu kadłub! Wyraźnie mówiłem. A ty masz najpotężniejszego niszczyciela w całej marynarce Chin, by to zrobić! Powtarzam pytanie, Li: czyś ty oszalał?! Pułkownik zachował zimną krew.

–Towarzyszu admirale, nie sądzę, abym postradał zmysły. Kiedy po raz pierwszy ujrzeliśmy ten okręt, akurat schodził w zanurzenie. Jedynym widocznym celem był jego kiosk, w który trafiliśmy pociskiem sto pięćdziesiąt siedem milimetrów. Poza tym osłaniają go dwie amerykańskie fregaty.

–Nie obchodzi mnie, czy osłania go choćby cała US Navy! – darł się naczelnny dowódca. – Rozkazałem go zatopić i mój rozkaz nie został wykonany. Zrozumiano?!

–Tak jest.

–No więc, dlaczego nie został wykonany?

–Ponieważ nie było to możliwe, towarzyszu admirale. Widzieliśmy go tylko przez niecałą minutę, i to z ośmiu mil.

–I gdzie on teraz jest?!

–Pod wodą, towarzyszu admirale. Podąża za jedną z fregat, przypuszczam, że w stronę lotniskowca.

–Nic nie macie przypuszczać, zrozumiano?! Nic!

–Tak jest. Po raz pierwszy od początku rozmowy admirał Zhang przemówił spokojniej:

–Pułkowniku Li, jesteście najstarszym i najbardziej doświadczonym dowódcą okrętu w całej flocie nawodnej. Waszą 390

służbę aż do dziś można było stawiać za przykład. Dlatego też zamierzam puścić w niepamięć waszą jawną niesubordynację. Moje rozkazy pozostają jednak w mocy. Pułkowniku Li,

będziecie nadal śledzić ten okręt podwodny, a kiedy się wynurzy, co w końcu musi uczynić, otworzycie ogień i poślecie go na dno za nielegalne naruszenie chińskiej suwerenności. Czy to jest jasne?

–Tak jest, towarzyszu admirale.

–Pułkowniku, macie płynąć za nim choćby na kraniec ziemi, jeśli zajdzie potrzeba. Ale musicie go zatopić!

–Tak jest.

–I jeszcze jedno, pułkowniku Li. Gdyby amerykańskie fregaty zatakowały was w obronie swego towarzysza, otworzycie ogień i do nich. Macie silniejsze uzbrojenie artyleryjskie, wyśmienite torpedy i rakiety. Gdybyście dotąd nie zauważyli, do tego właśnie został stworzony wasz niszczyciel.

–Tak jest.

–Na krańce ziemi, pułkowniku. A teraz w drogę!

Xiangtan trzymał się więc o dwie mile za płynącym

z prędkością dwunastu węzłów Kaufmanem. Miał pozostać na pozycji, dopóki nie trafi się szansa wykonania rozkazów naczelnego dowódcy Marynarki Ludowo-Wyzwoleńczej. Było to niemal równoznaczne z samobójstwem; takie rozkazy mógłby wydać szaleniec, ale pułkownik Li Peng już nie miał wątpliwości co do ich mocy.

Tymczasem w Zhanjiang admirał Zhang niemalże wychodził z siebie. Napływały pierwsze raporty z Xiachuan Dao, które potwierdzały wszystkie jego najgorsze obawy. Więzienie zostało brutalnie zaatakowane. Zniszczono oba śmigłowce, kuter patrolowy zamienił się w wypalony wrak, na wpół zatopiony przy moło. Centrala łączności zburzona, wartownia zrównana z ziemią, brama wysadzona w powietrze. Budynek koszar i administracji został zdemolowany, ale przeżyło wielu z zatrudnionych tam cywilów i żołnierzy, choć wszyscy byli zatruci gazem. Zlikwidowany został cały oddział wartowniczy, a co najmniej sześciu poderżnięto gardła. Oczywiście nie trzeba się było domyślać, że po amerykańskich więźniach nie pozostało ani śladu. Zespół oficerów śledczych wysłanych na wyspę był tam od godziny.

Wszystki-391 W

mi wstrząsnęła bezwzględność atakujących. Admirał Zhang z trudem wierzył własnym uszom, kiedy Zu Jicai odczytywał wstępny meldunek.

–Ale ilu ich było, Jicai? – powtarzał raz po raz. – Ilu? Jakich potrzeba sił, by dosłownie wyciąć w pień cały silny garnizon i uwolnić ponad setkę więźniów? Ilu ich tam musiało być? I skąd się wzięli? Jak się dostali na wyspę? Dlaczego nic nie wykryliśmy? – W całej swej karierze Zhang Yushu jeszcze nigdy nie stał przed tyloma pytaniami, na które nie znajdował odpowiedzi. Miał

wrażenie, jakby jego marynarkę zaatakowała armia duchów. – Musiało ich być ze dwustu, Jicai.

–Nie sędzę, towarzyszu admirale. Oznaczałoby to trzysta osób do ewakuacji. Nikt nie mógłby tego dokonać bez całkiem dużego okrętu. A żadnego przecież tam nie było, w przeciwnym razie spostrzeżlibyśmy go.

–No, to jak się wydostali z wyspy?

–Skoro nie było tam okrętu, który mógłby dobić do przystani, ani też amerykańskich śmigłowców, zaryzykowałbym twierdzenie, że za pomocą małych łodzi desantowych, które mogą podплыnąć do samej plaży.

–Dlaczego w takim razie ich nie widzieliśmy? Na radarach, z satelitów?

–Bo podeszli bardzo blisko brzegu tymi okrętami podwodnymi, Yushu. Powiedziałbym, że na dwie lub trzy mile. A potem wynurzyli się i w kilkanaście minut byli już na wyspie.

–Ale zapytam jeszcze raz, Jicai. Ilu? I co to byli za ludzie, diabły?

–Nie, towarzyszu admirale. Nie diabły, ale amerykańskie siły specjalne, co jest znacznie gorsze.

–Skąd wiesz?

–Już z tego wstępnego raportu wynika, że ten atak nosi ich znak firmowy. Totalne zniszczenie wszystkiego, co przedstawiało jakieś zagrożenie, zwłaszcza śmigłowców, kutra patrolowego i centrali łączności, skąd można by nadać sygnał do sztabu. No i oczywiście likwidacja warty, a szczególnie patroli wewnętrznego i zewnętrznego. Klasyczna operacja sił specjalnych.

mi wstrząsnęła bezwzględność atakujących. Admirał Zhang z trudem wierzył własnym uszom, kiedy Zu Jicai odczytywał wstępny meldunek.

–Ale ilu ich było, Jicai? – powtarzał raz po raz. – Ilu? Jakich potrzeba sił, by dosłownie wyciąć w pień cały silny garnizon i uwolnić ponad setkę więźniów? Ilu ich tam musiało być? I skąd się wzięli? Jak się dostali na wyspę? Dlaczego nic nie wykryliśmy? – W całej swej karierze Zhang Yushu jeszcze nigdy nie stał przed tyloma pytaniami, na które nie znajdował odpowiedzi. Miał wrażenie, jakby jego marynarkę zaatakowała armia duchów. – Musiało ich być ze dwustu, Jicai.

–Nie sędzę, towarzyszu admirale. Oznaczałoby to trzysta osób do ewakuacji. Nikt nie mógłby tego dokonać bez całkiem dużego okrętu. A żadnego przecież tam nie było, w przeciwnym razie spostrzeżelibyśmy go.

–No, to jak się wydostali z wyspy?

–Skoro nie było tam okrętu, który mógłby dobić do przystani, ani też amerykańskich śmigłowców, zaryzykowałbym twierdzenie, że za pomocą małych łodzi desantowych, które mogą podplynąć do samej plaży.

–Dlaczego w takim razie ich nie widzieliśmy? Na radarach, z satelitów?

–Bo podeszli bardzo blisko brzegu tymi okrętami podwodnymi, Yushu. Powiedziałbym, że na dwie lub trzy mile. A potem wynurzyli się i w kilkanaście minut byli już na wyspie.

–Ale zapytam jeszcze raz, Jicai. Ilu? I co to byli za ludzie, diabły?

–Nie, towarzyszu admirale. Nie diabły, ale amerykańskie siły specjalne, co jest znacznie gorsze.

–Skąd wiesz?

–Już z tego wstępnego raportu wynika, że ten atak nosi ich znak firmowy. Totalne zniszczenie wszystkiego, co przedstawiało jakieś zagrożenie, zwłaszcza śmigłowców, kutra patrolowego i centrali łączności, skąd można by nadać sygnał do sztabu. No i oczywiście likwidacja warty, a szczególnie patroli wewnętrznego i zewnętrznego. Klasyczna operacja sił specjalnych.

–Jicai, wierzę, że możesz mieć rację. W samej rzeczy, trudno wyciągnąć jakikolwiek inny wniosek. Skąd jednak Amerykanie wiedzieli, że więźniowie znajdują się na t e j wyspie?

–Na to nie umiem odpowiedzieć. W końcu w naszym ogromnym kraju mogli zostać wywiezieni dokądkolwiek. Ale już wcześniej sami się na własnej skórze przekonaliśmy, jacy oni są sprytni. Ich uśmiech jest szeroki, ale zęby tygrysie. Potrafią być bezwzględni, kiedy ich coś porządnie wyprowadzi z równowagi.

–Uważasz zatem, że porwanie tego okrętu i załogi tak ich wyprowadziło z równowagi, że zdecydowali się podjąć taką operację?

–Yushu, ja nawet nie mam pewności, czy to nie oni wysadzili w powietrze Seawolfa. Moja odpowiedź brzmi: tak. To jasne, że podrażniliśmy ich tak bardzo, że imali się najdrastyczniejszych metod, żeby uwolnić tych ludzi. I, kto wie, może jeszcze drastyczniejszych, żeby nie dopuścić, abyśmy spędzili za wiele czasu na ich drogocennym okręcie.

–Widzisz, Jicai, ciąg wydarzeń ostatnich dwunastu godzin prowadzi do tego, że niemal na pewno zostanę poproszony o rezygnację i postawiony przed sądem wojskowym za ogromną niekompetencję.

–To, Yushu, jest ciemna strona stanowisk dowódczych. Może się tak stać. Ale ty masz wielu wysoko postawionych przyjaciół, a większość z nich nie zechce cię zmuszać, abyś rzucił się na 'swoją miecz. Zwłaszcza że trudno było przewidzieć, że tak się sprawy potoczą. Wszyscy wiedzą, że poczyniłeś wszelkie niezbędne kroki, aby operacja skopiowania okrętu podwodnego przebiegła w najściślejszej tajemnicy. Myślę, że nie pozwolą, byś popadł w niełaskę. Na koniec to właśnie Amerykanie przekroczyli granice dopuszczalnego zachowania. Nikt nie mógł przewidzieć, że zareagują tak drastycznie. Bombardowanie, chaos, morderstwo, zniszczenie... To nie leży w ich charakterze i ciągle zachodzę w głowę, co ich do tego skłoniło. Myślę, że nie zostaniesz obwiniony. Musimy jednak zaalarmować nasz rząd i powiadomić go o ostatnich wydarzeniach. Obawiam się, że to zadanie spoczywa na tobie: posłanie złych wieści drogą służbową do samej góry.

–Jak sądzisz, kto już wie?

–Towarzyszu admirale, jestem pewien, że informacje o obu katastrofach, na okręcie i w więzieniu, już nie są sekretem. Musimy jednak sprawdzić, czy dotarły do szefa sztabu marynarki, no i dowódcy Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Chętnie podejmę się tego, jako że obie katastrofy zdarzyły się w moim okręgu. Ale przezorność nakazuje, abyś osobiście porozmawiał z komisarzem politycznym, a potem z samym sekretarzem generalnym.

–Ponieważ jest on jednocześnie przewodniczącym komisji do spraw wojskowych, może to najpierw z nim trzeba pogadać?

–Chyba nie. Komisarz nie podziękowałby ci za pominięcie go, za to doceniłby kilka naszych dobrze przemyślanych politycznych uwag. W tej chwili, Yushu, potrzebujesz przyjaciół.

–Być może moją słabością zawsze jest to, że brak mi twojej rozwagi, Jicai?

–Yushu, uczyniłeś nie lada krok, decydując się na poważne starcie z Amerykanami. Wiem, że zrobiłeś to z najlepszej z przyczyn. Każdy to wie. Wszyscy dobrze rozumiemy znaczenie posiadania nowoczesnej, silnej floty podwodnej. Jednak takie awanturnicze akcje, jak porwanie amerykańskiego atomowego okrętu podwodnego wraz z całą załogą, zawsze niosą wielkie ryzyko. Podjąłeś ją, kierując się wyłącznie troską o dobro naszego kraju i chęcią zapewnienia mu broni przeciw jego wrogom w najlepszy możliwy sposób. Ale to tylko jedna część twoich obowiązków. Drugą jest dopilnowanie, abyśmy nie porywali się na przeciwnika, kiedy okoliczności nam nie sprzyjają. W tym wypadku każdy z twych doradców i nielicznych przełożonych zgodziłby się z twoimi działaniami. I większość z nich się zgadza. Powtarzam, nikt nie mógł przewidzieć tak niezwykle ostrej reakcji Amerykanów. Nie rozumiem jej.

–Nie zapominaj też o notach dyplomatycznych, Jicai. Nic nie sugerowało, że Stany Zjednoczone zbytnio się całą sprawą przejęły. A przecież przez cały czas musieli planować ten bezlitosny odwet. Skąd mogłem wiedzieć?

–Nie mogłeś, Yushu. 394

–Teraz moim jedynym pragnieniem jest uratować swoją karierę. Nie wiem, czy okażę się w tym dobry... Nigdy przedtem nie musiałem o to zabiegać.

–A więc muszę zapytać cię jeszcze raz: czy naprawdę chcesz, aby pułkownik Li Peng gonił amerykański okręt podwodny aż na krańce ziemi i go zatopił?

–Widzisz, Jicai, uważam, że to by wszystko odmieniło. Jeśli naszym ostatnim słowem będzie zniszczenie tego okrętu w zemście za to, co zrobili, będę miał dobry argument przemawiający za odwagą i zdecydowaniem naszej marynarki wojennej. Nie mogę zakończyć tej historii jak

skamłający pies z podwiniętym ogonem. Musimy ocalić twarz i jednocześnie rzucić światu ostrzeżenie, że z nami nie ma żartów.

–Ach, Yushu... prawdziwa potęga tkwi w lufie karabinu. Słowa wielkiego Mao, co?

–Właśnie.

–Miejmy nadzieję, że Amerykanie ich nie czytali. Byłoby jeszcze większym szokiem, gdyby to oni zatopili Xiangtana.

Na otwartym morzu dziwaczny konwój zaczął stopniowo skręcać na wschód. Kaufman zwiększył prędkość, dostosowując się do tempa Greenville'a. Komandor Wheaton co jakiś czas przyspieszał o dwa węzły, bez przerwy sprawdzając stan uszkodzonego kiosku w obawie, by po prostu nie odpadł. Na szczęście dotąd nie zanotowano przecieków, choć okręt hałasował niczym kuźnia. Z drugiej jednak strony chiński niszczyciel ani myślał zaniechać pościgu. Trzymał się jak przylepiony o półtorej mili za rufą fregaty, również dopasowując się do rosnącej prędkości Greenville'a i wciąż wyczekując sposobności.

Komandor Wheaton zdecydował, że pora na kolejne przyspieszenie, skoro nie dzieje się nic złego ani z reaktorem, ani z turbinami.

–Zwiększyć prędkość do dziewiętnastu węzłów – polecił.

Sponiewierany okręt ruszył szybciej, choć w centrali manewrowej jedynym efektem był jeszcze większy zgiełk dochodzący z kiosku. Amerykańscy operatorzy na fregatach nie słyszeli ostatnio żadnych sygnałów radiowych z chińskich okrętów, ale Xiangtan nieubłaganie podążał w ślad za nimi. 395

Jego niepokojąca obecność coraz bardziej działała wszystkim na nerwy; okręty szły na wschód i nic się nie zmieniło. Wczesnym popołudniem Amerykanie zaczęli się zastanawiać, czy nie należałoby podjąć jakichś działań w celu przerwania tej dziwnej gry, zwłaszcza że teraz dołączył do niej i Shantou, zajmując pozycję o dwieście metrów z prawej za rufą Xiangtana. Komandor Carl Sharpe połączył się z dowództwem zespołu taktycznego, informując admirała Barry'ego, że niszczyciel, który około siódmej rano bez ostrzeżenia otworzył ogień do Greenville'a, od tamtej pory nieprzerwanie śledzi uszkodzonego podwodniaka, ostatnio w towarzystwie fregaty ZOP. Dodał, że wprawdzie nie ma zielonego pojęcia, jakie są zamiary chińskich dowódców, ale do tej pory nie

próbowali oni ostrzeliwać żadnego z amerykańskich okrętów nawodnych.

–Wydaje się, sir, że są zainteresowani wyłącznie Green-ville'em, absolutnie nie zwracają na nas uwagi.

Admirał Barry spytał, czy Sharpe może coś polecić w tej sytuacji. Dowódca fregaty nie

przychodziło do głowy nic konstruktywnego, poza oddaniem jednego czy dwóch ostrzegawczych strzałów przed dziób prześladowcy. Wyglądało to jednak na zbędną ekstrawagancję i admirał polecił mu płynąć dalej w kierunku lotniskowca, co godzina nadając dokładne meldunki o poczynaniach Chińczyków.

–Proszę pamiętać, komandorze, że nie jest pan upoważniony do otwarcia ognia, chyba że w samoobronie. To rozkaz wprost z Waszyngtonu. To duży okręt i aby go unieszkodliwić, musielibyście go zatopić. Nie wiem, czy Waszyngton szalałby wtedy z radości...

Komandor Sharpe wrócił na mostek. Nie pozostawało im nic innego, jak płynąć dalej na wschód z największą prędkością, na jaką było stać hałaśliwego podwodniaka. Teraz Tom Wheaton „rozkreślił” Greenville'a do dwudziestu siedmiu węzłów i cały zespół gładko sunął naprzód, wbrew wrazeniu, jakie mógł wywoływać jęk umęczonej stali kiosku podwodniaka. O dwie mile za nimi Xiangtan i Shantou wciąż uparcie, z niezwruszoną orientálną determinacją kołysały się na coraz wyższej oceanicznej martwej fali, spokojnie niczym dwa promy pasażerskie, ale groźne niemą siłą swych dział. 396

Ronald Reagan znajdował się obecnie o osiem godzin żeglugi na wschód. Komandor Wheaton co godzinę pytał przez gertrudę, czy wciąż mają towarzystwo, i odpowiedź była wciąż ta sama: są, skurczybyki, dwie mile za rufą.

O siedemnastej Carl Sharpe znów połączył się z dowódcą zespołu odległego teraz o dwieście mil. Dowiedział się, że Cheyenne i Hartford przekazały już swych pasażerów na lotniskowiec, ale nie miał pojęcia, jak tej sztuki dokona Greenville, skoro niszczyciel wydawał się zdecydowany śledzić ich tak długo, aż nadarzy się ponowna okazja ostrzelania amerykańskiego okrętu podwodnego, w który już raz wpakował solidny pocisk. Był przekonany, że powinni posłać tego cholernego Chińczyka na dno i zakończyć sprawę. Przekazał swe przemyślenia w dobitnych słowach admirałowi Barry'emu.

Dowódcy zespołu powiedziano już, że nie jest do tego upoważniony; jego własny instynkt podpowiadał mu, by w miarę możliwości unikać konfrontacji z Chińczykami. Teraz jednak, wobec uszkodzenia Greenville'a, uznał, że trzeba raz jeszcze skonsultować się z CINCPAC* w San Diego. W amerykańskim obozie znów górę brała daleko posunięta ostrożność i dowódca floty ponownie podkreślił, żeby pod żadnym pozorem nie otwierać ognia do chińskich okrętów inaczej niż w obronie własnej. Niemniej zgodził się, że zainteresowanie ciężko uzbrojonego niszczyciela ich okrętem podwodnym jest raczej zbyt nachalne; opracowano więc nowy plan. Dwa inne okręty miały dołączyć do Kaufmana i Reu-bena Jamesa, i wspólnie spróbować odpędzić Chińczyka, zmuszając go do ustąpienia w myśl zasad międzynarodowego prawa drogi morskiej (MPDM), jakie obowiązuje na wszystkich akwenach świata poza wewnętrznymi wodami portowymi i śródlądowymi. Admirał Barry polecił więc fregacie Simpson zawrócić i zająć pozycję po prawej burcie Xiang-tana, który był o wiele groźniejszy od drugiego chińskiego okrętu. Również kapitan Chuck Freeburg, dowódca USS Vella Gulf, krążownika

rakietowego klasy Ticonderoga o wyporności dziewięciu tysięcy ton, otrzymał rozkaz włączenia się do akcji i przejęcia dowodzenia. * Kryptonim dowódcy Floty Pacyfiku US Navy. 397

W dwie godziny później cztery jednostki US Navy zajęły pozycje wyjściowe do skomplikowanego manewru, mogącego prowadzić do zderzenia. Doświadczony dowódca Vella Gulf jednak dobrze wiedział, co robi; polecił Kaufmanowi i Simpsonowi zatoczyć szeroki łuk i następnie z dużą prędkością ruszyć ku Xiangtanowi. Simpson miał celować w prawą część rufy Chińczyka, Kaufman zaś iść na zderzenie prostopadle od strony dziobu. Oba okręty miały w myśl MPDM pełne pierwszeństwo: statek, który po swej prawej burcie zobaczy czerwone lewoburtowe światło

pozycyjne drugiego statku, musi ustąpić mu drogi. Incydenty podobne do tego, który właśnie rozwijał się na Morzu Południowochińskim, nie są niczym innym jak dorosłą wersją dziecięcej gry „Kto stchórzy?”. Chuck Freeburg ustawił okręty tak, że Simpson blokował Xiangtanowi drogę ucieczki w prawo przed napierającym od dziobu Kaufmanem, a tuż na lewo od kursu Chińczyka, w zamiarze siedemdziesiąt pięć stopni, znalazła się masywna sylwetka krążownika; Vella Gulf miał uniemożliwić Xiangtanowi utrzymanie się na kursie wschodnim przez lekki zwrot w lewo. Pozostawiało to chińskiemu dowódcy tylko jedno wyjście – położyć się w ciasny zwrot w lewo i dać się przepędzić z „ogona” Greenville'a. W odwodzie pozostawał trzymający się przy rufie krążownika Reuben James, gotów włączyć się do akcji i mocniej przycisnąć przeciwnika. Wszystkie te manewry składały się na sprytną, skuteczną i uświęconą tradycją taktykę morską, która jednak była w pełni uzależniona od tego, czy chiński kapitan zechce stosować się do zasad. Trzydzieści lat wcześniej Royal Navy znalazła się w absolutnej kropce, kiedy usiłowała zmusić Islandię do wpuszczenia brytyjskich trawlerów na łowiska w swej nowo ogłoszonej dwustumilowej strefie ekonomicznej. Dla islandzkiej gospodarki była to kwestia życia lub śmierci. Ich kanonierki, beznadziejnie słabsze od silnie uzbrojonych okrętów Jej Wysokości, zamiast dział używały swych kadłubów, uderzając w przeciwnika. Po prostu odmawiały zmiany kursu i uparcie szły na zderzenia. W końcu Royal Navy zmuszona została do wycofania się, chcąc uniknąć poważnych uszkodzeń swych kosztownych okrętów z dala od własnych baz. Było to ilustracją tego, co każdy dowódca dobrze wie: 398

W dwie godziny później cztery jednostki US Navy zajęły pozycje wyjściowe do skomplikowanego manewru, mogącego prowadzić do zderzenia. Doświadczony dowódca Vella Gulf jednak dobrze wiedział, co robi; polecił Kaufmanowi i Simpsonowi zatoczyć szeroki łuk i następnie z dużą prędkością ruszyć ku Xiangtanowi. Simpson miał celować w prawą część rufy Chińczyka, Kaufman zaś iść na zderzenie prostopadle od strony dziobu. Oba okręty miały w myśl MPDM pełne pierwszeństwo: statek, który po swej prawej burcie zobaczy czerwone lewoburtowe światło pozycyjne drugiego statku, musi ustąpić mu drogi. Incydenty podobne do tego, który właśnie rozwijał się na Morzu Południowochińskim, nie są niczym innym jak dorosłą wersją dziecięcej gry „Kto stchórzy?”. Chuck Freeburg ustawił okręty tak, że Simpson blokował Xiangtanowi drogę ucieczki w prawo przed napierającym od dziobu Kaufmanem, a tuż na lewo od kursu Chińczyka, w zamiarze siedemdziesiąt pięć stopni, znalazła się masywna sylwetka krążownika; Vella Gulf miał uniemożliwić Xiangtanowi utrzymanie się na kursie

wschodnim przez lekki zwrot w lewo. Pozostawiało to chińskiemu dowódcy tylko jedno wyjście – położyć się w ciasny zwrot w lewo i dać się przepędzić z „ogona” Greenville'a. W odwodzie pozostawał trzymający się przy rufie krążownika Reuben James, gotów włączyć się do akcji i mocniej przycisnąć przeciwnika. Wszystkie te manewry składały się na sprytną, skuteczną i uświęconą tradycją taktykę morską, która jednak była w pełni uzależniona od tego, czy chiński kapitan zechce stosować się do zasad. Trzydzieści lat wcześniej Royal Navy znalazła się w absolutnej kropce, kiedy usiłowała zmusić Islandię do wpuszczenia brytyjskich trawlerów na łowiska w swej nowo ogłoszonej dwustumilowej strefie ekonomicznej. Dla islandzkiej gospodarki była to kwestia życia lub śmierci. Ich kanonierki, beznadziejnie słabsze od silnie uzbrojonych okrętów Jej Wysokości, zamiast dział używały swych kadłubów, uderzając w przeciwnika. Po prostu odmawiały zmiany kursu i uparcie szły na zderzenia. W końcu Royal Navy zmuszona została do wycofania się, chcąc uniknąć poważnych uszkodzeń swych kosztownych okrętów z dala od własnych baz. Było to ilustracją tego, co każdy dowódca dobrze wie: 398 I _ i»

jeśli chcesz wygrać bitwę na morzu, musisz być gotów zatopić przeciwnika, w przeciwnym razie możesz przegrać. Ta zabawa kapitana Freeburga w „Kto stchórzy?” zaczęła się nieco po dziesiętnastej. Wszystkie

okręty znalazły się na pozycjach i Kaufman ruszył naprzód, kierując się na ten sam punkt, do którego zdążył Xiangtan. Na mostku chińskiego niszczyciela pułkownik Li Peng szybko ocenił sytuację. „Czy oni chcą nas staranować? Jesteśmy porządnie zablokowani... Nie mogę iść w prawo z powodu tego drugiego okrętu... Jedyne wyjście to zwrot w lewo... Ale jeśli skrećę, zmuszą mnie do całkowitego odwrotu. Nie mogę przebić się przez ten krążownik, a ten czwarty okręt znów będę miał po prawej... No i co robić? Zawrócę mnie”. Pułkownik powziął decyzję. W MPDM jest jeszcze правило manewru uniknięcia zderzenia odnosząca się do jednostki mającej prawo drogi, w tym wypadku Kaufmana: jeśli stanie się jasne, że statek mający ustąpić drogi nie zmienia kursu ani prędkości, wówczas statek mający pierwszeństwo zobowiązany jest sam dokonać takiej zmiany, aby nie dopuścić do kolizji. To znaczy, że jeśli dowódca Xiangtana zdecyduje się na to nie pozwolić, cała intryga weźmie w łeb. A pułkownik Li, który przez cały dzień zbierał słowne baty od samego dowódcy Marynarki Ludowo- Wyzwoleńczej, o wiele bardziej obawiał się admirała Zhanga, zdającego się nie dbać o to, czy Xiangtan z całą załogą pójdzie na dno, czy nie, niż amerykańskiej fregaty. Powiedział cicho do oficera wachtowego:

–Utrzymać kurs i prędkość.

Postawiło to komandora Sharpe'a w trudnym położeniu; Kaufman pędził wprost na znacznie od siebie większy niszczyciel i był już bardzo blisko.

–Nie robi zwrotu, sir!

–Trzyma kurs!

–Jezu, przygrzmocimy prosto w niego! Sir, musimy odpaść! W prawo, sir!

–Prawo na burzę! Kurs zero dziewięćdziesiąt!

Na mostku Xiangtana mogli tylko obserwować, jak ostry dziób amerykańskiej fregaty zbliża się

szybko ku ich burcie... a potem powoli zaczyna odwracać się w prawo. Kaufman gwałtownie zmienił kurs z północnego na wschodni, ale nie

r

dość szybko, by uniknąć kolizji. Niesiony inercją kadłub fregaty uderzył lewą burtą w prawą burtę

niszczyciela, z przenikliwym piskiem metalu trącego o metal. Marynarze na pokładach nagle znaleźli się oko w oko, dwie załogi z dwóch różnych światów, starające się jak najlepiej robić to, co

do nich należy.

Komandor Sharpe nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Chiński dowódca po prostu zachował kurs,

prędkość i zimną krew. Teraz Xiangtan znów zajmował swoją stałą pozycję; minąwszy Vella Gulf,

kierował się wprost na okręt podwodny, który tak uporczywie tropił.

Kapitan Freeburg wydał rozkaz wyłożenia steru lewo na burtę i pełną mocą osiemdziesięciu sześciu

tysięcy koni mechanicznych ruszył równolegle do niszczyciela, plasując się na jego prawym trawersie. Fregaty również się zbliżyły, niemal nie zwracając uwagi na Shantou. Z całego incydentu

wypływał jeden oczywisty wniosek: Xiangtana nie powstrzyma nic prócz zatopienia. Kapitan

Freeburg nie zamierzał jednak pozwolić Chińczykom łatwo się wykręcić, nie okazując, że US Navy

nie żartuje. Rozkazał przygotować dziobowe działo 127 mm i oddać dwa strzały przed dziób niszczyciela. Dwa pociski Mk 45, zaprojektowane na znacznie większe odległości, śmignęły z luf

wycelowanych w przestrzeń przed chińskim okrętem, przelatując o paręnaście metrów nad jego

pokładem. Przez ułamek sekundy kapitan myślał, że przeciwnik odpowie ogniem, i rzucił do swego

zastępcy:

–Jeśli wystrzeli, zatopić go.

Ale pułkownik Li nie zamierzał odstępować od swego zasadniczego zadania, czyli zatopienia okrętu podwodnego. Do krańców ziemi... Słowa admirała Zhanga stały mu niezatarte w pamięci, zignorował więc strzały ostrzegawcze i brnął dalej za Amerykanami tam, gdzie musiał czaić się pod wodą uszkodzony USS Greenville. Sonar pasywny był prawie bezużyteczny wskutek zagłuszenia, ale przechwytywane transmisje telefonu podwodnego dobitnie świadczyły o jego obecności. Kapitan Freeburg niezwłocznie połączył się z dowódcą zespołu.

–Mamy tu, sir, sytuację patową. Próbowaliśmy go odpędzić, Kaufman nawet zderzył się z nim... zwykle otarcie

burtami, kupa iskier, ale tylko nieznaczne uszkodzenia... ale chiński niszczyciel nie dał się zastraszyć. Nie zmienił kursu ani o stopień, tylko parł naprzód wschodnim kursem prosto przez całą naszą czwórkę. Puściłem mu przed dziobem dwa pociski, co niewątpliwie widział, ale nie zwrócił na to uwagi i pruł dalej. Być może przechwytuje sygnały gertrudy Greenville'a. Sir, skłaniam się do wniosku, że albo tym niszczycielem dowodzi absolutny fanatyk, albo też jego dowódca jest pod rozkazami absolutnego fanatyka. Obie ewentualności bardzo mi się nie podobają. Jeśli wolno mi wyrazić swą opinię, powinien pan pozwolić mi go zatopić, zanim on zrobi to któremuś z nas. Oko za oko, w końcu on już próbował zniszczyć Greenville'a...

Admirał Barry był skłonny się z Freeburgiem zgodzić. Nie chciał, aby chiński niszczyciel nagle otworzył ogień i poważnie uszkodził któryś z okrętów zespołu. Nie czuł się jednak jeszcze upoważniony, by zacząć zatapiać duże chińskie jednostki, polecił więc kapitanowi Freeburgowi otoczyć Xiangtana i Shantou, trzymając je w szachu, a sam skontaktował się z CINCPAC. Amerykanom zaczynały się kończyć pomysły. Dowódca Floty Pacyfiku z kolei skonsultował się z szefem operacji morskich. Admirał Mulligan również nie chciał zbrojnego starcia z chińską marynarką. Utrzymał w mocy swe dotychczasowe rozkazy, zabraniające zatopienia któregokolwiek z dwóch śledzących Greenville'a okrętów, chyba że pierwsze otworzą ogień, znajdując się już na wodach międzynarodowych.

Rozwiązanie okazało się stosunkowo proste. Zależało jedynie od zdolności Greenville'a do kontynuacji podwodnej żeglugi z odpowiednio dużą prędkością. Wystarczyło, by pod-wodniak po prostu płynął na wschód przez cały Pacyfik aż do domu.

–Oba chińskie okręty nie mają gdzie uzupełnić paliwa – powiedział Joe Mulligan. – I raczej prędzej niż później któremuś z nich się ono skończy. My zaś możemy ciągnąć choćby do samego San Diego.

Admirał Barry szybko się połapał, w czym rzecz, i powiedział, że przesunie lotniskowiec o dalsze sześćset mil na 401

wschód. Do tego czasu przynajmniej jeden z chińskich okrętów będzie zmuszony pomyśleć o zawróceniu. Zasięg fregaty wynosił zaledwie dwa tysiące siedemset mil przy prędkości osiemnastu

węzłów, a przecież przez ostatnie kilka godzin płynęła znacznie szybciej. W tej chwili, w zapadającym mroku, cała grupa znajdowała się już o dwieście mil od chińskiego wybrzeża, a

Chińczycy już przedtem mieli za sobą sto dwadzieścia mil szybkiej żeglugi z bazy w Zhanjiang.

Przy większych prędkościach zasięg Shantou był prawdopodobnie bliższy tysiąca ośmiuset mil, a

nawet mniej; czyli dziewięćset mil w jedną stronę i dziewięćset z powrotem. Po przebyciu trzystu

dwudziestu pozostało jej więc jeszcze paliwa na pięćset osiemdziesiąt mil.›

Admirał Barry nakazał więc, by przez następne trzydzieści godzin cały zespół taktyczny podążał na wschód z prędkością dwudziestu węzłów: sześćset mil morskich, z których każda będzie wysysać ropę ze zbiorników chińskiej fregaty Barry przewidująco trzymał jeden ze swoich zbiornikowców zaopatrzeniowych daleko na oceanie. Co do Xiangtana, admirał wątpił, by przy tych prędkościach jego zasięg wynosił więcej niż trzy tysiące mil, nawet jeżeli wyszedł z bazy z pełnym zapasem. Główną niewiadomą było tu jednak coś innego: czy naczelne dowództwo chińskiej marynarki zechce wystawić na ryzyko swój najnowszy niszczyciel i posłać go samotnie na otwarty ocean w zasięg rażenia rozdrażnionej bestii, jaką był zespół taktyczny lotniskowca US Navy? Ja bym tego nie zrobił, pomyślał, nie przy obecnym klimacie w stosunkach chińsko-amerykańskich. Z tą opinią zgadzali się i kapitan Freeburg, i komandor Sharpe.

Wszystkie okręty brnęły więc coraz dalej na ocean, płynąc z dużą prędkością, w szybkim tempie opróżniając zbiorniki upartych chińskich prześladowców. Godzina mijała za godziną, ale sytuacja się nie zmieniała. Greenville jakoś dawał sobie radę i utrzymywał pozycję pod stępką Kaufmana, choć robił przy tym denerwująco wiele hałasu; jego reaktor i turbiny pracowały jednak bez zarzutu, pchając okręt naprzód z prędkością dwudziestu siedmiu węzłów. Bóg jeden wie, jak go odbierają sonarzyści z Xiangtana, ale jego zdolność do swobodnej żeglugi po przyjęciu tak silnego ciosu wystawiała

światne świadectwo inżynierom ze stoczni Newport News Shipbuilding w Wirginii.

Na dolnym pokładzie, w pomieszczeniach załogowych komandosi usiłowali na powrót upodobnić

się do ludzi. Zmywali z siebie kamuflaż, kurz, pot i krew, pozbywali się opasek z głów i starali się

znów wyglądać na wyszkolony personel amerykańskiej marynarki wojennej, a nie najemnych

zabójców i burzycieli. Część młodszych marynarzy Greenville'a rwała się do rozmów z bohaterami

dnia, którzy odbili ich kolegów podwodniaków z niewoli. Jednak w chwilach następujących po

niebezpiecznej, pełnej napięcia misji ludzie biorący w niej udział zazwyczaj nie mają nic do

powiedzenia nikomu poza sobą. Mężczyźni, którzy w służbie swego kraju musieli bezlitośnie

zabijać, potrzebują czasu na ponowne dostosowanie się do normalności, odzyskanie wewnętrznego

spokoju i refleksje nad swoimi rolami w całej akcji. I pierwszymi osobami, do których się zwracają,

są ich koledzy, inni uczestnicy dramatu, którzy rozumieją napięcie i grozę sytuacji, z jakiej właśnie

udało się im wynieść cało własne tyłki.

W operacjach takich, jak na Xiachuan Dao, dojście do siebie ułatwia świadomość, że gdyby nie

uderzyli pierwsi, Chińczycy na pewno by ich zabili. Niemniej wszyscy główni bohaterowie

wydarzeń byli zamknięci w sobie, nie zwracając większej uwagi na wiozącą ich do domu załogę

Greenville'a.

Większość z nich w duchu bała się, kiedy chiński pocisk rozerwał się w kiosku okrętu. Cała podróż

była z ich punktu widzenia trochę niepokojąca: zamknięci w uszkodzonym stalowym kadłubie,

gnali na oślep przez ciemne odmęty obcych wód, gdzie przybrzeżne morza Chin łączą się w końcu

z bezkresnym Pacyfikiem. Żaden z nich nie wiedział wiele o pod-wodniakach, a kiedy nie jest się

do tego przyzwyczajonym, samo przebywanie w głębinie ma w sobie coś odstręczającego.

Wystarczy jeden większy przeciek, nie mówiąc już o trafieniu torpedą, by unicestwić cały okręt i

skazać ich wszystkich na wieczny mrok i ciszę dna oceanu. Nawet żelazna dyscyplina i

zadziwiające umiejętności Fok nie mogły ich przed takimi uczuciami obronić. To, że Greenville

został trafiony i uszkodzony, przyczyniało się jeszcze do wzrostu napięcia; choć byli nieludzko

zmęczeni, mieli kłopoty ze snem. Komandor Rick

Hunter prowadził długie rozmowy z Juddem Crockerem i powoli zaczynał się orientować w rozbudowanych systemach bezpieczeństwa na atomowych okrętach podwodnych. Rozumiał teraz,

że chiński niszczyciel może znów ich ostrzelać, gdyby wyszli na powierzchnię, i że ogólnie mówiąc, lepiej, żeby płynęli wygodnie i spokojnie „dołem”. Reaktor jądrowy Greenville'a dostarczy

im energii, powietrza i ciepła tyle, ile trzeba.

Dla Bustera Townsenda była to pierwsza akcja bojowa, a właściwie dwie akcje, bo przecież był w

składzie drużyny zwiadu. Już nigdy nie spojrzy na świat tak samo jak przedtem, zanim śmierć kilkakrotnie zajrzała mu w oczy, odkąd przed czterema dniami wysunął się do wody z wjazdu SDV,

ramię w ramię z komandorem Bennettem. Siedział teraz z kolegami, w milczeniu sącząc kawę.

Młody komandos z Luizjańskich moczarów, który dwukrotnie odbył podróż na Xiachuan i z powrotem, taszczył ciężki sprzęt, zapisywał ruchy strażników więziennych i kluczył pod ogniem

pistoletów maszynowych, biegnąc z ładunkiem kablowym pod drzwi głównego bloku więzienia, nagle nie znajdował słów do konwersacji.

Tuż obok siedział jego odwieczny przyjaciel, Grzechotnik Davies, który z zimną krwią zabił nożem

chińskiego wartownika zagrażającego powodzeniu całej operacji. I on popijał kawę, nie odzywając

się słowem.

Bosman Steve Whipple, człowiek z żelaza, który przeniósł przez dżunglę czterdzieści kilogramów

materiału wybuchowego, wysadził w powietrze centralę łączności i skosił z kaemu ostatnich

chińskich żołnierzy na zboczu nad więzieniem, rozmawiał tylko ze swym druhem, Sumem

Jonesem. Bosman Jones, drugi żelazny gość, na wyspie dźwigał karabin maszynowy i również

wysadzał w powietrze obiekty, ale teraz mówił wyłącznie o bejsbolu, zastanawiając się głośno, jak

Steve może marnować czas na kibicowanie drużynie w rodzaju Chicago White Sox.

–Jezu, wy w tej Atlancie robicie się cholernie z siebie zadowoleni – mruknął Steve. – Ale my

wrócimy do ligi, może nie w tym sezonie, ale w następnym...

–Możesz sobie o tym pomarzyć...

Była to podświadoma próba powrotu do czegoś w rodzaju

normalności po chaosie śmierci, min, pistoletów i noży. Udawali, że to wszystko rutyna; ale w rzeczywistości nigdy tak nie bywało.

Pokład wyżej, w mesie oficerskiej, Paul Merloni mężnie próbował zachowywać się normalnie, ze

zwykłą domieszką czarnego humoru. Dowcip jednak nie trzymał się dzisiaj włoskiego

nowojorczyka, który zastrzelił trzech żołnierzy z patrolu zewnętrznego, a potem strażnika w celi

przesłuchań, prawdopodobnie ratując życie Linusowi Clarke'owi. Paul rozmawiał z Danem

Conwayem, który nigdy nie był wylewny, a dziś, w ponurym nastroju po akcji, głęboko pod

powierzchnią Pacyfiku, wszystkie jego myśli krążyły tylko wokół tego, by wydostać się stąd

żywym. Dan także zaglądał śmierci w oczy podczas walki o więzienie, zwłaszcza kiedy atakował

granatami koszary straży komandora Li.

W drugim rogu mesy siedział komandor Rusty Bennett. Wyglądał zaskakująco elegancko w

pożyczonych spodniach i koszuli mundurowej; czuł bowiem, że nie powinien paradować oblany

krwią wartowników z wieży strażniczej. Był szczęśliwy, że mógł się pozbyć tego brudnego ubrania.

Młodzi oficerowie z Greenville'a traktowali go jak bohatera; poprosił o specjalne pozwolenie na

wprowadzenie do mesy starszego bosmana McCarthy'ego i teraz obaj mężczyźni, którzy zdobyli

wieżę strażniczą i umożliwili przeprowadzenie całej operacji, siedzieli razem, jedząc kanapki z

kurczakiem i starając się nie myśleć o tym, co by było, gdyby szczęście ich opuściło tam w górze,

ponad murami więzienia.

Każdy z nich wiedział, że ich misja jeszcze się nie zakończyła. Byli na pokładzie okrętu

podwodnego uszkodzonego przez chiński pocisk i nie mogącego się wynurzyć, gdyż niszczyciel,

który ich trafił, wciąż uparcie następował im na pięty, czekając okazji, by ich dopaść po raz wtóry.

Wytężali zatem słuch w poszukiwaniu każdego strzępka informacji, który mógłby im pomóc

ogarnąć całą sytuację. Powoli zorientowali się, że są w trakcie długiej, sześćsetmilowej eskapady na

otwarty Pacyfik i że oficerowie Greenville'a mają nadzieję, iż Xiangtan da za wygraną i zawróci.

Wszyscy komandosi byli zdania, że brali udział w wystarczająco wielu walkach jak na jeden

weekend i byliby głęboko wdzięczni, gdyby mogli

dotrzeć spokojnie do lotniskowca, bez wdawania się w kolejną.

–Na razie mam przesyt wybuchów – oświadczył porucznik Merloni.

Dowódca Xiangtana miał niedosyt wybuchów. Problem z każdą godziną stawał się coraz bardziej palący. Minęła północ; nadszedł wtorek, osiemnasty lipca. Znajdowali się już o czterysta mil na wschód od Xiachuan Dao, gnając przez czarną, deszczową noc północną częścią cieśniny Luzon Strait, oddzielającej Tajwan od Filipin. Akwen ten usiany jest licznymi mieliznami i małymi wysepkami, a jego dno wznosi się stromo, po czym znów opada do tysiąca czy dwóch tysięcy metrów. W tej chwili amerykańska fregata Kaufman kierowała się ku cieśninie Bashi, wiodącej wprost na bezdenne otchłanie oceanu, gdzie głębokości sięgają pięciu kilometrów. Dowódca Shantou już wyraził zaniepokojenie stanem paliwa, a i pułkownik Li zdawał sobie sprawę, że nawet wielkie zbiorniki Xiangtana nie są niewyczerpane, zwłaszcza przy tak dużych prędkościach. Jeszcze czterysta mil i przyjdzie mu się zastanawiać nad odwrotem. Nawet admirał Zhang w swym obecnym stanie umysłu musi wiedzieć, że nie mogą pędzić tak więcej niż trzy, cztery dni. Ponadto jeśli Shantou zawróci, Xiangtan znajdzie się w niezwykle niekorzystnym położeniu na bardzo głębokim akwenu. Gdyby Amerykanie zdecydowali się go zatopić na tych pustkowiach, nikt by się nigdy nie dowiedział, co się stało. Znalazłby się wraz z załogą na dnie, o półtora kilometra głębiej od Titanica... a jego odnalezienie zajęło ponad pół wieku. Pułkownik Li Peng wiedział, że im szybciej wykona swój ruch, tym lepiej, z każdą bowiem przepłyniętą milą szala przewagi przechyla się na stronę Amerykanów. Kłopot w tym, że ani on sam, ani jego oficerowie nie mogli wymyślić, jak się do tego zabrać. Rozkaz admirała Zhanga był szalony. Oto chiński niszczyciel tkwił tu pomiędzy czterema amerykańskimi okrętami, wśród których był monstrualny krążownik rakietowy, setki mil od którejkolwiek z chińskich baz, i miał odnaleźć

ochroniany przez nie okręt podwodny i zaatakować go w obliczu zbrojnej po

–
zęby eskorty. Szaleństwo! Jak przeprowadzić ów atak? Nie mógł użyć bomb głębinowych, ponieważ cel znajdował się dokładnie pod stępką jednej z fregat. Pociski moździerzowe stanowiły

jakieś, zwariowane wprawdzie, rozwiązanie; ale Xiangtan był uzbrojony tylko w stare moździerze

FQF-2500, o zasięgu tysiąca dwustu metrów. Aby ich użyć, musiałby ze swej obecnej pozycji –
o

dwie mile za rufą pędzącego z prędkością dwudziestu siedmiu węzłów Kaufmana – podsunąć się

doń o milę i wystrzelić pociski ponad Amerykaninem, by wpadły w wodę przed nim, na oczach

obserwatorów z mostku. Od tego momentu pułkownikowi Li i jego załodze pozostałaby jeszcze

minuta życia, dopóki zamknięta w wielkich rakietach Harpoon niszczycielska moc nie wysłałaby

ich wszystkich w objęcia nicości. Poza tym prawdopodobieństwo, że choć jeden pocisk trafi w tych

warunkach w cel i eksploduje, było niewielkie. Działa były nieprzydatne, skoro Greenville

pozostawał w zanurzeniu. Śmigłowce nie miały szans, bo Amerykanie zestrzeliliby je w dwie

minuty. Pozostało jedynie użycie torped. Aby posłać ten okręt na dno, trzeba wystrzelić dwie

torpedy Ju-2 z aktywnym i pasywnym samo-naprowadzaniem. Pułkownik oceniał szanse trafienia

na pięćdziesiąt procent. Naprowadzanie pasywne nie wchodziło w grę, gdyż Amerykanie stosowali

skuteczne urządzenia zakłócające. Torpedy musiały namierzyć cel tylko aktywnie, a przy tym mpgą

się okazać zbyt wolne. Można by je wprawdzie zaprogramować na pułap minus piętnastu

metrów,

to znaczy, że nie brałyby pod uwagę żadnego celu na mniejszej głębokości; Greenville zaś musi być

zanurzony głębiej. Ale jakie są szanse, że Amerykanie się nie zorientują w sytuacji? Żadne.

Nie podjęto więc decyzji i wszystkie okręty ciągle mknęły na wschód. Na Shantou szybko topniały

zapasy paliwa. Po południu jej dowódca uznał, że dalej płynąć nie może, i połączył się z

Xiangtanem, komunikując pułkownikowi Li, że musi zawrócić.

–Jestem blisko punktu bez powrotu, towarzyszu pułkowniku. Jeśli pociągnę tak jeszcze godzinę,

mogę już nie dopłynąć do bazy.

Byli teraz prawie siedemset mil od brzegu Chin. Li Peng

zdecydował, że przysłała pora na jego ruch. Powiadomił Shantou, że popłynie jeszcze przez następne sto mil i również zawróci, ale przedtem ma do spełnienia prywatne zadanie od admirała Zhanga Yushu. Nie widział powodu, aby Shantou pozostawał na pozycji i szedł na dno wraz nim. O szesnastej trzydzieści Amerykanie ujrzeli, jak chińska fregata wykonuje zwrot i kieruje się z powrotem na zachód. Stwierdzili jednak szybko, że osamotniony niszczyciel wciąż idzie za nimi, nie ustając w upartym pościgu. Wszyscy czterej dowódcy pragnęli tylko, by się od nich wreszcie odczepił i biorąc przykład ze swego mniejszego kolegi, zawrócił do domu na pieprzoną miskę ryżu. Sonarzysta Kaufmana wywołał Greenville'a gertrudą i przekazał Tomowi Wheatonowi nowinę, że jeden z prześladowców zrezygnował z pościgu.

–Ten mniejszy, jak sądzę?

–Tak jest, sir. Niszczyciel nadal trzyma się dwie mile za nami.»

Konwersacja była krótka, ale na Xiangtanie przechwycili ją bez trudu, dziękując losowi, bo potwierdzało to, że ich ofiara wciąż jest w zasięgu strzału. Pułkownik Li nakazał zwiększyć prędkość do trzydziestu węzłów. Stwierdziwszy to, kapitan Freeburg położył swój krążownik w szeroki łuk w lewo, zajmując pozycję osiem mil na trawersie Xiangtana. Takiej odległości potrzebował dla celnego wystrzelenia rakiet woda-woda McDonnell Douglas Harpoon, uzbrojonych w niespełna ćwierćtonową głowicę bojową. Rakiety te wylatują z montowanych na rufie poczwórnych wyrzutni na dużą wysokość, po czym nurkują i wyrównują lot tuż nad powierzchnią morza, pędząc do celu z prędkością dziewięciuset węzłów (prawie tysiąc siedmiuset kilometrów na godzinę), aktywnie naprowadzane własnym radarem, praktycznie nie do powstrzymania. Kiedy

ktos wystrzeli takie cacko w twoją stronę, potrzebujesz bystrych oczu, by je wypatrzeć, a potem już tylko modlitewnika i kamizelki ratunkowej. Wprawdzie Chuck Freeburg nie miał zamiaru niczego rozpoczynać, ale przy pierwszym niewłaściwym posunięciu chiński niszczyciel przejdzie do czasu przeszłego.

Ludzkie i elektroniczne oczy na Kaufmanie nieprzerwanie śledziły poczynania Xiangtana. Po wykryciu jego przyspiesze-408

nia utrzymywano stałą łączność z pomieszczeniem operacyjnym Vella Gulf, gdzie kapitan Freeburg sposobił się do oddania strzału w razie konieczności.

O szesnastej czterdzieści pięć dowódca niszczyciela uznał, że znalazłszy się o milę za amerykańską fregatą, jest już wystarczająco blisko. Oczywiście nie znał dokładnej pozycji okrętu podwodnego; wiedział tylko z grubsza, że musi być pod Kaufmanem. Pomyśleć, że opierając się li tylko na takich spekulacjach, musi podjąć działanie równoznaczne z podpisaniem wyroku śmierci na siebie i swój okręt... Jedyne, co mógł zrobić, to odpalić torpedy w domniemane miejsce pobytu Greenville'a w nadziei, że go trafią.

–Ster w lewo, kurs zero osiemdziesiąt. Uwaga na wyrzutniach numer jeden i dwa!

–Jest, zero osiemdziesiąt!

Pułkownik Li Peng zawahał się przez ułamek sekundy, przygotowując się na spotkanie z wiecznością, po czym wydał krótki rozkaz. Chwała lub śmierć...

–Numer jeden, ognia!

–Numer jeden, poszła.

–Numer dwa, ognia!

–Numer dwa, poszła.

Tylko dwa kłębki dymu zdradziły działanie pułkownika Li, kiedy torpedy wypadły z rur wyrzutni, przeleciały pięćdziesiąt metrów nad wodą, po czym z pluskiem zanurzyły się, rozpoczynając poszukiwanie celu. Na Kaufmanie natychmiast spostrzeżono dym wystrzału. Na krążownik poszedł meldunek: „Chińczyk wystrzelił dwie torpedy z prawoburto-wej wyrzutni”. Jednocześnie przez gertrudę poinformowano o tym Greenville'a. Ludzie Toma Wheatona byli jednak szybsi.

–Właśnie je wykryliśmy. Aktywnie naprowadzane, interwał impulsów tysiąc pięćset metrów. Zwiększam prędkość do trzydziestu węzłów. Pełen zestaw aktywnych i pasywnych urządzeń zakłócających wyrzucony. Stojący przy dowódcy Judd Crocker powiedział:

–Cóż tu mamy, Tom? Trzydzieści pięć węzłów... są od nas szybsze o pięć... czyli doganiają nas o niecałe pięćset metrów co trzy minuty... odległość tysiąc pięćset, złapią nas za prawie dziewięć minut, nie? 409

–Tak, sir. Ale mamy w wodzie zakłócacze Emerson Mark dwa. One są dobre, o całe lata świetlne przed tymi starymi chińskimi torpedami. Proszę nie tracić wiary... może nawet im uciekniemy, ale na pewno je przechytrzymy.

Greenville sunął przez głębinę, ścigany przez dość prymitywne torpedy pułkownika Li, które już zaczynały tracić orientację wskutek zakłócania. Za każdym razem, kiedy aktywny sonar torpedy wysyłał impuls akustyczny, emersony odbijały go natychmiast, oznajmiając w ten sposób chińskiemu stalowemu mózgowi: „Tutaj jestem, patrz... cholernie wielki amerykański okręt podwodny... chodź tu i uderz we mnie... tutaj, tutaj...” Tom Wheaton wypuścił cztery takie urządzenia, czterokrotnie zwiększając akustyczne zamieszanie.

Na krążowniku kapitan Freeburg już dawno miał Xiangtana na celowniku. Teraz wydał tylko komendę:

–Przygotować harpoony jeden i dwa!

–Jeden i dwa gotowe. '

–Odpalić jeden i dwa!

Ryk startujących z pokładu rufowego rakiet był ogłuszający. Marynarze patrzyli za nimi, jak wzbijają się szybko w niebo, po czym na dwustu czterdziestu metrach zawracają ku morzu i dopełniają swej śmiertelnej misji.

Kapitan Freeburg rozkazał otworzyć ogień z obu wież 127 mm, rufowej i dziobowej. Pociski artyleryjskie uderzyły w cel przed raketami, trafiając w nadbudówkę, pomieszczenie operacyjne, mostek, centralę łączności i w pokład śmigłowcowy.

Pułkownik Li nakazał odpowiedzieć ogniem, ale było już za późno. Oba harpoony uderzyły w lewą

burtę Xiangtana i eksplodowały z miażdżącą siłą. Chiński niszczyciel rozpadł się w ogromnej kuli

ognia; dym wzniósł się wielkim grzybem na trzydzieści metrów w deszczowe niebo. Okręt zniknął

z powierzchni morza, pozostawiając jedynie pływające szczątki i rozlewającą się coraz szerzej

plamę ropy i oleju.

Chuck Freeburg i jego zespół operacyjny stali przez chwilę w milczeniu, obserwując dokonane przez siebie dzieło zniszczenia. Nie było wśród nich nikogo, kto by nie przeżywał wątpliwości po

zadaniu śmierci setkom ludzi.

–Oni chyba zrobiliby nam to samo, sir? – spytał młody podporucznik z zakłopotaną miną. 410

–Pewnie tak, Jack. Poza tym, powinni o tym pomyśleć, zanim porwali uszkodzony amerykański okręt na wodach międzynarodowych, wbrew wszelkim morskim prawom. To nie było zbyt mądre z ich strony...

–Nie, sir...

Tymczasem na Greenville'u Tom Wheaton i Judd Crocker obserwowali, jak emersony wypełniają

swoje zadanie. Na małych ekranach komputerowych widać było, jak nadbiegające torpedy mijają

ich w bezpiecznej odległości: jedna o sto metrów po lewej burcie, druga jeszcze dalej po prawej.

Żadna z nich nie znalazła celu, żadna nie eksplodowała. Komandor Wheaton oznajmił przez gertrudę, że zamierza się wynurzyć i naprawić uszkodzenia kiosku, „bo ten biedak robi tyle hałaa

su, że jak się zdaje, jest z ich powodu bardzo nieszczęśliwy...”

W ciągu następnych dziesięciu minut, po wymianie sygnałów z lotniskowcem, admirał Barry

wyzaczył Reubena Jamesa do podjęcia z wody ewentualnych rozbitków i ustalił miejsce spotkania

z Greenville'em w celu przekazania pasażerów. Potem cały zespół udawał się prosto do Pearl

Harbor, gdzie sam prezydent miał powitać uratowaną załogę Seawolfa i ich wyzwolicieli z SEALs.

ROZDZIAŁ 13

Piątek, 21 lipca 2006 r., południe. Gabinet Owalny

Prezydent John Ciarke po raz pierwszy w czasie sześcioletniej współpracy z admirałem Arnoldem

Morganem był porządnie zirytowany. Miał coraz bardziej nieodparte wrażenie, że jego krewki

doradca za bardzo zaczyna się szarogęścić. Przed dwoma godzinami Ciarke wystosował prezydenckie memorandum na temat swego planu udania się na początku przyszłego tygodnia na

Hawaje, na pokład lotniskowca Ronald Reagan wiozącego do domu jego syna. Niemal natychmiast

otrzymał notę od Morgana, w której brakowało jeszcze tylko zakończenia w rodzaju „Nie bądź

kutasem". Na papierze słowa brzmiały tak: „Nieszczególnie dobry pomysł, sir. Właściwie nawet,

jeśli poświęci pan trochę czasu na jego poważne, strategiczne rozważenie, uzna pan go za bardzo

zły pomysł. Będę u pana za chwilę, by dokładnie wytłumaczyć dlaczego".

Prezydent nie przywykł, by go traktowano z góry. Co więcej, wiedział, że ten spór musi przegrać,

admirał Morgan bowiem nie zwykł pisywać takich not, jeśli logika jego wyводу nie była bez zarzutu. Niemniej jednak Ciarke bardzo chciał wyjechać na spotkanie Linusowi i prędeej szlag go

trafi, niż pozwoli temu pompatycznemu admirałowi się od tego odwieść...

Kiedy czekał na jego przybycie, siedząc za biurkiem w drażliwym nastroju, ani przez chwilę nie

pomyślał, że Linus – cały i bezpieczny – jest na pokładzie lotniskowca, zamiast w chińskim więzieniu, tylko dzięki determinacji, agresywności i inteligencji jednego człowieka: Arnolda

Morgana. Nie, o tym prezydent Ciarke zdawał się zapominać.

412

40

Myślał tylko o niesprawiedliwości tej sytuacji, że on, najpotężniejszy przywódca wolnego świata,

nie może jechać powitać swego syna – jedyne go syna, na Boga! – z powodu jakiejś durnej wojskowej biurokracji. Nie miał zamiaru nikogo słuchać. O, nie. Arnold Morgan może wziąć sobie swoją księgę zasad i wsadzić ją tam, gdzie słońce nie dociera. On, prezydent Ciarke, wybiera się do swego syna na Hawaje i koniec. Drzwi się otworzyły i sekretarka wprowadziła doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego.

–Hello, sir – przywitał się Morgan. – Wygląda pan coś ponuro. Co się dzieje?

–Arnoldzie, uważam, że twoja nota jest w najwyższym stopniu pozbawiona wrażliwości, zwłaszcza że dobrze wiesz [jak przez ostatnie tygodnie przeżywałem uwięzienie mojego syna i to, że być może jest torturowany.

–Nota, sir? Co pan ma na myśli?

–Hawaje, Arnoldzie. Mówię o swoim wyjeździe na Hawaje.

–Ach, o tym. Oczywiście. Zapomnijmy o tym, sir. Może pan robić, co się panu podoba, panie prezydencie, ale nie może pan jechać teraz na Hawaje.

–Czy wolno mi spytać dlaczego? I kto zechce mnie zatrzymać?

–Panie prezydencie, ja tylko usiłuję powstrzymać pana przed politycznym samobójstwem.

–Może więc wytłumaczysz mi, o co chodzi.

–Oczywiście. Głównym problemem jest Seawolf. Jak panu wiadomo, właśnie go utraciliśmy w tajemniczych, ale nie podejrzanych okolicznościach. Wypadek nuklearny po kolizji na Morzu Południowochińskim, prawda? No więc do tej pory prasa interesowała się tą sprawą tylko przelotnie, ponieważ nie było wielkich ofiar w ludziach, a wypadki w końcu się zdarzają. Poza tym niewiele mogą wyniuchać, bo gdy spytają nas o to, odpowiemy, że wciąż czekamy na pełny raport od chińskich kutasów. A w Guangzhou i Pekinie w ogóle nikt im nic nie odpowie.

Morgan był teraz w pełnym biegu i prezydent pomyślał, że on się chyba dobrze bawi tą sytuacją.

–Wszystko to znaczy – ciągnął admirał – że cała sprawa

Myślał tylko o niesprawiedliwości tej sytuacji, że on, najpotężniejszy przywódca wolnego świata, nie może jechać powitać swego syna – jedyne go syna, na Boga! – z powodu jakiejś durnej wojskowej biurokracji. Nie miał zamiaru nikogo słuchać. O, nie. Arnold Morgan może wziąć sobie swoją księgę zasad i wsadzić ją tam, gdzie słońce nie dociera. On, prezydent Ciarke, wybiera się do swego syna na Hawaje i koniec. Drzwi się otworzyły i sekretarka wprowadziła doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego.

–Hello, sir – przywitał się Morgan. – Wygląda pan coś ponuro. Co się dzieje?

–Arnoldzie, uważam, że twoja nota jest w najwyższym stopniu pozbawiona wrażliwości, zwłaszcza że dobrze wiesz i jak przez ostatnie tygodnie przeżywałem uwięzienie mojego syna i to, że być może jest torturowany.

–Nota, sir? Co pan ma na myśli?

–Hawaje, Arnoldzie. Mówię o swoim wyjeździe na Hawaje.

–Ach, o tym. Oczywiście. Zapomnijmy o tym, sir. Może pan robić, co się panu podoba, panie prezydencie, ale nie może pan jechać teraz na Hawaje.

–Czy wolno mi spytać dlaczego? I kto zechce mnie zatrzymać?

–Panie prezydencie, ja tylko usiłuję powstrzymać pana przed politycznym samobójstwem.

–Może więc wytłumaczysz mi, o co chodzi.

–Oczywiście. Głównym problemem jest Seawolf. Jak panu wiadomo, właśnie go utraciliśmy w tajemniczych, ale nie podejrzanych okolicznościach. Wypadek nuklearny po kolizji na Morzu Południowochińskim, prawda? No więc do tej pory prasa interesowała się tą sprawą tylko przelotnie, ponieważ nie było wielkich ofiar w ludziach, a wypadki w końcu się zdarzają. Poza tym niewiele mogą wyniuchać, bo gdy spytają nas o to, odpowiemy, że wciąż czekamy na pełny raport od chińskich kutasów. A w Guangzhou i Pekinie w ogóle nikt im nic nie odpowie.

Morgan był teraz w pełnym biegu i prezydent pomyślał, że on się chyba dobrze bawi tą sytuacją.

–Wszystko to znaczy – ciągnął admirał – że cała sprawa

praktycznie przycichła. Nie powiedzieliśmy prasie nic na temat losu załogi, a nawet o jej powrocie,

ale oni przyjmują, że marynarka wojenna wyda jakieś oświadczenie, kiedy marynarze wrócą do San Diego. Tymczasem my nie dopuszczamy do jakichkolwiek spekulacji. Zdarzył się wypadek, Chińczycy chcieli pomóc, ale reaktor został uszkodzony. Niewielki zawór w układzie chłodzenia rdzenia. Po cichu się cieszymy, że to się nie stało u nas. Chińska marynarka wojenna zachowała się po dżentelmeńsku i przeprosiła za swoją ewentualną winę. Nic się takiego nie stało. A teraz, sir, my dobrze wiemy, że fakty są inne. To my zbombardowaliśmy Seawolfa, powodując wielką katastrofę nuklearną w Guangzhou. Potem prawie wydaliśmy Chinom wojnę o pańskiego syna Linusa... zapewniam pana, panie prezydencie, że nigdy nie posunęlibyśmy się tak daleko, gdyby nie było go na pokładzie porwanego okrętu. Wysadziliśmy w powietrze więzienie na chińskiej ziemi, zabiliśmy około setki chińskich żołnierzy, zniszczyliśmy dwa śmigłowce i zatopiliśmy dwa ich okręty, z których jeden był największym i najnowocześniejszym niszczycielem w całej chińskiej flocie. Postawiliśmy nasz kraj na krawędzi militarnej konfrontacji na Morzu Południowochińskim. Prawdziwej konfrontacji z rakietami, torpedami i działami. A trzeba zacząć od tego, że nasz najlepszy atomowy okręt podwodny przebywał z misją szpiegowską głęboko na chińskich wodach terytorialnych. – Morgan przerwał i wbił w prezydenta twarde spojrzenie. – To wszystko jest bez wątpienia największą awanturą militarną od czasu, kiedy Schwarzkopf dał po łbie turbaniarzom w Zatoce Perskiej.

–Wciąż nie wiem, jaki to ma związek z moim wyjazdem na powitanie syna.

–Taki, że jeśli pan tam pojedzie, pociągnie tam za panem dwustu amerykańskich dziennikarzy, z których każdy się domyśli, że Linus albo był, albo mógł być na Seawolfie. Będą się domagali oświadczeń, sesji zdjęciowych i Bóg wie czego jeszcze. Wprowadziłby ich pan w sam środek największej historii, jaką którykolwiek z nich sobie w życiu wyobrażał, pomiędzy sześćdziesięciu powracających z akcji bojowej komandosów marynarki i ponad stu odbitych marynarzy. Każdy z nich był świadkiem krwawej bitwy między Stanami Zjedno-

czonymi i Chińską Republiką Ludową, w której poległo wielu żołnierzy. Tu nie ma innego określenia: to była prawdziwa, tajna mała wojna.

–No cóż, i tak nie możemy wiecznie trzymać tych wiadomości pod przykryciem.

–Ależ jak najbardziej możemy, sir. Chińczycy nie życzą sobie tak samo jak my, by ujrzały światło dzienne. Dla nich to byłaby utrata twarzy na ogromną skalę. Nas oskarżono by w świecie o szaleńcze militarne awanturnictwo. Poza tym nie wiemy jeszcze, ile jest ofiar po naszej stronie. Jest jeszcze coś ważniejszego, sir. Pan, jako najwyższy zwierzchnik amerykańskich sił zbrojnych, będzie musiał wytłumaczyć opinii publicznej, dlaczego utracono okręt podwodny, który koszt-tował podatników miliard dolarów... to jest miliard za zbudowanie go, a drugi miliard na badania i próby. Wszyscy za-dadzą sobie to samo pytanie: czy to jest najbardziej niekompetentna marynarka wojenna i najbardziej podejrzany rząd w całej historii naszego państwa? A pan, panie prezydencie, próbuje zabrać ze sobą dwustu najlepszych przedstawicieli czwartej władzy akurat w to jedno miejsce na Ziemi, gdzie mogą natychmiast sami wpaść na trop tej historii. Marynarze będą mówić. Można im rozkazać trzymać język za zębami, ale wystarczy, że jeden coś chlapnie jęzorem po paru piwach gdzieś w barze, by wybuchło coś w rodzaju prasowego pożaru buszu. Jeśli pan nie pojedzie na Hawaje, nie będzie tam też dziennikarzy, ponieważ nie wiedzą nawet, że lotniskowiec tam płynie. Natomiast jadąc tam, dostanie się pan w krzyżowy ogień pytań. Lewicowa prasa pana zniszczy, zwłaszcza jeśli się okaże, że są amerykańskie ofiary.

–Ale, Arnoldzie, Linus będzie mnie tam oczekiwał. Po wszystkim, co przeszedł... tylko sobie wyobraź, jak będzie się czuł?

–Prawdopodobnie nie tak źle, jak by się czuł, siedząc wciąż w chińskim więzieniu.

–Arnoldzie, z całym szacunkiem, ale ty chyba w ogóle nie słuchasz, co mówię.

–Panie prezydencie, jeśli nadal chce pan dopiąć swego, to z całą pewnością to pan nie słuchał, co ja mówię. Dlatego powiem bez osłonek: jeżeli ta historyjka jakimś cudem dostanie 415

się w łapy reporterów, może spowodować upadek pańskiego rządu. Będzie tylko kwestią czasu,

kiedy ktoś zapyta: czy ten prezydent rzeczywiście potajemnie rozpoczął wojnę z Chinami, żeby ratować tyłek swojego syna? – Głos admirała stwardniał. Musiał przekonać tego człowieka. – Sir, nie mogę panu na to pozwolić. A jeśli mimo wszystko pan tam pojedzie, okręt zostanie skierowany gdzie indziej i popłynie wprost do Kalifornii. Nie pozwolę, by pan to sobie zrobił. Naprawdę chce pan stanąć przed pieprzonymi kamerami i tłumaczyć się z tego wszystkiego? Proszę pana, obiecałem, że go wydestaniemy... Teraz pan musi mi obiecać, że

pozwole nam pokierować dalszym rozwojem sytuacji. Proszę o tym pamiętać, sir. Zrobiłem to dla pana. Prezydent wstał i poważnie skinął głową.

–Rozumiem, Arnoldzie. Naprawdę rozumiem i jestem ci wdzięczny. Chciałbym cię jednak prosić o przysługę.

–Słucham. '

–Czy mógłbyś poświęcić następne dwadzieścia minut na próbę wymyślenia, jak to zrobić, żebym mógł pojechać na spotkanie z synem? Nieszkodliwy sposób, nie tak, jak przed chwilą opisałeś.

Morgan uśmiechnął się.

–Okay, sir. Proszę mi dać trochę czasu. Będę u pana za pół godziny, ale proszę do tego czasu nie wstrzymywać oddechu.

–Dzięki, Arnie. Doceniam to.

Admirał Morgan szedł do swego biura powoli, co było u niego rzadkością. Zazwyczaj utrzymywał tempo nadające mu inercję lotniskowca. Zawsze wyglądał tak, jak gdyby miał wejść przez drzwi z trzaskiem łamanego drewna i zgrzytem wyginanych zawiasów. Tym razem, można powiedzieć, włókł się noga za nogą, ze spuszczoną głową, zatopiony w myślach.

–Czy ja mam zwidy, czy ten facet traci nad sobą kontrolę? – mruzczał do siebie. – Chryste

Panie, wyłożyłem mu dopiero co prawdę o tym życiu w jednosylabowych słowach, a on niezupełnie

mnie zrozumiał. Nie jest sobą... ta afera z Linu-sem padła mu na mózg. Nie ma dwóch zdań. Każdy

ojciec mógłby oszaleć w obliczu świadomości, że jego syna torturują gdzieś tam na drugim końcu

świata. Ale wydostaliśmy go

stamtąd, do cholery, i powinno mu to wystarczyć. W każdym razie, jeżeli ma ochotę pozostać na

stanowisku. Teraz ma głowę tak zaprzątniętą tym chłopakiem, że nie ma z niego żadnego pożytku.

Chryste, przecież on musi rozumieć, jakie to niebezpieczne ciągnąć za sobą waszyngtoński korpus

prasowy do Pearl. Odpowiada przed narodem, czyli przed prasą. To nic dobrego, bo pismaki są równie lojalni wobec tego kraju jak pieprzeni Chinole. Ale to jest show-business, Johnny, chłopaczku, i z tym trzeba umieć żyć.

Skręcił za róg korytarza, gdzie mieściło się jego biuro, i wszedł do sekretariatu. Kathy rozmawiała z

kimś przez telefon.

–Przyjdź do mnie, jak skończysz – powiedział, nie zatrzymując się, i zniknął w swoim gabinecie.

W trzy minuty później weszła Kathy, zamykając za sobą drzwi.

–Nie musisz mi mówić – powiedziała. – Chce, żebyś pojechał z nim na Hawaje, a ja mam tu pilnować sklepu.

–Mylisz się, miła. Ani on, ani my nie wybieramy się nigdzie w okolice Hawajów. No i mamy teraz jednego wkurzonego Oklahomczyka w Gabinetie Ovalnym.

–Chyba nie poszedłeś tam powiedzieć mu, że nie może jechać? On jest prezydentem.

–Tak, powiedziałem mu to. I dodałem, że jeśli nadal ma ochotę być prezydentem, niech lepiej podejdzie do tego rozsądnie.

–Tu chodzi o Linusa, Arnie. Gdybyś mnie uprzedził, dokąd idziesz, kazałabym ci siedzieć cicho. On popada w obsesję na jego punkcie. Nie zdziwiłabym się, gdyby przeszedł na katolicyzm po tym szczęśliwym ocaleniu syna.

–Wiem. Mówiłaś mi o tym kościele.

–Wiesz, co myślę, Arnie? Gdy z nim rozmawiałam... kiedy usłyszał o ewentualności tortur, utrwalił sobie w głowie obraz Linusa jako słodkiego piegowatego chłopca z rancza w Oklahomie.

Ilekcję pomyślał o torturach, myślał o tym jako o pozbawianiu tego malca godności. I sądzę, że on nadal ma w głowie ten obraz, dlatego nie potrafi trzeźwo oceniać faktów. On tylko chce wziąć w ramiona swego małego synka.

–Kathy, nie wiem, czy masz rację, ale to pasuje. To właś-

nie od niego słyszę. Nawet kiedy wyjaśniłem mu groźne konsekwencje tej eskapady do Pearl, on tylko poprosił mnie o zaaranżowanie spotkania z Linusem natychmiast, gdy tylko lotniskowiec zawinie do portu. A ja tego nie będę mógł zrobić... Będzie bardzo rozczarowany.

Morgan i Kathy zjedli razem skromny lunch, dzieląc się średniej wielkości kanapką z tuńczykiem, na której widok admirał zastanowił się na głos, czy jego sekretarka oczekiwała wizyty jakiegoś kocięcia. Zjadł jednak swoją porcję dwoma „gryzami”, wlał w siebie szklanek wody mineralnej i zaczął się szykować do ponownej rozmowy z prezydentem.

–Dwie rzeczy są pewne w tym niepewnym miejscu -burknął. – Szefowi nie spodoba się to, co ode mnie usłyszysz, a my wieczorem pójdziemy poszukać gdzieś porządnego żarcia. Jakiś wspaniały

befszyk z frytkami i szpinakiem... i winem z najlepszych winnic Bordeaux, na lewym brzegu Zy-

rondy... Pauillac, na przykład.

Kathy chciała mu powiedzieć, że jest piątek i powinien zjeść rybę, tak jak ona to robi od dziecka, ale za bardzo się śmiała, by sklecić choćby dwa słowa, więc tylko potrząsnęła głową, kiedy Arnold wymaszerował z gabinetu na spotkanie z prezydentem.

–Sir – powiedział, wkraczając do Gabinetu Ovalnego -nie może pan tam lecieć. To zbyt publiczne, zbyt niebezpieczne. Jesteśmy zbyt narażeni, a dla pana skończyłoby się to dymisją albo

pozbawieniem stanowiska i demokraci znów by się dorwali do władzy. Jedyne, co panu mogę zaoferować, to sprowadzenie kilku oficerów z Seawolfa pod jakimś pretekstem prosto z Hawajów.

Może też kilku z wyższych oficerów SEALs. Wszystkich do San Diego. Potem Linus i może ze dwóch najważniejszych spośród reszty przylecą do Waszyngtonu. Odbierzemy go z lotniska po

cichu i dowieziemy, gdziekolwiek pan sobie życzy. Tyle mogę zrobić. Hawaje odpadają. Zostaje

pan w domu i już.

Nawet prezydent Clarke musiał się roześmiać.

–Jesteś pewien, że nie przesadzasz, Arnie? Przecież ja tylko chcę wyjść na spotkanie synowi jak każdy inny ojciec.

–Tylko że pan nie jest każdym innym ojcem, sir. Stany Zjednoczone popełniły w tej sprawie błędy. Czy naprawdę

chce pan, żeby to wszystko wyszło na jaw? Proszę nie odpowiadać. Nie chce pan, proszę mi wierzyć. Zostawiam teraz pana tylko z jedną myślą. Dziś po południu Ling Guła Pękł przychodzi tu na pogawędkę. Do siedemnastej załatwimy, że do ostatnich wydarzeń na Morzu

Południowochińskim w ogóle nie doszło. Oba nasze rządy się z tym zgodzą, z odmiennych, ale równie pokrętnych powodów sprowadzających się do tego, że nie chcą najeść się wstydu. – Admirał wstał i na odchodnym zapytał: – Chce pan, żebym sprowadził Linusa do domu samolotem, potajemnie i jak najszybciej?

–Arnoldzie, dziękuję. Będę ci bardziej wdzięczny, niż możesz sobie wyobrazić. Piątek, 21 lipca 2006 r., godzina 15.30. Biuro szefa operacji morskich, Pentagon

–Mówię ci, Joe, mamy problem. Prezydent stracił rozum.

–Jak to, stracił rozum? Coś ty, Arnie, przecież to najlepszy prezydent, jakiego wojsko kiedykolwiek miało.

–Może i tak. Ale w tym momencie jest cholerną bombą zegarową. Jedyne, o czym może myśleć, to jego synalek Linus. Wyobraź sobie, że chciał lecieć na Hawaje, by się z nim spotkać, w komplecie z wszechpotężnym korpusem prasowym Waszyngtonu. Z całą dwusetką, z których każdy zacząłby wypytywać każdego marynarza w Pearl, co się tam działo na chińskich morzach. Admirala Mulligana zatkało.

–Jezu, Arnie, ty chyba żartujesz?!

–Żartuję? Jasne, taki mały dowcip, żebyśmy ze śmiechu dostali zawału. Joe, gdyby to wszystko się wydało, mielibyśmy zmianę rządu, a my wszyscy, z prezydentem włącznie, znaleźlibyśmy się na bruku i okryci hańbą.

–Czy on to rozumie?

–Ledwo. Próbowałem mu wytłumaczyć, że jego jedyną szansą jest zachowanie tajemnicy. Ale jego to nie obchodzi. On chce tylko jak najszybciej zobaczyć się z synem.

–A ty uważasz, że zachowanie tajemnicy jest możliwe?

–Całkowicie nie. Ale my nie chcemy całkowitej tajemnicy. 419

Musimy otwarcie powiedzieć o utracie okrętu podwodnego, jak się to stało i kto, jeżeli ktokolwiek, ponosi za to winę. To musi być normalna, twarda procedura dochodzeniowa według przepisów marynarki wojennej. Nie chcemy natomiast wyjawić niczego na temat misji Seawolfa ani faktycznej przyczyny jego utraty.

–A co z SEALs i odbiciem więźniów?

–Ani słowa. Nie możemy nawet przyznać, że Chińczycy uwięzili załogę, a cóż dopiero, że praktycznie rozpoczęliśmy z nimi wojnę, nikomu nic o tym nie mówiąc.

–Myślisz, że zrobilibyśmy to, gdyby nie było tam Linusa?

–W życiu nie. Próbowalibyśmy negocjacji, nie udałoby się nam, wówczas musielibyśmy zagrozić ogromnymi sankcjami gospodarczymi. Może to by podziałało... z czasem... może po pół roku.

–I naprawdę myślisz, że to się uda ukryć?,

–Tylko z jednego powodu. Chińczykom też zależy na sekrecie.

–Masz pewność?

–Absolutnie. Rozmawiałem telefonicznie z Lingiem Gułą Pękl. Przynajmniej raz szliśmy w nogę.

–Kto pękl?

–To tylko moje przezwisko dla czcigodnego ambasadora Ling Guo Penga. Oślizły z niego kutas, jak oni wszyscy. Ale cwany. Wie dobrze, jaka by była katastrofa, gdyby wszystko wyszło na jaw. Jego rząd obawia się tego bardziej niż my. W Guangzhou i w Pekinie wprowadzono całkowitą blokadę informacji.

–Co ich tak niepokoi?

–Na pewno nie to, że porwali okręt z załogą na wodach międzynarodowych. Z tego by się wykręcali kłamstwami. Gorzej, że nie potrafili utrzymać załogi w ręku, że ich więzienie zostało zaatakowane i rozbite, że stracili dwa śmigłowce i kuter patrolowy, a nawet nowiutki niszczyciel wraz z kilkuset marynarzami. Dowódca marynarki, jak mówi ambasador, może z tego nie wyjść. Dla Chińczyków to wszystko straszna utrata twarzy. Można powiedzieć, że wykazali się absolutną niekompetencją. Trzeba to przyznać, stary. Uważają się za

m *

Musimy otwarcie powiedzieć o utracie okrętu podwodnego, jak się to stało i kto, jeżeli ktokolwiek,

ponosi za to winę. To musi być normalna, twarda procedura dochodzeniowa według przepisów marynarki wojennej. Nie chcemy natomiast wyjawić niczego na temat misji Seawolfa ani faktycznej przyczyny jego utraty.

–A co z SEALs i odbiciem więźniów?

–Ani słowa. Nie możemy nawet przyznać, że Chińczycy uwięzili załogę, a cóż dopiero, że praktycznie rozpoczęliśmy z nimi wojnę, nikomu nic o tym nie mówiąc.

–Myślisz, że zrobilibyśmy to, gdyby nie było tam Linusa?

–W życiu nie. Próbowalibyśmy negocjacji, nie udałoby się nam, wówczas musielibyśmy zagrozić ogromnymi sankcjami gospodarczymi. Może to by podziałało... z czasem... może po pół roku.

–I naprawdę myślisz, że to się uda ukryć?,

–Tylko z jednego powodu. Chińczykom też zależy na sekrecie.

–Masz pewność?

–Absolutnie. Rozmawiałem telefonicznie z Lingiem Gułą Pękl. Przynajmniej raz szliśmy w nogę.

–Kto pękl?

–To tylko moje przezwisko dla czcigodnego ambasadora Ling Guo Penga. Oślizły z niego kutas, jak oni wszyscy. Ale cwany. Wie dobrze, jaka by była katastrofa, gdyby wszystko wyszło na jaw. Jego rząd obawia się tego bardziej niż my. W Guangzhou i w Pekinie wprowadzono całkowitą blokadę informacji.

–Co ich tak niepokoi?

–Na pewno nie to, że porwali okręt z załogą na wodach międzynarodowych. Z tego by się wykręcali kłamstwami. Gorzej, że nie potrafili utrzymać załogi w ręku, że ich więzienie zostało zaatakowane i rozbite, że stracili dwa śmigłowce i kuter patrolowy, a nawet nowiutki

niszczyciel wraz z kilkuset marynarzami. Dowódca marynarki, jak mówi ambasador, może z tego nie wyjść. Dla Chińczyków to wszystko straszna utrata twarzy. Można powiedzieć, że wykazali się absolutną niekompetencją. Trzeba to przyznać, stary. Uważają się za 420

twardzieli i wojskowych fachowców, a my zagraliśmy im na nosie.

–Na to wygląda, Arnie. Z tego, co mówisz, wynika, że nasze rządy nie życzą sobie, by światło dzienne ujrzało cokolwiek z tej awantury poza zniszczeniem Seawolfa w wypadku i szczęśliwym powrotem do domu jego załogi przy maksimum dobrej woli z obu stron.

–Trafiłeś w samo sedno, dowódco. Ja nie mam nic przeciwko temu, dopóki te małe kutasy kapują, że nasza marynarka nie da sobie dmuchać w kaszę. Nikomu. A jak ktoś spróbuje, długo będzie tego żałował.

–Nasz stary kumpel admirał Zhang pewnie teraz trochę się uzala nad sobą, co?

–Mam nadzieję. Bezcelny z niego typ.

–I tak dotarliśmy do kolejnego prawdziwego problemu, Arnie. Jak marynarka ma postąpić w obliczu całkowitej utraty najlepszego okrętu podwodnego we flocie?

–Normalnie. Na Morzu Południowochińskim zdarzył się wypadek. Coś tam się zepsuło w reaktorze i wskutek awarii napędu nastąpiła kolizja z płynącym w pobliżu niszczycielem. Tyle już i tak wiadomo. Chińczycy odpowiedzieli na wezwanie o pomoc, zaholowali Seawolfa do Guangzhou, a kiedy pomagali w remoncie okrętu, wystąpiły dalsze problemy i reaktor wysiadł kompletnie. Chińczycy wyrażają głęboki żal z powodu nieumyślnego przyczynienia się do katastrofy i ostatecznego zniszczenia okrętu, a my wyrażamy głęboką wdzięczność za ich próbę pomocy i tyle. Nic więcej prasa nie dostanie ani po naszej, ani po drugiej stronie Pacyfiku.

–Ale co z ludźmi? Ktoś w końcu może coś powiedzieć.

–Jeśli powie, zostanie to natychmiast odrzucone jako bredzenie wariata.

–A prezydent? Zgadza się na to?

–Prezydent jest na razie z tego wyłączony. Nie chce nic prócz spokojnego przepłynięcia przez ostatnie dwa lata drugiej kadencji i widywaniem swego syna tak często, jak się da.

–Czyli nam pozostaje zorganizowanie dochodzenia przez izbę morską?

–Tak, Joe. Powinno to się odbyć w San Diego, pod aus-421

picjami CINCPAC. To ma sens. CINCPAC jest bezpośrednim przełożonym kapitana Crockera. To on zadecyduje, jak potoczy się sprawa po ogłoszeniu werdyktu izby.

–Mam tylko nadzieję, że z tego nie będzie jakiegoś bałaganu. Ale wiem, że tego nie da się uniknąć.

–Amen. Marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych po prostu nie może stracić okrętu za miliard dolarów i nie przedstawić oficjalnego wyjaśnienia rządowi i podatnikom.

–Jezu! Chcesz powiedzieć, że posiedzenia izby będą się odbywać publicznie?

–Do diabła, nie! Odbędą się przy drzwiach zamkniętych, ze świadkami. Ale wyniki śledztwa muszą zostać podane do publicznej wiadomości. Raport izby musi zostać opublikowany wraz z zaleceniami.

–I tu się zaczną schody... Jeżeli zaczną zalegać najsurowsze upomnienia, a nawet potępienie dla dowództwa okrętu.

–Może się nawet na tym nie skończyć – odrzekł Morgan.

–To znaczy?

–W takiej sprawie jak ta izba może nawet zalecić postawienie dowódcy albo ZDO, albo obu naraz przed sądem wojskowym.

–Sąd wojskowy? Nie, Arnie, nie przypuszczam, by do tego doszło. Nie sędzimy oficerów za nieostrożność. Tylko Angole to robią, a i to najczęściej uniewinniają kapitana. Od lat już marynarka nie postawiła nikogo przed sądem za cokolwiek, co nie było przestępstwem kryminalnym.

–Być może, Joe. Być może. Ale w tej sprawie nie ma nic zwyczajnego i ciekaw jestem, czy ktoś nakreśli wyraźną linię odgraniczającą rzeczywisty, choć niewybaczalny błąd od jaskrawego zaniedbania. Mamy tu do czynienia z ogromną stratą. Nie mieści się w wyobraźni, że dowódca mający wyraźny rozkaz, by nie pozwolić się wykryć, dopuszcza do tego aż dwukrotnie... może nawet trzykrotnie... a potem przy-dzwania w chiński niszczyciel. Chcę powiedzieć, że to wygląda zupełnie, jakby okręt prowadził kompletny wariat. Joe, nie będę zaskoczony, widząc zalecenie skierowania sprawy do sądu wojskowego. Chyba że chłopaki mają jakieś naprawdę pierwszorzędne alibi.

–No cóż, mogę tylko mieć nadzieję, że ławnicy nie uznają 422

za konieczne posunąć się aż tak daleko, bo to by z pewnością porządnie zmąciło wodę. Izba morską zostanie poinformowana, że zakres postępowania i jej uprawnienia są ograniczone do tych tylko wydarzeń, które doprowadziły do utraty napędu na Morzu Południowochińskim. Nie będą upoważnieni do zadawania żadnych pytań odnoszących się do okresu od chwili włączenia się Chińczyków z pomocą. W przeciwnym razie wylądujemy z publicznym raportem, który opíše całą tę ponurą historię. A to nikomu nie jest do szczęścia potrzebne.

–Pewnie. Musimy tego za wszelką cenę uniknąć, Joe. W samej rzeczy uważam, że w posiedzeniach izby powinien zawsze brać udział prawnik marynarki z Pentagonu, aby zapewnić, by trzymano się tych wytycznych.

–Bez tego się chyba nie obejdzie, Arnie. Ale to może oznaczać, że niektórzy wyżsi oficerowie okrętu mogą uznać za stosowne również zapewnić sobie pomoc prawną. Zastanawiam się, czy sam kapitan Crocker nie powinien zatrudnić prawnika.

–Chyba tak, Joe. To z kolei oznacza, że prezydent będzie nalegał, aby i Linus miał na podorzędziu jakiegoś wyszczekanego adwokata. Ja nie mam nic przeciwko temu. Myślę nawet, że sam to doradzę prezydentowi, w interesie Linusa.

–Oczywiście nie wiemy jeszcze nawet, czy Linus Ciarke jest osobiście zamieszany w tę sprawę.

–Nie wiemy. Ale coś mi się nie chce wierzyć, by Judd Crocker doprowadził do tego wszystkiego na własną rękę.

Czwartek, 27 lipca 2006 r., godzina 9.00. Gabinet Ovalny

–Arnie, czy jestem władny to powstrzymać?

–Owszem, sir. Ale musiałby pan zrobić to publicznie. Musiałby pan powiedzieć: „Słuchajcie, chłopaki, jestem pieprzonym naczelnym dowódcą sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych i niniejszym rozkazuję wam zaniechać formalnego dochodzenia w sprawie utraty Seawolfa. Nie wyskakujcie z żadnymi wnioskami ani zaleceniami. Po prostu o wszystkim zapomnijcie”.

–No cóż, tego oczywiście nie mogę zrobić.

–Właśnie. Jeśli się panu podoba praca w tym miejscu.

–Chciałem tylko zapytać, czy nie mógłbyś w moim imieniu wyrazić dezaprobaty dla pomysłu stawiania tych dzielnych ludzi przed jakimś sądem? Czy to by nie wystarczyło?

–Nie, sir. Marynarka ma obowiązek przeprowadzić dochodzenie w każdym przypadku utraty okrętu. Nie możemy po prostu powiedzieć, że to pech, i na tym zakończyć. Nikt by na to nie pozwolił, a już najmniej senacka komisja sił zbrojnych. Nie możemy nie odpowiadać za nasze działania. Także dlatego, że taka postawa już zawsze wisiałaby nam nad głowami. „Co takiego? Potrzeba wam jeszcze pięciu miliardów? I znów nawet nie raczycie wyjaśnić, na co one pójdą?”

–Widzisz, Arnie, ja naprawdę nie chcę, aby kogokolwiek obwiniano lub krytykowano za tę sprawę.

–Może pan to ogłosić publicznie, sir. To się udało Brytyjczykom po wojnie o Falklandy w osiemdziesiątym drugim roku. Uznali wszelkie procesy przed sądem wojskowym za politycznie niepożądane... a szykowało się ich sporo, zatopiono im wtedy siedem okrętów. Nie było jednak żadnego postępowania poza normalną izbą morską. Ale nie sądzę, aby nasi admirałowie kiedykolwiek pogodzili się z prezydenckimi restrykcjami nakładanymi na ludzi prowadzących dochodzenie w sprawie tak poważnego wypadku, który kosztował marynarkę parę miliardów.

–No to spróbujmy innego halsu, admirale. Może zagrozić im, że nie zatwierdzą olbrzymich nakładów na budowę nowych okrętów, jeśli nie zastosują się do moich życzeń?

–Panie prezydencie, gdyby to usłyszał ktokolwiek inny niż tu obecny pański lojalny współpracownik, już by wszczęto postępowanie zmierzające do usunięcia pana z urzędu. Niech pan pamięta, że tu chodzi o Linusa. Jego obecność w samym środku tego bałaganu czyni pana stroną zainteresowaną. Zainteresowaną tym, by pański syn został oczyszczony z wszelkich zarzutów, jakie mogą mu zostać przedstawione.

–Arnoldzie, oczywiście, że jestem zainteresowany. Nie chcę, by Linusa spotkało potępienie. Nie pozwolę na to. Słyszałeś moją groźbę. Nie puszczaj jej mimo uszu, chociaż w razie czego zaprzeczę, jakobym coś podobnego powiedział.

–No cóż, tego oczywiście nie mogę zrobić.

–Właśnie. Jeśli się panu podoba praca w tym miejscu.

–Chciałem tylko zapytać, czy nie mógłbyś w moim imieniu wyrazić dezaprobaty dla pomysłu stawiania tych dzielnych ludzi przed jakimś sądem? Czy to by nie wystarczyło?

–Nie, sir. Marynarka ma obowiązek przeprowadzić dochodzenie w każdym przypadku utraty okrętu. Nie możemy po prostu powiedzieć, że to pech, i na tym zakończyć. Nikt by na to nie pozwolił, a już najmniej senacka komisja sił zbrojnych. Nie możemy nie odpowiadać za nasze działania. Także dlatego, że taka postawa już zawsze wisiałaby nam nad głowami. „Co takiego? Potrzeba wam jeszcze pięciu miliardów? I znów nawet nie raczycie wyjaśnić, na co one pójdą?”

–Widzisz, Arnie, ja naprawdę nie chcę, aby kogokolwiek obwiniano lub krytykowano za tę sprawę.

–Może pan to ogłosić publicznie, sir. To się udało Brytyjczykom po wojnie o Falklandy w osiemdziesiątym drugim roku. Uznali wszelkie procesy przed sądem wojskowym za politycznie niepożądane... a szykowało się ich sporo, zatopiono im wtedy siedem okrętów. Nie było jednak żadnego postępowania poza normalną izbą morską. Ale nie sądzę, aby nasi admirałowie kiedykolwiek pogodzili się z prezydenckimi restrykcjami nakładanymi na ludzi prowadzących dochodzenie w sprawie tak poważnego wypadku, który kosztował marynarkę parę miliardów.

–No to spróbujmy innego halsu, admirale. Może zagrozić im, że nie zatwierdzę olbrzymich nakładów na budowę nowych okrętów, jeśli nie zastosują się do moich życzeń?

–Panie prezydencie, gdyby to usłyszał ktokolwiek inny niż tu obecny pański lojalny współpracownik, już by wszczęto postępowanie zmierzające do usunięcia pana z urzędu. Niech pan pamięta, że tu chodzi o Linusa. Jego obecność w samym środku tego bałaganu czyni pana stroną zainteresowaną. Zainteresowaną tym, by pański syn został oczyszczony z wszelkich zarzutów, jakie mogą mu zostać przedstawione.

–Arnoldzie, oczywiście, że jestem zainteresowany. Nie chcę, by Linusa spotkało potępienie. Nie pozwolę na to. Słyszałeś moją groźbę. Nie puszczaj jej mimo uszu, chociaż w razie czego zaprzeczę, jakobym coś podobnego powiedział.

424 L • w

–Panie prezydencie, będę udawał, że nie słyszałem nic z tego, co pan powiedział w tych paru ostatnich zdaniach.

–Może to mądre posunięcie, a może i nie. Może to kosztować twoją ukochaną marynarkę parę lotników.

–Niech więc tak będzie, panie prezydencie. Zawetowanie budżetu jest pańskim przywilejem. Nie mogę jednak proponować, by wykorzystywał go pan do szantażu w celu ratowania reputacji Linusa.

Prezydent wstał i przeszedł tam i z powrotem przez gabinet, po czym zadał pytanie, które najwyraźniej nie schodziło mu z myśli:

–Czy widziałeś wstępny raport na temat Seawolfa?

–Nie, sir.

–Czy już nadszedł? Czy admirałowie go czytali?

–Tak mi się wydaje, sir.

–Masz jakieś rozeznanie, co on zawiera?

–Nie, poza tym, że tuż przed kolizją z niszczycielem wystąpił jakiś poważny problem.

–Znasz szczegóły?

–Nie, sir.

–Czy mógłbym zażądać, by mi przyniesiono ten raport?

–Owszem.

–A zgodziliby się go pokazać?

–Ojcu jednego z oficerów? Wątpię.

–Nie, Arnoldzie. Naczelnemu dowódcy.

–Być może, sir. Ale mają do dyspozycji broń, która zawsze może pana wykończyć. Każdy z nich mógłby powiedzieć: „To jest równoznaczne z korupcją. Składam rezygnację z funkcji ławnika izby morskiej i nie zawaham się podać powodów do publicznej wiadomości. Skorumpowany prezydent”. Znając ich, twierdzą, że są do tego zdolni. Stąpa pan po bardzo niebezpiecznym gruncie. W tej chwili jednak nie ma przesłanek, by sądzić, że Linusowi coś zagraża. Przyjmijmy najgorszy scenariusz. Powiedzmy, że popełnił jakiś błąd, być może prowadzący do kolejnego. To jeszcze nie powód, by go rozstrzelać. Może otrzymać upomnienie, wytknięcie, a może i nic, zwykłe ostrzeżenie. To nieodłączna część życia dowódców marynarki...

–Arnoldzie, nie chcę, by mojego syna spotkała publiczna reprimenda. Czy mnie rozumiesz?

–Tak, sir.

–Czy ty i ja nie możemy go przed tym obronić? Przy naszych połączonych środkach perswazji?

–Nie, panie prezydencie. Marynarka nie będzie tolerowała wtrącania się w tak poważną sprawę. Pana już tu dawno nie będzie, a oni będą wciąż odpowiadać przed Kongresem za swoje czyny.

–No, to zobaczymy. Dziękuję, doradco do spraw bezpieczeństwa narodowego. To wszystko.
Poniedziałek, 11 września 2006 r., godzina 9.30. Baza US Navy w San Diego

Przed ławnikami izby morskiej postawiono zadanie wyjaśnienia okoliczności wypadku, jaki zdarzył się na USS Seawolf przed godziną szóstą rano czasu lokalnego w środę piątego lipca na Morzu Południowochińskim. Posiedzenie odbywało się w głównej sali konferencyjnej, a przewodniczył mu admirał Archie Cameron, dowódca Floty Pacyfiku. Admirał, wysoki, siwiejący mężczyzna w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, był wcześniej dowódcą V Floty, a w latach dziewięćdziesiątych dowodził najnowocześniejszym wówczas krążownikiem rakietowym USS Ticonderoga\ powszechnie uważano, że po odejściu Joe Mulligana na emeryturę on właśnie zostanie szefem operacji morskich. Na prawo od niego zasiadał dowódca VII Floty, wiceadmirał Albie Peterson. Po lewej miał

kontradmirala Freddiego Currana, dowódcę Floty Podwodnej Pacyfiku (COMSUB-PAC). Oprócz nich dwoma pozostałymi ławnikami byli kapitan Mike Krause, świeżo nominowany dowódca okrętu klasy Trident, oraz kapitan Henry Bonilla, dowodzący siostrzaną jednostką Seawolfa, okrętem Jimmy Carter.

Na końcu długiego mahoniowego stołu siedział komandor porucznik Edward Kirk, prawnik z Pentagonu, którego zadaniem było przestrzegać ograniczenia dochodzenia do spraw ściśle związanych z samym przechwyceniem Seawolfa przez 426

–Arnoldzie, nie chcę, by mojego syna spotkała publiczna reprimenda. Czy mnie rozumiesz?

–Tak, sir.

–Czy ty i ja nie możemy go przed tym obronić? Przy naszych połączonych środkach perswazji?

–Nie, panie prezydencie. Marynarka nie będzie tolerowała wtrącania się w tak poważną sprawę. Pana już tu dawno nie będzie, a oni będą wciąż odpowiadać przed Kongresem za swoje

czyny.

**–No, to zobaczymy. Dziękuję, doradco do spraw bezpieczeństwa narodowego. To wszystko.
Poniedziałek, 11 września 2006 r., godzina 9.30. Baza US Navy w San Diego**

**Przed ławnikami izby morskiej postawiono zadanie wyjaśnienia okoliczności wypadku, jaki
zdarzył**

się na USS Seawolf przed godziną szóstą rano czasu lokalnego w środę piątego lipca na Morzu

**Południowochińskim. Posiedzenie odbywało się w głównej sali konferencyjnej, a
przewodniczył**

**mu admirał Archie Cameron, dowódca Floty Pacyfiku. Admirał, wysoki, siwiejący mężczyzna
w**

wieku pięćdziesięciu pięciu lat, był wcześniej dowódcą V Floty, a w latach dziewięćdziesiątych

dowodził najnowocześniejszym wówczas krążownikiem rakietowym USS Ticonderoga

powszechnie uważano, że po odejściu Joe Mulligana na emeryturę on właśnie zostanie szefem

operacji morskich.

Na prawo od niego zasiadał dowódca VII Floty, wiceadmirał Albie Peterson. Po lewej miał

kontradmirala Freddiego Currana, dowódcę Floty Podwodnej Pacyfiku (COMSUB-PAC).

Oprócz

nich dwoma pozostałymi ławnikami byli kapitan Mike Krause, świeżo nominowany dowódca

okrętu klasy Trident, oraz kapitan Henry Bonilla, dowodzący siostrzaną jednostką Seawolfa,

okrętem Jimmy Carter.

Na końcu długiego mahoniowego stołu siedział komandor porucznik Edward Kirk, prawnik z

Pentagonu, którego zadaniem było przestrzegać ograniczenia dochodzenia do spraw ściśle

związanych z samym przechwyceniem Seawolfa przez

Chińczyków. To, co nastąpiło potem, nie miało być rozpatrywane. Wszystkim dano do zrozumienia,

że kiedy komandor Kirk wypowie się na tematy proceduralne, jego słowa są wiążące dla izby. Taki

rozkaz nadszedł od samego szefa operacji morskich.

Admirał Mulligan miał poważne powody, by starać się

o utrzymanie śledztwa w ryzach. Przez poprzedzający otwarcie przewodu miesiąc wraz z admirałem Morganem toczył boje z osobistymi doradcami prezydenta, którzy jak jeden mąż usiłowali załatwić jak najlepsze potraktowanie komandora podporucznika Linusa Clarke'a.

Dowódca marynarki przez bity tydzień bronił swego poglądu, że wstępne ustalenia co do wypadku

są własnością US Navy i nikt poza CINCPAC nie powinien mieć do nich dostępu; z pewnością nie

żaden z rodziców zainteresowanych oficerów, a już absolutnie nie ojciec człowieka, który mógł

owego feralnego poranka osobiście prowadzić okręt.

Jednak ludzie prezydenta nie dawali za wygraną, argumentując, że jako naczelny dowódca

amerykańskich sił zbrojnych ma on prawo wglądu w każdy dokument, na który ma ochotę. Przez

pięć dni rozważano za i przeciw prezydenckiego stanowiska, aż w końcu uznano, że należy niezwłocznie poddać problem arbitrażowi. Ostateczną decyzję miał podjąć przewodniczący

Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, generał Tim Scanned.

Generałowi tylko pół godziny zajęło wydanie werdyktu niekorzystnego dla prezydenta. Decyzję

uzasadnił tym, że negatywnie wpłynęłoby to na jego pozycję podczas całego postępowania. Jak

powiedział, prezydent nie powinien usiłować z góry zapewnić jakichkolwiek korzyści dla komandora podporucznika Clarke'a. Nie może starać się o wgląd we wstępne ustalenia, by potem

działać odpowiednio do nich wbrew interesom innych oficerów służby czynnej.

Niemniej prezydentowi udało się uzyskać dla swego syna pewną korzyść, do tej pory nie spotykaną

podczas dochodzeń izby morskiej. Wymusił pozwolenie na udział w przesłuchaniach jednego z najlepszych adwokatów w kraju, który miał siedzieć u boku Linusa podczas procesu. Był to elegancki

1 wykształcony mecenas Philip Myerscough. Nie miał prawa

głosu, ale mógł świadkom zadawać pytania. Admirał Mulli-gan jasno powiedział, że nie będzie tolerował żadnego maglowania świadków przez cywila, jak to się odbywa w zwykłych sądach.

Panu Myerscoughowi pozwolono jedynie na „wyjaśnianie niektórych punktów zeznań”, ale musiał

się stosować do poleceń admirała Camerona, a w razie potrzeby także komandora Kirka.

Ojciec Judda Crockera, sześćdziesięciosześcioletni admirał Nathaniel Crocker, który sam nigdyś

dowodził niszczycielem, przyleciał na Zachodnie Wybrzeże, by spotkać się z synem i synową.

Przez ostatnie tygodnie żywo interesował się mającym nastąpić dochodzeniem. Gdy tylko

prezydent uzyskał zgodę na reprezentowanie Linusa przez cywilnego adwokata, admirał

natychmiast wymusił to samo dla dowódcy Seawolfa. Wyzaczył do tego starego przyjaciela, z

którym razem studiowali w Akademii Marynarki Wojennej w Anna-polis, Arta Mangone, który

wytrzymał w granatowym mundurze tylko sześć lat, po czym podjął spóźnione studia prawnicze na

UCLA. Art bardziej polubił prawo niż okręty podwodne i od trzydziestu lat prowadził praktykę w

La Jolla, nadmorskim przedmieściu San Diego. Dochodzenie w sprawie Seawolfa pozwalało mu na

wykorzystanie wiedzy z obu dziedzin.

–Jedyne, co wiem o Mangonem jako o prawniku, to że nieźle gra w golfa – oznajmił admirał synowi. – Ale ufam mu, to dżentelmen i człowiek niezależny.

–Powiedziane, jak przystało na prawdziwego bostońskie-go Jankesa – skomentował Judd. Teraz scena była już ustalona. Kapitan Crocker i komandor podporucznik Ciarkę będą przez całe postępowanie mieć u boku swych adwokatów. Admirał Cameron oficjalnie otworzył pierwsze posiedzenie i poprosił o wprowadzenie i zaprzysiężenie pierwszego świadka. Przesłuchiwanie każdego z nich miał prowadzić wielce doświadczony oficer, były dowódca okrętu podwodnego klasy Polaris, kontradmirał Curran. Po nim mogli zadawać pytania pozostali

ławnicy, a na końcu obu adwokatom wolno było prosić o dodatkowe wyjaśnienia, jeśli admirał Cameron uzna to za istotne dla sprawy.

Po zwykłych wstępnych pytaniach dotyczących tożsamości-

ci i kariery zawodowej porucznik Andy Warren, oficer pokładowy Seawolfa, stanął przed admirałem Curranem.

–Poruczniku Warren, czy może nam pan powiedzieć, gdzie pan był między godziną czwartą a ósmą rano piątego lipca bieżącego roku?

–Tak jest, sir. Byłem na wachtce na okręcie podwodnym Seawolf na Morzu Południowochińskim. Byłem tam zaokrętowany jako oficer pokładowy.

–Czy pańskie obowiązki wymagały zajmowania różnych stanowisk na całym okręcie?

–Tak jest.

–Czy spędzał pan część swego czasu także w centrali manewrowej?

–Tak jest.

–Czy mógł pan wiedzieć, kto aktualnie prowadzi okręt?

–Tak jest, sir. Wiedziałem to zawsze, kiedy byłem w centrali.

–Proszę więc powiedzieć Izbie, kto prowadził okręt podczas pana wachty.

–Tak jest. Przez krótki czas, może z pół godziny od chwili, kiedy objąłem wachtę, okręt prowadził kapitan Crocker. Potem poszedł spać, a prowadzenie przejął komandor Ciarkę. Byłem tam, kiedy przekazywali sobie obowiązki.

–Jak by pan opisał ten okres, kiedy okrętem dowodził komandor podporucznik Ciarkę?

–Z początku wszystko było w porządku, jak zawsze, sir. A potem stało się coś strasznego.

–Czy może pan to opisać bliżej?

–Tak jest". Około piątej trzydzieści nasz sonar wykrył chiński niszczyciel, nadpływający z maksymalną prędkością.

–Komandor Ciarkę odpowiadał wtedy za okręt, tak?

–Tak jest. I wtedy niszczyciel gwałtownie zwolnił. Znajdowaliśmy się o dwa tysiące czterysta metrów na jego prawym trawersie. Ja prowadziłem okręt, podczas gdy komandor Ciarkę patrzył przez peryskop. Rozkazał mi trzymać okręt prosto na kursie i z zerowym trymem, co też czyniłem.

–Co było potem?

–Komandor Ciarke postanowił podejść bliżej. Chciał sfo-429

tografować z bliska dużą nadbudówkę sonaru holowanego, którą widział na jego rufie.

–Czy powiedział, że chce podejść bliżej do tego niszczyciela?

–Tak jest.

–Czy pan mu odpowiedział?

–Tak jest. Powiedziałem: „Ostrożnie, sir, nie wiemy, jak długi jest ten sonar”.

–Czy zazwyczaj daje pan takie rady zastępcy dowódcy okrętu?

–Nie, sir. W tym wypadku chciałem, żeby to było ostrzeżenie.

–A czy komandor Ciarke panu odpowiedział?

–Tak jest, sir.,

–Co więc powiedział?

–Powiedział: „Nie martw się, Andy”. Potem dodał, że nie podejdzie bliżej jak na milę. Pamiętam, jak powiedział, że przecież ten sonar holowany tak długi nie jest. Wspomniał jeszcze, że powinien leżeć w wodzie pod kątem, a nie poziomo, jak za okrętem podwodnym.

–Co nastąpiło potem?

–W tym czasie w centrali był już szef okrętu, starszy bosman Stockton, który nagle się wtrącił, mówiąc, że według niego dowódca powinien zostać poinformowany, iż kręcimy się koło tyłka chińskiego niszczyciela-sześciotysięcznika. Pamiętam jego słowa dokładnie.

–Czy szef okrętu kierował te słowa do komandora Ciarke jako informację, ponieważ uważał, że zastępca dowódcy nie wie, co robi?

–Och, nie, sir. Mówił tylko komandorowi Clarke'owi, że powinien poinformować dowódcę o naszych działaniach.

–A czy komandor Ciarke posłuchał tego ostrzeżenia?

–Nie, sir. Powiedział, że nie ma potrzeby alarmować dowódcy. Zamierzał bowiem tylko przejść o milę za rufą niszczyciela i zrobić kilka zdjęć.

–Jaka była odpowiedź szefa okrętu?

–Bosman Stockton powtórzył, że w jego opinii dowódca definitywnie powinien wiedzieć o sytuacji, ponieważ to jest najważniejsza część naszej misji.

–Czy komandor Ciarke usłuchał tego drugiego ostrzeżenia?

–Nie, sir. Nie posłuchał. Powiedział, że w jego opinii jesteśmy bezpieczni. A potem nakazał zmianę kursu, by przejść za rufą chińskiego okrętu.

–Czy pan dalej prowadził okręt?

–Tak jest. Otrzymałem rozkaz zwrotu w prawo na kurs zero dziewięćdziesiąt z prędkością ośmiu węzłów.

–I wykonał go pan?

–Tak jest.

–Co się potem stało?

–Sir, już myślałem, że się nam udało, ale nagle okręt zwolnił biegu. Byliśmy wciąż na peryskopowej i odczułem delikatną zmianę trymu na rufę. Odgłos pracy turbiny zmienił się, prędkość raptownie spadła. Definitywnie nie mogliśmy dalej płynąć.

–Czy potrafił pan ocenić przyczynę tego stanu rzeczy?

–Ja ją znałem, sir. Nieraz rozmawiało się o długości nowych chińskich sonarów holowanych.

–Co było potem?

–Kapitan Crocker wpadł do centrali.

–Nie spał już?

–Nie, sir. Obudzony i niezbyt zadowolony z komandora Clarke'a.

–Czy od razu zorientował się, co zaszło?

–Nie od razu, sir. Warknął tylko: „Co się dzieje, ZDO?“, złapał za peryskop i szybko rozejrzał się po okolicy, zanim obiektyw się zanurzył z powodu naszego trymu na rufę.

–Jak długo miał jeszcze obraz?

–Powiedziałbym, że ze trzy sekundy. Nie dłużej.

–I to wystarczyło?

–Jemu absolutnie wystarczyło, sir.

–Skąd pan wie?

–On rozwiązał zagadkę natychmiast, sir. Powiedział, że niszczyciel jest zaledwie o pięćset metrów od nas. Nie o milę, jak mówił komandor Ciarke. Powiedział, że ZDO przekręcił uchwyt peryskopu w niewłaściwą stronę, na małą moc, przez co wyglądało to na milę, choć w rzeczywistości niszczyciel był o wiele bliżej.

431

–Czy ZDO odpowiedział?

–Tak, sir. Dwa razy powtórzył „O mój Boże!”, a potem dodał, że mu strasznie przykro.

W tym momencie mecenas Myerscough zerwał się na nogi i powiedział, że zgłasza sprzeciw wobec takiego kierunku przesłuchiwania i nie potwierdzonych insynuacji dotyczących jego klienta. Admirał Cameron wpadł w gniew.

–Cisza! – krzyknął. Po chwili dodał cicho: – Panie Myerscough, jeżeli spróbuje pan jeszcze raz przerwać to wojskowe dochodzenie, każę pana wyprowadzić pod eskortą z sali i z terenu bazy.

Może pan mówić wtedy, kiedy ja panu pozwolę, i w żadnym innym wypadku. Czy pan mnie zrozumiał?

Upłynęło już sporo czasu, odkąd ktokolwiek odezwał się w ten sposób do mecenasa Myerscougha. Adwokat nie zamierzał jednak zadzierać z tym admirałem, nie spodziewał się bowiem, aby prezydent wylewnie mu podziękował za doprowadzenie do tego, że zostanie wykluczony z postępowania już w pierwszej godzinie. Skinął tylko głową, przeprosił i usiadł. Wówczas admirał Cameron dodał:

–Nie uważam zaprzysiężonego oświadczenia oficera marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, relacjonującego rozmowę toczącą się tuż obok niego, za nie potwierdzone insynuacje... Proszę kontynuować, admirale Curran.

–Poruczniku Warren, czy odniósł pan wrażenie, że komandor podporucznik Ciarke zgadza się z oceną jego błędu przez dowódcę?

–Tak jest, sir. Definitywnie. Był naprawdę zdenerwowany i przepraszał.

–Czy pan, jako oficer wachtowy, zgadzał się z oceną dowódcy?

–Absolutnie, sir. Nie miałem żadnych wątpliwości. Różnica między obiektem widzianym przez peryskop z odległości pięciuset metrów i jednej mili jest wyraźna, sir.

–Właśnie – rzekł admirał Curran, długoletni podwodniak, dodając, że nie ma dalszych pytań do oficera pokładowego Seawolfa, choć jego koledzy mogą życzyć sobie dalszych wyjaśnień. Admirał Cameron odbył krótką naradę ze swymi kolega-

mi ławnikami. Wszyscy się zgodzili, że dochodzenie powinno dojść do tego właśnie punktu, do chwili unieruchomienia okrętu. Ani kroku dalej.

–Dobrze więc – powiedział przewodniczący. – Adwokaci stron mogą teraz zadawać

świadczeni pytania. Podkreślam jednak, że nie jesteśmy w jakimś cywilnym sądownym cyrku. To

jest Izba Morska Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Nie będę tolerował teatralnych

zagrań ani agresji wobec któregoś z moich zaufanych oficerów floty podwodnej.

–Nie mam pytań, sir – oświadczył Art Mangone.

–Ja mam kilka. – Mecenias Myerscough podniósł się z miejsca, rozpoczynając swą pracę na rzecz prezydenta USA. – Po pierwsze, chcę zapytać, czy trzy sekundy to wystarczająco dużo czasu, by dokonać tak ważkiej oceny sytuacji?

–Aż nadto, sir. Wszyscy jesteśmy szkoleni, by jak najszybciej dokonywać obserwacji przez peryskop. Rutynowym maksimum na wrogim akwie jest siedem sekund. Kapitan Crocker jest znany ze swej umiejętności oceny obrazu powierzchni. Jest najlepszy, sir. Najlepszy, jakiego w życiu widziałem.

–To raczej więcej, niż chciałem wiedzieć, poruczniku – mecenias prawie przerwał Warrenowi. – Może zechce pan na przyszłość ograniczyć się do precyzyjnych odpowiedzi na moje pytania, zamiast upiększać je charakterystyką zawodową swojego dowódcy.

–Absolutnie, sir. Nie ma problemu. Pomyślałem tylko, że chciałby pan wiedzieć, że kapitan Crocker jest najlepszy.

Myerscough dostrzegalnie się wzdrygnął, ale w mig się opanowawszy, powtórzył z cywilnym niedowierzaniem:

–A zatem uważa pan, że taki krótki czas wystarcza na ocenę sytuacji.

–Och, pewnie. Trzy sekundy koncentracji dla człowieka tak wyszkolonego jak kapitan Crocker? Żaden problem. Mógłby to pewnie zrobić i w sekundę.

Admirałowie Cameron i Curran z trudem powstrzymywali uśmiechy, widząc, jak trudno przychodzi

wielkowiejskiemu prawnikowi zmierzyć się z marynarską precyzją.

433

–Poruczniku, stwierdził pan, że wydawało się panu, iż komandor Ciarke jest wyraźnie zdenerwowany i przeprasza. Czy może się pan mylić w tym przypuszczeniu?

–Nie, sir.

–Na czym pan to przypuszczenie opiera?

–To nie jest przypuszczenie, sir. To fakt. On był zdenerwowany i przeproszał dowódcę. Słyszałem, jak dwukrotnie mówi: „O mój Boże”, a potem powiedział: „Strasznie mi przykro, sir”.

–Czy jest pan tego całkowicie pewien? Komandor Ciarke przypomina sobie coś zupełnie innego.

–Był wtedy prawdopodobnie zbyt zdenerwowany, by trzeźwo myśleć w takiej chwili. Każdy by był, popełniwszy taki błąd. Pamiętam nawet, co kapitan Crocker odpowiedział, kiedy ZDO mówił, że mu przykro.

–Nie pytałem pana o to.

–Nie, sir. Ale z przyjemnością panu powiem. Dowódca powiedział: „I mi też, Linus. I mi też”.

–Nie mam więcej pytań.,

Mecenas Myerscough potrząsnął głową z pewną irytacją,

jakby nie wiedział, jak sobie radzić z prostoliniowym nastawieniem oficera marynarki, nawykłego wszelkim zwierzchnim władzom mówić prawdę. Porucznikowi Warrenowi, jak wszystkim jego kolegom, wpajano to od chwili przekroczenia murów Annapolis, mówiąc: „Jedyną rzeczą, za którą możesz wylecieć, jest kłamstwo. Wybaczą ci niemal wszystko inne, ale nie kłamstwo. W Akademii to śmierć...”

–Wezwać starszego bosmana Brada Stocktona.

Szef Stockton, który doszedł już do siebie po cięgach, jakie oberwał na Xiachuan Dao, wmaszerował do sali, zaszalutował admirałom i został zaprzysiężony. Admirał Curran poprowadził go przez wstępne pytania, po czym przeszedł do istoty sprawy.

–Kiedy się zorientowaliście, że komandor Ciarke zamierza wykonać manewr, co do którego żywiście obawy?

–Gdy tylko ZDO zapowiedział, że chce przejść za rufą tego niszczyciela, sir.

–A co sami na ten temat myśleliście? 434

–Nie było pewności, sir, jak długi jest sonar holowany Chińczyka. Powiedziałem to ZDO, jako coś w rodzaju ostrzeżenia.

–Co on na to odpowiedział?

–Powiedział, że nie ma zamiaru podchodzić bliżej niż na milę, co w zupełności wystarczy.

–Czy wiadomo wam było, że ZDO widzi chiński okręt w odległości jednej mili?

–Nie, sir. Ja nie patrzyłem przez peryskop. Przyjąłem, że komandor Ciarke jest pewien przynajmniej tego.

–A czy zapas odległości do obcej jednostki był, według was, najważniejszym problemem?

–Nie, sir. Chodziło o coś innego.

–O co więc chodziło?

–O to, że nie powiadaliśmy dowódcy o naszych działaniach. Uważałem, że to bardzo niedobrze.

–Czy poinformowaliście komandora Clarke'a o swoich wątpliwościach?

–Dwukrotnie, sir. Powiedziałem, że skoro kręcimy się koło tyłka chińskiego niszczyciela, kapitan powinien o tym wiedzieć.

–Czy zastępca dowódcy posłuchał tego ostrzeżenia od szefa okrętu? (

–Nie posłuchał, sir. Powiedział, że nie ma potrzeby. Powiedział, że niszczyciel nie nadaje żadnych sygnałów i że on po prostu zamierza przejść blisko w celu sfotografowania go.

–I co dalej?

–No cóż, sir, moja rada została zignorowana przez przełożonego, nie miałem innego wyjścia, jak tylko przyjąć rozkaz. Powtórzyłem jednak jeszcze raz, że uważam za konieczne poinformowanie o wszystkim kapitana.

–Czy ta druga rada została przyjęta?

–Nie, sir. Komandor Ciarke kontynuował manewr przechodzenia za rufą Chińczyka w odległości jednej mili. Przynajmniej tak mu się wydawało.

–A wy wierzyliście, że Seawolf znajduje się w takiej odległości od obcego okrętu?

–Tak jest, sir. Każdy oczekuje, że zastępca dowódcy okrętu potrafi się posługiwać peryskopem.

–Ale z perspektywy czasu uważacie teraz, że nie potrafił.

–Na to wygląda, sir. A kiedy nadszedł kapitan Crocker, to stało się jasne.

–Chcecie powiedzieć, że akceptujecie wersję wydarzeń kapitana Crockera, to jest ustawienie peryskopu na małą moc, przez co niszczyciel wydawał się bardziej odległy niż w rzeczywistości?

–Bezwzględnie, sir. Słyszałem, jak komandor Ciarkeę przeprosza za błąd. Tak musiało być.

–To wszystko, bosmanie. Może admirał Cameron ma jakieś pytania?

–Nie sędzę – odrzekł przewodniczący. – Zeznania szefa okrętu i oficera pokładowego są identyczne. Panie Mangone? Panie Myerscough?

–Nic z mojej strony – odparł Art Mangone.

Philip Myerscough znów wstał, by spróbować postawić Linusa Clarke'a w nieco lepszym świetle niż jako popełniającego błędy oficera.

–Panie Stockton – zaczął, pomijając stopień świadka, jakby chciał się zdystansować od militarne go charakteru procesu – stwierdził pan, że jest pan pewien, iż komandor Ciarkeę błędnie ustawił peryskop na małą moc, przez co potem błędnie ocenił odległość od niszczyciela?

–Tak, sir. Tak powiedziałem i mam taką pewność.

–Jaki jest na to dowód? Jak pan może to udowodnić? Czy to nie jest zwykłe przypuszczenie?

–Nasz dowódca popatrzył przez peryskop w chwilę po pomyłce i stwierdził, że Xiangtan jest od nas o pięćset metrów.

–Tak. Ale jakie są dowody na to, że to nie pan Crocker się myli, Linus Ciarkeę zaś od początku miał rację?

–Pewnie takie, sir, że owinęliśmy sobie na śrubie ten sonar holowany, który znajdował się znacznie bliżej, niż komandor Ciarkeę uważał.

–Ale skąd wiadomo, że ten sonar nie był długi na milę? Może jednak komandor się nie mylił?

–No cóż, tego nie wiem na pewno, ale nigdy nie słyszałem, aby Chińczycy mieli sonary o

takiej długości. Nikt w całej naszej marynarce nigdy nawet nie sugerował takiej

możliwości. Najdłuższy, o którym • slyszałem, miał tysiąc metrów.

–Ale, z całym szacunkiem, panie Stockton, fakt, że pan o czymś takim nie slyszał, nie wyklucza jego istnienia, prawda?

–Nie, sir. Chyba nie.

–Więc byłoby niemądre odrzucać tę możliwość?

–Nie, sir. Byłoby niemądre ją przyjmować. Kapitan Crocker na własne oczy widział ten niszczyciel o pięćset metrów na naszym lewym trawersie.

–Przez trzy sekundy, jak mi mówiono. To niezbyt długo.

–W naszym fachu, sir, trzy sekundy na ocenę sytuacji na powierzchni to długo. Coś jak trzy godziny dla nie wyszkolonej osoby.

Philip Myerscough parsknął niskim, sardonycznym śmieszkiem.

–Ale, panie Stockton, nie widział tego nikt inny, ponieważ okręt był przegłębiony na rufę i peryskop szybko zniknął pod wodą, prawda?

–Nikt tego nie widział w owej chwili, sir. Ale wyszliśmy na powierzchnię w zaledwie parę minut potem i niszczyciel był wciąż o pięćset metrów od nas.

–Kto wtedy patrzył przez peryskop?

–Dowódca, sir.

–I ktoś jeszcze? – Tak.

Adwokat przez chwilę wyglądał na zmieszanego.

–Kto to był? – zapytał.

–Ja, proszę pana. Dowódca przekazał mi peryskop, bym obejrzał długi kabel nawinięty na naszą śrubę. Był tego solidny zwój, ze cztery metry średnicy.

W tym momencie wstał mecenas Mangone, prosząc o pozwolenie na zadanie tylko jednego pytania, właśnie w tej chwili. Admirał Cameron udzielił zgody. Myerscough usiadł niezadowolony.

–Panie bosmanie – powiedział Art – kiedy spojrział pan przez peryskop po wyjściu na powierzchnię, tuż po wypadku, jak daleko Seawolf był od chińskiego niszczyciela?

–Okolo pięciuset metrów, sir. 437

i

–Dziękuję, bosmanie. Chciałem się tylko upewnić. Nie mam więcej pytań. Myerscough wstał znowu.

–Panie Stockton, od jak dawna służył pan pod komendą kapitana Crockera?

–Och, zrobiliśmy razem z sześć tur służby.

–Czy można by powiedzieć, że pan go podziwia?

–Tak, sir. To najlepszy dowódca, z jakim pływałem.

–Czy powiedziałby pan, że jest wobec niego całkowicie lojalny? Jako dowódcy, oczywiście.

–Tak, sir. Jestem wobec niego lojalny.

–Może nazbyt lojalny?

–Nie, sir.

–Może jest pan bardziej lojalny wobec kapitana Crockera niż wobec absolutnej prawdy?

–Dość tego! – Admirał Cameron zerwał się na równe nogi. – Już panu mówiłem, panie Myerscough, że nie będę tolerował przesłuchiwania moich ludzi w stylu cywilnych sądów. Być może powinienem to panu wytłumaczyć jaśniej. Ludzie w rodzaju Brada Stocktona są fundamentem tej marynarki. To nie jest zwykły człowiek. To ktoś bardzo rozważny, piastujący stanowisko wymagające wielkiej odpowiedzialności. Nie dla pieniędzy, nie dla taniej sławy, ale w poczuciu wielkiego obowiązku. Codziennie z narażeniem życia chroni ten kraj przed wrogami. Nie pozwolę go traktować jak kryminalisty, z jakimi ma pan do czynienia w swoim wybranym zawodzie! Panie Myerscough, ma pan traktować moich ludzi z pełnym szacunkiem albo nie zawaham się pana stąd usunąć.

Admirał Cameron jednak się spóźnił. Pytanie zostało zadane i zaprotokołowane, choć pozostawione bez odpowiedzi. Ziarno wątpliwości zostało zasiane: Brad Stockton potwierdzi wszystko, cokolwiek Judd Crocker powie. Philip Myerscough dobrze o tym wiedział. Usiadł więc, mówiąc tylko:

–Z szacunkiem, sir.

Następnym powołanym świadkiem był sam komandor podporucznik Linus Ciarę. Po raz pierwszy

opuścił towarzystwo swojego prawnika, stając bezpośrednio przed dwoma

admirałami. I znów powtórzyły się formalności ustalenia tożsamości i zaprzysiężenia świadka, po

czym przystąpiono do przesłuchania.

Nie było niezgodności w podstawowych punktach wszystkich zeznań. Zdarzenia i ich czas nie były

kwestionowane. Jediną rzeczą, jaka pozostała sporna, była odległość Seawolfa od niszczyciela w

chwili, gdy Linus najechał na przewód sonaru holowanego. Choć wtedy ZDO przeproszał za swój

błąd, dziś absolutnie tego nie robił. Stał wyprostowany przed admirałem Curranem i upierał się, że

miał rację i że oba okręty dzieliła w chwili wypadku odległość jednej mili. To nie była i nie mogła

być jego wina. On nigdy by nie popełnił takiego elementarnego błędu w obsłudze peryskopu. Był

zdania, że chiński sonar musi być długi na milę. Nie było innego wytłumaczenia, choć nie można

było tego ani udowodnić, ani odrzucić. Jeśli o niego chodzi, sprawa sprowadza się do jego słowa

przeciw słowu Judda Crockera.

Izba morską wysłuchiwała tego uważnie, po czym zezwoliła Artowi Mangonemu na zadawanie pytań

świadkowi. Adwokat przeszedł od razu do sedna.

–Dwaj ważni członkowie załogi USS Seawolf, oficer pokładowy i szef okrętu, zeznali pod przysięgą, że składał pan przeprosiny wobec dowódcy za popełniony elementarny błąd w obsłudze peryskopu, ustawienie go na małą moc. Czy pan teraz temu zaprzecza?

–Nie zaprzeczam, sir. Istotnie przeprosiłem go wtedy. Byłem kompletnie zastraszone przez kapitana Crockera. Wyglądał, jakby chciał mnie uderzyć. Zupełnie nie panował nad sobą.

–Czy zazwyczaj obawiał się pan dowódcy?

–Trochę. Jest bardzo atletyczny, sir. Potrafi zachowywać się całkiem groźnie.

–Panie Ciarke, przewidywałem, że może pan przyjąć taką linię, i zadałem sobie trud przestudiowania akt personalnych kapitana Crockera. Czy byłoby dla pana niespodzianką, gdyby dowiedział się pan, że w całej jego karierze nikt inny ani przez sekundę nie sugerował, iż Judd Crocker kiedykolwiek komuś groził czy choćby warknął na kogoś, a cóż dopiero mówić o rękoczynach? Czy to pana zaskakuje?

–Tak, sir. On omal mnie nie przewrócił, chcąc się dostać do peryskopu.

–Skoro pan praktycznie zniszczył jego okręt, można by mu wybaczyć nieco pośpiechu, nie sądzi pan?

–Nie aż tyle, sir.

–Komandorze Ciarke, czy wie pan, co on o panu napisał w swym osobistym dzienniku w drodze do domu na pokładzie lotniskowca?

–Nie wiem.

–Przeczytam panu. „Biedny Linus Ciarke. Jeszcze nigdy tak mi nie było żal młodego oficera. Błąd, jaki popełnił, był okropny, ale będzie miał długie lata, by go rozważyć. W danej chwili byłem na niego wściekły i teraz mogę się tylko cieszyć, że trzymałem nerwy na wodzy. Ani razu nie podniosłem głosu, bo nic to by nie dało. Linus Ciarke był już wystarczająco załamany bez moich uwag. W przeszłości było wiele chwil, kiedy zadowolony byłem z naszej współpracy”. – Art Mangone podniósł wzrok na Clarke'a. – Czy to przypomina tego rozwścieczonego byka, którego pan opisał?,

–No, nie, sir. Ale on miał czas się zastanowić nad swoim wizerunkiem, zanim to napisał.

–Może i miał. Jednak nadal uważam, że wizerunek wściekłego byka do niego nie pasuje. Nie mam więcej pytań.

Ostatnim świadkiem tego dnia był kapitan Crocker. Do niego admirałowie mieli najmniej pytań,

ponieważ spośród czterech głównych osób, które znajdowały się w centrali manewrowej Seawolfa w czasie wypadku, on był tam najkrócej, przybywszy na miejsce już po popełnieniu błędu. Jedynym elementem sprawy, co do którego musiał się wypowiedzieć, była kwestia stwierdzonej przezeń odległości między okrętami, kiedy spojrział przez peryskop. Judd potwierdził admirałowi Curränowi, że było to pięćset metrów, bez żadnych wątpliwości. Dodał też, że kiedy się wynurzyli i ponownie sprawdzili po paru minutach, wciąż była to taka sama odległość. Admirał zakończył przesłuchanie, mówiąc:

–Dziękuję, kapitanie Crocker. Myślę, że dla tej izby wszystko jest już jasne.

Pozostawił w ten sposób Philipowi Myerscoughowi pole do ostatniego ataku. Adwokat wstał z miejsca i rzekł:

–Kapitanie, zdaje się, że od samego początku nad tym patrolem wisiało widmo katastrofy? Judd spojrział na niego zdumiony, ale nie odpowiedział.

–Mam na myśli to, że miał pan wyraźne rozkazy, by pod żadnym pozorem nie pozwolić się wykryć Chińczykom, prawda?

–Nie jestem upoważniony, by dyskutować z panem o szczegółach tajnej misji na wodach dalekowschodnich.

–Ale, kapitanie Crocker, czy nie jest tajemnicą poliszynela, że pański okręt został wykryty aż trzykrotnie?

–Sir, mógł pan usłyszeć takie bajki tylko od komandora Clarke'a, który nie jest ani trochę bardziej ode mnie uprawniony, by o tym mówić.

–Czy to tylko bajki, kapitanie?

–Nie mam panu nic do powiedzenia, mecenasie. Nasze zadanie było ściśle tajne.

–Dobrze więc. Niech mi więc będzie wolno podsumować stwierdzeniem, że podczas całego rejsu dowódcy okrętu przytrafiały się błędy, a wobec tego jest całkiem możliwe, że mógł być winien jeszcze jednego, kiedy przyszło ocenić odległość od chińskiego niszczyciela.

Adwokat dobrze wiedział, że ściąga na siebie gniew admirała Camerona, usiadł więc niezwłocznie na miejsce. Ale przewodniczący izby morskiej przemówił spokojnie.

–Nie jestem bardzo zaskoczony, że usłyszał pan coś,

o czym nie powinien pan usłyszeć. To się zdarza, kiedy rozpatrywane są podobne incydenty i zagrożone są czyjeś życie

1 kariera. Proszę zaprotokołować, że marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych nie zanotowała formalnie ani jednego przypadku wykrycia Seawolfa przez jakiekolwiek obce jednostki, aż do chwili kolizji z sonarem holowanym niszczyciela Xiangtan. Mamy za to dowód, że jego bardzo trudne zadanie zostało w stu procentach wykonane pod dowództwem kapitana Judda Crockera, który nie był obecny w centrali manewrowej w chwili rozpatrywanego wypadku. Admirał Cameron następnie podziękował wszystkim za szczerze i uczciwe przedstawienie dowodów, po czym oznajmił, 441

że izba morska będzie kontynuować sesję do końca tygodnia, badając dalsze aspekty utraty

okrętu.

Jej werdykt zostanie opublikowany w ogłoszonym już wcześniej terminie, dziewiątego października.

Wtorek, 26 września 2006 r., godzina 11.30. Gabinet Ovalny

Prezydent Clarke był zły na marynarkę wojenną USA jak nigdy przedtem. Trzymał w ręku raport z

posiedzenia izby morskiej, rozpatrującej utratę Seawolfa, a zawarte w nim informacje nie były

dobrze. Admirałowie, świadomi rosnącego wzburzenia mediów tematem szczegółowych okoliczności, w jakich zakończył żywot USS Seawolf, rozważali możliwość postawienia i dowódcy, i jego zastępcy przed sądem wojskowym, oskarżając obu o jaskrawe zaniedbania.

W ciągu ostatnich czterech dni do prasy przedostały się różne informacje na ten temat i

dziennikarze zaczęli wietrzyć sensację. Admiralicja czuła, że proces oczyściłby atmosferę i

zapobiegł wywęszeniu przez kogoś, co rzeczywiście zaszło na Morzu Południowochińskim. Zwłaszcza że zamieszany w sprawę był syn prezydenta. Nic nie mogło być gorsze od takiej ewentualności. Wszyscy zatem się zgodzili, włącznie z Cameronem i Mulliganem, co do takiego kierunku działań. Sąd najpewniej uniewinni obu oficerów, ale samo rozpoczęcie procesu i upokorzenie dwóch własnych ludzi uwolniłoby, przy dozie szczęścia, US Navy od odium, którym ta sprawa ją otoczyła.

Cały szkopuł w tym, że prezydent nie chciał się na to zgodzić. Stał teraz przed admirałem Morganem i kategorycznym tonem mówił:

–Nikt nie będzie stawiał przed żadnym sądem mojego syna. Nie pozwolę na to, dopóki siedzę na tym stołku jako naczelny dowódca sił zbrojnych USA.

–Ale nie bardzo widzę, jaki mamy wybór, sir. Musimy odwrócić uwagę prasy od prawdziwej historii, przez którą upadłby pański rząd. Zostałby pan zhańbiony, panie prezydencie. Wydać wojnę Chinom o Linusa? Nawet panu taki numer by nie przeszedł.

–Okay, zgadzam się z tym. Ale popatrz tu, Arnie. Przeczytałem ten raport i muszę powiedzieć, że nie podoba mi się ten cały Crocker. Jezu, jestem prawnikiem, a tu nie ma ani krzty dowodu, który by poparł jego zarzut, że to Linus popełnił błąd. Nic poza tym, co stało się po fakcie. No, dajcie spokój! Trzy sekundy przy peryskopie. A wy chcecie z tego upleść sznurek, by powiesić Linusa? Nie, sir. Tak się nie stanie.

–Panie prezydencie, marynarka wojenna postawi przed sądem albo Linusa, albo ich obu z kapitanem, za utratę okrętu. W końcu to on powoził tym cholernym pudłem!

–Może i tak. Ale ten cały Crocker powinien tam być. To on był dowódcą. Jego zeznania przeciwko mojemu chłopakowi są nieobiektywne. Linus zawsze był prawdomówny, od dziecka, a ten facet chce zrobić z niego kłamcę. Nie pozwolę na to. Admirale Morgan, chcę, aby ten kapitan stanął przed sądem wojskowym. Ale Linus tam nie pójdzie. On był dowódcą, więc niech on za to beknie. To tylko jego słowa przeciw prawdzie w słowach mojego syna. Mogę nawet pozwolić, aby Linus świadczył na jego korzyść. Ale nie dopuszczę, by przez niego stanął przed sądem, co przyniosłoby mu o wiele większą hańbę i zgryzotę niż komukolwiek innemu.

–Panie prezydencie, przekażę pańskie życzenie odpowiednim ludziom w admiralicji i będziemy musieli zobaczyć, jak się sprawa potoczy. Wiem tylko, że wszyscy są poważnie zatroskani zainteresowaniem, jakie całej sprawie zaczyna okazywać prasa.

–W porządku. Ale nie przychodź mi tu z jakimś gównem. Chcę usłyszeć, że Linus nie zostanie postawiony przed sądem marynarki wojennej. Nie po tym wszystkim, co ten chłopiec przeżył.

Środa, 27 września 2006 r., godzina 9.00. Gabinet Ovalny

–Sir, nie będzie się to panu podobało. Marynarka wojenna USA powoła specjalny sąd wojskowy, oskarżając i kapitana Crockera, i komandora podporucznika Clarke'a o ja-

skrawe zaniedbania, które doprowadziły do utraty Seawolfa. Oni uważają, sir, że w obecnym klimacie nie mają innego wyboru, a ja się z tym zgadzam.

–Arnie, do jasnej cholery! Czy mogę to powstrzymać, uwolnić Linusa od oskarżenia?

–Może pan. Jako naczelny dowódca może pan uczynić, co się panu podoba. Powiedziano mi tylko, że w takim wypadku otrzyma pan natychmiastowe rezygnacje od szefa operacji morskich admirała Mulligana i dowódcy Floty Pacyfiku admirała Camerona.

–To im powiedz, żeby się wynosili, a ja mianuję na ich miejsce paru facetów, którzy mi

pomogą. Może będą pamiętać kilka rzeczy, które zrobiłem dla marynarki.

–Czy to pańskie ostatnie słowo?

–Jak amen w pacierzu. Potrzebuję nowego dowódcy US Navy i nowego CINCPAC. Proszę puścić sprawę w ruch i nie ogłaszać niczego na temat sądu.

–Dobrze, sir. Musimy się jednak pospieszyć. Otwarcie rozprawy ma nastąpić w piątek rano, dopóki materiały dowodowe są świeże. f

–Mogą sobie otwierać, kiedy się im żywnie podoba, ale jedynym podsądnym będzie kapitan Judd Crocker. Chcę, by oskarżono go o opuszczenie stanowiska w obliczu nieprzyjaciela. To znaczy

Chin. Oni są naszymi wrogami.

Arnold Morgan wyszedł bez słowa. W ciągu trzydziestu minut nadeszły dwa listy z rezygnacjami

dwóch admirałów. Pięć godzin minęło, zanim rozdano nowe nominacje. Obu nowym dowódcom dano jasno do zrozumienia, że jeśli chcą, by prezydent zatwierdził ogromny budżet marynarki na

przyszły rok, muszą spełnić jego życzenia w sprawie sądu wojskowego nad Juddem Crockerem.

Admirał Dick Greening, który przyleciał z Pearl Harbor, by zastąpić Archiego Camerona, nie miał

żadnych odczuć w związku z procesem i uważał, że ewentualne ostre wytknięcie dla jakiegoś kapitana, który stracił swój okręt, nie jest warte całego tego zamieszania.

Mianowanie nowego szefa operacji morskich okazało się trudniejsze, ale w końcu otrzymał to stanowisko admirał Alan Dickson, dowódca floty Atlantyku. I on miał mieszane

uczucia na temat procesu Judda Crockera. Nie wiedział jednak, że prezydent życzy sobie, aby kapitan został uznany za winnego, a cała sprawa na tym została zamknięta.

Admirał Morgan poprosił o odłożenie rozprawy do poniedziałku, na co wyrażono zgodę.

Większą

część weekendu strawił na przekonywaniu prezydenta, ale ten był głuchy na wszelkie argumenty.

Nie chciał się nawet zgodzić, aby Linus był obecny na rozprawie, tylko wysłał go na ranczo do

Oklahomy.

Dlatego w poniedziałek rano kapitan Judd Crocker stanął przed sądem wojskowym

osamotniony

Był z nim tylko jego ojciec, oczekujący na werdykt na zewnątrz. Przez trzy godziny były

dowódca

USS Seawolf bronił swej sprawy, wyjaśniał okoliczności, usiłował wykazać winę swego zastępcy.

Na darmo. Marynarka pragnęła werdyktu uznającego jego winę, by ocalić siebie, tego samego

domagał się prezydent, by ocalić swego syna. Był to proces przegrany przez oskarżonego

jeszcze

przed rozpoczęciem.

O szesnastej dwadzieścia pięć w poniedziałek, drugiego października dwutysięcznego

szóstego

roku kapitana Judda Crockera uznano winnym jaskrawego zaniedbania – przede wszystkim z

powodu opuszczenia stanowiska dowodzenia w obliczu nieprzyjaciela. Pozbawiono go

formalnie

dowództwa, surowo napiętnowano i zalecono, by w trybie natychmiastowym złożył rezygnację

i

opuścił szeregi marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych.

Wtorek, 3. października 2006 r., godzina 14.00. Biuro doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa

narodowego

Admirał Morgan oświadczył się Kathy O'Brien.

–Pomyślałem sobie, że załatwię tę formalność, zanim udam się do szefa i powiem, że składam dymisję.

–No, dobrze, Arnoldzie, wyjdę za ciebie. Ale to wszystko trochę nagle... Sądzę, że ma to związek z procesem Judda Crockera?

–Niezupełnie. Po prostu czuję, że nie mogę dłużej ofia-445

rować swojej lojalności człowiekowi takiemu jak John Clarke. Cała ta sprawa była przesiąknięta nieuczciwością i korupcją. Nic nie było w porządku od samego startu. A na to ja nie mogę przystać. Odchodzę, a on razem ze mną, choć o tym się nie dowie jeszcze przez parę dni. Widzisz, byłem w US Navy prawie przez całe życie, a dotąd nie miałem do czynienia z tak szokującymi wydarzeniami. Stracić Joe Mulligana? Archiego Camerona? Okryć hańbą najlepszego dowódcę okrętu podwodnego w całej flocie? I to wszystko dla takiego małego gnojka jak Linus Clarke. Nie, Kathy, tak być nie może. Odchodzę i rozgłoszę to wszystko.

Admirał ruszył pełną prędkością kursem na Gabinet Owalny, zabierając z sobą list, w którym informował prezydenta, że od najbliższego piątku będzie potrzebował nowego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Prezydent był oszołomiony decyzją swego bliskiego

współpracownika. Obaj mężczyźni rozmawiali przez dwie godziny, podczas których John Clarke usiłował skłonić admirała do pozostania na pokładzie. Jego doradca był jednak niewzruszony. Już nie mógł pracować dla tego człowieka.

Wypili dzbanek kawy i już mieli się pożegnać, gdy ktoś zapukał do drzwi. Do gabinetu weszła zapłakana Kathy O'Brien, z białą chusteczką przy oczach.

–Panie prezydencie – wyrzuciła z siebie. – Kapitan Crocker się zastrzelił. Nie żyje.

Prezydent Clarke zbladł jak ściana i dosłownie opadł na fotel. Siedział z ręką przyciśniętą do ust,

jakby chcąc się powstrzymać od krzyku.

Arnold Morgan zebrał się w sobie i otoczył Kathy ramieniem, wyprowadzając ją z gabinetu. Na progu odwrócił się i powiedział:

–Korupcja, sir, czasem niesie wysoką cenę, jeśli ma się do czynienia z ludźmi honoru.

rować swojej lojalności człowiekowi takiemu jak John Clarke. Cała ta sprawa była przesiąknięta

nieuczciwością i korupcją. Nic nie było w porządku od samego startu. A na to ja nie mogę przystać.

Odchodzę, a on razem ze mną, choć o tym się nie dowie jeszcze przez parę dni. Widzisz, byłem w

US Navy prawie przez całe życie, a dotąd nie miałem do czynienia z tak szokującymi wydarzeniami. Stracić Joe Mulligana? Archiego Camerona? Okryć hańbą najlepszego dowódcę

okrętu podwodnego w całej flocie? I to wszystko dla takiego małego gnojka jak Linus Clarke. Nie,

Kathy, tak być nie może. Odchodzę i rozgłoszę to wszystko.

Admirał ruszył pełną prędkością kursem na Gabinet Owalny, zabierając z sobą list, w którym informował prezydenta, że od najbliższego piątku będzie potrzebował nowego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Prezydent był oszołomiony decyzją swego bliskiego

współpracownika. Obaj mężczyźni rozmawiali przez dwie godziny, podczas których John Clarke usiłował skłonić admirała do pozostania na pokładzie. Jego doradca był jednak niewzruszony. Już nie mógł pracować dla tego człowieka.

Wypili dzbanek kawy i już mieli się pożegnać, gdy ktoś zapukał do drzwi. Do gabinetu weszła zapłakana Kathy O'Brien, z białą chusteczką przy oczach.

–Panie prezydencie – wyrzuciła z siebie. – Kapitan Crocker się zastrzelił. Nie żyje.

Prezydent Clarke zbladł jak ściana i dosłownie opadł na fotel. Siedział z ręką przyciśniętą do ust,

jakby chcąc się powstrzymać od krzyku.

Arnold Morgan zebrał się w sobie i otoczył Kathy ramieniem, wyprowadzając ją z gabinetu. Na progu odwrócił się i powiedział:

–Korupcja, sir, czasem niesie wysoką cenę, jeśli ma się do czynienia z ludźmi honoru.

+ r

EPILOG

Zwłoki Judda Crockera przywieziono do domu samolotem wojskowym, który wylądował w bazie Otis na Cape Cod. Rodzina ze złamanym sercem zorganizowała prywatny pogrzeb, tylko dla najbliższych oraz kilku osób z Waszyngtonu. Przybył na nią prezydent, admirał Morgan z Kathy i admirał Joe Mulligan. Z San Diego przylecieli też Brad Stockton i komandor Rick Hunter, i to oni stali przy Nicole i jej dwóch małych córeczkach przez całą ceremonię.

Mszę żałobną odprawił miejscowy pastor, po czym Judda Crockera złożono na wieczny spoczynek obok grobu jego dziadka. Prezydent wyglądał, jakby spełniły się wszystkie jego najgorsze koszmary. Tu, w tym miasteczku nad Nan-tucket Sound, po raz pierwszy ujrzał konsekwencje swych poczynań. Całe miasto pogrążyło się w żałobie po swym synu, który zginął z własnej ręki. W jachtklubie Wianno, gdzie kapitan Crocker jako chłopiec uczył się żeglowania, powiewała opuszczona do połowy masztu flaga. Tak samo było na centralnym placu miasteczka. Sklepy pozamykano na czas pogrzebu i na chodnikach wzdłuż trasy konduktu zebrały się tłumy mieszkańców.

W prasie i telewizji ukazało się wystarczająco dużo informacji, by wszyscy się dowiedzieli, że przebieg procesu był wielce podejrzany. Nikt nie wierzył, że tylko Judd był odpowiedzialny za utratę okrętu.

Prezydent wydawał się wstrząśnięty tym wezbrany żalem rodzinnego miasta kapitana. Najgorszą nowiną, jaką usłyszał, była opublikowana w „Cape Cod Times” zapowiedź admirała Nathaniela Crockera, że poświęci następne pięć lat na napisanie książki o USS Seawolf i o roli syna w tej tragedii. Oświadczył, że wielu członków załogi Judda obiecało mu pełną współpracę.

Na koniec to właśnie admirał Crocker miał ostatnie słowo. Czekał na prezydenta po pogrzebie i nie

podając mu ręki, powiedział:

–Zastanawiam się, sir, czyj syn wyszedł z tego z honorem. Pański czy mój?

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-20

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/